

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

ANIOL PITOU

Tom I

I.

CZYTELNIK ZAWIERA ZNAJOMOŚĆ Z BOHATEREM NINIEJSZEJ OPOWIEŚCI I POZNAJE MIEJSCOWOŚĆ, GDZIE ON PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT

Na granicy Pikardii i Soissonnais, w tej części Francji, która pod nazwą Ile-de-France stanowiła odwieczne dziedzictwo po naszych królach, pośrodku ogromnego skrzyżowania, jakie ciągnąc się na południu i północy tworzył las, liczący około pięćdziesięciu mórg, leży zagubione niemal w cieniu przeogromnego parku, założonego jeszcze przez Franciszka I i Henryka II, niewielkie miasteczko Villers-Cotterets, słynne z tego, że tam właśnie urodził się Karol Albert Demoustier, który w okresie zbiegającym się z rozpoczęciem niniejszej opowieści napisał ku wielkiemu zadowoleniu ówczesnych pięknych pań swe *Listy do Emilii o mitologii*, rozchwytywane w miarę ich ukazywania się.

By uzupełnić poetycki rozgłos związany z tym niewielkim miastem, które ludzie nieżyczliwi z uporem wciąż nazywają mieściną, mimo iż znajduje się tam pałac królewski i przeszło dwa tysiące czterystu mieszkańców, zaznaczmy, że jest ono położone zaledwie o dwie mile od La Ferté-Milon, gdzie urodził się Racine, i o osiem mil od Château-Thierry, gdzie ujrzał światło dzienne La Fontaine.

Dodajmy ponadto, że matka autora *Britannicus* i *Athalii* również pochodziła z Villers-Cotterets.

Powróćmy jednak do jego królewskiego pałacu i dwóch tysięcy czterystu jego mieszkańców.

Pałac królewski, którego budowę rozpoczął Franciszek I (nosi on jeszcze jego insygnia), a ukończył Henryk II (jego monogram, połączony z początkowymi literami Katarzyny Medycejskiej i otoczony trzema półksiężycami Diany de Poitiers, widnieje dotąd na murach) — po spełnieniu roli przystani miłosnej dla romansów rycerskiego króla z Madame d'Etampes oraz Ludwika Filipa Orleańskiego z piękną Madame de Montesson, stał od dnia jego zgonu prawie przez nikogo nie zamieszkały, aż wreszcie jego syn, Filip Orleański, zwany później „Egalite”, zdegradował tę królewską rezydencję do roli zwykłego pałacyku myśliwskiego.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że zarówno pałac jak i lasy w okolicy Villers-Cotterets stanowiły część apanaży darowanych przez Ludwika XIV jego bratu, zwanemu „Monsieur”, kiedy drugi syn Anny Austriaczki ożenił się z angielską siostrą Karola II, Madame Henriette.

Co się zaś tyczy owych dwóch tysięcy czterystu mieszkańców, o których przyrzekliśmy naszym czytelnikom powiedzieć coś niecoś, to — podobnie jak się zdarza w każdej innej miejscowości, gdzie się znajduje dwa tysiące czterysta ludzi — było to skupisko złożone, po pierwsze: z kilku arystokratów, którzy lato spędzali w okolicznych pałacach, a zimę — w Paryżu, i naśladując księcia, w miasteczku posiadali jedynie swoje *pied a terre*. Po drugie: z dość znacznej ilości mieszczan, których — niezależnie od tego, jaka była pogoda — widziało się wychodzących z ich domów z parasolem w ręce, udających się na odbycie zawsze tego samego, codziennego, poobiedniego spaceru wzdłuż szerokiej fosi oddzielającej park od lasu, a położonej o ćwierć mili od miasteczka. Zapewne z racji okrzyku, jaki na jej widok wyrывał się z piersi astmatyków, uradowanych, że oto bez zbytniego zmęczenia udało się odbyć tak długą drogę, owa fosa nosiła nazwę: „Haha!” Po trzeciej: ze sporej liczby rzemieślników, którzy pracowali cały tydzień i tylko w niedzielę mogli sobie pozwolić na spacer, dostępne każdego dnia ich rodakom bardziej przez losy uprzywilejowanym. I wreszcie po czwarte: z garstki nędzarzy, dla których nie istniała nawet niedziela, a którzy po przepracowaniu sześciu dni w tygodniu na służbie bądź u arystokratów, bądź u mieszczan, a nawet i u rzemieślników, siódmego dnia rozłazili się po lesie,

zbierając chrust, który burza — ów zniwiarz leśny — porozrzuciła na cienistym i wilgotnym poszyciu lasu, stanowiącego wspaniałą własność księżęcą.

Ba, gdyby Villers–Cotterets (Villerii ad Cotiam–Retioe) ku własnemu utrapieniu było miastem odgrywającym dość ważną rolę w dziejach, to skutek byłby ten, że archeologowie zajęliby się jego dziejami i przestudiowali jego koleje, gdy z wioski stało się ono mięsciną, z mięsciny — miastem (którym ostatecznie pozostało), gdyby — jak się rzekło wyżej — tak było, owi uczeni niezawodnie stwierdziliby, że wioszczyna wywodzi się z podwójnego szeregu domków, wybudowanych wzdłuż drogi wiodącej z Paryża do Sbissons, dodaliby również i to, że dzięki swemu położeniu na skraju pięknego lasu ludność miejscowa stopniowo pomnożyła się, że obok głównej i jedynej uliczki powstawały inne, rozchodząc się niczym promienie gwiazdy i zmierzając ku innym miejscowościom, na utrzymaniu łączności z którymi zapewne im zależało, wreszcie, że owe uliczki zbiegały się w pewnym punkcie, który naturalną koleją rzeczy stał się ośrodkiem osady. W miastach prowincjonalnych to miejsce nosi przeważnie nazwę „placu”, dokoła którego powstają najpiękniejsze domy późniejszej osady–miasteczka. Pośrodku takiego placu zazwyczaj znajduje się wodotrysk, ozdobiony czterokątnym zegarem słonecznym.

Ci sami historycy niezawodnie ustaliliby dokładną datę, kiedy obok skromnego kościółka, który stanowił nieodłączną część mięsciny, położono kamienie węgielne pod budowę rozległego zamku — ostatniej królewskiej zachcianki.

Ów zamek, będący, jak już o tym była mowa, kolejną rezydencją królewską i księżęcą, dziś zamienił się w utrzymywane przez prefekturę okręgu Sekwany ponure i obmierzłe przytulisko dla żebraków.

Jednak w owym czasie, kiedy rozpoczyna się niniejsza opowieść, sprawy królewskie, choć były już wprawdzie nieco zachwiane, jeszcze nie stoczyły się tak nisko jak obecnie, i chociaż pałac już nie był zamieszkiwany przez osobę księżęcego pochodzenia, nie miał jednak dotąd podobnych lokatorów — jakichś tam żebraków. Stał po prostu pusty, a jego jedynymi mieszkańcami byli ludzie potrzebni dla utrzymania w nim jakiegoś takiego ładu, a więc: dozorca, ekonom i kapelan. Toteż wszystkie okna tego ogromnego budynku, wychodzące bądź na park, bądź na wewnętrzny dziedziniec, który na arystokratyczną modłę nazywano „zamkowym”, były szczelnie pozamykane, co nadawało temu miejscu jeszcze smutniejszy i bardziej odludny charakter. Na skraju placu stał niewielki domek. Sądzę, że czytelnik pozwoli, bym mu poświęcił parę słów.

Był to domek, którego widoczne były — powiedzmy — jedynie plecy. Ale podobnie jak się to niekiedy przytrafia również u ludzi, owe plecy stanowiły najistotniejszą jego część. Front domku wychodził na ulicę de Soissons, jedną z pryncypialnych w tym mieście. Prowadziły na nią sklepione, niskie drzwi, zatrzaśnięte na głucho w ciągu co najmniej osiemnastu godzin na dobę. Natomiast od tyłu domek wyglądał zgoła przyjemnie i wesoło, a to dlatego, że po przeciwnej jego stronie znajdował się ogród, ponad parkanem którego widać było wierzchołki drzew owocowych: wiśni, jabłoni i śliw. Po obu stronach niewielkiej furtki, wychodzącej na plac i stanowiącej jednocześnie wejście do ogrodu, rosły dwie prastare akacje, które na wiosnę wyciągały swe ramiona ponad ów murek, jakby chcąc pachnącym kwieciami umaić wszystko, co się znajdowało pod ich gałęziami.

Był to domek należący do kapelana pałacowego, który odprawiając w zamkowej kaplicy, pomimo nieobecności gospodarza, codzienną mszę, jednocześnie utrzymywał niewielki zakład wychowawczy, któremu, dzięki jakimś szczególnym względom, przysługiwały dwa stypendia: jedno dla wychowanków liceum w Plessis, drugie — dla kleryków z seminarium w Soissons.

Nie ma potrzeby zaznaczać, że koszty związane z utrzymywaniem obu tych stypendiów ponosiła dynastia orleańska, przy czym fundatorem stypendium przeznaczonego dla

seminarzystów był syn regenta, a dla uczniów liceum — ojciec księcia. Uzyskanie jednej lub drugiej zapomogi było celem, do którego dążyli rodzice wychowanków, natomiast dla nich samych stanowiły one powód nie byle jakich utrapień, których źródłem było rozwiązywanie skomplikowanych ćwiczeń, co miało miejsce w czwartek każdego tygodnia.

Pewnego czwartku, a było to w lipcu 1789 roku, gdy dzień był dość pochmurny, zasepiony burzą przeciągającą z zachodu na wschód, owe dwie wspaniałe akacje, o których była mowa, zaczęły już tracić nieco ze swej dziewiczej i wiosennej szaty, a na ziemię spadły pierwsze pożółkłe na letnim skwarze liście. Po dłuższej chwili milczenia, zakłócanego jedynie szelestem rozdygotanych liści i świergotaniem jaskółki, przemykającej tuż nad ziemią w pogoni za muszką, na spiczastej miejskiej wieży krytej czerwoną dachówką rozległo się jedenaście uderzeń zegara.

Tuż za nimi, niczym okrzyk całego pułku ułanów, zabrzmiała donośnie; „Hura!” Wrzaskowi odpowiedział po chwili tupot, przypominający łoskot lawiny przewalającej się po skałach, a w ślad za tym furta pomiędzy akacjami rozwarła się, a właściwie mówiąc: rozpadła, po placyku zaś rozlał się wartki potok dziatwy, która rozdzieliwszy się na pięć lub sześć rozbrykanych i hałaśliwych gromadek jeła się bawić w różne gry.

Obok owych rozbawionych młodzików, obdarzonych przez okolicznych mieszkańców, których nieliczne okna wychodziły na placyk, epitetami „nicponiów”, a przyodzianych przeważnie w podarte porcięta i kurtki z powycieranymi na łokciach rękawami, widać było również i tych, których nazywano „wzorowymi” uczniami, a więc takich, co to zgodnie z opinią miejscowych kumoszek mogli stanowić dla ich rodziców przedmiot radości i dumy. Ci właśnie powolnym krokiem, nie mogącym ukryć pozerającego ich żalu, podążali z koszyczkami w rękach w stronę ojcowskich domów, gdzie czekały na nich pajdy chleba posmarowanego masłem i konfiturami, mające na celu wynagrodzić im przyjemność zabaw, z których owi „grzeczni” chłopcy musieli zrezygnować. Byli przeważnie poubierani w dość schludne kurtki i niemal nieposzlakowane spodnie, co — wraz z cechującym ich rozsądkiem — sprawiało, że owi młodzieńcy byli przedmiotem nie tylko pośmiewiska, lecz nawet nienawiści, okazywanej im przez gorzej odzianych i gorzej wychowanych kolegów.

Prócz tych dwóch odmian uczniów, z których jedną nazwaliśmy „nicponiami”, a drugą „wzorowymi”, istniała jeszcze jedna a mianowicie: „leniuchów”, którzy nigdy prawie nie wychodzili wraz z innymi, by pobawić się na pałacowym dziedzińcu lub grzecznie udać się do domów rodzicielskich — ten bowiem gatunek uczniów niemal zawsze odbywał karę i pozostawał w szkole po skończonych lekcjach. Rezultat był taki, że podczas gdy ich koledzy po odrobieniu zadanych lekcji mogli uprawiać różne gry lub objadać się grubo nasmarowanymi kromkami chleba, oni musieli ślęczeć na swych ławkach i odrabiać podczas przerw ćwiczenia i lekcje, których nie zdążyli skończyć w czasie zajęć szkolnych. Zdarzało się jednak, że popełnione przez nich wykroczenia pociągały za sobą wyższy wymiar kary, do czego służyła dyscyplina lub kańczug.

Gdyby chcąc wrócić do klasy pragnęło się odbyć drogę, którą przebywali uczniowie opuszczając szkołę, czyli mówiąc inaczej: gdyby się szło uliczką zrazu biegnącą wzdłuż owocowego ogrodu, a następnie wychodzącą na duży dziedziniec, na który wybiegała dziatwa szkolna podczas przerw pomiędzy lekcjami, można by było w tej samej chwili usłyszeć czyjś stentorowy głos rozbrzmiewający na schodach, a jednocześnie ujrzałoby się pewnego uczniaka, którego z całą bezstronnością zaliczyłoby się do owej trzeciej, „próżniaczej” kategorii. Chłopiec szybko zbiegał schodami wykonując plecami ruchy, jakie robią osły pragnące zrzucić ze swego grzbietu jeźdźca lub uczniacy pod wpływem spadających na nich dotkliwych razów dyscypliny.

— Ach, ty poganinie! Ty wyrodku! — wołał ów głos. — Ty gadzino, wynoś mi się! *Vade! Vade!* Przypomnij sobie, że w ciągu trzech lat potrafiłem się zdobyć na cierpliwość, ale samemu

Bogu Ojcu zabrakłoby jej dla takiego jak ty nieponia! Skończyło się! Dziś skończyło się i basta! Zabieraj swoje wiewiórki, swoje żaby, jaszczurki, jedwabniki i chrabąszcze, i — idź sobie do twojej ciotki, do twego stryja, jeżeli masz takiego, idź, gdzie chcesz, bodaj do diabła, byłem cię więcej nie oglądał! *Vade! Vade!*...

— O! Drogi ojczulku Fortier, niech mi ojculek daruje! — odpowiedział mu na schodach błagalny głosik. — Czy to warto tak bardzo się gniewać z powodu jednego marnego błędu gramatycznego i paru byków, które pan profesor nazywa solecyzmami?

— Co? Trzy błędy gramatyczne i siedem solecyzmów w wypracowaniu, które ma zaledwie dwadzieścia pięć wierszy! — odparł wciąż jeszcze srodze rozsierdzony głos.

— To prawda, proszę ojczulka, tak mi się dziś przytrafiło, ale czwartek to feralny dzień dla mnie... A jeżeli przypadkiem moje jutrzejsze wypracowanie będzie zrobione bez błędu, czy mi ojculek nie daruje dzisiejszej winy? No, niech mi ojculek powie...

— Od trzech lat, ilekroć mamy dzień przeznaczony na wypracowania, powtarzasz mi, leniuchu jeden, wciąż to samo! Egzamin jest wyznaczony na pierwszego listopada. Tymczasem ja, ulegając prośbom twojej ciotki Angeliki, wpisałem ciebie jako kandydata na wakujące stypendium do seminarium w Soissons — i co? Jakież to będzie wstyd dla mnie, kiedy mojego ucznia spotka odmowa i będę musiał wysłuchiwać, jak wszyscy dokoła będą mówili: „Anioł Pitou — to, osioł! *Angelus Pitovius asinus est!*”

Wypada w tym miejscu czym prędzej poinformować łaskawego czytelnika, że bohaterem tej oto opowieści jest ów Anioł Pitou, którego imię tak zabawnie przetłumaczył na łacinę proboszcz „Fortier.

— Drogi ojczulku, kochany mistrzu! — zawołał zrozpaczony wychowanek.

— Co takiego? Ja miałbym być twoim mistrzem? — odparł proboszcz głęboko urażony podobnym tytułem. — Chwalić Pana Boga, nie jestem już twoim nauczycielem, a ty — moim uczniem. Wyrzekam się ciebie, nie znam cię i nie chcę nigdy więcej widzieć. Zabraniam ci wymieniać moje nazwisko, a nawet kłaniać mi się! *Retro!* Nieszczęsny, *retro!*

— Ależ ojczulku! — upierał się biedaczysko Pitou, któremu najwidoczniej ogromnie zależało na tym, by udobruchać proboszcza. — Drogi ojczulku! Błagam, niechże mi ojculek nie odmawia swojej opieki dla jakiegoś tam marnego błędu!...

— Co? — zawołał proboszcz wyprowadzony z równowagi tą ostatnią prośbą, przy czym zszedł w dół cztery stopnie, podczas gdy Pitou jednocześnie wycofywał się z ostatnich czterech stopni i był już właściwie na dziedzińcu.

— Będziesz mi tu jeszcze mędrkował, a tymczasem nie potrafisz napisać wypracowania! Liczysz na moją cierpliwość, a nie umiesz nawet rozróżnić przypadków!

— Drogi ojczulku! Ojculek był zawsze taki dobry dla mnie — odrzekł sprawca największych byków gramatycznych. — Wystarczy jeżeli ojculek powie tylko jedno słówko Jego Eminencji biskupowi, który mnie będzie egzaminował...

— Nieszczęsny! Chciałbyś, abym zadawał kłam memu własnemu sumieniu!

— Nasz dobry Pan Bóg wybaczyłby ojculkowi, gdy chodzi o zrobienie dobrego uczynku...

— Nigdy! Przenigdy!

— A zresztą, któż to może wiedzieć? Może egzaminujący nie będą dla mnie bardziej surowi, niż byli ubiegłego roku dla mego mlecznego brata, Sebastiana Gilberta, co to się ubiegał o stypendium Paryża? Ten ci dopiero robił byki gramatyczne, a przecież miał dopiero trzynaście lat, a ja już mam siedemnaście...

— Cóż to za nonsens! — zawołał proboszcz, schodząc na dół pozostałymi schodkami i ukazując się z kolei na dziedzińcu z dyscypliną w ręce, wówczas gdy Pitou uważał raczej za rozsądniejsze trzymać się w pewnej odległości od swego nauczyciela.

— Nonsens! — powtórzył proboszcz rozkładając ręce i z oburzeniem spoglądając na swego ucznia. — Oto nagroda za moje lekcje dialektyki! Ośle jeden! To ty tak pamiętasz niezłomne prawo, które głosi: *Noti minora, loqui maiora volens!* Ależ to właśnie dlatego, że Gilbert był młodszy od siebie, miało się więcej pobłażliwości dla czternastoletniego chłopca, aniżeli dla takiego osiemnastoletniego bęcwała jak ty!

— Tak, ale jeszcze i dlatego, że on jest synem pana Honoriusza Gilberta, któremu sama posiadłość w Pisseleux przynosi osiemnaście tysięcy franków dochodu — odrzekł żałośnie niefortunny zwolennik logicznego rozumowania.

Ksiądz Fortier spojrział na Pitou wydymając wargi i marszcząc brwi.

— To już nieco mniej głupie! — odburknął po chwili milczenia i przyjrzeniu się swemu pupilowi. — Jest to wszakże jedynie niczym nieuzasadnione przypuszczenie. *Species, non autem corpus!*

— Ba! Żebym to ja był synem kogoś takiego, co ma dziesięć tysięcy renty! — powtórzył Pitou, który zdołał stwierdzić, że jego odpowiedź zrobiła pewne wrażenie na profesorze.

— Cóż z tego, kiedy nim nie jesteś! Natomiast jesteś nieukiem jak ów prostak, o którym powiada Juvenalis. Bezbożny to, co prawda, cytat, ale słuszny! — dodał proboszcz czyniąc znak krzyża. — *Arcadius iuvenis!* Gotów jestem się założyć, że ty nawet nie wiesz, co to znaczy *arcadius...*

— A właśnie, że wiem: mieszkaniec Arkadii! — odrzekł dumny z siebie Pitou.

— I co dalej?

— Co ma być dalej?

— Arkadia była krajem osłów i zarówno u ludów starożytnych, jak i u nas, *asinus* znaczy tyleż co *stultus*.

— Miałem co innego na myśli — powiedział Pitou — zwłaszcza że nigdy bym nie przypuszczał, aby człowiek obdarzony tak statecznym umysłem, jak mój profesor, zechciał się zniżyć aż do satyry.

Ksiądz Fortier przyjrzał mu się po raz drugi z nie mniejszą uwagą niż za pierwszym razem.

— Tam do licha! — burknął nieco już udobruchany pochlebstwem swego wychowanka. — Chwilami można by sądzić, że ten bęcwał nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

— A więc, ojczulku — powiedział Pitou, który wprawdzie nie dosłyszał słów swego mistrza, ale dostrzegł na jego twarzy przychylniejszy dla siebie wyraz — proszę mi darować, a zobaczy ojczułek, jakie piękne wypracowanie napiszę jutro.

— Ano dobrze, zgadzam się! — odparł proboszcz wsadzając na znak rozejmu za pas dyscyplinę i podchodząc do Pitou, który zaufał pokojowym zamiarom swego mistrza i tym razem nie ruszył się z miejsca.

— O, dziękuję, dziękuję! — zawołał Pitou.

— Hola! Zaczekaj i nie dziękuj za prędko... Owszem, przebaczę ci, ale pod jednym warunkiem.

Pitou opuścił głowę i czekał ze zrezygnowaniem zdany na widzimisię proboszcza.

— Masz mi bez błędu odpowiedzieć na pytanie, które ci zadam.

— Po łacinie? — zapytał zaniepokojony uczeń.

— Po łacinie! — odparł nauczyciel.

Pitou westchnął głęboko. Zapadła chwila milczenia, podczas której do uszu Pitou dobiegły wesole okrzyki jego kolegów, bawiących się na pałacowym dziedzińcu. Chłopak westchnął po raz drugi, jeszcze smutniej niż poprzednio.

— *Quid virtus? Quid religio?* — zapytał proboszcz. Słowa wypowiedziane z profesorską powagą zabrzmiały w uszach nieszczęsnego Pitou niczym fanfara archaniołów wzywająca na Sąd

Ostateczny. Oczy przesłoniła mu jakaś chmura, a jego umysł wysilił się do tego stopnia, że chłopiec naraz zrozumiał, co to znaczy, kiedy się mówi, że ktoś nagle postradał rozum. Cały ten niezwykle wysiłek mózgowy okazał się jednak daremny, żądana odpowiedź nie nadchodziła. Natomiast Pitou usłyszał, jak jego bezlitosny egzaminator długo i z hałasem wciągał do nosa potężny niuch tabaki.

Pitou zdał sobie sprawę, że trzeba wreszcie z tym skończyć.

— *Nescio!* — odrzekł licząc na to, że nieuctwo zostanie mu darowane, skoro je wyzna po łacinie.

— Nie wiesz, co to cnota? — zawołał księżulo, przy czym aż go zatkało z wściekłości. — Nie wiesz, co to religia?

— Wiem, ale tylko po francusku — odpowiedział Pitou — nie wiem, jak to jest po łacinie.

— W takim razie marsz, smyku, do Arkadii! Wszystko między nami skończone, gamoniu!

Pitou był tak zdruzgotany, że nawet nie zrobił kroku, by się ulotnić, chociaż proboszcz Fortier sięgnął za pas po dyscyplinę ruchem nacechowanym taką godnością, jak gdyby był wodzem, który w chwili rozpoczęcia bitwy dobywa swego pałasza z pochwy.

— I co ja teraz pocznę? — zawołał biedny chłopiec bezsilnie opuszczając ręce. — Co się ze mną stanie, jeżeli stracę nadzieję dostania się do seminarium?

— A rób, co ci się podoba, nic mnie to nie obchodzi! Zaczny proboszcz był tak rozgniewany, że już prawie gotów był miotać przekleństwa.

— Przecież moja ciotka jest przekonana, że już niedługo zostanę księdzem.

— Nic nie szkodzi! Dowie się, że nie potrafisz być nawet zakrystianem...

— Ależ drogi ojczulku!

— Powiedziałem: masz się wynosić! *Limina linguae!*

— Ha! W takim razie dobrze! — odrzekł Pitou tonem człowieka, który wreszcie powziął decyzję, choć mu ona sprawia niemały ból.

— Czy mogę zabrać ze sobą mój pulpit? — zapytał Pitou, licząc skrycie na to, że może uczucie litości znajdzie jeszcze dostęp do serca księdza Fortiera.

— Owszem. Możesz go sobie zabrać wraz ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Pitou w przygnębieniu szedł w górę po schodach (jego klasa mieściła się na pierwszym piętrze). Wszedł do sali, gdzie około czterdziestu uczniów, udając, że są czymś zajęci, zgromadziło się dokoła dużej tablicy. Pitou ostrożnie podniósł wieko swego pulpitu, sprawdził, czy wszystkie należące do niego utensylia szkolne są na miejscu, poskładał je starannie, co doskonale świadczyło o jego schludności, po czym powolnym i równym krokiem, ruszył wzdłuż korytarza.

Na górze przy stopniach stał ksiądz Fortier i wyciągniętą ręką, w której tkwiła dyscyplina, wskazywał na schody.

Trzeba się było jednak jakoś wydobyć z tej matni. Wobec tego Pitou skulił się, ile tylko się dało. Nie uchroniło go to jednak przed tym, że po drodze został porządnie zdzielony, owym przyrządem, któremu ksiądz Fortier zawdzięczał w niemałym stopniu postępy swych najlepszych pupilów, a który tak często, choć — jak mogliśmy to stwierdzić — z dość mizernym rezultatem, gościł na plecach naszego bohatera, Anioła Pitou.

Skorzystajmy więc z tego, że wspomniany Pitou, ocierając ostatnie łzy, maszeruje ze swym pulpitem na głowie w stronę Pleux, gdzie mieszkała jego ciotka, by w paru bodaj słowach opisać jego wygląd zewnętrzny i coś niecoś powiedzieć o jego życiu.

II

CIOTKA NIE ZAWSZE POTRAFI BYĆ MATKĄ

Ludwik Anioł Pitou, jak to sam wyznał w rozmowie prowadzonej z proboszczem Fortierem, liczył sobie w owym czasie siedemnaście i pół latek. Był to dość wysoki i szczupły wyrostek, o rudawych włosach, rumianych policzkach i jasnobłękitnych oczach. Na jego szerokich ustach kwitła młodość pełna świeżości i niewinności, a spoza grubych i niekiedy ponad miarę rozchylonych warg wyzierały dwa rzędy zdrowych, dużych zębów, zwłaszcza widocznych dla tych, którzy zasiadali z nim do wspólnego stołu. Po obu stronach krępego tułowia zwisały duże łapska, nogi miał z lekka pałakowate, kolana wielkie, niczym dziecięce głowy, niemal rozsadały wąskie, czarne spodnie. Ogromne stopy były obute w obszerne trzewiki z surowej skóry, już zrudziałe od ciągłego noszenia. Wygląd zewnętrzny byłego pupila księdza Fortiera uzupełniało wreszcie coś w rodzaju kamizelki z brunatnego perkalu, widocznej pomiędzy koszulą a kurtką.

Pozostaje nam jeszcze dodać coś niecoś o duchowym obliczu bohatera niniejszej opowieści.

Anioł Pitou został zupełnym sierotą mając dwanaście lat. Zły los sprawił, że stracił wówczas matkę, której był jedynym synem. Należy to rozumieć w ten sposób, że od czasu śmierci ojca, co miało miejsce, kiedy chłopiec niewiele jeszcze rozumiał z tego, co się dokoła niego dzieje, Anioł Pitou, bezgranicznie ubóstwiany przez nieszczęśliwą kobietę, robił, co mu się żywnie podobało. Wpłynęło to co prawda dodatnio na jego rozwój fizyczny, jednak odbiło się fatalnie na rozwoju duchowym.

Przyszedłszy na świat w prześlicznej wiosce Haramont, położonej o milę od miasta, wśród lasów, chłopiec właśnie do nich skierował swe pierwsze kroki, dokonując wszelakich odkryć i czyniąc pierwszy użytek z wrodzonych zdolności prowadzenia — wojny ze zwierzyną leśną. Wynikiem tej nieco jednostronnie ćwiczonej inteligencji było to, że mając zaledwie dziesięć lat Pitou był już wytrawnym kłusownikiem, pierwszorzędnym łowcą ptaków, przy czym te umiejętności zdobył bez wysiłku, przeważnie jako samouk, zawdzięczając je wyłącznie instynktowi stanowiącemu nieodłączne właściwości, jakimi przyroda obdarza ludzi urodzonych w lesie, a którymi odznaczają się zwierzęta.

Toteż żadna zajęcza czy królicza kryjówka nie była mu obca. Żadne — w zasięgu trzech mil — źródło, w którym ptaki gasiły swe pragnienie, nie uszło jego uwagi, a wszędzie na okolicznych drzewach, nadających się na zastawianie sideł, można było znaleźć ślady jego kozika. Dzięki tym ustawicznym a różnorodnym ćwiczeniom, Pitou wyróżniał się pomiędzy swymi rówieśnikami niezwykłą siłą fizyczną.

Dzięki zaś długim ramionom i krzepkim kolanom, które mu pozwalały objąć nawet najgrubsze konary, Pitou wdrapywał się na drzewa, by wybierać jak najwyżej wiszące gniazda, ze zręcznością i wprawą budzącą podziw wszystkich kolegów, co w szerokości geograficznej bardziej zbliżonej do równika niezawodnie zaskarbiłoby mu również uznanie małą.

Koledzy Pitou za pomocą sideł posługiwali się przy tych łowach bądź prawdziwą sówką, bądź też jakąś szczególną trawką, która pomagała, lepiej czy gorzej, naśladować kwilenie takiej czy innej ptaszyny. Pitou natomiast gardził wszystkimi tymi przygotowaniami i oszukańczymi sposobami. Walczył posługując się własnymi umiejętnościami, zwabiając do zasadzki uczciwymi środkami. Potrafił własnymi ustami tak zręcznie naśladować wrzaskliwe i nie zawsze miłe dla ucha dźwięki, że zwabiały one nie tylko obce ptaki, ale nawet należące do tego samego gatunku. Tak dalece były ludzkie.

O ile zaś chodzi o polowania na moczarach, stanowiły one dla Pitou zaiste dziecinną igraszkę. Byłby je sobie nawet lekcewazył, gdyby nie to, że się bardzo opłacały, a chociaż czuł pewną

pogardę dla tego rodzaju łatwych polowań, jednak żaden spośród najbardziej doświadczonych myśliwych nie potrafił tak szczelnie jak on nakryć zbyt dużej kałuży paprocią, żaden nie umiał nacylić wysmarowanych lepem nitek tak sprytnie jak Pitou.

Żaden wreszcie z jego kompanów nie miał tak pewnej ręki, tak nieomylnego oka, co było przecież niezbędne przy preparowaniu z nierównych cząstek żywicy, oliwy i kleju takiego lepu, który nie byłby ani zanadto rozcieńczony, ani zbyt gęsty.

Wobec tego, że szacunek, jaki się zdobywa u ludzi, zależny jest w równej mierze od sceny, na której są wystawione na pokaz czyjeś zalety, jak i od widzów, którym się je demonstruje, nic dziwnego, że Pitou w swojej wiosce Haramont cieszył się dużym uznaniem u rówieśników, a więc u ludzi przywykłych do czerpania z otaczającej ich natury co najmniej połowy środków do utrzymania i — jak wszyscy wieśniacy — odczuwających instynktowną odrazę do cywilizacji.

Tymczasem biedna matka chłopca nawet na chwilę nie podejrzewała, by jej syn mógł kroczyć niewłaściwą drogą i — dzięki szczególnym przywilejom — nie korzystać za darmo z dobrodziejstw wykształcenia, które mogło być dostępne jedynie za grube pieniądze.

Gdy jednak ta poczciwa kobieta zachorowała i poczuła, że zbliża się śmierć, kiedy uprzytomniła sobie, że zostawia na tym świecie swoje dziecko samotne i opuszczone, ogarnęło ją zwątpienie i poczęła szukać jakiejś pomocy dla przyszej sieroty.

Wtedy przypomniała sobie, jak przed dziesięciu laty do jej drzwi zapukał wśród nocy pewien młody człowiek, przynosząc nowonarodzone niemowlę i nie tylko zostawił jej dość znaczną sumę pieniędzy, lecz ponadto zdeponował u rejenta w Villers-Cotterets inną, jeszcze bardziej pokaźną kwotę. Z początku o tym tajemniczym młodzieńcu wiedziała tylko tyle, że na imię było mu Gilbert. Minęło tymczasem kilka lat i oto ujrzała go ponownie: tym razem był to dwudziestosiedmioletni mężczyzna, o nieco oschłym zachowaniu, wyniosłym sposobie mówienia i zimnym obejściu. Ale powłoka lodowa rychło stopniała, gdy przybyły zobaczył swe dziecko. Toteż ujrawszy, że chłopiec jest piękny, silny i roześmiany, że wychowany został tak, jak sobie tego życzył, czyli na łonie przyrody, przybyły uściśnął rękę poczciwej kobieciny, wyrzekłszy te jedynie słowa:

— W razie potrzeby proszę liczyć na mnie.

Po czym zabrał ze sobą chłopca, zapytał o drogę wiodącą do Ermenonville, odbył wraz ze swym synem pielgrzymkę do grobu Rousseau i powrócił do Villers-Cotterets. Zachęcony zapewne zdrowym powietrzem, jakim się tu oddychało, oraz pochwałami, jakie wobec niego wygłosił rejent na temat szkoły prowadzonej przez proboszcza Fortiera, przybyły pozostawił chłopca u tego zacnego człowieka, w którym nade wszystko wysoko cenił wygląd godny filozofa. Trzeba bowiem wiedzieć, że w owych czasach filozofia była tak wielką potęgą, że można ją było znaleźć nawet wśród ludzi stanu duchownego.

Następnie wyjechał do Paryża, pozostawiając proboszczowi Fortierowi swój adres.

Matce Pitou znane były wszystkie te szczegóły. W godzinie śmierci przypomniała sobie owe słowa: „W razie potrzeby proszę liczyć na mnie”. Przyszły one niczym olśnieniem. Niezawodnie sama Opatrzność sprawiła, że biedny Pitou mógł zyskać więcej, aniżeli tracił. Nie umiejąc pisać poprosiła miejscowego księdza, by zechciał przyjść do niej. Ksiądz wystosował list do Gilberta, jeszcze tego samego dnia wysłany pod adresem proboszcza Fortiera, który go czym prędzej preadresował i wysłał pocztą.

Stało się to w samą porę, gdyż następnego dnia kobieta wyzionęła ducha.

Pitou był jeszcze zbyt młody, by odczuć cały ogrom straty, jaka go spotkała. Oplakiwał co prawda swą matkę, nie dlatego jednak, by rozumiał wieczną rozłąkę, jaką oznaczała jej mogiła, lecz po prostu dlatego, że widział przed sobą matkę zimną, bladą i zmienioną. Poza tym biedne dziecko instynktownie wyczuło, że oto odleciał z tego domu jego anioł opiekuńczy, że odtąd dom

będzie osierocony, nie zamieszkanym. Chłopiec nie tylko nie wiedział, jaka przyszłość go czeka, ale nawet nie był pewny jutrzejszego dnia. Kiedy więc odprowadził swą matkę na cmentarz, a na trumnę spadły pierwsze grudki ziemi, które wkrótce utworzyły świeżo usypany pagórek, Pitou usiadł na nim, odpowiadając na wszystkie skierowane do niego wezwania opuszczenia cmentarza przeczącym ruchem głowy, dodając przy tym, że skoro nigdy dotąd nie opuszczał swej matki, pragnie również i teraz pozostać przy niej.

Chłopiec resztę dnia i całą noc przesiedział na mogile.

Tam właśnie odnalazł go przezacny doktor (chyba wspomnieliśmy już o tym, że przyszłym opiekunem chłopca miał zostać pewien doktor?), który zdając sobie sprawę z powagi obowiązku, jaki spadł na niego w wyniku złożonej obietnicy, sam przybył na miejsce, by po upływie zaledwie czterdziestu ośmiu godzin od chwili otrzymania listu wykonać to, co do niego należało.

Chłopiec był jeszcze bardzo młody, kiedy po raz pierwszy zobaczył doktora, ale, jak wiadomo, wrażenia odniesione za młodu na zawsze pozostają w pamięci, ponadto krótkotrwała wizyta owego tajemniczego młodego człowieka wycisnęła już swe ślady w jego sercu.

Jak już o tym była mowa, ów człowiek zostawił w tym domu dziecko, a wraz z nim i dobrobyt, toteż ilekroć chłopiec słyszał wymawiane przez matkę imię Gilberta, wywoływało to w nim uczucie bliskie adoracji, a wreszcie, kiedy młody człowiek sam zjawił się w ich domu już jako osoba stateczna i obdarzona tytułem doktora, i do dawnych dobrodziejstw dołączył obietnice na przyszłość, Pitou uznał, że nie tylko jego matka, ale i on sam winien okazać mu swą wdzięczność. Nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, chłopiec wykrztusił parę słów, które miały świadczyć o tym, że nigdy nie zapomni, że na zawsze zachowa wdzięczność. Były to słowa często wypowiedane przez jego matkę.

Gdy spostrzegł więc przez furkę cmentarną doktora, zmierzającego ku niemu pomiędzy mogiłami porośniętą darnią, z przewróconymi krzyżami, zaraz go poznał, podniósł się i ruszył na jego spotkanie. Chłopiec rozumiał, że nie może odpowiedzieć odmownie — jak to uczynił wobec innych — człowiekowi, który przybywa wezwany przez jego matkę. Nie stawiał więc już żadnego oporu, kiedy Gilbert wziął go za rękę, obejrzał się jedynie za siebie i splakany pozwolił się wyprowadzić poza obręb cmentarza.

Przed bramą cmentarną stał wytworny powozik. Doktor umieścił w nim biednego chłopca i pozostawiając chwilowo dom na łasce losu, zawiózł swego pupila do miasta i wraz z nim zatrzymał się w najlepszym zajeździe, który w owych czasach nosił nazwę „Pod Następcą Tronu”, Natychmiast po przybyciu doktor posłał po krawca, który był już z góry uprzedzony i zjawił się z kilkoma gotowymi ubraniami.

Doktor przezornie wybrał dla Pitou odzienie wprawdzie nieco za duże, ale zważywszy, że chłopiec rósł dość szybko, można było być pewnym, że i ono również nie wystarczy na długo. Następnie Gilbert udał się wraz z chłopcem do dzielnicy miasta, o której już mieliśmy sposobność nadmienić, iż nazywała się Pleux.

W miarę zbliżania się do niej Pitou zwalniał kroku, stało się bowiem dla niego rzeczą aż nadto oczywistą, że się go prowadzi do jego ciotki Angeliki. Otóż pomimo iż nieszczęśliwy sierota widywał dość rzadko swą ciotkę, która jednocześnie była jego chrzestną matką i której miał do zawdzięczenia nad wyraz poetyczne, otrzymane na chrzcie imię: *Ange*, czyli „Anioł”, wspomnienie, jakie zachował o tej wielce szanownej osobie, było wręcz okropne.

W samej bowiem rzeczy ciotunia Angelika nie miała w sobie nic pociągającego dla dziecka, które — jak Pitou — było przyzwyczajone do tkliwych, matczyńskich pieszczot. Ciotka Angelika była już w owym czasie starą panną, liczącą blisko pięćdziesiąt pięć lat, całkowicie otepiałą z powodu nadmiernej skrupulatności w uprawianiu wszelakich praktyk religijnych, z której opacznie rozumiana pobożność wytepiła wszelką tkliwość, wszelkie miłosierdzie oraz inne

ludzkie uczucia, zastępując je przyrodzonym skąpstwem, wzmagającym się z dnia na dzień w ciągłym obcowaniu z miejscowymi bigotkami.

Właściwie mówiąc, jałmużna nie była jedynym środkiem jej utrzymania. Sprzedaż lnu, który przędła na kołowrotku i wynajmowanie krzesłek w kościele; na co posiadała specjalne zezwolenie, dawało jej resztę. Prócz tego ciotka otrzymywała od czasu do czasu od niektórych pobożnych duszyczek, dających się wziąć na lep jej bigoterii, niewielkie kwoty pieniężne, przeważnie w miedziakach, które z kolei zamieniały się w srebrne monety, a następnie w złoto. Nikt ich nie widział, nikt się nawet nie domyślał ich istnienia, a tymczasem znikwały one w jednej z poduszek fotela, na którym ciotka Angelika zwykła przesiadywać.

Złote ludwiki raz trafiając do owej skrytki, w której odnajdywały sporą ilość w ten sam sposób uzbieranych współtowarzyszy, dzieliły ich los, a wycofane od tej chwili z obiegu czekały, aż nadejdzie dzień, kiedy ktoś zgoła nieznany lub też śmierć starej panny przekażą je do rąk jej spadkobiercy.

Otóż do mieszkania tej właśnie zacnej krewniaczki zmierzał doktor Gilbert, ciągnąc za rękę dryblasza Pitou. Trzeba bowiem dodać, iż począwszy od trzeciego roku życia chłopak rósł tak szybko, że zawsze wydawał się za duży jak: na swoje lata.

Panna Róża Angelika Pitou była w wyśmienitym humorze, kiedy drzwi jej mieszkania rozwarły się przed jej krewniakiem i doktorem. W tym samym bowiem czasie kiedy w kościółku w Haramont odprawiano żałobną mszę nad zwłokami jej bratowej,, w kościele w Villers–Cotterets odbywały się śluby i chrzciny, co podniosło dochód dzienny z wynajmu krzesłek aż do sześciu franków.

Panna Angelika nie omieszkała zamienić miedziaków na grubszą monetę, która z kolei została przyłączona do trzech innych, uzbieranych w nieco wcześniejszym czasie srebrnych monet, co razem zliczywszy stanowiło, już jednego złotego ludwika. Wspomniany „ludwiczek” spotkał się z innymi a dzień, w którym miało miejsce tego rodzaju wydarzenie, był, rzecz oczywista, dla panny Angeliki dniem prawdziwego świata.

Doktor i Pitou weszli do pokoju w tej samej chwili, kiedy panna Angelika po otwarciu drzwi, zazwyczaj zamykanych podczas podobnej operacji, po raz ostatni obchodziła swój fotel, by się przekonać, że nic nie zdradzało ukrytego w nim skarbu. Scena, która się odbyła, mogła nawet uchodzić za rozczulającą, ale dla doktora, będącego doskonałym obserwatorem, nosiła raczej dość pocieszny charakter. Na widok chłopca stara dewotka zaczęła opowiadać o swojej biednej bratowej, którą tak bardzo kochała, przy czym udała, że ociera łzy z oczu. Natomiast doktor, pragnąc przed powzięciem decyzji jak najgłębiej zajrzeć do serca starej panny, począł wygłaszać do niej kazanie na temat obowiązków, jakie spoczywają na ciotkach wobec siostrzeńców. W miarę jednak tego, jak się ta oracja rozwijała, a z ust doktora spływały słowa pełne namaszczenia, łza w oku starej panny zdążyła już wyschnąć, rysy jej twarzy znów przybrały pergaminową oschłość, lewa ręka uniosła się na wysokość spłaszczonego podbródka, podczas gdy prawa ręka zaczęła na palcach obliczać przypuszczalną ilość miedziaków, jaką może przynieść roczny wynajem krzesłek.

Przypadek sprawił, że owe obliczenia skończyły się w tej samej chwili, co przemowa, i dlatego stara panna mogła bez namysłu odpowiedzieć, że nie bacząc na uczucie miłości dla biednej bratowej i ogromne zainteresowanie, jakie w niej budzi los jej drogiego bratanka, szczupłość jej zarobków — mimo podwójnej roli ciotki i chrzestnej matki — nie pozwala jednak na jakiegokolwiek zwiększenie wydatków, związanych z przyszłością biednej sieroty.

Prawdą powiedziawszy, doktor liczył się z możliwością odmowy, toteż nie zdziwiła go ona bynajmniej. Był zapalonym zwolennikiem nowych idei, a wobec tego, że pierwszy tom dzieła Lavatera już się ukazał, więc posługując się psychofizjonomiczną teorią filozofa z Zurychu,

Gilbert zastosował ją do wysuszonego i żółtego oblicza panny Angeliki. W rezultacie zobaczył niewielkie, płonące oczy starej panny, jej długi nos i wąskie wargi, składające się na połączenie w jednej osobie zarówno chciwości, jak sobkostwa i obłudy.

A więc — jak już o tym była mowa — doktor nie był zaskoczony odmową, jako baczny obserwator pragnął jednak zobaczyć, jak bujnie rozkwitły wszystkie owe obrzydliwe cechy w tej starej pannie.

— Ależ panno Angeliko, Anioł Pitou jest ubogim sierotą i synem pani brata!

— Tak! Ale zechce pan, panie doktorze, liczyć się z tym, że to podnosi — najskromniej licząc — koszty dzienne przynajmniej o sześć su, bo przecież taki gamoń spalażuje co najmniej funt chleba dziennie.

Pitou skrzywił się nieco, bowiem na samo śniadanie zjadał zazwyczaj półtora funta.

— Nie licząc mydła na opierunek — dodała — bo sobie przypominam, jaki okropny z niego brudas.

To prawda, że Pitou szybko brudził wszystko na sobie, ale jest to całkiem zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę tryb życia, jaki prowadził. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że darł na sobie wszystko jeszcze szybciej, niż brudził.

— A to brzydko z pani strony, panno Angeliko, wdawać się w takie rozrachunki, gdy chodzi o pani bratanka i chrześniaka! I pani, taka pobożna i miłosierna osoba, robi coś podobnego.

— Już nawet nie liczę tego, co będzie kosztowało utrzymanie w porządku jego odzieży! — zawołała naraz stara dewotka, przypomniawszy sobie, że nieraz widywała, jak jej bratowa Magdalena łątała kurtki i porcięta swojego syna.

— A więc — odparł doktor — odmawia pani przyjęcia do siebie swego bratanka... W takim razie biedny sierota, odepchnięty od progu swej ciotki, będzie musiał szukać przytułku u obcych.

Pomimo całego swego skąpstwa panna Angelika zrozumiała, jak wiele niechęci spadłoby na nią, gdyby jej bratanek był zmuszony do takiej ewentualności.

— Nie! — odrzekła. — Biorę to na siebie!

— O, to rozumiem — odpowiedział doktor ucieszony tym, że jednak udało mu się odnaleźć jakieś ludzkie uczucia w sercu, które uważał za zupełnie wystygłe.

— Tak — mówiła dalej stara panna — oddam go do braci augustynów w Bourg — Fontaine. Wstąpi do nich jako braciszek służebny.

Doktor, jak już o tym była mowa, uważał się za filozofa, a czytelnik zapewne wie, jaką cenę w owych czasach posiadało słowo „filozof”. Doktor Gilbert był więc zdecydowany niezwłocznie pozbawić braci augustynów zwerbowanej owieczki, przy czym uczynił to z takim samym zapalem, jaki niewątpliwie okazywaliby ze swojej strony ciż sami braciszkanie, chcąc ją wyrwać ze szponów filozofów.

— Ha! Trudno! — rzekł doktor zatapiając rękę w bezdennej kieszeni swego surduta. — Liczę się z tym, droga panno Angeliko, że znajduje się pani w ciężkich warunkach i jest zmuszona z powodu braku środków oddać swego bratanka na łaskawy chleb do obcych. Wobec tego postaram się sam znaleźć jakąś osobę, która mogłaby bardziej praktycznie od pani zużytkować pewną kwotę pieniężną, przeznaczoną przeze mnie na utrzymanie tego biednego sieroty. Sam muszę wrócić do Ameryki, wobec tego przed wyjazdem oddam pani bratanka do terminu u jakiegoś stolarza lub stelmacha. Zresztą, niech on sam obierze sobie zawód. Chłopiec podrośnie podczas mojej nieobecności, będzie miał fach w ręku — wtedy zobaczę, co się da jeszcze dla niego zrobić. No cóż, biedna dziecino — mówił dalej doktor — idź, uściśnij twoją ciotunię, musimy już odejść.

Doktor nie zdążył jeszcze dokończyć tego zdania, kiedy Pitou, z wyciągniętymi przed siebie długimi ramionami, podbiegł do czcigodnej panny Angeliki. Właściwie mówiąc, śpieszno mu

było jak najprędzej uściskać swoją ciotkę, wszakże pod warunkiem, że ten pocałunek będzie oznaczał wieczne rozstanie.

Jednak owe słowa „kwota pieniężna” oraz towarzyszący im ruch ręki doktora, sięgającej do kieszeni, zarówno jak pobrzękiwanie srebrnych monet, których, sądząc z nasilenia dźwięków, musiało tam być niemało, sprawiły, że stara panna poczuła, jak gorąca fala chciwości sięgnęła jej do samego serca.

— Ach — rzekła — drogi doktorze, pan chyba wie o tym najlepiej...

— O czym?

— Mój Boże! O tym, że nikt na świecie nie kocha bardziej ode mnie tej biednej sierotki!

Rozwarłszy swe wychudłe ramiona na spotkanie wyciągniętych ramion Pitou, stara panna złożyła na każdym z jego policzków pocałunek tak kwaśny, że chłopczyńkę przeszedł dreszcz od stóp aż po korzonki włosów na głowie.

— Ależ oczywiście — powiedział doktor — doskonale o tym wiem. Nie wątpię ani na chwilę o przyjaźni, jaką ma pani dla niego i właśnie dlatego od razu przyprowadziłem go do pani, jako do jego najbliższej opiekunki, ale to, co mi pani powiedziała, droga panno Angeliko, utwierdza mnie w przekonaniu, że chociaż pani ma najlepsze chęci, sam widzę, że właśnie ubóstwo nie pozwala jej przyjść z pomocą komuś, kto jest jeszcze biedniejszy.

— Ach, drogi panie doktorze! — odparła stara dewotka. — A czyż nie ma w niebie dobrego Pana Boga i czy nie żywi on stamtąd wszystkich, których stworzył?

— Tak, to prawda — odpowiedział doktor Gilbert — ale karmiąc ptaszęta dobry Bóg nie oddaje do terminu sierot, a to właśnie trzeba będzie zrobić dla biednego sieroty, co przy pani skromnych środkach będzie, niestety, dla niej niewątpliwie zbyt kosztowne...

— Ale gdyby pan doktor dołożył tę kwotę...

— Jaką kwotę?

— Tę, o której pan doktor mówił, a którą ma pan w swojej kieszeni... — dodała dewotka, wyciągając haczykowaty paluch w stronę poły brązowego surduta.

— Dałbym ją z pewnością, droga panno Angeliko, ale uprzedzam, że tylko pod jednym warunkiem!

— Jakim?

— Że chłopak dojdzie do czegoś w życiu.

— Dojdzie! Panie doktorze, słowo Angeliki Pitou! Przyrzekam panu, że dojdzie! — odrzekła stara dewotka z oczyma wpatrzonymi w kieszeń doktora.

— Przyrzeka mi pani? — Przyrzekam!

— Jak najpoważniej?

— Drogi panie doktorze, przysięgam na Boga Wszechmocnego! — odpowiedziała panna Pitou, wyciągając przed siebie wychudłą rękę.

— A więc dobrze! — odrzekł doktor, wydobywając z kieszeni dobrze wypchaną sakiewkę. — Gotów jestem, jak to pani widzi, dać te pieniądze... a czy pani ze swojej strony jest gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za losy tego dziecka?

— Przysięgam na Chrystusa! — zawołała stara panna.

— Dość tych przysiąg, droga panno Angeliko, podpiszmy lepiej, co należy...

— Owszem, panie doktorze, mogę podpisać.

— Czy u rejenta?

— Tak, u rejenta...

— W takim razie chodźmy do „papy” Nigueta.

Tak zwany „papa” Niguet, którego doktor Gilbert obdarzył, tym poufałym przydomkiem, był — jak o tym już wiesz ci, którzy czytali moją powieść pt. *Józef Balsamo* — najbardziej znanym

w tej miejscowości rejentem, Panna Angelika, której notariuszem również był czcigodny pan Niguet, nie miała żadnych zastrzeżeń, o ile chodzi o wybór dokonany przez doktora. Panna Angelika udała się więc do kancelarii rejenta, gdzie pisarczyk spisał zobowiązanie powzięte przez pannę Różę Angelikę Pitou, z którego wynikało, iż podejmuje się ona za roczną opłatą, wynoszącą dwieście franków, nauczyć Ludwika Anioła Pitou, swego bratanka, jakiegoś godnego zawodu.

Umowa została zawarta na przeciąg pięciu lat. Doktor złożył w depozycie u rejenta osiemset franków, z których dwieście miało być płatnych z góry.

Następnego dnia doktor opuścił Villers-Cotterets, załatwiwszy uprzednio parę rachunków z jednym ze swych dzierżawców, do czego powrócimy później, a panna Angelika, krążąc niczym sęp nad owymi dwustu frankami, ukryła w swoim fotelu osiem pięknych złotych monet.

Co się zaś tyczy pozostałych pieniędzy, musiały one zaczekać na niewielkim fajansowym talerzyku, który od trzydziestu czy też czterdziestu lat dawał gościnę całemu mnóstwu wszelakiego rodzaju monet, czekających na ową chwilę, kiedy żniwo ostatnich dwóch czy też trzech niedziel powiększy sumkę osiemdziesięciu funtów, które — jak już o tym wspominaliśmy — przeszły przez tzw. „złotą metamorfozę” i z owego talerza przewędrowały do wnętrza fotela...

III

PITOU U SWOJEJ CIOTKI

Byliśmy świadkami tego, jak mało uśmiechała się małemu Pitou perspektywa pozostania na dłużej u kochanej ciotuni. Nieboraczek, wiedziony instynktem, jakim bywają obdarzone zwierzęta leśne, z którymi zwykł prowadzić wojnę, z góry przewidywał to wszystko, co mógł mu przynieść ów pobyt. Trzeba dodać, że nie chodzi w tym wypadku o jakieś szczególne rozczarowania; po prostu chłopiec ani na chwilę nie łudził się co do tego, jak wiele różnych przykrości, zmartwień i wręcz obrzydliwych rzeczy go czeka.

I oto wystarczyło, by doktor Gilbert wyjechał (wypada nadmienić, że nie to jedynie usposobiło niechętnie małego Pitou do jego ciotki), a sprawa oddania go do terminu od razu upadła. Zacny rejent napomknął wprawdzie coś niecoś na ten temat, ale panna Angelika odpowiedziała, że jej bratanek jest jeszcze bardzo młody, a przede wszystkim jest zbyt słabowitego zdrowia, by można było go narażać na pracę, która niezawodnie przerastałaby jego siły. Usłyszawszy to, rejent wyraził podziw dla wezbranego dobrocią serca panny Pitou i odłożył sprawę oddania Pitou do terminu aż do następnego roku. Trudno było mówić o marnowaniu czasu, skoro chłopiec miał dopiero dwanaście lat.

Pitou zaraz po zamieszkaniu u ciotki, która była głównie zajęta zastanawianiem się nad tym, jak najlepiej wyeksploatować swego bratanek, znów znalazł się wśród swoich ulubionych lasów, gdzie, dzięki zbliżonym warunkom lokalnym, mógł prowadzić w Villers–Cotterets prawie taki sam tryb życia, jak dawniej w Haramont.

Inspekcja dokonana przezeń w najbliższym promieniu przekonała go, że najlepsze mokradła znajdowały się wzdłuż dróg wiodących do Dampleux, do Compiègne i Vivieres, a terenami najbardziej obfitującymi w zwierzynę były okolice Bruyères–Loups.

Po tych zwiadach Pitou powziął odpowiednie decyzje.

Rzeczą najłatwiejszą do zdobycia i przy tym nie pociągającą za sobą żadnych wydatków było zaopatrzenie się w lep i lepkie gałązki. Lep przyrządzało się ze zmielonej kory jałowca, rozcieńczonej wrzątkiem. O ile zaś chodzi o nadające się na sidła, pokryte lepem gałązki, to rosły one tysiącami na okolicznych brzozech. Nie wtajemniczając w to nikogo, Pitou uzbierał z tysiąc takich witek oraz garnek pełen najprzedniejszego lepu, po czym pewnego pięknego dnia wziął u piekarza na rachunek ciotki czterofuntowy bochenek chleba, o świcie opuścił dom i spędziwszy cały dzień poza nim, wrócił dopiero późną nocą. Tego rodzaju decyzja nie była zresztą przezeń powzięta bez zastanowienia się nad jej skutkami. Pitou bowiem przewidział, że wywoła ona istną burzę. Nie rozporządzając co prawda rozumem Sokratesa, Pitou znał jednak równie dobrze humorki swej ciotki Angeliki, jak znakomity nauczyciel Alcybiadesa grymasy swej małżonki, Ksantypy.

Pitou nie omylił się w swych przewidywaniach, liczył jednak na to, że potrafi stawić czoła oczekującej go burzy, pokazawszy starej panie swą całodzienną zdobycz. Nie przewidział jedynie miejsca, w którym spadnie nań grom. Otóż padł on w chwili przekraczania progu domu.

Panna Angelika ukryła się za drzwiami, by nie przegapić chwili powrotu swego bratanek, co sprawiło, że w chwili kiedy ten zdołał uczynić zaledwie pierwszy krok, na jego potylicę spadł cios, w którym bez trudu Pitou odgadł kościstą rączkę starej dewotki.

Na szczęście Pitou był obdarzony twardą łepetyną i aczkolwiek to uderzenie tylko go musnęło, chłopiec chcąc wzbudzić litość w ciotce, której wściekłość jeszcze bardziej się Wzmogła z powodu bólu, jaki ten niepowściągliwy ruch sprawił jej palcom, udał, że zachwiał się

na nogach i aż się zatoczył w drugi kąt pokoju. Gdy jednak po wylądowaniu tam spostrzegł, że ciotunia podąża w jego stronę, potrząsając trzymaną w ręce kądzielą, czym prędzej wyciągnął z kieszeni talizman, za pomocą którego spodziewał się uzyskać darowanie mu winy. Owym talizmanem były dwa tuziny upolowanych ptaszków, w tym tuzin jemiołuszek i pół tuzina drozdów.

Panna Angelika, nie przestając sarkać, szeroko rozwarła oczy i porwała zdobycz łowiecką swego bratanka, czyniąc z nią trzy kroki w stronę lampy.

— Co to ma być? — zapytała.

— Jak kochana ciotunia widzi, to są ptaszki! — odrzekł Pitou.

— Czy są jadalne? — zapytała ciotka, która, jak wszystkie dewotki, była straszliwym żarłokiem.

— Czy są jadalne? — powtórzył za nią Pitou. — A to dobre sobie! Czy jemiołuszki i drozdy są jadalne? Ależ naturalnie!

— Gdzie je skradłeś, nicponiu?

— Nie skradłem, tylko złapałem. — A to jakimże sposobem?

— Na mokradłach...

— Co to są mokradła?

Pitou spojrział na ciotkę ze zdumieniem. Nie mieściło mu się po prostu w głowie, by na świecie mógł istnieć ktoś o tak zaniedbanym wykształceniu, kto by nie wiedział, co to są mokradła.

— Mokradła? Hm... to są mokradła!

— Zgoda, ale ja, urwisie, nie wiem, co to są mokradła... Ponieważ Pitou miał dużą pobłażliwość dla wszelkiego rodzaju niewiedzy, więc też odrzekł:

— Mokradło to jest takie niewielkie bagienko. Jest ich w lesie ze trzydzieści. Zastawia się sidła dokoła niego. Ptaki przylatują, żeby się napić wody, a że się na tym nie znają, więc dają się nabrać, głuptasy...

— Na co?

— Na lep!

— Aha — rzekła ciotka — rozumiem... Ale kto ci dał na to pieniądze?

— Pieniądze? — powtórzył Pitou wielce zdumiony, że można go podejrzewać o posiadanie jakichkolwiek pieniędzy. — Jakie pieniądze, ciotuniu?

— Właśnie, skąd te pieniądze?

— Nikt mi ich nie dawał...

— Więc za co kupiłeś lep?

— Sam go przyrządziłem.

— A sidła?

— Też.

— W takim razie te ptaki...

— Tak, proszę ciotuni...

— Te ptaki nic cię nie kosztowały?

— Tyle tylko, że musiałem się nachylać i je zbierać.

— A czy często można chodzić na te mokradła?

— Nawet codziennie!

— Aha, to dobrze...

— Tylko, że nie trzeba...

— Nie trzeba? Nie rozumiem...

— Nie trzeba tam chodzić codziennie... — Dlaczego?

- Hm... Bo to wyniszcza...
- Kogo wyniszcza?
- No... te mokradła... Bo ciotunia przecież sama rozumie, że ptaków, które się raz zловиło..
- No i co?...
- Że ich już nie ma...
- Masz rację! — odpowiedziała ciotka.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy chłopiec zamieszkał u swojej ciotki Angeliki, przyznała słuszność swemu bratankowi, nic więc dziwnego, że to nieoczekiwane uznanie niewymownie uradowało małego Pitou.

— Ale w te dni — dodał — kiedy nie chodzi się na mokradła, można iść gdzie indziej, a kiedy się nie łowi ptaków, można polować na coś innego...

- Na co na przykład?
- Na przykład na króliki.
- Tak. Mięso się zjada, a skórki się sprzedaje. Za króliczą skórkę można dostać dwa piątaki.

Ciotka Angelika spojrzała na swego bratanka oczyma pełnymi zachwytu. Nigdy nie przypuszczała, że w chłopcu drzemią tak wielkie zdolności handlowe. Okazało się, że Pitou je posiadał.

- I to ja miałabym sprzedawać te królicze skórki?
- Oczywiście! — odrzekł Pitou. — Moja mamusia zawsze to robiła.

Chłopakowi nie przyszło nawet nigdy do głowy, że mógłby otrzymać za swe myśliwskie zdobycze coś innego, jak przypadającą na niego część jedzenia.

- Kiedy pójdziesz na króliki? — zapytała panna Angelika.
- Hm... jak sobie sprawię sidła... — No to je sobie sporządź.

Pitou wykonał głową ruch przeczenia.

- Przecież sobie przyrządziłeś lep i witki.

— Lep i witki to co innego... Nie potrafię sam zrobić mosiężnego drutu. Kupuje się go w sklepiku.

- A wiele to kosztuje?
- Za cztery piątaki — odrzekł Pitou rachując na palcach — zrobiłbym ze dwa tuziny sidła.
- A wiele królików złapałoby się na te dwa tuziny sidła?

— Jak się trafi... cztery, pięć, może i sześć... ale jeżeli gajowy ich nie znajdzie, można te same sidła użyć parę razy.

— No, to masz tutaj dwadzieścia centymów, czyli cztery su — powiedziała ciotka Angelika — pędź do pana Dambrun, do sklepu, kup sobie drutu i jutro idź polować na króliki.

- Dobrze... Pójde jutro zastawić sidła, ale dopiero pojutrze będę wiedział, czy się co złapało.
- Zgoda! W każdym razie wybierz się na polowanie.

Mosiężny drut był w mieście tańszy aniżeli na wsi, zważywszy, że sklepikarze w Haramont robili zakupy w Villers-Cotterets, czyli Pitou za trzy piątaki sporządził dwadzieścia cztery sidła, a jednego su zwrócił ciotce. Ta nieoczekiwana uczciwość ze strony bratanka niemal rozczuliła starą pannę. Przyszło jej nawet na myśl, czy nie należałoby podarować mu owych pięciu nie wydanych centymów, ale na jego nieszczęście była to moneta rozplaszczona uderzeniami młotka, która wieczorem mogła ująć za dziesięciocentymowy pieniądz. Panna Angelika uznała, że nie miało sensu pozbywać się monety przynoszącej stuprocentowy zysk i pieniędzy powędrował do jej kieszeni.

Pitou zauważył ten ruch, ale się nad nim nie zastanowił. Był bowiem daleki od myśli, że ciotka mogłaby mu podarować ową monetę. Zabrał się więc do sporządzania sidła.

Następnego dnia poprosił ciotkę o worek.

— Co chcesz z nim zrobić? — zapytała.

— Jest mi potrzebny — odpowiedział Pitou z wielce tajemniczą miną.

Panna Angelika dała mu worek, włożyła do niego zapas chleba i sera, który miał wystarczyć na śniadanie i na obiad jej bratankowi, i Pitou skoro świt wyruszył w kierunku Bruyere-aux-Loups. Jeżeli zaś chodzi o nią samą, to zabrała się do skubania tuzina jemiółuszek, przeznaczonych na śniadanko i obiadek dla niej. Dwa drozdy zaniósła proboszczowi Fortierowi, zaś cztery pozostałe sprzedała właścicielowi oberży „Pod Złotą Kulą”, który zapłacił jej po piętnaście centymów za sztukę i obiecał, że za tę cenę gotów jest kupić każdego przyniesionego ptaka.

Ciotka Angelika wróciła do domu w znakomitym nastroju. Wraz z Pitou do jej domu zawitało błogosławieństwo boże.

— Ach! — rzekła do siebie objadając się ptaszkami, które były tłuste jak szpaki, a smakowite jak szczygły. — Mają rację ludzie, mówiąc, że kto dobrze postępuje, nigdy na tym nie traci.

Wieczór zapadał, gdy Pitou powrócił, dźwigając swój pokaźnie zaokrąglony worek. Tym razem ciotka nie czekała na niego ukryta za drzwiami, lecz stała na progu, a zamiast kuksańca chłopak spotkał się z grymasem na jej twarzy, który od biedy mógł uchodzić za uśmiech.

— Oto jestem! — rzekł Pitou wchodząc do pokoju z miną znamionującą poczucie dobrze spędzonego dnia.

— Jesteście... Ty i twój worek!

— Właśnie! Ja i mój worek — odrzekł Pitou.

— No i co ty tam masz w swoim worku? — zapytała ciotka, z nieukrywaną ciekawością wyciągając przed siebie chude ręce.

— Buczynę — odpowiedział chłopiec.

— Buczynę?

— A tak! Chyba ciotunia sama wie, że gdyby stary gajowy, z Bruyere-aux-Loups spostrzegł, że się wałęsam po jego terenach z workiem na plecach, niezawodnie zapytałby mnie: „A co ty tu robisz, mały włóczęgo?” Z pewnością podejrzewałyby mnie o coś... Tymczasem niosąc ten worek mógłbym mu na jego pytanie odpowiedzieć, że przyszedłem zbierać trochę buczyny. „Przecież to nie jest zabronione?” — powiedziałbym. „Ano nie jest...” „W takim razie — powiedziałbym z kolei — skoro to nie jest zabronione, to nic panu do tego...” Tak bym mu powiedział, temu staremu...

— Więc zamiast zastawiać sidła cały dzień zbierałeś buczynę? Ty leniuchu! — zawołała ciotka, której się zdawało, że otrzyma już wszystkie spodziewane króliki.

— Ależ przeciwnie, ciotuniu! Zbierając buczynę zastawiłem wszystkie sidła po to, żeby on nie widział, co ja robię.

— I nic ci nie powiedział?

— Owszem, powiedział: „Pozdrów ode mnie ciotkę Angelikę”. To bardzo poczciwy człowiek, ten stary...

— A co z królikami? — podjęła na nowo ciotka, która nigdy nie zapominała o najważniejszej rzeczy, — Króliki? Księżyc wschodzi o północy... pójde o pierwszej zobaczyć, czy się co złapało.

— Gdzie? — W lesie.

— Co? O pierwszej w nocy masz zamiar iść do lasu?

— Tak...

— I nie boisz się?

— Czego mam się bać?

Ciotka Angelika była w równej mierze zachwycona odwagą swego krewniaka, jak jego

przebiegłością. Tymczasem dla Pitou, stworzenia naiwnego — jak każde prawdziwe dziecko natury — nie istniały urojone niebezpieczeństwa, budzące strach w dzieciach wychowanych w miastach. Toteż gdy wybiła północ, chłopiec wyruszył w drogę idąc pod parkanem cmentarnym i nie oglądając się za siebie.

Niewinne dziecię, które nigdy, a przynajmniej bez powziętego z góry zamiaru, nie wykroczyło ani przeciw boskim, ani ludzkim prawom, tak samo nie bało się umrzyków, jak nie żywiło strachu przed żywymi ludźmi.

Jedna tylko osoba napawała go strachem. Był to stary gajowy La Jeunesse i dlatego chłopiec przezornie wolał raczej z daleka ominąć jego dom przekonawszy się, że drzwi i okiennice były pozamykane i że w domu nie paliły się żadne światła, Pitou chciał się do końca upewnić, że gajowy jest w domu, a nie na służbie. W tym celu zaczął z takim talentem naśladować ujadanie psa, że Ronflot, jamnik starego gajowego, wprowadzony w błąd, odpowiedział mu głośnym szczekaniem, wybiegł za furtkę i począł węszyć dokoła.

Odtąd Pitou był już spokojny. Z chwilą kiedy Ronflot był w domu, musiał być tam również jego właściciel, gdyż zarówno pies, jak jego pan byli nierozłącznymi przyjaciółmi i kiedy się spotkało jednego z nich, można było mieć absolutną pewność, że niebawem ukaże się i drugi.

Całkowicie uspokojony Pitou pomaszerował do Bruyereaux–Loups. Sidła zrobiły swoje: dwa króliki zostały złowione i udusiły się. Pitou umieścił je w obszernej kieszeni swego na wyrost sprawionego ubrania, co to po roku miało się okazać zbyt wąskie, i udał się w powrotną drogę, do ciotki.

Stara panna spoczywała już w łóżku, ale wrodzona chciwość nie pozwalała jej zasnąć. Zajęta była obliczaniem dochodu, jaki mogą jej przynieść tygodniowo cztery królicze skórki, a te kalkulacje doprowadziły ją z kolei do takiego stanu, że nie mogła zmrużyć oka. Dygocąc cała, zapytała więc chłopca, co przyniósł:

— Jedną parę, ciotuniu, ale to nie moja wina, że nie mogłem przynieść więcej. Te króliki starego gajowego są bardzo sprytne!...

Mimo wszystko nadzieje ciotki Angeliki zostały spełnione ponad miarę. Trzęsąc się z radości, chwyciła dwa nieszczęsne króliki, dokładnie przyjrzała się ich nienaruszonym skórkom i zaniósła je do spiżarni, która od czasu gdy Pitou podjął się ją zaopatrywać, nie widziała podobnie obfitych zapasów.

Następnie dość słodziutkim głosikiem zaproponowała chłopcu, by się położył spać. Zmęczony Pitou uczynił to niezwłocznie, nie prosząc nawet o wieczerzę, co jeszcze bardziej podniosło go w oczach ciotki.

Po paru dniach Pitou ponownie rozpoczął swe łowy — tym razem były one pomyślniejsze aniżeli poprzednio. Oto udało mu się złowić aż trzy króliki. Dwa trafiły do oberży „Pod Złotą Kulą”, trzeci — na plebanię. Ciotka Angelika otaczała troskliwą opieką proboszcza Fortiera, za co ten z kolei gorąco ją polecał swym pobożnym parafianom.

Wypadki biegły jednakowym trybem w ciągu trzech czy też czterech miesięcy. Ciotka była zachwycona, a Pitou uważał sytuację za całkowicie znośną dla siebie. Właściwie mówiąc, Pitou był pozbawiony matczynej miłości, która opromieniała całe jego istnienie, ale prowadził w Villers–Cotterets prawie taki sam tryb życia jak w Haramont.

I oto nagle pewna okoliczność zgoła nieoczekiwana, której się jednak należało kiedyś spodziewać, „stłukła — ze się tak wyrazimy — ciotczyny garnek z mlekiem” i położyła kres łowieckim wyprawom jej bratanka z Nowego Jorku nadszedł list od doktora Gilberta.

Nasz filozof i podróżnik, znalazłszy się na ziemi Nowego Świata, nie zapomniał jednak o swoim młodym protegowanym i napisał do rejenta Nigueta, chcąc się dowiedzieć, czy jego zlecenia są wykonywane, domagając się przy tym skrupulatnego wykonywania warunków

umowy i całkowitego jej zerwania, gdyby takowych spełnić nie zamierzano.

Sprawa wyglądała poważnie. W grę wchodziła odpowiedzialność, jaką ponosił rejent. Toteż udał się do ciotki Pitou z listem doktora, żądając ścisłego wykonywania powziętych zobowiązań. Nie mogło być mowy o żadnych wykrętach, gdyż kwitnący stan zdrowia chłopca przekreślał wszelkie usprawiedliwianie się jego słabowitością. Pitou był wprawdzie wysoki i chudy, ale konary drzew w lesie również były wysokie i cienkie, co bynajmniej nie przeszkadzało, że były zdrowiusieńkie. Panna Angelika poprosiła o tydzień czasu do namysłu dla wyboru zawodu, jakiemu miał się poświęcić jej bratanek.

Pitou był nie mniej zatroskany niż jego ciotka. Zajęcie, jakie uprawiał, wydawało mu się znakomite i wcale nie pragnął innego. W ciągu najbliższych ośmiu dni nie było mowy ani o mokradłach, ani o kłusownictwie. Zresztą, była to zima, a w zimie ptaki piją, gdzie się da, ponadto spadł śnieg, a Pitou nie miał odwagi chodzić po śniegu, by zastawiać sidła. Na śniegu zostają przecież ślady stóp, a Pitou miał takie nożyska, że stary gajowy bez najmniejszego trudu mógł wykryć, kto był owym przebiegłym zuchwalcem, który trzebił zwierzynę w jego okręgu.

W ciągu owych ośmiu dni starej pannie ponownie odrosły pazury. Pitou odnalazł w niej dawną ciotkę Angelikę, której się tak bardzo bał, a której chęć zysku, ów najważniejszy czynnik w jej życiu, chwilowo nieco zaspokoił.

W miarę zbliżania się wyznaczonego terminu usposobienie starej panny stawało się coraz bardziej nieznośne. Doszło wreszcie do tego, że piątego dnia Pitou gorąco zapragnął, by ciotka ostatecznie zdecydowała się na obranie dla niego jakiegokolwiek zawodu, byleby przestał być popychadłem, jakim się ostatnio stał w domu starej panny. Wtedy Pitou podsunął wspaniały pomysł, który trafił do przekonania starej panny i przywrócił jej utracony od sześciu dni spokój. Pomysł polegał na tym, że należało się zwrócić do proboszcza Fortiera, by ten zechciał bezpłatnie przyjąć biednego chłopca do swojej szkółki, podejmując jednocześnie starania o przyznanie mu stypendium, ufundowanego przez księcia Orleanu dla wychowanków seminarium. Był to sposób zdobycia wiedzy, który by nic nie kosztował ciotkę Angelikę, a ksiądz Fortier, nie licząc szczygłów, szpaków i królików, którymi stara dewotka obdarowywała go od pół roku, musiałby jednak mieć jakieś specjalne względy dla bratanka kobieciny, zajmującej się wynajmowaniem krzeseł w jego kościele.

Jednym słowem, postępując oględnie można było zarówno zachować korzyści, które obecnie przynosił Pitou, jak i zapewnić je sobie na przyszłość.

Tak się też stało: proboszcz Fortier przyjął do swego „zakładu naukowego” małego Pitou, nie żądając za to żadnego wynagrodzenia. Trzeba w tym miejscu przyznać, że ksiądz Fortier był niezwykle człowiekiem. Swą wiedzą obdarzał ubogich duchem, a pieniędzmi — biedaków w dosłownym znaczeniu. Pod jednym wszakże względem ksiądz Fortier był nieprzejednany: błędy składni wyprowadzały go z równowagi, a tzw. barbaryzmy wręcz doprowadzały do wściekłości. W takich wypadkach nie istnieli dlań ani przyjaciele, ani wrogowie, — biedacy lub też bogacze, uczniowie bezpłatni czy, przeciwnie, dobrze płacący. Karał wszystkich z jednakową bezstronnością i surowością, a że rękę miał ciężką, więc też kara była dość dotkliwa. Rodzice wiedzieli o tym i skoro już z własnej woli powierzali swoje dzieci pieczy ojczulka Fortiera, musieli się zdać na jego widzimisię, gdyż na wszystkie matczyne utyskiwania ksiądz odpowiadał jedną maksymą, której brzmienie kazał wyrzeźbić na rękojeści swej dyscypliny: „Kto mocno kocha, dotkliwie strofuje!”

Otóż dzięki poleceniom swej ciotki, mały Pitou został wreszcie przyjęty w poczet uczniów księdza Fortiera. Stara dewotka była z tego niezmiernie dumna, natomiast znacznie mniej przyjemności sprawiało to chłopakowi, któremu przerwano pełen uroku żywot włóczęgi.

Ciotka nie omieszkała przybyć do rejenta Nigueta, by go powiadomić o tym, że nie tylko

uczyniła zadość życzeniom stawianym przez doktora Gilberta, ale je nawet wykonała z nadwyżką, gdyż doktorowi chodziło jedynie o zapewnienie chłopcu jakiegokolwiek uczciwego zawodu, a ona zrobiła znacznie więcej, bo zapewniła chłopcu wielce dystyngowane wykształcenie. Gdzie je pobierał? Otóż pobierał je w tym samym zakładzie naukowym, w którym Sebastian Gilbert za to samo musiał płacić aż pięćdziesiąt funtów.

Prawdę powiedziawszy Pitou nie płacił za naukę, ale nie było najmniejszej potrzeby wtajemniczenia w to doktora Gilberta, wszyscy bowiem wiedzieli, na jaką bezstronność i bezinteresowność potrafił się zdobyć ksiądz Fortier.

Podobnie jak jego boski Nauczyciel, szeroko rozwierał ramiona mówiąc: „Pozwólcie dzieciom, by przyszły do mnie!” Chodzi wszakże o to, że obie dłonie, znajdujące się na końcu owych po ojcowsku rozwartych ramion proboszcza, były, uzbrojone: w jednej widniał elementarz, zaś w drugiej — pęk różeg, i w rezultacie, wbrew temu, co czynił Chrystus, który brał w ramiona dzieci płaczące, a odsyłał je, gdy były uciszone, nasz księżulo przeważnie przywoływał do siebie dzieci dygocące ze strachu i odsyłał je z oczyma pełnymi łez.

Nowy uczeń przestąpił próg klasy ze starym kuferkim pod pachą, z kałamarzem sporządzonym z rogu w ręce, oraz z dwoma czy też trzema gęsimi piórami, zatkniętymi za ucho. Kuferek miał w jakiś tam sposób zastąpić szkolny pulpit, kałamarz był podarunkiem właściciela sklepiku, a gęsie pióra Pitou otrzymał od ciotki, która poprzedniego dnia złożyła wizytę rejentowi Niguetowi.

Pitou został przywitany miłymi objawami serdeczności, która choć rodzi się u dzieci, trwa jednak dalej u ludzi dorosłych, czyli mówiąc po prostu: kpinami. Cała klasa wzięła udział w wyszydzeniu go. Dwóch uczniów zawędrowało do kozy z powodu rudych włosów Pitou, dwóch innych — z racji owych jego niezwykłych kolan, o których mieliśmy już okazję wspomnieć.

Ci właśnie twierdzili, że nogi Pitou całkiem przypominają liny studzienne, na których porobiono supły. Porównanie spotkało się z uznaniem, obiegiło dokoła wywołując zarówno powszechną wesołość, jak zrozumiałe rozdrażnienie proboszcza. Toteż opuszczając szkołę w południe, czyli po czterech godzinach zajęć, Pitou, nie zamieniwszy z nikim ani jednego słowa i ziewając cały czas pod przykryciem swego kufereka, zdążył zmobilizować przeciwko sobie sześciu wrogów, tym bardziej zawziętych na niego, że przecież z żadnym z nich się nie pokłócił. Pod piecem, który w izbie szkolnej zazwyczaj odgrywa rolę ołtarza, symbolizującego całą ojczyznę, owi przeciwnicy Pitou złożyli solenne ślubowanie, z którego wynikało, że jedni powyrywają mu z głowy jego rude włosy, inni nabijają mu siniaków pod oczami, a pozostali wyprostują mu te pałkowata kolana.

Pitou nic nie wiedział o tych wrogich zamiarach. Opuszczając klasę zapytał nawet jednego ze swych sąsiadów, dlaczego sześciu kolegów zostaje w klasie, podczas gdy inni już ją opuszczają. Sąsiad przyjrzał mu się z niechęcią, nazwał go obrzydliwym skarżypytą i odszedł, nie życząc sobie nawiązania dalszej rozmowy.

Pitou zachodził w głowę, jakim cudem mógł zostać obrzydliwym skarżypytą, skoro nie odezwał się ani słówkiem, wobec tego jednak, że zdążył wysłuchać podczas lekcji zarówno od kolegów, jak i od ojczulka Fortiera mnóstwo innych, całkowicie dlań niezrozumiałych rzeczy, więc i te oskarżenia, skierowane przeciwko niemu przez sąsiada, zaliczył do spraw zbyt skomplikowanych i przeto niedostępnych dla jego umysłu.

Kiedy Pitou w południe wrócił do domu, ciotka Angelika, którą rozpierała duma z powodu edukacji, jaką kosztem wielkich wyrzeczeń mu udostępniła, zaczęła go rozpytywać, czego się już zdążył dziś nauczyć. Pitou odpowiedział, że się nauczył milczenia. Była to odpowiedź godna Pitagorasa, chociaż, ściśle mówiąc, ów grecki filozof byłby jej udzielił nie słowami, lecz na migi.

Nowy uczeń powrócił do szkoły na popołudniowe zajęcia bez szczególnej odrazy. Koledzy Pitou poświęcili ranne lekcje dokładnemu przyjrzeniu się jego cechom zewnętrznym, natomiast popołudniowe zajęcia jego nauczyciel zużył na zaznajamianie się z treścią duchową nowego ucznia. Po dokonaniu tej czynności, ojczulek Fortier doszedł do przekonania, że Pitou posiada wszelkie dane zostania Robinsonem Cruzoe, natomiast ma ich bardzo niewiele, by stać się Fontenellem lub Bossuetem.

W ciągu zajęć popołudniowych, znacznie bardziej uciążliwych dla przyszłego wychowanka seminarium od tych, które odbywały się przed południem, ukarani z jego powodu koledzy nie przestawali mu wygrażać pięściami. Tego rodzaju demonstracyjne gesty we wszystkich krajach — zarówno objętych cywilizacją, jak i pozbawionych jej — uchodzą za oznakę pogroźek. Nic więc dziwnego, że Pitou miał się na baczności.

Nasz bohater nie omylił się: po wyjściu, a właściwie mówiąc, w trakcie opuszczania budynku szkolnego, owych sześciu kolegów zatrzymanych z powodu Pitou w kozie dało mu niedwuznacznie do zrozumienia, że będzie musiał drogo zapłacić za te dwie godziny „aresztu”.

Pitou sądził, że chodzi o pojedynek na pięści. Co prawda miał dość skąpe wiadomości o szóstej księdze *Eneidy*, w której młody Dariusz i stary Enteliusz ku wielkiej uciechy zbiegów trojańskich toczą taki pojedynek, jednak podobnego rodzaju rozrywki nie były mu obce, zarówno jak i mieszkańcom jego wioski. Oświadczył przeto, że gotów jest stawić czoła temu, który zgłosi się pierwszy, a także każdemu następnemu spośród jego sześciu przeciwników.

Propozycja ta od razu zjednała nowoprzybytemu uczniowi duże uznanie. Warunki pojedynku zostały ustalone zgodnie z propozycjami Pitou. Plac boju otoczył krąg widzów, a uczestnicy, zrzuciwszy — jeden swą bluzę, a drugi marynarkę — ruszyli naprzeciw siebie.

Wspomnieliśmy już o rękach Pitou. Otóż te ręce, których sam widok sprawiał wątpliwą przyjemność, były jeszcze mniej przyjemne przy zetknięciu się z nimi. Na końcu każdej z nich kołysała się pięść wielkości głowy dziecka i chociaż boks był jeszcze bardzo słabo rozpowszechniony we Francji, a Pitou nie posiadał nawet najmniejszych wiadomości w tej dziedzinie, udało mu się jednak tak precyzyjnie ulokować pierwszy cios na oku przeciwnika, że w jednej chwili dokoła oczodołu zakwitło fioletowego koloru kółko tak idealnie zaokrąglone, że najbardziej wprawny kreślarz nie wykonałby lepszego swymi cyrklami.

Po chwili w szranki wstąpił drugi przeciwnik. Wprawdzie Pitou był już nieco zmęczony pierwszą stoczoną walką, okazało się jednak, że ten jest znacznie słabszy od poprzedniego, toteż bój trwał znacznie krócej. Potężna pięść Pitou spadła na nos wroga, a po chwili krew, spływająca ciurkiem z nozdrzy, najlepiej świadczyła o skuteczności zadanego ciosu.

Trzeci pojedykowiec przyplacił wyzwanie utratą jednego zęba, co było najmniej dotkliwą stratą. Pozostali przeciwnicy oświadczyli, że chwilowo nie zgłaszają żadnych dalszych pretensji.

Pitou precyzyjnie przeszedł przez tłum, który rozwarł się przed nim z szacunkiem należnym triumfatorowi, po czym zdrów i cały powrócił do swego domu, a raczej domu swojej ciotki.

Następnego dnia, gdy owi trzej wychowankowie przybyli do szkoły: jeden z podbitym okiem, drugi ze zmasakrowanym nosem, a trzeci ze spuchniętymi wargami, ojczulek Fortier usiłował przeprowadzić doraźne dochodzenie, okazało się jednak, że nawet wśród sztubaków panują dobre obyczaje. Żaden z poszkodowanych na ciele nie zdradził się z niczym i dopiero następnego dnia, za pośrednictwem pewnego, całkiem postronnego świadka, ksiądz Fortier dowiedział się, że to Pitou pozostawił na obliczach jego pupilów ślady obrażeń, które go tak zaniepokoiły.

Chodzi o to, że ksiądz Fortier ponosił wobec rodziców odpowiedzialność nie tylko za umysłową kondycję swych pupilów, lecz również za ich fizyczną nienaruszalność. Na ręce ojczulka ze strony rodziców wpłynęła potrójna skarga. Trzeba było im dać zadośćuczynienie. Pitou został więc ukarany trzema dniami tak zwanej „kozy”. Dzień — za oko, dzień — za nos i

wreszcie dzień — za wybity ząb.

Owe trzy porcje otrzymanego przez Pitou „aresztu” nasunęły jego ciotce genialną myśl: pozbawić chłopca obiadu, ilekroć ksiądz Fortier każe mu odsiadywać „kozę”. Wyszłoby to chłopcu niewątpliwie na korzyść, gdyż musiałby się dobrze zastanowić, nim spłatałby figla, który by pociągnął za sobą podwójną karę.

Niestety, Pitou nie był w stanie zrozumieć, dlaczego nazwano go skarżypytą, chociaż się nie odezwał ani słówkiem, i dlaczego został ukarany za to, że pobił tych, którzy mieli zamiar pobić jego. Ha! Gdyby człowiek rozumiał wszystko, co się dzieje dookoła niego na świecie, życie straciłoby jeden ze swoich niewątpliwych uroków, czyli tajemniczość i towarzyszące jej niespodzianki.

Pitou odsiedział więc swoje trzy porcje „kozy” i musiał się zadowolić jedynie śniadaniami i kolacjami. Wyraz „zadowolić” jest niezbyt odpowiedni w tym miejscu, gdyż Pitou był nie bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Niestety, nasz sposób wysławiania się jest tak ubogi, a Akademia Francuska, która ustala reguły językowe, tak pedantyczna, że musimy i my zadowalać się tym, co marny.

Pitou lojalnie odsiedział wyznaczoną mu karę, nie chcąc wyznać, że jego postępek był jedynie odpowiedzią na grożącą mu agresję, co zjednało mu powszechne uznanie.

Nasuwa się jednak przypuszczenie, że owe trzy potężne ciosy pięścią, jakimi Pitou obdarował swych przeciwników, odegrały pewną rolę w zdobyciu tej korzystnej dla niego opinii.

Poczawszy od tego dnia żywot Pitou upodobił się do życia innych kolegów w szkole, z tą tylko różnicą, że inni uczniowie ze zmiennym szczęściem odrabiali swe wypracowania, podczas gdy Pitou stale znajdował się w liczbie pięciu czy sześciu ostatnich uczniów i niemal zawsze potrafił zarobić na podwójną w porównaniu z innymi porcję godzin „kozy”.

Warto w tym miejscu wspomnieć o pewnym wrodzonym zamiłowaniu Pitou, będącym w dużym stopniu wynikiem wychowania, jakie ten chłopiec otrzymał (a właściwie, jakiego nie otrzymał!), a które było przyczyną co najmniej jednej trzeciej wszystkich „kóz”, jakie go spotykały. Tym upodobaniem było niezwykle przywiązanie do wszelkich zwierząt.

Ów słynny kuferek, obdarzony przez ciotkę Angelikę mianem „szkolnego pulpitu”, dzięki swym okazałym rozmiarom oraz licznym przegródkom, jakimi Pitou ozdobił jego wnętrze, był właściwie czymś w rodzaju arki Noego, zawierającej po jednej parze wszelkich skaczących, czółgających się lub przemykających stworzeń.

Były tam jaszczurki, zaskrońce, mrówkojady, skarabeusze i żaby. Wszystkie te stworzenia były tym droższe sercu Pitou, że to z ich powodu spadały na niego bardziej lub mniej surowe kary. Podczas swych cotygodniowych wypraw Pitou uzupełniał swoją kolekcję zwierząt. Szczególnie zależało mu na zdobyciu kilku salamander, bardzo popularnych w Villers — Cot — terets, ponieważ figurowały na herbie Franciszka I, który kazał je wyryć na wszystkich kominach.

Wkrótce udało mu się złowić kilka okazów. Była jednak pewna, specjalnie żywo obchodząca go sprawa i w końcu Pitou zaliczył ją do szeregu takich, które przerastały jego inteligencję: chodziło o to, że chłopiec raz po raz znajdował w wodzie pewne stworzenia, o których poeci twierdzili, że ich miejscem zamieszkania jest raczej ogień. Wspomniana okoliczność sprawiła, że Pitou, z usposobienia skłonny raczej do dokładności, poczuł nietajoną pogardę dla poetów.

Będąc posiadaczem dwóch salamander, Pitou zaczął poszukiwać kameleona. Niestety, tym razem wszystkie poszukiwania były daremne i pragnienia Pitou nie zostały zaspokojone, co w rezultacie doprowadziło do tego, że chłopiec nabrał pewności, iż kameleon w ogóle nie istnieje, a jeżeli nawet istnieje, to w każdym razie w jakiejś innej szerokości geograficznej. Doszedłszy do tego przeświadczenia, Pitou zrezygnował na zawsze z dalszych poszukiwań kameleona.

Przyczyną następnych porcji kar, jakie spadały na Pitou, były owe nieszczęsne „solecyzmy” i „barbaryzmy”, czyli wykroczenia przeciwko składni i gramatyce, obficie rozsiane po jego wypracowaniach szkolnych niczym chwasty wśród wschodzącego na polu zboża.

O ile chodzi o czwartki i niedziele, a więc o dni wolne od nauki, Pitou w dalszym ciągu poświęcał je wyprawom na mokradła i kłusownictwu. Chłopiec wciąż rósł, liczył już szesnaście lat i miał pięć stóp i cztery cale wzrostu, co spowodowało pewną zgoła nieoczekiwaną okoliczność, która nieco odwróciła uwagę Pitou od jego ulubionych zajęć. Chodzi o to, że na drodze wiodącej do Bruyere-aux-Loups leży wioska Pisseleux, zapewne ta sama, od której pochodzi przydomek pięknej d’Heilly, kochanki Franciszka I. W owej wiosce znajdował się niewielki folwarczek, należący do starego Billot. Przypadek chciał, że niemal za każdym razem, ilekroć Pitou szedł w jedną stronę lub wracał, na progu domku stała bardzo ładna, co najwyżej osiemnastoletnia dziewczyna, tchnąca świeżością, z natury wesoła, która wprawdzie miała na imię Katarzyna, ale którą częściej nazywano „Billotką” od nazwiska jej ojca.

Zaczął się od tego, że Pitou na razie tylko pozdrawiał ją ukłonem, później zaś, stopniowo zdobywając się na odwagę, dołączał do pozdrowienia uśmiech, aż wreszcie pewnego dnia uśmiechając się przy przywitaniu, zatrzymał się i cały w pąsach wykrztusił zdanie, które uważał za szczyt śmiałości:

— Dzień dobry, panno Katarzyno! Katarzynka była bardzo miłą dziewczyną i odpowiedziała chłopcu jak swemu dobremu znajomemu. Właściwie mówiąc była to znajomość dość dawna, gdyż od dwóch lub trzech lat widywała go co tydzień, jak przechodził obok zagrody jej ojca. Chodzi jednak o to, że Katarzynka widziała Pitou, ale Pitou nie mógł widzieć Katarzynki, gdyż ona miała już wtedy szesnaście lat, a on dopiero czternaście. Dziś widzimy, jak wyglądają te sprawy, kiedy z kolei Pitou doszedł do szesnastki.

Katarzynka zaczęła coraz bardziej cenić talenty, jakimi był obdarzony Pitou, a to z tej przyczyny, że chłopiec składał jej w darze najładniejsze ptaszki i najtłustsze króliki.

Rezultat był taki, że Katarzynka nie szczędziła pochwał Pitou, który tym bardziej był na nie czuły, że od nikogo ich nigdy nie słyszał i ulegając urokowi tych całkowicie dlań nowych przeżyć, zamiast, jak dawniej, odbywać swą zwykłą marszrutę w kierunku Bruyere-aux-Loups, zatrzymywał się w połowie drogi, a zamiast spędzać dzień na zbieraniu buczyny i zastawianiu sideł, tracił czas na wałęsanie się dokoła zagrody starego Billotta, licząc na to, że uda mu się zobaczyć Katarzynkę bodaj na momencik.

Oczywiście, odbiło się to fatalnie na dostarczaniu króliczych skórek, o ile zaś chodzi o jemiołuszki lub drozdy, to w ogóle nie było już o nich mowy.

Ciotka zaczęła coraz częściej gderać, na co Pitou miał gotową odpowiedź, że króliki zrobiły się nad wyraz podejrzliwe, a ptaszki, nauczywszy się poznawać, gdzie są zastawione sidła, gasiły obecnie pragnienie wodą nagromadzoną na liściach lub w dziuplach drzew.

Niezależnie od pogodzenia się z tym, że króliki stały się mądrzejsze, a ptaki bardziej przebiegłe, ciotkę Angelikę napępiała otuchą nadzieja, że jej bratanek otrzyma stypendium, że zostanie przyjęty do seminarium i po spędzeniu w nim trzech lat opuści je jako ksiądz. (Trzeba dodać, że odwieczną ambicją panny Angeliki było zostać księżą gospodynią).

To marzenie musiało się przecież kiedyś urzeczywistnić, bo ciotka Angelika była pewna, że otrzymawszy święcenia kapłańskie, Pitou nie mógłby postąpić inaczej i w charakterze gospodyni zaangażowałby swą ciotkę, która tyle dla niego zrobiła. Jedną tylko okoliczność zakłócała złote sny starej panny: oto gdy kiedyś w rozmowie z proboszczem Fortierem dała wyraz swym nadziejom, ten odrzekł jej z opuszczoną głową: — Droga panno Pitou, by zostać kapłanem, pani bratanek musiałby mniej czasu poświęcać historii naturalnej, a więcej księgom, jak: *De viris illustribus* lub *Selectae ex profanis scriptoribus*.

— A co to znaczy? — zapytała stara panna.

— To znaczy, że Pitou popełnia zbyt wiele barbaryzmów, nie licząc już niezliczonej ilości sołecyzmów.

Ta odpowiedź pozostawiła w sercu panny Angeliki uczucie dręczącego niepokoju.

IV

O WPLYWIE, JAKI NA ŻYCIE CZŁOWIEKA MOGĄ MIEĆ: JEDEN BARBABYZM I SIEDEM SOLECYZMÓW

Wszystkie przytoczone szczegóły były potrzebne czytelnikowi (niezależnie od stopnia jego domyślności), by mógł lepiej zrozumieć całą grozę sytuacji, w jakiej się znalazł Pitou po wyjściu ze szkoły. W ciężkiej zadumie, która w gruncie rzeczy nie była niczym innym jak kompletnym otepieniem, z jedną ręką zwisającą wzdłuż ciała i drugą trzymającą w równowadze niesiony na głowie pulpit, Pitou podążał w stronę Pleux, przy czym w uszach wciąż jeszcze miał rozwścieczone wyzwiska, jakie na jego głowę ciskał ojczulek Fortier.

W umyśle chłopca zwolna rodziła się pewna myśl i wreszcie, te oto trzy słowa, w których zawarło się wszystko, wydarły się z jego ust:

— O Boże! Ciotka!

W samej bowiem rzeczy: co powie ciotka Angelika na obrócenie wniwecz wszystkich jej marzeń?

Ale cóż mógł nieszczęsny Pitou wiedzieć o zamiarach, jakie żywiła jego ciotka? Nie więcej chyba od mądrego i oddanego psiska, które umie je odgadnąć z wyrazu twarzy swego pana.

Instynkt, który jest w takich wypadkach niezawodnym przewodnikiem, nigdy nie myli, podczas gdy rozumowanie kierujące się wyobraźnią może być niekiedy zawodne.

Myśli nurtujące w głowie Pitou i żaloszny okrzyk, jaki się wydarł z jego ust, a którego treść poznaliśmy przed chwilą, świadczyły dobitnie o tym, że chłopiec doskonale zdawał sobie sprawę z niezadowolenia, jakie wywoła u ciotki ta fatalna wiadomość. Z doświadczenia wiedział, w jaki sposób ono się wyładowuje, jednak tym razem przyczyna była czymś tak nieprzewidywanym, że skutki ciotczyne gniewu mogły również przybrać zgoła nieoczekiwane rozmiary.

Oto straszliwy nastrój, w jakim Pitou przyszedł do Pleux, przy czym na przebycie drogi od bramy probostwa do wylotu uliczki zużył cały kwadrans, chociaż nie wynosiła ona więcej niż trzysta kroków. W tej samej chwili zegar na wieży kościelnej wydzwaniał godzinę.

Pitou stwierdził, że podniosła rozmowa z ojczulkiem Fortierem oraz powolne tempo, w jakim przebył drogę, kazały mu się spóźnić o całą godzinę, a wobec tego, że dopuszczalne półgodzinne spóźnienie dawno minęło, więc oznaczało to z kolei, że o otrzymaniu obiadu u ciotki Angeliki nie może być mowy.

Wspomnieliśmy już o tym, że owo pozbawianie go obiadu było przez ciotkę uważane za bardzo skuteczny hamulec, nakładany zarówno na przewinienia, jak na szaleńcze wybryki jej bratanka. Tą drogą udało się jej zaoszczędzić na nieszczęsnym Pitou co najmniej sześćdziesiąt obiadów.

Ale tym razem powodem obaw opieszałego ucznia nie był cienki obiadek, jakim częstowała go ciotunia. Było mu tak smutno na duszy, że nawet nie czuł pustki w żołądku.

Istnieje pewna okropna tortura dobrze znana każdemu uczniowi (nawet największemu matołowi), polegająca na tym, że po wypędzeniu ze szkoły taki chłopiec ukryty wbrew woli w jakimś zacisznym kąciuku, musi patrzeć na to, jak jego koledzy z zeszytami i książkami w ręce podążają do szkoły na codzienne zajęcia. W takich chwilach szkoła staje się dla niego czymś szczególnie umiłowanym, a wszelkie ćwiczenia i wypracowania, które go zazwyczaj niewiele obchodziły, a nad którymi teraz ślęczą jego koledzy, nabierają dla niego naraz niebywałej wartości. Jest sporo podobieństwa pomiędzy takim wypadkiem, a wyklętym za bezbożnictwo człowiekiem, którego pożera pragnienie wysłuchania mszy, a któremu został wzbroniony wstęp

do kościoła.

Oto dlaczego, w miarę zbliżania się do domu ciotki, dalszy pobyt w nim zaczął się przedstawiać biednemu Pitou w najczarniejszych kolorach. Dla tej samej przyczyny po raz pierwszy w życiu szkoła wydała mu się czymś w rodzaju rajy na ziemi, z którego przepędził go nie miecz ognisty, lecz dyscyplina ojczulka Fortiera.

Ale pomimo iż Pitou szedł krok za krokiem i zatrzymywał się raz po raz, kiedyś musiał jednak wejść do domu, do którego czuł tak niekłamaną odrazę. Powłócząc buciorami i pocierając dłonią porcięta, stanął oto na jego progu.

— Ach, ciotuniu, taki jestem chory! — powiedział, by uprzedzić wszelkie uszczypliwości i wyrzuty oraz pragnąc jednocześnie wzbudzić w ciotce uczucie litości.

— Już ja się znam na tej chorobie! — odrzekła ciotka. — Niechbym tylko cofnęła o półtorej godziny wskazówkę na zegarze, a od razu byś ozdrowiał.

— Nie! — odpowiedział Pitou z jawną goryczą. — Ani trochę nie chce mi się jeść...

Ciotka Angelika zdziwiła się i niemal zaniepokoiła. Choroba dziecka w równym stopniu budzi obawy w dobrych matkach, jak i w macochach. Dobre matki niepokoją się z powodu niebezpieczeństwa, na jakie naraża dziecko choroba, a macochy — z powodu kosztów, jakie ona za sobą pociąga.

— No i co ci jest, gadajże! — zawołała stara panna.

Na te słowa, wypowiedziane zresztą bez szczególnej czułości, Pitou rozbeczał się, i trzeba wyznać, że temu przejściu od skarg do łez towarzyszył jeden z najszykaradniejszych grymasów, jaki można było kiedykolwiek zobaczyć.

— O, ciotuniu najdroższa! Spotkało mnie straszne nieszczęście!...

— Jakie nieszczęście? — dopytywała się stara panna.

— Ojczulek mnie wyrzucił! — lamentował Pitou, wybuchając jeszcze głośniejszym płaczem.

— Wyrzucił? — zapytała ciotka powtórnie, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi.

— Tak, ciotuniu...

— Ale skąd cię wyrzucił?

— Ze szkoły.

Łkania Pitou przybrały na sile.

— Ze szkoły?

— Tak, proszę ciotuni...

— Całkiem cię wyrzucił?

— Tak... ciotuniu...

— W takim razie już mowy nie ma o żadnych egzaminach, stypendiach i o wstąpieniu do seminarium?

Szlochania Pitou zamieniły się w ryk. Ciotka bacznie przyjrzała mu się, jakby pragnąc sięgnąć do dna serca swego bratanka i tam odczytać powody wypędzenia go ze szkoły.

— Założę się, że znów wagarowałeś i włączyłeś się dokoła zagrody starego Billota! I to kto! Przyszły ksiądz! A pfe!

Pitou zaprzeczył ruchem głowy.

— Kłamiesz! — krzyknęła stara panna, której wściekłość rosła wraz z przeświadczeniem, że to nie są żarty. — Kłamiesz! Nie dawniej jak w niedzielę widziano ciebie i Billotkę w Alei Westchnień.

Tym razem ciotka mówiła nieprawdę, wszakże powszechnie wiadomo, że dewotki zawsze kłamią w imię jezuickiej zasady: „Wolno się posługiwać kłamstwem, gdy się chce dociec prawdy!”

— To niemożliwe! — odparł Pitou. — Nikt mnie nie mógł widzieć w Alei Westchnień, bo my

zawsze spacerujemy po tej stronie, gdzie jest oranżeria.

— Aha, nicponiu jeden! Okazuje się, że byłeś z nią!

— Ależ ciotuniu — bronił się Pitou z rumieńcem na twarzy — to wcale nie była panna Billot!

— Możesz ją sobie nazywać „panną” dla ukrycia swoich bezeceństw, już ja powiem jej spowiednikowi, jak się ta lafirynda prowadzi!

— Ależ, ciotuniu, przysięgam, że panna Billot nie jest żadną lafiryndą!

— Jeszcze ją będziesz bronił, kiedy sam siebie powinieneś bronić! Dobraliście się, co? Ładne rzeczy, nie ma co mówić!... I to takie smyki, co nie mają więcej niż szesnaście lat!

— Niechże ciotunia pozwoli... wcale się nie dobrałem z Katarzynką, bo ona mnie zawsze pędzi precz...

— Więc to tak! Teraz sam się wygadałeś! To ty do niej mówisz po imieniu, tak po prostu „Katarzynko”... a ona... ta obłudnica, przepędza ciebie, kiedy inni na to patrzą...

— Hm! — mruknął nagle Pitou zrozumiałwszy wszystko. — To prawda... nigdy mi to nie przyszło na myśl...

— A widzisz! — rzekła stara panna, wykorzystując naiwny okrzyk swego bratanka, aby go przekonać o znowie z Billotką. — Bądź spokojny, już ja to wszystko naprawię. Ksiądz Fortier jest jej spowiednikiem. Poproszę go, aby ciebie wpakował do kozy na piętnaście dni, gdzie będziesz siedział o chlebie i wodzie. A jeżeli chodzi o tę pannicę, to zakosztuje klasztoru, jeżeli tego będzie potrzeba dla poskromienia jej miłosnych zapałów dla ciebie... Bądź pewien, pošlemy ją do Saint-Remy.

Stara panna wypowiedziała ostatnie słowa z taką pewnością siebie i mocą, że biedny Pitou aż zadrżał.

— Ciotuniu najdroższa — rzekł składając błagalnie ręce — przysięgam, że ciotunia się myli, jeżeli przypuszcza, że panna Billot jest bodaj trochę winna temu nieszczęściu, które mnie spotkało.

— Zepsucie to matka wszystkich przywar! — przerwała mu ciotka, z patosem wygłaszając ten aforyzm.

— Ciotuniu, jeszcze raz mówię, że ojczulek nie wyrzucił mnie ze szkoły za to, że jestem zepsuty, tylko za to, że przez nieuwagę napakowałem do wypracowania za dużo barbaryzmów i solecyzmów, a to, jak ojczulek Fortier powiada, pozbawia mnie wszelkich widoków otrzymania stypendium.

— Wszelkich widoków, powiadasz? Więc nie otrzymasz tego stypendium, nie zostaniesz księdzem, a ja nie będę ci prowadziła gospodarstwa?

— Niestety, kochana ciotuniu...

— No i co teraz z tobą będzie? — zapytała stara panna przerażona do reszty.

— Nie wiem... — Pitou podniósł żałośnie oczy do góry i rzekł: — Tak będzie, jak zechce Opatrzność!

— Opatrzność? Aha! Teraz już wiem, o co tu chodzi! — zawołała ciotka Angelika. — Musieli mu nakłaść do głowy nowych idei i zarazić nową filozofią...

— Nie, ciotuniu; to nie dlatego, bo przecież nie można zacząć się uczyć filozofii, zanim się nie przejdzie retoryki, a ja nigdy nie mogłem dojść dalej niż do trzeciej klasy...

— Żarty sobie będziesz stroił! To nie o tę filozofię mi chodzi... Mam na myśli tych mądrałów-filozofów, jak pan Arouet albo ten Jan Jakub czy też pan Diderot, co to napisał *Zakonnice*.

Panna Angelika przeżegnała się.

— *Zakonnice*? — zapytał Pitou. — A co to jest, proszę ciotuni?

— Przyznaj się, nicponiu, czytałeś to?

— Przysięgam, że nie czytałem.
— Teraz już zrozumiałam, dlaczego nie chcesz być sługą Kościoła!
— Ciotunia się myli... To Kościół mnie nie chce...
— To prawdziwy wąż z tego dzieciaka! Ze wszystkiego potrafi się wyśliznąć...
— Skądże znowu, ciotuniu... ja tylko odpowiadam.
— Chłopak jest zgubiony na zawsze! — zawołała stara panna w najwyższym przygnębieniu, opadając na swój ulubiony fotel.

W tym wypadku „zgubiony” oznaczało, że to ona raczej uważa siebie za zgubioną.

Niebezpieczeństwo było bliskie. Ciotka Angelika powzięła niezwłoczną decyzję. Podniosła się z miejsca, jak gdyby ktoś ulokował sprężynę w jej nogach i pobiegła do księdza Fortiera po wyjaśnienia, a przede wszystkim, by spróbować jeszcze coś wskórać w tej sprawie.

Pitou odprowadził oczami ciotkę aż do progu. Następnie, gdy już wyszła, stanął w drzwiach i zobaczył, jak ciotka z szybkością której by się nikt u niej nie spodziewał, zdążyła w kierunku ulicy Soissons. Od tej chwili nie miał już wątpliwości co do jej zamiarów i był jak najbardziej przekonany, że ciotka udała się do jego nauczyciela.

Oznaczało to dla niego co najmniej kwadrans niczym nie zakłóconego spokoju. Pitou zastanowił się nad tym, jak wykorzystać ten czas darowany mu przez Opatrzność: po pierwsze pozbierał resztki obiadu swej ciotki i nakarmił nim swoje jaszczurki, następnie złapał dwie, trzy muchy dla swoich mrówek i żab, a w końcu otworzył po kolei skrzynię na chleb i kredens, by się samemu posilić, gdyż zostawiony sam sobie poczuł, że odzyskuje apetyt.

Kiedy wszystko to miał już za sobą, stanął na czatach w progu, by nie być zaskoczonym nagłym powrotem swej drugiej matki. (Ciocia Angelika uważała siebie za drugą matkę Pitou).

Podczas gdy chłopiec czatował, pewna prześliczna, młoda panna ukazała się przy wjeździe do Pleux, na drodze wiodącej przez ulicę Soissons na ulicę Lormet. Panna siedziała na grzbiecie konika obładowanego koszykami, w których były, kurczęta po jednej i gołębie po drugiej stronie.

Była to Katarzyna. Kiedy zauważyła, że Pitou stoi na progu domu ciotki, zatrzymała się.

Chłopak swoim zwyczajem zaczerwienił się jak bura!?: i z szeroko otwartymi ustami patrzył na nią pełen zachwytu. Panna Billot była dla Pitou uosobieniem największego piękna, dostępnego dla ludzi.

Katarzyna skierowała swój wzrok na uliczkę, pozdrowiła Pitou lekkim skinieniem głowy i udała się w dalszą drogę. Chłopiec odpowiedział na ukłon, nie posiadając się z radości.

Ta króciutka scena trwała jednak dostatecznie długo, by Pitou, cały pogrążony w marzeniach i wpatrzony w miejsce, na którym stała przed chwilą piękna Katarzynka, nie zauważył, jak jego ciotka powróciła od księdza Fortiera. Za chwilę, trzęsąc się cała ze złości, mocno chwyciła za rękę swego bratanka.

Pitou brutalnie wyrwany ze słodkiego rozmarzenia szorstkim dotknięciem ręki ciotki Angeliki, które zawsze działało na niego jak prąd elektryczny, odwrócił się, z początku skierował oczy na jej wykrzywioną złością twarz, a następnie na swoją rękę i ku swojemu przerażeniu stwierdził, że trzyma w niej potężną kromkę chleba, aż nazbyt obficie posmarowaną dwiema warstwami masła i twarogu.

Panna Angelika wydała okrzyk wściekłości, a Pitou — jęk przerażenia. Ciotka podniosła do góry uwięzioną rękę. Pitou opuścił głowę. Ciotka sięgnęła po miotłę, znajdującą się na nieszczęście zbyt blisko, a Pitou wypuścił z garści trzymaną kromkę i bez żadnych wyjaśnień dał czym prędzej drapak.

Obydwa serca zrozumiały się jak najlepiej: wiedziały, że wszystko pomiędzy nimi jest na zawsze skończone.

Stara panna weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi na dwa spusty.

Skrzypnięcie zamka przeraziło Pitou niczym dalszy ciąg burzy. Szybkość, z jaką uciekał, podwoiła się.

Cały ten incydent skończył się więc w sposób zgoła przez pannę Angelikę nieprzewidziany, przy czym należy stwierdzić, że Pitou również z całą pewnością nie przewidywał takiego jej zakończenia.

V WIEŚNIAK—FILOZOF

Pitou wrywał, jak gdyby goniła go cała sfera diabłów i wkrótce znalazł się poza obrębem miasta. Skręcając na rogu cmentarza o mało nie wpadł na koński zad.

— Wielki Boże! — rozległ się czyjś słodki i dobrze znany mu głosik. — Dokąd pan tak pędzi? Niewiele brakowało, a mój koń byłby mnie poniósł, tak go pan przestraszył.

— O, panno Katarzyno! — zawołał Pitou, odpowiadając raczej swoim myśлом, niż skierowanym do niego słowom młodej panny. — Co za nieszczęście!... Mój Boże! Co za nieszczęście!

— Na miły Bóg, przeraża mnie pan! — rzekła panna zatrzymując konia na środku drogi. — Niechże pan powie, co się stało?

— To się stało — odpowiedział Pitou takim tonem, jak gdyby powierzał jej tajemnicę wyrządzonej mu krzywdy — że nie będę już mógł zostać księdzem!

— Nie będzie pan mógł zostać księdzem?

— Niestety — odrzekł wielce zmieszany Pitou — mam wrażenie, że to jest niemożliwe...

— Ha! W takim razie zostanie pan żołnierzem! — rzekła Katarzynka.

— Żołnierzem?

— Ależ oczywiście! To nie ma sensu wpadać w rozpacz z tak błahego powodu... Z początku byłam przekonana, że mnie pan powiadomi o nagłej śmierci swojej ciotki.

— Ach — odparł chłopiec głęboko przejęty — dla mnie to jest tyleż, co gdyby umarła, bo mnie wypędziła...

— Przepraszam — odrzekła Billotka śmiejąc się — brakuje tylko, żeby się pan rozplakał... — Katarzynka wybuchnęła takim wesołym śmiechem, że Pitou znów poczuł się zmieszany.

— Czy pani nie słyszała, że ona mnie wypędziła? — powtórzył zrozpaczony wychowanek proboszcza Fortiera.

— I co z tego? Tym lepiej! — odpowiedziała Katarzyna.

— Dobrze się pani śmiać, panno Katarzyno. Ma pani bardzo szczęśliwe usposobienie, cudze nieszczęścia nie robią widocznie na pani wielkiego wrażenia.

— A skąd pan wie, że nie byłoby mi pana żal, gdyby pana spotkało nieszczęście?

— Żałowałaby mnie pani, gdyby mnie spotkało prawdziwe nieszczęście? A czy pani wie, że ja nie mam z czego żyć?

— W takim razie — jeszcze lepiej! — odpowiedziała Katarzyna.

Pitou stał, nic nie rozumiejąc.

— A kto mi da jeść? Chyba pani przyzna, że bez tego ani rusz... Zwłaszcza gdy chodzi o mnie... zawsze jestem głodny...

— To pan nie chce pracować?

— Pracować? Jak? Proboszcz Fortier i moja ciotka co najmniej ze sto razy wbijali mi w głowę, że ja się do niczego nie nadaję. Ba, żeby mnie byli oddali do terminu do jakiegoś stolarza albo stelmacha, zamiast robić ze mnie księdza!... Nie ma co mówić, panno Katarzyno, jakieś przekleństwo zawisło nade mną.

— Cóż na to poradzić! — odparła panna ze współczuciem, znając równie dobrze, jak wszyscy dokoła, żalosne dzieje Pitou. — Niestety, w tym, co pan mówi, jest sporo prawdy, ale dlaczego nie robi pan pewnego kroku?

— Jakiego? — zapytał Pitou czepiając się kurczowo, niczym tonący gałęzi, spodziewanej

propozycji Billotki. — Jakiego kroku?

— O ile mi wiadomo, ma pan opiekuna.

— Tak. Jest nim doktor Gilbert.

— Kolegował pan w jednej klasie z jego synem, który także chodził do szkoły księdza Fortiera.

— Oczywiście... i przy tym nieraz stawałem w jego obronie.

— No i dlaczego nie zwróci się pan do jego ojca? Z pewnością nie odmówi panu pomocy.

— Ba! Zrobiłbym to z pewnością, gdybym wiedział, gdzie on się obraca... A może pani ojciec, panno Katarzyno, wie... bo przecież doktor Gilbert jest właścicielem zagrody, w której mieszkanie...

— Wiem tylko tyle, że część czynszu za dzierżawę kazał sobie przysłać do Ameryki, a resztę ulokował u reagenta w Paryżu.

— Ach! — westchnął Pitou. — Ameryka! To tak daleko..

— Czy pan chce wyjechać do Ameryki? — zawołała panna, przerażona ewentualną decyzją Pitou.

— Ja? Nigdy, panno Katarzyno! Nigdy! Niechbym tylko znalazł takie miejsce, gdzie dostałbym coś do jedzenia, a czułbym się we Francji najlepiej.

— To doskonale! — powtórzyła parokrotnie Billotka. Pitou opuścił oczy. Młoda panna milczała. To milczenie przedłużało się. Pitou pogрузzył się w marzeniach, które z pewnością wiele zdziwiłyby ojczulka Fortiera, jako człowieka nawykłego do logicznego rozumowania.

Tymczasem konik panny Katarzyny ruszył w dalszą drogę, a Pitou szedł tuż obok niego, z ręką wspartą na jednym z koszyków. Panna Katarzynka, podobnie jak Pitou, również utonęła w marzeniach i puściła cugle, nie obawiając się widocznie, że jej rumak może ją ponieść.

Konik zatrzymał się, a wraz z nim i Pitou. Przybyli bowiem na miejsce.

— To ty, Pitou! — zawołał potężnie zbudowany mężczyzna, który stał na szeroko rozstawionych nogach tuż nad sadzawką i poił konia.

— Tak, to ja, panie Billot, we własnej osobie!

— Niestety spotkało naszego biednego Pitou, ciotka wypędziła go z domu! — powiedziała Katarzynka zeskakując z konia i nie robiąc sobie nic z tego, że zawinięta spódnica zdradziła kolor jej podwiązek.

— I cóż on takiego zrobił tej starej dewotce? — zapytał stary Billot.

— Mam złe stopnie z greki — odpowiedział Pitou. (Nicpoń chwalił się, bo chodziło przecież o łacinę).

— Hm... Złe stopnie z greki... — rzekł ów człowiek o barczystych ramionach. — A co by ci przyszło z dobrych?

— Mógłbym tłumaczyć Teokryta i czytać *Iliadę*.

— A co byś miał z tego, że potrafiłbyś tłumaczyć Teokryta i czytać *Iliadę*?

— Pomogłoby mi to zostać księdzem.

— Gadanie! — rzekł stary Billot. — A czy ja znam grekę, czy znam łacinę, czy bodaj znam francuski? Czy umiem pisać albo czytać? He? A czy to mi przeszkadza siać, zbierać plony, ładować je do spichrza?

— Tak, ale pan, panie Billot, nie jest księdzem... jest pan rolnikiem, *agricola*, jak powiada Wergiliusz. *O fortunatos nimium...*

— Dobrze, dobrze... A czy tobie się zdaje, że rolnik nie jest tyle samo wart co jakiś księżulo? No, gadajże, ty niedoszła pało! Zwłaszcza jeżeli ten rolnik ma sześćdziesiąt mórg ziemi na słoneczku i tysiąc ludwików w cieniu.

— Zawsze mi mówiono, że najlepszą rzeczą na świecie jest być księdzem, ale muszę się

przyznać — dodał Pitou z najmiłszym uśmiechem — że nie zawsze słuchałem tego, co mi mówiono.

— Więc ci powiem na ostatku — miałeś rację, miły bratku! Widzisz, jakbym chciał, to bym potrafił układać wiersze jak każdy inny. Mnie się zdaje, że ty byś się, mój chłopcze, nadawał na coś lepszego niż na księdza i masz szczęście, że nim nie zostaniesz, zwłaszcza w tych czasach. Bo ja jestem rolni kiera i stąd znani się na czasach, a te, które idą, nie będą dobre dla księży.

— Któż to może wiedzieć! — odparł Pitou.

— Nadchodzi burza — rzekł stary. — Możesz mi wierzyć. Jesteś człowiekiem uczciwym, wykształconym...

Pitou złożył mu niski pokłon, sprawiło mu bowiem ogromną przyjemność, że po raz pierwszy w życiu nazwano go wykształconym człowiekiem.

— Potrafisz i bez tego zarobić na życie — ciągnął dalej stary Billot.

Córka, wyładowując kurczęta i gołębie, z zaciekawieniem przysłuchiwała się rozmowie Pitou z ojcem.

— Zarobić na życie? — powtórzył Pitou, — Zdaje mi się, że to nie takie łatwe...

— A co potrafisz?

— Umieję zastawiać sidła i wnyki... potrafię całkiem dobrze naśladować ptaki, prawda, panno Katarzyno?

— To prawda... potrafi zaśpiewać całkiem jak zięba.

— I co z tego? To żadne zajęcie! — odparł stary. — Do licha, ja też to mówię!

— Umiesz przeklinać, to zawsze coś!

— O, przepraszam, panie Billot... to mi się wyrwało...

— Nie masz potrzeby przepraszać — odpowiedział stary wieśniak. — Mnie się to też czasami przytrafia...

— Ej... ty!... Do stu tysięcy piorunów! — zawołał nagle odwracając się do konia. — Będziesz mi stał spokojnie?! To prawdziwe szatany te perszerony. Wiecznie muszą się wiercić i kręcić. A teraz powiedz mi — rzekł odwracając się do Pitou — leniuch z ciebie, co?

— Nie wiem... Nigdy dotychczas nic nie odrabiałem oprócz lekcji z greki i łaciny, no i...

— I co?

— Muszę przyznać, że się nie przemęczałem zbyt pracą...

— Tym lepiej. To świadczy, że nie jesteś jeszcze taki głupi, za jakiego cię miałem.

Pitou szeroko wybałuszył oczy, po raz pierwszy bowiem wypadło mu usłyszeć o sobie coś, co zdecydowanie przeczyło wszystkim poglądom o nim, z jakimi miał dotychczas do czynienia.

— Pytam się ciebie — powtórzył stary wieśniak — czy się łatwo męczysz?

— Czy się łatwo męczę? A, to całkiem co innego... Nie... nie bardzo... Mogę przemaszerować dziesięć mil bez żadnego zmęczenia.

— To całkiem niezłe... Jak ci jeszcze ubędzie parę funtów, będziesz mógł zostać szybkobiegaczem...

— To ja miałbym jeszcze schudnąć? — odparł Pitou spoglądając na swą szczupłą postać, kościste ramiona i nogi, długie jak tyki. — Mnie się zdaje, panie Billot, że jestem i tak dosyć chudy.

— Masz rację, przyjacielu — rzekł stary Billot wybuchając śmiechem — ależ z ciebie prawdziwe cudo!

Pitou jeszcze raz został ku swemu zdumieniu oceniony tak niezwykle wysoko. Słowem: jedna niespodzianka po drugiej.

— Posłuchaj no, mój chłopcze! — zwrócił się do niego wieśniak. — Pytam się, czy bardzo jesteś skory do pracy.

— Do jakiej?

— W ogóle — do każdej pracy.

— Nie wiem... jeszcze nigdy nie pracowałem. Młoda Billotka znów parsknęła śmiechem, ale tym razem ojciec mówił poważnie.

— A to dopiero gałgany z tych księży! — powiedział wyciągając swą ciężką pięść w stronę miasta. — Oto jak wychowują młodzież... na próżniaków, z których nie ma żadnego pożytku! I niech mi kto powie, co przyjdzie z takiego dryblasła któremu z braci...

— Wiem, że niewiele — odpowiedział Pitou — ale na szczęście nie mam żadnych braci.

— Jeżeli powiadam „braci” — rzekł stary Billot — to mam na myśli wszystkich ludzi... A może jesteś tego zdania, że wszyscy ludzie nie są braćmi?

— Są... z pewnością... Zresztą tak powiada Pismo święte.

— I przy tym są równi sobie! — mówi dalej Billot.

— To już całkiem inna sprawa — zaprzeczył Pitou. — Gdybym ja był równy ojczulkowi Fortierowi, nie częstowałby mnie tak często dyscypliną, a gdybym był równy ciotce — nie wypędziłaby mnie z domu.

— A ja ci powiadam, że wszyscy ludzie są równi — podjął na nowo stary wieśniak — i wkrótce przekonamy o tym tyranów!

— *Tyrannis!* — powtórzył za nim Pitou.

— Na dowód czego — rzekł Billot — biorę cię do siebie!

— Drogi panie Billot, bierze mnie pan do swego domu? Ale czy pan to mówi serio i nie pokpiwa sobie ze mnie?

— Ani trochę. Wiele ci potrzeba na utrzymanie?

— Bo ja wiem... Coś około trzech funtów chleba dziennie.

— A co do tego chleba?

— Odrobinę masła i sera.

— Trzeba przyznać, że nie dużo wymagasz, jeżeli chodzi o odżywianie... Dobrze... Nakarmimy ciebie.

— Panie Pitou — wtrąciła Katarzyna — czy nie ma pan żadnej innej prośby do mego ojca?

— Ja? Chyba nie, panno Katarzyno.

— Więc w takim razie, po co pan tu przyszedł?

— Szedłem za panią...

— Ależ to uprzejmie z pańskiej strony, nie ma co mówić! Nie biorę jednak tego do siebie. Przecież pan przyszedł, żeby się dowiedzieć czegoś od mego ojca o swoim opiekunie.

— Prawda! Całkiem o tym zapomniałem!

— Chodzi ci o czciwego pana Gilberta? — zapytał stary Billot tonem, który świadczył o głębokim szacunku, jaki żywił dla swego chlebobdawcy.

— Tak — odpowiedział Pitou — ale nie jest mi to już potrzebne. Wobec tego, że przyjmuje mnie pan do swego domu, mogę spokojnie czekać, aż doktor Gilbert wróci z Ameryki.

— W takim razie, mój przyjacielu, nie będziesz musiał czekać zbyt długo, bo on już powrócił.

— Kiedy? — zawołał Pitou.

— Nie wiem dokładnie... jest mi jednak wiadomo, że przed tygodniem był w Hawrze. Mam w torbie paczkę wysłaną przez niego z Hawru i doręczoną mi dzisiejszego rana w Villers-Cotterets. Macie ją tu jako dowód.

— A skąd wiesz, ojczy — zapytała Katarzyna — że to od niego?

— Skąd? Przecież w paczce był list.

— Bardzo cię przepraszam, ojczulku — rzekła z uśmiechem dziewczyna — lecz o ile wiem, nie umiesz czytać i nawet się tym nieraz chwalisz...

— Owszem, chwałę się! Chcę, by można było o mnie powiedzieć: „Stary Billot nikomu nie ma nic do zawdzięczenia — nawet nauczycielowi szkolnemu! Sam się dorobił wszystkiego!” Właśnie chcę, żeby tak o mnie mówiono... a listu sam nie przeczytałem, zrobił to za mnie sierżant żandarmerii, którego spotkałem.

— I co było w tym liście? Czy pan doktor w dalszym ciągu jest zadowolony z ojca?

— Sama się przekonaj.

Mówiąc to stary wieśniak wydobyl ze skórzanego pugilaresu list, który wręczył córce. Katarzyna zaczęła czytać:

„Drogi panie Billot!

Wróciłem z Ameryki, gdzie spotkałem naród bogatszy, większy i szczęśliwszy od naszego. Przyczyną jest to, że jest wolny, nie tak jak my. Ale i my również idziemy ku lepszym czasom i trzeba, by każdy pracował dla przyspieszenia owego dnia, kiedy i dla nas rozbłyśnie światło. Znam pańskie poglądy, drogi panie Billot, wiem, jaki wpływ wywiera pan na swoich przyjaciół rolników, i w ogóle na całe środowisko dzielnych rzemieślników i ludzi pracy, którym pan przewodzi nie jak król, ale jak prawdziwy ojciec. Niech im pan zaszczepi zasady poświęcenia i braterstwa, które odkryłem w panu. Filozofia winna stać się wiedzą powszechną, wszyscy ludzie przy jej blasku winni poznać swe prawa i swe obowiązki. Posyłam panu niewielką książeczkę, w której są wyluszczone wszystkie te obowiązki i prawa. Książeczka jest napisana przeze mnie, aczkolwiek moje imię nie figuruje na tytułowej stronie. Niech pan rozpowszechnia zawarte w niej zasady, głoszące równość dla wszystkich, niech pan ją da do czytania na głos podczas długich zimowych wieczorów. Książka jest strawą dla myśli, podobnie jak chleb jest nią dla ciała.

Za parę dni przyjadę do pana i zaproponuję mu nowy rodzaj dzierżawy, bardzo przyjęty w Ameryce. Polega on na podziale zbiorów pomiędzy rolnika a właściciela. Moim zdaniem bardziej odpowiada on prawom, jakie obowiązywały w społeczeństwie pierwotnym, a zwłaszcza prawom boskim.

Braterskie pozdrowienia! Honoriusz Gilbert, Obywatel Filadelfii.”

— No, no — rzekł Pitou — to dopiero pięknie ułożony list!

— Prawda? — zapytał stary Billot.

— Tak, drogi ojciec — dodała Katarzyna — wątpię jednak, czy porucznik żandarmerii będzie tego samego zdania.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że ten list kompromituje nie tylko doktora Gilberta, ale i ciebie, ojciec.

— E, tam! — odparł stary wieśniak. — Ty się zawsze wszystkiego boisz. Grunt, że mamy tę książeczkę i znaleźliśmy dla ciebie, mój Pitou, doskonałe zajęcie. Będiesz ją nam wieczorami czytał.

— A co będę robił w ciągu dnia?

— W ciągu dnia będziesz pasał owce i krowy. Zachowaj tymczasem tę książeczkę.

Stary wieśniak wydobyl z torby jedną z tych niewielkich broszur w czerwonej okładce, jakie w owym czasie były masowo drukowane za zezwoleniem władz i bez niego. Trzeba jednak dodać, że w tym drugim wypadku autorowi groziło zesłanie na galery, na ciężkie roboty.

— Przeczytaj mi, chłopcze, na razie sam tytuł, abym mógł mówić o nim, zanim poznam treść. Później przeczytasz mi resztę.

Pitou odczytał na tytułowej karcie słowa, które z czasem wiele straciły na znaczeniu, ale które wtedy znajdowały głęboki oddźwięk w sercu każdego:

O wolności ludzi i niepodległości narodów.

— I cóż ty na to, mój chłopcze? — zapytał wieśniak.

— Mnie się zdaje, panie Billot, że niepodległość i wolność to jest to samo. Mój opiekun zostałby wyrzucony z klasy przez księdza Fortiera za posługiwanie się pleonazmami.

— A niech tam sobie będą pleonazmy, tę książkę napisał człowiek jak się patrzy!

— Bardzo możliwe, mój ojciec — wtrąciła Katarzyna, wiedzioną nieomylnym instynktem, właściwym kobietom — ale najlepiej będzie, jeżeli ją gdzieś schowasz. Błagam cię o to.

Może sprowadzić na nas nie byle jakie kłopoty. Dygoć cała na sam jej widok.

— Dlaczegoż by miała sprawić mi kłopoty, skoro ich nie sprawiła jej autorowi?...

— Skąd możesz wiedzieć, ojciec? List był napisany przed tygodniem, a przecież przesyłka nie mogła tak długo wędrować z Hawru, nim przysłała do nas. Ja również otrzymałam dziś z rana list.

— Od kogo?

— Od Sebastiana Gilberta, który pisze do nas w swoim imieniu i poleca przekazać różne wiadomości swemu przybranemu bratu. Zupełnie o tym zapomniałam...

— I o co mu chodzi?

— Otóż pisze, że od trzech dni oczekuje w Paryżu przybycia ojca, który miał przyjechać i jakoś nie przyjeżdża.

— Panna Katarzyna ma słuszną uwagę — zauważył Pitou — to opóźnienie jest niepokojące.

— Bądź cicho, ty tchórzu, i przeczytaj rozprawę doktora! — odpowiedział Billot. — Pomoże ci zostać nie tylko uczone, ale i prawdziwym mężczyzną.

Takie oto rozmowy prowadzono w przeddzień wielkich wydarzeń, równych wielkim dziejom Grecji i Rzymu, a które lud francuski w ciągu dziesięciu lat naśladował we wszystkich kolejnych fazach: poświęceń, banicji, zwycięstw i niewoli.

Pitou z tak uroczystą miną umieścił książkę pod pachą, że do reszty zjednął sobie serce wieśniaka.

— A teraz... jeszcze coś — powiedział stary wieśniak. — Jadłeś, chłopcze, obiad?

— Nie, proszę pana — odrzekł Pitou, trwając nadal w owym niemal zbożnym i bohaterskim nastroju, jaki go opanował od chwili, gdy otrzymał do rąk ową książkę.

— Właśnie zabierał się do obiadu, kiedy go wypędzono — dodała Katarzyna.

— W takim razie udaj się do mojej żony, bo ona tu rządzi, a jutro rozpoczniesz swoje zajęcia.

Pitou wymownie — spojrzawszy na starego Billota, wyrażając wzrokiem całą swą wdzięczność, po czym prowadzony przez Katarzynę udał się do kuchni, gdzie królowała sama pani Billot.

VI SIELANKA

Pani Billot była mniej więcej trzydziestopięcioletnią kobietą o imponującej postawie i tuszy, a przy tym pulchniutką, bardzo żwawą i niezmiernie dobroduszną osobą. Krzątała się bez przerwy pomiędzy kurnikiem a gołębnikiem, oborą a owczarnią, pilnując to rosołu, to pieczeni i — niczym dowódca sprawdzający w obozowisku, czy wszystko jest na swoim miejscu — poznawała po zapachu, czy do rondla nasypano dość majeranku lub bobkowego liścia.

Pani Billot nie przestawała gderać to na męża, którego czciła niczym wszechwładnego władcę, to na córkę, którą kochała nie mniej niż w swoim czasie madame de Sevigne ubóstwiała madame de Grignan, wreszcie na swoją służbę, którą karmiła jak żadna inna gospodyni w obrębie najbliższych dziesięciu mil. Toteż służba bardzo ubiegała się o otrzymanie pracy u starego pana Billotta.

Niestety, podobnie jak to bywa z tymi, co pretendują do dostania się do nieba, w tym wypadku również powołanych było więcej aniżeli wybranych.

Byliśmy już świadkami tego, jak Pitou został wybrany, nie będąc bynajmniej powołany.

Umiął należycie ocenić ten uśmiech losu, zwłaszcza gdy, zobaczył z lewej strony rumiany bochenek chleba, dzban z jabłecznikiem z prawej, a spory kawał wieprzowiny tuż przed sobą. Od czasu gdy stracił matkę, co miało miejsce przed pięciu laty, nawet w dniu najbardziej uroczystych świąt nie przytrafiło mu się nic podobnego.

Nic więc dziwnego, że połykając jeden kęs chleba po drugim, objadając się wieprzowiną i popijając ją sporymi łykami jabłecznika, Pitou czuł, jak obok podziwu dla starego Billotta rośnie w nim głęboka cześć dla jego małżonki i miłość dla ich córki. Jedna wszakże myśl pozbawiała go spokoju: były to owe nieco obrażające jego godność czynności, jakie miał spełniać w ciągu dnia pasąc owce i krowy, co nie licowało z funkcjami, którymi go obarczano na wieczór, kiedy miał wpaść ludzkości najwznioślejsze zasady społeczne oraz filozoficzne.

Te właśnie rozmyślenia stanowiły przedmiot poobiednich marzeń naszego bohatera, ale działanie znakomitego obiadku dawało znać o sobie nawet w trakcie snucia owych marzeń.

Obecnie wszystkie te sprawy zaczęły mu się przedstawiać w zgoła odmiennym świetle aniżeli przedtem, kiedy był jeszcze na czczo. Wszak czynności pasterza owiec i krów, które uważał za tak poniżające, były wykonywane zarówno przez bogów, jak i półbogów. Czyż Apollo, znalazłszy się w podobnej, jak on, sytuacji, czyli po wygnaniu z nieba przez Jupitera, co odpowiadało wyrzuceniu Pitou przez ciotkę Angelikę z Pleux, nie został pasterzem i nie pilnował trzody Admetosa? Co prawda ów Admetos był królem pasterzy, ale Apollo też był nie byle kim, bo samym bogiem. A Herkules, czyż nie był czymś w rodzaju poganiacza krów? Bo jak nas poucza mitologia, miał ponoć ciągnąć za ogony krowy Geryona, a to już tylko sprawa przyzwyczajenia, czy się krowy ciągnie za ogony, czy za rogi. Cóż więc miałoby stanąć na przeszkodzie, by Pitou miał bądź ciągnąć krowy, bądź je poganiać? A Tyrteusz, o którym mówi Wergiliusz, czy leżąc pod bukiem nie opiewał pięknymi wierszami chwil wypoczynku darowanego mu przez Augusta — czy on również nie był pasterzem? A wreszcie był nim także i Melibeusz, ten co tak poetycznie użalał się na porzucenie rodzinnego domu.

Rzecz oczywista, że każdy z nich dostatecznie dobrze gadał po łacinie, by móc zostać księdzem, a przecież woleli pasać swe kozy aniżeli odprawiać msze i śpiewać kantyczki. Widocznie zawód pasterza musi posiadać swoje uroki... Ostatecznie nikt przecież nie bronił naszemu bohaterowi, by odzyskał z powrotem godność i stateczność, które był utracił... Nikt nie

mógł mu również zabronić, by wyzwał na turniej wszelakich trubadurów z okolicznych wiosek... Przecież nieraz wyśpiewywał dyszkantem w chórze kościelnym i gdyby się nie był przyzwyczaił do wypróżniania butelczyn księdza Fortiera, co nie bardzo licowało z godnością chłopczyka z kościelnego chóru, kto wie, jak daleko byłby go ten talent zaprowadził? Pitou nie umiał wprawdzie grać na fujarce, ale potrafił znakomicie naśladować głosy wszystkich ptaków. Nie umiał wycinać flecików różnej długości, jak to czynił kochanek Syrinks, ale z kory lip i kasztanów potrafił sporządzać takie świstaki, za które jego koledzy nieraz nagradzali go oklaskami. Pitou mógł więc bez żadnej ujemy dla siebie zostać pasterzem i aczkolwiek nie poniżył się jeszcze dotąd do zajęcia, które w naszych czasach nie było dostatecznie doceniane, to w każdym razie potrafił je podnieść aż do swego poziomu.

Trzeba dodać, że owczarnie podlegały pieczy panny Billot, a słów, które padały z usteczek Katarzynki, nie sposób przecież było uważać za rozkazy. Panna Katarzynka dbała jednak również, by godność Pitou nie została niczym urażona.

Gdy tego samego wieczoru Pitou podszedł do niej, pytając, o której godzinie ma wyruszyć i dołączyć się do innych pasterzy, usłyszał w odpowiedzi te oto słowa:

— Wcale pan nie potrzebuje wyruszać — rzekła panna Katarzyna uśmiechając się.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony.

— Dałam do zrozumienia memu ojcu, że zajęcie, jakie panu powierzono, nie licuje z wykształceniem, jakie pan otrzymał. Zostanie pan na farmie.

— O! — odrzekł Pitou. — W takim razie będę przy pani...

Co prawda te słowa bezwiednie wyrwały się z ust naiwnego młodzika, wołał jednak to, niż zaczerwienić się jak burak. Tymczasem panna Katarzynka pochyliła główkę, nie kryjąc jednak uśmiechu.

— O, niech mi pani wybaczy! To mi się tak mimo woli wyrwało... proszę się na mnie nie gniewać!

Zapadła chwila milczenia, czemu nie należy się zresztą dziwić: tych dwoje młodych powiedziało sobie nawzajem tak wiele, posługując się tak skąpą ilością słów...

— Ale przecież nie mogą pozostać na farmie nic nie robiąc. Czy dostanę jakąś pracę?

— Będzie pan robił to, co ja robiłam, i prowadził książki i rachunki ze służbą, obliczał dochody i wydatki. Umie pan chyba rachować?

— Znam wszystkie cztery działania! — odparł dumnie Pitou.

— Czyli o jedno więcej ode mnie — powiedziała Katarzyna — nigdy nie mogłam dojść dalej niż do trzeciego: mój ojciec, jak pan widzi, biorąc pana na buchaltera doskonale na tym wyjdzie, a ponieważ i ja wygram na tym, i pan też, więc właściwie wszystkim się to opłaci.

— A co pani na tym wygra?

— Ja? Wygram sporo czasu i będę mogła uszyć sobie nowe czepeczki, żeby być ładniejsza...

— Och! Dla mnie — westchnął Pitou — jest pani bardzo piękna i bez tych czepeczków...

— Możliwe... ale to tylko w pańskich oczach... — odpowiedziała panna Katarzynka śmiejąc się. — Nie mogę przecież pójść w niedzielę do Villers-Cotterets na tańce, nie mając czepeczka na głowie. To tylko wielkim damom wypada chodzić z gołą głową i upudrowaną fryzurą.

— A ja uważam, że pani włosy są ładniejsze bez żadnego pudru.

— O, proszę! Widzę, że pan się zabiera do prawienia mi komplementów...

— Ależ skąd, panno Katarzyno! Nie wiem nawet, jak się to robi... U księdza Fortiera nie uczono nas tego...

— A czy uczono was tańców?

— Tańców? — zapytał zdumiony Pitou.

— Tak, tańców.

— Tańce u księdza Fortiera? Co też pani mówi, panno Katarzyno! Ładnych nas tam nauczono tańców... ho, ho...

— Więc pan nie umie tańczyć?

— Nie, nie umiem...

— W takim razie będzie mi pan towarzyszył w niedzielę i przyjrzy się, jak tańczy pan de Charny. To najlepszy tancerz spośród wszystkich okolicznych młodych ludzi...

— Któż to jest ten pan de Charny?

— To właściciel zamku Boursonne...

— I będzie tańczył w niedzielę?

— Z pewnością...

— Z kim?

— Ze mną!

Serce Pitou ścisnęło się, choć nie bardzo wiedział, z jakiej przyczyny...

— Więc aby z nim tańczyć, chce pani pięknie wyglądać? — Aby tańczyć z nim, z innymi, z każdym...

— Z każdym oprócz mnie.

— A dlaczego z panem nie?

— Dlatego, że nie umiem tańczyć...

— To się pan nauczy...

— O, zapewniam panią, gdyby mi pani chciała pokazać, jak to się robi, nauczyłbym się lepiej, niż patrząc na pana de Charny.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy — odpowiedziała Katarzynka. — Tymczasem chodźmy spać, bo już późno. Dobranoc.

— Dobranoc, panno Katarzynko!

To, co panna Billot powiedziała do Pitou, miało swoje dobre i złe strony. Dobre było to, że z pastuszka Pitou został podniesiony do godności księgowego, natomiast złe było, że nie umiał tańczyć, podczas gdy pan de Charny umiał. Przy tym Katarzynka twierdziła, jakoby ten kawaler tańczył lepiej niż wszyscy inni.

Pitou całą noc śniło się, że widzi tańczącego pana de Charny i że on bardzo kiepsko tańczy.

Następnego dnia Pitou zabrał się do roboty pod kierownictwem panny Katarzyny. Zastanowiła go przy tym jedna okoliczność: jak bardzo przyjemnie bywa pobierać naukę od pewnych nauczycieli. Po upływie dwóch godzin Pitou był całkowicie wtajemniczony w arkana swej przyszłej pracy.

— Ach, panno Katarzynko, gdyby zamiast ojczulka Fortiera pani uczyła mnie łaciny, z pewnością nie narobiłbym tylu byków...

— I zostałby pan księdzem?...

— A tak... zostałbym nim...

— I byłbyś uwięziony w seminarium, do którego nie miałaby dostępu żadna kobieta...

— Rzeczywiście! — zawołał Pitou. — Nigdy się nad tym, panno Katarzynko, nie zastanowiłem!... W takim razie wolę nie być księdzem.

O dziewiątej wrócił stary Billot. Wyszedł z domu, kiedy Pitou jeszcze spał. Codziennie o trzeciej z rana wydawał rozkazy przy zaprzęganiu koni i wyruszaniu furmanów w pole, następnie do dziewiątej obchodził pola, by sprawdzić, czy wszyscy są na miejscu i pracują. O dziewiątej wracał na śniadanie do domu i opuszczał go po raz drugi o dziesiątej. O pierwszej w południe spożywano obiad, a po obiedzie, podobnie jak w rannych godzinach, stary Billot znów obchodził swe gospodarstwo. Dzięki temu raz zaprowadzonemu systemowi wszystko znajdowało się w kwitującym stanie.

Jak już wiemy od niego samego, stary Billot był posiadaczem sześćdziesięciu mórg „na słoneczku” i tysiąca ludwików „w cieniu”. Jest wszakże rzeczą bardzo możliwą, że gdyby się policzyło bardziej dokładnie, czyli że gdyby robiąc obliczenia w obecności panny Katarzyny Pitou nie był tak bardzo roztargniony, znalazłoby się parę ludwików i parę mórg więcej, do posiadania których Billot nie przyznawał się.

Podczas śniadania stary wieśniak oznajmił Pitou, że następnego dnia o godzinie dziesiątej z rana odbędzie się w stodole pierwsze czytanie dzieła doktora Gilberta. Pitou nieśmiało zauważył, że o tej godzinie bywa zazwyczaj odprawiana msza, na co stary wieśniak odparł, że umyślnie wybrał tę godzinę, by wystawić na próbę swoich robotników. Jak już mieliśmy okazję stwierdzić, stary Billot był filozofem. Nie znosił księży, uważając ich za głosicieli tyranii, a ilekroć nadarzała mu się sposobność wystąpienia przeciwko klechom, nigdy jej nie zaniedbał. Pani Billot i Katarzyna odważyły się na wtrącenie swoich zastrzeżeń, ale stary Billot powiedział, że jeżeli kobiety chcą, mogą iść na mszę, bo przecież religia została stworzona głównie dla kobiet, natomiast gdy chodzi o mężczyzn, to albo będą obecni przy odczytywaniu dzieła doktora, albo muszą opuścić jego dom.

Nasz filozof Billot był okrutnym despota w własnym domu i jedynie Katarzyna miała prawo przeciwstawić się jego rozkazom, jednak w tych wypadkach, gdy owe rozkazy były niezłomne, stary marszczył brwi, a Katarzynka milczała podobnie jak inni. Jednak Katarzynę najbardziej zaprzętała myśl, jak wyciągnąć z obecnej sytuacji możliwie najwięcej korzyści na rzecz Pitou. Wstając od stołu zwróciła uwagę swemu ojcu na to, że jeżeli Pitou ma jutro powiedzieć tyle pięknych rzeczy i ma pełnić rolę jak gdyby nauczyciela, to stanowczo jest zbyt ubogo ubrany i jako ów nauczyciel nie powinien się oblewać rumieńcem wstydu wobec swych uczniów. W związku z tym stary Billot upoważnił swą córkę, by się porozumiała z panem Dulauroy, mistrzem krawieckim z Villers-Cotterets.

Katarzyna miała całkowitą słuszość — nowe ubranie nie było bynajmniej jakimś zbytkiem dla biedaczyny Pitou: porcięta, które miał na sobie, były wciąż jeszcze te same, które mu sprawił przed pięciu laty doktor Gilbert. Wtedy nieco zbyt długie — dziś były już za krótkie, pomimo iż — przyznajmy to lojalnie — dzięki staraniom ciotki Angeliki były z roku na rok przedłużane o dwa cale. O ile zaś chodzi o marynarkę i kamizelkę, nie było po nich już śladu od z górą dwóch lat i zostały one zastąpione przez drelichowy kaftan, w którym na pierwszych stronicach tej opowieści przedstawiśmy czytelnikom naszego bohatera. Pitou nigdy nie dbał o swoje odzienie. Lustro było sprzętem nieznanym w domu starej panny Toteż nic nie skłaniało Pitou do zakochania się w sobie na wzór Narcyza, a ponadto nigdy mu nie przyszło do głowy, by się przyjrzeć swemu odbiciu w strumyku, nad którym zastawiał swe sidła. Wszakże od chwili, kiedy panna Katarzyna zaproponowała mu, by poszedł z nią na tańce, a także odkąd usłyszał o wykwintnym kawalerze, panu de Charny, i do uszu Pitou doszła owa historia o czepeczkach, które miały podkreślić urodę młodej panny — nasz bohater zdażył zerknąć do lustra i, wielce zasmucony stanem swojej garderoby, zadawał sobie pytanie, co też on mógłby uczynić, by podnieść swe przyrodzone wdzięki.

Niestety, na to pytanie Pitou nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi — stan odzieży, jaką miał na sobie, był po prostu oplakany. Po to, by zdobyć nową potrzebne były pieniądze, a Pitou w ciągu całego swego życia nie miał przy duszy ani złamanego miedziaka. Wiadome mu było wprawdzie, że stając do turnieju lutnistów lub poetów pasterze przystrajali się w wieńce z róż, jednak Pitou zdawał sobie sprawę z tego, że chociaż byłoby mu może nawet do twarzy w takim wieńcu, nie zdołałoby to jednak ukryć ubóstwa reszty jego odzienia.

Tym przyjemniejszego doznał przeto zdziwienia, kiedy w niedzielę, o godzinie ósmej rano, do jego pokoiku wszedł mistrz Dulauroy i złożył na krześle jasnoblękitne ubranie i dużą, białą

kamizelkę w różowe pasy. Jednocześnie zjawiała się bieliźniarka i na przeciwległym krześle złożyła koszulę oraz krawat, zaznaczając przy tym, że jeżeli” koszula będzie w sam raz, polecono jej uszyć pół tuzina podobnych. Była to godzina prawdziwych niespodzianek: za bieliźniarka ukazał się kapelusznik z trójkątnym kapeluszem najnowszego fasonu, niezmiernie szykownym i najwytworniejszym, jaki kiedykolwiek wyszedł z rąk pana Cornu, pierwszego kapelusznika w Villers–Cotterets. Ponadto miejscowy szewc polecił mu złożyć u stóp klienta parę wykonanych specjalnie dla Pitou trzewików za srebrnymi sprzączkami. Pitou był wniebowzięty — nie mógł po prostu uwierzyć, że wszystkie te bogactwa są przeznaczone dla niego. W najśmielszych marzeniach nie mógł śnić o podobnym odzieniu.

Łzy wdzięczności przesłoniły mu spojrzenie, zaledwie był w stanie wyszeptać te oto słowa:

— O panno Katarzyno! Nigdy nie zapomnę tego, co pani dla mnie zrobiła!

Wszystko pasowało jak najlepiej, jak gdyby było uszyte na jego miarę. Jedyne trzewiki okazały się o połowę za małe. Pan Laudereau, mistrz szewski, uszył trzewiki na miarę swego syna, który był o trzy lata starszy od Pitou. Ta przewaga nad młodym Laudereau na krótką chwilę napelniła dumą serce naszego bohatera, było to jednak uczucie przemijające, nad którym wzięła górę świadomość, że albo będzie musiał pójść na tańce bez trzewików, albo w starych buciorach, które przecież w żadnym razie nie pasowały do reszty jego toalety. Na szczęście okazało się, że stary Billot i Pitou mieli stopy jednakowego rozmiaru, co starannie zostało ukryte przed starym wieśniakiem w obawie urażenia go.

W chwili kiedy Pitou wkładał na siebie te wspaniałe szaty, do pokoju wszedł fryzjer. Rudawa czupryna Pitou została przez niego podzielona na trzy części: jedna, największa, miała w postaci warkocza opadać na plecy surduta, zaś dwie inne były przeznaczone do zakrywania skroni po obu stronach, pod niezbyt poetyczną nazwą „psich uszów”, z czym, niestety, musimy się pogodzić, bo tak właśnie nazywał się ten rodzaj uczesania. W tym miejscu wypada się przyznać do jednego, a mianowicie do tego, że gdy Pitou, uczesany, ufryzowany, w swym błękitnym surducie i spodniach tego samego koloru, w swej różowej kamizeli i koszuli z żabotem, z owym warkoczem z tyłu i „psimi uszami” po obu stronach, spojrział na swoje odbicie w lustrze — z trudem poznał siebie i odwrócił się, by zobaczyć, czy przypadkiem Adonis we własnej osobie nie zstąpił na ziemię.

To był jednak on sam. Uśmiechnął się z wdziękiem do siebie, po czym uniósłszy głowę do góry, z palcami ulokowanymi w kieszonkach od kamizelki, rzekł stając na czubkach palców:

— A więc przyjrzymy się temu panu de Charny!

Wypada skądinąd przyznać, że Pitou w swym nowym odzieniu był jak dwie krople wody podobny raczej do pastuszka z obrazu Watteau aniżeli do pasterza, jakim go opisuje Wergiliusz.

Nic więc dziwnego, że gdy przestąpił próg kuchni, spotkało go owacyjne przyjęcie.

— Spójrz, mamó — zawołała Katarzyna — jak wspaniale wygląda nasz Pitou!

— Prawdę powiedziawszy zmienił się nie do poznania — stwierdziła pani Billot.

Na nieszczęście młoda panna przeszła po chwili od oceny ogólnego wyglądu, który zrobił na niej tak wielkie wrażenie, do przyjrzenia się szczegółom, znacznie mniej efektownym.

— To dziwne! — zawołała. — Jakie pan ma ogromne ręce!

— O, tak — odrzekł Pitou — ręce mam dość spore...

— I tak wielkie kolana...

— To świadczy o tym, że powinienem jeszcze urosnąć.

— Mnie się wydaje, że jest pan wystarczająco wysoki.

— To nie ma znaczenia. Urosnę jeszcze — mam dopiero niecałe osiemnaście lat.

— Ale łydek to pan wcale nie ma...

— To prawda... ani śladu... ale jeszcze mi ich przybędzie.

— Miejmy nadzieję — dodała Katarzyna. — Zresztą to wszystko jedno — doskonale się pan prezentuje!

Pitou złożył ukłon.

— No, no! — powiedział z kolei stary Billot wchodząc do kuchni i oglądając na wszystkie strony Pitou. — Ależ świetnie wyglądasz, mój chłopcze! Chciałbym, żeby cię zobaczyła twoja ciotka Angelika...

— Ja również bardzo bym tego chciał...

— Ciekaw jestem, co by też na to powiedziała? — zauważył stary Billot.

— Myślę, że nic, tylko by się wściekła!

— Ojczulku — zapytała naraz Katarzynka z nieukrywaną obawą w głosie — a czy ona nie miałaby prawa odebrać nam pana Pitou?

— Skądże znowu, przecież go wypędziła!...

— A poza tym — dorzucił Pitou — już upłynęło pięć lat.

— Jakie pięć lat?

— Te, za które doktor Gilbert zostawił jej tysiąc franków. — To on zostawił ciotce tysiąc franków?

— Tak... żeby mnie nauczyła jakiegoś rzemiosła...

— Cóż to za człowiek! — zawołał stary wieśniak. — I pomyśleć, że nie ma dnia, aby się nie usłyszało o nim podobnych rzeczy! Dla niego pomóc innemu — rzekł podnosząc rękę — to najważniejsza sprawa pod słońcem!

— Chciał, żebym doszedł do czegoś...

— I miał całkowitą słuszność — a tymczasem widzimy, jak jego uczciwe zamiary spelzły na niczym. Zostawia tysiąc franków, żeby chłopca nauczyć jakiegoś zawodu, tymczasem zamiast tego, oddaje się go do katechety, który usiłuje zrobić z niego kleryka! A ile ona płaciła za ciebie proboszczowi?

— Kto?

— Twoja ciotka.

— Nic nie płaciła.

— Więc po prostu schowała do kieszeni te dwieście funtów, jakie otrzymała od poczciwego doktora...

— Prawdopodobnie.

— Posłuchaj, Pitou, mojej rady. Jak ta stara dewotka, twoja ciotka, przejedzie się na tamten świat, trzeba będzie dobrze poszperać dokoła po wszystkich szufladach, siennikach, garnkach po ogórkach...

— Po co? — zapytał Pitou.

— Jestem pewien, że znalazłbyś w jakiejś starej pończosze cały skarb po ciotce, jakieś stare złote monety... ho, ho! Nie miała dość sporej sakiewki, żeby w niej ukryć wszystkie swoje uciulane pieniądze...

— Tak pan sądzi?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości... ale pogadamy jeszcze o tym w swoim czasie... Dziś chodzi o to, abyśmy rzucili okiem na książkę doktora Gilberta.

— Mam ją w kieszeni.

— Ojczulku — wtrąciła Katarzyna — czy ojczulek dobrze się nad tym zastanowił?

— Jeżeli się chce postąpić słusznie, nie ma, moje dziecko, potrzeby długo się zastanawiać nad tym — odpowiedział stary wieśniak. — Doktor życzy sobie, abym przeczytał jego książkę i szerzył zawarte w niej poglądy — a więc książka zostanie przeczytana, a jej zasady zostaną rozpowszechnione.

— A czy matka i ja — zapytała nieśmiało Katarzyna — będziemy mogły pójść na mszę?

— Ależ idźcie! Jesteście kobietami. My, mężczyźni, to zupełnie co innego. Chodźmy, Pitou!

Pitou złożył ukłon pani Billot i Katarzynie, po czym ruszył za panem Billot niezmiernie dumny z tego, że go nazwano mężczyzną.

VII

DŁUGIE NOGI, CHOĆ NIEZBYT NADAJĄ SIĘ DO TAŃCA, SĄ JEDNAK BARDZO POŻYTECZNE, GDY CHODZI O UCIECZKĘ

W stodole zebrało się sporo ludzi. Jak już o tym była mowa, stary Billot cieszył się znacznym poważaniem u ludzi, których zatrudniał, a chociaż często zbeształ, karmił ich jednak bardzo dobrze i szczerze opłacał. Każdy więc chętnie przybył na jego zaproszenie. W owych czasach jakieś dziwne podniecenie opanowało narody. Usta ludzkie wypowiadały obce, nowe, niemal nieznanne im dotąd słowa, jak wolność, niepodległość, wyzwolenie i, co dziwniejsze, słyszało się je nie tylko wśród ludu, lecz przede wszystkim wśród arystokracji, a głos, który jej wtórował, był nie tylko echem.

Owo światło, któremu sądzone było wkrótce rozbłysnąć jak płomień, przybyło z Zachodu. To w Ameryce wzeszło słońce, które obiegając cały świat, rozpałiło we Francji tak wielki pożar, że przy jego blasku wylęknione ludy potrafiły odczytać wypisany krwawymi literami wyraz: „Republika”.

Zebrania, na których rozważano sprawy związane z polityką, odbywały się znacznie częściej, aniżeli by się sądziło. Jacyś nie wiadomo skąd przybyli agitatorzy krążyli, niczym apostołowie nieznanego Boga, po miastach i wioskach, siejąc wszędzie słowa wolności. Rządowi, który był dotychczas całkiem ślepy, naraz otworzyły się oczy. Ludzie, stojący na czele owej wielkiej maszyny, którą się zwykło nazywać nawa państwową — zanim jeszcze zrozumieli przyczyny tego zjawiska — spostrzegli, że pewne jej tryby zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wszystkie umysły były przepojone duchem opozycji, choć ona jeszcze nie została wprowadzona w czyn. Ów niewidzialny, ale dający się wyczuć wszechobecny duch oporu, niekiedy groźny niczym nieuchwytnie widmo, był tym niebezpieczniejszy, że choć jego istnienie nie ulegało wątpliwości, niepodobna było go pochwyć.

W stodole zebrało się dwudziestu czy też dwudziestu pięciu arendarzy, podległych staremu Billotowi.

Billot wszedł do stodoły, za nim — Pitou. Wszystkie głowy odkryły się, wyciągnięte ramiona powiewały kapeluszami. Było rzeczą jak najbardziej oczywistą, że wszyscy ci zacni ludzie gotowi są ponieść śmierć na jedno skinienie swego pana. Billot wyjaśnił wieśniakom, że broszura, którą miał odczytać Pitou, została napisana przez doktora Gilberta. Doktor Gilbert był bardzo znany w całym okręgu, gdyż posiadał tu kilka folwarków, z których największy był dzierżawiony przez starego Billota.

Dla czytającego przygotowano beczkę. Pitou wszedł na tę improwizowaną trybunę i zaczął czytać. Nasuwa się mimo woli pewne spostrzeżenie, z którego wynika, że prości ludzie — a ośmieliłbym się dodać, że nie tylko oni, ale w ogóle wszyscy ludzie — tym uważniej czegoś słuchają, im mniej z tego rozumieją. Nie ulega wątpliwości, że zasadniczy sens broszury był niedostępny zarówno najbardziej oświeconym umysłom zebranych wieśniaków, jak i samemu nawet Billotowi, ale w powodzi tej zagmatwanej frazeologii rozbłyskiwały niekiedy niczym błyskawice na tle ciemnego i naładowanego elektrycznością nieba płomienne słowa, mówiące o wolności, niepodległości i równości. Było to najzupełniej wystarczające, by raz po raz zrywały się oklaski: „Mech żyje doktor Gilbert!”.

Prawie trzecia część broszury została już odczytana. Uchwalono, że resztę odczyta się w ciągu trzech kolejnych niedziel. Obecnych zaproszono na następną niedzielę, a każdy chętnie przyrzekł swe przybycie. Pitou wyśmienicie czytał. Nic tak nie dodaje ducha jak powodzenie. Czytający

złożył na swój rachunek część oklasków, jakie były skierowane pod adresem samego utworu, a nawet sam stary Billot, ulegając urokowi tej dość zwykłej sztuki czytania, czuł, jak nabiera szacunku dla wychowanka księdza Fortiera. Pitou urósł w sensie wewnętrznym co najmniej o dziesięć łokci, choć i bez tego „był imponującego wzrostu.

Brakło mu tylko jednego: oto panna Katarzynka nie była świadkiem odniesionego przezeń triumfu. Jednak stary Billot, zachwycony przyjęciem, z jakim się spotkała broszura doktora Gilberta, pośpieszył czym prędzej powiadomić swą żonę i córkę o powodzeniu. Pani Billot nic na to nie odrzekła — była bowiem kobietą, której umysł nie sięgał zbyt daleko. Natomiast Katarzynka uśmiechnęła się smętnie.

— No i co ci się stało? — zapytał ojciec.

— Och, ojczulku! — odrzekła. — Obawiam się, abyś nie ściągnął na siebie przykrości.

— Uważaj, Katarzynko, żebyś nie wykrakała jakiegoś nieszczęścia!...

— Ojczulku, już mi powiedziano, żebyś cię przestrzegła, bo mają ciebie na oku...

— A może byś mi powiedziała, kto ci to mówił?

— Pewien przyjaciel.

— Przyjaciel, powiadasz? Każda dobra rada zasługuje na podziękowanie, ale może mi zdradzisz nazwisko tego dobrego przyjaciela... No i co to za jeden?

— Ktoś dobrze poinformowany.

— Powiedźże nareszcie — kto?

— Pan Izydor de Charny.

— Po co się ten fircyk wtrąca do nie swoich rzeczy! Patrzcie go, będzie mi udzielał rad, jakie mam mieć poglądy! A czy ja mu radzę, jak ma się stroić? Chociaż mam wrażenie, że dałoby się coś niecoś powiedzieć o tym i o innych sprawach.

— Ależ, ojczulku! Przecież nie po to ci powiedziałam, żebyś się miał gniewać. Jeżeli udzielono mi rady, to w najlepszych zamiarach.

— Dobrze, w takim razie ja również udzielę mu pewnej rady, i bądź łaskawa mu ją zakomunikować...

— Jakiej?

— Otóż takiej, aby on i jemu podobni mieli się na baczności, bo na posiedzeniach Zgromadzenia Narodowego nie na żarty zabierają się do panów arystokratów... O ich faworytach i faworytkach nieraz już była tam mowa. Niechby, ostrzegł swego braciszka, Oliwiera de Charny, który tam się właśnie znajduje, że podobno łączą go zbyt bliskie stosunki z Austriaczką.

— Drogie ojczy — odpowiedziała Katarzyna — ojczulek ma więcej doświadczenia od nas, niech więc postępuje według swego uznania.

— Bardzo słusznie — pomrukiwał Pitou, któremu odniesiony sukces dodał sporo pewności siebie — po co się ten pan Izydor wtrąca niepotrzebnie...

Katarzyna udała, że nie słyszy, i rozmowa urwała się.

Obiad odbył się o zwykłej godzinie. Nigdy jeszcze nie wydał się Pitou tak nieskończenie długi. Zależało mu na tym, by jak najprędzej pokazać się w całej swej okazałości u boku panny Katarzyny. Ta niedziela była dla niego nie byle jakim świętem i Pitou ślubował w duchu, że na zawsze zachowa w swej pamięci dzień dwunasty lipca. Nareszcie gdzieś około trzeciej wyruszono. Katarzynka wyglądała czarująco. Była piękną blondynką o niebieskich oczach, szczupłą i giętką niczym te topole, których cienie padały na niewielkie źródło, z którego czerpano wodę dla farmy. Ubrana była przy tym z wrodzoną zalotnością, która podkreśla wszystkie kobiece wdzięki, a w czepeczku, który sobie sama uszyła (o czym powiedziała Pitou), było jej bardzo do twarzy.

Tańce rozpoczynały się zazwyczaj dopiero o godzinie szóstej. Na drewnianej estradzie

zasiadło czterech specjalnie wynajętych grajków, którzy za każdy taniec otrzymywali po sześć srebrnych monet. Miało się wrażenie, że się jest na prawdziwej balowej sali. Zanim wybiła szósta godzina, goście spacerowali w owej słynnej Alei Westchnień (wspominała o niej ciotka Angelika), przyglądając się przybyłym z miasta lub też z okolic młodzieńcom, grającym w wolanta pod kierownictwem Faroleta, mistrza ceremonii na dworze Jego Królewskiej Mości księcia Orleanu. W sprawach gry w wolanta mistrz Farolet uchodził za nieomylną wyrocznię, a jego orzeczenia, gdy chodziło o karty, polowanie lub figury kontredansa, były przyjmowane z szacunkiem należnym jego wiekowi i zasługom.

Pitou, nie bardzo sobie zdając sprawę z powodów, jakie nim kierowały, wolałby zostać w owej Alei Westchnień, ale przecież panna Katarzynka nie po to wystroiła się w wytworną sukienkę, która zresztą wzbudziła w Pitou prawdziwy zachwyt, by pozostać w cieniu podwójnego szpaleru buków.

Kobiety przypominają niekiedy kwiaty, którym przypadek kazał zakwitnąć w cieniu: ciągną wtedy niepowstrzymanie do światła i czynią wszystko, co się tylko da, by ich tchnące świeżością i aromatem kielichy mogły rozchyłać się na słońcu, pod którego promieniami więdną i giną.

Jeżeli wierzyć poetom, jedynie fiołek skromnie pozostaje w ukryciu, ale i on jest spowity żalobą po swej nikomu niepotrzebnej urodzie.

Katarzynka tak długo i tak mocno ciągnęła za ramię naszego Pitou, aż wreszcie znaleźli się na drodze wiodącej do placu, gdzie grano w wolanta. Dodajmy czym prędzej, że Pitou nie bardzo się temu opierał. Jemu również nie mniej było spieszo zaprezentować swój błękitny strój i wykwintny trójgraniasty kapelusz, jak Katarzynce, która pragnęła pochwalić się swym czepeczkiem a la Galatea i gorsecikiem koloru gołębiej szyjki. Pewna nieoczekiwana okoliczność sprawiła, że naszego bohatera otaczała specjalna atmosfera, dając mu chwilową przewagę nad panną Katarzyną. Otóż wobec tego, że nigdy dotąd nie widziano Pitou w tak wytwornym stroju, nikt go nie poznawał, biorąc jednocześnie bądź za jakiegoś obcego młodzieńca, świeżo przybyłego do miasta, bądź za siostrzeńca lub kuzyna rodziny Billotów, a może nawet za ewentualnego konkurenta do ręki panny Katarzyny. Ale naszemu Pitou zanadto zależało na tym, aby go poznano, by owo nieporozumienie mogło się przeciągnąć. Tyle razy dawał głową znaki swoim przyjaciółom, tyle razy ściągał z głowy kapelusz przed swymi znajomymi, że wreszcie, kiedy w tym wystrojonym eleganciku poznano smutnej sławy pupila księdza Fortiera, dokoła powstała wrzawa, w której można było odróżnić poszczególne głosy:

— Ależ to Pitou! Patrzenie! To przecież Pitou!

Te okrzyki doszły aż do panny Angeliki, ale wobec tego, że z nich wynikało, jakoby ten przemily chłopiec z zaokrąglonymi ramionami, śmiało stąpający przed siebie, miał być jej bratanek, którego zawsze widziała, jak szedł ze zwróconymi do środka piętami i przyciśniętymi do tułowia łokciami, więc też stara panna potrząsnęła jedynie głową i poprzestała na stwierdzeniu:

— Jesteście w błędzie... To nie jest ten nicpoń, mój bratanek!

Tymczasem młoda para zbliżyła się do miejsca, gdzie grano w wolanta. Tego dnia odbywał się turniej pomiędzy graczami z Soissons, a graczami z Villers-Cotterets, co sprawiło, że gra była niezmiernie ożywiona. Katarzyna i Pitou zajęli miejsca tuż obok sznura, na samym końcu placu gry. Miejsce to zostało wybrane przez Katarzynkę jako najlepsze. Po chwili rozległ się głos mistrza Faroleta:

— Proszę przechodzić parami.

Gracze niezwłocznie przeszli, to znaczy, że każdy ruszył w obronie własnej piłki, atakując piłkę swego przeciwnika. Jeden z graczy w przejściu pozdrowił Katarzynę uśmiechem.

Katarzyna odpowiedziała dygnawszy i zarumieniła się. Jednocześnie Pitou poczuł, jak wsparta

na jego ramieniu ręka z lekka zadrżała.

Jakiś nieokreślony lęk ścisnął serce Pitou.

— Czy to jest pan de Charny? — zapytał swą towarzyszkę, przyglądając się jej uważnie.

— Tak — odrzekła Katarzyna. — Więc pan go zna?

— Nie znam go, ale się domyśliłem, że to on.

Po tym, co mu poprzednio mówiła Katarzynka, bez trudu mógł się domyśleć w owym młodym człowieku pana de Charny.

Nieznajomy, który uklonił się pannie Katarzynie, był wytwornym młodzieńcem, mogącym mieć dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata, bardzo urodziwym, postawnym, o zgrabnych ruchach, właściwych ludziom, którzy od kolebki otrzymują arystokratyczne wychowanie. Pan Izidor de Charny poruszał się z gracją, jaką się nabywa jedynie od samego dzieciństwa, przy czym jego strój zawsze najściślej odpowiadał czynnościom, do których miał służyć. O ubiorze myśliwskim pana de Charny mówiło się jako o szczycie elegancji, kostium do fechtowania mógł służyć jako wzór dla samego świętego Jerzego, a strój do konnej jazdy, dzięki wdziękowi, z jakim go nosił jego właściciel, zasługiwał na najwyższe pochwały.

Tego dnia pan de Charny, młodszy brat znanego nam już hrabiego de Charny, uczesany z pozorną niedbałością, miał na sobie obcisłe spodnie jasnego koloru, które znakomicie podkreślały kształt jego łądźwi i zgrabnych, muskularnych nóg. Wytworne skórzane sandały zastępowały na razie trzewiki na czerwonych obcasach lub też wysokie buty z wywinętymi cholewami. Kamizelka z białej piki ściśle niczym gorset przylegała do talii, a lokaj, stojący na placu gry, trzymał zielony frak ze złotym obszyciem.

Podniecenie wywołane grą jeszcze bardziej podkreślało cały wdzięk i świeżość młodości, którą, pomimo swych zaledwie dwudziestu trzech lat życia, pan de Charny zdołał już częściowo utracić na skutek nocnych hulanek i gry w karty, często kończących się dopiero z nastaniem dnia. Żaden z tych szczegółów, niewątpliwie spostrzeżonych przez pannę Katarzyną, nie uszedł uwagi Pitou. Gdy Pitou przyjrzał się rękom i nogom pana de Charny, czuł się mniej dumny z przewagi, jaką go obdarzyła natura w porównaniu z synem majstra szewskiego. Jednocześnie Pitou pomyślał o tym, że ta sama natura mogłaby bardziej rozumnie obdarzyć poszczególne części jego ciała. W samej bowiem rzeczy to, czego Pitou miał za dużo w stopach, rękach i kolanach, wystarczyłoby najzupełniej na ulepienie wcale foremnej pary nóg. Tymczasem nic tu nie było na swoim miejscu: zamiast szczupłości znajdował się obrzęk, a zamiast zaokrąglenia — wklęsłość.

— Co panu jest, panie Pitou? — zapytała panna Katarzyna.

Pitou nie odpowiedział i tylko głęboko westchnął.

Gra była skończona. Wicehrabia de Charny skorzystał z przerwy, jaka powstała pomiędzy ukończoną partią a tą, która miała się rozpocząć, i podszedł, by się przywitać z panną Katarzyną. W miarę tego jak się zbliżał, Pitou stwierdzał, że Katarzynka staje cała w pasach, a jej ramię zaczyna drżeć coraz bardziej.

Wicehrabia skinął głową w stronę Pitou, a następnie z ową nieprzymuszoną uprzejmością, którą potrafili się posługiwać w tamtych czasach arystokraci w obejściu z mieszczaneczkami lub gryzetskami, zapytał Katarzynę o zdrowie i zaprosił ją do pierwszego kontredansa. Katarzyna przyjęła zaproszenie, dziękując za nie uśmiechem. Następna partia miała się niebawem rozpocząć i pan de Charny został odwołany. Złożył ponowny ukłon Katarzynie i odszedł z taką samą niewymuszoną swobodą, z jaką się zbliżył.

Pitou odczuł całą przewagę, jaką miał nad nim ten człowiek, umiejący się tak uśmiechać, rozmawiać, zbliżać i odchodzić.

Nawet cały miesiąc poświęcony nauce sposobu poruszania się pana de Charny doprowadziłby najwyżej Pitou do marnego naśladownictwa, które, jak to sam rozumiał, wywołałoby jedynie

wybuchy śmiechu.

Gdyby uczucie nienawiści było znane sercu Pitou, mógłby powiedzieć, że od tej chwili znienawidził pana de Charny.

Katarzyna przyglądała się grze w wolanta aż do chwili, kiedy grający kazali swym lokajom, by podali fraki. Wtedy, ku prawdziwej rozpaczy Pitou, któremu tego dnia nic się nie udawało, skierowała swe kroki tam, gdzie tańczono.

Pan de Charny nie kazał długo na siebie czekać. Nieznaczną zmianą garderoby uczyniła z gracza w wolanta wytwornego tancerza. Skrzypce dały znak i wicehrabia ofiarował swe ramię Katarzynie, przypominając daną mu obietnicę.

Uczucie, jakiego doznał Pitou, gdy ręka Katarzyny rozstała się z jego ramieniem, a młoda panna, cała zarumieniona, zbliżyła się ze swym kawalerem do tanecznego koła, było zapewne jednym z najbardziej przykrych w jego życiu. Zimny pot wystąpił mu na czoło, wzrok przesłoniła mgła. Wyciągnął rękę przed siebie, oparł się o balustradę, czuł bowiem, jak uginają się pod nim kolana, mimo iż były takie mocne.

Jeżeli natomiast chodzi o pannę Katarzynę, to albo udawała, że nie zauważa tego, co się dzieje w sercu Pitou, albo tak było istotnie.

Była zarazem dumna i szczęśliwa z tego, że będzie tańczyła z najpiękniejszym kawalerem z całej okolicy.

Jeżeli Pitou z pewnymi zastrzeżeniami podziwiał grę pana de Charny w piłkę, to nie mógł mu mieć nic do zarzucenia jako tancerzowi. W owych czasach nie istniała jeszcze moda, która polegała raczej na chodzeniu aniżeli na tańczeniu. Taniec stanowił część wykształcenia i uważany był za sztukę. Pod tym względem wicehrabia był wzorem gracji i doskonałości i, podobnie jak Ludwik XIV, mógłby występować na scenie i zbierać oklaski, aczkolwiek nie był ani królem, ani aktorem, Pitou po raz drugi przyjrzał się swoim nogom i musiał przyznać, że zapewne będzie musiał pogodzić się z powodzeniem, jakie w obecnej chwili odnosił pan de Charny, chyba że w jego własnym wyglądzie znajdą jakieś widoczne zmiany.

Kontredans dobiegł końca. Pannie Katarzynie zdawało się, że trwał zaledwie parę sekund, natomiast dla Pitou ciągnął się niczym wieczność. Wracając, by znów ująć za ramię swego kawalera, Katarzyna zauważyła zmianę, jaka zaszła w jego wyglądzie: był blady, czoło miał zroszone potem, a łza której nie zdążył jeszcze osuszyć ogień zazdrości, widniała w oku.

— O Boże! Co się panu stało? — zawołała.

— Wiem, że po przyjrzeniu się temu, jak pani tańczy z panem de Charny, nigdy nie ośmielę się zatańczyć z panią.

— Och, nie należy nigdy tracić nadziei. Będzie pan tańczył tak, jak potrafi, a mnie taniec z panem sprawi nie mniejszą przyjemność.

— Mówi to pani, aby mnie pocieszyć, ale ja dobrze wiem, że taniec z tym młodym arystokratą zawsze będzie dla pani przyjemniejszy niż ze mną.

Katarzyna nie odpowiedziała, gdyż nie chciała kłamać, była jednak z gruntu dobrą dziewczyną i nie mogła nie zauważyć, że w sercu biednego chłopca dzieje się coś niezwykłego — postanowiła więc okazywać mu jak najwięcej serdeczności... Cóż, kiedy to nie mogło przywrócić zranionemu sercu utraconej radości...

Okazuje się, że stary Billot miał słuszność. Pitou był mężczyzną — i cierpiał.

Katarzyna przetańczyła jeszcze z pięć czy też sześć kontredansów, przy czym drugi z panem de Charny. Tym razem Pitou pozornie zachował spokój, choć nie przestawał cierpieć. Śledził wzrokiem każdy ruch Katarzyny i jej partnera. Z ruchów warg usiłował odgadnąć, o czym rozmawiali, a kiedy przy wykonywaniu pewnych figur tanecznych ich ręce się spotykały, Pitou próbował dojrzeć, czy one jedynie stykały się ze sobą, czy też zamieniały uściski.

Katarzyna zapewne tylko czekała na chwilę, kiedy zatańczy drugi raz kontredansa, gdyż natychmiast po ukończonym tańcu zaproponowała Pitou powrót do domu. Trzeba przyznać, że chyba żadna propozycja nie spotkała się z gorętszym przyjęciem, jednak cios był zadany. Pitou stawiał tak szybkie kroki, że panna Katarzyna zmuszona była go powstrzymać, przy czym Pitou nie odezwał się do niej ani słówkiem.

— No i co się panu znów stało? — zapytała Katarzyna. — Dlaczego pan się do mnie nie odzywa?

— Nie odzywam się dlatego, panno Katarzyno, że nie potrafię mówić jak pan de Charny. Cóż miałbym zresztą do powiedzenia pani po tych wszystkich pięknych słówkach, jakie on mówił do pani w tańcu?

— Jest pan bardzo niesprawiedliwy, bo mówiliśmy o panu...

— O mnie?

— Ależ tak... bo przecież musimy znaleźć dla pana jakiegoś protektora na wypadek, gdyby się dotychczasowy nie odnalazł...

— Więc już się nie nadaję do prowadzenia ksiąg na farmie? — zapytał, westchnąwszy, Pitou.

— Przeciwnie, panie Pitou, mam wrażenie, że to raczej prowadzenie ksiąg na farmie nie jest zajęciem odpowiednim dla pana. Posiadając takie wykształcenie może pan osiągnąć coś znacznie lepszego.

— Nie wiem, co mogę osiągnąć... wiem tylko tyle, że wolę nic nie osiągnąć, jeżeli to ma się stać dzięki panu wicehrabiemu de Charny.

— Dlaczego odrzuca pan jego pomoc? O ile mi wiadomo, jego brat, hrabia de Charny, ma doskonałą pozycję na dworze królewskim i ożenił się z bliską przyjaciółką królowej. Pan de Charny powiedział mi właśnie, że aby mi sprawić przyjemność, gotów jest wyrobić panu jakieś stanowisko w magazynach soli.

— Bardzo dziękuję, panno Katarzyno, ale, jak już powiedziałem, jest mi bardzo dobrze tam, gdzie jestem, i jeżeli mnie ojciec pani nie wyrzuci, wolę zostać na farmie.

— Dlaczegoż, do licha, miałbym cię wyrzucić? — rozległ się nagle czyjś tubalny głos, po którym Katarzynka natychmiast poznała swego ojca.

— Drogi panie Pitou — szepnęła Katarzyna — błagam pana, niech pan nie mówi ani słówka o panu Izydorze.

— No i co? Gadaj że!

— Ja... nie wiem... — odpowiedział Pitou ogromnie zmieszany — mogę się panu wydać za mało wykształcony i niepożyteczny.

— Za mało wykształcony? Potrafisz rachować jak sam profesor, czytasz tak, że nasz nauczyciel w szkole może się schować, a przecież on sobie wyobraża, że jest wielkim uczonym. Ależ nie, mój drogi, takiego jak ty to mi chyba sam Pan Bóg przysłał, a skoro już jesteś u mnie, to zostań w moim domu tak długo, jak się Panu Bogu będzie podobało.

Pitou wrócił do domu pokrzepiony na duchu, ale to go jeszcze nie zadowoliło w zupełności. Pomiedzy chwilą kiedy wyszedł z domu, a powrotem do niego, w chłopcu dokonała się wielka zmiana. Stracił coś, czego się już nie odnajduje. Była to pewność siebie.

Wbrew swemu zwyczajowi Pitou nie mógł zasnąć i wciąż przypominał sobie książkę doktora Gilberta, która w głównej mierze była skierowana przeciwko arystokratom, przeciw nadużyciom popełnianym przez uprzywilejowane warstwy, a także surowo potępiała tchórzostwo tych, którzy ten ucisk znoszą.

Pitou poczuł, że dopiero teraz zaczyna rozumieć te wszystkie wzniosłe słowa, które odczytywał dzisiejszego ranka. Przyrzekł więc sobie w duchu, że gdy się rozwidni, przeczyta jeszcze raz po cichutku i tylko dla siebie to arcydzieło, które przedtem czytał głośno dla

wszystkich.

Wobec tego jednak, że spędził niemal bezsenną noc, obudził się nieco później, nie zaniechał jednak zamiaru powtórnego przeczytania broszury.

Była siódma rano. Stary Billot wracał dopiero o dziewiątej. Zresztą — nawet gdyby wrócił nieoczekiwanie, wyraziłby jedynie swoje uznanie dla zajęcia, które sam zalecał.

Pitou zszedł na dół po drabince i usadowił się na ławeczce tuż pod oknem Katarzyny. Trudno orzec, czy to jedynie przypadek zaprowadził go na to miejsce, czy też Pitou wiedział, pod którym oknem znajduje się ławeczka...

Dość na tym, że przebrawszy się z powrotem w swe codzienne szatki, których jeszcze nie zdążono zastąpić innymi, a które składały się z czarnych porciań, zielonego kubraka i zrudziałych trzewików, Pitou wydobył z kieszeni broszurą i zabrał się do czytania. Sprawiedliwość każe przyznać, że na początku oczy czytającego niejednokrotnie odbiegały od kartek książki i kierowały się w stronę okna. Wobec tego jednak, że kibić dziewczęcia nie ukazywała się w obramowaniu nasturcji i powojów, więc też lektura zaczęła coraz bardziej pochłaniać naszego bohatera.

Nagle wydało mu się, że na kartki książeczki, dotąd jasno oświetlonej porannym słońkiem, padł czyjś cień. Był zbyt wyraźny, by mógł być cieniem jakiejś chmurki — musiało go więc rzucać nieprzezroczyste ciało. Ale zdarza się niekiedy, że ciała nieprzezroczyste są tak czarujące, że... Pitou odwrócił się, by zobaczyć, kto mu przesłonił blask słońca.

— Niestety — omylił się. Wprawdzie owo ciało było nieprzezroczyste, ale miast być czarującym, miało wygląd wręcz odrażający.

Otóż był to mniej więcej czterdziestoletni jegomość, jeszcze bardziej wysoki i chudy niż Pitou, odziany w ubranie niemal tak samo zniszczone jak jego. Sterczał za plecami Pitou z pochyloną głową i zdawał się czytać z zaciekawieniem znacznie większym, aniżeli to mieliśmy możliwość zaobserwować u posiadacza książki.

Pitou zdziwił się niezmiernie. Na wargach tajemniczego przybysza zjawił się uśmiech, ukazując czarną jamę ust, w której pozostały zaledwie cztery zęby: dwa na górze i dwa na dole, zachodzące na siebie i wyostrzone niczym kły dzika.

— Amerykańskie wydanie — rzekł nieznajomy przez nos — format in octavo: *O wolności ludzi i niepodległości narodów*, Boston, 1788.

Nieznajomy mówił, a Pitou coraz szerzej otwierał zdumione oczy. Kiedy tamten skończył, oczy Pitou gotowe były wyskoczyć z orbit.

— Boston. 1788. Ma pan słuszność — powiedział Pitou.

— Rozprawka doktora Gilberta — dodał nieznajomy.

— Tak — uprzejmie powiedział Pitou, przy czym uniósł się z miejsca, gdyż niejednokrotnie mówiono — mu, że prowadzenie rozmowy na siedząco z kimś wyżej postawionym jest dowodem złego wychowania, tym bardziej że w dość jeszcze naiwnym umyśle Pitou każdy mógł rościć sobie prawo do wyższości nad nim.

Wstając zauważył jednak, że w oknie mignęło coś różowego i patrzy na niego. Była to panna Katarzyna. Młoda panna patrzyła na niego bardzo dziwnym wzrokiem, dając mu jednocześnie jakieś niezrozumiałe znaki.

— Wybacz mi pan niedyskretne pytanie: do kogo należy ta książka? — zapytał nieznajomy, pokazując palcem na broszurę znajdującą się w rękach Pitou. Stał przy tym odwrócony tyłem do okna, nie domyślając się, co działo się za jego plecami.

Pitou już gotów był odpowiedzieć, że książka należy do starego pana Billota, kiedy do jego uszu dobiegły te oto słowa, wypowiedziane niemal błagalnym szeptem:

— Niech pan powie, że do pana!...

Nieznajomy, wpatrzony w Pitou, nie dosłyszał tych słów.

— Ta książka — odpowiedział Pitou uroczystym tonem — należy do mnie.

Nieznajomy podniósł głowę do góry, gdyż już parokrotnie zauważył pełne zdziwienia spojrzenie, wysyłane przez Pitou w pewnym określonym kierunku. Dostrzegł wprawdzie okno, ale Katarzyna ubiegła jego zamiar i znikła szybko niczym ptaszek.

— Co pan tam wypatruje na górze? — zapytał nieznajomy.

— Och! — odrzekł Pitou uśmiechając się. — Pozwoli pan, że go nazwę „ciekawskim”... *Curiosus*, czyli raczej *avidus cognoscendi*, jak zwykł mówić mój nauczyciel, ksiądz Fortier.

— A więc powiada pan — podjął na nowo nieznajomy, nie zrażony owymi dowodami wykształcenia, które mu zademonstrował Pitou, pragnąc najwidoczniej urosnąć w jego opinii — że ta książka należy do niego?...

Pitou dał zeza w bok, by zobaczyć okno. Główka Katarzyny ukazała się w nim ponownie i przesłała mu potwierdzający ruch.

— Tak. Czy chciałby pan ją przeczytać? *Avidus legendi libri lub legendae historiae*.

— Muszę panu powiedzieć — odparł nieznajomy — że wygląda pan na coś znacznie lepszego, aniżeli można sądzić z pańskiego odzienia. *Non dives vestitu, sed ingenio*. Oznajmiam panu, że go arestuję!

— Co? Pan mnie arestuje?! — zawołał Pitou nie posiadając się ze zdumienia.

— Tak, mój panie! Proszę za mną!

Pitou tym razem nie spojrział już do góry, lecz raczej obejrzał się dokoła i spostrzegł dwóch sierżantów, którzy czekali na rozkazy nieznajomego. Miało się wrażenie, że zjawili się jakby spod ziemi.

— Spiszemy na miejscu protokół! — oznajmił ów nieznajomy.

Jeden z sierżantów związał sznurem ręce Pitou, w których wciąż jeszcze tkwiła książka doktora Gilberta, a następnie przywiązał go samego do kółka, które tkwiło w ścianie tuż pod oknem. Pitou gotów był krzyżeć, gdy naraz usłyszał ten sam głos, posiadający nad nim tak wielką władzę:

— Niech pan nie stawia oporu!

Pitou pozwolił robić ze sobą wszystko, okazując uległość, która się ogromnie podobała sierżantom, a zwłaszcza owemu nieznajomemu. Skutek był ten, że nie podejrzewając niczego, ci ludzie weszli do środka. Sierżanci po to, by wynieść stół, a nieznajomy, by... Ale o tym dowiemy się później.

Zaledwie sierżanci wraz z nieznajomym przekroczyli próg domu, głos z okna dał się znów słyszeć.

— Niech pan podniesie ręce do góry! — rozkazywał.

Pitou podniósł do góry nie tylko ręce, lecz również i głowę, przy czym spostrzegł bladą i wystraszoną twarzyczkę Katarzyny, która trzymała w ręce nóż.

— Wyżej... wyżej!...

Pitou uniósł się możliwie najwyżej. Katarzyna wychyliła się, ostrze noża dosięgło sznura i po chwili ręce Pitou były uwolnione z więzów.

— Niech pan weźmie ten nóż — szepnęła Katarzyna — i przetnie sznur, którym jest pan przywiązany do kółka.

Nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Pitou przeciął sznur i był już zupełnie wolny.

— A teraz — mówiła Katarzyna — oto podwójny luidor. Ma pan długie nogi, niech pan ucieka. Niech pan się uda natychmiast do Paryża i uprzedzi doktora.

Katarzyna nie zdążyła skończyć, bo oto ukazali się sierżanci, a złoty pieniądz spadł pod nogi Pitou, który go podniósł czym prędzej. Sierżanci już stali na progu domu, gdzie zatrzymali się

z dumieniem na widok człowieka uwolnionego z więzów, w których się przecież jeszcze przed chwilą znajdował.

Pitou znieruchomiał z przerażenia. Przez chwilę zarówno on jak i sierżanci stali nie ruszając się z miejsca i patrzyli na siebie niczym zając i wyżeł, ale podobnie jak zając ratuje się ucieczką za najmniejszym poruszeniem psa, tak Pitou, widząc pierwszy ruch sierżantów, wziął nogi za pas i jednym ogromnym skokiem znalazł się po drugiej stronie parkanu.

Sierżanci wrzasnęli, a ich krzyk sprowadził niezwłocznie urzędnika, który niósł pod pachą niewielką skrzyneczkę. Nie tracąc ani chwili rzucił się w pogoń za Pitou. Sierżanci poszli za jego przykładem, nie potrafili jednak przeskoczyć, jak to uczynił Pitou, przez płot wysokości z górą trzech sążni i musieli obieć go dokoła. Gdy się jednak znaleźli na rogu parkanu, spostrzegli, że Pitou wyprzedził ich co najmniej o pięćset kroków i biegnąc przez polanę zmierza wprost do odległego zaledwie o ćwierć mili lasu, gdzie znalazł się już za parę minut.

W tej samej chwili Pitou odwrócił się i na widok sierżantów, gotowych puścić się w pogoń za nim bez żadnej zresztą nadziei dogonienia go, lecz raczej z obowiązku, podwoił szybkość i wkrótce znikł na skraju lasu.

Pitou biegł jeszcze około piętnastu minut, choć mógł biec nawet dwie godziny, gdyby zaszła potrzeba. Płuca i nogi miał niczym jeleń. Jednakże po upływie owych piętnastu minut, czując instynktownie, że mu już nie grozi żadne niebezpieczeństwo, zatrzymał się, odsapnął, począł nasłuchiwać i przekonawszy się, że nikt go nie goni, pomyślał w duchu:

„Trudno w to uwierzyć, a przecież wiele najrozmaitszych rzeczy wydarzyło się w ciągu ostatnich trzech dni...”

Pitou spojrzął kolejno na swego luidora i następnie na nóż, który miał przy sobie, po czym w dalszym ciągu snuł swe myśli:

„Jaka to szkoda, że nie miałem czasu zmienić luidora i nie mogłem zwrócić dziesięciu centymów pannie Katarzynie... Obawiam się, że ten nóż może być przyczyną końca naszej przyjaźni... Ha, trudno! Powiedziała, bym się dziś jeszcze udał do Paryża, więc muszę tak postąpić.”

Pitou, po nabraniu pewności, że znajduje się pomiędzy Boursonne a Yvors, ruszył przed siebie niewielką ścieżką, która powinna była go zaprowadzić w prostej linii do Gondreville, miejscowości przecinającej drogę wiodącą do Paryża.

VIII

W JAKIM CELU NIEZNAJOMY WSZEDŁ DO DOMU BILLOTÓW RAZEM Z DWOMA SIERŻANTAMI POLICJI

A teraz powróćmy na farmę i opowiedzmy o przebiegu katastrofy, której zaledwie początkiem było to, co spotkało Pitou.

Około godziny szóstej nad ranem pewien agent policyjny z Paryża przybył wraz z dwoma sierżantami do Villers–Cotterets, zameldował się u komisarza miejscowej policji i zażądał, by mu pokazano, gdzie mieszka dzierżawca Billot. W odległości mniej więcej pięciuset kroków od farmy ów agent zauważył jakiegoś człowieka, który pracował w polu. Zbliżył się do niego zapytując, czy nie zostanie w domu pana Billota, na co otrzymał odpowiedź, że pan Billot nigdy nie wraca do domu przed dziewiątą, czyli tuż przed śniadaniem. W tej samej chwili, zgoła przypadkowo, ów pracujący w polu człowiek podniósł głowę i wskazał palcem jeźdźca, który o ćwierć mili stąd prowadził rozmowę z pastuszkim.

— To właśnie — rzekł — ten, którego pan szuka.

— Fan Billot?

— Tak.

— Ten na koniu?

— Tak. We własnej osobie.

— Ach, w takim razie, mój przyjacielu — powiedział ów agent — czy nie zechciałbyś oddać swemu panu pewnej przysługi?

— Bardzo chętnie!

— Bądź łaskaw mu tylko powiedzieć, że pewien pan, przybyły z Paryża, oczekuje go na folwarku.

— Och, czyżby to był doktor Gilbert? — zawołał robotnik.

— Ruszaj żywo! — odparł agent.

Wieśniak nie kazał sobie dwa razy powtarzać i pobiegł na przelaj przez pole, a tymczasem szpicel z dwoma policjantami ukryli się za na wpół rozwalonym murem, znajdującym się prawie naprzeciw domu Billota.

Po chwili rozległ się koński galop — to wracał Billot. Wjechał na podwórze, zsiadł z konia i rzuciwszy cugle stajennemu szybko pobiegł do kuchni w przekonaniu, że pierwszą istotą, jaką mu wypadnie zobaczyć, będzie doktor Gilbert, stojący przy dużym kominku — tymczasem ujrzał jedynie panią Billot, siedzącą pośrodku pokoju i oskubującą swe kaczki z uwagą i dokładnością, jakiej wymaga ta niełatwa czynność.

Katarzynka znajdowała się w swoim pokoju i była zaprzątnięta szyciem nowego czepeczka na przyszłą niedzielę. Jak widzimy, była zapobiegliwa, jest wszakże rzeczą powszechnie wiadomą, że dla kobiet — jak one same powiadają — nie ma większej przyjemności, jak przyczyniać się do podniesienia swych wdzięków. Billot zatrzymał się na progu, spojrzął dokoła i zapytał;

— Któż mnie wzywa?

— Ja! — odrzekł czyjś niezmiernie ugrzeczniony głos. Billot odwrócił się i zauważył owego nieznajomego przybysza i dwóch sierżantów.

— Czegóż to pan sobie życzy ode mnie? — zawołał cofając się w tył.

— O, chodzi o drobnostkę, drogi panie Billot — odrzekł agent. — Musimy przeprowadzić rewizję w pańskim domu. Nic więcej.

— Rewizję?

— Tak. Rewizję.

Billot rzucił okiem na swą strzelbę, wiszącą nad kominkiem.

— Odkąd posiadamy Zgromadzenie Narodowe — odpowiedział stary wieśniak — sądziłem, że obywatele tego kraju nie będą więcej narażeni na prześladowania, którym podlegali niegdyś, a których się dopuszczał dawny rząd. Czego chcecie ode mnie, jestem spokojnym i lojalnym obywatelem.

Agenci policyjni na całym świecie są pod jednym względem podobni do siebie: nigdy nie odpowiadają na pytania, jakie im zadają ich ofiary. Zdarza się nawet, że rewidując je, aresztując lub zakuwając w kajdany, jak gdyby nawet litowali się nad nimi. Otóż tacy właśnie są najgorsi.

Ten, który wykonywał swe czynności u starego Billota, należał do tego typu agentów, co to wprawdzie zawsze mają gotową łezkę współczucia, ale nie posługują się nigdy ręką, by ją otrzeć ze swych oczu. A więc ciężko westchnął i dał znak sierżantom, którzy zbliżyli się do Billota — ale stary odskoczył w tył i wyciągnął rękę, by sięgnąć po broń. Nie udało mu się jednak jej pochwycić. Była ona teraz podwójnie niebezpieczna, gdyż mogła się skierować zarówno przeciwko jej posiadaczowi, jak i przeciwko tym, w stronę których mogła być wymierzona. Uwięziły ją dwie małe, mocne — bo przerażenie dodało im siły — rączki. Były to ręce Katarzyny, która przybiegła zwabiona hałasem i w samą porę zdążyła powstrzymać ojca od stawienia zbrojnego oporu reprezentantom sprawiedliwości.

Po pierwszym odruchu Billot nie okazywał już żadnego sprzeciwu. Agent kazał go zamknąć w pokoju na parterze, zaś Katarzynę na pierwszym piętrze. Co się zaś tyczy pani Billot, to uznano ją za niegroźną i zostawiono w kuchni. Czując się panem sytuacji, agent zabrał się do przetrząsania w biurczkach, szafach i komodach. Znalazłszy się sam w pokoju, Billot chciał ratować się ucieczką — niestety, okazało się, że parterowy pokój, w którym się znajdował, miał, podobnie jak większość pokojów na dole, okna opatrzone kratami. Ów nieznamy od razu to spostrzegł, podczas gdy Billot, który je kazał wmurować, zupełnie o nich zapomniał.

Patrząc przez dziurkę od klucza stary Billot zobaczył, jak ów nieznamy i towarzyszący mu ludzie przeszukują cały dom.

— Więc to tak! — zawołał. — Cóż wy tu robicie?

— Jak pan widzi, drogi panie Billot — odpowiedział agent — szukamy pewnej rzeczy, której jeszcze nie znaleźliśmy.

— Jesteście bandytami i łajdakami, a może i złodziejaskami!

— Och, łaskawy panie — odpowiedział głos agenta za drzwiami — obraża nas pan! Jesteśmy ludźmi uczciwymi jak pan, ale pozostajemy na służbie Jego Królewskiej Mości i musimy wykonywać Jego rozkazy.

— Rozkazy Jego Królewskiej Mości? — krzyknął Billot. — To król Ludwik XVI kazał wam poprzewracać wszystko w moich szufladach i szafach?

— Tak.

— Więc to król wydaje podobne rozkazy? A czy Jego Królewska Mość raczył zaopiekować się nami, kiedy w ubiegłym roku cierpieliśmy taki głód, że niewiele brakowało byśmy pozjadali nasze konie, lub gdy trzynastego lipca przed dwoma laty grad wybił nam wszystkie zbiory? Cóż króla dziś obchodzi moja farma, której nigdy nie widział, i moja osoba, która mu jest całkiem obca?

— Pozwoli pan — odpowiedział agent, uchylając drzwi z zachowaniem wszelkich ostrożności i pokazując Billotowi rozkaz podpisany przez komisarza policji i rozpoczynający się, jak zazwyczaj, od słów: „W imieniu króla” — Jego Królewska Mość, jak pan widzi, wie jednak coś niecoś o panu, choć go osobiście nie zna. Niechże więc pan nie odrzuca zaszczytu, jaki go spotyka i przyjmie jak należy tych, którzy przybyli do pana w imieniu króla.

Agent złożył przy tym wcale uprzejmy ukłon, mrugnął przyjaźnie okiem i zamknąwszy z powrotem drzwi, przystąpił do dalszego wykonywania swych czynności.

Billot umilkł, skrzyżował ręce na piersi i niczym lew w klatce zaczął przemierzać pokój o niskim sklepieniu, czując, że jest zdany na łaskę i niełaskę policji.

W milczeniu dokonywano dalszej rewizji mieszkania. Miało się wrażenie, że ci ludzie po prostu spadli z nieba. Nikt, poza owym robotnikiem w polu, który im wskazał drogę, nie widział ich. Psy na podwórzu również nie powitały ich szczekaniem. Przywódca całej wyprawy musiał mieć nie byle jakie doświadczenie i najwidoczniej nie była to pierwsza w jego życiu wyprawa tego gatunku. Billot słyszał zawodzenia swej córki, zamkniętej w pokoju nad nim i przypomniał sobie jej prorocze słowa: nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że przyczyną prześladowań, jakie spadły na niego, była owa książeczka napisana przez doktora.

Tymczasem wybiła dziewiąta godzina i Billot, patrząc przez swe zakratowane okno, mógł policzyć kolejno wszystkich swych parobków, powracających z pola. Ten widok uprzytomnił mu, że na wypadek — gdyby doszło do bezpośredniej walki, nie będzie wprawdzie miał po swojej stronie prawa, ale za to siłę. Świadomość tego stanu rzeczy sprawiła, że krew w nim zawrzała. Nie potrafił się dłużej pohamować i chwyciwszy za klamkę drzwi, pchnął je z taką siłą, że po jeszcze dwóch podobnych ciosach gotowe były wyskoczyć z zawiasów.

Agenci otworzyli je czym prędzej i ujrzeni na progu Billota, nie posiadającego się z oburzenia: w domu wszystko było poprzewracane do góry nogami.

— Powiedźcie nareszcie — krzyknął Billot — czego tu szukacie! Gadajcie, bo inaczej wycisnę to z was!

Powrót parobków nie uszedł uwagi agenta, który policzywszy ich nabrał pewności, że w razie gdyby miało dojść do starcia, nie zdołają stawić czoła miejscowym. Podeszedł więc do Billota i zwrócił się do niego jeszcze bardziej ugrzecznonym tonem, kłaniając się przy tym niemal do ziemi:

— Powiem panu, drogi panie Billot, chociaż to nie jest zgodne z naszymi zwyczajami. Otóż szukamy u pana pewnej buntowniczej książki, a raczej broszury, którą cenzura królewska wycofała z obiegu.

— Szukacie książki u wieśniaka, który nawet nie umie czytać?...

— Wcale nas to nie dziwi, jest pan przecież przyjacielem jej autora, który panu tę książkę przysłał.

— Bynajmniej nie jestem przyjacielem doktora Gilberta — odpowiedział Billot. — Jestem jego bardzo skromnym sługą. Byłby to zbyt wielki zaszczyt dla zwykłego wieśniaka...

Tymi nieopatrzonymi słowami Billot przyznał się nie tylko do tego, że zna autora książki, co zresztą było najbardziej zrozumiałe, gdyż był on właścicielem dzierzawionego folwarku, ale również i do tego, że znana mu była jego książka. W ten sposób stary wieśniak sam przeważył szalę zwycięstwa na stronę agenta policji, który wstał, położył rękę na ramieniu starego i z najśłodszym uśmiechem, całkowicie zmieniającym wyraz jego twarzy, rzekł:

— To ty wymieniłeś jego imię... Zna pan zapewne, panie Billot, ten wiersz?

— Nie znam żadnych wierszy.

— Napisał je Racine, nasz wielki poeta.

— I cóż mówią te wiersze? — zapytał zniecierpliwiony Billot.

— One mówią, że się pan sam zdradził!

— Ja?

— Tak.

— W jaki sposób?

— Bo pan pierwszy wymienił nazwisko pana Gilberta, trzymane dyskretnie przez nas w

tajemnicy.

— To prawda... — burknął pod nosem Billot.

— A więc przyznaje się pan?

— Gotów jestem nawet uczynić więcej...

— Och, drogi panie Billot, jest pan doprawdy niezmiernie uprzejmy. Co zamierza pan uczynić?

— Czy jeżeli wam powiem, gdzie się znajduje książka, o którą wam chodzi — ciągnął dalej stary Billot z obawą, której nie potrafił ukryć — przestaniecie przewracać tutaj Wszystko do góry nogami?

Agent dał znak swym zbirom.

— Oczywiście! — odrzekł. — Chodzi nam jedynie o tę książkę. Ale czy może nas pan zapewnić — dodał z sarkastycznym uśmiechem — że posiada pan tylko jeden jej egzemplarz, a nie dziesięć?

— Mam tylko jeden.

— Otóż tę właśnie okoliczność, drogi panie Billot, musimy stwierdzić przeprowadzając rewizję, i to najściślej. Niechże pan zdobędzie się jeszcze na pięć minut cierpliwości. Jesteśmy Bogu ducha winnymi ludźmi, którzy otrzymali rozkaz od swoich władz i pan chyba nie zechce sprzeciwić się temu, by godni szacunku obywatele — a tacy, drogi panie Billot, są wszędzie, niezależnie od zajmowanego stanowiska — wypełnili do końca swój obowiązek?

Te słowa były dobrze wycelowane — Billot musiał na nie odpowiedzieć.

— A więc dobrze! Róbcie, co do was należy, ale róbcie to szybko! — rzekł i odwrócił się do nich plecami.

Agent cichutko przytknął drzwi i jeszcze ciszej przekręcił klucz w zamku. Billot nie sprzeciwiał się, wzruszył jedynie ramionami, pewny, iż potrafi, jeżeli zechce, otworzyć je w każdej chwili. Agent dał powtórnie znak swym pomocnikom. Po chwili wszyscy trzej ze zdwojoną gorliwością zabrali się do oglądania każdej książki, każdego papierka, do szukania pomiędzy bielizną, do odwijania i przewracania wszystkiego.

Naraz na dnie jednej szafy, z której wszystko zostało wyrzucone, znaleziono niewielką drewnianą szkatułkę, okutą żelazem. Agent rzucił się na nią niczym jastrzęb na zdobycz. Od pierwszego wejrzenia, niemal węchem, bez cienia wątpliwości musiał widocznie poznać w niej to, czego szukał, gdyż szybko ukrył szkatułkę pod swym zniszczonym płaszczem, a obydwóm sierżantom dał do zrozumienia, że ich misja została spełniona.

Billot, coraz bardziej zniecierpliwiony, w tej samej chwili zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

— Przecież wam, mówię, że jej nie znajdziecie, jeżeli wam nie powiem, gdzie ona jest! — zawołał. — Po co macie na próżno przewracać wszystko do góry nogami. Nie jestem, do licha, żadnym spiskowcem! Czy słyszycie, co do was mówię? Odpowiedzcie, do stu diabłów! Natychmiast pojedę do Paryża, złożę skargę królowi, Zgromadzeniu, całemu światu... Czy słyszycie co do was mówię!

— Owszem, drogi panie Billot, słyszymy pana doskonale i gotowi jesteśmy przyznać panu całkowitą słuszność... Niech nam pan powie, gdzie jest ta książka, a wobec tego, że mamy już pewność, iż posiada pan tylko jeden egzemplarz, więc go zabierzemy i pójdziemy sobie stąd.

— A więc dobrze!... Książka znajduje się w rękach pewnego porządnego chłopca, któremu ją dałem dziś z rana, by ją odniósł do mego przyjaciela.

— Jak się nazywa ten bardzo porządny chłopiec? — zapytał przebiegle agent.

— Nazywa się Anioł Pitou. To biedny sierota, którego przygarnąłem z litości i który nawet nie wie, o co chodzi w tej książce.

— Dziękuję panu, drogi panie Billot — odrzekł agent, rzucając do szafy bieliznę i zamykając ją, zachował jednak przy sobie ową szkatułkę. — A gdzie się ten miły młodzieniec znajduje?

— Zdaje się, że go zauważyłem obok groszku hiszpańskiego, rosnącego przy altanie. Idźcie do niego, odbierzcie mu książkę, ale nie róbcie mu nic złego.

— My mielibyśmy mu zrobić coś złego? Ależ pan nas nie zna, panie Billot! My nie skrzywdzimy nawet muszki.

Co rzekłszy, przybyli udali się we wskazanym kierunku. Zbliżając się do miejsca, gdzie miał rosnąć ów groszek, spostrzegli Pitou, którego wielki wzrost czynił naszego młodego bohatera bardziej groźnym, aniżeli nim był w rzeczywistości. Obawiając się, że obydwa sierżanci nie dadzą sobie z nim rady bez jego pomocy, agent zdjął płaszcz, zawinął w niego szkatułkę i ukrył to wszystko w pobliskim, niewidocznym zakamarku.

Tymczasem do uszu Katarzyny, nasłuchującej tuż pod drzwiami, dobiegły oddzielne słowa: książka, doktor i Pitou. Zdając sobie sprawę, że za chwilę wybuchnie burza, której nadejście przeczuwała, postanowiła przynajmniej złagodzić jej skutki. To w tej właśnie chwili Katarzyna podszeptała Pitou, by się przyznał do tego, że owa książka należy do niego.

Opowiedzieliśmy już o tym, co zaszło później: jak Pitou, związany przez owego agenta i jego pomocników, zdołał dzięki pomocy Katarzyny odzyskać wolność i jak skorzystał z chwili, kiedy ci dwaj sierżanci weszli do domu po stół, a ów agent po swój płaszcz i szkatułkę. Opowiedzieliśmy również, jak Pitou uciekł, przeskakując przez płot, natomiast nie wspomnieliśmy ani słówkiem o tym, jaką korzyść z tej ucieczki odniósł pewien człowiek, obdarzony nie byle jakim sprytem, właściwym agentom policyjnym.

Otóż w chwili, gdy powierzona agentowi podwójna misja została wykonana, ucieczka Pitou była zarówno dla niego, jak i dla obydwóch sierżantów doskonałym pretekstem do ulotnienia się. Nie mając żadnej nadziei dogonienia zbiega, agent tak gorliwie zachęcał krzykiem i przykładem do pościgu obu policjantów, że patrząc, jak wszyscy trzej pędzą poprzez pola i łąki, można było przypuszczać, że ma się do czynienia z najzagorzalszymi wrogami Pitou — tymczasem goniący błogosławili długie nogi uciekającego.

Wystarczyło, by Pitou wpadł w gęstwinę lasu, a jego prześladowcy znaleźli się dopiero na jego skraju, kiedy ci ostatni zatrzymali się przy pierwszym krzaku. Podczas pościgu przyłączyli się do nich jeszcze dwaj inni policjanci, ukryci na farmie, których zadaniem było zjawić się dopiero na wezwanie swego przełożonego.

— Cóż to za szczęście — odezwał się agent — że ten drab nie miał przy sobie tej szkatułki zamiast książki. Musielibyśmy dopędzać go pocztowymi końmi. Do licha! Ma nogi nie jak człowiek, lecz jeleń.

— A tak... — odpowiedział jeden z sierżantów. — Dobrze, że nie zabrał tej szkatułki, ale czy pan ją ma, panie Pas-de-Loup?

— Oczywiście! Tu ją mam — odpowiedział człowiek, którego nazwisko, a raczej przezwisko, zostało przez nas pierwszy raz wymienione, a które było mu nadane z powodu skradających się kroków, jakie stawiał.

— Czyli należy nam się przyrzeczona nagroda.

— Oto ją macie! — powiedział agent, wyjmując z kieszeni cztery złote luidory i wręczając po jednym każdemu ze swych sierżantów, nie robiąc przy tym żadnej różnicy pomiędzy tymi, którzy brali udział w akcji, a tymi, którzy pozostawali w rezerwie.

— Niech żyje pan porucznik! — zawołali sierżanci.

— Nie widzę nic złego w takim okrzyku — rzekł z godnością Pas-de-Loup — ale każdy okrzyk powinien mieć jakieś uzasadnienie. To nie pan porucznik wypłaca wam nagrodę.

— A kto?

— Jakiś jego przyjaciel albo przyjaciółka — nie bardzo jestem tego pewien — którzy nie życzą sobie, by ich nazwiska zostały ujawnione.

— Założyłbym się, że to „ten” albo „ta” dostaną szkatułeczkę — wtrącił jeden z policjantów.

— Posłuchaj, Rigoulot, co ci powiem — odparł na to agent. — Zawsze byłem tego zdania, że masz łeb na karku, ale zanim twój spryt wyda owoce i przysporzy ci nagrody, radziłbym, abyśmy stąd zmykali czym prędzej. Ten przeklęty wieśniak ma srogą minę i może zauważyć, że mu zginęła szkatułka, a wtedy gotów jest puścić w pogoń za nami wszystkich swoich parobków... a to są zuchy, co potrafią strzelać nie gorzej niż przyboczna straż Jego Królewskiej Mości.

Wszyscy zgodzili się z radą zawartą w tych słowach i po chwili wysłańcy policji zaczęli skradać się brzegiem lasu, który, ukrywając ich przed ludzkim wzrokiem, wyprowadził wszystkich pięciu na drogę, odległą stąd o trzy ćwierci mili.

Te przezornie przedsięwzięte środki ostrożności wcale nie były zbyteczne, gdyż zaledwie Katarzyna zobaczyła, że ów nieznajomy i dwaj policjanci puścili się w pogoń za Pitou, zawołała parobków, by otworzyli jej drzwi. Parobcy wiedzieli wprawdzie, że coś się tutaj dzieje niezwykłego, ale nie rozumieli, o co chodzi. Trzeba dodać, że Katarzyna miała pełne zaufanie do Pitou, będąc pewna, że on zdąży uciec, ale na wszelki wypadek przywołała pomoc. Parobcy wnet przybiegli, a Katarzyna odzyskawszy wolność, pośpieszyła uwolnić swego ojca.

Billot robił wrażenie człowieka niezupełnie przytomnego. Zamiast wybiec z pokoju, nieufnie zbliżał się do drzwi, wracając następnie na środek pokoju. Zdawało się, że nie ma odwagi pozostać na miejscu, a jednocześnie boi się spojrzeć na meble, siłą pootwierane i opróżnione przez policję.

— No i co? — zapytał Billot. — Czy odebrali mu tę książkę?

— Tak sędzę, ojczce, ale jego nie zabrali...

— Kogo?

— Pitou: Udało mu się uciec. Jeżeli jeszcze wciąż biegają za nim, to są już zapewne w Cayolles albo w Vauciennes.

— A to doskonale! Biedny chłopiec... To wszystko przeze mnie.

— Mój ojczce... nie obawiaj się o niego... Zastanówmy się przede wszystkim nad tym, co nas czeka. Pitou da sobie jakoś radę, bądź o niego spokojny. Ale jaki tu nieład, o Boże! Niech mama spojrzy!

— O, moja szafa z bielizną! — zawołała pani Billot. — Nie uszanowali nawet mojej szafy z bielizną, cóż to za łajdaki!

— Szukali w niej czegoś! — krzyknął nagle stary Billot, podbiegł do szafy, którą, jak wiemy, agent zamknął skrupulatnie, otworzył ją i zanurzył obie ręce w stercie powrzuconych w nieładzie prześcieradeł.

— Och! — zawołał. — To niemożliwe!

— Czego szukasz, ojczce? — zapytała Katarzyna. Billot patrzył dokoła osłupiałym wzrokiem.

— Poszukaj sama, może ją gdzieś znajdziesz. Ale nie, nie ma jej w tej komódce, ani w tym biurku... tu była... tu... Sam ją tam położyłem. Jeszcze wczoraj ją widziałem. Tym nędznikom wcale nie chodziło o książkę, oni szukali szkatułki!...

— Jakiej szkatułki? — zapytała Katarzyna.

— Wiesz dobrze, o jaką mi chodzi...

— Czy o szkatułkę doktora Gilberta? — zapytała nieśmiało pani Billot, która w szczególnie ważnych chwilach wołała zachować milczenie i pozwalała, by inni działali i mówili.

— Tak, o szkatułkę doktora Gilberta! — wołał zrozpaczony Billot, zatapiając palce w swej gęstej czuprynie. — Ta bezcenna szkatułka!

— Ojczce, przerażasz mnie!

— O, ja nieszczęśliwy! — krzyczał stary Billot, ogarnięty wybuchem wściekłości. — Nie podejrzewałem tego... nie pomyślałem o szkatułce! Co na to powie doktor? Co sobie pomyśli? Że jestem zdrajcą, tchórzem, nędznikiem!

— Ale co było w tej szkatułce?

— Nie wiem, natomiast wiem, że swoim życiem odpowiadam przed doktorem za nią i że powinienem być, broniąc jej, dać się raczej zabić.

Billot wykonał ruch pełen takiej rozpacz, że jego żona i córka aż się cofnęły przerażone.

— Ojczy, drogi ojczy! Ty odchodzisz od zmysłów — zawołała Katarzyna, wybuchając płaczem. — Odpowiedz mi, na miły Bóg, odezwij się do mnie.

— Piotrze, mężu najdroższy, odpowiedz swojej córce! Powiedz coś swojej żonie!

— Konia! Niech mi przyprowadzą mojego konia! — krzyknął Billot. — Niech mi go tu zaraz przyprowadzą.

— Dokąd chcesz się udać, ojczy?

— Muszę uprzedzić doktora... Doktor musi być niezwłocznie uprzedzony!

— Ale gdzie go znajdziesz?

— W Paryżu. Czy nie czytałaś w liście, który do nas napisał, że wyjeżdża do Paryża? Powinien tam być. Jadę do Paryża. Gdzie jest mój koń? Mój koń!

— Chcesz nas teraz zostawić, ojczy... w takiej chwili? Zostawiasz nas w takim niepokoju i obawie!

— Moje dziecko, muszę... muszę! — mówił stary wieśniak, obejmując obiema rękami głowę swej córki i zbliżając ją do swych ust. — Doktor powiedział mi, że jeżeli zgubię jego szkatułkę lub raczej jeżeli mi ją zrabują, w tej samej chwili, kiedy to spostrzeżę, powinienem natychmiast go uprzedzić... To były jego słowa: „Nic nie może cię powstrzymać! Powinieneś to uczynić nawet za cenę życia!”

— O Boże! Cóż zawiera ta szkatułka?

— Nie wiem... Wiem tylko tyle, że powierzono ją mojej opiece i że ja pozwoliłem, aby mi ją zabrano. Oto mój koń. Od syna doktora, który jest w szkole w Paryżu, dowiem się, gdzie jest jego ojciec.

Uściskawszy po raz ostatni żonę i córkę, Billot wskoczył na siodło i ruszył z miejsca galopem, na przełaj, w kierunku drogi wiodącej do Paryża.

IX W DRODZE DO PARYŻA

Wróćmy do Pitou.

Dwa najsilniejsze na świecie bodźce pchały go przed siebie: strach i miłość.

Strach mówił mu: „Boisz się, żeby cię nie aresztowano i pobito! Miej się na baczności, Pitou!”

Było to wystarczające, by pędził niczym jelonek.

Miłość przemawiała do niego głosem Katarzyny:

— Uciekaj co sił, najdroższy!”

Więc też uciekał.

Obydwa sprawiły, że chłopiec nie biegł, lecz leciał.

Jakże się przydały naszemu bohaterowi jego długie nogi i ogromne kolana, które podczas balu były tak niezdarne, jak wielką oddały mu przysługę w chwili, gdy zdjęte strachem serce uderzało aż trzy razy na sekundę! Pan de Charny ze swoimi małymi nóżkami, delikatnymi kolankami i ślicznie zaokrąglonymi łydeczkami z pewnością nie potrafiłby tak umykać... Pitou przypomniał sobie tę śliczną bajeczkę o jeleniu, co to stojąc nad ruczajem gorzko płakał nad swoimi kończynami, i chociaż nosił na czole ozdobę, która mogła uchodzić za zadośćuczynienie za owe cienkie nogi, robił sobie gorzkie wyrzuty za pogardę, jaką żywił dla swoich „patyków” (tak bowiem pani Billot nazywała nogi Pitou, gdy ten przyglądał się im w lustrze). Słowem, Pitou pędził nadal przez las, zostawiając po prawej stronie Cayolles, a Yvors po lewej. Przy każdym narożnym krzaczku Pitou zatrzymywał się, by się obejrzeć, i nasłuchiwał, od dłuższego bowiem czasu nic nie dostrzegał, gdyż szybkość, z jaką biegł i jakiej złożył znakomite dowody, pozwoliła mu od pierwszej chwili stworzyć pomiędzy sobą a swymi prześladowcami odległość co najmniej tysiąca kroków, powiększającą się coraz bardziej. Czemuż Atalanta miała męża? Pitou byłby wziął udział w wyścigu, z pewnością odnosząc zwycięstwo nad Hipomenesem i niewątpliwie nie miałby potrzeby, jak tamten uczynił, uciekać się do fortelu z trzema złotymi jabłkami.

Trzeba skądinąd przyznać, że — jak to już mieliśmy sposobność powiedzieć — agentom pana Pas-de-Loup, zachwyconym swą zdobyczą, bynajmniej już nie zależało na Pitou (o czym ten oczywiście nie wiedział).

O ile chodzi o nich, to byli tak pewni siebie, że aż stracili wszelką chęć do działania.

— Uciekaj, uciekaj! — mówili, trzymając ręce w kieszeniach i pobrzękując dopiero co otrzymaną od pana Pas-de-Loup nagrodą. — Możesz sobie uciekać, ile chcesz... Jak będziemy chcieli — znajdziemy cię, bratku.

Co — trzeba przyznać — nie było żadną przechwałką, lecz niewątpliwą prawdą.

Pitou pędził więc dalej, jak gdyby te uwagi pomocników pana Pas-de-Loup — dochodziły jego uszu. Kluczył przy tym niczym zwierzyna, która chce zmylić pogoń, i zostawiał za sobą gmatwaninę śladów, w której nie połapałby się sam Nemrod. W pewnej chwili postanowił raptownie skręcić na prawo, by dostać się w pobliżu wrzosowisk w Gondreville na drogę wiodącą z Villers-Cotterets do Paryża.

Kiedy wprowadził w czyn swój zamiar, przeciął zarośla, znów skręcił na prawo i po upływie piętnastu minut dostrzegł bitą drogę, obramowaną żółtymi piaskami i szpalerem drzew. Minęła zaledwie godzina, odkąd opuścił farmę, a już znalazł się na królewskim trakcie. W ciągu tej godziny Pitou zdążył przebiec przeszło cztery i pół mili. Trudno byłoby wymagać więcej od dobrego rumaka, pędzącego wyciągniętym klusem.

Pitou obejrzał się za siebie: na drodze nie widać było żywej duszy. Spojrzał przed siebie:

jakieś dwie kobiety jechały na osłach. To, co widział, a raczej to, czego nie widział, uspokoiło go nieco, toteż fiknął kozła na trawie, rosnącej na skraju lasu, otarł rękawem spocone czoło, wyciągnął się jak długi na świeżej koniczynie i pełną piersią zażywał rozkoszy odpoczynku.

Niestety, nawet najrozkoszniejsze aromaty koniczynki i majeranku nie pozwoliły mu zapomnieć o smakowitej wieprzowinie, przyrządzanej przez panią Billot, a także o ćwiartkach żytniego chleba (każda z nich ważyła co najmniej półtora funta!), które przed nim kładła Katarzynka do każdego posiłku, czyli trzy razy dziennie. Chleb sitny w owym czasie kosztował cztery i pół su za funt — co było ceną horendalną — dziś natomiast trzeba by zapłacić dwa razy tyle za niego. Francja stale odczuwała jego brak, toteż uchodził za przysmak, za ową maślaną bułeczkę, którą księżna de Polignac radziła ludności się odżywiać, gdy nie będzie miała dość zwykłej mąki. Pitou snuł filozoficzne rozważania, z których wynikało, że panna Katarzyna była najszczodroliwszą księżniczką na świecie, a farma starego Billota — najwspanialszym na kuli ziemskiej pałacem. Następnie, kierując, podobnie jak Żydzi nad brzegami Jordanu, swój tęskny wzrok ku wschodowi, czyli tam, gdzie się znajdowała owa promieniejąca szczęściem farma starego Billota, głęboko westchnął. Ostatecznie, głębokie westchnienie nie jest czymś, co by mogło sprawić przykrość człowiekowi, który po długim biegu chce zaczerpnąć powietrza, toteż Pitou oddychał, wzdychał i czuł, jak jego myśli, skłócone przed chwilą i pełne niepokoju, powoli zaczynają odzyskiwać równowagę.

„Dlaczego — zadawał sobie raz po raz pytanie — spotkało mnie w przeciągu tak krótkiego czasu tyle niezwykłych przygód? Przecież te ostatnie trzy dni przyniosły mi ich więcej niż całe moje dotychczasowe życie... Pewno dlatego, że mi się przyśnił kot, który się na mnie pogniewał...”

Tym myśłom towarzyszył gest, który miał oznaczać, że źródło tych wszystkich nieszczęść zostało przezeń wreszcie odkryte.

„O, tak — dodał Pitou po chwili namysłu — ale to jest pozbawione logiki (jak powiedziałby mój czcigodny nauczyciel ksiądz Fortier...) Te nieszczęścia nie przytrafiły mi się przecież tylko dlatego, że mi się przyśnił kot! Sen jest najwyżej ostrzeżeniem, jakie człowiek otrzymuje.

To dlatego — rozmyślał dalej Pitou — że nie wiem, który to autor powiedział: »Miej się na ostrożności, marzysz! — *Cave, somniasti!*«

— *Somniasti?* — powtórzył Pitou zdjęty przerażeniem. — Czyżbym znów strzelił byka? Ech, nie... opuściłem tylko jedną sylabę, bo powinienem był powiedzieć *somniavisti*, co byłoby zgodne z gramatyką.

To zdumiewające — zastanawiał się Pitou, pełen podziwu dla siebie samego — o ile lepiej znam łacinę, odkąd przestałem się jej uczyć!”

Po tym wielce dla siebie pochlebnym stwierdzeniu Pitou ruszył dalej. Szedł przyspieszonym, ale już znacznie spokojniejszym krokiem, robiąc około dwóch mil na godzinę. Minęły dwie godziny od chwili wyruszenia w dalszą drogę. Pitou już minął Nanteuil i podchodził do Dammartin, kiedy naraz do jego wyczulonych uszu dobiegł tętent końskich kopyt na bitej drodze.

— Och! — zawołał Pitou, skandując słynny wiersz Wergiliusza: *Quadrupedante putrem sonitu qatit ungula campum.*

Obejrzał się przy tym dokoła, ale nic nie dostrzegł. Czyżby to pozostawione przez niego w Levignan osły zaczęły naraz galopować? Ależ nie, o kamienie drogi uderzało „żelazne kopyto”, jak to powiedział poeta, a Pitou w całym Haramont czy nawet i w Villers-Cotterets znał tylko jednego osła, należącego do starej Sabot, który był podkuty, a to dlatego, że stara Sabot rozwoziła pocztę między Villers-Cotterets a Crespy. Po chwili zresztą Pitou całkiem zapomniał o hałasie, który go dobiegł, i powrócił do swych rozmyślań.

Co to byli za ludzie, ci, którzy rozpytywali go o doktora Gilberta, związali mu ręce, gonili go i

którym wreszcie uciekł? Skąd przyszli — nikt w całym okręgu ich nie znał? Jakie mieli porachunki do załatwienia z Pitou, który ich nigdy nie widział, a więc tym samym nie mógł również ich znać? Jak się to mogło stać, że on ich nie znał, a oni go znali? Dlaczego panna Katarzyna kazała mu udać się niezwłocznie do Paryża i, aby ułatwić tę podróż, dała mu podwójnego luidora, czyli czterdzieści osiem funtów, czyli mówiąc inaczej: dwieście czterdzieści funtów chleba, jeżeli liczyć po dwadzieścia centymów za funt, co powinno było wystarczyć na pożywienie w ciągu osiemdziesięciu dni, a więc przy umiarkowanym spożyciu na prawie trzy miesiące?

Czyżby panna Katarzyna przypuszczała, że Pitou może pozostać osiemdziesiąt dni poza farmą? Nagle Pitou zadrżał. „Znów te podkowy. Tym razem nie myślę się — pomyślał. — To jest tętent galopującego konia. Zobaczą go z tej górki.”

Pitou nie zdążył dokończyć tej myśli, kiedy na szczycie niewielkiego pagórka, który miał za sobą, w odległości mniej więcej czterystu metrów ukazał się koń. Co prawda Pitou nie sądził, by agent policyjny mógł się zamienić w osła, ale uważał za całkiem prawdopodobne, że ten siądzie na konia i będzie usiłował dogonić zdobycz, wymykającą się z jego rąk.

Strach, który opuścił na chwilę naszego bohatera, znów go ogarnął i jednocześnie sprawił, że jego nogi jeszcze bardziej się wydłużyły i nabrały jeszcze większej chyżości niż przed dwiema godzinami.

Bez chwili namysłu, nie oglądając się za siebie, nie próbując nawet ukryć swej ucieczki i licząc jedynie na swoje stalowe łydki, Pitou jednym susem przesadził rów, ciągnący się wzdłuż drogi i galopem puścił się na przełaj w kierunku Ermenonville. Właściwie mówiąc, Pitou nie wiedział, gdzie się znajduje ta miejscowość, widział jedynie na widnokręgu wierzchołki kilku drzew i pomyślał w duchu:

„Jeżeli uda mi się dobiec do tych drzew, które zapewne stanowią skraj jakiegoś lasu, jestem ocalony!” Pędził więc w stronę Ermenonville. Tym razem chodziło o wygranie wyścigu z szybkim rumakiem. To już nie nogi niosły Pitou, lecz skrzydła.

Odbiegłszy mniej więcej sto kroków na przełaj polami, Pitou rzucił wzrokiem za siebie i zobaczył, jak jeździec zmusza swego konia do potężnego skoku przez ten sam rów, który przed chwilą on sam przesadził.

Od tej chwili nie ulegało już dla uciekającego wątpliwości, że to jego ściga ów jeździec, a to z kolei podwoiło jego siły.

Biegł przed siebie, nie odwracając nawet głowy, by nie tracić czasu. Tym razem do przyspieszenia biegu nie przynaglał: go już tętent kopyt na drodze: koniczyna, rosnąca na ugorze, tłumiła wszelkie odgłosy. Przyczyną był goniący go krzyk, przypominający ostatnią sylabę jego nazwiska „hou!... hou!”, który zdawał się być echem wściekłości, rozsadzającej jeźdźca, i który niczym złowieszczy świst przecinał powietrze.

Jednak po dziesięciu minutach tego szalonego biegu Pitou poczuł, że brak mu oddechu, mąci mu się w głowie, a oczy wychodzą z orbit. Miał wrażenie, że kolana nabrzmiewają mu coraz bardziej, a nerki wypełniają się tysiącem drobnych kamyków. On, który zazwyczaj biegnąc podnosił nogi tak wysoko, że widać było gwoździe na podeszwach jego butów, teraz zaczął się raz po raz potykać na bruzdach. Wreszcie koń, jak wiadomo od urodzenia górujący nad człowiekiem o ile chodzi o szybkość biegu, dogonił dwunogiego Pitou, który jednocześnie usłyszał, że ów jeździec już nie krzyczy „hou, hou!”, lecz wyraźnie woła go po imieniu: „Pitou! Pitou!”

A więc — wszystko stracone!

Ale Pitou biegł dalej. Były to już raczej automatyczne ruchy, biegł niesiony siłą rozpędu. Naraz kolana ugięły się pod nim. Zachwiał się i padł twarzą na ziemię, wydając głośne

westchnienie. W chwili kiedy padał, zdecydowany nie wstawać (w każdym razie nie dobrowolnie), otrzymał silne uderzenie szpicrutą, która go z całej siły smagnęła po plecach. Ktoś, jak gdyby znajomy, zaklął siarczyście i czyjś dobrze mu znany głos krzyczał:

— Ach ty, nicponiu! Ty durniu! Zawzięłeś się na moją szkapę, biednego Kadeta!

Na dźwięk tego imienia przysły wszystkie obawy Pitou.

— O mój Boże! — zawołał, odwracając się twarzą do góry, zamiast, jak dotąd, leżeć na brzuchu. — Przecież to głos pana Billota!

W samej rzeczy — był to stary Billot. Pitou nabrawszy bezwzględnej pewności, że istotnie ma z nim do czynienia, usiadł na trawie. Stary wieśniak również zatrzymał swego konia, okrytego pianą.

— Och, kochany panie Billot! — zawołał Pitou. — Jak to dobrze, że pan mnie dogonił! Przysięgam, że wróciłbym na farmę po przejeździe podwójnego luidora, którego dostałem od panny Katarzyny. Ale wobec tego, że pan tu jest, to go panu oddam, tym bardziej że on przecież należy do pana i że razem wrócimy do domu, na naszą farmę.

— Do stu diabłów! — krzyknął Billot. — Co mi po farmie... Gadaj, gdzie są ci szpicle.

— Szpicle? — zapytał Pitou, który nie rozumiał znaczenia tego słowa, od niedawna dopiero będącego w powszechnym użyciu.

— No tak... chodzi mi o tych szpicłów albo szpiegów, jeżeli ci to łatwiej przyjdzie zrozumieć.

— Rozumiem... o tych, co szpiegują innych... Pan chyba gam rozumie, że nie miałem zamiaru czekać na nich...

— Znakomicie! W takim razie są gdzieś z tyłu, za nami...

— Spodziewam się... po takim wianiu, jakie ja odstawiałem...

— Skoro jesteś taki pewny siebie, po coś uciekał tak daleko?

— Bałem się, że to ich naczelnik, nie chcąc narazić się na nagane, tak mnie ściga na koniu...

— Patrzcie, państwo... Wcale nie jesteś taki niezdara, za jakiego cię brałem. Więc wobec tego, że droga jest wolna, jazda do Dammartin! Ale żywo!

— Dlaczego „żywo”?

— Wstawaj, pojedziesz ze mną...

— To my pojedziemy do Dammartin?

— Tak, wezmę wierzchowca od mojego przyjaciela Lefranca i zostawię mu mojego Kadeta, który już ledwo żyje, a następnie, tego samego wieczora dobruimy do Paryża.

— Zgoda, panie Billot, zgoda!

— No, to wstawaj, żywo!

Pitou uczynił wysiłek, aby usłuchać rozkazu.

— Bardzo bym chciał, panie Billot, ale nie mogą... — Nie możesz się podnieść?

— Nie.

— A przed chwilą skakałeś niczym ryba?

— Przed chwilą to nic dziwnego: słyszałem pański głos, a jednocześnie dostałem batem po plecach. No, ale mam nadzieję, że to się nie powtórzy. Teraz już jestem przyzwyczajony do pańskiego głosu, a co się tyczy tego bata, to mam pewność, że go pan będzie używał tylko dla popędzania biednego Kadeta, który się tak samo zgrzał jak ja.

Logiczne rozumowanie Pitou, które, właściwie mówiąc, należy przypisać zasługom ojczulka Fortiera, przekonało i niemal wzruszyło starego Billota.

— Nie mam czasu rozczulać się nad twoim losem — odparł stary. — Postaraj się wstać i usadowić za mną...

— Ależ to biedne konisko gotowe paść!

— Ech, skądże znowu! Za pół godzinki będziemy u starego Lefranca.

— Mnie się zdaje, drogi panie Billot, że to całkiem zbyteczne, abym ja jechał do starego Lefranca...

— A to niby dlaczego?

— Dlatego, że pan ma coś do załatwienia w Dammartin, a ja nie.

— Bardzo możliwe, ale będziesz mi potrzebny w Paryżu. Przydasz mi się tam. Masz mocne pięści, a mam takie wrażenie, że się tam nie obejdzie bez bijatyki.

— Aha — odrzekł Pitou niezbyt zachwycony tą perspektywą — tak pan sądzi? — Pitou przysunął się do konia, a stary wciągał go na grzbiet niczym worek z mąką.

Billot wrócił na drogę i tak sprawnie posługiwał się cugłami, kolanami i ostrogami, że, jak zapowiedział, po upływie niespełna pół godziny byli już w Dammartin.

Billot wjechał do miasta dobrze mu znaną, niewielką uliczką. Podjechał pod samą farmę starego Lefranca i zostawiając na środku podwórza Pitou i konia, pobiegł wprost do kuchni, skąd, zapinając skórzane botforty, wychodził stary Lefranc, mając zamiar udać się na objazd swych pól.

— Szybko, szybko, sąsiedzie! — zawołał Billot, zanim tamten zdążył przyjść do siebie ze zdumienia. — Daj mi swego najlepszego konia!

— W takim razie, bierz Margot — odpowiedział Lefranc. — Jest osiodłana... to dobra klacz... Właśnie miałem wsiąść na nią.

— Niech będzie Margot, ale uprzedzam ciebie, że mogą ją na śmierć zajechać...

— Na śmierć? A to niby dlaczego?

— Dlatego, że muszę jeszcze dziś wieczorem być w Paryżu! — odpowiedział posepnie Billot, dając Lefrancowi jeden z najbardziej tajemniczych znaków, za pomocą których porozumiewają się członkowie łąży wolnomularskiej.

— Ha, w takim razie rób z Margot, co chcesz — odrzekł Lefranc — ale zostaw mi twoją szkapę.

— Zrobione.

— Napijesz się szklankę wina?

— Nawet dwie.

— Zdaje mi się, żeś tu nie sam przyjechał.

— A tak. Mam tu ze sobą pewnego dzielnego chłopca, którego zabieram ze sobą... Jest, biedaczysko, tak zmęczony, że nie miał siły tu przyjść. Każ mu dać coś do zjedzenia.

— Zaraz, za chwileczkę.

Obydwaj przybysze wypróżnili w ciągu dziesięciu minut dwie butelki wina, a Pitou ponadto połknął dwufuntowy bochen chleba i pół funta słoniny. Podczas gdy Pitou objadał się, chłopak stajenny, zacna dusza, obtarł go do sucha, niczym ulubionego konia, garścią świeżej koniczyny.

Odświeżony i wypoczęty Pitou wychylił kieliszek wina z napoczętej trzeciej butelczyny, która zresztą przy jego pomocy została wkrótce całkowicie wypróżniona. Wreszcie stary Billot dosiadł Margot, a Pitou wyprostowany jak igła usadowił się za nim na końskim grzbiecie.

Poczciwa klacz, zachecona ostrogą, mimo podwójnego ciężaru ruszyła żwawo w kierunku Paryża, nie przestając opędzać się od much potężnym ogonem, który jednocześnie strzepywał przydrożny kurz z pleców Pitou i od czasu do czasu smagał go po chudych łydkach w złe opiętych pończochach.

X
CO SIĘ PRZYTRAFIŁO NA KOŃCU PODRÓŻY ODBYWANEJ PRZEZ PITOU,
CZYLI W DRODZE DO PARYŻA

Od Dammartin do Paryża jest jeszcze osiem mil. Pierwsze cztery zostały przebyte bez trudu, ale począwszy od Bourget nogi Margot, choć podpierane długimi kończynami Pitou, zaczęły coraz bardziej sztywnieć. Zapadał coraz większy mrok. Kiedy się zbliżano do La Villette, Billotowi zdawało się, że widzi łunę unoszącą się nad Paryżem. Zwrócił uwagę Pitou na czerwone rozbłyski, widoczne na widnokręgu.

— Czy panu się nie wydaje — rzekł Pitou — że to biwakują oddziały wojska i palą ogniska?

— Jakże taro znowu wojsko? — odparł Billot.

— Przecież pełno go tutaj, czemuż nie miałyby go być i tam?

Istotnie, przyjrawszy się uważnie temu, co się działo po prawej stronie drogi, stary Billot zobaczył, że cała równina Saint-Denis jest dosłownie usiana oddziałami wojska, piechoty i kawalerii, które milcząc, maszerowały w mroku. Od czasu do czasu, przy bladym blasku gwiazd, błysnęła broń.

Pitou, którego nocne wyprawy do lasu nauczyły orientowania się w ciemności, pokazał nawet staremu wieśniakowi działa armatnie, ugrzęzłe do połowy kół w rozmokłej ziemi na polach.

— Ho, ho! — zawołał Billot. — Musiało się tam wydarzyć coś nowego! Spieszmy się!

— Tak, zapewne... O! Pali się! — powiedział Pitou, unosząc się do góry na grzbiecie klaczy. — Widzi pan, jak lecą iskry?

Klacz zatrzymała się. Billot zeskoczył na drogę i zbliżając się do grupy żołnierzy w żółtych i niebieskich mundurach, biwakujących pod drzewem, zwrócił się do nich, zapytując:

— Czy możecie mi powiedzieć, moi drodzy, jakie są nowiny z Paryża?

Żołnierze odpowiedzieli mu wyzwiskami, wypowiedzianymi po niemiecku.

— Tam do licha, po jakiemu oni gadają? — zapytał Billot.

— To nie jest po łacinie, kochany panie Billot — odpowiedział Pitou drżąc całym. — To jedno, czego jestem pewien.

Billot zastanowił się i przyjrzał żołnierzom.

— A to ci dopiero głupiec ze mnie — zawołał — zwracać się do szwabów z takim pytaniem... — zaciekawiony do najwyższego stopnia, stał nieruchomo na środku drogi.

— Jakiś oficer podszedł do niego.

— Jechać swoją drogą! Raz, dwa! — zawołał łamaną francuszczyzną.

— Przepraszam, panie kapitanie, ale ja jadą w stronę Paryża...

— No to co z tego?

— Widzę, że przecięliście drogę, więc obawiam się, że mnie mogą nie przepuścić przez roгатki...

— Będą przepuścić...

Billot wsiadł na konia i w samej rzeczy przedostał się przez roгатki, ale po chwili wpadł na huzarów z Bercheny, którzy otoczyli kołem La Villette. Tym razem miał do czynienia z rodakami i otrzymał bardziej wyczerpujące odpowiedzi.

— Czy nie zechciałby mi pan powiedzieć, co słyhać nowego w Paryżu?

— Ci wściekli paryżanie — odpowiedział jeden z huzarów — koniecznie chcą mieć z powrotem swego Neckera i strzelają do nas z karabinów, jak gdyby nam bodaj trochę na tym zależało...

— Chcą mieć z powrotem Neckera? Więc go stracili?

— Oczywiście. Przecież król pozbawił go stanowiska.

— Król pozbawił Neckera jego stanowiska? — zawołał Billot oburzony niczym głęboko wierzący, wstrząśnięty świętokradztwem. — Król pozbawił stanowiska tego wielkiego człowieka?

— Tak, mój przyjacielu, powiem ci więcej: ten wielki człowiek jest już w drodze do Brukseli.

— Ano zobaczymy, kto się będzie śmiał na ostatku! — zawołał Billot donośnym głosem, nic sobie nie robiąc z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, jawnie siejąc bunt wśród z górą tysiąca wiernych królowi żołnierzy.

Billot znów skoczył na klacz i waląc ją obcasami, pędził w stronę rogatek. W miarę tego jak się zbliżał, mógł stwierdzić, że pożar coraz bardziej się rozszerza. Długi, ognisty słup wzbijał się w niebo. Palily się same rogatki miejskie. Rozkrzyczany i ziejący wściekłością tłum, w którym było sporo kobiet, ciskających — jak to zazwyczaj bywa — groźniejsze przekleństwa i bardziej wrzaskliwych od mężczyzn, podsycił płomienie odłamkami drzewa, sprzętów, i kancelaryjnymi utensyliami celników. Rozłokowane na drodze węgierskie i niemieckie pułki przyglądały się z bronią u nogi temu zniszczeniu, nie przeciwdziałając mu bynajmniej. Mur ognia nie powstrzymał Billota, który pchnął klacz w sam środek pożaru. Dzielna Margot odważnie przebyła płonące rogatki, jednak znalazłszy się po przeciwnej stronie, została zatrzymana przez zwarty tłum, który podążał z centrum miasta na przedmieścia, przy czym jedni śpiewali, a drudzy wołali: „Do broni!”

Billot wyglądał na to, czym był w rzeczy samej, a mianowicie na poczciwego wieśniaka, przybyłego do Paryża dla załatwienia swych spraw. Może nawet nieco za głośno wołał: Na bok! Na bok! Usunąć się!”, ale Pitou wtórował mu, Uprzejmie wzywając: „Proszę się usunąć! Proszę się usunąć!” tak, że jeden naprawiał uchybienie drugiego. Zresztą — nikomu nie zależało na tym, by przeszkodzić Billotowi w załatwianiu jego spraw i dlatego pozwolono mu jechać dalej.

Klacz odzyskała swe siły. Płomienie nieco przypaliły jej sierść, a rozlegające się dokoła krzyki, do których nie była przyzwyczajona, podnieciły ją do tego stopnia, że Billot musiał powstrzymać z całej siły jej pęd, w obawie stratowania licznych gapiów, którzy stali przed bramami, lub też nie mniej licznych ciekawskich, wybiegających z bram i podążających w stronę rogatek.

Billot z trudem dobrnął do bulwaru, kierując klacz raz na prawo, kiedy indziej na lewo, ale tu był zmuszony się zatrzymać.

Otóż od Bastylli w stronę Garde-Meuble przeciągał pochód. W owych czasach te dwa punkty stanowiły niejako dwie kamienne zapory, zamykające pierścień, który otaczał Paryż z obu stron.

Przed pochodem wypełniającym cały bulwar niesiono nosze, na których spoczywały dwa popiersia: jedno przesłonięta żalobną krepą, drugie przybrane wieńcem. Popiersie przesłonięte krepą wyobrażało Neckera, a więc ministra, który nie tyle wpadł w niełaskę, co raczej został usunięty, a to drugie, uwieńczone kwiatami, było popiersiem księcia Orleanu, który odważnie stanął na dworze królewskim po stronie ekonomisty z Genewy.

Billot zasięgnął informacji, co oznacza ten pochód, na co usłyszał w odpowiedzi, że jest to hołd, jaki lud Paryża oddaje Neckerowi i jego obrońcy.

Billot urodził się w tej części Francji, gdzie imię księcia Orleanu było od półtora wieku otoczone najwyższą czcią. Billot należał do tak zwanej „sekty filozofów” i oczywiście uważał Neckera nie tylko za wielkiego ministra, lecz również za apostoła całej ludzkości.

To wystarczyło, by doszedł do stanu najwyższego wzburzenia. Stary zeskoczył z konia i nie zdając sobie zbyt sprawy z tego, co robi, wrzasnął na cały głos: — „Niech żyje książę Orleanu! Niech żyje Necker!” — po czym zmieszał się z tłumem.

Kiedy się stanowi częstkę tłumu, traci się swą indywidualną swobodę. Każdy wie, że wtedy człowiek przestaje kierować się własną wolą i pragnie tego, czego pragnie tłum, postępuje tak, jak on postępuje. O ile zaś chodzi o Billota, to tym łatwiej dał się porwać ogólnemu nurtowi, że znalazł się raczej na czele tłumu aniżeli na jego tyłach.

Z pochodu krzyczano co sił: „Niech żyje Necker! Precz z obcym wojskiem! Nie chcemy obcych wojsk!”

Billot przyłączył swój potężny głos do tych okrzyków. Tłumowi zawsze imponuje czyjaś przewaga, niezależnie od tego, na czym ona polega. Mieszkańcy paryskich przedmieść o głosach ochrypłych lub wręcz słabych, na których odbiły się i głód, i ciężkie warunki życia, od razu ocenili tubalny głos Billota, przepuścili go naprzód i po pewnym czasie stary wieśniak, nie popychany przez nikogo ani nie potrącany, znalazł się tuż przy noszach. Po upływie dziesięciu minut któryś z dźwigających nosze, obdarzony większym entuzjazmem a mniejszym zasobem sił, ustąpił mu miejsca.

Jak widzimy, Billot szybko robił karierę; dopiero wczoraj był zwykłym kolporterem broszury doktora Gilberta, a dziś już występował w charakterze jednego z tych, co się przyczynili do triumfu Neckera i księcia Orleanu. Zaledwie jednak doszedł do tego stanowiska, kiedy pewna myśl zaświtała mu w głowie: „Co się stało z Pitou? Gdzie jest Margot?”

Niosąc dalej nosze, Billot zdołał odwrócić głowę i przy blasku pochodni, które oświetlają drogę, towarzyszyły maszerującym, oraz przy świetle lampionów, płonących we wszystkich oknach, spostrzegł w samym środku pochodu coś w rodzaju ruchomego wzgórze, jakie tworzyło pięciu czy też sześciu krzyżujących i wymachujących rękami mężczyzn. Wśród tych gestów i krzyków można było jednak bez trudu poznać głos Pitou i jego długie ramiona. Pitou czynił rozpaczliwe wysiłki, by obronić klacz, która, niestety, była już w obcych rękach. Nie dźwigała już na sobie ani Billota, ani Pitou, którzy stanowili też nie byle jaki ciężar dla biednej szkapę — teraz usadowiło się na niej tyle osób, ile mogła pomieścić na swoim grzbiecie, karku, zadzie, a nawet szyi. Wśród mroku nocy, który nadaje przedmiotom fantastyczny wygląd, Margot przypominała raczej słonia obładowanego myśliwymi, którzy idą z nagonką na tygrysa. Na dość szerokim grzbiecie klaczy rozsiadło się pięciu czy też sześciu obywateli, nie przestających wznosić okrzyki: „Niech żyje Necker! Niech żyje książę Orleański! Precz z cudzoziemcami!”, na co Pitou odpowiadał z wielkim niepokojem:

— Udusicie mi klacz!

Wszyscy dokoła dosłownie szaleli.

Billot miał przez chwilę zamiar przyjść z pomocą Pitou, ale po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że jeżeli bodaj na chwilę zrezygnuje z zaszczytu, jaki go spotkał — podtrzymywania noszy — należy wątpić, czy uda mu się później go osiągnąć. Następnie uprzytomnił sobie, że na podstawie umowy zawartej z sąsiadem Lefrankiem, Margot była jego własnością w zamian za zostawionego Kadeta. Gdyby klacz miało spotkać coś złego, strata wynosiłaby najwyżej trzysta lub czterysta franków, na co ostatecznie przy swojej zamożności Billot mógłby sobie pozwolić, składając na ołtarzu miłości ojczyzny taką ofiarę.

Tymczasem pochód wciąż posuwał się naprzód, następnie skreślił na prawo i ulicą Montmartre doszedł aż do placu Zwycięstw. Kiedy znalazł się przy Palais Royal, dalszemu posuwaniu się naprzód przeszkodził ogromny tłum mężczyzn, w kapeluszach z zielonymi liśćmi, wołających: „Do broni! Do broni!”

Trzeba było się szybko zorientować, czy ci ludzie, zgromadzeni na ulicy Vivienne, są przyjaciółmi, czy wrogami? Zielony był kolorem hrabiego d'Artois. Co oznaczały te zielone odznaki?

Po krótkiej naradzie wszystko zostało wyjaśnione. Oto pewien młody człowiek,

dowiedziawszy się o odwołaniu Neckera, przy wyjściu z kawiarenki Foy skoczył na stolik i, wymachując pistoletem, począł wołać:

— Do broni!

Spacerujący po Palais–Royal, usłyszawszy to wezwanie, otoczyli go, wołając wraz z nim:

— Do broni!

Jak już mieliśmy sposobność powiedzieć, wszystkie obce armie zebrały się dokoła Paryża. Było to coś w rodzaju najazdu austriackiego. Nazwy tych pułków raniły uszy Francuzów: Reynac, Salit Samade, Diesbach, Esterhazy, Roemer. Wystarczyło je wymienić, by tłum zdał sobie sprawę, że są to wrogie mu nazwy. Młody człowiek wymieniał je po kolei, przy czym oznajmił, że Szwajcarzy, obozujący na Połach Elizejskich z czterema działami, mają jeszcze wieczorem wkroczyć do Paryża, popędzani przez dragonów księcia de Lambesc. Zaproponował więc, by każdy przypiął sobie zieloną kokardę, nie podobną do tej, którą nosili tamci, po czym zerwał liść z kasztana i umocował go na swoim kapeluszu. Wszyscy obecni natychmiast poszli za jego przykładem, zrywając liście z kasztanowego drzewa i przypinając je do kapeluszy. W ciągu dziesięciu minut trzy tysiące osób ogołociło z liści wszystkie drzewa na placu Palais–Royal.

Jeszcze tego samego ranka nikt nie znał nazwiska tego młodzieńca, a wieczorem było ono na ustach wszystkich. Ów młody człowiek nazywał się Kamil Desmoulins! Ludzie zawierali znajomości, przysięgali sobie wierność, padali sobie w objęcia i zamieniali uściski. Po chwili pochód ruszył dalej. Podczas chwilowego postoju ciekawość tych, którzy nawet stając na palcach nie mogli nic dojrzeć, przyczyniła się do tego, że Margot została dodatkowo obciążona, gdyż zarówno na siodło, jak na koński zad powłaziło tyle ludzi, że biedna klacz dosłownie runęła pod przygniatającym ją ciężarem.

Na rogu ulicy Richelieu Billot obejrzał się za siebie: klaczy nie było już widać. Billot westchnął na intencję nieszczęsnej szkapiny i wyrażając do ostateczności swój głos, trzykrotnie wezwał do siebie Pitou, podobnie jak czynili starożytni Rzymianie na pogrzebach swych bliskich, żegnając ich na zawsze. Zdawało mu się nawet, że czyjś głos z głębi tłumy odezwał się na jego wezwanie, lecz po chwili zginął wśród ulatujących pod samo niebo, skłóconych okrzyków, na poły groźących, na poły triumfujących.

Pochód wciąż kroczył przed siebie.

Wszystkie sklepy były zamknięte, natomiast otwarte były wszystkie okna, a z nich pod adresem maszerujących padały słowa dodające odwagi i pełne uniesienia.

W ten sposób pochód doszedł do placu Vendôme. Tu jednak napotkał nieprzewidzianą przeszkodę. Podobnie jak kłody drzewa, płynące z prądem na wezbranej rzece, napotykając po drodze filary mostu cofają się w tył i piętrząc się tworzą rodzaj zatoru, tak samo armia ludowa wpadła na placu Vendôme na oddziały Austriacko — Cesarskiej Gwardii.

Tym cudzoziemskim wojskiem byli dragoni. Kiedy zobaczyli, że wezbrane tłumy sięgają aż do ulicy Saint–Honoré i zaczynają się rozlewać po placu Vendôme, popuścili cugli swym koniom dostatecznie zniecierpliwionym pięciogodzinnym postojem na placu i w zwartym szeregu zaatakowali tłum.

Pierwsze uderzenie spadło na tych, co nieśli nosze. Wnet zostali oni przewróceni. Pewien typowy mieszkaniec Sabaudii, kroczący przed Billotem, pierwszy podniósł się z ziemi, umocował podobiznę księcia Orleanu na końcu kija i unosząc ją ponad głową, wołał: „Niech żyje książę Orleanu!”, chociaż go nigdy nie widział, i: „Niech żyje Necker!”, chociaż go nie znał.

Billot miał właśnie zamiar uczynić to samo z popiersiem Neckera, kiedy go ktoś ubiegł. Pewien młody człowiek ubrany dość wytwornie i zasługujący, by go nazwać elegantem, nie spuszczający przy tym oka z niesionego popiersia (przychodziło mu to z większą łatwością niż Billotowi, który je właśnie niósł), rzucił się na nie w chwili, gdy popiersie znalazło się na ziemi.

Billot daremnie szukał go na ziemi. Popiersie Neckera już znalazło się na końcu długiej tyki, przypominającej lancę, zostało podniesione do góry tuż obok popiersia księcia Orleańskiego, skupiając dokoła siebie sporą ilość uczestników pochodu.

Nagle na placu rozbłysło jakieś światło. Jednocześnie dał się słyszeć huk, w powietrzu zaczęły gwizdać kule, coś ciężkiego uderzyło Billota w czoło: upadł i w pierwszej chwili był pewien, że umiera. Nie stracił jednak przytomności i wobec tego, że nic nie odczuł, poza, silnym bólem głowy, pomyślał więc, że jest co najwyżej ranny. Dotknął ręką czoła, by się przekonać, czy rana, którą otrzymał, jest poważna, i stwierdził, że odniósł jedynie kontuzję głowy i ma ręce czerwone od krwi. Młody człowiek, który szedł przed Billotem, otrzymał ranę w samą pierś. To on padł nieżywy, a krew na rękach Billota była jego krwią. Uderzenie, jakie spadło na Billota, spowodowane było popiersiem Neckera, które straciwszy równowagę runęło na jego głowę. Z piersi Billota wydarł się okrzyk grozy pomieszanej z przerażeniem. Odsunął się od młodzieńca, którego chwyciły przedśmiertne drgawki. Ci, którzy go otaczali, również się odsunęli, a wyrzucony z piersi Billota okrzyk, podchwycony przez tłum, przewalał się niczym żałobne echo aż po ostatnie szeregi wypełniające ulicę Saint-Honore. Ten okrzyk był nowym wezwaniem do buntu. Po chwili rozległ się następny huk działa i trzy głębokie wyrwy, dokonane w ludzkim tłumie, wskazywały drogę, jaką przebyły wystrzelone pociski.

Pierwszą myślą Billota było podnieść popiersie zbroczone krwią, unieść je wysoko ponad głową, donośnym, męskim głosem zaprotestować przeciwko temu, co się dzieje, narażając się na to, że padnie zabity, jak ten oto leżący u jego nóg młodzieniec. Wszystko to podyktowało mu bezgraniczne oburzenie i tak właśnie pod wpływem pierwszego porwy uczynił — ale po chwili czyjaś wielka i potężna ręka spoczęła na lewym ramieniu Billota i tak mocno go przycisnęła, że Billot aż się ugiął pod jej ciężarem. Chciał się uwolnić od tego uścisku, gdy druga, nie mniej ciężka ręka, spadła na jego prawe ramię. Billot odwrócił się wściekły, chcąc się przekonać, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia.

— To ty, Pitou! — zawołał.

— Tak, tak — odrzekł Pitou — niech pan się nachyli, zobaczy pan, co się tu będzie zaraz działo. — Podwajając swe wysiłki udało się wreszcie Pitou zmusić upartego Billota, by położył się tuż przy nim.

Ledwo zdążyli dotknąć twarzą ziemi, kiedy rozległ się ponowny huk wystrzału. Z kolei, trafiony kulą w biodro, pada ów chłopiec z Sabaudii, który niósł popiersie księcia Orleanu.

Później dobiega leżących odgłos tętentu podków końskich na ulicznym bruku. To dragoni szarżują po raz drugi. Rozbiegany koń, niczym ten z Apokalipsy, przemyka nad nieszczęsnym Sabaudczykiem, który czuje, jak zimne ostrze lancy przebija mu pierś, i pada na Billota i Pitou.

Przez całą ulicę przewala się nawałnica, siejąca przerażenie i śmierć. Na kamieniach ulicznych pozostają same trupy. Wszyscy szukają schronienia w przyległych uliczkach. Okna zostają zamknięte. Po entuzjastycznych wezwaniach i okrzykach wściekłości następuje zupełna cisza.

Billot przeczekał jeszcze trochę, wciąż powstrzymywany przez Pitou, który go mitygował, a potem widząc, że niebezpieczeństwo oddaliło się wraz z tumultem, podźwignął się na kolana, podczas gdy Pitou, niczym zając w swym legowisku, nie podnosił głowy, lecz nastawiał uszu.

— Zdaje mi się, drogi panie Billot, że pan miał rację mówiąc, że przybywamy w samą porę...

— No to mi pomóż...

— W czym? Żeby stąd czym prędzej uciec?

— Nie. Ten młody elegancik już nie żyje, ale zdaje mi się, że biedny Sabaudczyk jedynie zemdłał. Pomóż mi go wziąć na plecy. Nie możemy go tu zostawić, bo go ci przekleci Niemcy dobiją.

Billot przemówił językiem, który trafił wprost do serca Pitou. Niezwłocznie wykonał

otrzymany rozkaz, uniósł zemdlone i zbroczone krwią ciało Sabaudczyka i złożył je na barczystych plecach Billota niczym worek. Billot widząc, że ulica Saint-Honoré jest wolna od wojska i niemal opustoszała, ruszył wraz z Pitou w stronę Palais-Royal.

XI

NOC Z DWUNASTEGO NA TRZYNASTY LIPCA

Billot i Pitou sądzili z początku że na ulicy nie ma nikogo i że jest bezludna, tymczasem dragoni, ścigając uciekające tłumy, zapędzili się aż po rynek Saint-Honoré i rozproszyli się po przylegających uliczkach Louis-le-Grand i Gaillon. Wszakże w miarę tego jak Billot, miotając bezwiednie słowa zemsty, zbliżał się do Palais-Royal, na rogach ulic, u wylotu alei i na progu domów zaczęli się ukazywać ludzie. Zrazu milczący i przerażeni, upewniwszy się, że nie ma tu już dragonów, przyłączali się do żałobnego konduktu, mając na ustach jedno słowo, wpierw wymawiane szeptem, później coraz głośniejsze, aż wreszcie wyrzucane z piersi całą siłą:

— Zemsta! Zemsta!

Pitou szedł za Billotem, trzymając w ręce czapkę biednego Sabaudczyka. Ten posępny i budzący przerażenie kondukt doszedł wreszcie do pałacu Palais-Royal, gdzie kipiący gniewem tłum po naradzie domagał się, by żołnierze francuscy okazali im pomoc w walce z cudzoziemskimi wojskami.

— Co to za jedni ci w mundurach? — zapytywał Billot, znalazłszy się przed frontem żołnierzy, którzy z bronią u nogi stali przed bramą wejściową pałacu od strony ulicy Chartres, pilnując dostępu na plac Palais-Royal.

— To są gwardziści francuscy! — zawołało kilka głosów.

— Ach, tak! — odparł Pitou, zbliżając się do nich i wskazując żołnierzom na Sabaudczyka, który już wyzionął ducha, zwrócił się do nich ze słowami:

— Żołnierze! Jesteście Francuzami! Czy pozwolicie, by Niemcy nas mordowali?!

Gwardziści mimo woli cofnęli się w tył.

— Nie żyje! — odezwało się kilka głosów w szeregach.

— Tak, nie żyje! Został zamordowany jak wielu innych!

— Przez kogo?

— Przez austriacko — cesarskich dragonów. Czy nie słyszeliście krzyków, wystrzałów i galopujących koni?

— To prawda! — zawołało naraz kilkaset głosów. — Naród na placu Vendôme zarzynano jak barany!

— Do kroćset diabłów! — krzyknął Billot, zwracając się do żołnierzy. — Przecież też jesteście dziećmi tego samego narodu! Trzeba być tchórzami, żeby pozwolić na mordowanie waszych braci.

— Tchórzami?! — powtórzyło groźnie parę głosów w szeregach gwardzistów.

— Tak. Tchórzami! Powiedziałem to i jeszcze raz powtarzam! — odparł Billot robiąc parę kroków w tym kierunku, gdzie rozległy się pogroźki. — Chyba mnie nie zabijecie, żeby, pokazać, że nie jesteście tchórzami? Co?

— Dobrze, dobrze! — odpowiedział jeden z żołnierzy. — Wiemy, że dzielny z ciebie człowiek, przyjacielu... ale wy jesteście cywile i możecie robić, co wam się podoba, a my jesteśmy żołnierzami i otrzymujemy rozkazy.

— Więc niby z tego wynika, że jeżeli otrzymacie rozkaz strzelania do nas, czyli do bezbronnych ludzi, to nie zawahacie się tak postąpić... Wy, spadkobiercy żołnierzy spod Fontenoy, tych, którzy utarli nosa Anglikom!

— Ja tam wiem, że nie strzelałbym — rozległ się czyjś pojedynczy głos z szeregów.

— Ani ja... ani ja! — odpowiedziało im co najmniej sto innych głosów.

— A więc, nie pozwólcie, aby inni strzelali do nas! Pozwalając Niemcom, żeby nas mordowali, robicie to samo, co oni!

— Dragoni! Dragoni! — zaczęło wołać naraz kilka głosów, a tłum, popychając się nawzajem, wypełnił cały plac, uciekając następnie przez ulicę Richelieu. Słysząc było na razie daleki, ale coraz bardziej zbliżający się tętent kawalerii, cwałującej po bruku.

— Do broni! Do broni! — wzywali uciekający.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Billot składając na ziemi ciało Sabaudczyka. — Oddajcie nam przynajmniej wasze karabiny, skoro sami nie chcecie z nich robić użytku.

— Do stu piorunów! Sami ich użyjemy! — zawołał gwardzista, któremu Billot chciał odebrać karabin. — Niech tylko Austriacy spróbują zrobić coś złego tym ludziom... już my im pokażemy!

— Tak... My im pokażemy! — poczęli krzyzczeć gwardziści, sięgając do ładownic i nabijając karabiny.

— Do licha! Jaka szkoda, że nie zabrałem ze sobą swojej flinty — sarkał Billot. — Ale może się znajdzie jaki umarłak między tymi Austriakami, wtedy zabiorę mu jego muszkiet!

— Weźcie na razie ten karabin, jest nabity! — odezwał się czyjś głos. Jednocześnie jakiś nieznaną człowiek wcisnął mu w rękę broń.

W tej samej chwili na placu ukazali się dragoni, tratując i płazując każdego, kto im stanął na drodze. Oficer, który dowodził francuskimi gwardzistami, zrobił cztery kroki naprzód.

— Hola, dragoni! — krzyknął. — Zatrzymajcie się!

Nie wiadomo, czy dragoni nie dosłyszeli, czy też nie chcieli słyszeć, a może poniosły ich rozpedzone konie i nie byli w stanie ich zatrzymać, dość że skracając półkolem na prawo, przewrócili jakąś kobietę i starca, którzy znikli pod końskimi kopytami.

— Na co czekamy? Ognia! — zawołał Billot.

Billot stał tuż obok oficera i można było sądzić, że to był głos oficera. Gwardziści złożyli się i dali salwę, która zatrzymała dragonów na miejscu.

— Cóż to, panowie gwardziści! — zawołał niemiecki oficer, podjeżdżając na czele rozbitego szwadronu. — Strzelacie do nas?

— A tak. Strzelamy! — odparł Billot, strzelając do oficera, który spadł na ziemię.

Wtedy gwardziści dali po raz drugi salwę, Niemcy zaś zdając sobie sprawę, że tym razem mają do czynienia nie z cywilami, którzy uciekali przed pierwszym uderzeniem pałasza, lecz z żołnierzami, którzy potrafią stawić im czoła, zawrócili i odjechali na plac Vendôme, czemu odpowiedział tak gwałtowny wybuch okłasków i okrzyków, że niektóre konie poniosły i porozbijały łby o spuszczone żaluzje sklepów. — Niech żyją francuscy gwardziści! — krzyknął tłum.

— Niech żyją obrońcy ojczyzny! — krzyknął Billot.

— Dziękujemy! Przeszliśmy chrzest bojowy! — zawołali tamci w odpowiedzi.

— Ja też przeszedłem chrzest bojowy! — powiedział Pitou.

— I co ty na to? — zapytał Billot.

— Myślę, że to wcale nie jest takie straszne, jak sobie wyobrażałem...

— A teraz — odrzekł Billot przyjrawszy się otrzymanemu karabinowi i stwierdziwszy, że jest to wyborowa broń — chciałbym wiedzieć, do kogo należy ten karabin?

— Do mego pana — odpowiedział ten sam głos, co przedtem — ale mój pan uważa, że za dobrze się nią posługujecie, obywatelu, aby ją wam odebrać...

Billot odwrócił się i spostrzegł masztalerza, który miał na sobie liberię księcia Orleanu.

— A gdzie jest twój pan? — zapytał.

Masztalerz wskazał mu na wpół odsłoniętą firankę, za którą ukryty książę mógł widzieć

wszystko, co się dzieje.

— A więc twój pan jest po naszej stronie?

— Sercem i duszą jest zawsze z ludem! — odparł masztalerz.

— W takim razie jeszcze raz wznieśmy okrzyk: „Niech żyje książę Orleański!” — zawołał Billot i zwrócił się do tłumu ze słowami:

— Przyjaciele! Książę Orleański jest po naszej stronie! Niech żyje! — po czym pokazał ręką firankę, za którą znajdował się książę. Firanka została całkowicie uniesiona, książę Orleanu trzykrotnie pozdrowił tłum, a po chwili okno znów, było zasłonięte.

Pomimo iż wszystko to trwało bardzo krótko, ukazanie się księcia wzbudziło niebywały entuzjazm.

— Niech żyje książę Orleański! — krzyczało około trzech tysięcy ludzi.

— Wyłamać drzwi do magazynów broni! — zawołał czyjś głos z tłumu.

— Biegnijmy na plac Inwalidów! — odpowiedziało mu kilku starszych żołnierzy. — Sombreuil ma tysiąc karabinów.

— Do Inwalidów!

— Do Ratusza! — wołali inni. — Flesselles, przewodniczący Zgromadzenia Kupców, ma klacze od składów broni gwardii... On nam je da!

— Do Ratusza! — upierała się część obecnych.

Tłum ruszył w trzech wspomnianych kierunkach. Tymczasem dragoni na placu Ludwika XV uszykowali się w szeregu dokoła barona de Bezenval i księcia de Lambesc. Ale ani Billot, ani Pitou, którzy nie przyłączyli się do żadnego z trzech pochodów, nic o tym nie wiedzieli i niemal sami jedni pozostali na placu Palais-Royal.

— I cóż, drogi panie Billot, zrobimy teraz? Dokąd pójdziemy? — zapytał Pitou.

— Chętnie bym poszedł wraz z tymi dzielnymi ludźmi — odpowiedział Billot — lecz nie do Arsenału, bo przecież mam ten wspaniały karabin... Poszedłbym do Ratusza albo do Inwalidów, ale przecież nie przyjechałem do Paryża, żeby tu walczyć, tylko żeby zdobyć adres doktora Gilberta... Więc zdaje mi się, że powinienem udać się do liceum imienia Ludwika Wielkiego, gdzie się uczy jego syn, a dopiero kiedy wszystko pozalatwiam i zobaczę się z doktorem, mogę wrócić i wziąć udział w tych awanturach...

Oczy Billota aż zabłysnęły przy tych ostatnich słowach.

— Mnie się też wydaje, że najrozsądniej byłoby pójść do tej szkoły — zgodził się Pitou — bo przecież po tośmy tu przyjechali.

— No to zabierz karabin, pałasz albo jaką inną broń któremu z tych nicponiów, co tu leżą — powiedział Billot, pokazując na pięciu czy sześciu dragonów leżących nieruchomo na ziemi — i chodźmy do tej szkoły.

— Ale przecież ta broń nie należy do mnie... — odpowiedział Pitou wahając się.

— A do kogo?

— Do króla.

— Nie, jest własnością ludu! — odrzekł Billot. Przyznając słuszość staremu wieśniakowi i wiedząc, że jest człowiekiem, który nie wzięłyby swemu sąsiadowi nawet ziarenka prosa, Pitou z zachowaniem wszelkich ostrożności podszedł do najbliższego leżącego dragona i przekonawszy się, że ten naprawdę nie żyje, zabrał mu jego pałasz, karabin i ładownicę.

Miał ogromną ochotę zabrać mu również jego czapę, nie był jednak pewien, czy to, co powiedział Billot, dotyczyło wyłącznie broni czy też również i ekwipunku. Uzbrawając się Pitou nie przestawał nasłuchiwać, co się dzieje na placu Vendôme.

— Oho! Zdaje mi się, że Niemcy wracają!

Istotnie, dał się słyszeć tętent kopyt nadjeżdżających powoli dragonów. Pitou przykucnął za

rogiem kawiarni de la Régence i zauważył u wylotu ulicy Saint-Honoré nadjeżdżający patrol dragonów, z bronią gotową do strzału.

— Spieszmy się! Oni wracają! — zawołał.

Billot obejrzał się dokoła, aby się przekonać, czy istnieje jakaś możliwość stawienia oporu. Plac był prawie opustoszały.

— Chodźmy do Szkoły Ludwika Wielkiego! — powiedział stary wieśniak, skręcając w ulicę de Chartres. Pitou, który jeszcze nie wiedział, do czego służy haczyk przy pasie, włókł za sobą ciężki pałasz.

— Tam do licha! — zawołał Billot. — Wyglądasz jak handlarz starym żelastwem. Przypnijże to szablisko!

— Do czego?

— Nie wiesz? O, tu! — Co rzekłszy, Billot przyczepił mu pałasz do pasa, a to pozwoliło Pitou maszerować ze zwiększoną szybkością.

Szli bez przeszkód aż do placu Ludwika XV, ale tu spotkali ludzi zdążających w stronę placu Inwalidów i nagle zatrzymanych w swych pochodzie.

— No i co się stało? — zapytał Billot.

— Przejdźcie przez most Ludwika XV zamknięte. — A przez bulwary nad Sekwaną?

— Tym bardziej.

— W takim razie wracajmy, przedostaniemy się przez most Tuileries.

Propozycja była całkiem, rozumna i tłum, podążając za Billotem, dał dowód, że się z nią zgadza. Jednak mniej więcej w połowie drogi, niedaleko ogrodu Tuileries, zabłysły z daleka pałasze dragonów. Droga przez bulwar nadbrzeżny była przecięta przez szwadron kawalerii.

— Ci przekłęci dragoni! — zaklął Billot. — Wszędzie ich pełno.

— Drogi panie Billot — odezwał się Pitou — zdaje się, że jesteśmy osaczeni!

— Nie ma obawy! To nie tak łatwo osaczyć pięć czy sześć tysięcy ludzi, a tylu nas tu jest co najmniej...

Dragonii co prawda posuwali się stępą wzdłuż bulwaru, byli jednak coraz bliżej.

— Pozostaje nam ulica Royale — powiedział Billot. — Chodźmy tędy.

Pitou szedł za nim jak cień, ale łańcuch żołnierzy zamykał ulicę u wylotu Porte-Saint-Honoré.

— Ha — przyznał Billot — zdaje się, że miałeś słuszość, mój drogi.

— Zapewne! — potwierdził Pitou.

Ton, którym zostało wypowiedziane to jedno słowo, wyraźnie dawał do zrozumienia, że Pitou szczerze żałował tego, że się nie omylił.

Podniecenie, jakie zapanowało, i okrzyki, jakie padały zewsząd, również wyraźnie świadczyły o tym, że tłum, podobnie jak Pitou, dokładnie zdawał sobie sprawę z sytuacji, w której się znalazł.

Oto bowiem, co się stało: dzięki zręcznym manewrom oddziałów księcia de Lambesc udało się odciąć most Ludwika XV od bulwaru nad Sekwaną, Pól Elizejskich oraz ulicy Royale i Feuillans. W ten sposób zarówno buntownicy, jak gapie, w ogólnej liczbie około pięciu lub sześciu tysięcy, zostali zamknięci w ogromnym żelaznym pierścieniu, którego jedną część stanowił trudny do przebycia mur, otaczający ogród Tuileries, a drugą — niemożliwe do sforsowania sztachety dokoła Pont-Tournant.

Billot szybko ocenił sytuację: była wręcz fatalna, jednak jako człowiek opanowany, zimny i nie tracący głowy w chwili niebezpieczeństwa, dokładnie rozejrzał się wokół siebie i zobaczywszy sterty belek, złożone na brzegu rzeki, powiedział do Pitou:

— Mam pewną myśl... Chodź.

Pitou poszedł za nim nie pytając nawet, na czym owa myśl polega. Billot podszedł do leżących na ziemi belek, oburącz podniósł jedną z nich i krzyknął w stronę Pitou tylko dwa słowa: „Pomóż mi!”

Pitou również nie zadając zbytecznych pytań, zabrał się do pomagania Billotowi. Nie zastanawiał się nad niczym, miał bowiem takie zaufanie do starego, że gotów był pójść za nim do piekła. Nie wdawał się w rozmowę na temat nieco zbyt długich schodów, które prowadzą do głębokiej piwnicy.

Billot chwycił belkę z jednej strony, a Pitou — z drugiej. Dźwigając ciężar, który nie byłby zbyt lekki nawet dla pięciu lub sześciu silnych mężczyzn, doszli do bulwaru nadbrzeżnego. Tłum jest zawsze gotów okazać podziw dla ludzkiej siły i chociaż był w tym miejscu bardzo stłoczony, rozstąpił się przed Billotem i Pitou.

Domyślając się, że to, co w tej chwili robią ci dwaj, ma zapewne na celu coś, co się może przydać wszystkim, kilku mężczyzn wybiegło naprzód wołając:

— Rozstąpić się! Miejsca!

Po przebyciu mniej więcej trzydziestu kroków Pitou zwrócił się do Billota ze słowami:

— Czy my długo jeszcze będziemy tak szli?

— Aż do sztchet przy ogrodzie Tuileries.

— Aha! — zawołał tłum, zrozumiałwszy, o co chodzi, i jeszcze szybciej usunął się z drogi. Pitou rzucił okiem i stwierdził, że od miejsca, w którym się znajdowali, aż do sztchet ogrodu pozostało nie więcej niż trzydzieści kroków. Pięciu czy też sześciu spośród najmocniejszych mężczyzn przybiegło z pomocą, co oczywiście znacznie przyspieszyło marsz naprzód, bo oto po pięciu minutach niosący belkę stanęli tuż przed sztchetami ogrodu.

— Razem! A mocno! — komenderował Billot.

— Teraz już rozumiem, o co chodzi — rzekł Pitou. — Posłużymy się tą belką jak Rzymianie taranem!

Rozhuśtana belka ze straszliwą siłą wyrznęła w zamek bramy.

Żołnierze stojący na warcie wewnątrz Tuileries przybiegli, by zatrzymać napastników, ale trzeci cios, wymierzony w zamek, rozwalił wysadzoną z zawiasów bramę, a tłum jak lawina runął przez tę rozwartą, ciemną paszczę.

Z wynikłego zamieszania książę de Lambesc bez trudu wywnioskował, że ci, których uważał już za swoich jeńców, znaleźli dla siebie wyjście. Porwał go gniew. Wyrwał się naprzód na swym koniu, by lepiej zorientować się w sytuacji, a dragoni, stojący za nim w zwartym szyku, w przekonaniu, iż oznacza to rozkaz szarżowania tłumem, ruszyli za nim. Rozgrzane konie z trudem dawały się powstrzymać. Zresztą dragoni, dysząc zemstą za porażkę doznaną na placu Palais-Royal, nawet nie usiłowali ściągnąć cugli.

Książę widząc, że nie zdoła pohamować tego pędu, sam dał mu się porwać. Jednocześnie w niebo Paryża uderzył pełen rozpaczony lament kobiet i dzieci, wzywający Boga, by pomścił ich krzywdę.

Straszliwe sceny rozgrywały się wśród panujących dokoła ciemności! Atakowani oszaleli z bólu, atakujących również ogarnął szal mordu.

Tymczasem dużej grupie uczestników pochodu, na górnych tarasach, udało się zorganizować rodzaj obrony. W stronę dragonów poleciały ławki. Książę de Lambesc, ugodzony w głowę, ciął na oślep szablą i zamiast sprawcę trafił w bezbronnego, siedemdziesięcioletniego starca.

Billot widząc, jak ten człowiek pada, przyłożył karabin do ramienia, smuga ognia przecięła ciemności i książę z pewnością postradałby życie, gdyby w tej samej chwili jego rumak nie stanął dęba. Kula trafiła konia w szyję — padł na miejscu. W pierwszej chwili przypuszczano, że książę został zabity. Dragoni wpadli do Tuileries, ścigając uciekających i strzelając do nich z pistoletów,

ale większość zdążyła odbiec dość daleko i ukryć się za drzewami.

Billot z całym spokojem znów nabił swój karabin.

— Tam, do licha, Pitou — rzekł stary — miałeś słusność mówiąc, że przybyliśmy w samą porę.

— Nie przypuszczałem — odpowiedział Pitou, kierując swój strzał w najgęstszą gromadę dragonów — że to tak łatwo być odważnym.

— Masz słusność, ale zbyt duża brawura nie jest odwagą. Chodź tutaj i uważaj, żeby pałasz nie zaplątał ci się między nogami.

— Drogi panie Billot, niech pan na mnie zaczeka, bo jak pana zgubię, to nie będę wiedział, w którą stronę się obrócić... przecież nie znam Paryża, nigdy tu nie byłem.

— Idź za mną — odrzekł Billot, wchodząc na taras nad sadzawką. Idąc wzdłuż niego, minął wreszcie szeregi oddziałów, maszerujące przez bulwary.

Tym razem jednak wojska szły przyspieszonym krokiem, by w razie potrzeby przyjść z pomocą dragonom księcia de Lambesc.

Billot wreszcie doszedł do końca tarasu, usiadł na jego krawędzi, a następnie zeskoczył na bulwar nad rzeką.

Pitou wnet poszedł za jego przykładem.

XII

CO ZASZŁO W NOCY Z DWUNASTEGO NA TRZYNASTY LIPCA 1789 ROKU

Znalazłszy się na bulwarze nad rzeką, nasi dwaj przybysze z prowincji spostrzegli na moście Tuileries połyskującą broń jakiegoś nowego oddziału wojskowego, a podejrzewając, że nie jest to zapewne wojsko zaprzyjaźnione, czym prędzej przeszli aż do końca bulwaru, a następnie poszli wzdłuż brzegu Sekwany.

Na zegarze w Tuileries wybiła jedenasta.

Po dojściu do pięknych osik i wysokich topól, rosnących nad rzeką i swymi korzeniami sięgających jej wód, a następnie po ukryciu się w mroku, jaki panował pod drzewami, Billot i Pitou położyli się na trawniku i zaczęli się naradzać.

Chodziło o to, by rozstrzygnąć następujące, postawione przez Billota pytanie: jak należy postąpić — czy zostać w tym względnie bezpiecznym ukryciu, czy też zmieszać się z tłumem i znów wziąć udział w walce, która zanosila się na całą noc. Po zadaniu tego pytania Billot czekał, co Pitou na nie odpowie.

Pitou ogromnie urósł w oczach starego Billota. Złożyły się na to różne przyczyny: przede wszystkim umiejętności okazane wczoraj, a po drugie — odwaga, której dowody złożył wieczorem. Pitou instynktownie wyczuwał to, zamiast jednak pysznić się, tym większą okazywał wdzięczność staremu wieśniakowi, był bowiem chłopcem o wrodzonej skromności.

— Drogi panie Billot — powiedział do niego — okazało się, że jest pan bardziej odważny, aniżeli przypuszczałem, ja zaś jestem mniejszym tchórzem, niżby się zdawało. Horacy, który był człowiekiem godniejszym od nas, przynajmniej o ile chodzi o poezję, przy pierwszym starciu cisnął broń i ratował się ucieczką. Ja natomiast mam i swoją rusznicę, i ładownicę, i pałasz, z czego wynika, że jestem odważniejszy od Horacego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę, drogi panie Billot, powiedzieć przez to, że nawet najodważniejszy człowiek może być trafiony kulą.

— I co dalej?

— Dalej, drogi panie Billot, chodzi o to, że wyjeżdżając z domu, oświadczył pan, iż celem pańskiej podróży do Paryża jest załatwienie pewnej niezwykle ważnej sprawy.

— Tam, do licha! Masz słusność... szkatułka!

— A więc... To szkatułka przywiodła pana tutaj, tak czy nie?

— Przybyłem tylko dla niej. W żadnej innej sprawie!

— Czyli... jeżeli da się pan zabić przez jakąś kulę, sprawa, dla której przybył pan do Paryża, nie zostanie załatwiona...

— Masz, mój chłopcze, całkowitą słusność...

— Czy pan słyszy, jak tam rozwalają, jak krzyczą? — mówił Pitou coraz śmielej. — Drzewo drą jak papier; a żelazo skręca się niczym powrozy z konopi.

— Lud szaleje z gniewu!

— Mnie się zdaje — wtrącił Pitou — że król też jest srodze rozgniewany.

— Król?

— Oczywiście... przecież i ci Austriacy, i ci Niemcy, i żołnierze cesarscy, i te „kajzerliki”, jak ich pan nazywa, wszyscy są żołnierzami na rozkazy króla... I co? Masakrują lud! To przecież król wydał im taki rozkaz... A po to, żeby wydawał podobne rozkazy, musi być chyba także bardzo rozgniewany.

— Jednocześnie masz rację, mój Pitou, i nie masz jej...

— To mi się, drogi panie Billot, wydaje trochę nieprawdopodobne... Nie mam odwagi panu tego powiedzieć, ale gdyby, pan studiował logikę, nie zaryzykowałby pan takiego paradoksu.

. — Jak już powiedziałem, masz rację i jej nie masz, a zaraz zrozumiesz dlaczego...

— Bardzo bym chciał, ale nie wydaje mi się...

— Otóż widzisz, mój chłopcze, na dworze są dwie partie: partia króla, która kocha Francuzów, i partia królowej, która kocha Austriaków.

— No bo król jest Francuzem, a królowa — Austriaczką!

— odpowiedział rezolutnie Pitou.

— Zaczekaj!... Po stronie króla są Turgot i Necker, a po stronie królowej — pan de Breteuil i rodzina Polignac. Król nie ma już władzy, bo został zmuszony do udzielenia dymisji Turgotowi i Neckerowi. To królowa rządzi, czyli tacy jak de Breteuil i Polignac. Oto przyczyna wszystkich nieszczęść. Całe zło, mój Pitou, pochodzi od niejkiej pani, która nazywa się: „Deficyt”. Ta dama jest wściekła i w jej imieniu wojsko atakuje tłum. Austriacy bronią Austriaczki — to bardzo proste!

— Bardzo pana przepraszam — odparł Pitou — ale słowo „deficyt” jest pochodzenia łacińskiego i oznacza, że czegoś jest brak. Czego nam właściwie brak?

— Pieniądzy! Do stu diabłów! A brak nam ich dlatego, że faworyci królowej przejedli je... Dlatego właśnie królowę nazywają „Madame Deficyt”. Więc to właściwie nie król jest rozgniewany, lecz królowa, król jest najwyżej niezadowolony z tego, że wszystko się tak niepomyślnie układa.

— Teraz już wszystko rozumiem — odpowiedział Pitou.

— A co z tą szkatułką?

— Ano prawda! Ta przekłeta polityka zawsze mnie zaprowadzi nie tam, gdzie trzeba. Tak... więc przede wszystkim chodzi o tę szkatułkę. Masz słusność. Dopiero po tym, jak się zobaczę z doktorem Gilbertem, wrócimy do polityki. To moja święta powinność!

— Nie ma nic świętszego na świecie od świętych powinności! — dodał Pitou.

— W takim razie chodźmy do liceum imienia Ludwika Wielkiego, gdzie się znajduje Sebastian Gilbert — oświadczył Billot.

— Ano, chodźmy! — zgodził się Pitou westchnąwszy z zalem, gdyż nie bardzo mu się chciało rozstać z miękkim trawnikiem, do którego już się zdążył nieco przyzwyczaić. Ponadto, nie bacząc na wszystkie podniecające przeżycia ubiegłego wieczoru, sen, ów nieodłączny towarzysz czystego sumienia, tak upragniony przez umęczone ciało, coraz mocniej ogarniał naszego wielce godnego i bardzo utrudzonego bohatera.

Billot już wstał, Pitou natomiast dopiero wstawał, kiedy zegar wybił pół godziny.

— Ależ zdaje mi się, że o wpół do dwunastej liceum będzie już zamknięte...

— Zapewne.

— Poza tym jest noc i łatwiej jest wpaść w jakąś zasadzkę. Zdaje mi się, że widzę ogniska wojskowe, rozpalone niedaleko Pałacu Sprawiedliwości. Gotowi mnie albo zatrzymać, albo zabić... Masz słusność, Pitou, powinienem unikać tego, aby mnie zatrzymano albo uśmiercono.

To już po raz trzeci od samego rana Pitou usłyszał z ust Billota te trzy słowa, tak schlebające ludzkiej ambicji: „Masz słusność, Pitou”.

Pitou uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak zgodzić się z tym.

— Tak, mam słusność! — powtórzył Pitou, rozkładając się na nowo na trawniku. — Nie powinien pan, drogi panie Billot, dać się zabić.

Właściwie mówiąc, koniec tego zdania utknął gdzieś w krtani Pitou, gdyż chłopiec już

zasypiał...

— Wpadła mi pewna myśl do głowy — powiedział nagle Billot nie zauważywszy, że Pitou już chrapał w najlepsze.

— Więc posłuchaj... Niezależnie od wszelkich ostrożności, jakie postaram się zachować, mogą mnie zabić... Mogę również umrzeć na miejscu, mogę być trafiony z daleka, któż to może przewidzieć... Gdyby się coś podobnego miało wydarzyć, abys wiedział, co masz powiedzieć doktorowi Gilbertowi... Ale musisz milczeć jak mur!

Pitou nie słyszał tego, co do niego mówiono, nie mógł więc nic odpowiedzieć.

— Gdybym został śmiertelnie zraniony i nie był w stanie wykonać mojej misji, ty udasz się zamiast mnie na poszukiwanie doktora Gilberta i powiesz mu... Czy słyszysz, Pitou, co do ciebie mówię? — zapytał stary Billot, nachylając się nad swym młodym towarzyszem. — I powiesz mu, że... Ależ on chrapie, ten biedaczek...

Zapał Billota od razu wygasił na widok śpiącego Pitou.

— A więc dobrze, śpijmy!

Bez szczególnego sarkania stary wyciągnął się tuż obok Pitou. Billot był wprawdzie przyzwyczajony do zmęczenia, jednak wypadki w ciągu ubiegłego dnia i nocy nie przeszły po nim bez śladu, i stary również odczuł gwałtowną potrzebę snu...

— Po trzech godzinach ciężkiego snu obudził ich świt. Po przebudzeniu Billot i Pitou stwierdzili, że Paryż zachował ten sam co wczoraj podniecony wygląd, z tą wszakże różnicą, że żołnierzy już nigdzie nie było widać, natomiast dokoła znajdowały się tłumy ludzi.

Tłum był uzbrojony w naprędce sporządzone lance, karabiny, z którymi przeważnie nie umiano się obchodzić, we wspaniałą starożytną broń, ozdobioną złotem, kością słoniową i szylkretem, budzącą powszechny podziw, chociaż nikt nie wiedział, do czego owa broń służy i na czym polega jej mechanizm.

Ludność, niezwłocznie po wycofaniu się żołnierzy, splądrowała Garde-Meuble, gdzie przechowywano zbiory starej broni. W stronę Ratusza ciągnięto dwa niewielkie działka. We wszystkich kościołach, w Notre — Dame i na wieży ratuszowej były dzwony. Zewsząd, nie wiadomo skąd, jakby spod ziemi, wyrastały całe zastępy wybladłych, wychudzonych kobiet i mężczyzn, którzy jeszcze wczoraj krzyczeli: „Chleba!”, a dziś wołają: „Dajcie nam broń!”

Nie było nic bardziej ponurego nad widok tych gromad nędzarzy. Od dwóch czy też trzech miesięcy przybywali z prowincji, po kryjomu przedostawali się przez miejskie rogatki i niczym hieny cmentarne rozbiegali się po Paryżu, który sam zaczynał odczuwać głód.

W owych dniach cała Francja, reprezentowana w Paryżu przez owe głodne rzesze, przybyłe z prowincji, wielkim głosem wołała do swego króla: „Przywróć nam wolność!”, a do Boga modliła się słowami: „Nakarm nas, Panie!”

Billot, który pierwszy ocknął się ze snu, obudził Pitou, po czym obaj ruszyli w stronę liceum, z przerażeniem przyglądając się śladom rzezi, której sami wczoraj byli świadkami.

W miarę zbliżania się do dzielnicy, którą dziś nazywamy „Łacińską”, i posuwania się ulicą Harpe, a następnie ulicą Saint-Jacques, stanowiącą kres ich podróży, idący ujrzeni, jak wszędzie, niczym w czasie Frondy, budowano barykady. Kobiety i dzieci wносиły na górne piętra domów ciężkie księgi, masywne sprzęty i cenne marmury, które miały spaść na cudzoziemskich żołdaków, na wypadek, gdyby ci odważyli się zapędzić w kręte i wąskie uliczki starego Paryża.

Od czasu do czasu Billot spozstrzegał w środku jakiegoś zbiegowiska jednego lub dwóch francuskich gwardzistów, którzy pokazywali, jak należy obchodzić się z bronią. Nawet kobiety i dzieci z ciekawością przyglądały się ich pokazom, pragnąc posiadać tę umiejętność.

Billot i Pitou weszli do liceum imienia Ludwika Wielkiego w chwili maksymalnego wrzenia: wychowankowie zbuntowali się i przepędzili swych nauczycieli. Gdy stary wieśniak i jego

towarzysz znaleźli się przy sztachetach otaczających liceum, wychowankowie oblegali je, miotając pogroźki, którym odpowiadał żaloszny lament przerażonego dyrektora liceum.

Billot przyjrzał się tej wewnętrznej rewolucji i tubalnym głosem zawołał:

— Który z was nazywa się Sebastian Gilbert?

— Ja! — odpowiedział pewien piętnastoletni młodzieniec, piękny niczym panna, a który wspomagany przez paru swoich kolegów dźwigał właśnie drabinę, by przedostać się przez mur, wobec tego, że sforsowanie sztachet okazało się zbyt trudne.

— Zbliź się, mój drogi!

— Czego pan sobie życzy ode mnie? — zapytał młody Sebastian.

— Czy macie zamiar uprowadzić go ze sobą? — zawołał dyrektor, przerażony widokiem dwóch uzbrojonych ludzi, przy czym jeden z nich — ten właśnie, który się zwracał do młodego Gilberta — był cały zboczony krwią.

Młodzieniec również z ogromnym zdziwieniem przyglądał się obu przybyłym, daremnie usiłując rozpoznać w jednym z nich swego przybranego brata Pitou, który zdążył od czasu rozstania się tak bardzo urosnąć i w tym przebraniu wojaka był tym bardziej trudny do poznania.

— Uprowadzić? — zawołał Billot. — Ja miałbym uprowadzić syna doktora Gilberta, narazić go na coś złego w tym zamieszaniu? O, nie! Nigdy!

— A więc widzisz, Sebastianie, szalony chłopcze — przemówił dyrektor — nawet twoi przyjaciele nie chcą ciebie... Bo przypuszczam, że panowie są jego przyjaciółmi. Więc uspokójcie się, moi drodzy wychowankowie... — wołał dyrektor — usłuchajcie mnie... Rozkazuję wam... Błagam wasi — Panie dyrektorze! — odparł Sebastian z mocą, zastanawiającą u chłopca w jego wieku. — Może pan zatrzymać moich kolegów, jeżeli sobie pan tego życzy, ale oświadczam panu, że ja muszę stąd wyjść!

Sebastian uczynił krok w kierunku bramy, ale profesor trzymał go za ramię.

Chłopiec potrząsnął piękną czupryną, spadającą na jego blade czoło, i dodał:

— Panie profesorze! Niech pan się zastanowi nad tym, co pan zamierza uczynić! Położenie, w jakim ja się znajduję, jest zupełnie nie podobne do tego, w jakim są inni moi koledzy. Mój ojciec został uwięziony, jest w rękach tyranów!

— W rękach tyranów? — zawołał Billot. — Mój chłopcze, co chcesz przez to powiedzieć?

— Tak, tak! — chórem krzyknęli chłopcy. — Sebastian mówi prawdę, jego ojciec został aresztowany... Lud otworzył bramy więzienne, więc Sebastian chce, by jego ojciec również odzyskał wolność...

— Więc ośmielono się uwięzić doktora Gilberta? — zawołał Billot, mocno potrząsając sztachetą. — Do licha! Katarzynka nie omyliła się.

— Tak, proszę pana — mówił dalej Sebastian — mojego ojca aresztowano i dlatego chcę stąd wyjść, chwycić za karabin i pójść walczyć, aż go uwolnię!

Słowom tym towarzyszyło sto kipiących gniewem głosów, które wołały:

— Do broni! Do broni! Niech nam dadzą broń!

Tłum, który się gromadził na ulicy, usłyszawszy te okrzyki i z kolei sam podniecony bohaterskim zapalem młodzieży, parł na sztachety, okalające budynek liceum, chcąc uwolnić uwięzionych za nimi uczniów.

Dyrektor padł na kolana przed tymi, którzy usiłowali wtargnąć na dziedziniec i wyciągnął błagalnie ręce przez sztachety.

— O, przyjaciele! — wołał. — Nie czyńcie nic złego tym dzieciom!

— My mielibyśmy zrobić im coś złego? — odparł jeden z żołnierzy Gwardii Francuskiej. — Ani nam to w głowie! To są śliczni chłopcy! Nauczymy ich być dobrymi żołnierzami!

— Ależ, drodzy przyjaciele! Te dzieci zostały przez swoich rodziców powierzone mojej

opiece — odpowiadam za nie. Ich ojcowie i matki liczą na mnie — im zawdzięczam, że mara z czego żyć! Błagam was, nie zabierajcie tych dzieciaków...

Żałosne lamenty dyrektora zostały przyjęte krzykami dezaprobaty, które dobiegły z ostatnich szeregów tłumu zgromadzonego na ulicy. Z kolei Billot wysunął się naprzód i przeciwstawił się zarówno gwardzistom, jak tłumowi, a nawet i uczniom.

— Dyrektor ma słuszności — zawołał. — Te dzieciaki są świętym depozytem. Mężczyźni mogą się bić i zabijać, ale dzieci muszą żyć! To nadzieja przyszłości!

W tłumie dał się słyszeć szmer niezadowolenia.

— Kto śmie się temu sprzeciwić? Chyba ten, kto nie ma własnych dzieci! Jak mnie tu widzicie, dźwigałem wczoraj na swoich plecach dwóch zabitych i dlatego moja koszula jest zbroczona krwią. Spójrzcie!

Mówiąc to, Billot pokazał tłumowi swą skrwawioną bluzę i koszulę, a uczynił to tak wymownym ruchem, że tłum został głęboko wstrząśnięty.

— Wczoraj — mówił dalej Billot — walczyłem w Palais-Royal i w Tuileries, ten chłopiec również bił się u mego boku, ale on nie ma ani ojca, ani matki i jest już prawie dorosłym mężczyzną.

W tym miejscu Billot wskazał Pitou, który nie posiadał się z dumy.

— Dziś będę się bił dalej, ale niech nikt nie waży się powiedzieć, że paryżanie nie mogli dać sobie rady z cudzoziemskimi żołdakami i wezwali na pomoc dzieci.

— Tak! Słusznie! — rozległy się zewsząd głosy kobiet i żołnierzy. — Ma rację! Wracajcie, dzieciaki, wracajcie!

— Dziękuję panu, stokrotnie dziękuję! — szeptał dyrektor liceum, usiłując przez kraty ucisnąć rękę starego Billota.

— A przede wszystkim pilnujcie mi Sebastiana! — dodał Billot.

— Mnie pilnować? A więc uprzedzam, że nie upilnują mnie! — zawołał Sebastian, blednąc z gniewu i szamocąc się z pedlami, którzy go przytrzymywali.

— Pozwólcie mi wejść — odezwał się Billot. — Ja go uspokoję — biorę to na siebie!

Tłum rozstąpił się. Billot pociągnął za sobą Pitou i wszedł na dziedziniec liceum. Trzech czy czterech gwardzistów i około tuzina woźnych pilnowało furtek, uniemożliwiając wyjście młodym buntownikom.

Billot podszedł wprost do Sebastiana i ujmując swymi dużymi żyłastymi dłońmi małe i delikatne rączki chłopca, rzekł do niego:

— Sebastianie, czy nie poznajesz mnie?

— Nie!

— Jestem stary Billot, dzierżawca u twego ojca.

— Teraz poznaję...

— A tego chłopca poznajesz? — zapytał Billot, wskazując na Pitou.

— To jest Pitou!

— Tak, to ja!

Pitou, płacząc z radości, rzucił się na szyję swego przybranego brata i kolegi szkolnego.

— No i co?... Co — mi powiecie?

— Powiemy ci tylko tyle, że jeżeli twój ojciec został uwięziony, to ja ci go zwrócę! Obiecuję ci!

— Pan?

— Tak, ja i wszyscy, którzy są razem ze mną... Tam, do licha! Wczoraj mieliśmy do czynienia z Austriakami i daliśmy im porządnego łupnia... obejrzelśmy sobie z tyłu ich ładownice!

— Najlepszy dowód, że właśnie mam jedną taką! — wtrącił Pitou.
— Prawda, że uwolnimy jego ojca? — zwrócił się Billot z zapytaniem do tłumu.
— Uwolnimy go! Uwolnimy! Sebastian potrząsnął głową.
— Niestety, mój ojciec jest zamknięty w Bastylji — odparł zasmucony.
— To i cóż z tego? — zauważył Billot.
— Bastylji nie da się zdobyć! — mówił dalej Sebastian.
— Jak zamierzałeś postąpić będąc takiej myśli?
— Chciałem pójść na plac, gdzie toczy się bitwa... może ojciec dostrzegłby mnie przez więzienne kraty...

— To niemożliwe!

— Dlaczego? Pewnego dnia, spacerując z kolegą, zauważyliśmy głowę jakiegoś więźnia. Gdybym zobaczył mego ojca, poznałbym go i zawołał do niego: „Bądź dobrej myśli, ojczu, kocham cię!”

— A gdyby żołnierze, strzegący Bastylji, zabili ciebie?

— Cóż! Zabili by mnie na oczach mego ojca.

— Do stu par diabłów! Niedobry z ciebie chłopiec, skoro chcesz iść po to, by dać się zabić na oczach swego ojca i pograć go w tak strasznym bólu. Przecież ma tylko ciebie jednego na świecie i kocha cię nad życie. Masz niedobre serduszko, mój chłopcze!

— O, tak! Masz złe serce! — szlochał Pitou.

Sebastian nie odpowiadał, pogrążony w ponurym milczeniu, a tymczasem Billot z zachwytem przyglądał się jego pięknej, bladej twarzy, płonącemu spojrzeniu, ustom jednocześnie ironicznie wykrzywionym i subtelnym, orlemu noskowi i wystającemu podbródkowi, które świadczyły o szlachetnej duszy chłopca i jego arystokratycznym pochodzeniu.

— A więc powiadasz, że twój ojciec jest zamknięty w Bastylji? — zapytał w końcu Billot.

— Tak.

— I za co?

— Za to, że mój ojciec jest jednym z przyjaciół Lafayette’a i Waszyngtona, za to, że mój ojciec z szablą w ręce walczył o niepodległość Ameryki, a piórem za wolność Francji — a wreszcie i dlatego, że mój ojciec jest znany na obu półkulach świata jako nieprzejednany wróg tyranii i że przeklął Bastylję, gdzie cierpią inni ludzie. Za to wszystko uwięziono go.

— Kiedy?

— Gdzie go aresztowano?

— W Hawrze, gdy schodził ze statku. — Skąd wiesz o tym?

— Otrzymałem od niego list.

— Wysłany z Hawru?

— Tak...

— Czy aresztowano go w samym Hawrze?

— Nie, w Lillebonne.

— A więc, drogie dziecko, nie gniewaj się na mnie i podaj mi wszystkie, jakie znasz, szczegóły. Przysięgam ci, że albo złożę moje kości na placu Bastylji, albo go zobaczysz!

Sebastian spojrział na Billota i stwierdziwszy, że ten przemawia do niego z głębi serca, rozchmurzył się.

— A więc w Lillebonne ojciec zdążył jeszcze napisać ołówkiem na książce tych parę słów: „Sebastianie, jestem aresztowany. Odwożę mnie do Bastylji. Bądź cierpliwy. Nie trać nadziei, ucz się i pracuj!

Lillebonne, 7 lipca 1789 r.

P. S. Uwięziono mnie za to, że walczyłem o wolność. Mam syna w liceum Ludwika

Wielkiego w Paryżu. Znalazca tej książki jest proszony w imię ludzkości o wręczenie jej memu synowi, który się nazywa Sebastian Gilbert.”

— Gdzie jest ta książka? — zapytał Billot płonąć z niecierpliwości.

— Ojciec włożył do tej książki złotą monetę, związał ją sznurkiem i wyrzucił przez okno.

— I co było dalej?

— Znalazł ją miejscowy proboszcz. Wybrał wśród swoich parafian dzielnego młodzieńca, mówiąc mu; „Zostaw dwanaście franków swojej rodzinie, która nie ma na chleb, sobie zatrzymaj resztę, ruszaj do Paryża z tą książką i zanieś ją pewnemu biednemu dziecku, któremu zabrano ojca za to, że zanadto kochał lud.” Ten młody człowiek przybył wczoraj w południe i wręczył mi książkę mego ojca. Oto w jaki sposób dowiedziałem się o jego aresztowaniu.

— No, no — zauważył Billot — to mnie nieco lepiej usposabia do księży. Niestety, nie wszyscy są tacy jak ten. A gdzie jest ów dzielny młodzieniec?

— Odjechał wczoraj wieczorem do domu, mając nadzieję, że uda mu się zachować dla swojej rodziny jeszcze pięć franków.

— Jakie to wspaniałe! Widzisz, jak szlachetny potrafi być nasz naród! — mówił Billot, nie mogąc ukryć łez.

— Teraz wie pan już o wszystkim...

— Tak, mój chłopcze.

— Przyrzekł pan że mi zwróci mego ojca, jeżeli wszystko opowiem... Niech pan pamięta a swojej obietnicy.

— Powiedziałem ci, że go uwolnią albo zginą... A teraz pokaż mi tę książkę.

— Oto ona... — powiedział Sebastian, wyciągając z kieszeni egzemplarz dzieła pt. *Umowa społeczna* — A gdzie jest to, co napisał twój ojciec?

— Tu! — odpowiedział chłopiec, wskazując na słowa skreślone przez doktora.

Stary Billot ucałował litery, które napisała ręka doktora Gilberta.

— A teraz — rzekł — bądź spokojny. Idę na Bastylię po twego ojca!

— Nieszczęsny człowieku! — zawołał dyrektor liceum. — W jaki sposób zdołasz dotrzeć do więźnia stanu?

— Ha, do licha! Zdobywając Bastylię!

Kilku gwardzistów wybuchnęło śmiechem. Po chwili wszyscy pokładali się ze śmiechu.

— Czemu się śmiejecie? — oburzył się Billot, ciskając dokoła rozgniewane spojrzenia. — A cóż to jest ta Bastylia?

— Same kamienie! — odrzekł jeden z żołnierzy.

— I kupa żelaza... — dodał drugi.

— I dużo ognia! — dorzucił trzeci. — Uważaj, przyjacielu, można się poparzyć!

— O, tak — zawołano wspólnie — można się poparzyć!

— Ej, paryżanie! — obruszył się stary wieśniak. — Macie kilofy i boicie się kamieni! Macie pełno ołowiu, a obawiacie się żelaza! Macie tyle prochu, a boicie się ognia! Tacy z was tchórze, takie niezdary! Do stu par diabłów! Który z was odważny, niech idzie ze mną i z Pitou odbierać królowi Bastylię. Nazywam się Billot, jestem dzierżawcą z Ile-de-France! Za mną!

Tłum, cały rozedrgany i rozplomieniony, przewalał się dokoła wznosząc okrzyki:

— Na Bastylię! Na Bastylię!

Sebastian chciał się ucześcić Billota, — ale ten łagodnie go odsunął.

— Chłopcze, jakie są ostatnie słowa, skierowane do ciebie przez ojca?

— Ucz się! Pracuj!

— A więc... ucz się tutaj i pracuj! My pójdziemy pracować gdzie indziej. Niestety, nasza praca to zniszczenie i mord...

Młodzieniec nie odpowiedział ani słówkiem. Ukrył twarz w dłoniach i nie zdołał nawet uścisnąć ręki Pitou, który go okrywał pocałunkami, kiedy chwyciły go tak gwałtowne drgawki i wybuchnął takim płaczem, że musiano go zanieść do szkolnej izby chorych.

— Na Bastylię! — zawołał Billot.

— Na Bastylię! — krzyczał Pitou.

— Na Bastylię! — wtórował im tłum. Wszyscy pomaszerowali w stronę Bastylii.

XIII

JAKŻE DOBRY JEST KRÓL, JAK DOBRA JEST KRÓLOWA

A teraz nasi” czytelnicy pozwolą, że poinformujemy ich o aktualnych i najważniejszych wydarzeniach politycznych, które zaszły od chwili, kiedy w naszej ostatniej powieści rozstaliśmy się z francuskim dworem królewskim.

Ci spośród naszych czytelników, którym dzieje tamtych czasów są znane lub którzy mają odrazę do zwykłej i niczym nie okraszonej relacji historycznej, mogą pominąć ten rozdział, gdyż następny będzie już dalszym ciągiem poprzedniego. Rozdział niniejszy pozwalamy sobie zaprezentować umysłom o wyższych wymaganiach, pragnącym dokładniej zdawać sobie sprawę ze wszystkiego.

Od roku czy też od dwóch lat zanosilo się na coś nieoczekiwanego i nieznanego, na coś, czego przyczyn należało szukać w przeszłości i co, zmierzając ku przyszłości, wisiało niemal w powietrzu.

Była to rewolucja.

Na chwilę przed zgonem Wolter uniósł się na swym śmiertelnym łożu i wśród nocy, która go miała na wieki otoczyć, dostrzegł wschodzącą jutrzeńkę.

Rewolucja, podobnie jak Chrystus, którego idee nie były; jej obce, miała sądzić zarówno, żywych, jak umarłych. Kardynał de Retz opowiada, że kiedy Anna Austriaczka objęła tron, na ustach wszystkich były jedynie słowa: „Jak dobra jest królowa!”

Pewnego dnia lekarz madame de Pompadour, Quesnoy, mieszkający u niej, widzi wchodzącego Ludwika XV. Ogarnia go, niezależnie od respektu dla króla, tak wielkie zmieszanie, że blednie cały i zaczyna dygotać.

— Co się panu stało? — zapytuje go pani de Hausset.

— Ilekroć widzę króla — odrzekł Quesnoy — nie mogę się oprzeć myśli, że mam przed sobą człowieka, który może wydać rozkaz ścięcia mi głowy!

— Ależ nie ma obawy! — odpowiedziała pani de Hausset. — Król jest taki dobry!

Otóż te właśnie dwa zdania: „Jak dobry jest król” i „Jak dobra jest królowa!” — wywołały Rewolucję Francuską. Francja odetchnęła, kiedy Ludwik XV umarł. Lud francuski drogo płacił za królewskie miłostki, one same kosztowały go przeszło trzy miliony rocznie. Na szczęście, na tronie zasiadł młody, wychowany w moralnych zasadach król, żywiący ludzkie uczucia, a poza tym z usposobienia niemal filozof. Był to król, który, podobnie jak Emil Jana Jakuba, nauczył się rzemiosła, a właściwie nawet, trochę był ślusarzem, zegarmistrzem i mechanikiem. Przerażony przepaścią, jaka się przed nim rozwierała, król zaczął od tego, że odmówił wszelkich przywilejów, których się od niego domagano. Wśród dworaków wybucha panika. Na szczęście, jedno ich pociesza: to nie król odmawia, to Turgot, a ponadto i królowa jeszcze nie jest królową, i dlatego nie może dziś posiadać wpływów, jakie zdobędzie jutro.

Wreszcie około 1777 roku królowa zdobywa tak długo oczekiwane wpływy: zostaje matką. Król, który już przedtem był dobrym królem i wzorowym małżonkiem, staje się dobrym ojcem. Jakże mógłby odmówić czegokolwiek tej, która dała tronowi spadkobiercę? Ale to nie wszystko: król jest również dobrym bratem. Nie lubi jednak księcia Prowansji, który jest pedantem. Natomiast bardzo lubi obdarzonego żywym umysłem księcia d’Artois, eleganta, przedstawiciela rodowej arystokracji francuskiej. Kocha go tak bardzo, że kiedy się zdarzy, iż król odmawia jakiejś prośbie królowej, wystarczy, by książę d’Artois przyłączył się do niej, a król już nie jest w stanie odmówi.

Są to rządy ludzi miłych i przyjemnych. Pan de Calonne, jeden z najmilszych ludzi na świecie, naczelny kontroler, zwykł mówić do królowej: „Wasza Królewska Mość! Załatwię, jeśli to możliwe, jeśli niemożliwe — również załatwię!”

Od dnia kiedy ta wytworna odpowiedź poczęła krążyć po salonach Paryża i Wersalu, pewna czerwona księga, o której sędzono, że jest zamknięta, na nowo rozwarła swe karty.

Królowa nabyła Saint-Cloud.

Król — Rambouillet.

To już nie król ma swych faworytów, ma ich królowa. Panie Diana i Julianowa Polignac kosztują Francję równie drogo, jak w swoim czasie panie Pompadour i Dubarry.

„Jak dobra jest królowa!”

Zaleca się okrojenie wygórowanych pensji przy dworze. Niektórzy popierają nawet te zarządzenia, ale oto jeden ze spoufalconych z dworem służalców stanowczo przeciwstawia się obcięciu mu pensji. Jest nim pan de Coigny. Spotyka przypadkowo w korytarzu króla i pomiędzy jednym a drugim drzwiami urządza mu scenę. Król umyka co żywo, a później, śmiejąc się do rozpuku, opowiada wieczorem — Jestem pewien, że gdybym mu nie ustąpił, Coigny byłby mnie zbił „Jakże dobry jest król!”

Zdarza się niekiedy, że losy całego królestwa są uzależnione od takiej bagatelki, jak na przykład, ostroga pazia!

Ludwik XV umiera, kto będzie następcą pana d’Aiguillona?

Król Ludwik XVI proteguje Machauta. Machaut jest jednym z ministrów, który podtrzymał chwiejający się już tron. „Damy” przy dworze, czyli ciotki króla, są za panem Maurepas, który jest niezmiernie miły i układa prześliczne piosenki. Napisał tego w Pontchartrain aż trzy tomy, dając im tytuł: *Pamiętniki*. Wszystko to robi wrażenie raczej wyścigu z przeszkodami. Kto przybędzie pierwszy do mety: król i królowa do Arnouville czy „damy” do Pontchartrain?

Władza spoczywa w rękach króla, czyli szanse są po jego stronie. Kreśli w pośpiechu te słowa: „Proszę niezwłocznie przybyć do Paryża. Czekam.”

Umieszcza list w kopercie, na której pisze: „Do księcia de Machaut w Arnouville”. Zostaje wezwany goniec ze stajni królewskiej, wręcza mu się królewskie pismo i wydaje rozkaz, by pędził galopem. Kiedy goniec został już wysłany, król może przyjąć „damy”. Owe „damy”, jak to widzieliśmy w *Balsamo*, nosiły nadane im przez ich własnego ojca przydomki: „Gałganek”, „Łachmanek” i „Ochłapek”, czyli imiona bezsprzecznie bardzo arystokratyczne. Otóż czekały już naprzeciw drzwi, którymi miał wyjść ów goniec. W chwili gdy wyszedł, one weszły i zaczęły błagać króla, by udzielił swego poparcia panu de Maurepas. Wszystko jest tylko kwestią czasu, bo król nie może odmówić „damom”.

„Jakże dobry jest król!”

Król wyrazi swą zgodę, ale dopiero gdy goniec już będzie daleko i nie można go będzie dogonić.

Opiera się „damom”, nie spuszczać wzroku z zegara. Pół godziny mu wystarczy. Zegar go nie wprowadzi w błąd, bo wszak pan go nakreca.

Po upływie dwudziestu minut król ustępuje:

— A więc niech dogonią jeźdźca, a wszystko będzie załatwione.

Panie wybiegają. Niech konni gońcy pędzą za tamtym, aż padnie jeden, dwa, dziesięć koni! Goniec królewski musi być zatrzymany! Okazuje się, że to wszystko jest zbyteczne — żaden koń nie musi paść, bo oto ów goniec, schodząc, potknął się na schodach i złamał ostrogę. A czy można galopować mając tylko jedną ostrogę?

Zresztą kawaler d’Abzac, który jest głównym koniuszym, nie pozwoliłby wsiąść na konia jeźdźcowi, zanim sam nie dokona inspekcji, czy wyznaczony do ruszenia w drogę nie narazi na

szwank honoru królewskiej stajni Wreszcie goniec odjechał, mając obie ostrogi.

I czym to się skończyło? Zamiast dogonić go gdzieś na drodze do Arnouville, pędząc co koń wyskoczy — zatrzymano go na zamkowym dziedzińcu. Właśnie skoczył na siodło i miał ruszyć w drogę, mając wszystko w najlepszym porządku. List zostaje mu odebrany. Tekst nadawał się zarówno dla jednego, jak dla drugiego. Zmieniono jedynie adres — zamiast: „Dla księcia de Machaut w Arnouville”, nasze panie wpisały: „Dla księcia Maurepas w Pontchartrain”.

Honor stajni królewskiej został wprawdzie uratowany, ale monarchia została zgubiona.

Przy udziale Maurepas i Calonne'a wszystko idzie znakomicie: jeden śpiewa, drugi — płaci. Prócz faworytów są jeszcze zarządcy dóbr królewskich, którzy też umieją dbać o swoją kieszeń.

Ludwik XIV rozpoczął swe panowanie od tego, że za poradą Colberta kazał powiesić dwóch zarządców dóbr królewskich, następnie czyni panią Lavalliere swą kochanką i każe zbudować Wersal.

Pani Lavallière nic go nie kosztowała, natomiast Wersal, w którym miała zamieszkać, pochłonał bardzo wiele pieniędzy.

W roku 1685 wypędza się z Francji prawie milion niezmiernie pracowitych ludzi, pod pretekstem, że są protestantami.

W 1707 roku, jeszcze za panowania Wielkiego Króla, Boisguilber, wspominając o tym, co się działo w 1698 roku, pisze:

„Jakoś tam wtedy dawano sobie jeszcze radę — w lampie było jeszcze nieco oleju. Dziś brak jest wszystkiego.

Wielki Boże! Co powiedzą o nas za osiemdziesiąt lat, kiedy wszystko wezmą w swoje ręce Pompadourowie i Polignacowie! Dotychczas wyciskali z ludu pot, teraz każą mu się pocić krwią! Oto jak się te sprawy przedstawiają.

A wszystko to robi się z zachowaniem tak przemiłych form.

Dawniej poborcy podatkowi, byli bezwzględni, brutalni i niewzruszeni jak bramy więzienne, które zamykały się za ich ofiarami. Dziś są filantropami: wprawdzie jedną ręką zdzierają skórę z ludu, za to drugą budują dla niego szpitale. Jeden z moich przyjaciół, wielki finansista, zapewniał mnie, że ze stu dwudziestu milionów, jakie przynosiły podatki od soli, poborcy zatrzymywali dla siebie siedemdziesiąt milionów.”

Kiedy na pewnym zebraniu zapytano, jaki jest stan wydatków, któryś z doradców odpowiedział kalamburem: „Są nam potrzebne stany nie wyjątkowe, lecz generalne!”

Iskra padła na proch, proch wybuchł i spowodował pożar.

Powtarzano sobie wszędzie te słowa i zaczęto głośno domagać się utworzenia Stanów Generalnych. Na dzień I maja 1789 roku dwór wyznaczył zwołanie Stanów Generalnych. 24 sierpnia 1788 roku pan de Brienne podał się do dymisji. Był jednym z tych, co zbyt opieszale prowadzili gospodarkę finansami. Podając się do dymisji, de Brienne udzielił przynajmniej dość dobrej rady: powołać Neckera. Gdy Necker objął ministerstwo, zaufanie zostało przywrócone. Tymczasem w całej Francji gorąco rozważano sprawę trzech stanów. Sieyès ogłosił swą głośną broszurę o trzecim stanie. W departamencie Dauphiné, gdzie stany zebrały się wbrew zakazowi dworu, uchwalono, iż przedstawicielstwo stanu trzeciego będzie tak samo liczne jak arystokracji i kleru.

Zwołano walny zjazd szlachty. Trwał trzydzieści dwa dni, od 6 listopada do 8 grudnia 1788 roku. Tym razem wtrącił się sam Bóg. Kiedy bat królewski przestaje być skuteczny, powietrze przecina smaganie biczem bożego i ono zmusza narody do uległości.

Wraz z zimą nastął głód. Rok 1789 rozpoczął się od głodu i zimna. Paryż był pełen wojska. Patrole krążyły po ulicach. Dwa czy też trzy razy skierowano broń przeciwko konającemu z głodu tłumowi. Chociaż broń była nabita, nie użyto jej wtedy, kiedy należało.

26 kwietnia od samego rana, pięć dni przed zwołaniem Stanów Generalnych, pewne nazwisko zaczęło krążyć wśród tłumów. Towarzyszyły mu przekleństwa tym cięższe, że było to nazwisko robotnika, który się wzbogacił. Chodziło o Réveillona, dyrektora znanej fabryki papieru na przedmieściu Saint–Antoine. Miał on podobno wyrazić pogląd, iż należy obniżyć robotnikom dzienną płacę o piętnaście su. Odpowiadało to zresztą prawdzie. Ponadto dodawano, że król ma go udekorować czarną wstęgą, czyli Orderem Świętego Michała. To z kolei było nonsensowną wiadomością. Podczas zamieszek zawsze jest dość miejsca dla różnych absurdalnych pogłosek. Jest rzeczą zastanawiającą, że to właśnie podobne pogłoski przyczyniają się do powstawania i narastania zamieszek i że one stają się przyczyną przewrotu.

Tłum sporządził kukłę, nazwał ją „Réveillion”, udekorował czarną wstęgą i podpalił tuż pod drzwiami samego Reveillona, a ostatecznie spalił tę kukłę na placu przed Ratuszem, na oczach władz miejskich, które się przyglądały temu widowisku. Bezkarność rozzuchwaliła tłum, który zagroził, że po spaleniu kukły Reveillona zabierze się do zrobienia tego samego z jego własną osobą.

Było to wyzwanie rzucone pod adresem każdej władzy. Władze wysłały trzydziestu żołnierzy Gwardii Narodowej, zresztą to nie rząd ich wysyłał — uczynił to pułkownik de Biron.

Otóż tych trzydziestu gwardzistów odegrało rolę świadków obecnych przy wielkim pojedynku, któremu zapobiec nie byli w stanie. Patrzyli więc na to, jak demolowano fabrykę, jak wyrzucano meble przez okna, jak wszystko zostało potłuczone i spalone. Podczas tych zamieszek skradziono pięćset złotych luidorów: Wypito wino z piwnic, a kiedy go zabrakło, tłum wypił farby znajdujące się w fabryce, sądząc, że to również wino.

Skandaliczne wybryki wypełniły cały dzień 27 kwietnia.

Celem przyjścia z pomocą owym trzydziestu gwardzistom, skierowano na miejsce wypadku parę kompanii Gwardii. Z początku strzelano ślepymi nabojami, następnie kulami. Do gwardzistów przyłączyli się wieczorem Szwajcarzy, na służbie pana de Bezenval. Ci nie żartowali z buntownikami.

Pozostawili kule w swych muszkietach, a że byli dobrymi strzelcami, więc co najmniej dwudziestu spośród plądrujących zostało na bruku.

Niektórzy z nich mieli przy sobie część owych zrabowanych pięciuset luidorów, o których wspomnieliśmy wyżej, a które wpierw odbyły drogę z biurka Reveillona do kieszeni rabusiów, a następnie z ich kieszeni do sakiewek Szwajcarów.

Zaprowadzenie porządku było dziełem Bezenvala, ale król ani mu nie wyraził podziękowania, ani go za to nie zganił. Trzeba wiedzieć, że kiedy król nie dziękuje, tym samym udziela nagany.

Parlament rozpoczął dochodzenie. Król je kazał przerwać.

„Jakże dobry jest króli!”

Kto ponosi winę za podburzenie ludu? Nikt nie był w sta nie na to odpowiedzieć. Czy nie bywaliśmy nieraz świadkami tego, jak podczas wielkich upałów nagle bez powodu wybuchają pożary? Oskarżenie skierowano przeciwko księcia Orleanu.. Było pozbawione wszelkiego sensu i upadło.

29 kwietnia w Paryżu panował całkowity spokój, przynajmniej takie odnosiło się wrażenie.

Nadszedł dzień 4 maja. Król oraz królowa wraz z całym dworem udali się do Notre — Dame dla wysłuchania *Veni creator*. Słysząc było wiele okrzyków na cześć króla, a zwłaszcza na cześć królowej.

„Jaka dobra jest królowa!”

Był to ostatni dzień spokoju. Następnego dnia było nieco mniej okrzyków: „Niech żyje królowa!”, natomiast więcej wołano: „Niech żyje książę Orleanu!”

Ten okrzyk sprawiał jej ogromną przykrość. Nienawidziła księcia do tego stopnia że gotowa

była nawet go nazwać tchórzem. A czyż znalazł się kiedykolwiek jaki tchórz w rodzie Orleanów, począwszy od tego, który wygrał bitwą pod Kassel, aż do księcia de Chartres, który przyczynił się do odniesienia zwycięstw pod Jemmapes i Valmy? Było tych okrzyków na cześć księcia tyle, że biedna królowa omal nie zemdląła. Głowa jej opadła, podtrzymano ją w porę — jak o tym opowiada w swoich pamiętnikach pani Campan. Ale ta zwisająca głowa uniosła się do góry z wyrazem wyższości i wzgardy. Ci, którzy widzieli, co malowało się na tej twarzy, raz na zawsze wyzbyli się przeświadczenia, że „królowa jest taka dobra!”

Istnieją trzy portrety królowej: jeden malowany w 1776 roku, drugi — w 1784 i trzeci — w 1788 roku. Widziałem je. Przyjrzyjcie się im również i wy. Gdyby się kiedykolwiek miały wszystkie trzy znaleźć w jednej galerii, można byłoby z nich odczytać całą historię Marii Antoniny.

Zwołanie trzech stanów, które miało odegrać rolę pojednania, zamieniło się w wypowiedzenie wojny.

— Trzy stany! — powiedział Siéyès. — Nie, trzy narody!

3 maja, w przeddzień nabożeństwa w kościele Saint-Esprit, król przyjął deputowanych na audiencji w Wersalu. Niektórzy doradzali mu, by zamiast przestrzegania ceremoniału dworskiego, okazał więcej serdeczności. Król nie chciał usłuchać nikogo. Przed wszystkim przyjął przedstawicieli kleru. Następnie, szlachtę. Wreszcie Stan Trzeci. Jego przedstawiciele musieli długo czekać i zaczęli wreszcie sarkać. Dawniej, podczas zebrań, Trzeci Stan musiał wygłaszać swą powitalną orację na kolanach. Obecnie nie było sposobu zmuszenia przewodniczącego mieszczan, by ukląkł przed królem. Wobec tego uchwalono, że Trzeci Stan nie wygłosi żadnego przemówienia.

O godzinie piątej król nakrył głowę. Arystokraci uczynili to samo. Wtedy delegaci Trzeciego Stanu również chcieli nakryć swe głowy, ale król ponownie zdjął kapelusz. Wolał widocznie sam trzymać w ręce swoje nakrycie głowy, aniżeli zgodzić się na to, by przedstawiciele Trzeciego Stanu mieli w jego obecności stać z nakrytymi głowami.

W środę, 10 czerwca, Sieyes przybył na Zgromadzenie.

Przekonał się, że składa się ono niemal wyłącznie z przedstawicieli Trzeciego Stanu. Kler i arystokracja obradowały gdzie indziej.

„Trzeba wreszcie raz na zawsze załatwić tę sprawę! — powiedział Sieyes. — Czas to uczynić!”...

Zaproponował zwrócić się zarówno do kleru jak do arystokracji z żądaniem, by ich przedstawiciele przybyli najpóźniej za godzinę na posiedzenie Zgromadzenia.

„Jeżeli tego nie uczynią, zostanie wytoczone dochodzenie przeciwko nieobecny.”

Armia niemiecka i szwajcarska otoczyły Wersal. Lufy baterii dział były wycelowane w budynek, w którym toczyły się obrady.

Sieyes nie widział tego wszystkiego. Widział jedynie lud, który był skazany na męki głodu.

„Ależ sam Trzeci Stan nie może stanowić Zgromadzenia Stanów Generalnych!” — persadowano mu.

„Tym lepiej — odpowiedział — w takim razie utworzymy Zgromadzenie Narodowe!”

Nieobecni nie zjawili się. Wniosek Sieyesa został przyjęty: Stan Trzeci większością 400 głosów ogłasza się Zgromadzeniem Narodowym!”

19 czerwca król wydał rozkaz zamknięcia sali, w której zebrało się Zgromadzenie Narodowe.

Aby dokonać podobnego zamachu stanu, królowi był jednak potrzebny jakiś pretekst. Sala została zamknięta jakoby z powodu przygotowań, jakie musiały być przedsięwzięte w związku ze zwołaną na poniedziałek radą królewską.

Dnia 20 czerwca, o godzinie siódmej z rana, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego

dowiaduje się, że zapowiedziane na dzień dzisiejszy posiedzenie nie będzie mogło się odbyć. O godzinie ósmej wraz ze znaczną ilością deputowanych przewodniczący udaje się do owej sali. Drzwi są zamknięte, stoi przy nich warta. Pada deszcz. Przybyli usiłują wyłamać drzwi. Wartownicy otrzymują rozkaz wymierzenia w ich stronę bagnatów. Ktoś proponuje, by się zebrać na placu Broni. Kto inny — w Marly. Guillotin radzi w Jeu de Paume.

Guillotin! Cóż to za dziwna sprawa z tym Guillotin, którego nazwisko z dodaniem jednej litery na końcu staje się tak sławne po upływie czterech lat! Jakież to zbieg okoliczności sprawił, że właśnie Guillotin proponuje jako miejsce zebrania plac, gdzie się gra w piłkę, plac Zabaw! Ów otwarty ze wszystkich stron, opustoszały, nagi plac, który stał się kolebką rewolucji!

Cóż! Jeżeli Chrystus był synem Niepokalanej Dziewicy, to rewolucja jest dziecięciem uciskanego ludu! Na tę wielką demonstrację król odpowiada słowem Majestatu: *veto!* Do buntowników zostaje wysłany pan de Breze, w celu skłonienia ich do rozejścia się.

„Zebraliśmy się tutaj z woli ludu — odpowiada Mirabeau — i nie ustąpimy, chyba że nas przebijecie bagnatami!” Powiedział te właśnie słowa, a nie jak podawano później:

„Ustąpimy, ale pod groźbą bagnatów!” Dlaczego za plecami wielkiego człowieka zawsze znajdzie się jakiś pismak, który zniekształca jego słowa, rzekomo je poprawiając. Skąd on się wziął za Mirabeau na Jeu de Paume? Lub za Cambrone'em pod Waterloo?

Wręczono odpowiedź królowi.

Król chodził pewien czas tam i z powrotem, z bardzo zakłopotaną miną.

— A więc oni nie chcą się rozejść? — zapytał.

— Nie chcą, Sire.

— W takim razie niech im dadzą spokój. — Jak widzimy, władza królewska już musiała się ugiąć pod naciskiem ludu — i to nawet bardzo nisko.

Od 23 czerwca do 12 lipca panował pozornie spokój, lecz była to cisza przygniatająca, jaka zazwyczaj poprzedza burzę. Był to ciężki sen, jaki się miewa, kiedy się źle śpi.

11 lipca, namówiony przez królową, król przychyła się do rady księcia d'Artois, Polignaców oraz całej dworskiej kamaryli i udziela dymisji Neckerowi. 12 lipca Paryż dowiaduje się o tym.

Widzieliśmy już, jakie wrażenie wywarła ta wiadomość. Kiedy 13 lipca wieczorem Billot przybył do Paryża, zastał roгатki miejskie objęte pożarem.

13 lipca w nocy Paryż się bronił, a 14 był już gotów przypuścić atak.

14 lipca rano Billot wzywał: „Na Bastylię!”, i trzy tysiące ludzi powtórzyło za nim ten okrzyk, który wkrótce był na ustach całej ludności Paryża.

Chodzi o to, że istniał pewien widoczny symbol ucisku, który od pięciu prawie wieków przygniatał pierś Francji, niczym potworna skała uciskająca barki Syzyfa. Niestety, Francja, mniej od Tytana ufna w swe siły, nigdy nie próbowała go zrzucić.

Tym pomnikiem ucisku, pieczęcią feudalizmu, wyciśniętą na czole Paryża, była Bastylia.

Król, jak twierdziła pani de Hausset, był zbyt dobry, by mógł kazać uciąć bodaj jedną głowę. Ale król wsadzał ludzi do Bastylii, Z chwilą gdy z rozkazu króla ktoś znalazł się w Bastylii, zapominano o nim, jego majątek podlegał rekwizycji, a on sam był za życia pogrzebany, przestawał istnieć. Pozostawał tam, aż król raczył go sobie przypomnieć, ale przecież tyle nowych spraw zaprzęta uwagę królów, że często zapominają o starych.

Zresztą, we Francji istniała nie tylko Bastylia. Były jeszcze inne więzienia, które nazywały się: Fort-l'Eveque, Saint-Lazare, Châtelet, la Conciergerie, Vincennes, zamek de la Roche, zamek d'If oraz wyspy Świętej Małgorzaty, Pignerolles i wiele innych.

Lochy przy bramie Świętego Antoniego zwykło się nazywać „Bastylia”, podobnie jak o Rzymie mówi się „Miasto”. Były to lochy co się zowie — one jedne warte były wszystkich innych razem wziętych. Podczas całego niemal stulecia władzę w Bastylii sprawowała jedna i ta

sama rodzina. Protoplastą tych wybrańców był de Châteauneuf. W spadku po nim obejmuje władzę nad Bastylia jego syn, Lavrilliere. Po nim przychodzi jego wnuk — Saint-Florentin. „Dynastia” ta wymarła w 1777 roku. Nikt nie zdołałby powiedzieć, ile nakazów uwięzienia zostało podpisanych w okresie tego trzykrotnego sprawowania władzy przez jedną rodzinę. Sam Saint-Florentin podpisał przeszło pięćdziesiąt tysięcy. Owe nakazy były źródłem wielkich dochodów. Sprzedawano je rodzicom, którzy pragnęli się pozbyć swych synów. Sprzedawano je żonom, które chciały się pozbyć swych mężów. Im ładniejsze były kobiety, tym taniej kosztowały je owe nakazy. Była to po prostu wymiana pewnych grzeczności pomiędzy nimi a dygnitarzami...

Począwszy od końcowego okresu panowania Ludwika XIV, wszystkie więzienia państwowe, a zwłaszcza Bastylia, znajdowały się pod zarządem zakonu Jezuitów. W pamięci zachowały się nazwiska znaczniejszych więźniów, jak: „Żelazna Maska”, Lauzun i Latude. Spowiednikami byli jezuita i dla zachowania większej dyskrecji sami spowiadali więźniów. Wszakże dla jeszcze większego zapewnienia sobie tajemnicy, zmarłych więźniów grzebano pod wymyślonymi nazwiskami. „Żelazna Maska” — jak sobie to przypominamy — został pochowany pod nazwiskiem de Marchialy. Przesiedział czterdzieści pięć lat, Lauzun — 14, Latude — 30. Ale „Żelazna Maska” i Lauzun byli sprawcami wielkich zbrodni. „Żelazna Maska”, o którym nie wiadomo, czy był istotnie bratem Ludwika XIV, miał być uderzająco do niego podobny, a być podobnym do króla — to rzecz bardzo niebezpieczna.

Lauzun o mało się nie ożenił, a może nawet i ożenił z siostrzenicą króla, zwaną „Grande Mademoiselle” — a zamiar ożenienia się z królewską siostrzenicą to również rzecz nad wyraz niebezpieczna.

A cóż takiego zrobił ten biedaczysko Latude? Miał czelność zostać kochankiem panny de Poisson, damy przybocznej pani de Pompadour kochanki króla. Napisał nawet list miłosny do niej. Otóż ten liścik, dostarczony przez pewną zacną kobiecinę damie, do której był adresowany, został następnie przekazany przez panią de Pompadour panu de Sartines. Latude został uwięziony, ale udaje mu się uciec. Zostaje jednak schwyty i ponownie uwięziony. Spędza trzydzieści lat w celach Bastylii, Vincennes i Bicetre.

Nic więc dziwnego, że Bastylia była zniechęcona. Lud nienawidził Bastylię jak żywą istotę, widział w niej jednego z owych olbrzymich potworów, bezlitośnie pożerających ludzi.

Tym łatwiej jesteśmy więc w stanie zrozumieć rozpacz, jaka ogarnęła biednego Sebastiana Gilberta, kiedy się dowiedział, że jego ojciec został uwięziony w Bastylii. Bez trudu można też zrozumieć, dlaczego stary Billot bał się, że doktor Gilbert nigdy już nie opuści więzienia, jeżeli się go siłą z niego nie uwolni. Wreszcie — tym zrozumialszy jest zapał, który ogarnął tłum, gdy Billot wznosił okrzyk: „Na Bastylię!” A przecież, jak to powiedzieli żołnierze, sama myśl, że Bastylię można zdobyć, była szaleństwem. Bastylia miała zapasy żywności, garnizon, artylerię. Bastylia miała mury grubości piętnastu stóp u góry i czterdziestu u podstawy.

Bastylia miała komendanta, który się nazywał de Launay i który kazał w piwnicach fortecy umieścić trzydzieści tysięcy baryłek prochu, przy czym zapowiedział, że w razie zbrojnego napadu, każe wysadzić w powietrze Bastylię, a z nią i połowę dzielnicy Saint-Antoine.

XIV

TRZY WŁADZE RZĄDZĄCE FRANCJĄ

Billot wciąż szedł naprzód, ale to już nie on wznosił okrzyki. Tłum, ujęty jego bojowym wyglądem, uznał go za jednego ze swoich i biorąc do serca jego słowa i czyny, podążał za nim, wciąż przybierając na sile niczym przyływ morza.

Kiedy Billot znalazł się na wybrzeżu Saint-Michel, nad Sekwaną, miał już za sobą przeszło trzytysięczny tłum ludzi, uzbrojonych w noże, siekiery, lance i strzelby.

Wszystko to krzychało: „Na Bastylię! Na” Bastylię!”

Billot pogrążył się w zadumie.. Refleksje, które przytoczyliśmy na końcu poprzedniego rozdziału, ogarnęły z kolei I Jęgo, a cały jego zapał i uniesienie stopniowo zmniejszały się.

Naraz Billot ujrzał wszystko we właściwym świetle.

Ich zamierzenie, choć wzniosłe, było jednak pozbawione sensu. Bez trudu można to było odczytać ze zmienionych i niedowierzających twarzy, które okrzyk: „Na Bastylię!” napępiał trwogą.

Ale to jeszcze bardziej umacniało starego Billota w raz powziętym postanowieniu.

Zdawał sobie sprawę, że jest odpowiedzialny przed matkami, żonami i dziećmi za życie tych oto wszystkich idących za nim mężczyzn i dlatego przedsięwziął niezbędne środki ostrożności.

Zaczął więc od tego, że poprowadził wszystkich na plac przed Ratuszem.

Tam mianował jednego z obecnych porucznikiem i paru innych podoficerami. Mieli oni odgrywać rolę owczarków, pilnujących stada.

„Hm! — zastanawiał się w duchu. — We Francji jest jedna potęga, rządząca krajem, a nawet dwie czy też trzy! Trzeba zasięgnąć ich rady.”

Billot wszedł do Ratusza i zapytał, kto stoi na czele zarządu miejskiego.

Odpowiedziano mu, że tę godność sprawuje starszy Zgromadzenia Kupców, pan de Flesselles.

— Ach, tak — odrzekł Billot — de Flesselles, arystokrata? A więc z pewnością wróg ludu.

— Ależ nie! — usłyszał w odpowiedzi. — To bardzo rozumny człowiek.

Billot wstąpił na schody Ratusza. W przedsionku spotkał woźnego.

— Chciałbym się rozmówić z panem de Flessellesem — powiedział Billot widząc, że woźny zbliża się, by go zapytać, czego sobie tutaj życzy.

— To niemożliwe! — odrzekł woźny. — Pan de Flesselles jest w tej chwili zajęty uzupełnianiem szeregów milicji miejskiej, którą organizuje zarząd miasta.

— To się doskonale składa! — pospieszył z odpowiedzią Billot. — Ja również organizuję milicję, a wobec tego, że mam trzy tysiące ludzi zaciągniętych do szeregu, jestem chyba wart tyleż co pan de Flesselles, który jeszcze nie ma ani jednego żołnierza. Proszę więc mnie niezwłocznie zameldować u pana de Flessellesa. Spójrzcie, jeśli łaska, przez okno...

Woźny rzucił okiem na bulwar nadrzeczny i zobaczył tłum, któremu przewodził Billot. Czym prędzej udał — się, by uprzedzić starszego Zgromadzenia Kupców, a na swoje usprawiedliwienie pokazał mu również owe trzy tysiące zgromadzonych ludzi.

Pan de Flesselles od razu nabrał respektu dla nieznanego, który chciał z nim rozmawiać. Opuścił salę narad i udał się do przedsionka, szukając wzrokiem przybysza.

Gdy dostrzegł Billota, domyślił się, że to właśnie o niego chodzi, i powitał go z uśmiechem.

— Czy to pan pyta o mnie?

— Czy to pan jest panem de Flessellesem, starszym Zgromadzenia Kupców?

— Tak. Czym mogę panu służyć? Zechce pan jednak nieco się pospieszyć, gdyż jestem

ogromnie zajęty.

— Panie burmistrzu — zapytał Billot — może mi pan zechce powiedzieć, ile władz rządzi Francją?

— To zależy od tego, co pan przez to rozumie, drogi panie... — odpowiedział Flesselles.

— Niech mi pan również powie, co pan przez to rozumie...

— Jeżeli zapyta pan o to pana Baily'ego, odpowie panu, że istnieje tylko jedna: Zgromadzenie Narodowe, jeżeli zasięgnie pan rady pana de Dreux–Breze, powie, że jest nią tylko osoba króla...

— A pan, panie burmistrzu, co powie?

— Ja odpowiem również, że władza znajduje się obecnie wyłącznie w rękach...

— Czyich? Zgromadzenia czy króla?

— Ani jedno, ani drugie. Władzę sprawuje obecnie jedynie lud francuski... — odrzekł de Flesselles poprawiając żabot.

— No, no... powiada pan „lud”? — powtórzył Billot.

— Tak... to znaczy, ci ludzie, którzy czekają na ulicy z nożami i siekierami... Mówiąc „lud” mam na myśli wszystkich tych ludzi.

— Kto wie, czy pan nie ma racji? — odpowiedział Billot. — Widzę, że słusznie uchodzi pan za rozumnego człowieka.

De Flesselles skłonił się.

— Do której z tych trzech władz ma pan zamiar się odwołać? — zapytał Flesselles.

— Wydaje mi się — odpowiedział Billot — że kiedy ma się coś do załatwienia, najrozsądniej jest zwrócić się do najgłówniejszej instancji, czyli do Pana Boga, a nie do Jego świętych...

— Wynika z tego, że ma pan zamiar zwrócić się do króla...

— Chciałbym...

— A czy wolno mi zapytać, w jakiej sprawie chce pan się zwrócić do króla?

— W sprawie uwolnienia z Bastylii doktora Gilberta.

— Doktora Gilberta?... To ten pisarz, co nabazgrał jakąś broszurę?...

— Powiedz pan raczej: ten filozof.

— To obojętne, panie Billot. Obawiam się, że nie bardzo może pan liczyć na względy u króla...

— A to dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że jeżeli król kazał zamknąć doktora Gilberta w Bastylii, to zapewne miał ku temu powody.

— Ha, król mi przedstawi swoje, a ja jemu swoje.

— Drogi panie Billot, król jest bardzo zajęty, wątpię, czy będzie mógł pana przyjąć...

— Jeżeli król mnie nie przyjmie, znajdę inne sposoby dostania się do niego.

— Uprzedzam, że nawet po przedostaniu się do pałacu spotka się pan z panem de Dreux — Brézé, który każe pana wyrzucić za drzwi.

— Każe mnie wyrzucić za drzwi? Czyżby?

— Z pewnością. Chciał już tak postąpić z całym Zgromadzeniem Narodowym... Co prawda nie powiodło mu się, i z tym większą wściekłością będzie chciał wyrzucić swój gniew na pana.

— Doskonale. W takim razie zwrócę się do Zgromadzenia.

— Droga do Wersalu jest odcięta.

— Pójdę tam z trzema tysiącami moich ludzi... — Niech się pan ma na ostrożności, po drodze spotka pan cztery lub pięć tysięcy Szwajcarów i około trzech tysięcy Austriaków, którzy was w jednej chwili zmasakrują...

— Tam do licha! Cóż mam więc zrobić?

— Mech pan robi, co pan zechce... proszę jedynie, aby pan zechciał zabrać z tego placu

swoich ludzi, którzy swymi halabardami wałają w bruk i palą fajki. Mam od siedmiu do ośmiu tysięcy baryłek prochu w moich piwnicach... jedna iskra wystarczy, a wylecimy wszyscy w powietrze...

— W takim razie, po namyśle — rzekł Billot — postanowiłem nie zwracać się ani do króla, ani do Zgromadzenia. Zwróć się do ludu Paryża i razem zdobędziemy Bastylię.

— Czym?

— Tymi ośmiu tysiącami baryłek prochu, które mi pan, panie burmistrzu, wyda...

— Czyżby? — odparł szyderczo de Flesselles.

— A tak... Proszę o klucze do piwnic!

— Pan chyba żartuje!

— Me, mój panie, nie żartuję! — odparł Billot, chwytając oburącz pana de Flessellesa za kołnierz.

— Klucze, albo przywołam tu zaraz moich ludzi...

De Flesselles zbladł śmiertelnie. Zaciśnął wargi i, nie pozbywając się swego ironicznego tonu, odezwał się niemal obojętnym głosem:

— Wyświadczy mi pan ogromną przysługę uwalniając mnie od tego prochu. Owszem, wręcę panu klucze, jak sobie tego pan życzy. Niech pan jednak nie zapomina, że ma pan do czynienia z pierwszą osobą w zarządzie miasta Paryża i że gdyby panu przyszło na myśl potraktować mnie wobec wszystkich tak, jak to pan uczynił w cztery oczy ze mną, zostałby pan powieszony za godzinę przez moją straż miejską. Czy pan obstaje przy otrzymaniu prochu?

— Oczywiście!

— I sam go pan rozda?

— Sam.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Za pozwoleniem. Mam tu jeszcze nieco roboty, która mi zajmie kwadrans czasu. Wolałbym, jeżeli to panu nie robi różnicy, nie być tutaj podczas rozdawania prochu. Przepowiedziano mi, że umrę śmiercią gwałtowną, ale muszę przyznać, że perspektywa wylecenia w powietrze budzi we mnie niepohamowaną odrazę.

— Owszem, zgadzam się. Więc za kwadrans. Ale i ja z kolei mam prośbę do pana.

— Jaką?

— Przejdźmy razem do okna...

— W jakim celu?

— Chcę, by pan zdobył popularność.

— Bardzo dziękuję... a w jakiż to sposób?

— Za chwilę pan się dowie.

Billot podprowadził burmistrza do okna.

— Przyjaciele! — rzekł zwracając się do zebranych. — Czy wciąż jeszcze trwacie w zamiarze zdobycia Bastylii?

— Tak, tak! — zawołało naraz około trzech lub czterech tysięcy głosów.

— Ale nie mamy prochu, prawda?

— Nie mamy... Niech nam dadzą proch!

— A więc posłuchajcie! Pan burmistrz gotów jest wydać nam wszystkie zapasy prochu, jakie posiada w piwnicach Ratusza. Podziękujcie mu za to, przyjaciele!

— Niech żyje burmistrz! Niech żyje de Flesselles!

— Dziękuję wam za niego i za siebie!

— A teraz, drogi panie burmistrzu — rzekł Billot zwracając się do niego — nie mam potrzeby

brania pana za kołnierz ani w cztery oczy, ani wobec ludzi... a to dlatego, że jeżeli mi pan nie wyda tego prochu, „lud Paryża”, jak pan pięknie się wyraził, rozszarpie pana na kawałki.

— Oto są klucze, panie Billot — odparł burmistrz. — Ma pan sposób stawiania żądań, który z góry uniemożliwia odmowę.

— W takim razie pan sam mnie zachęca — dodał Billot, żywiąc w duszy jakieś nowe zamiary.

— Do licha! Czyżby pan jeszcze chciał czego ode mnie?

— Tak. Czy pan zna komendanta Bastylli?

— Pana de Launaya?

— Nie wiem, jak się nazywa.

— Nazywa się de Launay.

— Dobrze, Więc pan go zna?

— Jest moim przyjacielem.

— Wobec tego nie chciałby pan zapewne, aby go miało spotkać coś złego?

— Oczywiście!

— Jedynym sposobem uniknięcia przykrości byłoby dla niego poddanie mi Bastylli albo przynajmniej wydanie doktora Gilberta...

— Pan chyba nie przypuszcza, że moje wpływy mogą sięgać tak daleko, iż potrafię namówić pana de Launaya do poddania panu całej twierdzy albo do wydania jednego więźnia?...

— To już moja sprawa. Proszę pana jedynie o umożliwienie mi zobaczenia się z nim.

— Drogi panie Billot... Uprzedzam pana, że do Bastylli będzie mógł pan wejść tylko sam...

— Zgoda!

— Ponadto muszę pana uprzedzić, że może pan stamtąd nie wyjść.

— Doskonale!

— Każę panu wypisać kartę upoważniającą do wejścia do Bastylli — Czekam na nią.

— Ale jeszcze jeden warunek.

— Jaki?...

— Że jutro nie zjawi się pan u mnie z żądaniem wydania mu przepustki na księżyc... Uprzedzam pana, że nie znam tam nikogo...

— Flesselles! Flesselles! — rozległ się naraz czyjś przygłuszony i mrukliwy głos za plecami starszego Zgromadzenia Kupców. — Jeżeli będziesz miał nadal dwie twarze: jedną uśmiechającą się do arystokratów, a drugą — mizdrzącą się do ludu, obawiam się, że pewnego dnia będziesz musiał sam dla siebie wypisać przepustkę tam, skąd się nie wraca...

Burmistrz odwrócił się przerażony.

— Któż to w ten sposób przemawia? — zapytał.

— Ja... Marat!

— Marat? Ten filozof, ten lekarz! — zawołał Billot.

— Tak... ten sam! — odpowiedział nieznajomy.

— O, Marat! Filozof i lekarz! — odezwał się burmistrz. — Podjął się pan przecież uzdrawiać wariatów... Miałby pan, panie doktorze, wcale niezłą praktykę w obecnych czasach...

— Panie de Flesselles — odparł pośepnie Marat — ten dzielny obywatel zwrócił się do pana o przepustkę do pana de Launaya. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że czeka na nią nie tylko on, ale i trzy tysiące ludzi na placu.

— Słusznie. Za chwilę będzie ją miał.

Flesselles podszedł do stołu, przyłożył rękę do czoła, drugą ujął pióro i szybko skreślił parę słów.

— Proszę, oto pańska przepustka — powiedział, podając Billotowi kartkę papieru.

— Niech obywatel przeczyta — wtrącił Marat.

— Nie umiem czytać — przyznał się Billot.

— Ha! Proszę mi dać... przeczytam ją! Billot podał kartkę Maratowi.

List brzmiał:

„Szanowny Panie Komendancie!

Jako starszy Zgromadzenia Kupców miasta Paryża pozwalam sobie skierować do Pana obywatela Billota, który pragnie porozumieć się z Szanownym Panem w sprawach związanych z naszym miastem.

14 lipca 1789 roku.

de Flesselles”.

— Doskonale — powiedział Billot. — Proszę mi dać ten papierek.

— Uważacie, obywatelu, że to wystarczy?

— Przypuszczam.

— Zaczekajcie. Pan burmistrz doda jeszcze parą słów, które się przydadzą.

Marat zbliżył się do burmistrza, który stał oparty ręką o stół i nieco wzgardliwym spojrzeniem przyglądał się jednemu i drugiemu, kiedy naraz na progu ukazała się jeszcze jedna postać obnażona do pasa, wsparta na karabinie.

Był to Pitou, który ani na chwilę nie opuszczał Billota, gotowy w każdej chwili na jego rozkazy — Panie burmistrzu — powiedział Marat zwracając się do Flessellesa — zechce pan dopisać w tym miejscu parę niezbędnych słów.

— Proszę, niech pan powie, o co chodzi.

Marat położył papier na stole i pokazując palcem, gdzie miały być dopisane słowa, dyktował:

„Obywatel Billot udaje się w charakterze parlamentarza. Swoim honorem odpowiada Pan za jego życie”.

Flesselles spojrział na Marata wzrokiem człowieka, który chętniej rozplatałby jednym uderzeniem pięści tę małą postać, zamiast wykonać to, czego ona żądała.

— Pan się ociąga, panie burmistrzu? — zapytał Marat.

— Nie — odrzekł Flesselles — bo, właściwie mówiąc, to, o co pan prosi, jest słuszne.

Flesselles dopisał żądane słowa.

— Proszę jednak wziąć pod uwagę, moi panowie, że ja nie odpowiadam za bezpieczny powrót obywatela Billota.

— Ale ja za niego odpowiadam! — zawołał Marat, wrywając kartkę z rąk burmistrza.

— Własną wolnością odpowiada pan, panie burmistrzu, za Wolność obywatela Billota i własną głowę za jego głowę!

— Dobrze! — zawołał burmistrz. — Dobrze! Do pokoju wszedł lokaj w liberii.

— Moja karetka!

— Oczekuje pana burmistrza na dole.

— Chodźmy! — powiedział de Flesselles. — Czy panowie życzą sobie jeszcze czegoś ode mnie?

— Nie! — odpowiedzieli jednocześnie Marat i Billot. — Czy mam go przepuścić? — zapytał Pitou.

— Pozwól, że ci zwrócę uwagę, mój przyjacielu, na to, że jesteś zbyt nieprzyzwoicie ubrany, aby pełnić straż przy moich drzwiach. Jeżeli już chcesz koniecznie tu pozostać, umieść swą ładownicę z przodu, a tyłkiem oprzyj się o ścianę.

— Czy mam go przepuścić? — powtórzył Pitou, przyglądając się Flessellesowi z miną, która wyraźnie świadczyła o tym, że dowcipy robione kosztem jego osoby bynajmniej nie znajdują w

nim uznania.

— Tak — odpowiedział Billot. Pitou odsunął się.

— Kto wie, czy mieliście rację pozwalając odejść temu człowiekowi. Byłby to doskonały zakładnik. Możecie jednak być pewni, że gdziekolwiek będzie — ja go odnajdę!

— Labrie — powiedział burmistrz wsiadając do swej karety. — Oni mają zamiar rozdawać tutaj proch. Na wypadek gdyby Ratusz miał wylecieć w powietrze, nie chcę postradać przy tym życia... Jak najdalej stąd, jak najdalej!

Kareta minęła sklepioną bramę i ukazała się na placu, gdzie z niecierpliwością czekało już około pięciu tysięcy ludzi.

Flesselles, w obawie, by jego wyjazd z Ratusza nie był źle komentowany i uznany raczej za ucieczkę, wychylił się do połowy przez okno karety i zawołał do stangreta:

— Do Zgromadzenia Narodowego.

Słowa te zostały przez tłum nagrodzone grzmotami oklasków.

Marat i Billot stali na balkonie i słyszeli ostatnie słowa burmistrza.

— Daję głowę za to — powiedział Marat — że on wcale nie udaje się do Zgromadzenia, tylko do króla.

— Może go zatrzymać? — zapytał Billot.

— Nie potrzeba! — uśmiechnął się sarkastycznie Marat. — On wprawdzie jedzie szybko, ale my pojedziemy jeszcze szybciej. Ale teraz chodźmy po proch!

— Tak... Chodźmy po proch! — odrzekł Billot. Obaj zeszli na dół, a Pitou podążył za nimi.

XV

DE LAUNAY, KOMENDANT BASTYLII

Jak powiedział de Flesselles, w piwnicach Ratusza rzeczywiście znajdowało się osiem tysięcy baryłek prochu.

Marat i Billot weszli do pierwszej piwnicy niosąc latarnię, którą zawiesili u pułapu.

Pitou pilnował wejścia.

Proch był rozmieszczony w baryłkach — każda zawierała mniej więcej po dwadzieścia funtów. Na schodach ustawiono ludzi tworząc łańcuch, po czym rozpoczęto przenoszenie baryłek.

Na początku wynikło pewne zamieszanie: nie było pewności, czy starczy prochu dla wszystkich, i każdy spieszył, by czym prędzej otrzymać swoją część. Jednak wyznaczonym przez Billota starostom udało się uzyskać posłuch i rozdawanie prochu odbywało się we względnym porządku.

Każdy otrzymał około pół funta prochu, co wystarczyło na trzydzieści do czterdziestu wystrzałów.

Kiedy już rozdano proch, spostrzeżono, że nie wszyscy mają karabiny. Zaledwie pięciuset ludzi było pod bronią.

Rozdawanie prochu jeszcze trwało, kiedy część silnie wzburzonej ludności, domagającej się broni, wtargnęła na salę, gdzie odbywało się posiedzenie radnych miejskich, zajętych organizowaniem milicji ludowej, o czym już przedtem woźny powiadomił Billota.

Uchwalono, że owa milicja będzie się składała z czterdziestu tysięcy ludzi. Dotychczas istniała jedynie tylko na papierze, ale już sprzeczano się, kto ma być mianowany jej naczelnym dowódcą.

W trakcie tych roztrząsań tłum wdarł się do Ratusza. Nikt mu nie przewodził, chciał maszerować naprzód, brakło mu jedynie broni.

Naraz usłyszano turkot kół karety: to wracał starszy Zgromadzenia Kupców, którego nie chciano przepuścić, mimo iż pokazywał pismo królewskie, wzywające go do Wersalu. Zawrócono go przemocą do Ratusza.

— Broni! Dajcie nam broń! — zaczęto wołać zewsząd, gdy; tylko go spostrzeżono.

— Żądacie broni? — odparł burmistrz. — Ależ ja jej nie mam. Jest w Arsenale.

— Pod Arsenal! Pod Arsenal! — krzyczał tłum.

Pięć, a może i sześć tysięcy ludzi pobiegło (bulwarem de la Greve).

Arsenal był próżny.

Tłum, złorzecząc, powrócił do Ratusza.

Burmistrz nie miał broni, a raczej nie chciał jej oddać. Ulegając naleganiom tłumowi, wpadł na pomysł skierowania go do klasztoru Kartuzów. Zakonnicy otworzyli bramy, przeszukano wszystkie zakamarki i nie znaleziono nawet kieszonkowego pistoletu.

Tymczasem de Flesselles dowiedział się, że Billot i Marat jeszcze znajdują się w piwnicach Ratusza, rozdając proch, i zaproponował im wysłanie delegacji do komendanta Bastylli z propozycją usunięcia z jej murów armat. To właśnie owe działa, z lufami wyzierającymi przez strzelnicę, budziły wczoraj najgroźniejsze okrzyki ze strony tłumy.

Flesselles sądził, że lud zadowoli się usunięciem ich i rozproszy się.

Deputacja odeszła w chwili, kiedy tłum już szalał z gniewu.

Słyszając jego wrzaski, Billot i Marat wyszli na dziedziniec ratuszowy.

Flesselles, przemawiając z parterowego balkonu, usiłował uspokoić tłum, proponował uchwalenie dekretu, zezwalającego każdej dzielnicy na sporządzenie pięćdziesięciu tysięcy lanc.

Tłum gotów był się zgodzić.

— Ten człowiek niewątpliwie jest zdrajcą! — powiedział Marat.

Następnie, odwracając się do Billota, rzekł:

— Idźcie pod Bastylię i róbcie, co macie do zrobienia. Za godzinę przyślę wam dwadzieścia tysięcy ludzi, a każdy będzie miał broń, Billot od pierwszej chwili poczuł ogromne zaufanie do człowieka, którego imię było tak popularne, że dotarło nawet do niego. Nie pytał, w jaki sposób zdobędzie broń. Wśród zebranego tłumu znalazł się również jakiś ksiądz, który biorąc udział w powszechnym uniesieniu, raz po raz wznosił, podobnie jak inni, głośny okrzyk: „Na Bastylię!”

Billot nie żywił zbyt wielkiej sympatii do księży, ale ten podobał mu się, polecił mu więc zająć się dalszym rozdawaniem prochu, na co dzielny księżulo chętnie przystał.

Wtedy Marat stanął na krawężniku. Dokoła panował nieopisany rozgardiasz.

— Cisz! — zawołał. — Jestem Marat i chcę do was przemówić!

Wszyscy naraz umilkli jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, oczy obecnych skierowały się w stronę mówcy. — Domagacie się broni? — zapytał.

— Tak! Tak! — odpowiedziały mu tysiące głosów.

— Czy po to, by zdobyć Bastylię?

— Tak! Tak!

— A więc dobrze! Chodźcie za mną, a dostaniecie ją...

— Gdzie?

— U Inwalidów... Jest tam dwadzieścia pięć tysięcy karabinów.

— Do Inwalidów! Do Inwalidów! — wołano dokoła.

— A czy teraz — zapytał Marat Billota, który przywołał do siebie Pitou — pójdziecie pod Bastylię?

— Tak.

— Zaczekajcie! Może się przytrafić, że zanim nadejdą moi ludzie, będziecie potrzebowali pomocy.

— Tak — odpowiedział Billot — to możliwe.

Marat wydarł kartkę z niewielkiego notesu i ołówkiem napisał na niej słowa: „Od Marata”, po czym złożył na niej swój podpis.

— Co mam zrobić z tą kartką? Nie ma na niej ani nazwiska, ani adresu osoby, której mam ją doręczyć...

— Niestety, osoba, której was polecam, nie posiada stałego adresu, natomiast jej nazwisko jest powszechnie znane. Zapytajcie pierwszego napotkanego robotnika o Gonchona, Mirabeau ludu.

— Gonchon? Czy znasz to nazwisko? — zapytał Billot Pitou.

— Goncho albo Gonchonus... będę pamiętał...

— Do Inwalidów! Do Inwalidów! — coraz głośniej wzywały okrzyki tłumu.

— Idźcie — zwrócił się Marat do Billota — a geniusz wolności niech was prowadzi!

— Do Inwalidów! — zawołał Marat, ruszając w kierunku wybrzeża Gréve, a za nim podążył już blisko dwudziestotysięczny tłum.

Billot pociągnął za sobą od pięciuset do sześciuset ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni. W chwili gdy jeden pochód miał ruszyć wzdłuż brzegu rzeki, a drugi zamierzał udać się w stronę, bulwarów, w oknie ukazał się burmistrz.

— Przyjaciele! Skąd się wzięły na waszych kapeluszach te zielone kokardy?

Były to owe liście kasztanów, którymi za namową Kamila Desmoulinsa wielu uczestników pochodu przystroiło swoje nakrycie głowy, widząc, że czynią to inni, choć nie bardzo zdawali

sobie sprawę z tego, co to ma oznaczać.

— To kolor nadziei! — odpowiedziało parę głosów.

— Tak, ale kolor nadziei jest jednocześnie barwami księcia d'Artois. Czyżbyście chcieli uchodzić za takich, co noszą jego liberię?

— Nie, nie! — krzyczano zewsząd, a ponad wszystkimi głosami górował głos Billota.

— W takim razie zmieńcie kokardy, i jeżeli koniecznie chcecie nosić jakieś barwy, niechże to będą barwy Paryża, naszej wspólnej matki! Niebieski i czerwony! Tak, niebieski kolor i czerwony.

— Zgoda! — wołano ze wszystkich stron. — Niech będzie niebieski i czerwony!

Wszyscy zaczęli rzucać na ziemię zielone kokardy, wołając o wstążki. Naraz, jakby na rozkaz wróżki, rozwarły się dokoła okna i popłynęły z nich całe smugi niebieskich i czerwonych wstążek.

Wystarczyło tego jednak zaledwie dla tysiąca ludzi. Po chwili zaczęto drzeć na paski fartuchy, jedwabne suknie, szarfy i zasłony na okna. Wiązano je w węzły, rozety i kokardy. Każdy się w nie przystroił.

Wreszcie niewielka armia pod dowództwem Billota ruszyła naprzód. Po drodze przyłączały się nowe tłumy. Uliczki przedmieścia Świętego Antoniego dostarczyły szeregów bojowników, w których żyłach płynęła najgorętsza krew ludu paryskiego.

W dość dobrze zachowanym szyku pochód doszedł do wylotu ulicy Lesdiguières, gdzie już zgromadził się tłum ludzi, z których jedni ze spokojem patrzyli na jarzące się w słońcu wieże Bastylii, inni w onieśmieleniu, a jeszcze inni — wręcz zuchwale.

Od strony przedmieścia Świętego Antoniego nadchodzi dobosze, cieszący się zazwyczaj popularnością. Po chwili bulwarem przemaszerowało około stu gwardzistów.

Dopiero przybycie Billota na czele jego zbrojnego oddziału, który już liczył od tysiąca do tysiąca dwustu ludzi, nagle zmienia wygląd i charakter tłumy: nieśmiali nabierają odwagi, spokojni — zaczynają się burzyć, a zuchwalsi — miotają pogrózki.

— Precz z armatami! Zabrać armaty! — krzyknęło już dwadzieścia tysięcy ludzi, grożąc pięściami lufom dział, wyzierającym poprzez strzelnice w wieżach.

W tej samej chwili, jak gdyby komendant fortecy uległ żądaniom tłumy, kanonierzy podeszli do dział, cofnęli je w tył, aż przestały być widoczne.

Tłum począł bić oklaski — reprezentował więc wielką siłę, skoro jego groźby podziałały.

Jednak wartownicy w dalszym ciągu chodzili wzdłuż murów. Żołnierz francuski miał najemnego żołnierza — Szwajcara.

Tłum, który przedtem krzyczał: „Precz z armatami!”, teraz wznosił okrzyki: „Precz ze Szwajcarami!” Był to jak gdyby dalszy ciąg wczorajszych okrzyków: „Precz z Niemcami!”

Ale Szwajcarzy nadal odmierzali kroki, mijając Francuzów.

Jeden z tych, którzy krzyczeli: „Precz ze Szwajcarami!”, zniecierpliwił się. Miał w ręce karabin, skierował jego lufę przeciw wartownikowi i wystrzelił.

Kula trafiła w szary mur Bastylii, w to miejsce pod górną częścią wieży, gdzie przechodził wartownik — ale żołnierz nie zatrzymał się i nawet nie odwrócił głowy. Na murze pozostał biały ślad.

Dokoła człowieka, który dał hasło do tak niesłychanego ataku, wszczął się zamęt i zgiełk. Było w nim jednak na razie więcej przerażenia aniżeli gniewu. Wielu nie było w stanie zrozumieć, że wymierzenie strzału w Bastylię bynajmniej nie jest przestępstwem, za które czeka kara śmierci.

Billot patrzył na te zielonkawe mury, przypominające swym wyglądem owe przedpotopowe, fantastyczne potwory, pokryte twardą łuską. Zdawał sobie sprawę z tego, że lufy dział mogą w

każdej chwili ponownie ukazać się na swym dawnym miejscu, policzył w myśli ilość strzelnic, tych posępnych zwiastunów śmierci.

Billot potrząsnął głową, przypominając sobie słowa de Flessellesa.

— Nigdy nam się to nie uda! — szepnął.

— Dlaczego tak sądzisz? — odezwał się obok niego czyjś głos.

Billot odwrócił się i ujrzał jakiegoś człowieka w łachmanach, którego oczy płonęły jak dwie gwiazdy.

— Dlatego, że zdobycie siłą takiej twierdzy wydaje mi się czymś nieprawdopodobnym.

— Zdobycie Bastylji — odpowiedział ów człowiek — nie jest czynem wojennym, to raczej akt wiary uwierz — a dokonasz go!

— Cierpliwości! — odparł Billot, szukając po kieszeniach swej przepustki. — Cierpliwości!

Nieznajomy nie zrozumiał tego, co Billot miał na myśli.

— Ha, cierpliwości — odparł. — Rozumiem, tyś się upaśł... wyglądasz mi na dzierżawcę...

— Jestem nim — przyznał Billot.

— Teraz rozumiem, dlaczego nawołujesz do cierpliwości. Miałeś zawsze pod dostatkiem jedzenia, ale spójrz za siebie, la tych nędzarzy, którzy są dokoła. Spójrz na ich wyschnięte żyły, policz ich gnaty, wystające przez dziury w ich odzieniu, zapytaj, czy oni rozumieją, co znaczy słowo „cierpliwość”?

— Ten ma rację — powiedział Pitou — ale ja się go boję.

— A ja go się wcale nie boję... — odrzekł Billot, i odwracając się od tego człowieka, powiedział:

— Tak! Cierpliwości — ale tylko na jeden kwadransik!

— Ach, jeżeli chodzi tylko o kwadrans — odparł ów człowiek z uśmiechem — nie jest to długo, ale co macie zamiar, obywatelu, zrobić w ciągu tego czasu?

— Za kwadransik będę w Bastylji. Będę wiedział, jak liczny jest jej garnizon, będę wiedział, jakie ma zamiary jej komendant i wreszcie będą wiedział, którędy do niej się wchodzi.

— Ale czy będziesz wiedział, którędy się wychodzi?

— Ha, jeśli bym nie wyszedł, przyjdzie ktoś taki, co pomoże wyjść stamtąd.

— Cóż to za jeden?

— Gonchon, Mirabeau ludu! Tamten aż zadrżał, oczy mu zabłyśły.

— Znasz go?

— Nie.

— No to dlaczego liczysz na niego?

— Poznam go. Powiedziano mi, że pierwsza osoba, do której się zwrócę na placu Bastylji, zaprowadzi mnie do niego. Jesteś na tym placu, więc mnie do niego zaprowadź.

— Czego chcesz od niego?

— Mam mu oddać tę kartkę.

— Od kogo?

— Od Marata.

— Od Marata? Znasz go?

— Przed chwilą się z nim rozstałem.

— Gdzie?

— W Ratuszu.

— Co on tam robi?

— Poszedł do Inwalidów, ażeby uzbroić dwadzieścia tysięcy ludzi.

— W takim razie daj mi ten papierek. To ja jestem Gonchon!

Billot cofnął się.

— To ty jesteś Gonchon? — zapytał.

— Przyjaciele — zwrócił się nieznajomy w łachmanach do otaczających go ludzi — oto człowiek, który mnie nie zna i pyta się, czy doprawdy jestem Gonchonem...

Tłum wybuchnął śmiechem — każdemu bowiem zdawało się, że jest rzeczą niemożliwą nie znać tego ulubionego przez wszystkich mówcy.

— Niech żyje Gonchon! — zawołało parę tysięcy głosów.

— Oto mój papierek! — powiedział Billot podając kartkę.

— Przyjaciele — rzekł Gonchon po przeczytaniu jej, po czym klepiąc Billota po plecach, ciągnął dalej — to nasz brat, Marat, mnie go poleca. Możemy więc liczyć na niego. Jak się nazywacie, obywatelu?

— Nazywam się Billot.

— A ja — odparł Gonchon — „Topór”, tak mnie tu „wszyscy nazywają. Mam nadzieję, że potrafimy razem coś niecoś zrobić...

Była to gra słów, gdyż „billot” znaczy „pień”, na którym się rąbie toporem.

Otaczający roześmieli się na ten złowieszczy żart.

— My też coś niecoś zrobimy! My też!

— No, ale co mamy właściwie do zrobienia? — zapytało kilka głosów.

— Do licha! Mamy zdobyć Bastylię! — zawołał Gonchon.

— Mądre słowa! — odparł Billot. — Posłuchajcie, Gonchon, ilu macie ludzi?

— Około trzydziestu tysięcy.

— Do tych trzydziestu dojdzie jeszcze dwadzieścia. Dziesięć tysięcy mamy na miejscu. To wystarczy, abyśmy dopieśli swego, bo inaczej nigdy nam się nie uda zdobyć Bastylii.

— Uda nam się! — odrzekł Gonchon.

— Ja też w to wierzę. A więc dobrze, zbierzcie swoich trzydzieści tysięcy, a ja pójdę do komendanta i powiem mu, żeby się poddał. Jeżeli to zrobi — tym lepiej, zaoszczędzimy przelew krwi. Ale jeżeli nie będzie chciał się poddać — ha, wtedy przelana krew spadnie na jego głowę! A w naszych czasach krew przelana w imię złej sprawy przynosi nieszczęście. Wystarczy zapytać o to Niemców.

— Ile czasu macie zamiar zostać u komendanta?

— Jak najdłużej, aż cała Bastylia będzie otoczona. Zaraz po moim wyjściu ruszymy do ataku.

— Zgoda!

— Ufasz mi? — zapytał Billot, wyciągając rękę do Gonchona.

— Ja? — odparł Gonchon z pogardliwym uśmiechem i ucisnął dłoń wieśniaka z siłą, jakiej by się nikt nie spodziewał w tym wychudzonym, zmizerowanym ciele. — Ja miałbym ci nie ufać? Niby dlaczego? Gdybym zechciał, na jedno moje skinienie zostałbyś zdruzgotany jak szklane naczynie, choćbyś się ukrył za tymi wieżami, których już jutro nie będzie, albo szukał obrony u garnizonu, który albo przejdzie dziś wieczorem na naszą stronę, albo przestanie istnieć... A więc idź i możesz liczyć na Gonchona, jak on liczy na Billota!

Billot uznał słuszność tych słów i skierował się do wejściowej bramy Bastylii, podczas gdy Gonchon przy okrzykach tłumu, wiwatującego na jego cześć, ruszył ku przedmieściom Paryża.

— Niech żyje Gonchon! Niech żyje nasz ludowy Mirabeau! — wołano zewsząd.

— Nie wiem, jaki jest Mirabeau arystokratów — odezwał się Pitou do Billota — ale nasz nie jest zbyt piękny...

XVI

BASTYLIA I JEJ KOMENDANT

Nie będziemy opisywali Bastylii, bo to zbyteczne. Żyje ona w pamięci zarówno starców, jak i dzieci, jako niezatarty; obraz. Wystarczy przypomnieć, że od strony bulwaru na placu Bastylii widniały jej dwie bliźniacze wieżycy, a wzdłuż obecnego kanału bieły po obu jego stronach dwa frontony twierdzy. Wejście do Bastylii było strzeżone przede, wszystkim przez tzw. kordegarde, a następnie przez dwa szeregi wartowników, wreszcie przez dwa zwodzone mosty.

Po przebyciu wszelkich przegród wchodziło się na tzw. dziedziniec rządowy, gdzie rezydował komendant. Z tego dziedzińca prowadziła ku fosom Bastylii galeria. Przy drugiej bramie, również wychodzącej na fosy, znajdował się zwodzony most, strażnica oraz żelazna krata.

Już przy pierwszej bramie usiłowano zatrzymać Billota, pokazał jednak przepustkę wystawioną przez de Flessellesa i pozwolono mu pójść dalej.

Billot spostrzegł, że Pitou nie odstępuje go na krok. Nikt go do tego nie zmuszał — po prostu poszedłby za Billotem bodaj do samego piekła albo na księżyc.

— Zostań tutaj — powiedział Billot. — Gdybym nie wyszedł, dobrze będzie, jeżeli się znajdzie ktoś, kto powiadomi lud o tym, że wszedłem tutaj.

— To prawda! — odrzekł Pitou. — Ile czasu musi upłynąć, abym go o tym powiadomił?

— Około godziny.

— A szkatułka? — zapytał Pitou.

— Racja! A więc na wypadek, gdybym stąd nie wyszedł i Gonchon nie zdobył Bastylii, albo jeżeli po jej zdobyciu nie znajdziecie mnie, trzeba powiadomić doktora Gilberta, że przybyli z Paryża agenci i porwali mi szkatułkę, którą on powierzył mi przed pięciu laty, że natychmiast wyjechałem, by go o tym powiadomić, że po przybyciu do Paryża dowiedziałem się, iż doktor jest uwięziony w Bastylii, że chciałem ją zdobyć, za co zapłaciłem własną głową, która była mu zawsze oddana.

— Dobrze, drogi panie Billot... ale to takie długie, że obawiam się, abym czegoś nie zapomniał...

— Z tego, co ci powiedziałem?

— Tak.

— No to ci powtórzę...

— Ależ nie! — odezwał się czyjś głos tuż obok. — Najlepiej zapisać...

— Cóż, kiedy nie umiem pisać...

— Ale ja umiem, jestem kancelistą...

— Kancelistą? — zapytał Billot.

— Tak. Nazywam się Stanisław Maillard, jestem kancelistą w Châtelet.

Maillard wyciągnął z kieszeni długi kałamarz, zrobiony z rogu, pióra gęsie i papier.

Był to mniej więcej czterdziestopięcioletni mężczyzna, wysoki, chudy, o poważnym wyglądzie, ubrany w czarny strój, jak przystało na człowieka o tak godnym zajęciu.

— Ależ ten całkiem przypomina karawaniarza! — burknął pod nosem Pitou.

— Powiedzieliście, obywatelu — mówił Maillard spokojnym tonem — że jacyś ludzie przybyli z Paryża i skradli wam szkatułkę powierzoną przez doktora Gilberta, czy tak?

— Tak.

— W takim razie jest to jawne przestępstwo.

— Byli to policjanci z Paryża.

— Bezczelna kradzież! — stwierdził półgłosem Maillard, po czym podając Pitou zapisaną kartkę papieru, dodał:

— Masz tu, młodzieńcze, to, co ci jest potrzebne, a jeżeli on lub ty — rzekł pokazując na Billota — zostaniecie zabici, to miejmy nadzieję, że przynajmniej ja pozostanę przy życiu.

— I co pan zrobi, jeżeli zostaną zabity? — zapytał Pitou.

— Zrobię to, co ty miałbyś do zrobienia.

— Dziękuję! — odparł Billot, ściskając rękę kancelisty. Maillard mocno uściśnął rękę Billota.

— A więc liczę na was, obywatelu — powiedział Billot.

— Możecie liczyć jak na Marata, jak na Gonchona!

— To ci dopiero trójka. Pewien jestem, że się z nią nie spotkam w raju! — zauważył Pitou, a następnie zwrócił się do Billota, mówiąc:

— Ale bądźże pan rozsądny, kochany panie Billot!

— Posłuchaj, Pitou — odparł Billot, zdobywając się na słowa o tak wielkiej wymowie, że trudno było o nie podejrzewać zwykłego wiejskiego dzierżawcę. — Dziś we Francji najrozsądniejszą rzeczą jest odwaga!

Billot minął pierwszą linię wartowników, podczas gdy Pitou powrócił na plac.

Przy mostach zwodzonych znów trzeba było wdać się w rozmowy z wartą.

Billot pokazał swą przepustkę, most został spuszczoney, brama rozwarła się.

Za bramą znajdował się komendant.

Wewnętrzny dziedziniec, gdzie komendant oczekiwał na przybycie Billota, służył dawniej jako miejsce przechadzek dla więźniów. Był strzeżony przez osiem wież, czyli przez ośmiu wielkoludów. Na dziedziniec nie wychodziło ani jedno okno, a słońce nigdy nie docierało do wilgotnych płyt, którymi dziedziniec był wybrukowany. Robiło to wrażenie czegoś w rodzaju dna szerokiej studni.

Zegar na dziedzińcu, podpierany przez figury zakutych w kajdany niewolników, odmierzał czas równomiernym tykaniem wahadła liczącego minuty, niczym krople wody spadające w celi z sufitu.

Na dnie takiej studni więzień, zagubiony wśród złowrogich kamieni, przyglądał się im przez krótką chwilę, po czym niezwłocznie prosił o możliwość powrotu do swej celi.

Za kratą, oddzielającą dziedziniec, znajdował się — jak to już wspomnieliśmy — komendant twierdzy, de Launay.

Był to mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna. Owego dnia był ubrany w popielaty strój, na którym widniała czerwona wstążeczka Orderu Świętego Ludwika. W ręce trzymał laskę z ukrytą wewnątrz szpadą.

De Launay nie był dobrym człowiekiem. Pamiętniki Lingueta rzucają dość wyraźnie światło na tę postać, nie ciesząc się dobrą sławą. Komendant Bastylli był tak samo zniechęcony jak i więzienie, które się tam znajdowało.

Rodziny de Launay, Châteauneuf, Lavrillière czy SaintFlorentin, które z pokolenia w pokolenie dziedziczyły przywilej wystawiania nakazów uwięzienia, uczyniły z Bastylli bardzo rentowne przedsiębiorstwo.

Jak wiadomo, stanowiska naczelników więzienia nie były wyznaczane przez ministra wojny, lecz nabywane, i to począwszy od urzędu komendanta aż do kuchcika.

Komendant Bastylli był, właściwie mówiąc, jej głównym dozorcą i kucharzem, który prócz otrzymywanych 60 tysięcy franków pensji dorabiał drugie tyle kradzieżą i wymuszaniem.

Trzeba było przecież coś zarobić, by zwróciły się koszty i zainwestowany kapitał...

Znany ze skąpstwa de Launay prześcignął swych poprzedników. Może zapłacił drożej od innych za zdobycie tego stanowiska i przewidział, że nie zdoła go długo utrzymać?

Swój własny dom komendant prowadził kosztem więźniów. Ograniczył ogrzewanie cel, a cenę każdego sprzętu w nich podwoił.

Przysługiwało mu prawo sprowadzenia do Paryża stu beczek wina bez cła. Otóż sprzedał to prawo pewnemu właścicielowi szynku, który tą drogą sprowadzał znakomite wina. Za jedną dziesiątą pieniędzy, którą otrzymywał z tej transakcji de Launay kupował najgorsze, kwaśne wino — dla więźniów.

Nieszczęsnym więźniom, zamkniętym w Bastylji, pozostawała jedyna pociecha — był nią niewielki ogródek założony pomiędzy murami fortecy. Mogli tam spacerować, odetchnąć na krótką chwilą świeżym powietrzem, cieszyć się widokiem kwiatów, jasnym światłem, jednym słowem korzystali z odrobiny przyrody.

Komendant Bastylji puścił ten ogródek w dzierżawę i za pięćdziesiąt funtów, jakie za nią rocznie otrzymywał, pozbawił więźniów tej ostatniej przyjemności.

Trzeba jednak przyznać, że zamożniejszym więźniom udzielał najdalej idących ulg. Oto na przykład jednego z nich wprowadził do swojej kochanki. W ten sposób ani umeblowanie, ani jej utrzymanie nic pana de Launaya nie kosztowało.

Wystarczy przerzucić kartki książki pt. *Bastylja bez maski*, a znajdzie się tam ten właśnie fakt i wiele innych.

Był to jednak człowiek odważny. Oto od wczorajszego dnia dokoła Bastylji zbierało się na burzę. W powietrzu czuło się nadciągające rozruchy, przybierały one coraz bardziej na sile i już biły o mury twierdzy.

Komendant de Launay był błydy, ale zachował spokój.

To prawda, że miał za sobą cztery działa, gotowe w każdej chwili dać ognia, dokoła — garnizon składający się ze Szwajcarów i żołnierzy francuskich, natomiast przed sobą miał jedynie bezbronnego człowieka, gdyż wchodząc do Bastylji Billot oddał swój karabin Pitou.

Billot rozumiał, że po przekroczeniu tych wrót każda broń, jaką by posiadał, byłaby dla niego bardziej niebezpieczna niż pożyteczna.

Billot od pierwszego spojrzenia zauważył wszystko: i spokojną a nawet wyzywającą postawę komendanta, i Szwajcarów rozmieszczonych po wartowniach, i żołnierzy francuskich ustawionych na narożnikach, i wreszcie krzątanie się w milczeniu kanonierów, którzy z jaszczów przynosili pociski.

Warta stała z bronią na ramieniu, a oficerowie mieli szable wyciągnięte z pochew.

Komendant nie ruszył się z miejsca i Billot musiał podejść do niego. Za parlamentarzem wysłanym przez lud zatrzasnęła się krata z tak złowieszczym zgrzytem, że nawet temu skądinąd bardzo odważnemu człowiekowi ciarki przeszły po skórze.

— I czegoż to jeszcze chcecie ode mnie? — zapytał de Launay.

— Jeszcze? — zdziwił się Billot. — Zdaje mi się, że po raz pierwszy widzę pana, a zatem nie sądzę, by mój widok był dla pana uciążliwy.

— Powiedziano mi, że przybywacie z Ratusza.

— Tak. Przychodzę stamtąd.

— Otóż przed chwilą przyjąłem już delegację Zarządu Miejskiego.

— O co jej chodziło?

— Prosiła, abym przyrzekł, że nie zacznę pierwszy strzelać.

— I przyrzekł im pan?

— Tak. Poza tym prosiła, abym kazał cofnąć działa.

— I kazał je pan cofnąć, wiem o tym. Byłem na placu, kiedy to zrobiono.

— Zapewne sądziliście, że robią to pod naciskiem grózb tłumy!

— Ha! — odparł Billot. — Wyglądało na to.

— A czy nie mówiłem panom — zawołał de Launay zwracając się do oficerów — że będą nas uważali za tchórzów?

Po czym rzekł do Billota:

— A wy przychodźcie w czyim imieniu?

— W imieniu ludu! — z dumą odparł Billot.

— Doskonale — odrzekł z uśmiechem de Launay — ale sądzę, że macie zapewne jeszcze jakiś inny list polecający, gdyż ta przyczyna, o której mówicie, nie pomogłaby wam przebyć nawet pierwszej linii warty.

— Mam żelazny list od burmistrza de Flessellesa, pańskiego przyjaciela.

— Od Flessellesa? Powiedzieliście „od pańskiego przyjaciela”? — zapytał de Launay przyglądając się Billotowi, jak gdyby chcąc odczytać jego najskrytsze myśli. — Skąd wiecie, że pan de Flesselles jest moim przyjacielem?

— Domyślam się, że jest nim.

— Więc to tylko domysł... i nic ponadto... Proszę mi pokazać „żelazny list”.

Billot wręczył mu list.

De Launay przeczytał go raz, później odczytał go po raz drugi, odwrócił, aby zobaczyć, czy pomiędzy kartkami nie ma jakiegoś postscriptum — wreszcie przyjrzał mu się pod światło, by zobaczyć, czy nie ma czegoś dopisanego pomiędzy wierszami.

— Czy to jest wszystko, co miał mi do powiedzenia? — zapytał.

— Wszystko.

— Jesteście tego pewni?

— Całkowicie.

— A może przekazuje mi jakąś ustną wiadomość?

— Żadnej.

— To dziwne — odpowiedział komendant twierdzy, spoglądając przez strzelnicę na plac Bastylii.

— A cóż miał więcej do powiedzenia? — zapytał Billot. De Launay zachnął się.

— Nic. Więc powiedzcie wy, o co wam chodzi, tylko szybko, bo nie mam czasu.

— Mnie chodzi o to, żeby pan poddał Bastylię.

— Co takiego? — zawołał komendant odwracając się raptownie, jak gdyby nie dosłyszał. — Co wy powiadacie?

— Powiadam, że w imieniu ludu Paryża przychodzę wezwać pana do poddania Bastylii.

De Launay wzruszył ramionami.

— Cóż to za dziwny lud ci paryżanie.

— Dlaczego?

— Co mu po Bastylii?

— Chce ją zburzyć!

— A cóż mu, do licha, wadzi ta Bastylia? Czy bodaj jeden człowiek z ludu został kiedy wsadzony do Bastylii? Ależ lud powinien błogosławić ją i każdy jej kamień. Kogo wsadza się, do Bastylii? Filozofów, uczonych, arystokratów, ministrów, książąt, a więc wrogów ludu.

— Z tego wynika, że lud nie myśli jedynie o sobie...

— Mój drogi — odparł de Launay z odcieniem politowania — od razu można poznać, że nie jesteście żołnierzem...

— Słusznie, jestem wieśniakiem.

— I że nie jesteście paryżaninem.

— To też prawda... Jestem z prowincji.

— No, i że nie znacie dobrze Bastylii.

— Święta racja. Znam tylko to, co widzę, to znaczy mury. — W takim razie chodźcie ze mną, pokażę wam, czym jest Bastylia.

„Aha! — pomyślał w duchu Billot. — Wprowadzi mnie do jakiejś celi, gdzie od razu pod moimi nogami otworzy się zapadnia, a wtedy — bądź zdrów, stary Billot..”

Jednak nieugięty wieśniak nie zawahał się i był gotów ruszyć za komendantem Bastylii.

— Przede wszystkim — powiedział de Launay — dowiedcie się, że w piwnicach mam dość prochu, aby wysadzić w powietrze Bastylię, a z nią połowę przedmieścia Świętego Antoniego.

— Wiem o tym — odpowiedział ze spokojem Billot.

— Doskonale. Następnie przyjrzyjcie się tym czterem działom.

— Widzę je.

— Bronią dostępu do tej galerii, której ponadto broni strażnica i dwie fosy. Można je przebyć jedynie po dwóch spuszcanych mostach, a na końcu mamy te żelazne kraty.

— Bynajmniej nie twierdzę — odrzekł spokojnie Billot — że Bastylia jest źle broniona. Chcę tylko powiedzieć, że będzie dobrze atakowana.

— Idźmy dalej — zaproponował komendant. Billot ruchem głowy wyraził zgodę.

— Oto ocembrowanie rowów fortecznych — pokazywał de Launay. — Spójrzcie na grubość murów.

— Będą miały ze czterdzieści stóp.

— Tak. Czterdzieści na dole i piętnaście na górze. Widzicie więc sami, że choćby lud miał najmocniejsze pazury, zedrze je sobie na tych kamieniach.

— Nie powiedziałem, że lud zburzy Bastylię przed zdobyciem jej... Powiedziałem, że ją zburzy po zdobyciu.

— Wejdźmy wyżej — powiedział komendant.

— Wejdźmy.

Weszli na górę, zostawiając za sobą około trzydziestu stopni. Komendant zatrzymał się.

— A tutaj jest jeszcze jeden wyłom w murze, wychodzący na korytarz, przez który chcecie wejść. Broni go tylko jedna strzelnica, ale za to ma wypróbowaną opinią. Znacie zapewne tę piosenkę:

O, ma czuła fujareczko, Co mi o miłości śpiewasz!

— Owszem, znam ją... Ale nie wydaje mi się, aby to była odpowiednia chwila na śpiewanie.

— Więc posłuchajcie, co wam powiem. Marszałek saski nazywał tą małą armatkę „fujareczką” dlatego, że tak ślicznie wygrywała melodię, którą on najbardziej lubił. To taki szczegółik historyczny.

— A niech sobie będzie — odpowiedział Billot, — Idźmy dalej.

Przebyli jeszcze parę stopni i wyszli na taras znajdujący się na szczycie baszty de la Comté.

— No, no — odezwał się Billot.

— Ca takiego? — zapytał komendant.

— Nie kazał pan usunąć armat.

— Kazałem je tylko nieco cofnąć.

— Niech pan wie, że powiem ludowi o tym iż one są jeszcze na dawnym miejscu.

— Możecie powiedzieć, co chcecie.

— Więc nie chce ich pan usunąć?

— Nie.

— Stanowczo?

— Królewskie działa stoją tu na rozkaz króla i mogą być usunięte tylko na jego rozkaz.

— Panie komendancie — odparł Billot zdobywając się na słowa, jakich wymagała wytworzona sytuacja — prawdziwym królem, którego rozkazów radzę panu słuchać, to lud!

Billot wskazał ruchem ręki szary tłum, gdzieniegdzie noszący krwawe ślady wczorajszych walk, falujący u podnóża murów i połyskujący na słońcu swą bronią.

— Mój panie! — rzekł z kolei de Launay, odrzucając wyniośle w tył głowę. — Możliwe, że pan znasz dwóch królów, ja, komendant Bastylii, znam tylko jednego, jest nim Ludwik XVI, który położył swój podpis na dekrecie nadającym mi władzę nad garnizonem i twierdzą.

— A więc nie jest pan obywatelem Francji? — zawołał rozgniewany Billot.

— Jestem szlachcicem francuskim!

— Prawda. Jesteś tylko żołnierzem i mówisz jak żołnierz.

— Dobrześ powiedział, Billot! — odrzekł de Launay z ukłonem. — Jestem żołnierzem i spełniam swój obowiązek.

— A ja — odparł Billot — jestem obywatelem, i wobec tego, że moja powinność obywatelska jest w niezgodzie z pańskim, żołnierskim obowiązkiem, jeden z nas będzie musiał ponieść śmierć. Zginie albo ten, który spełnia swoją powinność, albo ten, który chce pozostać wierny obowiązkowi.

— Ha, prawdopodobnie tak będzie.

— A więc jest pan zdecydowany strzelać do ludu?

— Nie — jeśli lud nie będzie strzelał do mnie. Przyrzekłem to delegatom burmistrza. Widzi pan, panie Billot, że armaty są cofnięte, ale na pierwszy strzał skierowany z placu do mego zamku...

— I cóż się stanie na pierwszy strzał?

— Podejdę do jednego z dział, na przykład do tego, zatoczę je pod samą strzelnicę, sam wyceluję i tym oto lontem wystrzelę!

— Pan?

— Tak. Ja.

— Gdybym wierzył, że tak będzie — powiedział Billot — zrobiłbym coś, zanim zdążyłby pan popełnić podobną zbrodnię...

— Powiedziałem już: jestem żołnierzem i dla mnie nie istnieje nic poza obowiązkiem.

— A więc niechże pan spojrzy — odparł Billot, prowadząc komendanta do otworu w strzelnicy i pokazując mu palcem dwa różne punkty: jeden — w kierunku przedmieścia Świętego Antoniego, drugi — na bulwarach. — Oto, kto będzie panu od tej chwili wydawał rozkazy!

Billot wskazał komendantowi dwie czarne, stłoczone, krzyczące kolumny pochodu, wijące się jak wąż przez nadbrzeżne bulwary. Widać było jedynie jego głowę i część tułowia, reszta ginęła wśród zaułków. Olśniewająca łuska połyskiwała wzdłuż całego cielska.

Były to owe dwa zbrojne oddziały, którym Billot wyznaczył jako miejsce spotkania plac Bastylii. Jeden kroczył pod dowództwem Marata, drugi — Gonchona.

Posuwały się naprzód z obu stron, potrząsając w powietrzu bronią i wznosząc ogłuszające okrzyki.

De Launay zbladł na ten widok i podniósł swą laskę do góry.

— Do dział! — zawołał.

Następnie zbliżył się do Billota, grożąc mur

— Nędzniku! Przyszedłeś tu pod płaszczykiem parlamentarza, podczas gdy tamci idą do szturm. Zasłużyłeś na śmierć!

Billot zauważył jego ruch i błyskawicznie chwycił komendanta za kołnierz i za pas.

— A ty — zawołał — zasługujesz na to, abym cię wyrzucił poza mury i żebyś sobie pogruchotał wszystkie gnaty... ale ja mam inny sposób na ciebie!

W tej samej chwili powietrze przeszył, niczym straszliwy huragan, krzyk całego tłumu. Na tarasie ukazał się de Losme, major twierdzy.

— Na miły Bóg! — zawołał do Billota. — Pokaż się pan... ci ludzie myślą, że się panu stało coś złego i domagają się pańskiego powrotu!

Istotnie — imię Billota, puszczane w obieg przez Pitou, górowało ponad wszystkimi okrzykami Billot puścił komendanta, który schował swoją szpadę do pochwy.

Pomiędzy tymi trzema ludźmi zapanowała chwila milczenia i wahania. Z tłumu rozległy się okrzyki pełne pogroźek i nawołujące do zemsty.

— Niechże pan się pokaże! — odezwał się wreszcie de Launay. — Te okrzyki bynajmniej nie budzą we mnie strachu, chcę jedynie, by wiadano, że dotrzymuję swego słowa honoru.

Wtedy Billot wysunął głowę przez otwór w strzelnicy, dał znak ręką.

Tłum zaś odpowiedział burzą oklasków. Ten syn ludu był jak gdyby symbolem rewolucji, która w jego osobie ukazała się naraz na murach Bastylli, bowiem pierwszy stanął na nich jako zwycięzca.

— A więc, mój panie — rzekł de Launay — wszystko pomiędzy nami jest skończone. Nie ma pan tu nic więcej do roboty. Proszę zejść na dół. Wołają pana!

Billot zrozumiał powody powściągliwości ze strony człowieka, w którego władzy się znajdował, i zszedł na dół tymi samymi schodami, którymi tu wszedł. Komendant twierdzy szedł za nim.

Major został na swoim stanowisku. Przed odejściem komendant szeptem wydał jakieś rozkazy.

Było rzeczą oczywistą, że jedynym pragnieniem pana de Launaya było, by jego parlamentarzem pręcej stał się jego przeciwnikiem.

Billot przemierzył dziedziniec nie wyrzekłszy ani słowa. Widział kanonierów, jak stali przy swych działach z dymiącymi lontami.

Billot zatrzymał się przed nimi.

— Przyjaciele! Pamiętajcie, że przyszedłem tu do waszego komendanta proponując mu uniknięcie rozlewu krwi — a on mi odmówił.

— W imieniu króla — krzyknął de Launay tupnąwszy nogą — rozkazuję ci wyjść!

— Miej się na ostrożności, mój panie — odparł Billot. — Każesz mi wyjść w imieniu króla, ale ja tu wrócę w imieniu ludu!

Następnie Billot zwrócił się do Szwajcarów, stojących na warcie:

— Powiedzcie mi! Po czyjej wy jesteście stronie?

Szwajcarzy nie odpowiedzieli.

Komendant wskazał mu palcem żelazną furtkę. Billot chciał spróbować po raz ostatni.

— Panie! — zwrócił się do komendanta. — Zaklinam cię w imię narodu, w imię pańskich braci!

— Moich braci! Nazywasz moimi braćmi tych, co tu krzyczą: „Precz z Bastylli! Śmierć komendantowi!” Są to być może twoi bracia, ale z całą pewnością nie moi!

— A więc... w imię ludzkości!

— Ludzkości? Jakim prawem przychodzicie tu, w sto tysięcy ludzi, by poderznąć gardła nieszczęsnym stu żołnierzom, którzy znajdują się w tej twierdzy?

— Poddając ludowi Bastyllię, ocalisz ich życie!

— I stracę swój honor.

Billot umilkł. Argumenty tego żołnierza były nieodparte. Zwrócił się jeszcze raz do Szwajcarów i pozostałych żołnierzów:

— Przyjaciele! Poddajcie się! Macie jeszcze czas! Za dziesięć minut będzie już za późno!

— Jeżeli natychmiast nie wyjdiesz stąd — wołał z kolei de Launay — daję słowo honoru, że każę cię rozstrzelać!

Billot zatrzymał się na chwilę, skrzyżował na piersi ręce na dowód pogardy dla słów, które były do niego skierowane, po raz ostatni zmierzył się spojrzeniem z Launayem i wyszedł.

XVII BASTYLIA

Rozgorączkowany i pełen podniecenia tłum czekał na placu pod palącymi promieniami lipcowego słońca. Idący pod dowództwem Gonchona połączyli się z szeregami, którym przewodził Marat. Dzielnica Świętego Antoniego poznała i powitała bratnią dzielnicę Saint-Marceau.

Kiedy ujrzano Billota, krzyki wzmożyły się.

— I cóż? — zapytał Gonchon, zbliżając się do niego. — Ha! To mocny człowiek! — odpowiedział Billot.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Że jest zawzięty.

— Nie chce poddać Bastylii?

— Nie chce.

— I woli raczej oblężenie?

— Tak.

— I sądzicie, że długo potrafi je wytrzymać?

— Aż zginie.

— A więc dobrze. Będzie miał, czego chce. Zginie!

— Ale ilu ludzi my stracimy? — odparł Billot, mając poważne wątpliwości, czy Bóg obdarzył go tym prawem, które sobie usurpują generałowie, królowie i cesarze, a mianowicie: prawem do szafowania ludzką krwią.

— Cóż począć? Widocznie jest za dużo ludzi na świecie, skoro jest za mało chleba nawet dla połowy ludności! Czy nie mam racji, moi przyjaciele? — zwrócił się Gonchon do otaczającego go tłumu.

— Tak! Dobrze mówisz! — odpowiedziały mu liczne głosy, — A rowy forteczne? — zapytał Billot.

— Wystarczy, jeżeli wypełnią się tylko w jednym miejscu — odpowiedział Gonchon. — Obliczyłem, że połową naszych ludzi zapełnimy je aż po same brzegi... prawda?

— Tak! tak! Wystarczy! — znów odpowiedział tłum z takim samym jak poprzednio zapalem.

— A więc dobrze! Niech tak będzie! — odrzekł w przygnębieniu Billot.

W tej samej chwili na tarasie fortecy ukazał się Launay, a wraz z nim major de Losme i dwaj czy trzech oficerowie.

— No! Zaczynaj! — zawołał do niego Gonchon. Komendant Bastylii odwrócił się tyłem do niego, nie odpowiadając na zaczepkę.

Gonchon, który zapewne zniósłby pogrożki, nie mógł ścierpieć tej obrazy. Szybko przyłożył karabin do ramienia i jeden z towarzyszących komendantowi ludzi padł trafiony kulą.

W jednej chwili rozległo się sto, tysięcy strzałów, jak gdyby ludzie na placu tylko czekali na ten sygnał. Na szarych murach wież Bastylii zakwitły białe plamy.

Po tej salwie nastąpiła cisza trwająca zaledwie kilka sekund. Po chwili płomień rozbłysł wśród dymu, który otoczył szczyt jednej z wież. Rozległ się huk armatniego wystrzału, a tuż po nim z tłumu dobiegły okrzyki bólu.

Z Bastylii padł pierwszy armatni strzał.

Bitwa rozpoczęła się.

Uczucie, jakie ogarnęło ten tłum, jeszcze przed chwilą wznoszący groźne okrzyki, miało

wszelkie cechy strachu. Już sam fakt, że Bastylia postanowiła się bronić, wydawał się czymś nie do przewidzenia. Tłum niewątpliwie liczył na to, że po wszystkich ustępstwach, jakie ostatnio uczyniono na jego korzyść, i to żądanie również zostanie zaspokojone bez rozlewu krwi.

Ale lud Paryża omylił się. Ten jeden armatni strzał w niego wymierzony wyraźnie mu unaoczniał, jak nadludzkie jest zadanie, którego się podjął. Dobrze wycelowane strzały z broni ręcznej, dane z ukrycia na jednym z tarasów Bastylji, nie kazały długo na siebie czekać.

Znów nastąpiła chwila ciszy przerywana okrzykami, jękami i żałosnymi skargami, które się rozległy tu i ówdzie.

Wreszcie zebranych przebiegł jakiś straszliwy dreszcz: zabrano się do zbierania zabitych i rannych. Ale tłum ani myślał uciekać, a jeżeli nawet miał zamiar to uczynić, zdjął go wstyd, gdy ujrzał, jak ogromna jest jego liczebność.

Istotnie — zarówno bulwary, jak ulica i całe przedmieście Świętego Antoniego były jednym falującym morzem ludzkim, a każda jego fala miała głowę, zaś każda głowa miała dwoje rozplamionych oczu i usta miotające pogroźki.

W jednej chwili w każdym oknie stanęli strzelcy, a nawet i w tych, które znajdowały się poza zasięgiem strzałów. Ilekroć na murach lub u wylotu strzelnic pojawił się żołnierz lub któryś z najemnych Szwajcarów, sto karabinów celowało do niego, a grad kul bił w kamienie, za którymi chronił się obrońca twierdzy.

Ale wkrótce ludziom znudziło się strzelać do niewzruszonych murów. Strzały szukały celu w ludzkich ciałach, chciano widzieć krew tryskającą pod kulami, a nie kurz, jakimi dymiły mury.

Każdy na swój sposób przemawiał dając rady tłumowi i wznosił okrzyki.

Dokoła mówcy wnet zbierało się koło słuchających, a kiedy się okazywało, że rada jest pozbawiona sensu, rozchodzono się. Jakiś cieśla radził zbudować katapultę, na podobieństwo starożytnych, rzymskich oblężniczych maszyn, by w ten sposób zrobić wyłom w murach Bastylji.

Strażacy z kolei wystąpili z projektem gaszenia kapiszonów przy armatach oraz lontów kanonierów za pomocą sikawek, nie zdając sobie przy tym sprawy z tego, że najsilniejszy strumień wody z ich sikawek nie sięgał nawet do dwóch trzecich wysokości murów Bastylji.

Pewien dowodzący oddziałem piwowarów, którego imię uzyskało od owego czasu posępną sławę, radził zdobyć twierdzę, strzelając pociskami podpalonymi siarką i umaczanymi w oleju i smole dopiero co zdobytej.

Billot wysłuchał po kolei wszystkich tych propozycji, przy ostatniej chwycił z czyichś rąk topór i ruszył naprzód wśród gradu kul, które pokotem kładły ludzi dokoła niego, niczym kłosa na polu. W ten sposób przedostał się do bocznic kordegardy sąsiadującej z pierwszym zwodzonym mostem i nie bacząc na kule bijące w dach strażnicy, rozwalił uderzeniem topora łańcuchy, co miało ten skutek, że podniesiony do góry most opadł.

Około kwadransa trwała szaleńcza niemal wyprawa, tłum stał cały czas z zapartym oddechem. Ilekroć rozlegał się wystrzał, sądzono, że ten nieustraszony człowiek padnie. Myśląc o niebezpieczeństwie, które groziło Billotowi, tłum zapomniał o własnym. Gdy most opadł, tłum wydał głośny okrzyk i wdarł się na pierwszy dziedziniec.

Wszystko odbyło się tak szybko i niespodziewanie, że nikt nie usiłował nawet stawiać oporu. Krzyki radości obwieściły komendantowi de Launayowi o pierwszym odniesionym powodzeniu.

Nie zwrócono nawet uwagi na to, że jakiś człowiek został zmiażdżony pod stertami drzewa. Wtedy jak gdyby z wnętrza piwnicy rozbłysły cztery działa, które przedtem komendant pokazywał Billotowi. Rozległ się potworny huk i wymiótł do cna pierwszy dziedziniec.

Huragan ognia wyrwał krwawą bruzdę wśród tłumy. Na miejscu pozostało dziesięciu czy też dwunastu zabitych i około dwudziestu rannych.

Billot ześliznął się z dachu na ziemię, gdzie spotkał się z Pitou, który nie wiadomo w jaki

sposób tam się znalazł. Pitou miał bystre oko, co jest właściwe każdemu kłusownikowi. Spozrzegłszy, że kanonierzy przykładają lonty do dział, chwycił Billota za połą jego bluzy i szybko odepchnął w tył. Krawężnik muru zasłonił obu przed pierwszą salwą.

Począwszy od tej chwili, bieg wypadków przybrał poważny obrót. Powstał straszliwy zamęt. Dziesięć tysięcy wystrzałów rozległo się naraz dokoła Bastylii. Były jednak bardziej niebezpieczne dla oblegających aniżeli dla obleganych. Nareszcie huk jednego działka, obsługiwanego przez żołnierza Gwardii Narodowej, przyłączył się do bezładnej strzelaniny karabinowej.

Rozległa się straszliwa detonacja. Rozogniła ona jeszcze bardziej tłumy, budząc jednocześnie w obleganych przerażenie i zwątpienie, czy też im samym nie uda się kiedyś spowodować takiego ogłuszającego wybuchu jak ten.

Oficerowie Bastylii zdawali sobie sprawę, że ich żołnierze zaczynają słabnąć i że biorąc karabin do ręki, strzelają byle jak.

I oto w tej samej chwili, wśród huku armatnich i karabinowych wystrzałów, wśród okrzyków, gdy tłum ponownie biegł, by pozbierać poległych i bezpiecznie ukryć się za zwałami trupów, przy wejściu na pierwszy dziedziniec ukazała się niewielka gromadka wprawdzie bezbronnych, ale nie wykazujących strachu obywateli, Torowali sobie drogę przez zwarty tłum pod osłoną białej chorągwi, którą nieśli przed sobą, a która świadczyła o tym, że są parlamentarzami.

Była to delegacja z Ratusza. Radni miejscy, wiedząc, że rozpoczęły się już działania nieprzyjacielskie, chcieli zapobiec rozlewowi krwi i zmusili burmistrza Flessellesa do zgłoszenia wobec gubernatora nowych propozycji.

Delegaci przybyli w imieniu miasta Paryża, by namówić de Launaya do zaprzestania ognia oraz do wpuszczenia w mury fortecy stu gwardzistów ludowych, co jednocześnie byłoby gwarancją utrzymania się przy życiu i dla niego samego, i dla wielu mieszkańców miasta, i wreszcie dla garnizonu fortecy.

Delegaci szeroko rozpowiadali po drodze o tym wszystkim, zaś ludność, sama przerażona podjętą przez siebie akcją, na widok przenoszonych trupów i rannych, była już gotowa zgodzić się na te warunki. Niechby tylko de Launay uznał swą częściową porażkę, a oni zadowolą się połowicznym zwycięstwem.

Na widok nadchodzących ogień armatni z drugiego dziedzińca został zawieszony. Dano im znak, że mogą się zbliżyć, co też uczynili, ślizgając się we krwi, przeskakując przez trupy i pomagając podnieść się rannym.

Tłum ponownie zgromadził się pod osłoną delegacji. Zabitych i rannych pozbierano, pozostały jedynie wielkie kałuże krwi na kamieniach dziedzińców.

Ogień od strony fortecy ustał zupełnie. Billot odchodzi, by powstrzymać kanonadę oblegających. W bramie spotyka Gonchona. Nie ma on przy sobie broni. Wystawia się odważnie na strzały, przejęty i zarazem spokojny, jak gdyby był pewny, że kule go nie osiągną.

— I cóż? — zapytał Billota. — Co się stało z delegacją?

— Weszła właśnie do Bastylii. Każ przerwać ogień.

— To daremne! — odpowiedział Gonchon z taką pewnością siebie, jak gdyby sam Bóg obdarzył go zdolnością przewidywania przyszłości. — Oni się nie zgodzą!

— Tę nie ma znaczenia. Powinniśmy przestrzegać praw wojennych, skoro jesteśmy żołnierzami.

— Zgoda! — odparł Gonchon, po czym zwracając się do dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na przywódców tego tłumu, rzekł do nich:

— Elie, i ty Hullin, idźcie i wydajcie rozkaz, by ani jeden strzał nie padł.

Obaj „adiutanci” szybko odeszli przeciskając się przez zwarty tłum, by wykonać rozkaz swego

przełożonego i wkrótce można było stwierdzić, że huk wystrzałów stopniowo cichnie, aż wreszcie całkiem ustał.

Nadeszła chwila wytchnienia. Wykorzystano ją, by opatrzyć rannych, których było już około czterdziestu. Wybiła właśnie druga godzina — a szturm Bastylli rozpoczął się w południe. Walki trwały już od dwóch godzin.

Billot powrócił na swoje stanowisko, a za nim udał się również i Gonchon.

Oczy jego z niepokojem wpatrywały się w żelazne kraty. Widać było, że się niecierpliwi.

— Co ci jest? — zapytał Billot.

— Jeżeli za dwie godziny nie zdobędziemy Bastylli — wszystko stracone!

— Dlaczego?

— Dlatego, że na dworze królewskim dowiedzą się o tym, co się dzieje, i nadeślą tu Szwajcarów Bezenvala i dragonów Lambesca, którzy wezmą nas w krzyżowy ogień.

Billot musiał przyznać słusność temu, co mówił Gonchon. Wreszcie delegaci powrócili. Z ich posepnych twarzy można było wywnioskować, że nic nie osiągnęli.

— I co? — zawołał Gonchon. — Czy nie mówiłem? Moje przepowiednie sprawdzają się: ta przeklęta forteca jest skazana na zagładę!

Nie pytając już o nic delegatów, Gonchon wybiegł z pierwszego dziedzińca wołając:

— Do broni, chłopcy! Do broni! Komendant odmówił!

W samej bowiem rzeczy, kiedy komendant Bastylli przeczytał list burmistrza, twarz mu się rozjaśniła i zamiast przystać na poczynione mu propozycje, odrzekł:

— Ha! Panowie, obywatele Paryża! Chcieliście walki — teraz jest już za późno!

Parlamentarze zaczęli nalegać, zwracając mu uwagę na nieszczęścia, które może za sobą pociągnąć dalsza obrona fortecy. Ale komendant nie chciał nawet o tym słyszeć i powiedział im to samo, co przed dwiema godzinami Billotowi.

— Proszę stąd wyjść, albo każę was rozstrzelać! Parlamentarze odeszli.

Tym razem do ataku ruszył komendant fortecy. Płonął z niecierpliwości. Zanim parlamentarze zdążyli przestąpić progi wrót, zagrała „fujarka” księcia saskiego. Trzy osoby padły: jedna zabita na miejscu, dwie — ranne. Jedną z nich był gwardzista, a drugą parlamentarz.

Na widok zbroczonego krwią człowieka, który spełniał niemal świętą powinność, tłum ogarnęło straszliwe wzburzenie.

Dwaj adiutanci Gonchona powrócili, by stanąć na swych stanowiskach obok niego. Każdy z nich zdążył się przebrać w swym domu. Jeden mieszkał w pobliżu Arsenału, drugi — na ulicy Charonne.

Hullin, dawny zegarmistrz genewski, a następnie strzelec u markiza de Conflansa, wrócił przebrany w swą liberię, przypominającą mundur węgierskiego oficera. Natomiast Elie, były oficer pułku królowej, przywdział swój dawny mundur, co pozwoliło zebrany uwierzyć, że armia stoi po stronie ludu i walczy wraz z nim.

Kanonada rozgorzała z jeszcze większą niż przedtem zawziętością.

W tej samej chwili major Bastylli, de Losme, podszedł do komendanta.

Był to odważny i prawy żołnierz, w którym nie wygasło jeszcze uczucie szczerego patriotyzmu i który z wielkim bólem patrzył na to, co się działo.

— Komendancie — meldował — pan wie, że nie mamy już prowiantu.

— Wiem o tym — odpowiedział Launay.

— Wie pan również, że nie otrzymaliśmy dotąd żadnego królewskiego rozkazu.

— Za pozwoleniem, panie majorze. Mam rozkaz, by Bastyllia była zamknięta, przecież w tym celu powierzono mi klucze.

— Komendancie, klucze mogą również służyć do zamykania drzwi, jak do ich otworzenia.

Niech pan się strzeże, bo, broniąc fortecy, może pan narazić cały garnizon na wyrżnięcie. Mech pan spojrzy. Dziś z rana było tu zaledwie pięciuset ludzi, przed trzema godzinami było ich około dziesięciu tysięcy, a teraz jest ich przeszło sześćdziesiąt tysięcy. Jutro będzie ich sto tysięcy. Kiedy nasze armaty umilkną, a przecież będą musiały kiedyś umilknąć, ci ludzie potrafią własnymi rękami zburzyć Bastylię.

— Pan nie mówi jak przystało na wojskowego, panie de Losme!

— Mówię jako Francuz. Mówię, że Jego Królewska Mość nie dał nam żadnego rozkazu. Mówię, że burmistrz zrobił nam propozycję, którą można było przyjąć, a która polegała na wpuszczeniu do fortecy stu gwardzistów. By uniknąć nieszczęść, które przewiduję, mógł pan, panie komendancie, zgodzić się na propozycje pana de Flessellesa.

— A więc według pana, panie de Losme, urząd cywilny, reprezentujący miasto, jest władzą, której powinniśmy ulec?

— Sądzę, że tak — wobec tego, że nie ma bezpośredniej władzy królewskiej.

— A więc dobrze! — rzekł komendant odciągając na stronę majora. — Mech pan czyta, majorze!

Po czym wręczył mu niewielką kartkę papieru.

Major przeczytał, co następuje:

„Trzymajcie się mocno. Zwodzę paryżan kokardami i obietnicami. Zanim zapadnie noc, Bezenval pospieszy wam z pomocą.
de Flesselles”.

— W jaki sposób ta kartka dostała się do pana? — zapytał major.

— W liście, który mi doręczyli panowie parlamentarzyści. Byli pewni, że przekazują mi propozycję poddania Bastylii, a tymczasem przynieśli rozkaz wytrwania.

Major opuścił głowę.

— Niech pan idzie na swój posterunek i nie opuszcza go, zanim pana nie wezwę.

Major usłuchał rozkazu.

Komendant z zimną krwią złożył we czworo kartkę i umieścił ją w swej kieszeni, po czym powrócił do kanonierów, polecając im dobrze celować.

Kanonierzy, podobnie jak major de Losme, wykonali dany im rozkaz.

Ale losy fortecy były już przesądzone. Żadna ludzka moc nie mogła zapobiec temu, co się miało dokonać.

Na każdy nowy armatni strzał zgromadzony tłum odpowiadał okrzykiem: „Zdobędziemy Bastylię!”

Okrzykom odpowiadały czyny, a wśród najgorętszych okrzyków i rąk najsprawniej działających wyróżniały się głosy i ramiona Pitou i Billota.

Wszakże każdy z nich działał zgodnie ze swoim usposobieniem.

Billot — odważny i zapamiętały — rzucał się pierwszy niczym buldog naprzód, nic sobie nie robiąc z kul i pocisków.

Pitou — rozważny i przebiegły niczym lis, obdarzony najdoskonalszą formą instynktu samozachowawczego, wykorzystywał wszystkie wrodzone mu właściwości, by dojrzeć grożące niebezpieczeństwo i ująć przed nim. Jego oczy dobrze widziały, z których strzelnic padają najbardziej mordercze strzały, spostrzegały najbardziej nieuchwytny ruch lufy działa, które szykowało się do strzału. Doszedł nawet do tego, że potrafił dokładnie przewidzieć chwilę, kiedy miała zagrzemieć salwa dana poprzez zwodzony most.

Wybrał drogę przez wyłom pomiędzy pierwszym a drugim zwodzonym mostem. Było to coś

w rodzaju kamiennego parapetu. Pitou tak przylgnął do każdego wylomu w murach obronnych, że każda niemal ich cząstka chroniła poszczególną część jego ciała przed śmiertelną raną. Ze swego wgłębienia, w którym zaczął się niczym zając w swym kotle, Pitou raz po raz strzelał na oślep. Miał przed sobą jedynie mury i kawały drzewa. Musiało to jednak sprawiać jakąś przyjemność staremu Billotowi, skoro co chwila pokrzykiwał:

— Strzelajże, leniu, strzelaj!

Na co Pitou odpowiadał, starając się nieco powściągnąć zapał Billota zamiast go podsycać.

— Ale niechże się pan tak nie wychyla, drogi panie Billot! Albo też:

— Uwaga! Niech się pan cofnie, panie Billot! Zaraz wystrzeli armata, a teraz ta przekłeta kartacznica szykuje się do strzału!

Za każdym razem gdy Pitou wypowiadał te przewidujące słowa, rozlegał się huk armatniego wystrzału lub salwa karabinowa, zmiatająca wszystko na swojej drodze.

Nie bacząc na te przestrogi, Billot dokonywał istnych cudów posuwając się naprzód. Niestety, wszystko było daremne. Nie mogąc przelać krwi — co zresztą nie było jego winą — obficie spłacał daninę swym potem.

Pitou co najmniej dziesięć razy przytrzymał go za poły i przemocą kładł na ziemi, gdyż któryś z pocisków niezawodnie byłby go zmasakrował.

Ale Billot znów podnosił się silniejszy niż przed chwilą i z nowymi wciąż pomysłami, niczym Anteusz, który dotknąwszy ziemi, nabierał sił do walki. Tak na przykład przychodziła mu do głowy myśl przedostania się przez drewniane podpory mostu i porąbania belek podtrzymujących łańcuchy, jak to już raz zrobił.

Wtedy Pitou zaczynał krzyczeć, chcąc zatrzymać starego Billota, a widząc, że to nie odnosi żadnego skutku, wybiegał ze swej kryjówki wołając:

— Ależ drogi panie Billot, przecież jeżeli pana zabiją, pani Billot zostanie wdową!

Wtedy dokładnie widziało się, jak Szwajcarzy wysuwają lufy swych karabinów przez strzelnice, by dosięgnąć śmiałka, który usiłował opuścić na dół strzeżony przez nich most.

Kiedy indziej znów Billot wystawiał się dobrowolnie na armatnie pociski, licząc na to, że one zniszczą filary mostu, ale „fujarka” po odegraniu swej melodii milkła, kanonierzy wycofywali się, a Billot zostawał sam, by obsłużyć jedyne działko atakujących Bastylię. I Pitou znów wybiegał i wołał:

— Panie Billot! Błagam pana w imieniu panny Katarzyny... Niechże pan się zastanowi, bo jak pana zabiją, panna Katarzyna zostanie sierotą!

Billot ulegał temu argumentowi, który zdawał się działać na niego bardziej przekonująco niż poprzedni.

Wreszcie w bujnej wyobraźni starego wieśniaka zrodził się nowy pomysł. Począł biegać po placu wołając:

— Przeprowadźcie tu wózek! Kto ma wózek!

Pitou doszedł do wniosku, że to, co jest dobre w pojedynczej ilości, musi być doskonałe, gdy się je podwoi. Biegł więc za Billotem, krzycząc:

— Dwa wózki! Kto ma dwa wózki! Niezwłocznie sprowadzono dziesięć wozów.

— Przynieście słomy i suchego siana! — wołał Billot.

— Słomy i siana! — wtórował mu Pitou.

W jednej chwili około dwustu ludzi niosło wiązki siana i słomy.

Inni na noszach znosili wysuszony nawóz.

Trzeba było wreszcie głośno oznajmić, że jest tego już co najmniej dziesięć razy za dużo. Po godzinie wyrosła sterta tej samej wysokości co Bastylia.

Billot podszedł do wózka wypełnionego słomą i zamiast go ciągnąć za sobą, popychał przed

siebie.

Pitou postąpił podobnie i choć nie wiedział, co robi, sądził, że warto pójść za przykładem starego wieśniaka.

Zarówno Elie jak Hullin domyślili się, co zamierzał Billot. Każdy z nich również podbiegł do wózka i zaczął go popychać w kierunku dziedzińca fortecy. Zaledwie zdążyli przekroczyć jej próg, kiedy powitał ich ogień z kartaczy. Słysząc było, jak pociski i odłamki z przenikliwym gwizdem przeszywały słomę, lub trafiały w drewniane części wózków. Jednak żaden z idących do ataku nie odniósł rany.

Gdy tylko ucichła kanonada, dwustu lub trzystu strzelców pod osłoną tych, co pchali wózki, rzuciło się naprzód i wkrótce znalazło się tuż pod samym pomostem.

Wtedy Billot wyjął z kieszeni krzesiwo i hubkę, nasypał nieco prochu do papierowej tutki i podpalił ją.

Proch zapalił papier, a papier — słomę. Wszyscy zaopatrzyli się w płonące pochodnie i wnet cztery wózki stanęły w ogniu. By ugasić ogień, należało wyjść z ukrycia, ale opuszczenie go oznaczało pewną śmierć. Płomienie ogarnęły pomost, zaczęły pelzać po deskach i jak węże pobiegły wzdłuż drewnianego belkowania mostu.

Krzyk radości, jaki rozległ się na dziedzińcu, powtórzyły tłumy zebrane na placu Świętego Antoniego. Widać było, jak dym ulatuje ponad wieże fortecy. Tłum przeczuwał, że za chwilę stanie się coś strasznego, co zadecyduje o dalszych losach oblężonych.

I oto, istotnie, rozpalone do czerwoności łańcuchy urwały się z pali, most na poły przełamany, na poły zwęglony runął z trzaskiem, wznosząc słupy dymu.

Nadbiegli strażacy ze swymi sikawkami. Komendant wydał rozkaz rozpoczęcia ognia, ale żołnierze odmówili. Jedynie Szwajcarzy usłuchali rozkazu, nie byli jednak kanonierami — trzeba było więc opuścić działą.

— Natomiast gwardziści, widząc, że artyleria milczy, wycelowali ze swojego działka i trzecim pociskiem udało im się wywalić żelazne kraty, broniące dostępu do Bastylji.

Komendant wszedł na górny taras fortecy, by zobaczyć, czy nadchodzą przyrzeczone posiłki. W tej samej chwili otoczyły go kłęby dymu, zszedł więc czym prędzej i wydał kanonierom rozkaz: „Ognia!”

Odmowa żołnierzy doprowadziła go do rozpacz. Kiedy krata została wyłamana, zrozumiał wreszcie, że wszystko jest stracone. Komendant Bastylji wiedział, że jest powszechnie znieawidzony. Uprzytomnił sobie, że nie ma dla niego ratunku. Cały czas, gdy toczył się bój, nie odstępowała go myśl, by zginąć w ruinach zburzonej Bastylji. W chwili gdy zrozumiał, że wszelka dalsza obrona jest daremna, wyrwał z rąk kanoniera lont i pobiegł z nim w kierunku lochów, gdzie była przechowywana amunicja.

— Tam jest proch! — zawołało naraz dwadzieścia przerażonych głosów. — Proch! Proch!

Widziano, jak w rękach komendanta płonie lont i domyślono się, jakie żywi zamiary. Dwaj żołnierze podbiegli do niego i w chwili, gdy de Launay już otwierał drzwi wiodące do podziemi, skierowali ostrza bagnatów w jego pierś.

— Możecie mnie zabić — zawołał komendant — ale zanim to zrobicie, zdążę rzucić lont pomiędzy beczki prochu, a wtedy wszyscy, i oblężeni, i oblegający, wylecą w powietrze!

Żołnierze zatrzymali się. Co prawda na piersiach komendanta skrzyżowały się ich bagnety, ale dowódcą wciąż jeszcze był de Launay, w którego rękach spoczywało życie wszystkich dokoła. To, co zamierzał uczynić, unieruchomiło otaczających go ludzi.

Oblegający spostrzegli, że w fortecy odbywa się coś niezwykłego. Skierowali swe spojrzenia do wnętrza dziedzińca i ujrzeni osaczonego komendanta.

— Posłuchajcie! — przemówił de Launay. — Widzicie sami, że w moich rękach spoczywa

wasze życie. Uprzedzam was, że jeżeli choć jeden spośród was będzie usiłował wdrzeć się na dziedziniec — podpalę proch!

Tym, którzy usłyszeli jego słowa, wydawało się, że pod ich stopami zadrżała ziemia.

— A więc czego pan żąda? — zawołało parę zdjętych przerażeniem głosów.

— Żądam kapitulacji na honorowych warunkach! Oblegający nie przywiązując wagi do słów komendanta i nie wierząc, aby mógł on zdobyć się na podobny akt rozpacz, usiłowali wciąż wdrzeć się na dziedziniec. Billot był na ich czele. Nagle stary wieśniak zadrżał i zbladł — przypomniał sobie doktora Gilberta.

Przedtem, gdy chodziło mu tylko o własną skórę, niewiele sobie robił z tego, czy Bastylia wyleci w powietrze, czy nie, byleby doktor Gilbert pozostał przy życiu.

— Zatrzymajcie się! — zawołał Billot podbiegając do Eliego i Hullina. — Dla dobra wieźniów, zatrzymajcie się!

Wtedy ci ludzie, którzy nie bali się własnej śmierci, cofnęli się wybladli i drżący.

— Czego więc chcesz? — zapytali po raz drugi komendanta fortecy.

— Żądam, aby wszyscy stąd wyszli — odpowiedział de Launay. — Nie wejść w żadne układy, dopóki bodaj jedna obca osoba będzie się znajdowała w obrębie Bastylii.

— A czy nie skorzysta pan z naszej nieobecności, by przywrócić tu wszystko do dawnego stanu? — zapytał Billot.

— Jeżeli kapitulacja zostanie odrzucona, zastaniecie wszystko na obecnym miejscu: ja — tu, wy — tam!

— Czy ręczy pan za to swoim słowem?

— Słowo szlachcica!

Niektórzy niedowierzająco kiwali głowami.

— Powiedziałem, że ręczę słowem szlachcica. Czy jest tu ktoś, kto mi nie dowierza?

— Nie, nie ma takiego! — odpowiedziało około pięciuset głosów.

— Niech mi tu przyniosą papier, pióro i atrament! Żądanie komendanta zostało niezwłocznie spełnione.

— A teraz — rzekł do otaczających go ludzi — oddalcie się! Billot, Elie i Hullin pierwsi wycofali się, dając przykład pozostałym.

De Launay odstawił lont i zaczął na kolanie spisywać akt kapitulacji.

Żołnierze garnizonu fortecy i Szwajcarzy, rozumiejąc, że chodzi o ich ocalenie, w milczeniu oraz z pewnym szacunkiem patrzyli na to, co się działo.

De Launay odwrócił się, zanim zaczął pisać. Dziedzińce fortecy były puste.

Nie minęła nawet chwila, a na zewnątrz, na placu, dokładnie wiedziano o wszystkim, co się odbywało w fortecy.

Jak to powiedział major de Losme, tłum jak gdyby wyrastał spod ziemi i dokoła Bastylii zgromadziło się już około stu tysięcy ludzi.

Nie byli to sami robotnicy. Pełno tu było przedstawicieli wszystkich warstw ludności. Nie byli to również jedynie sami mężczyźni — sporo było i dzieci, i starców. Każdy miał broń i każdy wznosił okrzyki.

Tu i ówdzie wśród zgromadzonych widziało się jakąś zapłakaną kobietę z potarganymi włosami, załamującą ręce i miotającą przekleństwa pod adresem tego kamiennego olbrzyma. Była to bądź jakaś matka, której Bastylia zabrała syna, bądź żona, oplakująca męża.

Od pewnego czasu od strony Bastylii nie dolatywał ani jeden odgłos, nie widać też było żadnego światelka czy dymu. Bastylia zgasła i milczała jak grób.

Daremny byłby trud policzenia wszystkich śladów, jakie na murach pozostawiły skierowane w fortecę strzały. Każdy chciał skierować lufę swej broni w tego potwora z granitu, w ten widomy

symbol tyranii.

Kiedy się więc dowiedziano, że ta straszliwa Bastylia ma się poddać i że jej komendant przyrzekł to uczynić, nie chciano w to uwierzyć.

Naraz w tej atmosferze niepewności, gdyż nikt nie śmiał jeszcze składać powinszowań, wśród ciszy, jaka zapanowała dokoła, ujrzano list wysunięty na końcu szpady poprzez strzelnicę w murze.

Niestety, oblegających dzieliła od tego listu szeroka i głęboka, wypełniona wodą fosa forteczna.

Billot zażądał, by mu przyniesiono deskę. Przyniesiono aż trzy, ale każda z nich była za krótka, by móc po niej przedostać się do celu. Dopiero za pomocą czwartej udało się dosięgnąć do drugiego brzegu rowu.

Billot stara się umocować ją możliwie najlepiej i bez chwili namysłu wchodzi na ten chwiejący się most.

Tłum stoi w milczeniu, wszystkie oczy kierują się w stronę tego człowieka, który jest jak gdyby zawieszony w powietrzu nad głęboką fosą. Pitou, dygocąc całym, siada na krawędzi, ukrywając głowę w rękach. Ogarnia go lęk, płacze.

Naraz, gdy Billot przebył już prawie dwie trzecie drogi, deska zachybotła się. I oto Billot rozwiera ramiona, pada i znika w fosie.

Pitou aż zawył i niczym pies-wodołaz skoczył do wody za swoim panem.

Wtedy jakiś inny człowiek podszedł do deski, z której przed chwilą spadł Billot. Również bez namysłu wchodzi na nią. Tym człowiekiem jest Stanisław Maillard, pisarczyk spod Châtelet.

Dochodzi do tego miejsca, gdzie Pitou i Billot usiłują wydostać się z mułu, obserwuje ich, a widząc, że obydwaj cali i zdrowi za chwilę wydostaną się na brzeg, puszcza się w dalszą drogę.

Mija zaledwie pół minuty, a już jest na przeciwległym brzegu i trzyma w ręce list, podany mu na końcu szpady.

Następnie z tym samym opanowaniem i pewnością siebie przebywa powrotną drogę po desce.

Ale oto w chwili, gdy wszyscy gromadzą się dokoła niego, by odczytać list, z baszt twierdzy spada grad pocisków. Jednocześnie rozlega się potworny wybuch.

Z piersi zebranych wyrywa się jeden okrzyk, a jest to głos zemsty:

— I jak tu ufać tyranom! — woła Gonchon.

Nie zastanawiając się już ani nad warunkami kapitulacji, ani nad zapasami prochu, nie myśląc ani o sobie, ani o więźniach, płonąć jedynie żądzą zemsty, lud zebrany na placu wdziera się na dziedzińce, a są to już nie setki oblegających, lecz tysiące.

To już nie strzały stają na przeszkodzie przedostania się do środka fortecy, to jej zbyt wąskie bramy.

Gdy rozległ się wybuch, dwaj żołnierze, którzy na krok nie odstępowali od komendanta, rzucają się na niego, a trzeci chwyta zapalony lont i gasi jego ogień nogami.

De Launay wyciąga szpadę ukrytą w lasce i chce się nią przebić, ale żołnierze łamią mu ją w rękach. Wtedy komendant Bastylia uświadamia sobie, że nie pozostaje mu nic innego, jak czekać — a więc czeka.

Tłum nadbiega coraz liczniej, garnizon podaje mu ręce i Bastylia zostaje zdobyta szturmem — nie dzięki kapitulacji. Ponieważ od stu lat więziono w lochach królewskiej Bastylia nie tylko obezwładnione ciała, lecz również i myśl — Bastylię zburzyła myśl ludzka, a lud wszedł przez dokonany wylom.

Co się zaś tyczy owej salwy, która naraz rozległa się wśród powszechnej ciszy, towarzyszącej zawieszeniu broni, to nigdy nie można było dociec, kto wydał wówczas ten rozkaz, kto go spowodował i kto wykonał.

Bywają takie chwile, kiedy cała przyszłość narodu waży się na szalach losu. Jedna z nich przeważa i wszystkim się zdaje, że upragniony cel został osiągnięty, gdy naraz czyjaś niewidzialna ręka na drugą szalę rzuca bądź ostrze sztyletu, bądź kulę pistoletu... Wtedy wszystko ulega zmianie i słyszy się jedynie ten oto okrzyk: „Biada zwyciężonym”

XVIII

DOKTOR GILBERT

Podczas gdy wrzeszcząc jednocześnie z radości i oburzenia lud wdziera się na dziedzińce Bastylji, dwaj ludzie nie mogą się wygrzebać z zamulonej wody, wypełniającej forteczne fosy.

Są to Pitou i Billot.

Pitou podpira Billota. Nie zraniła go wprawdzie żadna kula ani nie dosięgnął żaden cios, jednak upadek do wody w pewnym stopniu go ogłuszył.

Z brzegu, dla przyjscia im z pomocą, rzucają liny, podają tyki.

Pitou uchwycił się liny, a Billot — tyki.

Po pięciu minutach niosą ich w triumfie, zabloconych do niemożliwości i ściskają.

Ktoś podaje Billotowi manierkę z wódką, inny częstuje Pitou winem i kielbasą, trzeci wyciera ich i prowadzi na słońce.

Naraz Billot pomyślał o czymś, a raczej coś sobie przypomniał. Uwalnia się szybko z opiekuńczych uścisków i biegnie w kierunku Bastylji.

— Uwolnić więźniów! — krzyczy biegnąc. — Uwolnić więźniów!

— Tak! Do więźniów! — woła Pitou, podążając co sił za Billotem.

Tłum, którego myśli były dotąd zaprzątnięte wyłącznie oprawcami, zadrżał na wspomnienie o ich ofiarach.

Wszyscy powtarzają: — Tak, tak, uwolnić więźniów!

Nowa fala oblegających przerywa tamy i zdaje się rozsadzać mury fortecy, by wprowadzić do niej wolność.

Wtedy oczom Pitou i Billota ukazał się straszliwy obraz. Oto tłum — upojony, rozbestwiony i pałający gniewem — wpadł na dziedziniec. Pierwszy napotkany żołnierz został rozszarpany na kawałki.

Gonchon patrzy na to wszystko. Przeszło mu niewątpliwie przez myśl, że gniew ludu przypomina wezbrany nurt wielkiej rzeki i że chcąc go powstrzymać, wyrządza się więcej szkody aniżeli pożytku. Trzeba mu pozwolić odpłynąć spokojnie.

Natomiast Elie i Hullin rzucili się naprzód, błagając i zaklinając tych, co mordowali, by zaniechali swego dzieła. Dopuścili się nawet szlachetnego kłamstwa, twierdząc, że przyrzekli garnizonowi nietykalność.

Przybycie Billota i Pitou było dla nich odsieczą. Billot, którego rzekomą śmierć tłum chciał pomścić, żył. Nie był nawet ranny. Deska po prostu usunęła mu się spod nóg i wszystko skończyło się na przymusowej błotnej kąpieli.

Nienawiść tłumowi kierowała się głównie przeciwko najemnym żołnierzom — Szwajcarom, ale tych nie było nigdzie widać. Mieli dość czasu, aby się poprzebierać w szare kapoty, wzięło więc ich za służbę domową lub więźniów. Tłum rozbił kamieniami duże zegarowe tarcze na wieżach, a z ich szczytów szczydził z armat, które dopiero co siały śmierć. Wreszcie tłum obrócił swój gniew przeciw kamieniom i krwawiącymi rękami wyszarpywał je z murów, chcąc je zburzyć. Kiedy na tarasach wieżyc ujrzano pierwszych zwycięzców, wszyscy znajdujący się na zewnątrz, a było ich około stu tysięcy, wydali jeden potężny okrzyk.

Ten okrzyk wzbił się ponad Paryż i poszybował niczym orzeł nad Francją.

— Bastylia zdobyta!

Na tę wieść wzruszyły się serca, zwilgotniały oczy, rozwarły się ramiona. Nie było już zwalczających się partii ani wrogich sobie obozów — wszyscy paryżanie poczuli się braćmi,

wszyscy ludzie zrozumieli, że są wolni.

Jeden wspólny uścisk złączył milion ludzi.

Billot i Pitou weszli razem z innymi. Nie szukali triumfu, który im się należał, chodziło im przede wszystkim o więźniów.

Przebiegając przez dziedziniec rządowy, minęli pewnego mężczyznę w szarym odzieniu, który stał z ręką wspartą na lasce ze złotą gałką.

Był to komendant fortecy. Czekał spokojnie, aż zostanie uratowany przez swych przyjaciół lub zabity przez wrogów.

Billot, poznawszy go, z krzykiem skierował się w jego stronę.

De Launay również go poznał. Skrzyżował ręce na piersi i czekał, jak gdyby chcąc powiedzieć:

„A więc to ty zadasz mi pierwszy cios.”

Billot zrozumiał to i zatrzymał się.

„Jeżeli przemówię do niego — pomyślał — przyczynię się do tego, że go poznają. Jeżeli go poznają — zginie. Ale jak znaleźć w tym rozgardiaszu doktora Gilberta? Jak wydrzeć Bastylli tajemnicę, którą przechowywała w swych trzewiach?”

De Launay ze swej strony również zrozumiał szlachetne wahanie Billota.

— Czego jeszcze chcecie? — zapytał półgłosem.

— Niczego nie chcę — odpowiedział Billot, pokazując mu palcem drzwi i dając do zrozumienia, że komendant mógłby jeszcze uciec.

— Niczego nie chcę... potrafię sam odnaleźć doktora Gilberta.

— Jest w trzeciej celi — odrzekł de Launay łagodnym, niemal tklwym głosem, nie ruszając się przy tym z miejsca.

Naraz za Billotem czyjś głos zawołał — A oto i pan komendant!

Głos był spokojny, jak gdyby przyszedł z zaświatów, a przecież każde słowo niczym sztylet wbijało się w pierś de Launaya.

Człowiekiem, który wypowiedział te słowa, był Gonchon.

Zabrzmiały jak dźwięki dzwonu, który uderzył na alarm, a wszyscy ci ludzie pijani żądzą zemsty aż zadrżeli, rozejrzeli się, spostrzegli komendanta i podbiegli do niego.

— Ocalcie go — rzekł Billot, stając obok Eliego i Hullina — inaczej jest zgubiony.

— Pomóż nam! — odpowiedzieli.

— Muszę tu zostać, ja też mam kogoś, kto musi być ocalony.

Pochwycony przez tysiące rozwścieczonych rąk Komendant w jednej chwili został porwany i uniesiony. Elie i Hullin pobiegli za nimi wołając:

— Zatrzymajcie się! Obiecaliśmy uratować mu życie! Nie odpowiadało to prawdzie, ale szlachetne kłamstwo jednocześnie wydarło się z ich ust.

Po chwili de Launay, za którym podążyli Elie i Hullin, zniknął w korytarzu wiodącym na zewnątrz Bastylli. Dokoła wołano: „Do Ratusza! Do Ratusza!”

De Launay, jako żywa zdobycz, dla niektórych zwycięzców był wart więcej niż ten martwy łup, którym była Bastylia.

Jakże niezwykle widok przedstawiała teraz ta posępna i milcząca zazwyczaj twierdza, której progi od czterech wieków mogli przestąpić jedynie dozorczy więzienni, ich więźniowie i jej ponury komendant. W chwili obecnej znalazła się ona w rękach ludu, który przebiegał jej dziedzińce, wbiegał i zbiegał schodami, jak chmara much brzękiem napełniał zakamarki murów i rozbrzmiewał dokoła okrzykami.

Billot na chwilę skierował swój wzrok na komendanta, którego raczej niesiono niż prowadzono i który jak gdyby płynął nad tym tłumem. Po chwili jednak de Launay zniknął.

Billot westchnął, spojrział dokoła siebie, zauważył Pitou i wołając: — Trzecia cela! — pobiegł przed siebie.

Po drodze spotkał dygocącego ze strachu dozorcę więziennego.

— Gdzie jest trzecia cela?

— Tędy, mój panie... ale ja nie mam kluczy...

— Gdzie one są?

— Odebrano mi je.

— Obywatelu — rzekł Billot, zwracając się do któregoś mieszkańca przedmieść paryskich — pożyczcie mi swojej siekiery.

— Mogę ci ją dać... Już mi nie jest potrzebna, skoro Bastylia została zdobyta.

Billot chwycił siekiere i wbiegł na schody.

Dozorca podążył za nim i zatrzymał się przed drzwiami.

— To tu znajduje się trzecia cela?

— Tak. Tutaj.

— Czy więzień, który tu siedzi, nazywa się doktor Gilbert?

— Nie wiem.

— Przybył tu zaledwie pięć lub sześć dni temu?

— Nie wiem nic o tym.

— A więc dobrze... Sam się dowiem.

Billot zaczął rąbać drzwi celi siekiere. Drzwi były dębowe, ale pod silnymi ciosami rozłupywały się bez trudu.

Po paru chwilach można już było zajrzeć do wnętrza. Billot przyłożył oko do szpary.

Jakiś człowiek, nieco przechylony w tył, trzymając wyrwaną z pryczy deskę, stał w smudze światła padającego przez zakratowane okno, jak gdyby przygotowany do obrony.

Widać było, że gotów jest zamordować pierwszego, kto przestąpi próg celi.

Billot natychmiast go poznał pomimo długiej brody, wybladłej twarzy i krótko ostrzyżonych włosów.

Był to doktor Gilbert.

— Doktorze! Doktorze! — zawołał Billot. — To pan?

— Kto mnie wzywa? — zapytał więzień.

— Ja! Billot! Pański przyjaciel!

— To wy? Billot?

— Tak! To ja! To on! To my! — zawołało ze dwadzieścia głosów należących do ludzi, którzy zatrzymali się na schodach, słysząc walenie siekiere w drzwi.

— Co za jedni jesteście?

— Jesteśmy zdobywcami Bastylii! Bastylia jest zdobyta! Jesteście wolni, obywatelu!

— A więc Bastylia jest zdobyta? Jestem wolny? — zawołał doktor i przeciskając obie ręce przez wyłom w drzwiach tak mocno potrząsnął nimi, że zamek i zawiasy gotowe były lada chwila ustąpić, a jeden z odłamków odszczepił się i został w rękach więźnia.

— Niech pan zaczeka, doktorze! — zawołał Billot zdając sobie sprawę z tego, że powtórzenie podobnego wysiłku wyczerpie siłę podnieconego doktora. — Mech pan zaczeka.

Billot podwoił swoje usiłowania wyważenia drzwi. Po chwili, przez coraz większy otwór, Billot mógł już zobaczyć, jak bładny niczym widmo więzień opadł na stołek. Podobny był w tej chwili do Samsona, któremu nie udało się zachwiać kolumnami pałacu Filistynów.

— O, Billot, Billot! — szeptały jego wargi.

— Tak, to ja! A ze mną jest Pitou... Pan sobie przypomina, panie doktorze, małego Pitou, którego pan umieścił u ciotki Angeliki... To ten właśnie Pitou przywrócił panu teraz wolność!

— Mógłbym już przejść przez tę szparę! — oświadczył doktor.

— Ależ nie, nie! — odpowiedziało mnóstwo głosów. — Niech pan zaczeka!

Wszyscy obecni zjednoczyli się we wspólnym wysiłku: jedni wpychając łomy pomiędzy mur a framugę drzwi, inni usiłując wyważyć zamek, jeszcze inni nacierając na drzwi plecami i ramionami. Wreszcie dał się słyszeć ostatni trzask, mur zaczął się obsypywać i przez wyłamane drzwi i zwalony mur wszyscy niczym burzliwy potok wpadli do wnętrza celi.

Gilbert znalazł się w ramionach Pitou i Billota.

Gilbert — ten sam mały chłopiec wychowywany na wsi w pobliżu zamku de Taverney, ten sam, którego zostawiliśmy skąpanego we własnej krwi w pewnej grocie azorskiej — był teraz już mężczyzną liczącym mniej więcej trzydzieści pięć lat, o bladej, choć bynajmniej nie chorobliwej cerze, o czarnej czuprynie i bystrym, przyjemnym spojrzeniu. Wzrok jego nigdy nie bujał bezcelowo w przestrzeni. Jeżeli nie był utkwiony w pewnym określonym przedmiocie, koncentrował się na własnych myślach, nabierając powagi i głębi. Nos miał prosty, równą linią połączony z czołem. Pod nim znajdowały się nieco wzgardliwie wydęte wargi, ukazujące biel zębów.

Jego strój, zazwyczaj prosty i skromny, jak się to spotykało u kwaków, dzięki niezwyklej schludności i surowości miał w sobie coś wytwornego. Doktor był więcej niż średniego wzrostu i odznaczał się doskonałą budową. O ile zaś chodzi o siły fizyczne, widzieliśmy przed chwilą, do czego był zdolny pod wpływem chwilowego podniecenia, wywołanego gniewem lub uniesieniem.

Aczkolwiek więzień znajdował się w zamknięciu dopiero od pięciu czy sześciu dni, nie przestawał jednak dbać o siebie: dość długa broda jeszcze bardziej podkreślała matowość jego cery i świadczyła o tym, że to zaniedbanie wcale nie było winą więźnia, lecz po prostu wynikało z tego, że nie pozwolono mu korzystać z brzytwy lub usług cyrulika.

Po uściśnięciu Billota i Pitou doktor Gilbert zwrócił się do ludzi tłumnie wypełniających jego celę, a następnie, jak gdyby mu wystarczyło jednej chwili, by odzyskać wszystkie swe siły, przemówił do obecnych tymi słowami:

— Przyszedł dzień, którego nadejście przewidywałem. Dziękuję wam, moi przyjaciele, dzięki również nieśmiertelnemu geniuszowi, który czuwa nad wolnością narodów!

Doktor wyciągnął dwie ręce ku obecnym, którzy ledwie odważyli się ich dotknąć, tyle godności było w spojrzeniu i głosie tego człowieka, górującego nad całym otoczeniem.

Opuściwszy swą celę doktor przeszedł przed szeregiem tu zgromadzonych, opierając się na ramieniu Billota. Za nim podążył Pitou i ci, którzy przyczynili się do jego uwolnienia.

Pierwsze słowa doktor Gilbert poświęcił wyrażeniu przyjaźni i wdzięczności, zachowując jednak dystans, jaki winien dzielić uczonego lekarza od nieoświeconego wieśniaka, od poczciwego Pitou i całego tłumu ludzi, którzy uwolnili go z więzienia.

Doktor Gilbert przystanął w drzwiach, oślepiony słońcem. Zatrzymawszy się skrzyżował ręce na piersiach i podnosząc oczy do nieba rzekł:

— Bądź pozdrowiona, piękna wolności! Byłem świadkiem twoich narodzin na innej półkuli. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Witaj mi!

Uśmiech doktora świadczył o tym, że w samej rzeczy, wszystkie okrzyki, jakie wydawał lud upojony swą wolnością, nie były dla niego czymś nowym.

Po paru sekundach doktor opanował się.

— Powiedz mi, Billot... a więc lud pokonał despotów?

— Tak, panie doktorze.

— A ty przybyłeś, by walczyć?

— Przybyłem, by uwolnić pana.

— Wiedziałaś o moim aresztowaniu?
— Pański syn powiedział mi o tym dziś z rana.
— Biedne dziecko! Czy widziałaś go?
— Tak.
— Czy zachowywał się spokojnie w swoim internacie?
— Zostawiłem go w chwili, gdy wyrwał się z rąk czterech pielęgniarzy.
— Czy jest chory? Bredzi?
— Chciał pójść walczyć wraz z nami.
— Och! — westchnął doktor. Na ustach wykwitł mu uśmiech triumfu. Syn był godny swego ojca.
— A więc... powiedziałaś... — pytał dalej doktor.
— Powiedziałem sobie, że skoro doktor jest w Bastylli, musimy zdobyć Bastylię. Teraz Bastylia jest już zdobyta — ale to nie wszystko...
— Cóż jeszcze? — zapytał doktor.
— Szkatułka została skradziona.
— Ta, którą powierzyłem twojej opiece?
— Tak.
— Przez kogo została skradziona?
— Przez szpiegów, którzy wdarli się do mego domu pod pretekstem odebrania pańskiej broszury. Aresztowali mnie, zamknęli w piwnicy, przetrząsnęli cały dom i wreszcie znaleźli szkatułkę, którą ze sobą zabrali.
— Kiedy to było?
— Wczoraj.
— Istnieje wyraźny związek pomiędzy moim aresztowaniem i tą kradzieżą. Ta sama osoba, która kazała mnie uwięzić, skradła szkatułkę. Jeżeli dowiem się, kto spowodował aresztowanie, będę wiedział, kto jest sprawcą kradzieży.
— Gdzie się mieszczą archiwa? — mówił dalej doktor Gilbert, zwracając się do dozorczy.
— Na dziedzińcu rządowym!
— Chodźmy do archiwum, przyjaciele!
— Mój panie — rzekł dozorca — niech mnie pan zabierze ze sobą albo poleci opiece tych dzielnych ludzi, aby mi się nie przytrafiło nic złego.
— Dobrze! — zgodził się doktor, po czym zwracając się do ludzi, którzy go otaczali i przyglądali się z szacunkiem, rzekł:
— Drodzy przyjaciele! Polecam waszej opiece tego poczciwego człowieka. Spełniał swój obowiązek otwierając i zamykając drzwi. Był dobry dla więźniów. Nie róbcie mu nic złego.
— Nie! Nie! — zawołano zewsząd. — Niech się nie” boi, niech idzie.
— Dziękuję wam... dziękuję! Ale jeżeli chcecie dostać się do archiwów, musicie się pospieszyć, bo zaczęto już palić dokumenty.
— Nie ma chwili do stracenia! — zawołał Gilbert.
— Do archiwum!
Doktor pobiegł w stronę rządowego podwórza, pociągając za sobą tłum, któremu jak zawsze przewodzili Billot i Pitou.

XIX TRÓJKĄT

Przy wejściu do sali archiwum płonął ogromny stos papierów.

Jest, niestety, rzeczą godną ubolewania, że pierwszą czynnością ludu po odniesieniu zwycięstwa jest zazwyczaj dokonywanie zniszczenia.

Archiwum Bastylii znalazło się w rękach ludu.

Była to obszerna sala wypełniona rejestrami i półkami. Znajdowały się tu spisy wszystkich więźniów, od szeregu lat zamkniętych w Bastylii.

Tłum darł z wściekłością papiery na strzępy, ulegając złudzeniu, że niszcząc dokumenty przemocy tym samym przywraca wolność uwięzionym.

Gilbert wszedł i przy pomocy Pitou zaczął przeglądać akta, spoczywające jeszcze na półkach. Niestety, spisów dotyczących bieżącego roku już nie było.

Doktor, mimo iż był człowiekiem zrównoważonym i spokojnym, zbladł i ze zniecierpliwienia aż tupnął nogą.

W tej samej chwili Pitou spostrzegł, jak jeden z bohaterskich młodzików, których nigdy nie brak przy zwycięskich czynach ludu, niósł na głowie, biegnąc w stronę ogniska, duży, oprawny tom, podobny do tych, które przeglądał doktor Gilbert.

Był to spis dotyczący 1789 roku.

Układy nie trwały zbyt długo. Pitou oświadczył, że jednemu z byłych więźniów potrzebny jest ten spis. Chłopak oddał go, pocieszając się:

— Ha, w takim razie spalą któryś inny!

Pitou otworzył rejestr, zaczął w nim szukać, przewracać kartki, odczytywać je, aż wreszcie na ostatniej znalazł te oto słowa:

„Dziś, 9 lipca 1789 roku, przybył niejaki G., bardzo niebezpieczny filozof i literat. Winien być umieszczony w najbardziej odosobnionej celi”.

Pitou pokazał to doktorowi.

— Proszę, panie doktorze, czy nie szuka pan tego?

— Tak! — zawołał doktor, biorąc spis do rąk. — To jest właśnie to, czego szukam! A teraz zobaczmy, kto wydał rozkaz aresztowania — rzekł szukając tego, co zostało zanotowane na marginesie.

— Necker! — krzyknął nagle Gilbert. — To Necker, mój przyjaciel, wydał rozkaz aresztowania mnie! Kryje się w tym jakaś niespodzianka!

— Necker jest pańskim przyjacielem? — zapytało kilka głosów z jak największym szacunkiem, gdyż pamiętano wciąż jeszcze, jakim autorytetem cieszyło się wśród ludu to nazwisko.

— Tak. Jest moim przyjacielem. Potwierdzam to i jestem przekonany, że Necker nie wiedział o tym, że zostałem uwięziony. Zobaczę się z nim i...

— Gdzie go pan chce odnaleźć, panie doktorze? — zapytał Billot.

— W Wersalu.

— Niestety, pana Neckera już nie ma w Wersalu. Jest na wygnaniu.

— Gdzie?

— W Brukseli.

— A gdzie jest jego córka?

— Nie wiem.

— Mieszka na wsi, w Saint-Ouen — odpowiedział czyjś głos z tłumu.

— Dziękuję, dziękuję! — odparł Gilbert nie wiedząc nawet, do kogo są skierowane te słowa.

Następnie doktor zwrócił się do ludzi zajętych paleniem papierów.

— Przyjaciele! — rzekł. — Zaklinam was w imię historii, która w tych rejestrach znajdzie wyrok na tyranów. Dość już tego niszczenia, błagam was! Zburzcie Bastylię, nie zostawiając jednego kamienia, niech nie będzie śladu po niej, ale zachowajcie w całości te papiery, uszanujcie te rejestry, gdyż w nich zawarte jest światło, które opromieni przyszłość!

Tłum, usłyszawszy te słowa, wnet zrozumiał ich doniosłą wagę.

— Doktor ma rację! — zawołało naraz sto głosów.

— Dość tego niszczenia! Odnieśmy wszystkie papiery do Ratusza!

Strażak, który wraz ze swymi towarzyszami wszedł na dziedziniec, ciągnąc za sobą sikawkę, skierował strumień wody na płonący stos i ugasił go.

— A więc na czyje żądanie został pan, panie doktorze, uwięziony? — zapytał Billot.

— Usiłuję właśnie to odnaleźć i nie mogę. Nazwisko nie jest wymienione. — Po chwili zastanowienia doktor dodał:

— Ale będę je znalazł!

Wydarłszy kartkę, która dotyczyła jego osoby, doktor złożył ją we czworo i schował do kieszeni. Następnie zwrócił się do Billota i Pitou, mówiąc:

— Wyjdźmy stąd, przyjaciele. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

— Tak... Wyjdźmy stąd... — odparł Billot — ale łatwiej to powiedzieć niż wykonać.

Miał słuszość mówiąc to, gdyż tłum, pchany z zewnątrz i podniecany głównie ciekawością, wciąż napływał bramami Bastylii, aż zatarasował wejście do fortecy. U bram Bastylii stali inni więźniowie. Wraz z Gilbertem było ośmiu wyzwolonych z lochów.

Byli to: Jan Bechade, Bernard Laroche, Jan Lacaurége. Antoni Pujade, de White, hrabia de Solage oraz Tavernier.

Pierwsi czterej budzili jedynie nieznaczne zainteresowanie. Oskarżeni byli o sfałszowanie weksła, aczkolwiek nigdy nie udowodniono im tego, co pozwalało przypuszczać, że całe oskarżenie było fałszywe. W Bastylii przebywali zaledwie od dwóch lat.

O ile chodzi o pozostałych, to hrabia de Solage był mniej więcej trzydziestoletnim mężczyzną, pełnym życia i wigoru. Ścisnął swych wybawicieli, wychwalał odniesione przez nich zwycięstwo i opowiadał im o latach swej niewoli. Aresztowany w 1782 roku i uwięziony w Vincennes na podstawie nakazu, jaki wyjednał jego ojciec, został następnie przewieziony do Bastylii, gdzie pozostawał pięć lat, ani razu nie będąc przesłuchiwany lub badany przez sędziego. Jego ojciec zmarł przed dwoma laty i nikt się o niego już nie zatroszczył. Gdyby Bastylia nie została zdobyta, nikt zapewne nie pomyślałby nawet o nim.

De White był sześćdziesięcioletnim starcem. Wygłaszał jakieś niezrozumiałe wyrazy cudzoziemskim akcentem. Podczas zadawanych mu krzyżowych pytań odpowiadał, że nie pamięta, kiedy został aresztowany i za co. Przypominał sobie jedynie, że był kuzynem pana de Sartinesa. To było wszystko. Pewien dozorca więzienny, nazwiskiem Guyon, istotnie widział kiedyś pana de Sartinesa wchodzącego do celi de White'a, gdzie otrzymał od niego pełnomocnictwo. Jednak więzień całkowicie zapomniał o tym zdarzeniu.

Tavernier był najstarszym z nich wszystkich. Miał za sobą dziesięć lat wygnania na wyspach Świętej Małgorzaty i trzydzieści lat więzienia w Bastylii. Był to dziewięćdziesięcioletni staruszek o siwych włosach i białej brodzie. Stracił niemal wzrok, przebywając wciąż w ciemnościach, i widział jak przez mgłę. Kiedy wkroczone do jego celi, starzec nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Kiedy mu oznajmiono, że odzyskuje wolność, potrząsał tylko głową, a kiedy mu wreszcie powiedziano, że Bastylia została zdobyta, rzekł:

— Ho, ho! A cóż na to powie Król Ludwik XV, pani de Pompadour i księżę de la Villiere?

Podobnie jak de White, Tavernier nie zwariował, lecz po prostu zidiociał.

Nie sposób było patrzeć na radość tych ludzi, tak była wstrząsająca — aż do zgrozy. Dwaj czy też trzej spośród oswobodzonych omal nie wyzionęli ducha wśród okrzyków, wznoszonych przez stutysięczny tłum. Można sobie wyobrazić, czym to było dla nich, dla tych, którzy od czasu znalezienia się w Bastylji nigdy nie słyszeli głosów dwóch naraz mówiących ludzi, którzy przywykli jedynie do tajemniczych dźwięków pękających od wilgoci belek, do widoku pajaków snujących swe pajęczyny, do chrobotania przemykających szczurów.

W chwili gdy Gilbert ukazał się, najbardziej zapaleni zaproponowali, by uwolnionych obnosić po mieście w triumfalnym pochodzie, co znalazło ogólne uznanie.

Gilbert pragnął uniknąć tej owacji — nie było jednak na to sposobu. Poznano go, podobnie jak Billota i Pitou.

Rozległy się okrzyki: „Do Ratusza! Do Ratusza!” Po chwili Gilbert znalazł się na barkach dwudziestu tysięcy ludzi.

Daremnie opierał się doktor Gilbert, daremnie Billot i Pitou rozdawali na prawo i lewo potężne kuksańce swym najbardziej odważnym towarzyszom broni — radość i uniesienie wzięły górę. Potężne uderzenia pięścią, ciosy zadawane drzewcami lanc, kolbami karabinów — wszystko to wydawało się zwycięzcom czymś łagodnym jak pieszczota i jedynie przyczyniało się do podwojenia ich zapału.

Gilbert został przemocą uniesiony w górę i postawiony na podwyższeniu. Był to właściwie rodzaj stołu, pośrodku którego wbito lancę, by ten, którego miało się obnosić w triumfie, mógł się czegoś trzymać.

Doktor znalazł się nad falującym dokoła Bastylji morzem głów ludzkich, ciągnącym się od Bastylji aż po arkady Świętego Jana. Było to burzliwe, rozbałwanione morze, usiane pikami, bagnietami i bronią należącą do najrozmaitszych rodzajów i epok. Był to oręż zwycięzców i triumfujących więźniów.

Ale obok tego wzburzonego i niepowstrzymanego oceanu przepływała inna gromada ludzka, tak zwarta, że robiła wrażenie wyspy.

Była to grupa wlokąca de Launaya do Ratusza. Dokoła niej rozbrzmiewały okrzyki nie mniej głośnie i burzliwe od tych, które towarzyszyły pochodowi oswobodzonych więźniów, nie słychać było jedynie głosów triumfu — zamiast nich rozlegały się pogroźki śmierci.

Doktor Gilbert ze wzniesienia, na którym się znalazł, mógł przyjrzeć się najdrobniejszemu szczegółowi straszliwego widowiska. On jeden spośród wszystkich więźniów, którzy odzyskali wolność, był w pełni sił. Pięć dni spędzonych w celi stanowiło zaledwie niewielki, choć ponury epizod w jego życiu. Jego wzrok nie miał czasu zgasnąć lub osłabnąć w mrokach Bastylji.

Od chwili opuszczenia Bastylji droga, którą miał do przebycia jej komendant, była zaledwie początkiem cierpień, jakie go czekały.

Elie, który ręczył za życie de Launaya, kroczył na czele. W ręce, na końcu szpady niósł list, przekazany oblegającym przez komendanta Bastylji i dostarczony przez Maillarda.

Za nim postępowali członkowie straży królewskich gmachów, niosąc klucze od Bastylji. Następnie szli Maillard ze sztandarem i pewien młodzian, pokazujący wszystkim przebitą bagnietą regulamin Bastylji, ów straszliwy dokument, z winy którego popłynęło tyle krwi i łez.

Wreszcie szedł komendant twierdzy pod eskortą Hullina i jeszcze dwóch czy też trzech konwojentów, którzy jednak ginęli w morzu wygrażających pięści, potrząsanych szabel i kołyszających się lanc.

Obok tej grupy, niemal równoległe do niej, wzdłuż wielkiej arterii ulicznej, jaką była ulica Świętego Antoniego, łącząca bulwary z rzeką, można było odróżnić inną jeszcze gromadę,

również wznoszącą pogroźki i nie mniej groźną.

To grupa prowadząca majora de Losme'a, który, jak to widzieliśmy, przez chwilę usiłował sprzeciwić się komendantowi, lecz w końcu musiał się ugiąć przed jego rozpaczliwą decyzją stawiania oporu.

Major de Losme był dobrym, dzielnym i pełnym zalet młodzieńcem. Od czasu kiedy przybył do Bastylli, zdołał złagodzić niejedno ludzkie cierpienie — ale tłum nic o tym nie wiedział. Z racji wspaniałego munduru, jaki miał na sobie, brano go za komendanta fortecy, podczas gdy istotny jej dowódca w szarym odzieniu, pozbawiony wszelkich ozdób, a nawet i zdartej umyślnie wstążeczki Orderu Świętego Ludwika, mógł bezpiecznie ukryć, kim jest, chyba że ktoś dobrze go znający mógł go rozpoznać.

Oto był obraz, na który posepnym wzrokiem patrzył Gilbert. Było to spojrzenie bacznie obserwujące, spokojne, pomimo ogromu niebezpieczeństw, jakie piętrzyły się dokoła.

Opuszczając Bastylię, Hullin przywołał do siebie swych najbardziej zaufanych i oddanych żołnierzy, a jednocześnie takich, którzy swą odwagą zdobyli rozgłos w ciągu tego dnia.

Czterech czy też pięciu odpowiedziało na jego wezwanie i w miarę sił usiłowało poprzeć szlachetny zamiar zapewnienia bezpieczeństwa komendantowi. Historia przechowała pamięć o tych trzech prawych obywatelach. Oto ich nazwiska: Arné, Chollat i de Lépine.

Poprzedzani, jak to już zaznaczyliśmy, przez Hullina i Maillarda ci właśnie ludzie usiłowali bronić życia człowieka, którego śmierci domagało się sto tysięcy głosów.

Dokoła nich zgromadziło się kilku grenadierów z Gwardii Francuskiej, której mundury zdobyły sobie w ciągu trzech dni popularność i szacunek wśród ludności Paryża.

Panu de Launayowi udało się wprawdzie ująć przed ciosem, przeciw któremu zasłoniły go szlachetne ramiona jego obrońców, nie mógł jednak uniknąć gradu pogroźek i wyzwisk, jakie spadały na jego głowę.

Na rogu ulicy Jouy z owych pięciu grenadierów, którzy; przy wyjściu z Bastylli przyłączyli się do pochodu, nie pozostał już ani jeden. Wszystkich, jednego po drugim, porywał po drodze entuzjizm tłumu, a może i wyrachowanie morderców. Gilbert widział, jak znikał jeden po drugim niczym paciorki ze sznurka, na który były nanizane.

Od tej chwili uprzytomnił sobie, że zwycięstwo zostanie zbrukane krwią. Chciał uciec z tego podwyższenia, które mu służyło za rodzaj trybuny, ale na uwięzi trzymały go żelazne ramiona. Czując swoją bezradność posłał Billota i Pitou, by bronili komendanta. Usłuchali jego rozkazu czyniąc nadludzkie wysiłki, by przebić się przez fale ludzkie.

Było to w samą porę, gdyż obrońcom komendanta potrzebna była natychmiastowa pomoc. Chollat, który nie miał od samego rana nic w ustach, czuł, że siły go opuszczają i wreszcie padł zemdlony. Z trudem podniesiono go i uchroniono przed stratowaniem.

Wraz z jego odejściem powstał jakby wyłom w murze, szczelina w tamie.

Jakiś człowiek przedarł się przez nią i wywijając swym karabinem, wymierzył straszliwy cios w odkrytą głowę komendanta.

Ale de Lépine dostrzegł spadającą maczugę i miał dość czasu, by rzucić się z wyciągniętymi przed siebie ramionami pomiędzy komendanta i narzędzie zbrodni, a cios przeznaczony dla de Launaya spadł na jego głowę.

Ogłuszony tym uderzeniem, oślepiony zalewającą mu oczy krwią, ukrył twarz w drżących rękach, a kiedy przejrzał na oczy, komendant był od niego już co najmniej o dwadzieścia kroków.

Była to właśnie chwila, kiedy Billot, ciągnąc za sobą Pitou, przybiegł z odsieczą.

Zwrócił uwagę na to, że jedynym znakiem, po którym można było poznać, że ma się przed sobą de Launaya, było to, że komendant nie miał nic na głowie. Billot zerwał swoją czapkę,

wyciągnął przed siebie ramię i nakrył głowę komendanta.

De Launay odwrócił się i poznał Billota.

— Dziękuję — rzekł — ale cokolwiek chcielibyście zrobić, moi drodzy, nie zdołacie uratować mi życia.

— Bylebyśmy tylko dostali się do Ratusza — odparł Hullin — a rękę za wszystko.

— Tak — odpowiedział na to de Launay — ale czy się tam dostaniemy?

— Z boską pomocą sądzę, że tak... W każdym razie będziemy usiłowali to zrobić...

Właściwie mówiąc, można było mieć iskierkę nadziei, gdyż pochód zbliżał się już do placu Ratuszowego, który był jednak zatłoczony ludźmi o obnażonych ramionach, potrząsających pałaszami i lancami. Biegnąca ulicami wieść głosiła, że prowadzą komendanta Bastylii i jej majora. Czekali więc niczym długo trzymana na smyczy sfora psów gończych, wietrząca dokoła i szczyrząca kły.

Gdy tylko ujrzeli pochód, rzucili się nań.

Hullin zdał sobie sprawę z tego, że oto nadeszła chwila największego niebezpieczeństwa. Jeżeli zdoła doprowadzić de Launaya do schodów i przeprowadzić go nimi — komendant będzie ocalony.

— Do mnie, Elie! Do mnie, Maillard! Do mnie wszyscy ludzie dobrego serca! Chodzi o honor nas wszystkich!

Elie i Maillard usłyszeli to wezwanie, ale stanowili zaledwie drobną cząstkę tłumu, który ich bynajmniej nie podtrzymał. Rozwarł się wprawdzie przed nimi, ale wnet zamknął za ich plecami.

Elie i Maillard zostali odcięci od głównej grupy i już nie byli w stanie przyłączyć się do niej.

Tłum zrozumiał, że ma przewagę, i zdobył się na jeszcze wściekleszy wysiłek. Owinął się dokoła głównej grupy niczym potężny wąż boa. Billot został uniesiony w powietrze, odepchnięty i porwany przez setki par rąk. Pitou, nie odłączając się od niego ani na chwilę, uległ temu samemu losowi. Hullin potknął się na pierwszych stopniach schodów prowadzących do Ratusza i przewrócił się. Podniósł się, ale po chwili przewrócił się znowu i wtedy de Launay upadł razem z nim.

Komendant pozostał do końca takim, jaki był zawsze. Aż do ostatniej chwili nie wydał jednego bodaj jęku skargi.

Raz tylko przejmującym głosem zawołał:

— Bestie! Nie męczcie mnie, dobijcie od razu!

Żaden rozkaz nie był zapewne wykonany z taką dokładnością, jak ta prośba. Przez chwilę nie było widać nic prócz zaciśniętych pięści i spadających noży. Następnie ukazała się głowa odcięta od tułowia i została podniesiona do góry na końcu piki. Twarz zachowała swój siny, wzgardliwy uśmiech.

Był to dopiero początek.

Gilbert z góry przyglądał się tej scenie. Tym razem również chciał rzucić się na pomoc, lecz przytrzymał go.

Głowa komendanta z rozwartymi oczyma uniosła się do góry, jak gdyby chciała ostatnim spojrzeniem pozdrowić de Flessellesa, który otoczony i broniony przez swych wyborców ukazał się właśnie w oknie.

Trudno byłoby orzec, który z nich był bledszy — żyjący czy trup?

Naraz wybuchł ogromny tumult w miejscu, gdzie padło ciało komendanta. Zrewidowano go i znaleziono w kieszeni kartkę, którą do niego napisał burmistrz, starszy Zgromadzenia Kupców, a którą przedtem komendant pokazał majorowi de Losme.

Jak sobie zapewne czytelnicy przypominają, kartka była następującej treści:

„Trzymajcie się mocno. Zwodzę paryżan kokardami i obietnicami. Zanim zapadnie noc, Bezenval pospieszy wam z pomocą.
de Flesselles”.

Strasliwe przekleństwo wzniosło się nad brukiem ulicznym i dosięgło okna Ratusza, w którym stał burmistrz.

Nie znając jeszcze przyczyny, zrozumiał, jaka się w nim zawiera groźba i czym prędzej cofnął się. Ale tłum już zdążył go zauważyć, już wiedział, że on się tam znajduje.

Rzucono się naraz ku schodom tak gwałtownie, że nawet ci, którzy nieśli doktora Gilberta, opuścili go, by przyłączyć się do wezbranej fali, którą zrodził powszechny wybuch gniewu.

Gilbert również chciał przedostać się do Ratusza — nie po to jednak, by grozić burmistrzowi, lecz by stanąć w jego obronie. Przebył już trzy czy cztery stopnie schodów, kiedy poczuł, że ktoś gwałtownie ciągnie go w tył. Odwrócił się, by uwolnić się od tej nowej przeszkody, ale tym razem poznał, że są to Billot i Pitou.

— To wy! — zawołał Gilbert stojąc na stopniach, które górowały nad całym placem. — Co się tam dzieje?

Gilbert wskazał swą zaciśniętą ręką wylot ulicy de la Tixeranderie.

— Doktorze! Chodźmy stąd! — zawołali naraz Billot i Pitou.

— O zbrodniarze! — wołał doktor. — Mordercy!

I oto w tej samej chwili major de Losme padł pod ciosem siekiery. Rozbestwiony tłum nie umiał odróżnić samolubnego i okrutnego komendanta, gnębiela nieszczęsnych więźniów, od prawego człowieka, stale okazującego im swą pomoc.

— Tak — rzekł — chodźmy stąd, bo zaczynam się wstydzić, że odzyskałem wolność dzięki takim ludziom.

— Doktorze! Niech pan będzie pewny, że to nie ci, co walczyli, są teraz mordercami!

Doktor zamierzał właśnie pośpieszyć z pomocą burmistrzowi, kiedy tłum, który się przedtem wdarł pod arkady, nagle wypadł spod nich. Pośrodku tego ludzkiego kłębowiska znajdował się jakiś człowiek, którego wleczono i który bronił się rozpaczliwie.

— Pod pałac królewski! Pod pałac! — krzyczał tłum.

— Ależ tak, przyjaciele, pójdziemy do królewskiego pałacu!

Jakiś nurt włókł go ku rzece, jak gdyby ta powódź ludzka zamiast do pałacu pragnęła go pociągnąć w kierunku Sekwany.

— Oto jeszcze jeden, którego chcą uśmiercić! — zawołał Gilbert. — Spróbujmy uratować przynajmniej tego.

Zaledwie jednak zdążyły przebrzmieć te słowa, kiedy rozległ się strzał z pistoletu i de Flesselles zniknął w kłębach dymu.

Gilbert zdjęty szlachetnym oburzeniem przesłonił oczy rękami. Złorzeczył ludowi, który umiając się zdobyć na wielkość, nie potrafił zachować godności i zbrukał swe zwycięstwo potrójnym morderstwem.

Kiedy doktor odjął ręce od oczu, ujrzał trzy głowy nadziane na trzy lance.

Pierwsza należała do burmistrza de Flessellesa, druga — do majora de Losme'a, trzecia — do komendanta Bastylli, de Launaya.

Jedna górowała nad schodami wiodącymi do Ratusza, druga znajdowała się u wylotu ulicy de la Tixeranderie, trzecia — na bulwarze Pelletier.

Tworzyły razem coś w rodzaju trójkąta.

— Och, Balsamo! Balsamo! — westchnął doktor. — Czyż taki trójkąt ma być symbolem wolności?

Doktor szybko wbiegł w ulicę de la Vannerie, pociągając za sobą Billota i Pitou.

XX

SEBASTIAN GILBERT

Na rogu ulicy Planche–Mibray doktor znalazł fiakra, któremu dał znak, by się zatrzymał. Wsiadł do niego, a Billot i Pitou usadowili się obok.

— Do liceum Ludwika Wielkiego! — zawołał Gilbert, po czym wcisnąwszy się w róg pojazdu, zatopił się w głębokich rozmyślaniach. Billot i Pitou przez szacunek zachowywali milczenie.

Po przebyciu Pont–au–Change pojazd wjechał w ulicę la Cite, następnie Świętego Jakuba i zatrzymał się przed liceum.

Paryż był cały rozdygotany. Wiadomość o tym, co się stało, rozbiegła się na wszystkie strony. Echa morderstw popełnionych na bulwarze de la Gréve pomieszały się z opowieściami o bohaterskim zdobyciu Bastylii.

Na twarzach znajdowały swój wyraz najróżniejsze uczucia, miotające wówczas ludzkimi sercami.

Gilbert nie wychylił głowy poza okno pojazdu, nie wyrzekł ani jednego słowa. W powszechnych uwagach jest zawsze coś śmiesznego, a Gilbert ujrzał swój triumf właśnie od tej strony. Ponadto odnosił wrażenie, że chociaż usiłował zapobiec rozlewowi krwi, kilka jej kropeł spadło i na niego. Doktor wysiadł przy bramie liceum i dał znak Billotowi, by podążył za nim. Pitou natomiast pozostał w powozie.

Sebastian był jeszcze w sali chorych. Dyrektor liceum osobiście powiadomił go o przybyciu doktora Gilberta. Billot, chociaż nie był obdarzony zbyt wyostrozonym zmysłem spostrzegawczym, znał jednak dobrze usposobienie zarówno ojca jak syna i uważnie się przyglądał rozgrywającej się w jego obecności scenie. Chłopiec był co prawda słaby, podniecony i zdenerwowany, ale zachowywał się spokojnie i potrafił pohamować swoją radość. Spostrzegłszy ojca Sebastian zbladł, nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa, tylko wargi drżały mu z lekka. Następnie z okrzykiem, który raczej przypominał jęk bóleści, rzucił się ojcu na szyję i w milczeniu go obejmował.

Doktor odpowiedział na ten niemy uścisk równie milcząco. Po ucałowaniu syna długo mu się przyglądał z uśmiechem, w którym było więcej smutku aniżeli radości. Obserwator bardziej baczny od Billota byłby w stanie stwierdzić, że pomiędzy tym dzieckiem, a tym mężczyzną stało jakieś nieszczęście lub zbrodnia. Ujrzawszy jeszcze kogoś prócz ojca, który z początku całkowicie zaprzął jego uwagę, Sebastian podbiegł do starego wieśniaka, objął go za szyję i powiedział:

— Dzielny z pana człowiek, dotrzymał pan słowa! Dziękuję panu!

— Ano tak, mój miły panie Sebastianie... Nie przyszło to jednak tak łatwo. Ojciec był zamknięty na cztery spusty i trzeba było sporo szkody narobić, zanim zdołało się go wydostać.

— Sebastianie — zapytał doktor nieco zatrwożony — czy czujesz się zdrow?

— Ależ tak, ojcze, pomimo że mnie spotykasz w pokoju dla chorych.

Gilbert uśmiechnął się.

— Wiem, dlaczego tu jesteś...

Z kolei uśmiechnął się Sebastian.

— Czy ci tu niczego nie brak? — pytał ojciec.

— Me... niczego mi nie brak... dzięki tobie.

— W takim razie, mój drogi, polecam ci wciąż jedno i to samo: pracuj!

— Dobrze, mój ojczu.

— Wiem, że to słowo nie jest dla ciebie pustym dźwiękiem. Gdybym tak sądził, nie mówiłbym tego do ciebie.

— Drogi ojczu! Nie mogę ci nic na to odpowiedzieć, niech ci odpowie nasz dyrektor, ksiądz prefekt Bérardier.

Doktor odwrócił się do księdza Bérardiera, który dał mu do zrozumienia, że chciałby mu powiedzieć kilka słów.

— Zaczekaj, Sebastianie — przerwał mu ojciec, po czym zbliżył się do dyrektora.

— Ojczu — zapytał nagle Sebastian — czy nie przytrafiło się nic złego Pitou? Nie widzę go z wami.

— Siedzi w fiakrze przed liceum.

— Pozwól w takim razie panu Billotowi, aby go przyprowadził do mnie. Bardzo bym chciał go zobaczyć.

Gilbert skinął głową, a Billot oddalił się.

— Co ma mi ksiądz prefekt do powiedzenia? — zwrócił się Gilbert do księdza Bérardiera.

— Chciałem panu powiedzieć, że nie ma potrzeby nakłaniać tego chłopca, by pracował. Należy mu raczej zalecić, by postarał się o jakąś rozrywkę.

— Jak mam to rozumieć?

— Jest to niezwykle chłopiec, którego tu każdy kocha jak swego syna lub brata, ale...

Ksiądz zatrzymał się.

— Ale co? — zapytał zaniepokojony ojciec.

— Chodzi o to, panie doktorze, że jeżeli się nie zwróci na to uwagi, coś może go zabić.

— Co?

— Praca, którą mu pan tak zaleca.

— Praca?

— Tak. Gdyby go pan widział, jak siedzi w swojej ławce, podparty dłońmi, z nosem utkwionym w słowniku, z oczyma wpatrzonymi...

— A więc pracuje wtedy czy marzy?

— Pracuje... pracuje, stara się odnaleźć najlepszy sposób wyrażenia się, szuka starożytnych, greckich lub łacińskich zwrotów, szuka ich niekiedy całymi godzinami... i proszę, nawet teraz...

Istotnie, ledwie ojciec odszedł od jego łóżka, dzięki temu, że Billot nie zamknął za sobą drzwi, można było widzieć, jak chłopiec zatapia się całkowicie w marzeniach, graniczących z ekstazą.

— Czy często wpada w taki stan? — zapytał Gilbert z nie — pokojem.

— Mógłbym właściwie powiedzieć, że to jego stan normalny. Widzi pan, jak on w skupieniu szuka czegoś w myślach.

— Ma pan słuszość, księżu prefekcie. Kiedy go ksiądz prefekt zobaczy w takim stanie skupienia, proszę go czymś rozerwać.

— Byłaby to wielka szkoda, gdyż jego wypracowania pewnego dnia staną się chlubą naszego liceum. Przewiduję, że od dziś za trzy lata ten chłopiec zdobędzie na konkursach wszystkie nagrody.

— Otóż wydaje mi się — odpowiedział doktor — że stan umysłowego wysiłku, jaki ksiądz prefekt obserwuje u Sebastiana, jest raczej dowodem pewnej słabości i chorowitości. Zgadnam się całkowicie z księdzem prefektem, że chłopcu nie należy zalecać zbyt forsownej pracy, a w każdym razie trzeba go nauczyć odróżniać pracę od pogrążania się w marzeniach, — Ale zapewniam pana, że on pracuje.

— Czy wtedy, gdy jest w podobnym stanie?

— Tak, a jako dowód mogę powiedzieć, że jego wypracowanie jest zawsze wcześniej

skończone niż innych. Widzi pan, jak porusza wargami? Powtarza lekcję.

— A więc dobrze... Kiedy ksiądz prefekt zobaczy, że w ten sposób przerabia lekcję, proszę go czymś rozerwać. Lekcji nauczy się nie gorzej, za to jego zdrowiu wyjdzie to na lepsze.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewien.

— Ha — odparł ksiądz prefekt — zapewne zna się pan na tym. Condorcet i Cabanis twierdzą, że jest pan jednym z największych uczonych na świecie.

— Ale wyrывая go z tych marzeń — ciągnął dalej doktor — należy zachować ostrożność. Z początku trzeba przemówić do niego po cichu, a dopiero później głośniej.

— Dlaczego?

— Aby go stopniowo sprowadzać na ziemię, którą opuścił. Ksiądz ze zdziwieniem spojrział na doktora. Niewiele brakowało, by go wziął za człowieka niespełna rozumu.

— Za chwilę przekonam pana, że mam słuszość.

Billot i Pitou wrócili w tej samej chwili. Pitou wnet znalazł się przy Gilbertcie.

— Posłałeś po mnie, Sebastianie — rzekł Pitou, chwytając rękę chłopca. — Dziękuję ci, to bardzo ładnie z twojej strony... — Mówiąc to Pitou przysunął swą dużą głowę do bladego czoła Sebastiana.

— Proszę, niech ksiądz prefekt spojrzy! — szepnął Gilbert ściskając mu ramię.

Sebastian, wyrwany z rozmarzenia, na skutek objawów serdecznego przywiązania Pitou, zachwiał się, jego matowa twarz jeszcze bardziej zbladła, głowa opadła, jak gdyby szyja nie była już w stanie jej udźwignąć. Z piersi wydarło się westchnienie pełne boleści, a po chwili żywy rumieniec rozlał się po policzkach.

Sebastian potrzęsnał głową i uśmiechnął się.

— Ach, to ty, Pitou! — powiedział. — Tak, prawda, pytałem się o ciebie...

— Przyjrząwszy mu się, rzekł po chwili:

— Walczyłeś?

— Tak... i to jak przystało na dzielnego chłopca! — wtrącił Billot.

— Dlaczego nie zabraliście mnie ze sobą? — zapytał z wymówką w głosie Sebastian. — Byłbym się również bił i przynajmniej zrobiłbym coś dla mojego ojca.

— Sebastianie — odezwał się doktor, zbliżając się do syna i przyciskając jego głowę do swego serca — możesz zrobić znacznie więcej dla swego ojca nawet nie walcząc o niego, wystarczy jeśli pójdziesz za jego radami, będziesz postępować zgodnie z nimi, aby zostać wybitnym i sławnym człowiekiem.

— Takim jak ty, ojcze? — z dumą zapytał chłopiec. — O, jak bardzo tego pragnę!

— Sebastianie! Teraz, kiedy już ucałowałeś i podziękowałeś naszym dobrym przyjacielom Billotowi i Pitou, może pójdziesz ze mną do ogrodu na chwilę. Chcę z tobą porozmawiać.

— Będę bardzo szczęśliwy, ojcze. Zaledwie dwa czy też trzy razy w życiu mogłem być z tobą sam na sam, a te chwile na zawsze pozostały w mojej pamięci.

— Czy ksiądz prefekt pozwala? — zapytał Gilbert. — Ależ oczywiście.

— Billot i Pitou, może chcielibyście coś zjeść?

— Chętnie — odpowiedział Billot — nie jadłem od samego rana, a myślę, że Pitou też jest na czczo jak ja.

— O, przepraszam — przerwał Pitou — zjadłem bułką i dwie lub trzy kielbaski, zanim wyciągnąłem pana z wody... ale pan wie, po kąpieli nabiera się apetytu.

— Chodźcie więc do jadalni — zapraszał ksiądz Bérardier. — Zaraz wam podadzą obiad.

— Ech... — niechętnie odezwał się Pitou.

— Obawiasz się zapewne, mój chłopcze, że obiad w liceum będzie kiepski, co? Bądź

spokojny, uraczymy was jako gości.

Ale mnie się zdaje — ciągnął dalej ksiądz prefekt — że nie tylko pański żołądek ucierpiał, drogi panie Pitou.

Pitou zawstydzony srodze rzucił wzrokiem na stan swego odzienia.

— A może by tak jednocześnie z obiadem poczęstować pana dobrodzieja parą spodni?

— Przyjąłbym je jak najchętniej, proszę księdza prefekta — pośpieszył zapewnić Pitou.

— A więc dobrze! Chodźcie ze mną, a obiad i spodnie są do dyspozycji — rzekł ksiądz prefekt zabierając ze sobą Billota i Pitou, podczas gdy Gilbert ze swym synem odeszli w inną stronę. Minęli dziedziniec, gdzie wychowankowie spędzali zazwyczaj przerwy pomiędzy lekcjami, a następnie doszli do niewielkiego ogródka, przeznaczonego dla nauczycieli. Było tam zacisznie, panował cień. Tu właśnie czcigodny ksiądz prefekt lubił czytać swego ulubionego Tacyta i Juwenalisa.

Gilbert usiadł na drewnianej ławce, ocienionej rosnącym dokoła powojem i dzikim winem, przyciągnął do siebie Sebastiana i począł ręką rozgarniać długie włosy, spadające chłopcu na czoło.

— A więc, moje dziecko — jesteśmy znów razem. Sebastian wznosił oczy do góry.

— Cud boski to sprawił, drogi ojcze... Gilbert uśmiechnął się.

— Jeżeli może być mowa o jakimś cudzie — rzekł do niego ojciec — to dokonał go bohaterski lud Paryża.

— Drogi ojcze, nie odsuwaj Boga od tego, co się stało. Ja, kiedy ciebie zobaczyłem, instynktownie dziękowałem Bogu...

— A nie Billotowi?

— Billot wykonywał wolę Boga, jak karabin wolę Billota. Gilbert zastanowił się.

— Masz słuszność, moje dziecko. U podstawy wszystkiego, co czynimy, jest wyższa wola, ale wracajmy do ciebie, porozmawiajmy trochę, zanim się znów rozstaniemy.

— A czy my się znów rozstaniemy?

— Sądzę, że nie na długo. W tym samym czasie, kiedy mnie uwięziono w Bastylii, Billotowi zginęła pewna szkatułka, zawierająca „bardzo ważne dokumenty. Muszę się dowiedzieć, kto kazał mnie uwięzić i kto porwał tę szkatułkę.

— Dobrze. Będę czekał, aż skończysz, ojcze, swoje poszukiwania.

Sebastian ciężko westchnął.

— Jest ci smutno, mój synu?

— Tak.

— Z jakiego powodu?

— Nie wiem. Mam takie wrażenie, że moje życie jest nie podobne do życia innych dzieci.

— Co też mówisz, Sebastianie?

— Mówię prawdę.

— Wytłumacz mi to.

— Inne dzieci mają rozrywki, przyjemności. Ja nie mam żadnych.

— Nie masz żadnych rozrywek i przyjemności?

— Chcę przez to powiedzieć, że nie znajduję przyjemności w zabawach właściwych mojemu wiekowi.

— Sebastianie, miej się na baczności... Byłbym bardzo zmartwiony, gdyby się okazało, że masz podobne usposobienie Umysły, po których można się spodziewać, że będą sławne w przyszłości, są jak doskonale owoce w okresie dojrzewania: mają swoją gorycz i cierpkosć, zanim ucieszą podniebienie soczystością. Wierz mi, synu, to pięknie być młodym.

— To nie moja wina, jeżeli nic o tym nie wiem — odpowiedział młodzieniec ze smutnym

uśmiechem.

Gilbert mówił dalej, ściskając dłonie syna w swoich i wpatrując się w jego oczy.

— W twoim wieku, mój drogi, w wieku dojrzewania, myśl nie powinna wybiegać ponad to, czego cię nauczono. Podobna powaga w czternastym roku życia jest, mój chłopcze, dowodem albo choroby, albo pychy. Pytałem się ciebie, czy jesteś zdrów — odpowiedziałeś, że tak.

— Zapewniam cię, drogi ojcze! Przyczyną mojego smutku nie jest ani choroba, ani pycha, lecz zgryzota.

— Zgryzota? Jakież można mieć zgryzoty w twoim wieku?

— Nie, drogi ojcze, nie teraz, kiedyś później. Powiedziałeś mi, że się śpieszysz, masz dla mnie zaledwie kwadrans czasu. Mówmy więc o czymś innym.

— Me, Sebastianie. Odszedłbym bardzo zaniepokojony. Powiedz mi, co jest przyczyną twoich zmartwień?

— Przyznam się, ojcze, że nie mam odwagi...

— Obawiasz się? Czego?

— Obawiam się, abyś mnie nie wziął za kogoś, kto miewa przywidzenia, a poza tym może to, co powiedziałbym, sprawiłoby ci przykrość...

— Drogi synu, zachowując przyczynę twego smutku w tajemnicy przede mną, sprawiasz mi jeszcze większą przykrość...

— Przecież wiesz, ojcze, że nie mam tajemnic przed tobą.

— A więc mów...

— Kiedy, doprawdy... nie śmiem! — Ty, który się już uważasz za dorosłego mężczyznę? — Właśnie dlatego.

— No, odważnie!

— To tylko marzenie...

— Marzenie, które budzi w tobie taki lęk?

— I tak, i nie! Kiedy marzę o tym, nie odczuwam żadnego lęku, czuję się jak gdyby przeniesiony do innego świata...

— Wyłumacz mi to.

— Kiedy jeszcze byłem małym dzieckiem, miewałem przywidzenia. Pamiętasz, ojcze, dwa czy też trzy razy zabłądziłem w dużym lesie, który otaczał wioskę, gdzie się wychowywałem.

— Owszem, wiem, mówiono mi o tym.

— Otóż... szedłem wtedy za czymś, co było jakby widmem. — Coś ty powiedział? — zapytał Gilbert ze zdumieniem graniczącym z uczuciem zgrozy.

— Pozwól, ojcze, to ci opowiem, jak to było: bawiłem się z innymi dziećmi na wsi i dopóki inne dzieci były blisko mnie, nic nie widziałem... ale wystarczyło, abym odbiegł od nich albo minął ostatnie ogrody, kiedy już po chwili słyszałem obok siebie coś jak gdyby szelest sukni, wyciągałem ręce, by uchwycić ją — i chwytałem powietrze... W miarę tego jak ten szelest się oddalał, widmo było coraz bardziej widoczne. Było to coś jak gdyby para, z początku przezroczysta jak obłoczek, później widmo zaczynało przybierać kształty ludzkie. To była kobieta. Kaczej sunęła w powietrzu aniżeli stąpała po ziemi. Im bardziej zapuszczałem się w najciemniejsze zakątki lasu, tym wyraźniej ją widziałem. Jakaś nieznana siła kazała mi iść za tą kobietą. Szedłem za nią z wyciągniętymi rękami, milczący jak ona. Nieraz chciałem przemówić do niej, ale nigdy nie potrafiłem wydobyć głosu... Szedłem za nią, a ona nie zatrzymywała się ani na chwilę, nie mogłem jej dogonić... aż wreszcie zjawą dawała mi do zrozumienia, że za chwilę rozstanie się ze mną... Wtedy postać kobiety stopniowo stawała się coraz bardziej nikła, ciało znów przybierało formę mgły, a mgła rozwiewała się. I już było po wszystkim. „Wyczerpany i zmęczony padałem tam, gdzie ona znikła. Czasami Pitou odnajdywał mnie

jeszcze tego samego dnia, a niekiedy dopiero nazajutrz.

Gilbert patrzył na swego syna z wzrastającym przerażeniem. Palce jego spoczywały na pulsie Sebastiana. Wreszcie syn zrozumiał, jakie uczucia wzbudził w ojcu.

— Ależ nie masz, ojcze, powodu do niepokoju. Ja przecież wiem, że tego nie ma w rzeczywistości i że to wszystko tylko mi się przywidziało.

— A ta kobieta — zapytał doktor — jak ona wyglądała?

— Jak królowa...

— A czy nie widywałeś przypadkiem jej twarzy kiedyś później?

— Owszem, widywałem ją...

— Kiedy? — dopytywał się doktor drżąc cały.

— Odkąd tu jestem... od tego czasu...

— Ale przecież w Paryżu nie ma ani lasu z Villers-Cotterets, ani wielkich drzew, które rzucałyby ponure i tajemnicze cienie. Nie masz tu również ani ciszy, ani samotności, które są nieodzowne dla podobnych zjaw.

— Wiem o tym.

— No i co?

— A właśnie, że tu ją znów widziałem.

— Tu? Przecież ten ogródek jest przeznaczony jedynie dla profesorów?...

— Masz słuszość, ojcze... Jednak dwa albo trzy razy widziałem, jak ta kobieta prześliznęła się z dziedzińca do ogródka. Za każdym razem chciałem pójść za nią, ale na przeszkodzie stawały zamknięte drzwi. Kiedy więc pewnego dnia ksiądz prefekt zadowolony z mojego wypracowania zapytał, jaką chciałbym otrzymać nagrodę, poprosiłem go, by mi pozwolił wejść czasami do ogródka i pospacerować. Ksiądz prefekt zgodził się. Przychodziłem tu i ta zjawiała się mi się ukazywała.

Gilbert zadrżał.

„Dziwna halucynacja — pomyślał w duchu — możliwa jednak u tak nerwowej natury, jaką on jest...”

— A czy widziałeś jej twarz? — zapytał syna.

— Tak.

— I pamiętasz ją? Chłopiec uśmiechnął się.

— Czy usiłowałeś zbliżyć się do niej?

— Tak...

— Czy wyciągałeś do niej rękę?

— Tak... ale wtedy właśnie zniknęła.

— Kim jest, według ciebie, Sebastianie, ta osoba? Jak sądzisz?

— Sądzę, że to moja matka...

— Twoja matka! — zawołał Gilbert błędąc.

Przyłożył rękę do swego serca, jak gdyby chciał zatamować krew tryskającą z otwartej rany.

— Ależ, to przecież tylko senne widziadło — rzekł po chwili — jestem niemal jak ty szalony.

Chłopiec zamilkł i w zamyśleniu spoglądał na ojca.

— No i cóż ty powiesz? — zapytał go ojciec.

— Możliwe, że to tylko sen, ale moje widziadło istnieje.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że kiedy podczas ostatnich Zielonych Świąt zaprowadzono nas na spacer do lasu w Satory, niedaleko Wersalu... Właśnie tam, kiedy na osobności marzyłem...

— Ukazała ci się ta sama zjawia?

— Tak, ale tym razem w powozie zaprzężonym we wspaniałe cztery konie... Tym razem była

żywa, jak najbardziej... O mało nie zemdlałem wtedy...

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— I jakie pozostało ci wspomnienie po zobaczeniu tego zjawiska?

— Że w marzeniach widywałem nie moją matkę, bo to była ta sama kobieta, co moja „zjawa”, a przecież moja matka umarła...

Gilbert wstał, pocierając ręką czoło. Doznał jakiegoś dziwnego olśnienia.

Chłopiec spostrzegł jego zmieszanie, bladość ojca przestraszyła go.

— Ach, drogi ojcze, teraz widzę, że niepotrzebnie opowiedziałem ci o moich szaleństwach.

— Nie, moje dziecko. Przeciwnie. Musisz mi o tym mówić często, musisz opowiadać, ilekroć mnie będziesz widział, a zobaczysz, że postaram się uzdrowić ciebie.

Sebastian potrzęsnał głową.

— Uzdrowić mnie? Po co? Przywykłem do tego marzenia, ono stało się częścią mojego życia. Kocham tę zjawę, chociaż ona ucieka przede mną, a niekiedy wydaje mi się nawet, że ona mnie odpycha. Proszę cię, ojcze, nie uzdrawiaj mnie... Opuścisz mnie znów, będziesz podróżował, powrócisz do Ameryki — a ja z tą moją zjawą nie będę taki samotny...

— Dobrze, moje dziecko! — szepnął doktor i tuląc Sebastiana do swej piersi, mówił dalej: — A więc, do widzenia, mój synu! Mam nadzieję, że nie będziemy się już więcej rozstawali. Jeżeli wyjadę, postaram się, abyś tym razem pojechał razem ze mną.

— Czy moja matka była piękna? — zapytał chłopiec.

— O tak, bardzo piękna! — odpowiedział doktor stłumionym głosem.

— Czy kochała ciebie, ojcze, tak jak ja cię kocham?

— Sebastianie! Nie mów ze mną nigdy o twej matce! — zawołał Gilbert i po raz ostatni uściskał swego syna, wybiegł z ogrodu.

Zamiast podążyć za nim, chłopiec opadł na ławkę ponury i przygnębiony.

Gilbert spotkał na dziedzińcu Billota i Pitou. Pokrzepili się już i opowiadali księdzu prefektowi szczegóły o zdobyciu Bastylii.

Gilbert raz jeszcze gorąco polecił Sebastiana opiece księdza Bérardiera i wsiadł do fiakra wraz ze swymi towarzyszami.

XXI

MADAME DE STAËL

Siadając do fiakra obok Billota i naprzeciw Pitou, Gilbert był bardzo blady. Ale doktor nie należał do ludzi, którzy załamują się pod wpływem silnego wzruszenia. Wsunął się w kąt pojazdu, ściskając rękami czoło, jak gdyby chciał zdławić nawał myśli. Przez chwilę pozostał bez ruchu, po czym odjął ręce od czoła, a twarz jego nabrała zgoła innego wyrazu — wyrazu niezmaconego spokoju.

— Powiedziałeś mi, drogi Billot, że król dał dymisję baronowi Neckerowi?

— Tak, panie doktorze.

— I że rozruchy w Paryżu zostały w pewnym stopniu właśnie przez to wywołane?

— Nawet w bardzo dużym stopniu.

— Dodałeś przy tym, drogi Billot, że pan de Necker miał jakoby niezwłocznie opuścić Wersal...

— Podczas obiadu miał jakoby otrzymać od króla list z dymisją, a już po godzinie znajdował się w drodze do Brukseli.

— Czy jest tam obecnie?

— Powinien tam chyba być.

— Czy nie słyszeliście nic o tym, by miał się zatrzymać po drodze?

— Owszem, zatrzymał się w Saint-Ouen, aby pożegnać się ze swą córką, baronową de Staël.

— A czy baronowa wyjechała z nim razem?

— Słyszałem, że minister miał wyjechać tylko ze swoją żoną.

— Proszę się zatrzymać przy pierwszym napotkanym sklepie z ubraniami! — zwrócił się naraz Gilbert do woźnicy.

— Czy pan doktor ma zamiar się przebrać? — zapytał go Billot.

— Tak. To ubranie przesiało pleśnią murów Bastylii i nie można w nim złożyć wizyty córce ministra, który popadł w niełaskę. Poszukaj, mój Billot, po kieszeniach, może tam znajdziesz parę ludwików.

— A to ci dopiero! — zawołał stary wieśniak. — Zdaje się, że pan doktor zapomniał swojej sakiewki w Bastylii.

— Takie są przecież przepisy — odpowiedział Gilbert. — Wszystkie wartościowe rzeczy zostawia się w kancelarii więziennej.

— Gdzie one pozostają na zawsze — dodał Billot, wyciągając do doktora swą szeroką dłoń, w której znajdowało się około dwudziestu złotych ludwików.

— Proszę, panie doktorze...

Gilbert wziął dziesięć złotych monet. Parę chwil później pojazd zatrzymał się przed sklepem z gotowymi ubraniami. Zwyczaj kupowania gotowych ubrań rozpowszechniał się wtedy coraz bardziej.

Gilbert zamienił swoje odzienie na czarny, bardzo przyzwoity surdut, jaki zazwyczaj miewali na sobie przedstawiciele mieszczaństwa zasiadający w Zgromadzeniu Narodowym.

Toaletą doktora uzupełnił fryzjer, Sabaudczyk. Następnie woźnica zawiózł doktora przez zewnętrzne bulwary do Saint-Ouen. Zegar katedry Świętego Wojciecha wydzwaniał siódmą godzinę, gdy Gilbert wysiadł przed pałacem barona de Neckera. Niezmacona cisza, którą zakłóciło jedynie przybycie fiakra, panowała teraz dokoła tego domu, tak licznie do niedawna odwiedzanego. Nie było tu jednak ani owego nastroju przesiąkniętego melancholią, jaki otacza

opuszczone pałace, ani posępnego smutku, tak charakterystycznego dla zaniedbanych domów. Zamknięte bramy i bezładne dziedzińce świadczyły wprawdzie o wyjeździe właściciela, ale nie było w tym śladu smutku lub pośpiechu. Ponadto w jednej z części pałacu, wychodzącej na wschód, widać było rozchylone firanki, a kiedy Gilbert udał się w tamtą stronę, kamerdyner w liberii barona de Neckera wyszedł mu na spotkanie. Po obu stronach żelaznych sztachet potoczyła się następująca rozmowa:

— Przyjacielu, czy baron de Necker jest nieobecny?

— O, tak... Pan baron w sobotę udał się do Brukseli.

— A pani baronowa?

— Wyjechała wraz z panem baronem.

— A pani baronowa de Staël?

— Pani baronowa zamieszkała tutaj, ale nie jestem pewien, czy zechce pana przyjąć. Jest to pora, kiedy odbywa swój spacer.

— Proszę pójść i dowiedzieć się, gdzie pani baronowa się znajduje oraz zameldować, że przyszedł doktor Gilbert.

— Zaraz się dowiem, czy pani baronowa jest w swoich apartamentach. Z pewnością przyjmie pana doktora, ale jeżeli jest na spacerze, mam polecenie nie przeszkadzać jej.

— Doskonale. Proszę pójść i dowiedzieć się. Kamerdyner otworzył bramę. Gilbert wszedł. Zamykając bramę kamerdyner obrzucił jednak niedowierzającym spojrzeniem pojazd, który przywiózł doktora, oraz owe dwie nieznanne postaci, towarzyszące mu, czyli Billota i Pitou. Kamerdyner odszedł kiwając głową, jak człowiek, którego wprawdzie zawiodła jego inteligencja, ale który jednocześnie wątpi, czy ktokolwiek inny byłby w stanie zrozumieć to, co dla niego osobiście jest otoczone całkowitym mrokiem.

Gilbert pozostał sam i czekał. Po upływie pięciu minut kamerdyner wrócił.

— Pani baronowa jest na spacerze — rzekł, składając jednocześnie pożegnalny ukłon doktorowi.

Ale doktor nie dawał za wygraną.

— Mój przyjacielu — rzekł do kamerdynera — zechciej to zrobić dla mnie i zamelduj pani baronowej, że jestem osobistym przyjacielem markiza Lafayette'a.

Złota moneta, wsunięta do ręki służącego, przełamała resztki wahania, które już zaczęło ustępować na dźwięk przed chwilą wypowiedzianego nazwiska.

— Proszę, zechce pan wejść dalej.

Gilbert udał się za służącym. Ale zamiast do domu, kamerdyner prowadził doktora do parku.

— To jest ulubione miejsce pani baronowej — powiedział, wskazując Gilbertowi wejście do pewnego rodzaju labiryntu. — Zechce pan tu zaczekać.

Po upływie dziesięciu minut wśród zarośli dał się słyszeć jakiś szelest i oczom Gilberta ukazała się mniej więcej dwudziestotrzyletnia kobieta, wysoka, o kształtach, które można by raczej nazwać imponującymi aniżeli pełnymi gracji.

Na widok młodego człowieka pani de Staël zdziwiła się, sądząc, że zastanie raczej dojrzałego już i statecznego mężczyznę. Trzeba przyznać, że Gilbert mógł zrobić wrażenie nawet na tak doświadczonej kobiecie, jaką była pani de Staël. Bardzo niewielu mężczyzn posiadało podobnie regularne i szlachetne rysy twarzy, którym siła woli potrafiła nadać wyraz bezwzględnej stanowczości. Piękne czarne oczy, zawsze pełne wyrazu, były nieco przymglone i świadczyły o przeżytych cierpieniach. Zdążyły już nieco stracić z owego wyrazu nieśmiałości, który stanowi jeden z uroków młodego wieku. Głęboka, lecz pełna wdzięku zmarszczka tworzyła w kącikach subtelnych warg wgłębienie, które fizjonomiści uważają za siedlisko rozważli. Odnosiło się wrażenie, że to chyba jedynie bieg czasu i przedwczesne zestarzenie się wyposażyły Gilberta w

cechę, którą natura bynajmniej nie miała zamiaru go obdarzyć. Wysokie i pięknie zaokrąglone czoło, z nieznacznymi śladami łysiny, którą ukrywały bujne, czarne włosy, już nieco przyprószone siwizną, świadczyło jednocześnie o wykształceniu i głębi myśli, o studiach naukowych i o sile wyobraźni. Podobnie jak u jego mistrza Rousseau, krzaczaste brwi Gilberta rzucały gęsty cień na oczy, ale w tym cieniu płonął jasno świecący punkt, będący świadectwem życia, które w nich tkwiło.

Nie bacząc na swój skromny strój Gilbert ukazał się oczom przyszłej autorki Korynny jako bardzo pociągający i wytworny mężczyzna. Długie i białe ręce, zgrabne i smukłe nogi o wąskich stopach jeszcze bardziej podkreślały korzystne wrażenie, jakie wywierał. Pani de Staël zużyła parę chwil na baczne przyjrzenie się Gilbertowi.

Gilbert ze swej strony wykorzystał ten czas na złożenie oficjalnego ukłonu, przypominającego nieco surowe obyczaje amerykańskich kwakrów, którzy zamiast uśmiechu obdarzają kobietę okazaniem jej swej braterskiej życzliwości. Następnie Gilbert przyjrzał się również szybko młodej, a tak już sławnej kobiecie, której twarz pełna inteligencji i wyrazu była jednak całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek wdzięku. Była to raczej twarz pospolitego młodzika aniżeli kobiety.

Pani de Staël trzymała w ręce kwitnącą gałązkę granatu, z której jak gdyby w roztargnieniu obgryzała kwiecie.

— A więc to pan jest doktorem Gilbertem?

— Tak, to ja, pani baronowo.

— Jest pan jeszcze młody, a już zdobył taki rozgłos, a może jest on związany z pańskim ojcem lub z kimś, kto nosi takie samo nazwisko.

— Nie znam nikogo innego, kto nosiłby to nazwisko, i jeżeli, jak pani baronowa była łaskawa stwierdzić, zyskało ono pewien rozgłos, to — prawo do niego przysługuje tylko mnie...

— Posłużył się pan nazwiskiem markiza de Lafayette'a, by móc mnie zobaczyć... To prawda, markiz istotnie opowiadał nam o panu, o nieograniczonych zasobach pańskiej wiedzy...

Gilbert skłonił się.

— Jest to wiedza tym bardziej zasługująca na wyróżnienie i tym bardziej interesująca — mówiła dalej baronowa — że, jak mi wiadomo, nie jest pan zwykłym chemikiem, poświęcającym się jak wielu innych zagadnieniom natury praktycznej, lecz usiłuje pan zgłębić tajemnice związane z istotą życia na ziemi.

— Markiz de Lafayette musiał najwidoczniej, jak to widzę — odparł Gilbert z uśmiechem — powiedzieć pani, że jestem czymś w rodzaju czarownika, a jeżeli tak uczynił, to znając go dość dobrze jestem pewien, że potrafił panią o tym przekonać, jeżeli mu na tym zależało.

— Owszem, markiz opowiadał nam o niezwykłych wypadkach wyleczenia, jakie udało się panu osiągnąć u niektórych niemal beznadziejnie chorych, bądź na polu bitwy, bądź w szpitalach amerykańskich. Miał pan podobno, jak mówił generał, pogrążyć tych chorych w stan, który aż do złudzenia przypominał prawdziwą śmierć.

— Ta rzekoma śmierć jest rezultatem pewnej wiedzy, niemal nieznaney nikomu prócz kilku wtajemniczonych. Z czasem jednak ta dziedzina nauki stanie się powszechna.

— To mesmeryzm, czy tak? — zapytała z uśmiechem pani de Staël.

— Tak — to mesmeryzm.

— Czy pobierał pan lekcje u samego mistrza?

— Niestety. Mesmer też był tylko uczniem. Mesmeryzm albo raczej magnetyzm Jest wiedzą bardzo dawną, znaną już Egipcjanom i Grekom, która w okresie średniowiecza zaginęła. Szekspir odgaduje ją w *Makbecie*, Urban Grandier odnajduje ją i to staje się powodem jego śmierci. Ale prawdziwym mistrzem i jednocześnie moim nauczycielem był hrabia Cagliostro.

— Ten szarlatan! — powiedziała pani de Staël.

— Pani baronowa go osądza tak, jak to czynili współcześni, nie zaś jak potomni. Temu szarlatanowi ja zawdzięczam swą wiedzę, a cały świat, być może, swe wyzwolenie.

— Niech będzie i tak — rzekła pani de Staël z uśmiechem. — Mówię nie znając go. Natomiast pan jest doskonale widocznie poinformowany. Możliwe, że ma pan słusność i że to ja jestem w błędzie... Ale wróćmy do naszych spraw. Dlaczego przebywał pan tak długo poza Francją? Dlaczego nie powrócił pan, by zająć swe miejsce obok Lavoisiera, Cabanisa, Condorceta, Bailly'ego oraz Louisa?

Na dźwięk tego ostatniego nazwiska Gilbert mimo woli oblał się rumieńcem.

— Musiałbym, pani baronowo, jeszcze bardzo wiele studiować, by móc od razu stanąć w rzędzie takich mistrzów.

— Przyjechał pan, niestety, w niezbyt dla nas pomyślnej chwili. Mój ojciec, który byłby bardzo rad przyjść panu z pomocą, popadł w niełaskę i przed trzema dniami musiał wyjechać.

Gilbert uśmiechnął się.

— Pani baronowo — odparł składając lekki ukłon — sześć dni temu na rozkaz barona Neckera zostałem wtrącony do Bastylji.

Teraz z kolei zarumieniła się pani de Staël.

— Czyżby? Dowiaduję się od pana czegoś, co mnie niezmiernie dziwi. Pan był więźniem Bastylji?

— Tak, pani baronowo, ja.

— Cóż pan takiego zrobił?

— Jedynie ci, którzy mnie tam wtrącili, mogliby odpowiedzieć na to pytanie.

— Ale jak udało się panu wydostać stamtąd?...

— Dzięki temu, pani baronowo, że Bastylja przestała istnieć.

— Co? Nie ma już Bastylji? — zawołała pani de Staël udając zdziwienie.

— Czy nie słyszała pani, jak strzelały armaty?

— Owszem, słyszałam... ale to były tylko zwykłe armaty, nic więcej.

— Pozwoli pani baronowa, bym wyraził przeświadczenie, że jest rzeczą niemożliwą, aby madame de Staël, córka barona Neckera, nic dotychczas nie wiedziała, że Bastylja została zdobyta przez lud Paryża.

— Zapewniam pana — odpowiedziała z zakłopotaniem baronowa — że od chwili wyjazdu mego ojca, oplakując jego nieobecność, nie interesowałam się tym, co się dzieje dokoła.

— O, pani baronowo! — odparł Gilbert potrząsając głową. — Gońcy rządowi zanadto dobrze znają drogę prowadzącą do pałacu w Saint-Ouen, aby bodaj jeden z nich nie przybył tu w ciągu czterech godzin, które upłynęły od chwili kapitulacji Bastylji.

Baronowa zrozumiała, że chcąc odpowiadać dalej, nie mogłaby uniknąć kłamstwa — kłamstwo zaś było jej wstrętne. Wolła więc zmienić temat rozmowy.

— Czemu zawdzięczam zaszczyt pańskich odwiedzin?

— Pragnąłbym dostąpić zaszczytu odbycia rozmowy z baronem Neckerem.

— Ależ pan przecież wie, że go nie ma we Francji.

— Pani baronowo... Wydało mi się rzeczą tak dalece nieprawdopodobną i politycznie niemożliwą, by baron Necker mógł wyjechać i nie chciał być świadkiem nadchodzących wypadków, że...

— Że?

— Że, muszę przyznać, liczyłem na to, iż zechce mi pani baronowa wskazać miejsce, gdzie mógłbym go znaleźć.

— Znajdzie go pan w Brukseli.

Gilbert badawczo przyjrzał się baronowej.

— Dziękuję — odrzekł kłaniając się. — Udam się więc do Brukseli, by mu zakomunikować pewne niezmiernie ważne sprawy.

Pani de Staël zawahała się chwilę, po czym dodała:

— Całe szczęście, że znam pana i wiem, że pan jest poważnym człowiekiem, gdyż te „niezmiernie ważne sprawy” mogłyby wiele stracić, gdyby wyszły z innych ust. Ale niech mi pan powie, co może dla mego ojca posiadać jakąkolwiek wagę po tym, co się stało, po znalezieniu się w niełasce?

— Pani baronowo... Istnieje jeszcze przyszłość... I kto wie, czy nie odegram w niej jakiejś wybitniejszej roli. Najważniejsze zarówno dla mnie jak i dla niego jest to, abyśmy mogli się zobaczyć. A więc pani baronowa powiada, że jest on obecnie w Brukseli?

— Tak.

— Podróż zabierze mi dwadzieścia godzin. Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, jakie znaczenie może posiadać dwadzieścia godzin w okresie rewolucji? Jakże nierozważnie postąpił baron Necker, stwarzając pomiędzy sobą a wydarzeniami różnicę owych dwudziestu godzin!...

— Pan mnie przeraża — odrzekła pani de Staël. — Zaczynam wierzyć, że mój ojciec istotnie postąpił nierozważnie...

— Nic na to nie poradzę, pani baronowo, tak właśnie wyglądają te sprawy! I nie pozostaje mi nic innego, jak przeprosić panią najgorzej za sprawiony jej kłopot. Mam zaszczyt pożegnać panią baronową.

Ale baronowa zatrzymała go.

— Powiedziałam, że mnie pan przeraża. Niechże pan wytłumaczy to wszystko i uspokoi mnie.

— Niestety, pani baronowo — odrzekł Gilbert — jestem w tej chwili tak bardzo zaabsorbowany własnymi sprawami, że nie mogę się zajmować cudzymi. Tu w grę wchodzi mój honor i moje życie, tak samo jak chodziłoby o honor i życie barona Neckera, gdyby mógł niezwłocznie zrobić użytek z tego, co będę mógł mu powiedzieć dopiero za dwadzieścia godzin.

— Pozwoli pan, że przypomnę sobie to, o czym, Niestety, zapomniałam, a mianowicie, że o podobnych sprawach nie powinno się rozmawiać pod gołym niebem, w parku, gdzie wszyscy mogą nas słyszeć.

— Pani baronowo, jestem w pani domu i niech mi będzie wolno przypomnieć, że to pani sama wybrała to miejsce, w którym się znajdujemy. Czego sobie pani życzy — jestem na jej rozkazy.

— Czy nie zechciałby pan łaskawie skończyć tej rozmowy w moim gabinecie?

„Och! — pomyślał w duchu Gilbert — gdybym się nie bał, że ją wprowadzę w zakłopotanie, zapytałbym, czy jej gabinet nie znajduje się przypadkiem w Brukseli.”

Nie zadając jednak żadnych zbytecznych pytań, Gilbert poprzestał na tym, że starał się dotrzymać kroku baronowej, która szybko podążyła w stronę pałacu.

Przy wejściu stał ten sam kamerdyner, który zameldował Gilberta. Baronowa skinęła na niego i sama, zamykając za sobą drzwi, wprowadziła Gilberta do swego gabinetu, który bardziej wyglądał na gabinet mężczyzny aniżeli kobiety. Dwa okna i drzwi prowadziły do niewielkiego ogródka, niedostępnego nie tylko dla obcych osób, lecz nawet dla cudzego wzroku. Po wejściu do pokoju pani de Staël zamknęła drzwi i zwróciła się do Gilberta, mówiąc:

— Zaklinam pana w imię wszystkiego, co jest ludzkie, niech mi pan powie, o jaką korzystną dla mego ojca tajemnicę chodzi, z którą pan przybył do Saint-Ouen.

— Pani baronowo — odparł Gilbert — gdyby pani ojciec mógł mnie w tej chwili słyszeć i gdyby mógł dowiedzieć się, że to ja jestem tym, który nadesłał królowi potajemne memoriały noszące tytuł: *O sytuacji w dziedzinie idei i postępu*, jestem pewien, że baron Necker ukazałby się niezwłocznie i zwrócił się do mnie ze słowami: „Doktorze Gilbert, czego żądasz ode mnie?”

Mów, słucham ciebie!”

Gilbert nie zdążył wypowiedzieć tych słów, kiedy drzwi ukryte za ściennym malowidłem otworzyły się bezgłośnie i uśmiechnięty baron Necker ukazał się na progu niewielkich krętych schodków, na które padało z góry światło lampy.

Baronowa de Staël kiwnęła głową zegnając Gilberta, następnie pocałowała ojca w czoło, wyszła tą samą drogą, którą on odbył przed chwilą, umieściwszy parawan na swoim miejscu i znikła. Necker zbliżył się do Gilberta i podając mu rękę rzekł:

— Oto jestem, doktorze. Czego pan sobie życzy? Słuchani pana.

Obydwaj usiedli.

— Panie baronie — zaczął Gilbert — dowiedział się pan przed chwilą o tajemnicy, która jest kluczem do wszystkich moich myśli. To ja przed czterema laty przekazałem królowi memoriał omawiający ogólną sytuację w Europie. To ja, od tego właśnie czasu, nadsyłałem królowi ze Stanów Zjednoczonych różne inne memoriały w sprawach administracji wewnętrznej, które wówczas narastały we Francji.

— Były to memoriały — odpowiedział baron z lekkim ukłonem — o których Jego Królewska Mość zawsze wyrażał się z podziwem i największą trwogą.

— O tak! Dlatego, że mówiły prawdę. Wysłuchiwanie prawdy budziło wtedy przerażenie, zresztą nawet dziś, gdy się ziściła, patrzenie na nią budzi jeszcze większe obawy.

— Nie da się temu zaprzeczyć, doktorze.

— A czy król przekazywał panu te memoriały?

— Nie wszystkie. Zaledwie dwa. Jeden dotyczący skarbu państwa, w którym wyrażał pan prawie te same poglądy, co ja. Bardzo mi to schlebiało.

— To nie jest wszystko. Był również jeden memoriał, w którym zapowiadałem wydarzenia, jakie nastąpiły.

— Czyżby?

— Tak.

— O jakież to wydarzenia chodziło?

— Wymienię tylko dwa: jedno, że król ustępując pod naciskiem pewnych zobowiązań będzie zmuszony usunąć pana.

— Więc pan przepowiedział królowi, że popadnę w niełaskę.

— Dotyczy to pierwszego wydarzenia. A na czym miało polegać drugie?

— Na zdobyciu Bastylii.

— Przepowiedział pan również zdobycie Bastylii?

— Panie baronie! Bastylia była czymś więcej aniżeli sa mym jeno więzieniem królewskim, był to symbol tyranii. Wolność rozpoczęła swój pochod od zburzenia tego symbolu. Reszty dokona rewolucja.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z powagi słów, jakie pan wygłasza?

— Niewątpliwie.

— I nie obawia się pan wypowiedzenia podobnych teorii?

— Czegóż miałbym się obawiać?

— Aby nie spotkało pana jakieś nieszczęście...

— Panie baronie — odparł Gilbert z uśmiechem — kiedy się wyszło z Bastylii, można się już nie obawiać niczego...

— Czy pan wyszedł z Bastylii?

— Właśnie dziś ją opuściłem.

— I za co się pan tam znalazł?

— Chciałem pana barona o to zapytać...

— Mnie?

— Tak, pana.

— Dlaczego mnie?

— Dlatego, że to pan kazał mnie tam zamknąć...

— Ja kazałem pana zamknąć w Bastylii?

— Przed sześcioma dniami. Data, jak pan baron widzi, nie jest zbyt odległa, powinien ją pan pamiętać...

— Ależ to niemożliwe.

— Czy pan baron poznaje swój podpis?

Gilbert pokazał byłemu ministrowi kartę wydartą z rejestru Bastylii oraz dołączony do niej nakaz uwięzienia.

— Tak, istotnie — odparł Necker — jest to rozkaz uwięzienia. Wiadomo panu zapewne, że starałem się podpisywać; jak najmniej takich rozkazów, ale to minimum sięgało liczby czterech tysięcy rocznie. Ponadto w chwili mego odejścia zorientowałem się, że podsunięto mi do podpisania kilka nakazów *in blanco*. Widocznie dotyczący pana — nad czym szczerze ubolewam — znalazł się w tej właśnie liczbie.

— Czy z tego wynika, że w żadnym wypadku nie mogę obarczyć pana barona winą za uwięzienie mnie?

— Tak sędzę.

— Zechce jednak pan baron zrozumieć moją ciekawość — chciałbym wreszcie wiedzieć, komu zawdzięczam wtrącenie mnie do więzienia. Może pan baron zechce mi to łaskawie powiedzieć.

— Mc łatwiejszego. Powodując się ostrożnością, nigdy nie zostawiałem moich listów w ministerstwie i co wieczor przynosiłem je tu, do mego domu. Korespondencja z tego miesiąca znajduje się w szufladzie „B” w tej komóдке. Poszukajmy w paczce z literą „G”.

Necker otworzył szufladę i zaczął przerzucać sporą paczkę, która mogła zawierać od pięciuset do sześciuset listów.

— Przechowuję jedynie te listy — mówił dalej były minister — które mogą posłużyć jako dowody usprawiedliwiające moje postępowanie. Wydając rozkaz uwięzienia, robię sobie jednocześnie w kimś wroga. Muszę mieć coś do odparcia ataku Dziwiłbym się, gdyby było inaczej. A więc szukajmy. Litera „G”. Oto jest: „Gilbert”. Rozkaz aresztowania pana, drogi panie doktorze, wyszedł z dworu królowej.

— Czyżby? Z dworu królowej?

— Tak. Żądanie wystawienia rozkazu uwięzienia niejakiego Gilberta, nie posiadającego stałego zajęcia. Oczy czarne, włosy czarne. Dalej podany rysopis. Udaje się z Hawru do Paryża. To wszystko. A więc ten Gilbert to był pan, panie doktorze?...

— Tak, to byłem ja. Czy mógłby mi pan dać ten list?

— Nie — ale mogę panu powiedzieć, przez kogo został podpisany.

— Słucham.

— Przez hrabinę de Charny.

— Hrabinię de Charny? Ależ ja jej nie znam i nic złego jej nie zrobiłem.

Uniósł zwolna głowę do góry, jakby szukając w swych wspomnieniach.

— Jest tu jeszcze niewielki przypisek bez podpisu. To pismo jest mi jednak znane. Niech pan spojrzy.

Gilbert nachylił się i przeczytał na marginesie listu: „Proszę niezwłocznie wykonać życzenie hrabiny de Charny.”

— To dziwne — zauważył Gilbert. — Rozumiem, że królowa mogła tego zażądać, w moim

memoriale chodziło przecież o nią i o rodzinę Polignac. Ale skąd się wzięła ta hrabina de Charny?

— Więc pan jej nie znał?

— Chyba, że to jest przybrane nazwisko. Zresztą, zapewne nie dziwi pana, że nie znałem tak sławnych w Wersalu osobistości. Od piętnastu lat przebywam poza Francją, powróciłem tu zaledwie dwa razy i ostatnio wyjechałem stąd przed czterema laty. Któż to jest ta hrabina de Charny?

— Jest to przyjaciółka i najbardziej zaufana powiernica królowej. Ukochana żona hrabiego de Charny, a ponadto uosobienie piękna i cnoty. Jednym słowem: prawdziwy cud!

— Hm! Nie miałem szczęścia poznać tego cudu.

— Jeżeli więc sprawy tak się przedstawiają, drogi doktorze, niech pan poprzestanie na tym, że padł pan zapewne ofiarą jakiejś politycznej intrygi. Zdaje się, że pan coś wspominał o hrabi Cagliostro?

— Tak.

— Czy pan go znał?

— Był moim przyjacielem, więcej — moim mistrzem, a nawet moim zbawcą.

— W takim razie uwięzienia pana musiały się domagać Austria lub Watykan. Czy pisał pan jakieś broszury?

— Niestety — tak.

— Otóż to. Wszystkie drobne poszlaki kierują się w stronę królowej niczym igła kompasu na północ, a żelazo do magnesu. Prawdopodobnie został uknuty spisek przeciwko panu, był pan śledzony. Królowa musiała polecić hrabinie de Charny podpisanie tego listu, by oddalić od siebie podejrzenia. Oto cała tajemnica.

Gilbert zastanowił się. Ta chwila namysłu przypomniała mu ową skradzioną szkatułkę, znajdującą się w Pisseleux na przechowaniu u Billota, a która nie — miała nic wspólnego ani z królową, ani z Austrią lub Watykanem. Przypomnienie sobie tego szczegółu naprowadziło go na właściwą drogą.

— Nie — odparł — tu nie może chodzić o to... W grę wchodzi coś innego. Ale mniejsza z tym, przejdźmy do innych spraw.

— Do jakich?

— Do pańskiej osoby.

— Do mnie? Cóż ma mi pan do powiedzenia?

— To, co jest panu najlepiej wiadome, a mianowicie, że nie miną trzy dni, a powróci pan na swoje dawne stanowisko i że będzie pan rządził Francją tak despotycznie, jak tylko zechce.

— Tak pan sądzi? — zapytał Necker uśmiechając się.

— I pan również jest tego pewien, bo przecież nie wyjechał pan do Brukseli.

— A więc, co z tego wynika? — odrzekł Necker. — Bo przecież nad tym właśnie należy się zastanowić.

— Oto, co o tym myślę. Francuzi uwielbiają pana, panie baronie, a jutro będą pana ubóstwiali. Królowa nie jest zadowolona z tego uwielbienia, a królowi nie będzie odpowiadała adoracja, jaką jest pan otoczony. Król zechce pańskim kosztem zdobyć popularność dla siebie, na co pan, panie baronie, z pewnością się nie zgodzi... A więc z kolei rzeczy pan sam straci swą popularność, a lud, drogi panie de Necker, to wygłodniały lew, który liże tylko tę rękę, która go żywi, nie zastanawiając się nad tym, do kogo ona należy...

— I co dalej?

— Dalej?... Popadnie pan w zapomnienie...

— Ja?

— Tak... niestety...

— I co wpłynie na to, że o mnie zapomną?

— Wydarzenia.

— O, mówi pan jak prorok!

— Na nieszczęście jestem nim do pewnego stopnia...

— I co będzie dalej?

— Wcale nietrudno przewidzieć, co będzie dalej. Zaczątki tego, co przyjdzie, już kielkują w Zgromadzeniu Narodowym. Powstanie stronnictwo, które jest jeszcze w uśpieniu — o nie, myślę się, ono już czuwa ale na razie w ukryciu. Stronnictwu temu przewodzi pewna zasada, a jego bronią jest pewna idea.

— Rozumiem. Ma pan na myśli stronnictwo orleańskie.

— O, nie! O nim powiedziałbym, że jego wodzem jest człowiek, a bronią — popularność. Mówię o stronnictwie, którego nazwa nie została jeszcze wymieniona — o stronnictwie republikańskim.

— Republikańskim? Coś podobnego!

— Pan w nie nie wierzy?

— Ależ to mrzonka!

— Hm... Mrzonka o płonącej paszczy, która was wszystkich pożre!

— Ha, w takim razie zostanę republikaninem. Już nim jestem.

— Oczywiście... na wzór genewski...

— Zdaje mi się, że republikanin pozostaje zawsze republikaninem.

— Jest pan w błędzie, panie baronie. Nasi republikanie w niczym nie przypominają republikanów w innych krajach. Nasi republikanie przede wszystkim obalą wszelkie przywileje, następnie zgładzą arystokratów, a wreszcie zburzą tron królewski. Tak, pan, panie baronie, będzie szedł razem z republikanami, ale oni dopną swego bez pańskiego udziału, gdyż nie zechce pan towarzyszyć im w odbyciu drogi, którą oni mają przed sobą. O, nie, panie baronie, pan się myli... pan nie jest republikaninem!

— Oczywiście, jeżeli pan tak rozumie republikanizm... Wolę króla.

— Ja również — odparł Gilbert. — Wszyscy go zresztą obecnie wolą, podobnie jak my. Gdybym to, co powiedziałem przed chwilą, zechciał powiedzieć komuś o mniej wyrobionym umyśle, zakrzyczano by mnie i potępiono... ale zechce pan wierzyć, panie baronie, w to, co mówię...

— Nie pragnąłbym niczego więcej, gdyby to było możliwe, ale...

— Czy wie pan o istnieniu potajemnych stowarzyszeń?

— Wiele słyszałem o tym.

— I wierzy pan w nie?

— Wierzę, że istnieją, ale nie sądzę, aby były bardzo rozpowszechnione.

— Czy należy pan do któregoś z nich?

— Nie.

— Nawet do zwykłej wolnomularskiej loży?

— Nie.

— A ja, panie ministrze, należę...

— Czy jest pan zaprzysiężonym członkiem jednego z nich?

— Tak. Należę do wszystkich. Panie ministrze, niech się pan ma na baczności. Jest to potężna sieć, która obejmuje wszystkie trony. To niewidoczny sztylet zagrażający wszystkim monarchom. Jest nas około trzech milionów braci, rozsianych po wszystkich krajach, we wszystkich warstwach społecznych. Mamy swoich przyjaciół zarówno wśród ludu, jak wśród

arystokracji czy mieszczaństwa, wśród książąt, a nawet wśród panujących. Niechże się więc pan strzeże, panie baronie, bo oto książę, przed którym będzie pan dawał wyraz swego niezadowolenia, może być członkiem tajnego stowarzyszenia. Służący, który się panu nisko kłania, może być nim również. Pańskie życie i pański majątek nie należą do pana. Nawet pański honor nie należy do pana. Wszystko to stanowi niewidzialną potęgę, której nie jest pan w stanie zwalczać, gdyż pan jej nie zna, a która potrafi zniszczyć pana, gdyż ona pana zna. Otóż te trzy miliony ludzi, którzy już utworzyli republikę amerykańską, będą usiłowały stworzyć republikę francuską. Czy pan to rozumie, panie baronie?

— Ależ republika amerykańska — odparł baron — wcale mnie nie przeraża. Chętnie zgadzam się na jej program.

— Ha, ale pomiędzy nami a Ameryką jest cała przepaść., Ameryka to kraj całkiem nowy, nie znający żadnych przesądów ani przywilejów, kraj nie posiadający tronu, kraj o żyznej, płodnej ziemi, o dziewiczych lasach, położony pomiędzy morzami, które stanowią naturalne źródła zbytu dla jej handlu, leżący w samotnym oddaleniu, które jest rękojmią jego bezpieczeństwa... podczas gdy Francja... Niech pan spojrzy, ile rzeczy należałoby zburzyć u nas, by uczynić Francję podobną do Ameryki.

— Do czego pan właściwie dąży?

— Zdążam do tego, co nas czeka nieodwołalnie. Chciałbym osiągnąć ten cel bez wstrząsów, stawiając króla na czele całego ruchu.

— Jako sztandar?

— Nie, jako pancierz!

— Pancierz? — odezwał się Necker z uśmiechem. — Ależ pan nie zna króla, jeżeli chce mu powierzyć podobną rolę do odegrania I — Przeciwnie, znam go dobrze! Wiem, że w gruncie rzeczy jest to człowiek, jakich tysiące widziałem w Ameryce na czele niewielkich prowincji. To poczciwy człowiek, pozbawiony majestatu, bez zdolności stawiania oporu, bez inicjatywy... Ale cóż począć? Już dzięki swemu tytułowi stanowi on rodzaj obronnego szańca przeciwko ludziom, o których mówiłem przed chwilą, i chociaż jest to dość słaba obrona, wolę ją niż żadną. Przypominam sobie, jak podczas naszych działań wojennych przeciwko dzikim plemionom na północy Ameryki, całe noce spędzaliśmy za jakąś kępką trzciny nadbrzeżnej. Nieprzyjaciel znajdował się po drugiej stronie rzeki i strzelał do nas. Taka kępka trzciny to przecież tak niewiele, prawda? A jednak oświadczam panu, panie baronie, że serce biło mi znacznie spokojniej za tymi zielonymi tykami, które każda kula zrywała niczym nitki, aniżeli gdybym się znajdował w otwartym polu. Otóż król jest dla mnie taką właśnie kępką. Pozwala mi widzieć nieprzyjaciela i zasłania mnie przed nim. Oto dlaczego będąc republikaninem w Nowym Jorku lub w Filadelfii, jestem rojalistą we Francji. Tam nasz dyktator nazywał się Waszyngton. Tu Bóg raczy wiedzieć — może nazywa się sztylet, może szafot.

— Widzi pan te sprawy, doktorze, w zbyt czarnych barwach!

— Widziałby je pan, baronie, podobnie, gdyby, jak ja, znalazł się pan dziś na placu de Greve.

— Tak, to prawda. Mówiono mi, że miała tam miejsce prawdziwa masakra.

— Tak... Lud to jest rzecz piękna... ale tylko wtedy, gdy jest naprawdę piękny! Ale te burze szalejące w ludziach — zawołał Gilbert — są znacznie gorsze od burz, jakie przewalają się po niebie!

Baron Necker pogрузzył się w myślach.

— Jaka szkoda, doktorze, że nie mam pana blisko przy sobie. W razie potrzeby byłbyś dla mnie nieocenionym doradcą.

— Będąc blisko pana, panie baronie, nie byłbym tak pożyteczny dla pana, a zwłaszcza dla Francji, jak tam, dokąd mam zamiar się udać.

— Dokąd zamierza pan się udać?

— Zechce mnie pan wysłuchać. Tuż przy tronie znajduje się największy wróg tronu. W najbliższym otoczeniu króla mamy największego wroga króla. Jest nim królowa. Ta nieszczęśliwa kobieta zapomina, że jest córką Marii Teresy, a raczej pamięta o tym jedynie w chwilach, kiedy opanowuje ją duma. Zdaje jej się, że ona ocala króla, a przecież ona będzie przyczyną zguby czegoś jeszcze większego, bo królestwa. Otóż my, którzy kochamy króla i Francję, musimy uzgodnić nasze postępowanie, aby unieszkodliwić tę potęgę i unicestwić jej wpływ.

— W takim razie niech pan postąpi, jak mówiłem: zostanie przy mnie i pomoże mi.

— Jeżeli pozostałbym przy panu, mielibyśmy do rozporządzenia jeden i ten sam środek działania. Pan byłby mną, ja byłbym panem. Powinniśmy się rozstać i wtedy nasza waga podniesie się w dwójnasób.

— I co przez to uzyskamy?

— Być może, opóźnimy katastrofę, ale jej nie zdołamy zapobiec, aczkolwiek mogą panu zapewnić pomoc potężnego sprzymierzeńca w osobie markiza de Lafayette'a.

— Czy Lafayette jest republikaninem?

— Takim, jakim potrafi być Lafayette. Jeżeli koniecznie musimy stosować zasadę równości, wybierzmy tę, która jest właściwa wielkim magnatom. Uznaję równość, która podnosi, nie zaś tę, która każe się zniżyć.

— Czy ręczy nam pan za Lafayette'a?

— Tak. Jeżeli nie zażąda się od niego niczego, co stałoby w sprzeczności z jego honorem, odwagą i wiernością.

— A więc dobrze. Niech pan powie, czego pan żąda?

— Chcę mieć list polecający do Jego Królewskiej Mości Ludwika XVI.

— Człowiekowi o pańskich zasługach nie jest potrzebny żaden list polecający. On sam świadczy o sobie.

— Nie. W obecnej chwili bardziej mi odpowiada, bym uchodził za pańskiego zauszniaka. Zgodnie z moimi planami wolałbym być wprowadzony przez pana barona.

— Jak daleko sięgają pańskie ambicje?

— Chcę zostać jednym z przybocznych lekarzy króla.

— Nic łatwiejszego... Ale królowa.

— Niech tylko będę przy królu, a dam już sobie radę.

— A jeżeli królowa będzie pana prześladowała?

— Wtedy potrafię wpoić w króla silną wolę.

— Wolę? W króla? Gdyby ci się to udało, doktorze, byłby to czyn nadludzki!

— Kto potrafi rozkazywać ciału i nie jest zdolny uczynić tego samego z umysłem, jest zwykłym niedołągą!

— A czy nie sądzi pan, doktorze, że pańskie uwięzienie w Bastylii może stanąć na przeszkodzie w zostaniu lekarzem królewskim?

— Ależ przeciwnie — to mi tylko pomoże! Czyż nie byłem, jak to pan, baronie, powiedział, prześladowany za przestępstwa filozoficzne?

— Tego się właśnie obawiam.

— Wyznaczając swoim lekarzem ucznia Rousseau, zwolennika nowych idei i więźnia, który opuścił Bastylię, król rehabilituje się w oczach ludu i zdobywa sobie popularność. Zechce pan, panie baronie, zwrócić na to uwagę króla przy pierwszej sposobności.

— Ma pan zawsze słuszość. Ale czy będę mógł liczyć na pana, gdy się pan znajdzie w najbliższym otoczeniu króla?

— Jak najbardziej, pod warunkiem, że będzie pan, baronie, przestrzegał tych politycznych zasad, jakie wspólnie ustalimy.

— I co mi pan przyrzeka?

— Że dokładnie uprzedzę pana o chwili, kiedy powinien pan się wycofać.

Necker przez chwilę przyglądał się Gilbertowi, po czym odparł posepnym głosem:

— Tak. Jest to największa przysługa, jaką wierny przyjaciel może oddać ministrowi. Jest to bowiem ostatnia przysługa.

Baron usiadł przy stoliku, by napisać do króla. Tymczasem Gilbert powtórnie zapytywał siebie:

„Hrabina de Charny? Któż to może być?”

— Proszę — rzekł po pewnym czasie baron, wręczając Gilbertowi przed chwilą napisany list.

Gilbert sięgnął po list i zaczął go czytać. Oto treść tego listu:

„Sire!

Waszej Królewskiej Mości jest zapewne potrzebny człowiek, na którym można polegać i z którym można by rozmawiać o sprawach ważnych. Ostatnim upominkiem moim, ostatnią moją przysługą, jaką mogę oddać opuszczając Jego Królewską Mość, jest dar w osobie doktora Gilberta. Wystarczy chyba, gdy poinformuję Jego Królewską Mość, iż doktor Gilbert jest jednym z najznakomitszych lekarzy na świecie, a ponadto jest autorem owych memoriałów pt. *Władze administracyjne i polityka*, które tak bardzo zainteresowały Waszą Królewską Mość.

U stóp Waszej Królewskiej Mości Baron de Necker”.

Baron nie oznaczył listu żadną datą i po przyłożeniu do niego zwykłej pieczętki wręczył go doktorowi.

— A teraz — rzekł — jestem w Brukseli... Czyż nie?

— O tak, zapewne... i to nawet bardziej niż kiedykolwiek. Jutro pan baron otrzyma ode mnie wiadomości.

Baron w umówiony sposób zapukał w ścienne malowidło. Pani de Staël ukazała się po chwili. Tym razem jednak zamiast gałązki kwitnącego granatu trzymała w ręce broszurę napisaną przez doktora Gilberta. Wskazała mu jej tytuł, z nie pozbawionym zalotności uśmiechem.

Gilbert pożegnał się z baronem Neckerem i ucałował rękę baronowej, która go odprowadziła aż do drzwi swego gabinetu.

Doktor powrócił do fiakra, gdzie na przednim siedzeniu spali Billot i Pitou, a na koźle chrapał woźnica.

XXII

KRÓL LUDWIK XVI

Spotkanie Gilberta z panią de Staël i baronem Neckerem trwało przeszło półtorej godziny. Gilbert wrócił do Paryża około godziny dziewiątej, po czym poszedł na pocztę, gdzie wynajął powóz i konie, a Billot i Pitou udali się, by wypocząć po całodziennych trudach, do niewielkiego hoteliku przy ulicy; Thiroux, w którym stary wieśniak zatrzymywał się, ilekroć przybywał do Paryża. W tym samym czasie doktor Gilbert podążył co koń wyskoczy do Wersalu. Było już wprawdzie późno, ale Gilbert nie zwracał na to uwagi. Ludzie tego co on pokroju decydują się na szybkie działanie. Podróż mogła okazać się bezcelowa, ale Gilbert wołał jechać na próżno aniżeli trwać w bezczynności. Dla ludzi nerwowych niepewność jest większą torturą od najgorszej rzeczywistości.

Gilbert przybył do Wersalu o godzinie wpół do dziesiątej, czyli wtedy, gdy przeważnie wszyscy są już pogrążeni w głębokim śnie, ale tej nocy nikt tu nie spał. Echa ciosu, jaki został zadany Paryżowi, dotarły do Wersalu. Wojska francuskie, przyboczna straż królewska i najemni Szwajcarzy znajdowali się w ostrym pogotowiu i patrolowali wyloty głównych ulic. Prowadzili rozmowy między sobą lub z mieszkańcami, których wierność dla króla budziła zaufanie, Wersal bowiem zawsze był miastem stojącym po stronie króla. Ta wierność dla tronu, a niekiedy tylko dla króla, wrosła w serca tych ludzi jako coś bezpośrednio związanego z zamieszkiwanym przez nich obszarem. Otóż ludność rezydencji królów, pędząca swój żywot w pobliżu tronu, żyjąca z niego i z dobrodziejstw z tym związanych, przywykła do blasku złotem haftowanych fraków i uśmiechów, jakimi darzyły ją monarsze oblicza. Ludność Wersalu, dla której królowie zbudowali miasto z marmuru i granitu, sama czuła się uprzywilejowana. Nawet dziś jeszcze, kiedy mchem porastają marmury, a zielsko rośnie wśród kamiennych płyt, kiedy już niemal znikła pozłota z drewnianych ornamentów, a cieniste aleje parku są bezludne jak cmentarze, Wersal wciąż jeszcze uważa się za pozostałość minionej monarchii i nie mogąc się pysznić swym bogactwem, zachowuje przynajmniej urok melancholii po czasach, które przeminęły.

A więc, jak już o tym była mowa, owej nocy z 14 na 15 lipca 1789 roku Wersal był niezmiernie wzburzony i chciał wiedzieć, jak król odpowie na zniewagę, wymierzoną przeciwko jego tronowi, na cios zadany jego władzy. Odpowiedź udzielona przez Mirabeau panu de Dreux-Brézé wymierzyła tronowi policzek, a zdobywając Bastylię, lud zadał temuż tronowi cios w samo serce.

Dla umysłów ograniczonych i dla nie umiejących patrzeć przed siebie oczu, sprawa wydawała się być rozstrzygnięta. Zwłaszcza dla wojskowych, przywykłych w końcowym wyniku wydarzeń widzieć jedynie zwycięstwo brutalnej siły lub jej porażkę, wszystko sprowadzało się do tego, czy należy ruszyć na Paryż, czy też nie. Trzydzieści tysięcy żołnierzy i dwadzieścia armat potrafiłoby przekreślić pychę i zaciekłość zwycięskich mieszkańców Paryża. Nigdy jeszcze tron królewski nie miał tylu doradców. Każdy głośno i publicznie dawał wyraz swoim poglądom.

Najbardziej umiarkowani mówili:

— To wszystko jest bardzo proste. — (Warto zaznaczyć, że w najtrudniejszych okolicznościach niemal zawsze używa się u nas takich właśnie słów).

— A więc... to wszystko jest bardzo proste — mówili ci ludzie. — Zacznijmy od uzyskania sankcji od Zgromadzenia Narodowego, a ono jej nie odmówi. Stanowisko Zgromadzenia od pewnego czasu nie budzi w nikim żadnych zastrzeżeń. Jest zarówno przeciwne gwałtom popełnianym przez lud, jak i nadużyciom, jakich by się chciały dopuścić sfery rządzące.

Zgromadzenie Narodowe najdobitniej orzeknie, że powstanie jest zbrodnią, że obywatele rozporządzający swymi przedstawicielami mogą zgłosić swe żale przed oblicze królewskie — a przecież to sam król wymierza sprawiedliwość — że postąpili bardzo niewłaściwie chwytając za broń, przyczyniając się do rozlewu krwi.

Uzbrojony w tego rodzaju deklarację, którą bez trudu da się otrzymać od Zgromadzenia, król niechybnie zechce ukarać Paryż niczym dobry ojciec, a więc jak najsurowiej. Wtedy; burza oddali się, tron królewski odzyska należne mu prawa, ludność powróci do pełnienia swych obowiązków, czyli do posłuszeństwa, i wszystko znów potoczy się dawną, utartą drogą.

Tak, biorąc z grubsza, zarówno na dworze królewskim, jak i na bulwarach wyobrażano sobie załatwienie całej tej sprawy. Ale na placu Broni i w sąsiedztwie koszar mówiono zgoła innym językiem. Widziało się tam ludzi obcych w tej dzielnicy, o inteligentnych twarzach i bystrym spojrzeniu, jak raz po raz udzielali tajemniczych porad, wyolbrzymiając wiadomości, które i bez tego były aż nadto groźne, jak niemal publicznie szerzyli rewolucyjne hasła już od dwóch miesięcy krążące po Paryżu i wzywające przedmieścia do czynnego wystąpienia.

Dokoła tych ludzi tworzyły się posępne, a niekiedy nawet wrogo usposobione i podniecone gromadki mieszkańców, którym mówcy przypominali ich nędzę, cierpienia, na jakie są skazani, brutalną pogardę, okazywaną im przez władzę królewską. Tym prawdziwym pasierbom losu mówiono między innymi:

— Oto osiem wieków już mija, odkąd lud walczy — i co uzyskał? Nic. Nie posiada on ani żadnych praw społecznych, ani politycznych. Jest niczym ta krowa, której odbierze się i cielątko, by je zaprowadzić do rzeźni, i mleko, by je sprzedać na targu, i mięso, by je zjeść, i skórę, by ją wygarbować. Zmuszona koniecznością monarchia poszła w końcu na ustępstwa, odwołała się do Stanów Generalnych; ale co robi władza królewska dziś, kiedy Stany Generalne zostały zwołane? Od chwili kiedy się zebrały, tron usiłuje narzucić im swą wolę. Jeżeli Zgromadzenie Narodowe zostało utworzone, stało się ta wbrew woli tronu. A więc posłuchajcie! Wobec tego, że nasi bracia w Paryżu przyszl nam z dużą pomocą, zmusimy Zgromadzenie, by zrobiło krok naprzód. Każdy krok, który ono zrobi na drodze, gdzie już toczy się walka, będzie dla nas zwycięstwem, rozszerzy krąg naszego działania, przysporzy nam dobytku i umocni nasze prawa.

Naprzód, obywatele! Bastylia była dziełem tyranii — Bastylii już nie ma, pozostało po niej puste miejsce!

W najciemniejszych zaułkach odbywały się jeszcze innego rodzaju zebrania, na których padały odmienne słowa. Ci którzy je wygłaszali, najwyraźniej należeli do górnych warstw, występowali w przebraniu ludzi prostych, ale zdradzały ich białe ręce i pełen dystynkcji sposób wyrażania się.

— Słuchajcie, ludzie! — mówili. — Z obu stron wiodą was na manowce. Jedni każą wam się cofać, inni pchają was naprzód. Opowiadają wam o prawach politycznych i społecznych a czy lepiej wiecie wam się od czasu, kiedy pozwolono głosować za pośrednictwem waszych delegatów? Czyście się stal bogatsi, odkąd macie swoich przedstawicieli? Czy jesteście mniej głodni, odkąd Zgromadzenie Narodowe zaczęło wydawać dekrety? Nie! Zostawcie więc politykę i wszelkie teorie ludziom, którzy potrafią czytać. Co wam po różnych frazesach i przemądrzałych maksymach? Wam potrzebny jest chleb i jeszcze raz chleb! Potrzebne jest szczęście waszych dzieci i łagodność waszych żon. A kto wam da to wszystko? Tylko król, obdarzony mocnym charakterem, młody duchem, szlachetnego serca, a takim królem nie jest przecież Ludwik XVI, którym rządzi kobieta, Austriaczka o twardym sercu. Któż więc jest tym właściwym królem? Poszukajcie dobrze dokoła tronu, poszukajcie tego, który potrafi uczynić Francję szczęśliwą, a którego królowa nienawidzi właśnie za to, że on kocha Francuzów, a Francuzi kochają go.

Tak wypowiadała się opinia mieszkańców Wersalu, a na każdym kroku już się rozpałało

zarzewie wojny domowej.

Gilbert zasięgnął języka w dwóch czy trzech gromadkach i po zorientowaniu się w panujących nastrojach, udał się wprost do pałacu, strzeżonego przez liczne posterunki. Przeciw komu? Tego nie wiedział nikt. Nie bacząc na wszystkie te warty, Gilbertowi udało się bez trudu dotrzeć aż na wewnętrzne dziedzińce i przedsionki, przy czym nikt go nawet nie zapytał, dokąd idzie. Kiedy Gilbert znalazł się w salonie tzw. „Wolego Oka”, ktoś ze straży przybocznej zatrzymał go. Gilbert wyciągnął z kieszeni list barona Neckera i pokazał podpis. Oficer rzucił nań okiem. Kontrola była niezmiernie ścisła, a wobec tego, że najściślejsze rygory podlegają zazwyczaj dowolnej interpretacji, więc też oficer pełniący ową straż przyboczną zwrócił się do Gilberta, mówiąc:

— Szanowny panie, mamy najsurowszy rozkaz niedopuszczania kogokolwiek do Jego Królewskiej Mości, jednak nie było przewidziane, by ktoś mógł się zjawie jako wysłannik barona Neckera. Wobec tego, że przynosi pan zapewne jakąś ważną wiadomość dla Jego Królewskiej Mości, zechce pan wejść. Biorę to uchybienie na własną odpowiedzialność.

Gilbert wszedł.

Król był nieobecny w swoich apartamentach, znajdował się w sali konferencyjnej, gdzie właśnie przyjmował deputację Gwardii Narodowej, która domagała się wycofania wojsk, utworzenia rodzaju straży złożonej z mieszczan i przybycia króla do Paryża. Król dość oziębło wysłuchał tego wszystkiego, po czym odpowiedział, że sytuacja musi być wyjaśniona i że król będzie obradował nad nią wraz ze swą radą przyboczną.

Deputowani oczekiwali tymczasem w galerii, a przez matowe szkła w drzwiach widzieli, jak groźnie poruszały się wyolbrzymione cienie królewskich doradców. Przyglądając się tym widziadłom oczekujący mogli z góry odgadnąć, że odpowiedź wypadnie niepomyślnie.

Istotnie, odpowiedź króla ograniczała się do wyrażenia zgody na mianowanie dowódcy owej straży obywatelskiej oraz oznajmienia, że wojskom zgromadzonym na Polu Marsowym wydany zostanie rozkaz wycofania się. Co się zaś tyczy przybycia do Paryża, to król nie miał zamiaru okazywać tego zaszczytu buntownicznemu miastu, zanim ono całkowicie się nie podda.

Delegaci prosili, nalegali, zaklinali, ale król odrzekł, że jego sercu zadany został dotkliwy cios i że nic na to nie jest w stanie poradzić.

Król zadowolony z chwilowego triumfu władzy, która właściwie już się wymknęła z jego rąk, powrócił do swych apartamentów.

Zastał tam Gilberta, przy którym, stał oficer ze straży przybocznej.

— Czegóż to chcą jeszcze ode mnie? — zapytał król.

Oficer zbliżył się do króla i wyjaśnił Ludwikowi XVI, dlaczego pozwolił sobie postąpić wbrew zakazowi dopuszczenia kogokolwiek do apartamentów królewskich. Tymczasem Gilbert, który od paru lat nie widział króla, w milczeniu przyglądał się człowiekowi, postawionemu przez Boga na czele Francji w chwili, gdy nad nią rozszalała się nieznana burza.

Król był otyły, niskiego wzrostu, a jego postawa pozbawiona wszelkiego majestatu. Głowę miał nieforemną, na twarzy malowała się wyblakła młodość zmagająca się z przedwczesną starością. Rysy twarzy były odbiciem nierównej walki siły fizycznej z przeciętną inteligencją, której główną cechą była duma z zajmowanego stanowiska.

Dla fizjonomisty, który studiował Lavatera, dla magnetyzera, umiejącego wraz z Balsamo odczytywać przyszłość lub dla filozofa snującego swe marzenia wraz z Janem Jakubem, a wreszcie dla człowieka, który wiele podróżował i przyjrzał się różnym odmianom rodzaju ludzkiego, wszystkie te cechy świadczyły o zwyrodnieniu, opóźnionym rozwoju, o impotencji, o kompletnej ruinie.

Patrząc na ten obraz ruiny, Gilberta ogarnął raczej smutek aniżeli uczucie szacunku. Król

zbliżył się do niego.

— To pan przyniósł mi list od barona Neckera?

— Tak, Wasza Królewska Mość!

— Ach — zawołał król, jak gdyby jeszcze nie dowierzając — niechże pan szybko tu idzie...

Król wyrzekł te słowa niczym tonący, który wzywa: „Rzućcie mi linę!”

Gilbert podał królowi list. Król wziął go czym prędzej, szybko przebiegł oczami, a następnie pełnym godności gestem człowieka przywykłego do wydawania rozkazów zwrócił się do swego przybocznego oficera:

— Może nas pan zostawi samych, Varicourt.

Gilbert pozostał sam z królem. Pokój oświetlała zaledwie jedna lampa i można było przypuszczać, że król umyślnie kazał przygasło światło, aby na jego czole, raczej znudzonym aniżeli steranym troskami, trudniej było odczytać wszystkie ukryte myśli.

— Czy to prawda, że jest pan autorem owych memoriałów, które zrobiły na mnie takie wrażenie? — zapytał król i zatrzymał na Gilbertcie spojrzenie tak jasne i badawcze, jakiego by się trudno było po nim spodziewać.

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— Ile pan ma lat?

— Trzydzieści dwa, ale studia i nieszczęścia podwajają lata. Zechce Wasza Królewska Mość uważać mnie za starca.

— Dlaczego zwlekał pan tak długo, aby mi się przedstawić?

— Dlatego, że nie odczuwałem żadnej potrzeby powiedzenia na głos tego, o czym swobodnie i bez skrupowania pisałem Waszej Królewskiej Mości.

Ludwik XVI zastanowił się.

— Nie miał pan żadnych innych powodów? — zapytał niedowierzająco.

— Nie.

— Sądzę jednak, chociaż możliwe, że się mylę, iż pewne szczegóły powinny były panu dać do zrozumienia, że mu sprzyjam.

— Wasza Królewska Mość zapewne ma na myśli ową audiencję, o którą ośmieliłem się prosić przed pięciu laty po przesłaniu mego pierwszego memoriału. Prosiłem wtedy o umieszczenie światła w pobliżu okna o godzinie ósmej wieczorem, co miało mi dać znać, że Wasza Królewska Mość raczył przeczytać moją pracę.

— I co dalej? — zapytał król wyraźnie zadowolony.

— W oznaczonym dniu i o oznaczonej godzinie światło zostało umieszczone tam, gdzie o to prosiłem.

— No i co?

— Następnie widziałem, jak ono trzykrotnie podniosło się i opadło.

— A dalej?

— Następnie przeczytałem w „Gazecie” te słowa; „Osoba, którą trzykrotnie wzywało światło, może się zjawić u tego, który je trzykrotnie podniósł do góry, a będzie wynagrodzona”.

— Tak właśnie brzmiało tamto zawiadomienie — potwierdził król.

— A oto jego oryginał! — zawołał Gilbert, wyjmując z kieszeni numer „Gazety”, w której przed pięciu laty ukazało się podobne zawiadomienie.

— Doskonale! — rzekł król. — Od dawna czekałem na pańskie przybycie. Zjawił się pan w chwili, kiedy przestałem już czekać na pana. Cieszą się, że zjawia się pan, jak przystało na dzielnego żołnierza, w chwili, gdy toczy się bój.

Następnie przyjrząwszy się jeszcze baczniej Gilbertowi, król dodał:

— Pan zapewne rozumie, że dla króla jest czymś raczej niezwykłym, by człowiek, któremu się

mówi: „Przyjdź, a otrzymasz nagrodę!” — nie zjawił się wcale?

Gilbert uśmiechnął się.

— No, niechże pan powie — zapytał Ludwik XVI — dlaczego pan wtedy nie przyszedł?

— Dlatego, że nie zasługiwałem na żadną nagrodę.

— Czemu?

— Urodziłem się Francuzem, kocham swój kraj i pragnę jego szczęścia. Moja osoba stanowi zaledwie cząstkę trzydziestu milionów ludzi, którzy są moimi współobywatelami. Cokolwiek robię, robię jednocześnie dla siebie i dla innych. Gdy się jest egoistą, nie ma się prawa do żadnych nagród.

— To paradoks, mój panie! Musiał pan mieć jakieś inne przyczyny.

Gilbert nie odpowiedział, — Niechże pan mówi, życzę sobie tego.

— Kto wie, czy Wasza Królewska Mość nie odgadł...

— Czy nie chodziło o to — zapytał król jawnie zaniepokojony — że uważał pan sytuację za groźną i wołał stać na uboczu?

— Chodziło o inny, jeszcze ważniejszy powód. Tak, Wasza Królewska Mość odgadł słusznie.

— Lubię szczerść — odparł król, nie będąc w stanie ukryć swego wzruszenia. Był nieśmiały z natury i łatwo się czerwienił.

— Czyli — mówił dalej Ludwik XVI — przepowiadałeś królowi upadek i bałeś się znaleźć zbyt blisko ruin?

— O, nie, Wasza Królewska Mość! Właśnie w chwili, kiedy klęska wydaje się nieunikniona, kieruję swe kroki tam, gdzie grozi niebezpieczeństwo.

— Tak, tak, rozstałeś się pan z Neckerem i mówisz jak on. Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo! Oczywiście, że to niebezpieczeństwo zbliża się teraz do mnie. A gdzież on jest obecnie, ten Necker?

— Niedaleko, i gotów jest stawić się na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Doskonale. Będzie mi potrzebny — powiedział król westchnąwszy. — Nie powinno się być upartym w polityce. Człowiek ma wrażenie, że postępuje dobrze, gdy tymczasem robi coś złego, a kiedy nawet czyni coś dobrego, kaprys losu sprawia, że wszystko idzie na marne. Mimo najlepszych zamierzeń popełnia się błędy.

Król jeszcze raz westchnął. Gilbert pośpieszył mu z pomocą.

— Wasza Królewska Mość ma zupełną słuszność, ale obecnie należy bardziej uważnie spojrzeć w przyszłość, aniżeli dotąd.

Król podniósł głowę. Można było zauważyć, jak jego brwi z lekka się zmarszczyły.

— Wasza Królewska Mość raczy mi darować, jestem lekarzem. Gdy choroba jest poważna, przywykłem działać radykalnie.

— Czy przywiązuje pan tak wielką wagę do dzisiejszych rozruchów?

— Wasza Królewska Mość — to nie są rozruchy, to jest rewolucja!

— I pan chce, abym się wdawał w układy z buntownikami, ze zbrodniarzami? Bo przecież oni zdobyli Bastylię przemocą, a to jest bunt. Zabili pana de Launaya, pana de Losme'a i burmistrza de Flessellesa — a to jest zbrodnia!

— Chciałbym, aby Wasza Królewska Mość raczył oddzielić jedno od drugiego. Ci, którzy zdobyli Bastylię, są bohaterami, ci zaś, którzy zamordowali panów de Launaya, de Losme'a i burmistrza, są zbrodniarzami.

Król zaczerwienił się z lekka. Po chwili rumieniec znikł z jego twarzy, wargi króla poblady, a na czole ukazały się krople potu.

— Ma pan słuszność. Jest pan lekarzem, a właściwie chirurgiem, bo tniesz żywe ciało. Ale wróćmy do naszych spraw. Nazywa się pan: doktor Gilbert, w każdym bądź razie pańskie

memoriały są podpisane tym nazwiskiem.

— Jest to wielki zaszczyt dla mnie, że Wasza Królewska Mość raczył zachować je w swojej pamięci, chociaż prawdę powiedziawszy, nie mam z czego być tak dumny.

— Dlaczego?

— Nie tak dawno moje nazwisko było wymienione wobec Waszej Królewskiej Mości.

— Nie rozumiem.

— Przed sześcioma dniami aresztowano mnie i wtrącono do Bastylii. Otóż dowiedziałem się, że żadne ważniejsze aresztowanie nie mogło być dokonane bez wiedzy króla.

— Był pan w Bastylii? — zapytał król niezmiernie zdziwiony.

— Oto dowód mego uwięzienia. Jak już miałem zaszczyt oznajmić Waszej Królewskiej Mości, zostałem uwięziony przed sześciu dniami i dziś o godzinie trzeciej z woli ludu odzyskałem wolność.

— Dziś?

— Tak. Czy Wasza Królewska Mość nie słyszał, jak strzelały armaty?

— Oczywiście.

— To one otworzyły mi wrota więzienia.

— Och — szepnął król — chętnie powiedziałbym, że mnie to bardzo cieszy, gdyby owe armaty dzisiejszego ranka nie były jednocześnie wymierzone w Bastylię i we władzę królewską.

— Niechże Wasza Królewska Mość nie czyni więzienia symbolem panowania. Niechby raczej Wasza Królewska Mość wyraził radość z powodu zdobycia Bastylii, gdyż odtąd nie będzie się bez wiedzy króla — a w jego imieniu — popępiało niesprawiedliwości podobnej do tej, której ja padłem ofiarą.

— Musiał jednak istnieć jakiś powód, dla którego został pan uwięziony...

— Nie znam żadnego. Zostałem aresztowany po powrocie do Francji i wtrącony do więzienia. Oto wszystko, co mi jest wiadome.

— Prawdę powiedziawszy — wtrącił łagodnie Ludwik XVI — jest to dość egoistyczne z pańskiej strony przyjść do mnie i mówić tylko o sobie, kiedy mnie nade wszystko jest potrzebne, by mówić o mnie...

— Pragnąłbym, aby Wasza Królewska Mość zechciał mi powiedzieć jedno tylko słowo...

— Jakie?

— Czy Wasza Królewska Mość przyczynił się do aresztowania mnie? Tak, czy nie?

— Nie wiedziałem, że pan wrócił...

— Jestem szczęśliwy, że to słyszę. Mogę więc wobec wszystkich oświadczyć, że jeżeli nawet dzieje się coś złego w imieniu Waszej Królewskiej Mości, to tylko dlatego, że się nadużywa Jego imienia. Tym, którzy nie uwierzą, podam siebie jako przykład.

Krół uśmiechnął się.

— O lekarzu — rzekł król — przykładasz balsam do rany.

— Wasza Królewska Mość! Będę przykładał, ile sobie tego Wasza Królewska Mość życzy, i uleczę tę ranę. Ręczę za to.

— Owszem, życzę sobie.

— Ale należy pragnąć tego z całej duszy.

— Pragnę tego.

— Zanim Wasza Królewska Mość poweźmie jakieś zobowiązanie — rzekł Gilbert — proszę przeczytać tych oto kilka słów, skreślonych na marginesie mojej karty więziennej.

— O jakie słowa panu chodzi?

— Proszę — oto one.

Gilbert pokazał królowi swą kartę więzienną, a król przeczytał: „Na żądanie królowej”...

Ludwik XVI zmarszczył brwi. — Królowej... Czy naraził się pan na niełaskę królowej?

— Jestem przekonany, że Jej Królewska Mość zna mnie jeszcze mniej niż Wasza Królewska Mość...

— Musiał pan jednak popełnić jakieś wykroczenie, przecież nie zamyka się ludzi do Bastylii bez powodu...

— Bywa, że tak. Przecież właśnie stamtąd wyszedłem.

— Ależ baron Necker przysłała pana do mnie, a przecież to on podpisał rozkaz uwięzienia pana.

— Niewątpliwie.

— Proszę mi to wyraźniej wytłumaczyć. Niech pan poszuka w swojej przeszłości, czy nie znajdzie się w niej jakiś fakt, o którym pan sam już zapomniał.

— Owszem, zrobię to i nawet na głos. Niech się Wasza Królewska Mość nie obawia, to nie potrwa długo. Począwszy od szesnastego roku mego życia, bez przerwy pracowałem. Wychowany na zasadach Jana Jakuba, byłem kolegą doktora Balsamo, przyjacielem Lafayette'a i Waszyngtona. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Od chwili kiedy opuściłem Francję, nie zrobiłem żadnego niewłaściwego kroku. Kiedy dzięki nabytej wiedzy mogłem udzielać pomocy rannym lub chorym, nie przestawałem myśleć o tym, że muszę zdać rachunek przed Bogiem ze wszystkiego, co myślę i czynię. Ponieważ Bóg powierzył mi jako chirurgowi pieczę nad stworzonymi przezeń istotami, przelewałem krew w imię dobra ludzkości, będąc gotów uczynić ofiarę z własnej, by ulżyć cierpieniom mego chorego lub uratować mu życie. Jako lekarz zawsze znajdowałem słowa pociechy, a niekiedy byłem nawet dobroczyńcą. W ten sposób minęło piętnaście lat. Bóg sprzyjał moim wysiłkom: widziałem, jak większość moich chorych, całując mnie po rękach, powracała do zdrowia. Ci, którzy umarli, byli skazani na śmierć przez Boga. Oświadczam Waszej Królewskiej Mości, że nie mam sobie nic do zarzucenia od czasu, kiedy opuściłem Francję, a więc od piętnastu lat!

— W Ameryce przebywał pan w towarzystwie ludzi głoszących nowe idee, a pańskie pisma szerzyły ich zasady.

— Tak, Wasza Królewska Mość... zapomniałem o wdzięczności, jaką jestem winien królom i ludziom.

Król umilkł.

— Dziś — mówił dalej Gilbert — Wasza Królewska Mość zna moje życie. Nie obraziłem ani nie skrzywdziłem nikogo: ani żebraka, ani królowej. Pozwalam więc sobie zapytać, za co zostałem ukarany?

— Porozmawiam o tym z królową — ale pan sądzi, że nakaz aresztowania wyszedł bezpośrednio od królowej?

— Nie powiedziałem tego. Przypuszczam jedynie, że go podpisała.

— A więc sam pan przyznaje, że... — zawołał uradowany Ludwik XVI.

— Tak, ale Waszej Królewskiej Mości jest zapewne wiadome, że podpis królowej znaczy tyleż co rozkaz.

— A przez kogo list został podpisany? Przyjrzyjmy się...

— Proszę, niech Wasza Królewska Mość raczy spojrzeć. Gilbert podał królowi rozkaz aresztowania.

— Hrabina de Charny! — zawołał król. — Jakże to? Więc to ona kazała pana uwięzić? A cóż pan takiego zrobił tej biedaczce?

— Nie znam tej pani nawet z nazwiska. Król potarł ręką czoło.

— Charny — pomrukiwał — Charny! Ależ to uosobienie łagodności, cnoty, a nawet niewinności!...

— Wasza Królewska Mość raczy przyznać — odparł Gilbert uśmiechając się — że zostałem wtrącony do Bastylii na żądanie trzech najwyższych w teologii cnót.

— Chcę to wyjaśnić do końca! — zawołał król i pociągnął za sznur dzwonka.

Po chwili zjawił się kamerdyner.

— Proszę zobaczyć, czy hrabina de Charny jest u królowej — rozkazał Ludwik XVI.

— Pani hrabina przed chwilą przeszła przez galerię i wsiadła do powozu.

— Proszę szybko posłać po nią i poprosić, by zechciała w bardzo ważnej sprawie przyjść do mego gabinetu.

Następnie odwróciwszy się do Gilberta, król dodał:

— Czy tego sobie pan życzył?

— O tak, Wasza Królewska Mość, i po tysiąckroć dzięki za to.

XXIII

HRABINA DE CHARNY

Słyszając, że wydany został rozkaz sprowadzenia hrabiny de Charny, Gilbert usunął się i stanął ukryty we framudze okna.

Król tymczasem przemierzał wzdłuż i wszerz ów salon, zwany salonem „Wolego Oka”, zastanawiając się raz nad sprawami natury publicznej, to znów nad uporem Gilberta, który bezwiednie tak silnie oddziaływał na niego i to właśnie w chwili, kiedy nic nie powinno go było obchodzić poza wiadomościami nadchodzącymi z Paryża.

Naraz drzwi gabinetu otworzyły się. Kamerdyner zameldował przybycie hrabiny de Charny, a Gilbert, mimo iż ukryty za zsuniętymi kotarami, mógł jednak dostrzec wchodzącą damę, której szeroka, jedwabna suknia otarła się o drzwi.

Zgodnie z panującą wówczas modą, dama była ubrana w narzutkę z szarego jedwabiu w szerokie kolorowe paseczki, w jedwabną spódniczkę oraz miała na sobie coś w rodzaju szala, spiętego z tyłu w talii i skrzyżowanego na piersiach, co jeszcze bardziej podkreślało jej obfity i bardzo foremny biust. Na czubku wysokiej fryzury widniał niewielki kapelusik, pantofelki na wysokich obcasikach podkreślały zgrabność prześlicznej nóżki, a końce paluszków drobnej, długiej i jak najbardziej arystokratycznej rączki w rękawiczkach trzymały cieniutką laseczkę. Tak oto wyglądała owa z niecierpliwością oczekiwana osoba, która przekroczyła próg gabinetu Ludwika XVI.

Król uczynił krok naprzód, by ją powitać.

— Powiedziano mi, że hrabina miała zamiar już odjechać.

— Tak jest, Wasza Królewska Mość — odrzekła hrabina — miałam właśnie zamiar wsiąść do powozu, kiedy nadszedł rozkaz Waszej Królewskiej Mości.

Ten dźwięczny i pewny siebie głos straszliwym echem nappełnił uszy Gilberta. Krew zalała mu nagle policzki, a tysiączne dreszcze przebiegły jego ciało.

Bezwiednie zrobił krok naprzód poza kotarę, za którą stał ukryty.

— To ona... — szeptał — to ona... Andrea!

— Hrabino! — mówił dalej król, który podobnie jak przybyła dama nie widział wzruszenia, jakie ogarnęła ukrytego za kotarę Gilberta. — Pozwoliłem sobie prosić hrabinę dla otrzymania pewnych informacji.

— Jestem do usług Waszej Królewskiej Mości.

Król pochylił się w stronę Gilberta, jakby chcąc go zatrzymać.

Gilbert zrozumiał, że chwila odpowiednia dla ukazania się jeszcze nie nadeszła, cofnął się więc z powrotem za kotarę. — Przed tygodniem — zwrócił się król do hrabiny — a może przed dziesięcioma dniami baronowi Neckerowi został przekazany nakaz aresztowania pewnej osoby...

Gilbert badawczo wpatrywał się w hrabinę, która stała blada i zdenerwowana, uginając się niemal pod ciężarem jakiejś tajemnicy, z której sama nie zdawała sobie sprawy.

— Czy hrabina słyszy, o co ją zapytuję? — powiedział król, widząc, że hrabina ociąga się z udzieleniem odpowiedzi.

— O tak, słyszę.

— W takim razie wie pani, o co mi chodzi. Czy może mi pani odpowiedzieć na moje pytanie?

— Usiłuję sobie przypomnieć... — odpowiedziała hrabina.

— W takim razie, pozwoli hrabina, że jej przyjdę z pomocą. Tego rozkazu aresztowania zażądała pani i na jej życzenie rozkaz ten został podpisany przez królową.

Zamiast odpowiedzieć hrabina coraz bardziej pograżała się w stan jakiegoś gorączkowego podniecenia, który zdawał się unosić ją poza granice rzeczywistości.

— Proszę mi odpowiedzieć! — powtórzył król, zaczynając okazywać pewne zniecierpliwienie.

— Tak, to prawda — odpowiedziała hrabina drżąc cała — to prawda. Napisałam ten list z żądaniem uwięzienia, a Jej Królewska Mość położyła na nim swoje litery.

— W takim razie proszę mi powiedzieć, jaką zbrodnię popełnił człowiek, przeciwko któremu zostało wymierzone tego rodzaju żądanie.

— Wasza Królewska Mość — odrzekła hrabina — nie mogę powiedzieć, na czym ona polegała, zapewniam jedynie, że była to wielka zbrodnia!

— Nawet mnie nie może hrabina tego powiedzieć?

— Nie mogę.

— Mnie, królowi?

— Wasza Królewska Mość raczy wybaczyć... niestety, nie mogę tego powiedzieć.

— W takim razie powie to pani jemu samemu — odparł król — bo skoro hrabina odmawia wyjawienia tej zbrodni Ludwikowi XVI, to nie będzie mogła odmówić doktorowi Gilbertowi.

— Doktorowi Gilbertowi? — zawołała hrabina. — Wielki Boże! Gdzież on jest?

Król usunął się nieco, by przepuścić Gilberta. Kotary rozsunęły się, ukazał się doktor niemal tak samo blady jak hrabina.

— Oto on! — rzekł król.

Na widok Gilberta hrabina zachwiała się. Kolana ugięły się pod nią, pochyliła się w tył, jak gdyby za chwilę miała upaść zemdlnona i utrzymała się na nogach jedynie dzięki fotelowi, o który zdążyła się oprzeć. Była prawie nieprzytomna i złamana niczym Eurydyka, gdy jad żmii sięgał już jej serca.

— Pani! — powiedział Gilbert, składając uniżony ukłon. — Proszę mi pozwolić powtórzyć pytanie, jakie zostało do niej skierowane przez Jego Królewską Mość.

Wargi hrabiny poruszyły się, ale żaden dźwięk nie wydostał się z jej ust.

— Cóż złego zrobiłem pani, że na jej rozkaz zostałem wtrącony do tego straszliwego więzienia?

Słyszając ten głos, hrabina zerwała się jakby rażona w samo serce, po chwili jednak skierowała na Gilberta spojrzenie przeszywające go lodowatym zimnem, cedząc przy tym zwolna:

— Ależ ja pana nie znam!

Podczas gdy hrabina wymawiała te słowa, Gilbert wpatrywał się w nią tak uporczywie, że hrabina opuściła wzrok, a jej oczy przygasły pod siłą jego spojrzenia.

— Hrabino — odezwał się król z łagodnym wyrzutem w głosie — oto do czego prowadzi nadużywanie podpisu. Ten człowiek jest znakomitym i uczonym lekarzem. Sama pani przyznała, że go nie zna. Czy ma pani mu coś do zarzucenia?

Hrabina podniosła głowę, usiłując zdruzgotać Gilberta spojrzeniem pełnym królewskiej pogardy. Ale Gilbert zachował swą postawę pełną spokoju i dumy.

— Chcę przez to powiedzieć — mówił dalej król — że nie mając nic przeciwko panu Gilbertowi i mając widocznie na myśli kogoś innego, przyczyniła się pani do tego, że wina spadła na człowieka zupełnie niewinnego. To bardzo źle, hrabino.

— Wasza Królewska Mość! — odezwała się hrabina.

— Och! — przerwał król, którego już przerażała myśl, że może urazić ulubienicę swojej żony. — Wiem przecież, że ma pani dobre serduszeko i że jeśli kierujesz przeciwko komuś swą nienawiść, to owa osoba z pewnością na to zasłużyła. Sama rozumiesz, hrabino, że podobne pomyłki nie powinny się więcej przytrafiać.

Zwracając się do Gilberta, król dodał:

— Cóż, doktorze, to raczej wina czasów, w których żyjemy, aniżeli ludzi. Urodziliśmy się w czasach deprawacji i umrzemy w nich. Musimy jednak dołożyć wszelkich starań, by przygotować lepszą przyszłość dla potomności. Mam nadzieję, doktorze, że będzie mi pan w tym pomocny.

Król przerwał w przekonaniu, że uczynił aż nadto wiele, by zadowolić obie strony.

Biedny król! Gdyby wygłosił podobne słowa przed Zgromadzeniem Narodowym, nie tylko zebrałby oklaski, lecz również znalazłby uznanie we wszystkich pismach dworskich. Ta pojednawcza filozofia mało jednak odpowiadała audytorium, złożonemu z dwóch tak nieprzejednanych przeciwników.

— Wasza Królewska Mość raczy mi pozwolić — podjął na nowo Gilbert — bym zwrócił się z prośbą do hrabiny o powtórzenie tego, co już zechciała powiedzieć, a mianowicie, że mnie nie zna.

— Hrabino — rzekł król — czy zechce pani zadośćuczynić prośbie doktora Gilberta?

— Nie znam doktora Gilberta — powtórzyła hrabina pewnym głosem.

— A może zna pani jakiegoś innego Gilberta, — mojego imiennika, którego zbrodnie spadły na moją głowę?

— Tak — odpowiedziała hrabina — znam i uważam go za nikczemnika.

— Wasza Królewska Mość, nie mam prawa zadawać pytań hrabinie, może więc Wasza Królewska Mość raczy zapytać, co uczynił ten nikczemnik?

— Hrabino, nie odmówi pani chyba odpowiedzi na tak usprawiedliwione pytanie...

— To, co uczynił, było nikczemne! — odparła hrabina. — Jej Królewska Mość z pewnością wiedziała o tym, skoro własną ręką złożyła podpis na liście, w którym zażądałam uwięzienia.

— Hm — odrzekł król — to, że królowa miała tę pewność, nie jest jeszcze wystarczające. Należało, abym i ja również miał to przeświadczenie. Królowa jest królową, ale królem jestem ja.

— A więc dobrze... Ów Gilbert, o którym jest mowa w rozkazie uwięzienia, popełnił przed szesnastu laty straszliwą zbrodnię.

— Może Wasza Królewska Mość zechce zapytać hrabinę, ile lat ma dziś ów człowiek?

Król powtórzył pytanie.

— Trzydzieści lub trzydzieści dwa — odpowiedziała hrabina.

— Wasza Królewska Mość, pozwolę sobie zauważyć, że jeżeli owa zbrodnia została popełniona przed szesnastu laty, to dopuścił się jej nie dojrzały mężczyzna, lecz dziecko, i że jeżeli ów mężczyzna ubolewał nad zbrodnią popełnioną kiedyś przez dziecko, to czy nie zasługuje on na pewną pobłażliwość?

— Więc pan znasz, doktorze, owego Gilberta — zapytał król — o którym jest mowa?

— Owszem, znam go.

— Czy nie popełnił żadnych innych uchybień w swojej młodości?

— Nie wiem o żadnym innym prócz tego, które Wasza Królewska Mość nazywa jedynie uchybieniem. Nie jestem tak pobłażliwy, ale nie sądzę, by ktokolwiek na świecie miał mu coś do zarzucenia.

— Chyba to, że maczał swe pióro w jadzie i pisał ohydne paszkwile.

— Może Wasza Królewska Mość raczy zapytać hrabinę — przerwał Gilbert — czy istotnym powodem aresztowania Gilberta nie była chęć ułatwienia jego nieprzyjaciółom, a raczej jego nieprzyjaciółce, przywłaszczenia sobie pewnej szkatułki zawierającej niektóre papiery i mogącej skompromitować pewną wielką damę przy dworze królewskim.

Hrabina zadrzała od stóp do głowy.

— Panie! — szepnęła.

— Hrabino, gdzie jest ta szkatułka? — zapytał król, który nie mógł nie dostrzec tego, jak hrabina zadrzała i pobladła.

— Hrabino — zawołał Gilbert, czując, że staje się panem położenia — proszę bez wykrętów, bez udawania. Dość już tych kłamstw z jednej i z drugiej strony. Ja jestem tym Gilbertem, który popełnił zbrodnię i który pisał paszkwile, to ja jestem owym Gilbertem, do którego należała szkatułka. Jest pani wielką damą, hrabiną, jest pani damą dworu, niech Jego Królewska Mość rozsądzi. Niech pani się na to zgodzi, a my wyznamy przed tym sędzią i królem, jak przed Bogiem, wszystko, co było między nami. Niech osądzi, zanim zapadną wyroki boskie.

— Może pan mówić, co się panu podoba — odparła hrabina. — Nie mam nic do powiedzenia, nie znam pana.

— I tej szkatułki też pani nie zna?

Hrabina zacisnęła pięści i aż do krwi przygryzła swe pobladłe wargi.

— Nie — odrzekła — nie znam jej, tak jak nie znam pana.

Jednak wysiłek, na jaki musiała się zdobyć, by wypowiedzieć te słowa, był tak wielki, że hrabina zachwiała się na nogach niczym stojący na cokole posąg podczas trzęsienia ziemi.

— Hrabino — rzekł Gilbert — niech pani się ma na baczności! Nie zapomniała pani zapewne, że jestem uczniem człowieka, którego nazywano doktorem Balsamo. Moc, którą posiadał nad panią, przekazał mnie. Czy zechce mi pani odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest moja szkatułka?

— Nie! — odpowiedziała hrabina zmieszana do ostateczności, usiłując przy tym wymknąć się z pokoju. — Nie! nie! nie!

— A więc dobrze! — odrzekł Gilbert blednąc z kolei i groźnie podnosząc do góry rękę. — Duszo ze stali, o sercu twardym jak diament, ugnij się i padnij pod rozkazami mojej nieugiętej woli! Czy nie chcesz mówić, Andreo?

— Nie, nie! — zawołała hrabina odchodząc od zmysłów. — Królu! Pomocy! Ratuj!

— O nie — ciągnął dalej Gilbert — powiesz, hrabino, powiesz, i nikt — ani król, ani Bóg — nie uwolni cię spod mojej władzy. Powiesz wszystko. Otworzysz całą swoją duszę przed dostojnym świadkiem tej uroczystej chwili. Wasza Królewska Mość pozna wszystko, co się kryje w najtajniejszych zakątkach twojego sumienia, to, co jedynie sam Bóg potrafi odczytać w najmroczniejszych głębiach duszy ludzkiej. Ty sama, która się wzbraniaś mówić, opowiesz mu o tym! Hrabino de Charny, usnij i przemów... Rozkazuję ci!

Zaledwie padły te słowa, a hrabina zatrzymała się jak wryta i z urwanym w połowie okrzykiem wyciągnęła przed siebie ramiona, jak gdyby szukając oparcia dla swych osuwających się nóg. Po chwili padła w ramiona króla, który drżąc na całym ciele umieścił hrabinę na fotelu.

— O, słyszałem o tym — zawołał król — ale nigdy sam czegoś podobnego nie widziałem! Czy ona uległa magnetycznemu uśpieniu?

— Tak. Wasza Królewska Mość raczy wziąć hrabinę za rękę i zapytać, dlaczego kazała mnie uwięzić — odparł Gilbert, jak gdyby do niego należało teraz prawo wydawania rozkazów.

Ludwik XVI niezmiernie przejęty tą niezwykłą sceną cofnął się o dwa kroki w tył, aby się przekonać, czy sam nie został uśpiony, a to, co się odbywa przed jego oczami, nie jest snem. Następnie, podobnie jak matematyk, którego całkowicie pochłonęło znalezienie nowego rozwiązania, zbliżył się do hrabiny i ujmując ją za rękę, zapytał:

— Hrabino... więc to ty kazałaś uwięzić doktora Gilberta? Mimo iż hrabina była pogrążona we śnie, uczyniła jednak ostatni wysiłek, wyrywając swą rękę z królewskiej dłoni i resztkami sił zawołała:

— Nie! Nie będę mówiła! Nie!

Król spojrział na Gilberta, jak gdyby zapytując, kto odniesie zwycięstwo — on czy hrabina? Gilbert uśmiechnął się.

— Nie chcesz mówić? — Ze wzrokiem utkwionym w uśpioną zrobił krok w kierunku fotela. Hrabina zadrżała.

— Nie chcesz mówić? — powtórzył, zbliżając się jeszcze bardziej do hrabiny.

Ciało hrabiny wyprężyło się, jakby broniąc się ostatkiem sił.

— A więc nie chcesz mówić? — zawołał Gilbert robiąc trzeci krok, a znalazłszy się tuż obok hrabiny, podniósł rękę nad jej głowę. — Nie chcesz?

Hrabina wiła się w gwałtownych skurczach.

— Doktorze, ostrożnie! — krzyknął król. — Zabije ją pan!

— Niech się Wasza Królewska Mość nie obawia... chodzi mi tylko o duszę hrabiny. Dusza opiera się, ale ciało ulegnie...

Doktor opuścił rękę mówiąc

— Mów! Rozkazuję ci!

Hrabina wyciągnęła przed siebie ręce jak gdyby chcąc się obronić i westchnęła głęboko.

— Mów! — powtórzył Gilbert, mocniej przyciskając swą rękę do głowy hrabiny.

Wszystkie mięśnie młodej kobiety naprężyły się do ostateczności. Na ustach ukazała się piana, a całe ciało zaczęły przebiegać drgawki jak gdyby zapowiadające początek ataku epileptycznego.

— Doktorze — wołał król — ostrożnie! Na miły Bóg, ostrożnie!

Ale doktor, nie zważając na nic, po raz trzeci opuścił swą rękę, przykładając dłoń do czoła hrabiny.

Pod wpływem tego dotknięcia hrabina ciężko westchnęła, ręce jej opadły, a odrzucona w tył głowa pochyliła się ku przodowi, opadając na pierś. Spod zamkniętych powiek wypłynęły ciężkie łzy.

— O, Boże! Boże! — szepnęła.

— Możesz wzywać Boga. Ten, kto działa w jego imieniu, nie obawia się Boga.

— O, jakże ja pana nienawidzę!

— Zgoda... możesz mnie nienawidzić, ale mów!

— Wasza Królewska Mość! — zawołała naraz hrabina. — Proszę mu powiedzieć, że on mnie spala, unicestwia, zabija!

— Mów! — rozkazywał Gilbert.

Następnie dał znak królowi, iż może on zacząć zadawać pytania.

— A więc, hrabino... Czy ten, którego chciałaś uwięzić, i ten, którego uwięziono, to był doktor Gilbert?

— Tak.

— Czy nie zaszła jakaś pomyłka lub nieporozumienie?

— Nie...

— A gdzie znajduje się owa szkatułka? — zapytał król.

— Czy mogła zostać w jego rękach? — powoli cedziła hrabina słowo za słowem.

Gilbert i król zamienili spojrzenia.

— Więc to pani zabrała mu ją? — zapytał król.

— Kazałam mu ją odebrać...

— Opowiedz mi, jak to się stało! — zawołał Ludwik XVI zapominając, kim jest, i klękając obok hrabiny. — Kazałaś mu ją odebrać?

— Tak.

— Gdzie i w jaki sposób?

— Dowiedziałam się, że Gilbert, który od szesnastu lat dwukrotnie przybywał do Francji, ma tu przybyć po raz trzeci. Tym razem, by tu na zawsze pozostać.

— Ale co z tą szkatułką? — zapytał król.

— Dowiedziałam się przez szefa policji, pana de Crosne'a, że Gilbert podczas któregoś ze swych pobytów we Francji nabył ziemię w okolicy Villers-Cotterets i że dzierżawca tych terenów cieszy się jego całkowitym zaufaniem. Byłam niemal pewna, że to u niego jest przechowywana ta szkatułka.

— Skąd miałaś tę pewność?

— Byłam u Mesmera. Kazałam się usnąć i zobaczyłam ją.

— Gdzie ona była?

— W dużej szafie, ukryta wśród bielizny.

— To nadzwyczajne! — zawołał król. — I co było dalej? — Wróciłam do pana de Crosne'a, który na rozkaz królowej dał mi do dyspozycji jednego ze swych najbardziej przebiegłych agentów.

— Jak się nazywał ten agent? — zapytał Gilbert. Hrabina drgnęła, jak gdyby dotknęło ją rozpalone żelazo.

— Pytam o nazwisko tego agenta — powtórzył doktor.

— Pas-de-Loup... — odpowiedziała hrabina.

— I co dalej? — dopytywał się król.

— Wczoraj z rana ten człowiek zdobył tę szkatułkę. Oto wszystko.

— Nie — przerwał Gilbert — to jeszcze nie wszystko. Powiedz królowi, gdzie się ona obecnie znajduje...

— Czy to nie za wiele? — wtrącił król.

— O, nie, Wasza Królewska Mość...

— Możemy się równie dobrze dowiedzieć przez tego Pas-de-Loup albo przez pana de Crosne'a.

— Zapewne, ale lepiej i prędzej dowiemy się od hrabiny... Jakby chcąc nie dopuścić, by słowa wymknęły się z jej ust, hrabina w nerwowym skurczu mocno zacisnęła zęby.

Król zwrócił uwagę doktora na konwulsje hrabiny, ale Gilbert jedynie się uśmiechnął, po czym dotknął dużym i wskazującym palcem twarzy hrabiny, a naprężone mięśnie niezwłocznie się rozluźniły.

— Przede wszystkim zechce hrabina powiedzieć Jego Królewskiej Mości, że ta szkatułka była własnością doktora Gilberta.

— Tak... „ należała do niego — z niechęcią odrzekła uśpiona.

— A gdzie się obecnie znajduje? — zapytał Gilbert. — Proszę natychmiast odpowiedzieć, bo Jego Królewska Mość nie chce dłużej czekać.

Hrabina zawahała się.

— U Pas-de-Loup...

Choć wahanie trwało zaledwie krótką chwilę, nie uszło jednak uwagi Gilberta.

— Kłamiesz — zawołał Gilbert — a właściwie usiłujesz skłamać! Gdzie jest szkatułka? Chcę wiedzieć! Mów!

— Jest u mnie, w Wersalu — odrzekła hrabina zalewając się łzami i dygocąc na całym ciele.

— Jest u mnie, gdzie o godzinie jedenastej w nocy ma czekać na mnie Pas-de-Loup. Tak umówiliśmy się.

Na zegarze wybiła północ.

— Czy on jeszcze czeka?

— Tak.

— W którym pokoju?

— Kazałam mu czekać w salonie. Stoi tam, oparty o kominek.

— A gdzie jest szkatułka?

— Leży przed nim na stole... Och!...

— Co takiego?

— Niech on jak najszybciej odejdzie stamtąd. Mój mąż, który miał powrócić dopiero jutro, wraca tej nocy z powodu ostatnich wydarzeń. Widzę go. Jest w tej chwili w Sevres. Niech tamten człowiek idzie precz, aby go hrabia nie zastał w domu.

— Wasza Królewska Mość słyszy? Gdzie mieszka w Wersalu hrabina de Charny?

— Gdzie pani mieszka, hrabino?

— Na bulwarze Królowej.

— Doskonale!

— Wasza Królewska Mość raczył usłyszeć... Ta szkatułka należy do mnie. Czy Wasza Królewska Mość wyda rozkaz zwrócenia mi jej?

— Będzie niezwłocznie zwrócona. Król zasłonił hrabinę parawanem, by jej nie widziano, przywołał przybocznego oficera i szeptem wydał mu rozkaz.

XXIV

KRÓLEWSKA FILOZOFIA

Ówczesni mężowie stanu, usiłujący od trzech miesięcy znaleźć rozstrzygnięcie najaktualniejszych zagadnień, z pewnością z niedowierzaniem patrzyli na tak niecodzienne zainteresowanie króla, którego tron w tej samej chwili podkopywany był przez jego poddanych. Ta ciekawość uczonego, dążącego do odgadnięcia pewnego materialnego zjawiska, była tym dziwniejsza, że pochłaniała króla w momencie, kiedy we Francji dokonywało się nieznane dotąd wydarzenie polityczne, a mianowicie przekształcanie monarchii w państwo demokratyczne. Nic więc dziwnego, że widok króla, który w czasie szalejącej dokoła niego burzy potrafił zapomnieć o wszystkim, co się dzieje dokoła niego, mógł wywołać uśmiech na ich ustach.

W chwili kiedy na zewnątrz rozlegały się groźne pomruki buntu, król jak gdyby całkowicie zapomniał o straszliwych wydarzeniach ubiegłej doby, a więc o tym, że zdobyto Bastylię, że zamordowano de Flessellesa, de Launaya i de Losme'a, że Zgromadzenie Narodowe gotowe było w każdej chwili powstać przeciwko swemu monarsze. Tak, ten właśnie król, Ludwik XVI, był całkowicie zaprzątnięty najzupełniej ubocznymi sprawami, a widok niezwyklej sceny w jego gabinecie pochłaniał go w tym samym niemal stopniu, co najważniejsze sprawy jego rządów.

Po wydaniu rozkazów przybocznemu oficerowi król powrócił do Gilberta, który był właśnie zajęty uwalnianiem hrabiny spod działania fluidu magnetycznego i pragnął zastąpić uśpienie somnambuliczne zwykłym spokojnym snem.

Po chwili hrabina oddychała już równo i spokojnie niczym śpiące dziecko. Wtedy Gilbert jednym ruchem ręki otworzył jej oczy i wyprowadził ze stanu sztucznego snu.

Dopiero wtedy w całej swej okazałości wystąpiła uroda hrabiny, wyzbyta ze wszystkiego, co ziemskie. Krew, która napłynęła na krótko do jej policzków i zaczerwieniła je, teraz odpłynęła z powrotem do serca, które odzyskało swe miarowe tętno. Twarz powlokła bladeść, przypominająca ową piękną, matową cerę kobiet na Wschodzie, oczy, nieco bardziej niż zazwyczaj rozszerzone, były skierowane ku górze, nos o rozchylonych nozdrzach zdawał się oddychać najczystszym powietrzem, wreszcie z lekka rozchylone usta, które nic nie utraciły ze swego karminu, pozwalały ujrzeć rząd pięknie połyskujących perełek zębów.

Nieznacznie przechylona głowa pełna była niewypowiedzianego, niemal anielskiego czaru. Odnosiło się wrażenie, że to znieruchomiałe spojrzenie, wylatujące gdzieś w zaświaty, sięgało stóp tronu Boga w niebiosach.

Król stał ołsniony. Gilbert z westchnieniem odwrócił głowę. Nie mógł się oprzeć pokusie, by nie podziwiać nieziemskiej urody hrabiny.

Uczył ruch ręką, nie odwracając głowy w stronę hrabiny jej oczy natychmiast zamknęły się.

Król życzył sobie, żeby Gilbert wytłumaczył mu ów przedziwny stan, kiedy dusza wyzwała się z ciała i wolna, szczęśliwa i boska unosi się ponad ziemskimi niedolami.

Gilbert, podobnie jak wszyscy ludzie o niezaprzeczalnej wyższości, umiał zdobyć się na słowa tak trudne do wypowiedzenia dla ludzi przeciętnych, a mianowicie: „Nie wiem!” Przyznał się królowi do tego, że nie rozumie istoty zjawiska, którego sam był sprawcą. Nie umiał wytłumaczyć tego, co sam spowodował.

Istnienia faktu nie można było zaprzeczyć, brakowało jedynie jego wytłumaczenia.

— Doktorze — odpowiedział król na wyznanie Gilberta — oto jeszcze jedna z tych tajemnic, jakie natura zachowuje dla uczonych przyszłego pokolenia, a która zostanie odkryta, podobnie jak wiele innych, do dziś dnia niezbadanych tajemnic. My nazywamy je tajemnicami, a nasi

ojcowie nadaliby im miano czarów lub praktyk czarnoksiężskich.

— Tak, Wasza Królewska Mość — odrzekł Gilbert uśmiechając się nieznacznie — i mnie również spotkałby zaszczyt być spalonym na placu de Greve ku jeszcze większej chwale religii, której się nie rozumiało, przez uczonych pozbawionych wiedzy lub przez kapłanów bez wiary.

— Pod czym kierunkiem studiował pan tę wiedzę? — zapytał król. — Czy u Mesmera?

— O, nie, Wasza Królewska Mość — odparł Gilbert. — Byłem świadkiem najbardziej zdumiewających przykładów tej nauki dziesięć lat przed rozgłosem imienia Mesmera we Francji.

— Niechże mi pan powie, doktorze, czy ten Mesmer, który wywołał tyle szumu w Paryżu, był według pana szarlatanem, czy też nie? Odnoszę wrażenie, że pan posługuje się prostszymi metodami aniżeli on. Opowiadano mi o jego doświadczeniach, a także o eksperymentach przeprowadzanych przez Deslona i Puységura. Jest panu zapewne wiadome wszystko, co mówiono na ten temat, zarówno brednie, jak i prawda?

— Owszem, śledziłem tę polemikę.

— I co pan sądzi o tym słynnym kubeczku?

— Zechce Wasza Królewska Mość mi wybaczyć, jeżeli na wszystkie stawiane mi pytania, mające związek z magnetyzmem, będę zmuszony odpowiedzieć wyrażeniem swych wątpliwości. Magnetyzm nie jest jeszcze umiejętnością.

— Czyżby?

— Jest na razie potęgą, straszliwą mocą, skoro potrafi oddzielić duszę od ciała, oddać je uśpione w ręce magnetyzera, pozbawiając zdolności, a nawet woli stawiania oporu. Widziałem zjawiska istotnie niezwykle i chociaż sam umiałem je wywoływać, jednak wątpliwości mnie nie opuszczają.

— Więc pan wątpi? Umiejąc czynić cuda, ma pan wątpliwości?

— Nie, Wasza Królewska Mość, nie wątpię. W tej oto chwili mam przed sobą przykład niesłychanej i nie znanej dotąd potęgi. Kiedy jednak ten dowód przeminie i ja zostanę sam w swojej bibliotece z tymi wszystkimi dziełami, jakie wiedza ludzka stworzyła na przestrzeni trzech tysięcy lat, kiedy ta wiedza powiada mi: „nie”, a moja dusza, mój rozum również mówią: „nie” — o, wtedy ogarniają mnie wątpliwości.

— A czy pański mistrz również je miewał?

— Możliwe że tak, ale był mniej szczery ode mnie i nigdy o tym nie mówił.

— A czy był nim Deslon, a może Puységur?

— Me. Moim mistrzem był człowiek bez porównania wyżej stojący od wszystkich wymienionych przez Waszą Królewską Mość osób. Byłem świadkiem tego, jak dokonywał cudów, zwłaszcza gdy chodziło o zadane rany. Żaden rodzaj wiedzy nie był mu obcy. Znał gruntownie teorie stworzone przez Egipcjan, posiadał wszystkie tajemnice starożytnej cywilizacji asyryjskiej. Był to wielki uczone i filozof, obdarzony niezwykle wiedzą, zdolny połączyć życiowe doświadczenie z niezłomnością woli.

— Czy ja go znałem? — zapytał król. Gilbert zawahał się z odpowiedzią.

— Pytam pana, czy go znałem? — powtórzył król.

— Tak, Wasza Królewska Mość znał go.

— Jakie nosił nazwisko?

— Naraziłbym się być może na niełaskę Jego Królewskiej Mości, gdybym wymienił to nazwisko. Nie chciałbym, zwłaszcza w chwili obecnej, kiedy większość Francuzów naraża na szwank majestat tronu, by cokolwiek mogło rzucić cień na szacunek, jaki winni jesteśmy Waszej Królewskiej Mości. — Doktorze Gilbert, możesz bez obawy wymienić nazwisko tego człowieka i bądź przekonany, że ja również posiadam własną filozofię. Jest to filozofia pewnego hartu, który pozwala mi śmiać się ze wszystkich obelg doczesnych i z pogroźek na przyszłość.

Pomimo tej zachęty Gilbert wciąż jeszcze się wahał. Król podszedł do niego i rzekł uśmiechając się:

— Nawet gdybyś wymienił mi samego Szatana, znajdą przeciwko niemu pancerz, jakiego wasi dogmatycy nigdy nie mieli i mieć nie będą, bo tylko ja jeden posiadam go w dzisiejszych czasach i noszę go nie wstydząc się — to religia!

— To prawda — odrzekł Gilbert — Wasza Królewska Mość zachował wiarę jak święty Ludwik.

— I muszę ci oświadczyć, doktorze, że na tym polega cała moja siła. Wie pan, że kocham naukę, uwielbiam osiągnięcia matematyków i wie pan, że formuła algebraiczna sprawia mi ogromną przyjemność. Kiedy jednak spotykam ludzi, którzy wykorzystują algebrę, aby zaprzeczać religii i posuwają się aż do ateizmu, wtedy sięgam do wiary, która zarówno wywyższa mnie ponad nich, jak i stawia niżej od nich. Wyżej, o ile chodzi o dobro, niżej — gdy w grę wchodzi zło. Widzisz więc, doktorze, że jestem człowiekiem, któremu można wszystko powiedzieć, że jestem królem, który potrafi wszystkiego wysłuchać.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości za te słowa — odrzekł Gilbert z pewnego rodzaju podziwem. — Jest to prawie przyjacielskie wyznanie, którym zostałem zaszczycony.

— Pragnąłbym — pośpieszył dodać nieśmiało Ludwik XVI — by cała Europa usłyszała to, co mówię. Gdyby Francuzi umieli odczytać w moim sercu całą moc i całą tkliwość, jaka jest w nim zawarta, sądzę, że mniej by się mi przeciwstawiali. Ostatnie zdanie króla nie zrobiło dobrego wrażenia na Gilbertcie, który postanowił odpowiedzieć bez ogródek:

— Wasza Królewska Mość sam sobie tego życzy, więc powiem: moim mistrzem był hrabia Cagliostro.

— Och — zawołał król oblewając się rumieńcem — ten empiryk!

— Tak, ten empiryk! — odparł Gilbert. — Waszej Królewskiej Mości jest zapewne wiadome, że wyraz, którego raczył użyć, należy do jednego z najszlachetniejszych, jakim się posługuje nauka. „Empiryk” znaczy to samo, co „człowiek, który zdobywa doświadczenie”. Zdobywajmy je zawsze. Dla myśliciela czy dla człowieka uprawiającego jakiś zawód praktyczny, wreszcie dla każdego człowieka jest to równoznaczne z tym, co Bóg pozwolił nam, ludziom śmiertelnym, czynić najlepszego i najwznioślejszego. Niechby człowiek całe swe życie strawił na zdobywaniu doświadczenia, a będzie ono wypełnione ponad miarę.

— Ależ doktorze! Cagliostro, którego tak bronisz, był wielkim wrogiem królów!

Gilbert przypomniał sobie sprawę królewskiego naszyjnika.

— A może raczej wrogiem królewskich żon? To ukłucie mocno dotknęło króla.

— Tak. W całej tej aferze księcia Ludwika de Rohan jego stanowisko było bardzo zastanawiające.

— Pozwolę sobie zauważyć, że podobnie w tej sprawie, jak w innych, Cagliostro miał do spełnienia misję dotyczącą wszystkich ludzi — wzbogacenia własnego doświadczenia. Gdy chodzi o naukę, o zasady moralne czy o politykę, nie istnieje pojęcie dobra lub zła. Są jedynie zjawiska stwierdzone, fakty dokonane. Gotów jestem jednak przyznać słuszność Waszej Królewskiej Mości. Zgadzam się, że jako człowiek niejednokrotnie mógł zasługiwać na nagane, ale kto wie, czy pewnego dnia owa nagana nie zostanie uznana za powód do pochwał. Przyszłość zmienia niekiedy swój sąd o ludziach. W każdym razie ja pobierałem u niego nauki nie jako u człowieka, lecz jako u filozofa i uczonego.

— Zgoda, zgoda... — odrzekł król wciąż jeszcze urażony podwójną raną, która została zadana i jego dumie, i jego sercu. — Zapominamy jednak o hrabinie, która jest być może cierpiąca.

— Obudzę ją, jeżeli Wasza Królewska Mość sobie tego życzy. Wolałbym jednak, by owa szkatułka została tu dostarczona w czasie, gdy hrabina będzie jeszcze spała.

— Dlaczego?

— Aby zaoszczędzić jej zbyt srogiej nauczki.

— A oto właśnie ktoś nadchodzi — powiedział król. — Zaczekajmy.

Rozkaz króla został wypełniony jak najdokładniej. Szkatułka, przyniesiona do pałacu hrabiny de Charny przez agenta policyjnego Pas-de-Loup, znalazła się w gabinecie króla niemal tuż przed oczami hrabiny, która jednak nie mogła jej widzieć.

Król wyraził podziękowanie oficerowi, który przyniósł szkatułkę. Oficer oddalił się.

— A więc! — przemówił Ludwik XVI, — Oto szkatułka, która została mi odebrana.

— Proszę ją otworzyć.

— Uczynię to, jeżeli Wasza Królewska Mość sobie tego życzy. Muszę jednak pana o czymś uprzedzić.

— O czym?

— Jak już powiedziałem, ta szkatułka zawiera jedynie papiery, które można bez trudu przeczytać i zabrać. Od nich zależy honor pewnej kobiety.

— Czy jest nią hrabina?

— Tak. Honor hrabiny bynajmniej od tego nie ucierpi, że zawartość szkatułki będzie znana Waszej Królewskiej Mości. Zechce więc Wasza Królewska Mość ją otworzyć — rzekł Gilbert zbliżając się do szkatułki i podając kluczyk królowi.

— Niech ją pan zabierze — odparł oziębłe Ludwik XVI — jest pańską własnością.

— Dziękuję. A co mam zrobić z hrabiną?

— Proszę jej nie budzić tutaj. Chcę przede wszystkim uniknąć niespodzianek i cierpień.

— Hrabina obudzi się dopiero tam, dokąd Wasza Królewska Mość uzna za właściwe ją przenieść.

Król zadzwonił. Wszedł oficer.

— Kapitanie — rzekł król — hrabina zemdlą tutaj dowiedziawszy się o wiadomościach, jakie przysły z Paryża. Proszę przenieść ją do apartamentów królowej.

— Ile czasu zajmie przenoszenie? — zapytał króla Gilbert. — Około dziesięciu minut.

Gilbert wyciągnął rękę nad hrabiną i rzekł:

— Obudzisz się za kwadrans!

Na rozkaz oficera do gabinetu weszli dwaj żołnierze, którzy na kozetce wynieśli hrabinę.

— Czegóż chce pan jeszcze ode mnie? — zapytał król.

— Proszę o wyświadczenie łaski, która zbliżyłaby mnie do Waszej Królewskiej Mości i jednocześnie pozwoliłaby być pożytecznym dla mego króla.

Król zastanowił się.

— Niech pan wytłumaczy, o co mu chodzi.

— Pragnąłbym zostać przybocznym lekarzem Waszej Królewskiej Mości — odrzekł Gilbert.

— Nie stanę nikomu na drodze. Jest to bardzo zaszczytne stanowisko i jest raczej związane z zaufaniem aniżeli z honorami.

— Zgadzam się! — odparł król. — Żegnam pana, panie Gilbert. A propos... niech pan serdecznie pozdrowi ode mnie barona Neckera. Żegnam.

Wychodząc Ludwik XVI zawołał:

— Moja kolacja!

Nie było bowiem takiego wydarzenia, które pozwoliłoby królowi zapomnieć o spożyciu kolacji.

XXV

U KRÓLOWEJ

Podczas gdy król uczył się, jak za pomocą filozofii zwalczać rewolucję, studiując arkana wiedzy tajemnej, królowa — również obdarzona umysłem filozoficznym, choć nieco odmiennym, lecz nie mniej głębokim — zebrała dokoła siebie w swym dużym gabinecie tych wszystkich, których nazywano „oddanymi” jej ludźmi, z tego zapewne powodu, że żaden z nich nie złożył dotąd jakiegokolwiek dowodu swej wierności, a w każdym razie nie usiłował tego uczynić.

U królowej również mówiono o wydarzeniach ubiegłego dnia, nie pomijając żadnego szczegółu. Znając nieustraszoną królowej, przede wszystkim powiadomiono ją o grożącym jej niebezpieczeństwie. Wokół królowej widziało się zebranych generałów, dworzan, a także księży i kobiety.

Przy drzwiach i za kotarami, które je zasłaniały, pełno było młodych oficerów, tchnących odwagą i zapalem. W tych burzliwych wydarzeniach każdy z nich upatrywał od dawna oczekiwanej sposobności popisania się swym męstwem przed damami jak na turniejach rycerskich. Toteż wszyscy, zarówno bliscy jak i oddani dworowi królewskiemu, z uwagą słuchali ostatnich nowin z Paryża, opowiadanych przez księcia de Lambesca, który był świadkiem tych wydarzeń i wraz ze swym pułkiem, pokrytym jeszcze kurzem z Tuileries, pośpieszył do Wersalu, by składając wierną relację niejako pocieszyć tych wielce strapionych ludzi.

Królowa siedziała przy stole. Nie była to już owa łagodna i piękna narzeczona, ów anioł opiekuńczy Francji, którą widzieliśmy na początku tej opowieści, jak z gałązką oliwną w ręce przekraczała na północy granicę Francji. Nie była to nawet owa piękna i pełna wdzięku księżniczka, którą widzieliśmy, jak pewnego wieczora wraz z księżniczką de Lamballe wchodziła do tajemniczego domu Mesmera i usiadłszy z roześmianą i niedowierzającą minką obok tajemniczej czary, zażądała ukazania przyszłości, która ją czeka.

O, nie! Tym razem miało się przed sobą wyniosłą i stanowczą królowę, o zmarszczonych brwiach i wzgardliwym skrzywieniu ust. Była to kobieta, z serca której ulotniła się już spora doza miłości, a miejsce tego słodkiego i wibrującego życiem uczucia wypełniło się żółcią. Była to kobieta z owego trzeciego portretu wiszącego w galerii w Wersalu, czyli już nie Maria Antonina, nie królowa francuska, lecz ta, którą zaczęto nazywać nie inaczej, jak „ta Austriaczka”.

Z tyłu za nią, na wpół ukryta w cieniu na poduszkach kozetki, z głową wspartą na ręce i odrzuconą w tył, spoczywała jakaś dama. Była to pani de Polignac. Spostrzegłszy księcia de Lambesc, królowa uczyniła jeden z tych gestów przepojonych rozpacziwą radością, który miał oznaczać: „Nareszcie dowiemy się czegoś”.

Książę de Lambesc skłonił się, jak gdyby prosząc jednocześnie, by mu zostało wybaczone, iż ośmiela się zjawić w zabłoconych butach, w zakurzonym ubraniu i z wyszczerbionym pałaszem, który nie chciał wejść do pochwy.

— I cóż, książę de Lambesc — zapytała królowa — czy pan wraca z Paryża?

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— Jak się zachowuje lud?

— Morduje i pali.

— Z zamroczenia, czy z nienawiści?

— O nie, z okrucieństwa.

Królowa zamyśliła się, jak gdyby skłonna była podzielać jego opinię dotyczącą ludu.

Następnie, potrząsając głową, powiedziała:

— O nie. Lud nie jest okrutny. W każdym razie nie jest nim bez powodu. Proszę nic nie ukrywać przede mną. Czy to jest szaleństwo, czy też nienawiść?

— Sądzę, że jest to nienawiść granicząca z szaleństwem.

— Nienawiść do kogo? Znów zawahałeś się, książę... Zechciej mieć na uwadze, że jeżeli masz zamiar w podobny sposób opowiadać o tym, co się dzieje, zamiast pytać ciebie o to, poślę do Paryża któregoś z moich gońców. Zużyje godziną na jazdę w jedną stronę, następną na zdobycie wiadomości i wreszcie godzinę na powrotną drogę. Czyli nie miną trzy zaledwie godziny, a ten człowiek wróci i szczerze, bez ukrywania, jak goniec u Homera, opowie mi o wszystkich wydarzeniach.

Pan de Dreux–Breze zbliżył się z uśmiechem na twarzy.

— Ależ, Wasza Królewska Mość, cóż królowę może obchodzić nienawiść ludu? To przecież nie dotyczy Waszej Królewskiej Mości. Lud może nienawidzić wszystkich prócz swej królowej.

Królowa nawet nie zwróciła uwagi na to pochlebstwo.

— A więc, niech mi książę opowie, jak te sprawy wyglądają...

— A więc wyglądają tak, Wasza Królewska Mość, że lud kieruje się nienawiścią.

— Nienawiścią do mnie?

— Do wszystkiego, co sprawuje nad nim władzę.

— Tak, to prawda! Zdaję sobie z tego sprawę! — przyznała królowa.

— Jestem żołnierzem, Wasza Królewska Mość.

— Więc też mów jak przystało żołnierzowi. Co należy czynić?

— Mc, Wasza Królewska Mość.

— Jakże to? Nic? — zawołała królowa zachęcona szmerem, jaki te słowa wzbudziły wśród haftowanych fraków i złotych szpad jej dworzan. — Nic? I to mówi lotaryński książę do królowej Francji w chwili, kiedy, jak to wynika z jego słów, lud morduje i pali? Więc książę de Lambesc powiada, że nic nie możemy uczynić?

Rozległ się ponowny szmer, tym razem wyraźnie aprobujący słowa wyrzeczone przez królowę.

Maria Antonina odwróciła się, ogarnęła spojrzeniem otaczający ją krąg ludzi, jak gdyby chcąc wśród tych rozplomienionych oczu odnaleźć te, które najbardziej płonęły i mówiły o najdalej posuniętej wierności.

— Tak — powtórzył książę de Lambesc — nie możemy nic uczynić, gdyż ludność Paryża sama się uspokoi, jeżeli zostawimy ją w spokoju, i przeciwnie — nabierze wojowniczego animuszu, jeżeli ją zechcemy drażnić. Po cóż wypowiadać jej walkę i narażać się na ryzyko, jakie towarzyszy każdej bitwie? Zachowajmy spokój, a nie miną trzy dni, kiedy wszystko w Paryżu powróci do równowagi.

— A Bastylia?

— Bastylia? Zamkniemy jej bramy, a ci, którzy ją zdobyli, sami znajdą się pod kluczem! Ot i wszystko!

Wśród ludzi, zachowujących dotąd milczenie, dało się słyszeć kilka stłumionych wybuchów śmiechu. Królowa podjęła na nowo rozmowę.

— Widzę, że książę chce mnie za wszelką cenę uspokoić... Zamyślona, wsparłszy podbródek na dłoni, zwróciła się w stronę pani de Polignac, która siedziała blada i posmutniała, robiąc wrażenie osoby pogrążonej w głębokiej zadumie.

— I cóż powiesz, hrabino, na to wszystko?

— Niestety, nie mam nic do powiedzenia.

— Co? Nic?

— Niestety... — odparła hrabina de Polignac czyniąc głową ruch, który świadczył o ostatecznej rezygnacji.

— Ależ nie ma żadnego powodu! — szepnęła królowa, nachylając się do ucha hrabiny. — Czyżby strach obleciał przyjaciółkę bogini Diany?

Po czym dodała głośniejszym głosem:

— A gdzie jest nasza nieustraszona hrabina de Charny? Mam wrażenie, że jest tu bardzo potrzebna dla podtrzymania nas na duchu...

— Hrabina miała już odjechać — odezwała się pani de Misery — kiedy ją nieoczekiwanie wezwano do króla.

— Ach, tak, do króla? — zawołała w roztargnieniu królowa. Dopiero wtedy Maria Antonina spostrzegła, że dokoła niej zapanowała jakaś nieco dziwna cisza, spowodowana tym, że przykre nad wyraz, niewiarygodne wypadki, których echa raz po raz nadchodziły do Wersalu, wzburzyły nawet najbardziej zahartowane serca, wywołując w nich raczej zdumienie aniżeli lęk.

Królowa uprzytomniła sobie, że należy podnieść na duchu tych przygnębionych ludzi.

— Więc nikt nie pośpieszy z udzieleniem mi rady? — zapytała. — W takim razie sama jej sobie udzielię.

Wszyscy zbliżyli się do królowej.

— Lud — rzekła — wcale nie jest zły, dał się jedynie wprowadzić w błąd. Nienawidzi nas dlatego, że nas nie zna. Musimy się zbliżyć do niego.

— Ale tylko po to, by go ukarać za to, że odwrócił się od swych panów, a to już jest zbrodnią.

Królowa spojrzała w stronę, skąd nadszedł ten głos i poznała, że pochodził od pana de Bezenvala.

— To pan, baronie! Czy przychodzi pan z jakąś dobrą radą?

— Wasza Królewska Mość, rada już została udzielona — odparł de Bezenval składając ukłon.

— Zgoda. Karę wymierzy król, ale uczyni to jak dobry ojciec.

— Kto bardzo kocha, surowo karze! — podchwycił baron. Po czym, zwracając się do księcia de Lambesc, dodał:

— Czy księżę nie podziela mego zdania? Lud dopuścił się morderstw...

— Które nazywa, niestety, zaledwie odwetem — odezwał się czyjś łagodny i tchnący świeżością głos. Na jego dźwięk królowa odwróciła się.

— Księżna ma całkowitą słuszność. Na tym właśnie, droga księżno Lamballe, polega jego błąd. Bądźmy więc wyrozumiali.

— Sądzę jednak — odrzekła księżna nieśmiało — że zanim zastanowimy się nad tym, czy mamy go ukarać, zadajmy sobie pytanie, czy potrafimy zwyciężyć...

Rozległ się powszechny okrzyk protestu przeciwko słowom prawdy, jakie wyszły z tych szlachetnych ust.

— Zwyciężymy? A Szwajcarzy? — zawołał ktoś.

— A Niemcy? — dodał inny.

— A gwardia przyboczna? — dorzucił ktoś trzeci.

— Tu ktoś wyraża brak zaufania do armii i do szlachty! — zawołał młodzieniec w mundurze huzarów Bercheny'ego. — Czy zasłużyliśmy na podobny dyshonor? Niechże pani nie zapomina o tym, że Jego Królewska Mość, jeżeli tylko zechce, potrafi jutro ustawić w szeregu czterdzieści tysięcy ludzi, poprowadzi ich na Paryż i zburzy go. Zechce też pani liczyć się z tym, że czterdzieści tysięcy wiernego żołnierza znaczy więcej aniżeli pół miliona zbuntowanych paryżan.

Młodzieniec, który przemówił w ten sposób, rozporządzał niewątpliwie jeszcze wielu innymi tego rodzaju argumentami, które gotów był przytoczyć, widząc jednak skierowany na siebie wzrok królowej, umilkł. Mówił stojąc w gromadce oficerów, a jego zapal mógł zaprowadzić go

dalej, niż na to pozwalał jego wojskowy stopień i przyjęte na dworze obyczaje.

Umilkł więc zmieszany wrażeniem, jakie wywarły jego słowa.

Było jednak za późno. Przechodząc obok, królowa podchwyciła jego słowa.

— Czy pan wie, poruczniku, jaka jest sytuacja? — zapytała go dobrotliwie.

— Tak, Wasza Królewska Mość — odpowiedział młody oficer. — Byłem na Polach Elizejskich.

— W takim razie niech pan mówi nic nie ukrywając. Młody oficer wystąpił naprzód, rumieniąc się coraz bardziej, i zbliżył się do królowej.

Jednocześnie de Lambesc i de Bezenval cofnęli się, jak gdyby uważając za uwłaczające ich godności asystowanie przy podobnej naradzie.

Królowa nie zwróciła na to uwagi lub udała, że nie widzi tego.

— A więc pan porucznik powiada, że król rozporządza czterdziestoma tysiącami żołnierzy? — zapytała.

— Tak, Wasza Królewska Mość!

— W okolicach Paryża?

— W Saint-Denis, w Saint-Mandé, na Montmartre i w Grenelle.

— Proszę o dalsze szczegóły!

— Książę de Lambesc i pan de Bezenval mogą udzielić Waszej Królewskiej Mości ściślejszych informacji aniżeli ja.

— Mech pan mówi dalej. Chcę słyszeć szczegóły z pańskich ust. Pod czyim dowództwem znajduje się tych czterdzieści tysięcy żołnierzy?

— Przede wszystkim pod dowództwem tych obu panów, następnie pod dowództwem księcia de Condé, pana de Narbonne-Fritzlar i pana de Selkenayma.

— Czy to prawda? — zapytała królowa zwracając się do księcia de Lambesc

— Tak, Wasza Królewska Mość — odpowiedział książę składając ukłon.

— Na Montmartre — mówił dalej młody oficer — znajduje się cały park artyleryjski. W ciągu sześciu godzin cała dzielnica, nad którą góruje Montmartre, może być obrócona w gruzy. Niechby tylko Montmartre dało sygnał do rozpoczęcia ognia, a Vincennes niezwłocznie mu odpowie. Wystarczy, aby dziesięć tysięcy żołnierzy przemaszerowało przez Pole Elizejskie, dziesięć tysięcy innych minęło roгатki d'Enfer, jeszcze innych dziesięć tysięcy ruszyło przez ulicę Saint-Martin, a wreszcie, by ostatnich dziesięć tysięcy otoczyło Bastylię. Niech Paryż tylko usłyszy strzelaninę w czterech najważniejszych punktach, a nie będzie stawiał oporu dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

— Nareszcie znalazł się ktoś, kto potrafi wyraźnie wytłumaczyć. Mamy przed sobą dokładny plan. Co o tym sądzi książę de Lambesc?

— Uważam — odparł z nieukrywaną wzgardą de Lambesc — że nasz pan porucznik huzarów jest najdoskonalszym generałem.

— Jest on przynajmniej — odpowiedziała królowa, patrząc na pobladłego z gniewu młodego oficera — żołnierzem, który nie traci nadziei.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości! — odrzekł młody oficer, składając ukłon pełen czci. — Nie wiem, jakie będą decyzje Waszej Królewskiej Mości, błagam jedynie o zaliczenie mnie do liczby tych, którzy gotowi są umrzeć za Waszą Królewską Mość, a proszę mi wierzyć, że wraz ze mną gotowych jest uczynić to samo czterdzieści tysięcy żołnierzy, nie licząc ich dowódców.

Te ostatnie słowa młody oficer wygłosił składając ukłon w stronę de Lambesca, który go przedtem niemal obraził.

Ten dowód kurtuazji ze strony młodzieńca zrobił na królowej większe wrażenie aniżeli

poprzedzając ją zapewnieniem wierności.

— Jakie jest pańskie nazwisko? — zapytała królowa.

— Baron de Charny, Wasza Królewska Mość! — odpowiedział młody oficer kłaniając się.

— Baron de Charny! — zawołała Maria Antonina rumieniąc się mimo woli. — A więc jest pan spokrewniony z hrabią de Charny?

— Jestem jego bratem.

Młody oficer złożył jeszcze bardziej uniżony ukłon.

— Powinam była — odparła królowa odzyskując panowanie nad sobą i pewnie spoglądając dokoła siebie — od razu domyśleć się, że jest pan jednym z najbardziej mi oddanych. Dziękuję, baronie. Czemu mam przypisać, że po raz pierwszy widzę cię przy dworze?

— Mój starszy brat, Wasza Królewska Mość, który zastępuje nam ojca, kazał mi przebywać w pułku. Od siedmiu już lat mam zaszczyt służyć pod rozkazami Jego Królewskiej Mości, a tylko dwa razy byłem dotąd w Wersalu.

Królowa na dłuższą chwilę zatrzymała swój wzrok na twarzy młodego oficera.

— Jest pan podobny do swego brata. Zbesztam go za to, że czekał, aż pan sam zamelduje się na dworze.

Królowa odwróciła się do swojej przyjaciółki, hrabiny, która podczas całej tej sceny pozostawała bez ruchu.

Całkiem inaczej zachowała się reszta obecnych. Oficerowie do żywego przejęci względami, jakie królowa okazała młodzieńcowi, prześcigali się w wyrażaniu swego oddania tronowi, a zewsząd dały się słyszeć słowa świadczące o takim bohaterstwie, że wystarczyłoby go dla całej Francji.

Królowa umiała wykorzystać podobne nastroje, jawnie sprzyjające jej ukrytym zamiarom. Wolą walczyć, a nawet umrzeć, niż poddać się.

Toteż zaraz po nadejściu pierwszych wiadomości z Paryża postanowiła stawiać zdecydowany opór buntownicemu duchowi, który groził zniweczeniem wszystkich przywilejów, jakie posiadały wyższe sfery Francji. Jeżeli istnieje na świecie jakaś ślepa i nie kierująca się rozumem siła, to wyrazem jej są liczby i płonne nadzieje. Wystarczy przecież za byle jaką liczbą nagromadzić szereg zer, a po chwili przewyższy ona wszystkie bogactwa, jakimi rozporządza świat.

Podobnie jest z dążeniami spiskowców lub tyranów: entuzjastyczne zamierzenia powstają na gruncie najbardziej nieprawdopodobnych nadziei, myśli rozpalają się, a później, zanim zdążą przyoblec się w jakiś kształt, pod wpływem byle podmuchu rozwiewają się niczym mgła.

Toteż wystarczyło, aby młody baron de Charny wypowiedział owych kilka słów, a dokoła rozległy się entuzjastyczne okrzyki obecnych, królowa zaś już widziała siebie na czele potężnej armii, już słyszała, jak toczą się armaty, a strach, jaki miał napęlić serca ludności Paryża, cieszył ją jak już odniesione, walne zwycięstwo.

Mężczyźni i kobiety, zebrani dokoła królowej, upojeni młodością, wiarą i miłością, powoływali się na owych wspaniałych huzarów, na pułki dragonów, na owych straszliwych Szwajcarów i groźnych kanonierów, pokpiwając jednocześnie z prostackich pik z nieciosanego drzewa, nie podejrzewając nawet, że wkrótce na ostrza tej ordynarnej broni będą wbite najznakomitsze głowy Francji.

— Jeżeli chodzi o mnie — szepnęła księżna de Lamballe — bardziej obawiam się takiej piki aniżeli muszkietu.

— Droga Tereso — odparła ze śmiechem królowa — dlatego chyba, że jest szkaradniejsza! Bądź jednak dobrej myśli. Nasi paryżanie, uzbrojeni w piki, ani nie umywają się do słynnych szwajcarskich lansjerów Morata, a chociaż dzisiejsi Szwajcarzy nie mają lanc, za to są uzbrojeni

w muszkiety, z których, chwalić Pana Boga, potrafią bardzo celnie strzelać.

— Jeżeli o to chodzi, ręczę za nich! — odpowiedział pan de Bezenval.

Królowa jeszcze raz zwróciła się w stronę hrabiny de Polignac, by przekonać się, czy wszystkie te zapewnienia zdołały ją uspokoić — ale hrabina była jeszcze bledsza i dygotała bardziej niż kiedykolwiek.

Nieraz zdarzało się, że królowa powodując się bezgraniczną dobrocią rezygnowała ze swojej królewskiej godności, by wywołać uśmiech na twarzy swej przyjaciółki, ale hrabina de Polignac nadal trwała w posępnym nastroju i zdawała się być pochłonięta najczarniejszymi myślami.

Mimo to królowa nie zniechęciła się. W grupie młodych oficerów nadal panował nastrój pełen entuzjazmu. Zebrani dokoła swego kolegi, barona de Charny, już opracowywali, bez udziału swych dowódców, plan przyszłej bitwy.

Naraz wśród tego podnieconego ożywienia, nie poprzedzany przez kamerdynerów i bez żadnej zapowiedzi, do salonu wszedł uśmiechnięty król.

Królowa, cała jeszcze rozplómienna od uczuć, jakie wzniciła dokoła siebie, szybko ruszyła na jego spotkanie.

Na widok króla wszystkie rozmowy urwały się, zapanowała głęboka cisza. Każdy czekał na słowo monarchy, na jedno z tych słów, które potrafią zelektryzować i zmusić do posłuszeństwa.

Kiedy opary są dostatecznie przesycone elektrycznością, najmniejszy wstrząs potrafi wykrzesać iskrę. Król i królowa, kroczący naprzeciw siebie, stanowili dla dworzan coś w rodzaju dwóch przesyconych elektrycznością chmur, z których miał uderzyć piorun.

Wszyscy zamienili się w słuch, oczekując w najwyższym napięciu na pierwsze słowa, jakie miały paść z królewskich ust. — Żono — rzekł Ludwik XVI — z racji tych wszystkich wydarzeń zapomniano podać roi kolację. Czy pozwolisz, że spożyję ją u ciebie?

— Tutaj? — zawołała królowa zdumiona w najwyższym stopniu.

— Jeżeli pozwolisz?

— Ależ...

— Byłaś zajęta rozmową, to prawda... ale ostatecznie mogę również rozmawiać jedząc...

Ten pospolity wyraz „jeść” zmroził powszechny entuzjazm. Słyszając ostatnie słowa wypowiedziane przez króla: „mogę rozmawiać jedząc”, młoda królowa skłonna była uwierzyć, że pod przykrywką tego zewnętrznego spokoju może się kryć bodaj odrobina bohaterstwa.

Niewątpliwie, wykazując podobne opanowanie król chciał niejako dać do zrozumienia, że jest wyższy ponad wszystkie okropności, jakie przynosiły ostatnie wydarzenia. Ależ tak! Córka Marii Teresy nie mogła uwierzyć, by syn świętego Ludwika w podobnych okolicznościach potrafił myśleć o tak poziomych sprawach życia codziennego.

Niestety, myliła się. Król był po prostu głodny — nic poza tym.

XXVI

KRÓLEWSKA KOLACJA 14 LIPCA 1789 ROKU

Na rozkaz Marii Antoniny królowi nakryto niewielki stół w gabinecie królowej. Ale wypadki przybrały zgoła inny obrót, aniżeli się spodziewała królowa. Ludwik XVI narzucił innym milczenie, ale uczynił to jedynie w tym celu, by mu nie przeszkadzano w jedzeniu. Gdy królowa usiłowała na nowo rozniecić powszechny entuzjazm, król najzwyczajniej objadał się. Oficerowie nie uznali tego popisu obżarstwa za liczący z godnością potomka świętego Ludwika i zbrali się w niewielkie grupki, dając wyraz poglądom nie odznaczającym się poszanowaniem osoby królewskiej, jakby się tego należało spodziewać w tych warunkach.

Królowa zaczerwieniła się, a każdy jej ruch świadczył o zniecierpliwieniu, które ją ogarnęło. Ta subtelna, arystokratyczna i nerwowa natura nie mogła się pogodzić z przewagą materii nad duchem. Podeszła do stołu, przy którym siedział król, by zbliżyć do niego tych, co się usunęli.

— Czy Wasza Królewska Mość nie ma żadnych rozkazów do wydania?

— O jakie rozkazy chodzi? — zapytał król, mając pełne usta. — Czy chciałabyś w tych ciężkich chwilach być naszą Egerią? — Po czym z zapalem zabrał się do spożywania nadziewanej truflami pulardy, — Wasza Królewska Mość! — odparła królowa. — Numa był pokojowo usposobionym królem. Otóż dziś przeważnie utrzymuje się pogląd, że potrzebny jest nam król wojowniczy i że jeżeli Wasza Królewska Mość chce się koniecznie wzorować na dziejach starożytnych, to nie mogąc być Tarkwiniuszem, będzie zmuszony zostać Romulusem.

Król uśmiechnął się ze spokojem, który graniczył z bezmyślnością.

— A czy ci wszyscy panowie również są wojowniczo usposobieni? — zapytał, odwracając się do gromadki oficerów, a jego spojrzenie, nieco żywsze pod wpływem spożytej kolacji, wydało się obecnym prawie płonące odwagą.

— Wasza Królewska Mość! — krzyknęli jednogłośnie. — Wojna! Żądamy wojny!

— Ależ, panowie! Sprawiacie mi ogromną przyjemność dając dowód, że w razie potrzeby mogę liczyć na was. Na razie jednak muszę słuchać tego, co mi mówi moja rada przyboczna i mój żołądek. Bada powie mi dopiero, jak mam postąpić, a żołądek już mi radzi, abym robił to, co robię...

Król wybuchnął śmiechem, podając usługującemu oficerowi talerz pełen resztek i biorąc od niego czysty.

Przez tłum zgromadzonych dworzan przebiegł pomruk zdumienia i gniewu, a przecież ci ludzie gotowi byli przelać krew na pierwsze skinienie króla.

Królowa odwróciła się i tupnęła nogą.

De Lambesc podszedł do niej.

— Jego Królewska Mość jest najwidoczniej tego samego zdania co ja i sądzi, że najlepiej będzie, jeżeli się zaczeka. Jest to dowodem rozsądku, a więc cnoty w tej chwili szczególnie nam potrzebnej.

— O, tak — odparła królowa przygryzając usta aż do krwi — to bardzo potrzebna cnota.

Bezgranicznie zasmucona oparła się o kominiek z wzrokiem zagubionym w nocnym mroku, z duszą pogrążoną w rozpacz.

Te tak nie podobne do siebie usposobienia króla i królowej zwróciły powszechną uwagę. Królowa z trudem powstrzymywała łzy, a król w dalszym ciągu spożywał kolację z apetytem, właściwym wszystkim Burbonom.

Salon powoli opróżniał się. Grupki ludzi topniały niczym śnieg pod promieniami słońca,

ukazując gdzie indziej czarną, niewesołą ziemię.

Widząc, jak rzedną wojownicze szeregi, na które tak bardzo liczyła, królowa poczuła naraz, że oto rozpada się jej własna potęga, podobnie jak kiedyś morze pochłonęło na rozkaz Wszchemogącego niezliczone zastępy wojsk Asyryjczyków i Amaletyjczyków.

Z odrętwienia wyrwał ją pełen słodczy głos hrabiny Julianowej, która zbliżała się do niej wraz ze swą szwagierką Dianą de Polignac. Na dźwięk tego głosu znów odżyła w sercu dumnej kobiety nadzieja na lepszą przyszłość, bo wszak szczerza i prawdziwie oddana przyjaciółka warta była więcej niż dziesięć tronów.

— O, to ty, to ty! — szeptała tuląc w ramionach hrabinę.

— A więc została mi jeszcze wierna przyjaciółka!

Długo powstrzymywane łzy popłynęły z oczu. Nie były to jednak łzy goryczy, przeciwnie — sprawiały ulgę. Zamiast przygnębiać, uwalniały serce od ciężaru. Zapadła chwila ciszy. Królowa nadal trzymała hrabinę w objęciach. Tym razem milczenie przerwała księżna, która trzymała za rękę swą szwagierkę.

— Wasza Królewska Mość — odezwała się nieśmiałym, niemal zawstydzonym głosem — mam nadzieję, że plan, który ośmielę się przedstawić, nie zostanie odrzucony.

— Jaki plan? — zapytała królowa z zaciekawieniem. — Proszę, powiedz mi, księżno.

Przygotowując się do wysłuchania tego, co jej powie księżna Diana, królowa wsparła się na ramieniu swej ulubienicy, hrabiny.

— Pogląd, jaki będę miała zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości, pochodzi od osoby zasługującej na zaufanie, a mianowicie od Jej Wysokości księżny Adelajdy, ciotki Jego Królewskiej Mości.

— Po cóż ten długi wstęp, droga księżno — rzekła wesoło królowa. — O co chodzi?

— Wasza Królewska Mość! Okoliczności są nad wyraz smutne. Z wielką przesadą oceniono względy, z jakich korzysta nasza rodzina przy dworze Jej Królewskiej Mości. Oszczerstwami obrzucono przyjaźń, jaką nas obdarza Wasza Królewska Mość za nasze bezgraniczne oddanie.

— Ależ, księżno! — odpowiedziała królowa ze zdziwieniem. — Czy uważasz, że zachowałam się nie dość dzielnie, czy nie dochowałam w całej pełni wiary moim przyjaciółkom wbrew opinii, wbrew dworowi, wbrew ludziom, a nawet i wbrew samemu królowi?

— Przeciwnie, Wasza Królewska Mość tak udzielała pomocy swoim przyjaciołom i tak broniła ich przed każdym ciosem, że dziś, kiedy niebezpieczeństwo jest wielkie, a nawet straszliwe, owi przyjaciele szlachetnie bronieni przez Waszą Królewską Mość okazaliby się tchórzami i złymi sługami, gdyby nie spłacili długu wdzięczności swej królowej.

— Jakże to piękne! — odrzekła z przejęciem królowa okrywając pocałunkami hrabinę, którą wciąż tuliła do swej piersi, ściskając jednocześnie rękę Diany de Polignac.

Ale zarówno jedna jak i druga zbladły, zamiast z dumą unieść do góry głowy po tej królewskiej pieśczości.

Hrabina Julianowa de Polignac uczyniła nieznaczny ruch, jakby pragnąc uwolnić się z objęć królowej, ale ta wbrew jej woli zatrzymała ją przy sobie.

— Być może Wasza Królewska Mość raczyła nie zrozumieć tego, co mamy zaszczyt jej zaproponować dla odwrócenia ciosów, jakie zagrażają tronowi i osobie Waszej Królewskiej Mości, z powodu przyjaźni, jaką nas Wasza Królewska Mość obdarza. Jest to środek bolesny i ofiara pełna goryczy dla naszych serc, ale musimy ją ponieść, gdyż konieczność tego wymaga.

Teraz z kolei twarz królowej pokryła się bledością, wyczuła bowiem, że miejsce odważnej i wiernej przyjaźni zajął teraz strach, ukryty w tych słowach pełnych pozornej nieśmiałości.

— A więc proszę, księżno, powiedz, o jaką to ofiarę chodzi?

— Ta ofiara nas tylko dotyczy! — odpowiedziała księżna Polignac. — Bóg raczy wiedzieć,

dlaczego jesteśmy tak znienawidzeni we Francji. Usuwając się od stóp tronu, przywrócimy mu cały blask i żar miłości ludu. Tej miłości, która już zgasła lub którą tłumiała nasza obecność.

— Chcecie więc mnie opuścić? — zawołała królowa, przy tym spojrzała głęboko przejęta na hrabinę i lekko ją odsunęła.

— Nie chcę odejść, przeciwnie, pragnę pozostać — odrzekła hrabina opuszczając głowę.

Słowa te jednak były wypowiedziane takim tonem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jeżeli każesz mi odejść — odejdę...”

O święta przyjaźni i święte więzy, które mogą sprawić, że serce królowej i jej służebnej zostają nierozdzielnie połączone! O święta przyjaźni, zdolna do większego bohaterstwa, niż może się na nią zdobyć miłość lub wygórowana ambicja, te dwie szlachetne słabości, jakie w sobie kryje serce ludzkie! Jednym uderzeniem, królowo, została zburzona umiłowana kapliczka, jaką wznosiłaś w swym sercu. Wystarczyło jedno jedyne spojrzenie, byś ujrzała to, czego nie dostrzegałaś w ciągu dziesięciu lat. Być może, iż dałoby się wybaczyć i chłód, i wyrachowanie, lecz czym można usprawiedliwić to, że jedna strona jeszcze kocha, a druga porzuca, gdyż kochać już przestała...?

Za ból, którego doznała, królowa odwzajemniła się jedynie, lodowatym spojrzeniem, skierowanym na swą przyjaciółkę.

— A więc taka jest twoja rada, księżno Diano? — zawołała, przyciskając rękę do wzburzonego serca.

— Niestety, Wasza Królewska Mość — odrzekła księżna — to nie ja decyduję. Muszę postąpić tak, jak tego chce przeznaczenie.

— Dobrze więc, księżno — odpowiedziała królowa, po czym odwracając się do hrabiny, zapytała:

— A ty, hrabino, co powiesz?

Hrabina odpowiedziała łzami, które piekły niczym wyrzuty sumienia. Nie miała już jednak sił, by się oprzeć.

— Ciesz się, że jestem tak kochana. Dziękuję ci, hrabino. Istotnie, jesteście tu narażone na niebezpieczeństwo. Wściekłość tłumu nie zna hamulców. Macie słuszość, to ja byłam szalona, prosząc was, byście tu zostały. Byłoby to poświęcenie z waszej strony, ale ja nie chcę ofiar.

Hrabina spojrzała na królowę swymi pięknymi oczami, lecz niestety, zamiast gotowości poniesienia każdej ofiary królowa wyczytała w nich jedynie słabość kobiety.

— A więc, księżno — zapytała królowa — czy i ty postanowiłaś wyjechać?

Królowa położyła szczególny akcent na słowo „i ty”.

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— Zapewne do któregoś ze swych majątków... położonego... daleko stąd.

— Opuszczając Waszą Królewską Mość, pięćdziesiąt mil sprawia tyleż bólu, co sto pięćdziesiąt...

— Czyli udajesz się za granicę?... — Niestety, tak.

Ciężkie westchnienie rozdarło serce królowej, lecz nie wy dostało się z jej ust...

— Dokąd więc wyjeżdżasz?

— Nad brzegi Renu, Wasza Królewska Mość.

— To dobrze. Mówisz po niemiecku — dodała królowa z niewypowiedzianym smutnym uśmiechem — to ja ciebie nauczyłam. Przyda ci się więc, księżno, na coś przyjaźni królowej. Bardzo jestem z tego rada.

Następnie odwróciwszy się do hrabiny Julianowej, królowa dodała:

— Nie chcę was rozłączać. Pragniesz zostać, hrabino, umiem to ocenić — ale lękam się o ciebie i chcę, abyś również wyjechała. Rozkazuję ci, abyś wyjechała.

Królowa zatrzymała się na chwilę i nie byłaby w stanie pomimo bohaterskich wysiłków powstrzymać natłoku wzruszeń, jakie ją ogarnęły, gdyby w tym momencie nie rozległ się głos króla, który nie brał udziału w tej scenie, choć był przy niej obecny, zajęty spożywaniem deseru.

— Otrzymało wiadomość, że ktoś przybył do pani — rzekł król do Marii Antoniny.

— Ależ, przede wszystkim — zawołała królowa, wyzbywając się wszelkich względów prócz tych, które nakazywała jej godność królowej — Wasza Królewska Mość powinien wydać jakieś rozkazy. Są tu jedynie trzy osoby: książe de Lambesc, hrabia de Bezenval i marszałek de Broglie. Czekamy na rozkazy Waszej Królewskiej Mości!

Król podniósł ociężały, wahający się wzrok.

— I cóż sądzisz o tym wszystkim, marszałku?

— Wasza Królewska Mość — odrzekł sędziwy marszałek de Broglie — jeżeli wycofa się wojska z Paryża, powiedzą wówczas, że poniosło ono klęskę. Ale jeżeli Wasza Królewska Mość postanowi zostawić je, trzeba uczynić wszystko, by armia odniosła zwycięstwo.

— Doskonale powiedziane! — zawołała królowa, ściskając rękę marszałkowi.

— Znakomicie! — potwierdził de Bezenval. Jedynie de Lambesc potrząsał głową.

— I co dalej? — zapytał król.

— Niech Wasza Królewska Mość wyda rozkaz: „Maszerować!” — rzekł stary marszałek.

— Tak! Maszerować! — zawołała królowa.

— A więc dobrze. Wobec tego, że wszyscy tego żądacie, rozkazuję: „Maszerować!” — rzekł król.

W tej samej chwili królowej wręczono list, który zawierał te oto słowa:

„Na Boga, niech Wasza Królewska Mość nie działa zbyt pośpiesznie! Proszę o audiencję u Waszej Królewskiej Mości”.

— Jego podpis! — szepnęła królowa, po czym odwróciwszy się zapytała:

— Czy hrabia de Charny jest u mnie?

— Przybył cały zakurzony, a nawet, jak mi się zdaje, pokrwawiony — odpowiedziała zaufana pokojówka.

— Zechciejcie, panowie, zaczekać chwilkę! — zwróciła się królowa do pana de Bezenvala i marszałka de Broglie. — Zaraz wrócę. Po czym w pośpiechu udała się do swoich apartamentów. Król nawet nie odwrócił głowy.

XXVII

OLIWIER DE CHARNY

Wszedłszy do swego gabinetu, królowa zastała tam autora listu, który przyniosła jej pokojówka. Był to trzydziestopięcioletni mężczyzna, wysoki, o twarzy, która świadczyła o sile i stanowczości. Oczy miał niebieskawoszare, spojrzenie przenikliwe jak u orła, nos prosty. Mocno wystający podbródek nadawał twarzy stanowczy wyraz, co szczególnie podkreślał mundur porucznika gwardii przybocznej, jaki przybyły miał na sobie.

Drżące ręce wystawały spod poszarpanych mankietów. Szpada była wygięta i nie wchodziła do pochwy. Gdy królowa wchodziła, hrabia przemierzał dużymi krokami buduar, pochłonięty tysiącem gorączkowych, wzburzonych myśli.

Królowa podeszła wprost do niego.

— Hrabia de Charny! — zawołała. — To pan jest tutaj! Widząc, że ten, do którego się zwróciła, składa jej zgodny, z etykietą dworską pełen szacunku ukłon, królowa skinęła na pokojówkę, by się oddaliła i zamknęła za sobą drzwi.

Zaledwie zdążyły się zamknąć, kiedy królowa, ściskając z całej siły rękę hrabiego, zapytała go

— Hrabio! Po coś tu przybył?

— Wasza Królewska Mość, dlatego że uważałem stawienie się tutaj za swój obowiązek.

— Nie. Pańskim obowiązkiem było opuścić Wersal i postąpić tak, jak zostało umówione, to znaczy być mi posłusznym. Wreszcie obowiązkiem pańskim było postąpić tak, jak uczynili wszyscy moi przyjaciele, których przeraził mój przyszły los. Hrabio! Pańskim obowiązkiem jest odsunąć się, ode mnie, nie robiąc żadnych poświęceń.

— Mam się usunąć?

— Tak. Nawet uciec ode mnie.

— Ja miałbym uciec... od Waszej Królewskiej Mości?... Któż potrafi uczynić coś podobnego?

— Każdy, kto się kieruje rozsądkiem.

— Uważam siebie również za rozsądnego i właśnie dlatego przybyłem do Wersalu.

— A skąd pan przybywa, hrabio?

— Z Paryża.

— Ze zbuntowanego Paryża?

— Z Paryża, który wre, jest upojony i ocieka krwią. Królowa zakryła twarz obiema rękami.

— Och! A więc nikt, nawet pan nie przyniesie mi jakiejś pomyślnej wiadomości.

— Wasza Królewska Mość może żądać od tych, którzy ją w obecnych warunkach informują, tylko jednego — prawdy!

— A czy to co ty mi przynosisz, hrabio, jest prawdą?

— Jak zawsze, Wasza Królewska Mość!

— Zaczęłaś masz duszę, hrabio, i prawe serce!

— Jestem wiernym poddanym Waszej Królewskiej Mości — to wszystko!

— A więc dobrze, przyjacielu! Zmiłuj się i nie mów mi teraz ani słówka. Przybywasz w chwili, kiedy serce moje pęta. Moi przyjaciele po raz pierwszy zadrezczają mnie prawdą, której ty, hrabio, nigdy nie ukrywałeś. O, ta prawda! Nie sposób było ukrywać jej dłużej przede mną. Rzuca się w oczy wszędzie: w łunie, jaka widnieje na niebie, w powietrzu, które jest pełne złowieszczych odgłosów. Widzę ją na pobludłych pełnych skupienia twarzach moich dworzan. O, nie, nie! Po raz pierwszy w swym życiu nie mów mi, hrabio, prawdy! Hrabia de Charny

przyjrzał się bacznie królowej.

— Jesteś zdumiony, hrabio — mówiła dalej — prawda? Znałeś mnie dotąd jako bardzo dzielną. Ale to jeszcze nie koniec wszelkich niespodzianek!...

Hrabia mimo woli wykonał ruch oznaczający zapytanie.

— Dowiesz się, hrabio, za chwilę — odpowiedziała królowa uśmiechając się w zdenerwowaniu.

— Czy Waszej Królewskiej Mości coś dolega?

— O, nie, nie! Zechciej, hrabio, usiąść przy mnie i ani słówka więcej o tej okropnej polityce. Zrób wszystko, bym zapomniała o niej.

Hrabia ze smutnym uśmiechem zgodził się. Królowa położyła rękę na jego czole.

— Masz rozpalone czoło, hrabio.

— O, tak, wulkan płonie w mojej głowie.

— Masz lodowatą rękę...

Królowa ujęła rękę hrabiego w swoje dłonie.

— Serce przeszywa mi zimne tchnienie śmierci — powiedział hrabia.

— Biedny Oliwierze! Przecież prosiłam, abyśmy zapomnieli... nie jestem królową, nic mi nie zagraża, nie jestem znenawidzona... O, nie, nie! Nie jestem już królową, jestem tylko kobietą. Cóż mi po całym świecie... Wystarczy mi jedno kochające serce...

Hrabia ukląkł przed królową, całując jej stopy z taką samą czcią, jak to czynili Egipcjanie składając hołdy bogini Izis.

— O, jedyny mój przyjacielu! — rzekła królowa usiłując go podnieść. — Czy wiesz, co zrobiła księżna Diana?

— Opuszcza Francję — odpowiedział bez chwili wahania hrabia.

— Zgadłeś — zawołała królowa — zgadłeś. Niestety! A więc to było do przewidzenia?

— Tak, Wasza Królewska Mość — odrzekł hrabia. — Niestety, w obecnej chwili można się wszystkiego spodziewać.

— W takim razie co ty, hrabio, i twoi bliscy zamierzacie uczynić? — zawołała królowa. — Dlaczego wy nie opuszczacie Francji, skoro to jest takie zrozumiałe?

— Jeżeli chodzi o mnie, to nie opuszczę Francji przede wszystkim dlatego, że jestem całym sercem oddany Waszej Królewskiej Mości i dałem sobie słowo — sobie, a nie Waszej Królewskiej Mości, że na chwilę nie opuszczę jej podczas burzy, która nadciąga. Moi bracia również nie udadzą się na emigrację, gdyż moje postępowanie będzie dla nich wzorem, postąpią tak jak ja. Wreszcie, co się tyczy hrabiny de Charny, to ona również nie wyjedzie, gdyż jak mi się zdaje, ona kocha szczerze Waszą Królewską Mość.

— O, tak. Andrea ma bardzo szlachetne serce — rzekła królowa z nieukrywaniem chłodem.

— Oto powód dlaczego nie opuści Wersalu — odpowiedział hrabia.

— Będę więc was miała ciągle przy sobie — odparła królowa tym samym lodowatym tonem, w którym można było wyczuć i zazdrość, i niechęć.

— Wasza Królewska Mość zechciała uczynić mi wielki zaszczyt mianując mnie porucznikiem jej przybocznej gwardii — powiedział hrabia. — Moje miejsce jest więc w Wersalu. Nie opuściłbym nigdy mego posterunku, gdyby Wasza Królewska Mość nie wyznaczyła mnie do obrony Tuileries. Królowa powiedziała mi, że to wygnanie jest konieczne, więc się na nie udałem. Otóż, jak Waszej Królewskiej Mości zapewne jest wiadome, hrabina de Charny ani mi się nie sprzeciwiała, ani ja nie zasięgałem jej rady.

— Tak, to prawda — odrzekła królowa wciąż tym samym lodowatym tonem.

— Dziś — ciągnął dalej hrabia niewzruszenie — jestem tego zdania, że moje miejsce jest w Wersalu, nie w Tuileries. Wbrew królowej, pogwałciłem wydany mi rozkaz i sam wybrałem

miejsce, gdzie mam pełnie służbę — oto jestem. Nic mnie nie obchodzi, czy hrabina de Charny boi się lub też nie czuje strachu przed zbliżającymi się wydarzeniami, czy ma zamiar wyemigrować, czy nie — ja zostaję u boku królowej. Chyba że królowa sama zechce złamać mi szpadę. W tym wypadku nie będzie mi już przysługiwało prawo walczyć o Waszą Królewską Mość i polec za nią w Wersalu, pozostanie mi jednak zawsze możliwość być zabitym na progu, zginąć na bruku Wersalu.

W tych prostych słowach, które wydarły się z serca młodego oficera, było tyle żaru i szczerości, że królowa od razu wyzbyła się swej dumy. Zresztą duma ta nie była niczym innym jak parawanem, kryjącym uczucia raczej ludzkie aniżeli królewskie.

— Hrabio, nigdy więcej nie mów, że gotów jesteś umrzeć za mnie, gdyż wiem, że gotów jesteś postąpić tak, jak mówisz.

— Przeciwnie, będę to zawsze powtarzał! — zawołał hrabia de Charny. — Wszystkim i wszędzie! Postąpię tak, jak mówię, gdyż obawiam się, iż nadszedł czas, kiedy będą musieli umrzeć ci wszyscy, którzy otoczyli swą miłością królewskie trony na tej ziemi.

— Ależ, hrabio! Któż ci przepowiedział coś równie złowrogiego.

— Niestety, Wasza Króлева Mość — odrzekł de Charny potrząsając głową — i ja także w okresie nieszczęsnej wojny w Ameryce zostałem podobnie jak inni dotknięty gorączką wolności, która ogarnęła całe społeczeństwo. Ja również pragnąłem brać czynny udział w dziele wyzwolenia niewolników — jak się to w owych czasach zwykło mówić — i wstąpiłem do szeregów wolnomularzy. Zostałem wraz z Lafayette'em i Lamethem członkiem tajnego bractwa. A czy Wasza Króлева Mość wie, jaki cel ono sobie postawiło? Obalenie tronów! A jak brzmiała jego dewiza? Wyrażały ją trzy litery: L. P. D.

— Cóż one oznaczają?

— *Lilia pedibus destrue*, czyli: „Podepcz lilie stopami!”

— I jak postąpiłeś, hrabio?

— Wycofałem się z honorem, ale na miejsce jednego ustępującego zgłaszało się dwudziestu nowych członków. To, czego świadkami jesteśmy dziś, jest zaledwie prologiem do wielkiego dramatu, który od dwudziestu lat jest przygotowywany w ciszy i w mrokach nocy — w głowach ludzi, którzy podburzają Paryż, rządzą w Ratuszu, zajmują Palais-Royal i zdobywają Bastylię. Poznają wśród nich dawnych moich braci i uczestników tajnych stowarzyszeń. Niech Wasza Króлева Mość nie sądzi, że wydarzenia, które miały miejsce, są jedynie dziełem przypadku. O, nie! To są zamieszki przygotowywane od dawna!

— Tak sądzisz, hrabio! — zawołała królowa zalewając się łzami.

— Niech Wasza Króлева Mość nie płacze i zechce zrozumieć!

— O, jakże dobrze to rozumiem! Aż za dobrze! — mówiła dalej królowa. — A więc ja, królowa, która się urodziła jako panująca nad dwudziestoma pięcioma milionami ludzi, ja mam starać się zrozumieć, gdy dwadzieścia pięć milionów ludzi, stworzonych, by mi podlegać, zbuntowało się i zabija moich przyjaciół? O, nie! Ja nigdy nie będę w stanie tego zrozumieć!

— A jednak Wasza Króлева Mość musi to zrozumieć. Owi ludzie, którzy przyszli na świat, by słuchać jej rozkazów, zniechęcili ją. Uległość już stała się dla nich ciężarem, a zanim nabiorą dość siły, by móc rozszarpać Waszą Królewską Mość, ci ludzie ostrzą swe wygłodniałe zęby i pożrą na razie ulubieńców królowej, dla których żywią jeszcze większą nienawiść niż do Waszej Królewskiej Mości.

— I może znajduje pan, panie filozofie, że oni mają słusność? — zawołała królowa wyniośle. Oczy jej płonęły, a nozdrza rozdziły się.

— Niestety, Wasza Króлева Mość, słusność jest po stronie tych ludzi — odrzekł hrabia możliwie jak najłagodniej. — Kiedy odbywam spacer po bulwarach w moim powozie

zaprzężonym w angielskie rumaki, kiedy mam na sobie frak haftowany złotem, a moja wygalowana służba ma na sobie tyle srebra, że wystarczyłoby go na utrzymanie trzech rodzin, wtedy ten lud, tych dwadzieścia pięć milionów wygłodzonych ludzi zadaje sobie pytanie: jaką korzyść mają ze mnie, który jestem przecież takim samym jak oni człowiekiem.

— Tę oto korzyść mają z ciebie, hrabio! — zawołała królowa, ujmując dłonią rękojeść szpady hrabiego. — Tę szpadę, która służyła twemu ojcu pod Fontenoy, twemu dziadowi pod Steinkerque, twemu pradziadowi pod Lens, twym przodkom pod Ivry, pod Marignan i Azincourt. Arystokracja francuska służy ludowi francuskiemu przez to, że prowadzi wojny, a złoto, które zdobi jej fraki, zostało zdobyte na bojach za cenę przelanej krwi, podobnie jak srebro na liberii jej służby. Nie pytaj więc, Oliwierze, jaką korzyść ma lud francuski z ciebie, który sam potrafisz tak walecznie władać przekazaną ci przez twych przodków szpadą!

— Wasza Królewska Mość! — odparł hrabia potrząsając głową. — Po co mówić tak wiele o krwi przelewanej przez arystokrację? Lud też ma krew w swoich żyłach. Niech królowa raczy spojrzeć, jak płynie ściekami na placu Bastylli, niech policzy trupy leżące na skrwawionym bruku ulicznym, a dowie się, że zamarte teraz serca tych ludzi były tak samo szlachetnie, jak serca rycerzy. W owym dniu gdy wasze armaty otworzyły ogień, lud nieudolnie potrząsając zdobytą bronią potrafił śpiewać pod gradem kul, co nie zawsze dałoby się powiedzieć o naszych najwaleczniejszych grenadierach. O, Wasza Królewska Mość, ma królowo, zaklinam cię, nie patrz na mnie tak rozgniewanym wzrokiem! Czymże jest grenadier? Niczym innym jak szamerowanym mundurem, który obleka serce, o jakim mówiłem przed chwilą. Czy nie jest wszystko jedno kuli, która przebija i kładzie trupem, czy owo serce jest przybrane w niebieskie sukno, czy też w strzępy parciane? Cóż zależy sercu, które pęka, jaki bronii je pancierz? Z sukna czy z płótna? Nadszedł czas, że należy o tym wszystkim pomyśleć. Wasza Królewska Mość nie rozporządza już dwudziestoma pięcioma milionami poddanych ani dwudziestoma pięcioma milionami zwykłych ludzi — dziś są to żołnierze.

— Czy będą walczyć przeciwko mnie?

— Tak. Gdyż oni walczą o zdobycie wolności, a pomiędzy nimi a nią stoicie wy, panujący.

Po słowach hrabiego zapadła dłuższa chwila milczenia. Królowa pierwsza przerwała ją.

— Oto prawda, którą mi jednak powiedziałeś, chociaż prosiłam cię, hrabio, byś mi jej nie mówił.

— Niestety, Wasza Królewska Mość, niezależnie od tego, pod jaką postacią tę prawdę potrafi ukryć najszczęstsze oddanie i głęboki szacunek, wbrew mnie i wbrew sobie samej, niechże Wasza Królewska Mość zechce spojrzeć, wysłuchać, odczuć, zbliżyć się, zastanowić nad tą prawdą, która jest tu i która tu na zawsze zostanie. Nie uwolni się Wasza Królewska Mość od niej pomimo wszelkich wysiłków, jakie zechce uczynić. Gdy Wasza Królewska Mość pograży się we śnie, by o niej zapomnieć, ona usiądzie u wezłowania jej łoża, ukaże się jak widmo w jej snach, a po przebudzeniu znów będzie rzeczywistością.

— O, hrabio — z dumą odparła królowa — znam taki sen, którego ona nie potrafi zakłócić.

— Ja też nie obawiam się go bardziej aniżeli Wasza Królewska Mość, a może nawet pragnę go nie mniej gorąco!

— A więc sądzisz, hrabio — rzekła królowa głosem pełnym rozpaczony — że jest to jedyna ucieczka, jaka nam pozostaje?

— Tak. Ale nie przyspieszajmy wypadków, nie wyprzedzajmy naszych wrogów, bo przecież wszystkie trudy, jakie znosimy w tych burzliwych dniach, same pchają nas w stronę owego snu...

Znów zapadła chwila milczenia, tym razem jeszcze bardziej ponurego niż poprzednie.

Siedzieli obok siebie, dotykali siebie, a przecież dzieliła ich bezdenna przepaść. Ich myśli —

każda z osobna, wybiegały, W przyszłość.

Królowa pierwsza powróciła do porzuconego tematu rozmowy, uczyniła to jednak okrężną drogą. Badawczym wzrokiem spojrzała na hrabiego i rzekła:

— A teraz jeszcze ostatnie słowo, które dotyczy nas samych. Chcę, abyś mi, Oliwierze, powiedział wszystko, wszystko... Czy słyszysz?

— Słyszę, Wasza Królewska Mość.

— Czy możesz przysiąc, że przybyłeś tu tylko dla mnie?

— Czyżby Wasza Królewska Mość miała jakieś wątpliwości?

— Czy możesz mi przysiąc, że hrabina nie wezwała cię listownie?

— Ona?

— Posłuchaj, Oliwierze. Wiem, że chciała gdzieś wyjechać. Nosiła się z pewnymi myślami. Przysięgnij mi, że to nie dla niej powróciłeś tutaj.

W tej samej chwili zapukano do drzwi, a właściwie ktoś z lekka poskrobał w nie.

— Proszę wejść! — rzekła królowa. Na progu ukazała się pokojówka.

— Wasza Królewska Mość, król już raczył zjeść kolację. Hrabia ze zdziwieniem spojrzał na królowę.

— I cóż z tego? — odparła królowa wzruszając ramionami, — Nie ma w tym przecież nic nadzwyczajnego. Dlaczego król nie miałby zjeść kolacji?

Oliwier zmarszczył brwi.

— Proszę powiedzieć Jego Królewskiej Mości — odrzekła królowa, nie odwracając się nawet — że odbieram w tej chwili ostatnie wiadomości z Paryża i że przyjdę później powiadomić o nich Jego Królewską Mość.

Zwracając się do hrabiego, królowa dodała:

— Rozmawiajmy dalej. Skoro król już raczył zjeść kolację, niechże ją stawi.

XXVIII

OLIWIER DE CHARNY

Ta krótka przerwa w rozmowie w niczym nie wpłynęła jednak na zmniejszenie coraz bardziej wzrastającego uczucia zazdrości, które w tej chwili miało sercem królowej. Z jednej strony była to zwykła zazdrość kobiety o miłość, z drugiej — królewska zazdrość o władzę. Dogasająca już prawie rozmowa została wznowiona z tym większym ożywieniem. Podobnie bywa niekiedy podczas bitwy, gdy rozpoczęta w paru punktach wymiana strzałów zaczyna słabnąć, by wkrótce zamienić się w niepowstrzymaną na całej szerokości frontu kanonadę, która dopiero zadecyduje o zwycięstwie lub klęsce. W tym stanie rzeczy zarówno hrabiemu jak i królowej zależało na uzyskaniu dalszych wyjaśnień i dlatego zaledwie drzwi zdążyły się zamknąć, gdy hrabia przemówił pierwszy:

— Wasza Królewska Mość zapytuje mnie, czy przybyłem na wezwanie hrabiny de Charny, ale Wasza Królewska Mość raczyła zapomnieć o zobowiązaniach, jakie nas łączą, a także o tym, że jestem człowiekiem honoru.

— Tak — odrzekła królowa opuszczając głowę — zobowiązania zostały podjęte, a ty, hrabio, jesteś człowiekiem honoru i przysięgłeś mi, że poświęcisz się dla mego dobra. I oto teraz ta przysięga zdręcza mnie, bo składając ofiarę z siebie w imię mojego szczęścia, jednocześnie poświęcasz piękną i szlachetną kobietę... Popelniasz więc jeszcze jedną zbrodnię.

— Wasza Królewska Mość tym razem nieco przesadza, oskarżając mnie. Proszę przynajmniej przyznać, że dotrzymałem danego słowa honoru.

— To prawda, jestem szalona, wybacz mi, hrabio.

— Po cóż nazywać zbrodnią to, co jest dziełem przypadku. Oboje ubolewaliśmy nad tym małżeństwem, bo jedynie dzięki niemu można było ocalić honor królowej. Wszak nie chodzi o nic innego jak o to, by jakoś znieść to małżeństwo, co zresztą robię od czterech lat.

— Tak — odparła królowa. — Ale czy sądzisz, hrabio, że nie widzą twoich cierpień, że nie rozumiem twojej udreki, która znajduje wyraz w najgłębszym szacunku, jaki okazujesz? Czy sądzisz, że nie widzę tego wszystkiego?

— Na miły Bóg — rzekł hrabia chyląc się w ukłonie — niech Wasza Królewska Mość zechce podzielić się ze mną tym, co widzi. Bo jeżeli nie dość sam cierpiałem i nie zadałem dość cierpień innym, gotów jestem teraz odpokutować podwójnie, choć mam pewność, że nigdy nie zdołam okupić tego, co jestem winien Waszej Królewskiej Mości.

Królowa wyciągnęła rękę do hrabiego. Słowa tego człowieka posiadały nieodpartą moc jak wszystko, co płynie ze szczerego i wezbranego uczuciem serca.

— Wasza Królewska Mość zechce więc wydać rozkaz! Błagam o to, wydaj rozkaz!

— Ależ tak, tak — wiem, że nie mam racji. Wybacz mi, hrabio. Tak, to prawda. A może posiadasz gdzieś jakieś ukryte bóstwo, przed którym palisz tajemne kadzidła? Kto wie, czy nie masz, hrabio, w jakimś zakątku świata umiłowanej kobiety? Nie mam odwagi wypowiedzieć tego w słowach, przerażają mnie one, a sam dźwięk sylab, które się na nie składają, budzi we mnie obawy. Otóż jeżeli ona istnieje ukryta przed światem, nie wolno ci zapomnieć, hrabio, że wobec wszystkich, wobec całego świata, posiadasz młodą i piękną żonę, którą otaczasz swą opieką i czułością, i że ta kobieta znajdując oparcie na twoim ramieniu jednocześnie zaufała twojemu sercu.

Oliwier zmarszczył brwi, a nieskazitelne rysy jego twarzy zmąciły się na chwilę.

— Czego więc żąda Wasza Królewska Mość? Aby oddalił hrabinę de Charny? Wasza

Królewska Mość nie odpowiada — a więc o to chodzi. W takim razie gotów jestem poddać się rozkazom Waszej Królewskiej Mości... ale Wasza Królewska Mość zapewne wie, że ona nie ma nikogo na świecie. Jest sierotą. Jej ojciec, baron de Taverney, zeszedł z tego świata jako czcigodny szlachcic starej daty, który nie chciał patrzeć na to, co dzieje się teraz. Jej brat z Maison-Rouge, jak Waszej Królewskiej Mości zapewne również wiadomo, zjawia się najwyżej raz do roku, by uścisnąć swą siostrę i złożyć hołd Waszej Królewskiej Mości, a następnie wyjeżdża, przy czym nikt nie wie, co się z nim dzieje.

— Owszem, wiem o tym wszystkim.

— Niech Wasza Królewska Mość raczy się zastanowić nad tym, że gdyby Wszechmocny powołał mnie do siebie, hrabina mogłaby już dziś przybrać z powrotem swe panięskie nazwisko, a żaden z najbardziej nieposzlakowanych aniołów niebiańskich nie odnalazłby w jej snach i w jej myślach jakiegokolwiek męskiego imienia czy śladu miłosnej przygody.

— Ależ tak, wiem dobrze, hrabio, że twoja Andrea jest aniołem stąpającym po ziemi i zasługuje na to, by ją kochać. Oto dlaczego skłonna jestem sądzić, że przyszłość należy raczej do niej, podczas gdy dla mnie jej już zabraknie. O, nie, nie, hrabio! Błagam, ani słówka więcej. Proszę mi wybaczyć, nie mówię przecież tego jako królowa. Trudno, zapomniałam się! W mojej duszy zachował się głos, który wciąż jeszcze mówi mi o szczęściu, o radości, o miłości, a obok niego rozbrzmiewają ponure głosy, mówiące o klęskach, wojnach i śmierci. To głos mojej młodości, którą mam za sobą, przemówił we mnie. Wybacz mi, Oliwierze, nie będę już młoda, nie będę się już uśmiechała, nie będę więcej kochała...

Nieszczęśliwa kobieta zakryła swe rozplomienione oczy delikatnymi, wąskimi dłońmi, a łaza królewska, niczym diament, przesaczyła się pomiędzy palcami.

Hrabia jeszcze raz klęknął przed nią.

— Wasza Królewska Mość — zawołał — na miły Bóg, rozkaż mi się oddalić, każ bym cię opuścił, bym umarł, ale nie pozwól mi patrzeć na twe łyzy.

Mówiąc to hrabia sam był bliski płaczu.

— Wszystko skończone — powiedziała królowa wstając chyląc głowę z uśmiechem pełnym wdzięku.

Następnie ruchem głowy odrzuciła w tył swe napudrowane loki, które rozsypały się po białej, łabędziej szyi.

— Tak... wszystko skończone... — mówiła dalej królowa — nie będę cię już dłużej zasmucać, hrabio. Dość tych szaleństw. O mój Boże, jakie to dziwne, że kobieta może być tak słaba, podczas gdy królowej tak bardzo potrzebna jest siła! Więc przybywasz, hrabio, z Paryża? Czy tak? Porozmawiajmy. Opowiedziałeś mi różne rzeczy, o których już zapomniałam. A przecież mam wrażenie, że to chodziło o poważne sprawy.

— Dobrze, Wasza Królewska Mość, powróćmy do nich, gdyż istotnie chodziło o bardzo poważne sprawy. Tak, przybywam z Paryża, gdzie byłem świadkiem upadku monarchii.

— Słusznie postąpiłam wracając do spraw poważnych, gdyż powiedziałeś mi o nich, hrabio de Charny, nieco nieopatrznie. Czy upadkiem monarchii nazywasz chwilowy sukces rebeliantów? Dlaczego? Czyżbyś sądził, że zdobycie Bastylli oznacza obalenie tronu? Nie zastanowiłeś się nad tym, że Bastylia istnieje we Francji zaledwie od czternastego stulecia, podczas gdy monarchia zapuściła swe korzenie na całym świecie od sześciu tysięcy lat.

— Pragnąłbym, Wasza Królewska Mość, ulegać złudzeniom — odparł hrabia — a wtedy zamiast zasmucać Waszą Królewską Mość, byłbym głosicielem najradośniejszych wiadomości. Niestety, lutnia wydaje tylko takie dźwięki, do jakich została przeznaczona.

— Zobaczysz, hrabio, podtrzymam cię na duchu, chociaż jestem tylko kobietą, i skieruję cię na właściwą drogę...

— Niczego bardziej nie pragnę!

— Powiadasz więc, że mieszkańcy Paryża zbuntowali się, czy tak?

— Tak...

— Jak da się to ująć w liczbach?

— Jak dwanaście do piętnastu.

— Na czym oparłeś, hrabio, to obliczenie?

— Ależ to bardzo proste. Lud stanowi dwanaście piętnastych całego narodu. Dwie piętnaste to arystokracja i jedna piętnasta to kler.

— Obliczenie jest prawidłowe.. Masz je w każdym palcu. Czy czytałeś, co pisała pani i pan de Necker?

— Czytałem tylko to, co napisał pan de Necker..

— A więc, istnieje bardzo słuszne przysłowie, które powiada, że zdradzonym jest się zazwyczaj tylko przez swych najbliższych. A teraz, hrabio, przedstawię ci moje obliczenie. Czy chcesz wysłuchać?

— Z całym szacunkiem.

— Na dwanaście piętnastych — połowę stanowią kobiety. Czy tak?

— Tak, Wasza Królewska Mość, ale...

— Proszę mi nie przerywać. A więc, jak zostało powiedziane, sześć piętnastych to kobiety. Pozostaje jeszcze sześć, z których dwie piętnaste to zniedołężniali starcy lub ludzie obojętni. Ale czy to nie za dużo?

— Nie, nie.

— Pozostają więc jeszcze cztery piętnaste, z których połowę pozwolisz, hrabio, że odliczę na tchórzów i ludzi niezdecydowanych. Obliczając w ten sposób, schlebiam Francuzom. Wreszcie pozostają jeszcze dwie piętnaste. Zaliczmy do nich zarówno zapaleńców, jak i ludzi statecznych, mężnych i służących w wojsku. Zapiszmy te dwie piętnaste na rachunek Paryża, nie ma bowiem potrzeby brać w rachubę prowincji. Chodzi przecież wyłącznie o odzyskanie Paryża.

— Zgoda, Wasza Królewska Mość, ale...

— Zawsze to „ale”. Zaczekaj, hrabio, odpowiesz mi później.

Hrabia skłonił się.

— Oceniam owe dwie piętnaste paryżan — mówiła dalej królowa — na sto tysięcy ludzi. Czy zgadzasz się z tym, hrabio?

Tym razem hrabia de Charny nic nie odpowiedział. Królowa ciągnęła dalej:

— Tym stu tysiącom źle uzbrojonych, niezdiscyplinowanych ludzi, niezahartowanych i chwiejnych, gdyż zdających sobie sprawę, że to, co czynią, jest złe, przeciwstawiam, pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, znanych ze swej odwagi w całej Europie, i oficerów takich jak ty, hrabio — a ponadto zapął do walki w imię słusznej sprawy, którą zwykło się nazywać „boskim prawem”. W końcu zaś rzucam na szalę moją duszę, którą jest łatwo zmiękczyć, lecz niepodobna jej złamać. Hrabia wciąż zachowywał milczenie.

— Czyżbyś przypuszczał, mój hrabio, że w bitwie, która byłaby prowadzona na takich zasadach, dwaj walczący po stronie ludu znaczyliby więcej aniżeli jeden z moich żołnierzy?

De Charny nie odpowiadał.

— Odpowiedz mi, hrabio. Czyżbyś tak sądził? — zawołała królowa ze zniecierpliwieniem.

— Wasza Królewska Mość! — przemówił wreszcie hrabia, przełamując na rozkaz królowej dotychczasowe, pełne szacunku milczenie, w którym pozostawał cały czas. — Na polu bitwy, gdzie zgromadziłoby się owych sto tysięcy ludzi nie połączonych w jedną całość, źle uzbrojonych i niezdiscyplinowanych, pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy Waszej Królewskiej Mości pobilioby ich w przeciągu pół godziny.

— A więc — zawołała królowa — mam słusność.

— Sprawy wyglądają jednak inaczej, aniżeli je sobie Wasza Królewska Mość wyobraża. Owych sto tysięcy zbuntowanych paryżan to, właściwie mówiąc, tyle, co pięćset tysięcy.

— Pięćset tysięcy?

— Niewątpliwie! Wasza Królewska Mość zapomniała włączyć do tego rachunku kobiety i dzieci. Królowo Francji! Odważna i dumna kobieto! Wiedz, że kobiety paryskie są tyleż warte, co mężczyźni. Niedaleki jest być może dzień, kiedy one zmuszą Waszą Królewską Mość, by liczyła się z nimi niczym z demonami!

— Co chcesz przez to powiedzieć, hrabio?

— Czy Wasza Królewska Mość zdaje sobie sprawę z roli, jaką odgrywa kobieta podczas wojny domowej? Nie, z pewnością nie. Powiem o tym Waszej Królewskiej Mości, a wtedy, przekona się, że wystawienie dwóch żołnierzy przeciwko każdej kobiecie wcale nie byłoby przesadą.

— Ależ, hrabio, oszalałeś?

De Charny uśmiechnął się niewesoło.

— Czy Wasza Królewska Mość widziała je pod Bastylią, wśród ognia i kul, jak nawoływały do broni, jak pięściami wygrażały waszym Szwajcarom zakutym w pancerze, jak biorąc na świadków trupy rzucały przekleństwa głosem, który każe drzeć żywym? Czy widziała Wasza Królewska Mość, jak one warzyły smołę, jak przetaczały armaty, podając co dzielniejszym bojownikom pociski, a nieśmiałym wraz z nimi swe zachęcające pocałunki? Czy Wasza Królewska Mość wie, że przez zwodzony most wiodący do Bastylii przeszło tyleż kobiet, co mężczyzn, i jeżeli w tej chwili padają mury Bastylii, to dokonują tego kilofy w rękach kobiet? O, Wasza Królewska Mość, nie zapomnij wliczyć kobiet Paryża, policz również i dzieci, które leją kule, ostrzą szablę i ciskają kamienie z szóstego piętra, policz je również, gdyż kula odlana przez dziecko z daleka zabije waszego najlepszego generała, a wyostrzona przez nie szabla podetnie pęciny waszych kawaleryjskich rumaków, zaś ślepy kamień spadający z nieba zmiażdży twych dragonów i gwardzistów. Policz, Wasza Królewska Mość, i starców, którym wprawdzie brak sił, by unieść do góry szablę, ale którzy potrafią służyć za tarczę ochronną. Czy Wasza Królewska Mość wie, co robili owi starcy, których się nie bierze w rachubę? Otóż oni stawali przed młodymi, którzy na ich ramionach opierali swe muszkiety, a kula waszych Szwajcarów, zabijając zniedołężniałego starca, czyniła z jego martwego ciała obronny szaniec dla walczącego! O, Wasza Królewska Mość, policz więc i starców, ho to oni od trzystu lat opowiadają pokoleniom o zniewagach, jakich doznawały ich matki, o polach zrytych przez zwierzynę, na którą polowali panowie, o pohańbieniu ich stanu uginającego się pod ciężarem feudalnych ciężarów, a wówczas ich synowie chwyтали za topór, za maczugę, za rusznicę, słowem za wszystko, co im w rękę wpadło, i niczym armaty nabite prochem szli umierać, a towarzyszyły im złorzeczenia starców. W tej chwili w Paryżu wołają o wolność i wyzwolenie mężczyźni, kobiety, starcy; i dzieci. Niech Wasza Królewska Mość policzy te głosy — a będzie tego w samym Paryżu osiemset tysięcy!

— Trzystu Spartanów, hrabio de Charny, pobiło wojska Kserksesa!

— Tak, ale dziś trzystu podobnych Spartanów stanowi tyleż, co osiemset tysięcy, a pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy Waszej Królewskiej Mości to armia Kserksesa.

Królowa uniosła się z siedzenia z zaciśniętymi pięściami i twarzą zaczerwienioną od gniewu i oburzenia.

— O, niech lepiej runę z tego tronu, niech zginę rozszarpana przez pięćset tysięcy twoich paryżan, byle nie słyszeć, jak hrabia de Charny, człowiek tak mi oddany, wygłasza podobne słowa!

— Jeżeli de Charny przemawia w ten sposób do Waszej Królewskiej Mości, to dlatego, że tak

trzeba, bo ten de Charny, nie ma w swych żyłach ani jednej kropli krwi, która nie byłaby godna jego przodków i nie była oddana Waszej Królewskiej Mości.

— A więc niechże on ruszy wraz ze mną na Paryż, umrzemy razem!

— Umrzeć sromotnie — odparł hrabia — bez walki? Przecież nie będziemy mogli nawet walczyć, po prostu zostaniemy zmieceni jak Filistynowie lub Amalecyti... Ruszyć na Paryż! Ależ Wasza Królewska Mość nie zdaje sobie sprawy z tego, że w chwili kiedy wkroczymy do Paryża, domy zwałą się na nasze głowy niczym wezbrane wody Czerwonego Morza, które pochłonęło faraona, że Wasza Królewska Mość zostawi po sobie we Francji imię, które ludzie będą przeklinać, a jej dzieci zostaną zabite jak potomstwo wilczycy.

— Więc w jaki sposób mam zginąć. Naucz mnie, hrabio — odrzekła królowa wyniośle.

— Jako ofiara! — z czcią odpowiedział de Charny. — Jak przystało królowej, z uśmiechem na ustach i wybacząc tym, którzy w nią godzą. Och, gdyby Wasza Królewska Mość rozporządzała pięciuset tysiącami takich jak ja ludzi, powiedziałbym: „Ruszamy jeszcze tej nocy, ruszymy bodaj zaraz!”, a Wasza Królewska Mość już następnego dnia rządziłaby w Tuileries i nazajutrz odzyskałaby swój tron.

— Więc i ty, hrabio, zwątpiłeś! — zawołała królowa. — Ty, w którym pokładałam ostatnią nadzieję!

— Tak, Wasza Królewska Mość, zwątpilem dlatego, że cała Francja myśli podobnie jak Paryż, dlatego, że nawet gdyby armia królewska odniosła zwycięstwo w Paryżu, sto innych miast, jak: Lyon, Rouen, Lilie, Strasbourg, Nantes pobiłoby ją na głowę. A więc należy zdobyć się na odwagę, Wasza Królewska Mość i nie wyciągać szabli z pochwy.

— Czyżbym w tym celu — zapytała królowa — zgromadziła dokoła siebie tylu odważnych ludzi i po to natchnęła ich odwagą?

— Jeżeli Wasza Królewska Mość nie zgadza się ze mną, proszę wydać rozkaz, a jeszcze tej nocy ruszymy na Paryż. Czekam!

W tych słowach zawarło się tyle oddania, że ono przeraziło królowę bardziej, aniżeli mogła to sprawić odmowa. Zdjęta rozpaczą padła na kozetkę, usiłując przemóc w sobie dumę.

Wreszcie Maria Antonina podniosła głowę.

— Czy wolałbyś, hrabio, bym nic nie robiła?

— Taka jest właśnie moja rada!

— A więc dobrze. Stanie się, jak powiedziałeś. Usiądź przy mnie.

— Czy rozgniewałem Waszą Królewską Mość? — zapytał hrabia, patrząc na królowę smutnym, a przecież pełnym miłości spojrzeniem.

— Nie. Podaj mi swą rękę.

Hrabia nachylił się podając rękę królowej.

— Powinam cię zbesztać, hrabio — powiedziała królowa siląc się na uśmiech.

— Za cóż to, Wasza Królewska Mość?

— Jakże to! Masz, hrabio, brata, który pełni służbę w wojsku, a ja przypadkowo dowiaduję się o tym!...

— Nie rozumiem...

— Dziś wieczorem pewien młody oficer z pułku huzarów Bercheny'ego...

— Mój brat, Jerzy!

— Dlaczego mi nigdy nie mówiłeś o tym młodzieńcu? Dlaczego nie ma wyższej szarży w swym pułku?

— Dlatego, że jest jeszcze bardzo młody i brak mu doświadczenia, nie jest jeszcze godny być dowódcą, a wreszcie dlatego, że jeżeli Wasza Królewska Mość raczyła łaskawie zwrócić swą uwagę na mnie, który nosi to samo nazwisko i zaszczyca mnie swoją przyjaźnią, to nie znaczy,

bym śmiało zabiegać o względy dla mojej rodziny kosztem wielu innych dzielnych młodzieńców, bardziej zasłużonych niż moi bracia. — Masz więc, hrabio, jeszcze innych braci?

— Tak, Wasza Królewska Mość, a każdy z nich jest gotów oddać swe życie za Waszą Królewską Mość.

— Czy im niczego nie potrzeba?

— Nie, Wasza Królewska Mość. Jesteśmy szczęśliwi, mogąc u stóp Waszej Królewskiej Mości złożyć nie tylko swe życie, ale również cały nasz dobytek.

Zaledwie zdążyły przebrzmieć ostatnie słowa hrabiego, które bardzo ujęły królowę swą szczerą prawością, gdy z sąsiedniego pokoju doleciał czyjś jęk, który poderwał z miejsca królowę i hrabiego.

Królowa podbiegła do drzwi, otworzyła je i głośno krzyknęła, bo oto ujrzała na dywanie kobietę, wijącą się w straszliwych konwulsjach.

— To hrabina! — szepnęła do Oliwiera. — Ona słyszała nas!

— O, nie, Wasza Królewska Mość — odrzekł hrabia — hrabina z pewnością uprzedziłaby Waszą Królewską Mość, że ktoś może nas podsłuchać.

Hrabia szybko podszedł do Andrei i biorąc ją w ramiona, podniósł z ziemi.

Królowa stała tuż obok — zimna, blada, strwożona.

XXIX

SCENA WE TROJE

Andrea powoli odzyskiwała przytomność i chociaż nie zdawała sobie sprawy z tego, kto pośpieszył jej z pomocą, jednak instynktownie wyczuła, że ktoś to czyni.

Jej ciało wyprężyło się, a ręce uczepliły się tego, kto tak nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą. Jednak odzyskaniu sprawności ciała nie towarzyszył powrót przytomności umysłu, który nadal był jakby zamroczony i pogrążony w śnie.

Teraz, kiedy hrabiemu udało się wreszcie przywrócić jej ciało do życia, zrobił wszystko, by wyrwać jej duszę z uśpienia. Niestety, musiał przewyciężyć stan kompletnego zamroczenia.

Szeroko rozwartymi na wpół przytomnymi oczami hrabina przyjrzała się podtrzymującemu ją ramieniem człowiekowi, ale nie poznała go, krzyknęła głośno i brutalnie go odepchnęła.

Królowa cały czas stała odwrócona od hrabiny, a przecież to ona raczej powinna była pocieszyć i podnieść na duchu tę kobietę, którą teraz pozostawiała bez żadnej pomocy.

Hrabia wbrew oporowi, jaki stawiała Andrea, uniósł ją w swych silnych ramionach i zwracając się do królowej powiedział:

— Przepraszam Waszą Królewską Mość, ale musiało tu niewątpliwie zajść coś niezwykłego. Hrabina nigdy nie mdlała i dziś po raz pierwszy widzę ją nieprzytomną.

— Zapewne bardzo cierpi — powiedziała królowa, powracając do swego przypuszczenia, iż Andrea słyszała całą ich poprzednią rozmowę.

— O, tak, z pewnością cierpi — odpowiedział hrabia — i dlatego proszę, aby Wasza Królewska Mość pozwoliła mi odwiedzić hrabinę do jej apartamentów. Potrzebna jest jej kobieca opieka.

— Ależ proszę — rzekła królowa wyciągając rękę w kierunku dzwonka.

Na dźwięk dzwonka hrabina zeszytniała i zawołała na wpół przytomna:

— O! Gilbert!... Ten Gilbert!

Usłyszawszy to imię królowa drgnęła, a hrabia ogromnie zdziwiony ułożył żonę na kozetce.

W tej samej chwili do gabinetu królowej wszedł wezwany dzwonkiem kamerdyner.

— Nie jesteś potrzebny... możesz odejść! — powiedziała królowa, oddalając go ruchem ręki.

Gdy zostali sami, królowa i hrabia zamienili spojrzenia. Andrea znów przymknęła oczy. Można było pomyśleć, że ponownie ulega nerwowemu atakowi. Hrabia de Charny, klęcząc przy kozetce, podtrzymywał żonę.

— Gilbert? — powtórzyła królowa. — Co oznacza to imię?

— Należałoby się dowiedzieć.

— Zdaje się, że je znam — odrzekła królowa. — Przypominam sobie, że nie po raz pierwszy słyszę to imię w ustach hrabiny.

Andrea, jakby czując, że w tych słowach królowej może się kryć coś, co jej zagraża, otworzyła oczy, wyciągnęła ręce przed siebie i zdobywając się na ogromny wysiłek, zerwała się na równe nogi.

Pierwsze spojrzenie, tym razem już zupełnie przytomne, padło na jej męża, którego natychmiast poznała. Po chwili ogarnęła go wzrokiem pełnym miłości. Następnie, jak gdyby to mimowolne zdemaskowanie ukrytych uczuć było niegodne jej spartańskiej duszy, hrabina odwróciła oczy i zobaczyła królowę. Niezwłocznie pochyliła się w ukłonie.

— O Boże, hrabino, co ci jest? — zawołał hrabia. — Przeraziłaś mnie... Ty, zawsze silna i dzielna, popadłaś w tak głębokie omdlenie?...

— Mój mężu — odparła Andrea — w Paryżu dzieją się tak straszne rzeczy, że gdy mężczyźni drżą, wolno chyba kobietom zapadać w omdlenie... Opuściłeś Paryż! Jak to dobrze!

— Wielki Boże, hrabino! — zawołał hrabia głosem, w którym brzmiała nuta zwątpienia. — Czy z mojego powodu byłaś narażona na te cierpienia?

Andrea jeszcze raz spojrzała na swego męża i na królową, ale nie odpowiedziała.

— Ależ to jest niezawodne, hrabio. Dlaczego miałbyś wątpić? — odpowiedziała za nią królowa. — Hrabina nie jest królową, wolno jej lękać się o swego męża.

Hrabia wyczuł zazdrość ukrytą w tych słowach.

— O, Wasza Królewska Mość — odrzekł — jestem przekonany, że hrabina bardziej lęka się o swą królowę niż o mnie.

— Powiedźże mi wreszcie, hrabino, jakim sposobem i dlaczego znalazłaś się zemdlona w moim gabinecie?

— Wasza Królewska Mość — odpowiedziała hrabina — nie jestem w stanie odpowiedzieć na to, gdyż sama nie wiem, jak to się stało, ale sędzę, że w tym życiu pełnym — udreki, strachu i wszelkich wzruszeń, jakie pędzimy od trzech dni, zemdlenie kobiety jest chyba czymś zupełnie zrozumiałym.

— Tak, to słuszne — szepnęła królowa, widząc, że Andrea nie chce powiedzieć nic więcej.

— Ale Wasza Królewska Mość również ma zupełnie wilgotne oczy — odrzekła hrabina z dziwnym spokojem, który już jej nie opuszczał od chwili, kiedy znów stała się panią swej woli. Był to spokój tym dziwniejszy, że bez trudu można było w nim odnaleźć pewną egzaltację, mającą na celu zamaskowanie czysto ludzkich uczuć.

Tym razem hrabia odniósł wrażenie, że słowa wypowiedziane przez jego żonę kryją w sobie ten sam odcień ironii, jaki przedtem wyczuwał w tym, co powiedziała królowa.

— Nie ma nic dziwnego w tym, że Jej Królewska Mość ma łzy w oczach — zwrócił się hrabia do żony z pewną surowością w głosie, która mu była najwidoczniej obca. — Królowa kocha swój naród, którego krew została przelana.

— To szczęście, że Bóg oszczędził cię, mój mężu! — odpowiedziała hrabina wciąż jednakowo zimna i zamknięta w sobie.

— Zresztą nie chodzi o Jej Królewską Mość, ale o cię, Andreo. Wasza Królewska Mość pozwoli, że powrócimy do mojej żony...

Królowa skinęła głową na znak, że się zgadza.

— Musiało cię zapewne coś bardzo przestraszyć? — Mnie?

— Cierpiałaś, nie zaprzeczaj. Czy spotkało cię coś przykrego? Ale co? Może zechcesz nam powiedzieć?

— Mylisz się...

— Czy cię ktoś naraził na przykrość? Może jakiś mężczyzna? Hrabina zbladła.

— Na nikogo się nie skarżę... Wracam wprost od Jego Królewskiej Mości.

— Bezpośrednio?

— Tak. Wasza Królewska Mość może sprawdzić...

— Jeżeli tak jest istotnie — odrzekła królowa — słuszność byłaby po stronie hrabiny. Jego Królewska Mość zanadto lubi hrabinę i prócz tego zbyt dobrze wie, jaką obdarzam ją przyjaźnią, by mógł hrabinie sprawić najmniejszą przykrość...

— Z twoich ust padło jednak czyjeś nazwisko! — nalegał hrabia.

— Czyjeś nazwisko?

— Tak... Kiedy zaczęłaś odzyskiwać przytomność... Hrabina spojrzała na królowę, jak gdyby szukając u niej pomocy, ale królowa albo nie zrozumiała jej spojrzenia, albo nie chciała go zrozumieć.

— Tak — odezwała się — wymieniłaś nazwisko „Gilbert”.

— Ja wymieniłam to nazwisko? — zapytała hrabina tak przerażonym głosem, że ten okrzyk zrobił na jej mężu większe wrażenie aniżeli samo zemdlenie.

— Ależ tak, wymieniłaś to nazwisko — upierał się hrabia.

— Czyżby? — odparła hrabina. — To dziwne!

Twarz hrabiny, zmieniona nie do poznania na sam dźwięk tego imienia, zaczęła powoli odzyskiwać swój spokój i tylko niektóre mięśnie na jej pięknym obliczu drżały jeszcze prawie niedostrzegalnie.

— Gilbert? — powtórzyła. — Nie znam takiego nazwiska.

— Ależ, tak! Powiedziałaś: „Gilbert” — z naciskiem rzekła królowa — przypomnij sobie, droga Andreo!

— Wasza Królewska Mość — wtrącił hrabia — może to tylko przypadek, to nazwisko jest doprawdy obce mojej żonie.

— Nie! Ono nie jest mi obce! — odparła hrabina. — Jest to nazwisko pewnego uczonego, znakomitego lekarza, który przybył z Ameryki... Zdaje mi się, że łączyły go tam bliskie stosunki z panem Lafayette'em.

— I cóż z tego? — zapytał hrabia.

— Co z tego? — powtórzyła Andrea najbardziej naturalnym tonem. — Nie znam go osobiście, ale jest to podobno człowiek zasługujący na szacunek.

— Dlaczego mówisz o tym z takim przejęciem? — zwróciła się do niej królowa.

— Z przejęciem? Czyżbym była przejęta?

— O, tak. Można by nawet powiedzieć, że wymawiałaś jego nazwisko doznając jakichś cierpień.

— To możliwe. Oto, co mi się przytrafiło w gabinecie Jego Królewskiej Mości. Spotkałam tam pewnego mężczyznę w czarnym ubraniu, o surowej twarzy, który mówił o rzeczach ponurych i okropnych. Z potwornymi szczegółami opowiadał o tym, jak zamordowano de Launaya i burmistrza Paryża de Flessellesa. Przeraziło to mnie i zemdlałam, czego świadkami była Wasza Królewska Mość i mój mąż. Może wtedy coś mówiłam i wymieniłam nazwisko doktora Gilberta.

— Bardzo możliwe — odparł hrabia, chcąc najwyraźniej uniknąć dalszego przesłuchania — ale czy czujesz się już w tej chwili dobrze?

— Najzupełniej.

— W takim razie poproszę cię, hrabio, o załatwienie pewnej ważnej sprawy — odezwała się królowa.

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Zechciej odnaleźć pana de Bezenvala, marszałka de Broglie'ego i księcia de Lambesc i powiedzieć im, by ich wojska rozkwaterowały się tam, gdzie się w tej chwili znajdują, a król wraz z radą przyboczną zdecyduje jutro, jak należy dalej postąpić.

Hrabia skłonił się, ale przed opuszczeniem gabinetu królowej spojrział jeszcze raz na Andreę. Było to spojrzenie przepojone czułą troską i nie uszło uwagi królowej.

— Hrabino — powiedziała królowa — czy nie zechcesz razem ze mną udać się do króla?

— O, nie! — odpowiedziała pośpiesznie Andrea.

— Dlaczego?

— Wasza Królewska Mość raczy mi pozwolić, bym wróciła do domu. Po wzruszeniach, jakich doznałam, odczuwam ogromną potrzebę odpoczynku.

— Bądź szczerą ze mną, hrabino, i powiedz mi, czy spotkało cię coś przykrego ze strony króla?

— Ależ nie, Wasza Królewska Mość, absolutnie nie!

— Możesz mi powiedzieć, jeżeli tak było. Król czasami nie oszczędza swych przyjaciół.

— Jego Królewska Mość zgodnie ze swoim zwyczajem obdarza mnie ponad miarę swoimi względami, ale...

— Ale ty, hrabino, wolałabyś go nie widzieć, prawda? Hrabio, coś się za tym stanowczo kryje! — powiedziała królowa, zwracając się do hrabiego de Charny rozbawionym tonem.

W tej samej chwili hrabina skierowała w stronę królowej wzrok tak wymowny, a jednocześnie tak błagalny i zagadkowy, że królowa zrozumiała, iż nadeszła pora, by położyć kres lej małej wojnie.

— A więc, droga hrabino, pozwólmy hrabiemu, by wykonał polecenie, jakie mu dałam, a ty udaj się do domu lub, jeżeli wolisz, zostań tutaj. Idź więc, hrabio — mówiła dalej królowa, przy czym nie uszedł jej uwagi wyraz wdzięczności, jaki rozlał się na twarzy Andrei.

Natomiast hrabia go nie zauważył lub po prostu nie chciał zauważyć. Ujął swą żonę za rękę, uradowany, że powraca do sił, a jej policzki znów nabierają rumieńców.

Następnie po złożeniu głębokiego ukłonu hrabia opuścił gabinet. Mijając królowę zdążył jeszcze zamienić z nią ostatnie spojrzenie.

Oczy królowej mówiły:

„Wracaj szybko.”

Na co hrabia odpowiedział wzrokiem:

„Uczynię to jak najszybciej.”

Andrea ze ściśniętym sercem bacznie śledziła każdy ruch swego męża. Jej wola zdawała się przyspieszać powolne i pełne godności kroki, jakimi hrabia zbliżał się do drzwi.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim i hrabia znikł, Andreę opuściły wszystkie siły, jakie zdołała zebrać w sobie, by stawić czoło wytworzonej sytuacji. Twarz jej pobladła, nogi ugięły się pod nią. Upadła na stojący obok fotel, przeprasząc najgoręcej królowę za naruszenie etykiety.

Królowa podbiegła do kominka, sięgnęła po flakonik z solami trzeźwiącymi, dała je powąchać Andrei, która tym razem bardzo szybko przyszła do siebie, co zresztą w większym stopniu miała do zawdzięczenia ogromnemu wysiłkowi swojej woli aniżeli środkom podanym królewską ręką.

Stosunek, jaki łączył te obie kobiety, był zaiste dość dziwny. Miało się wrażenie, że królowa żywi dla Andrei serdeczne uczucia, co się zaś tyczy hrabiny, to niewątpliwie miała ona dla królowej głęboki szacunek, a przecież w pewnych chwilach wyglądało na to, że ma się przed sobą nie przychylnie usposobioną królowę i oddaną jej damę dworu, lecz dwie wrogie istoty.

Toteż, jak to już wspomnieliśmy, ów potężny wysiłek woli wkrótce przywrócił Andrei wszystkie jej siły. Hrabina wstała, z szacunkiem odsunęła rękę królowej i chyląc przed nią czoło, rzekła:

— Czy Wasza Królewska Mość pozwoli, że powrócę do swego domu?

— Ależ oczywiście, droga hrabino, możesz robić, co zechcesz. Wiesz przecież o tym. Etykieta dworska nie obowiązuje ciebie. Ale zanim odejdziesz, czy nie masz mi nic do powiedzenia?

— Ja, Wasza Królewska Mość?

— O, tak . ty, hrabino.

— Nie... a w związku z czym?

— W związku z tym panem Gilbertem, którego sam widok wywarł na tobie tak ogromne wrażenie.

Andrea zadrżała, ale poprzestała jedynie na zaprzeczeniu ruchem głowy.

— W takim razie nie zatrzymuję cię, droga Andreo... Jesteś wolna...

Królowa uczyniła krok, aby przejść do buduaru sąsiadującego z gabinetem.

Andrea złożyła ceremonialny ukłon, któremu nic nie można było zarzucić, i skierowała się w

stronę drzwi.

W chwili gdy drzwi miały się już otworzyć, w korytarzu rozległy się kroki i czyjaś ręka spoczęła na klamce. Jednocześnie dał się słyszeć głos Ludwika XVI, który wydawał rozkazy swemu kamerdynerowi.

— Wasza Królewska Mość! Król! — szepnęła hrabina cofając się. — To Jego Królewska Mość.

— Tak... To król... — odrzekła Maria Antonina. — Czyżbyś się go aż tak bardzo bała, hrabino?

— O, Wasza Królewska Mość! — zawołała Andrea. — Nie chcę go widzieć, nie chcę się znaleźć przed nim... przynajmniej nie dziś wieczorem... Gotowa jestem umrzeć ze wstydu!

— Powiedźże mi wreszcie...

— Powiem wszystko, czego Wasza Królewska Mość zażąda...ale proszę mnie ukryć...

— Proszę wejść do mego buduaru... Wyjdiesz stąd, hrabino, kiedy król się oddali. Bądź spokojna... to nie potrwa długo. Król nigdy nie bawi tu dłużej...

— O, dziękuję, dziękuję — zawołała hrabina wbiegając do buduaru, przy czym zdążyła zniknąć w tej samej chwili, kiedy król po otwarciu drzwi ukazał się na progu pokoju.

XXX

KRÓL I KRÓLOWA

Królowa obejrzała się dokoła, a następnie przyjaźnie odpowiedziała na ukłon króla. Król wyciągnął do niej rękę.

— Jakiemu szczęśliwemu przypadkowi mam do zawdzięczenia tę wizytę?

— Jak to słusznie stwierdziłaś, Antonino, masz to do zawdzięczenia przypadkowi. Spotkałem przed chwilą hrabiego de Charny, od którego dowiedziałem się, że udaje się do naszych wojowniczych wodzów, aby w imieniu królowej polecić im zachować spokój. Ta nad wyraz rozumna decyzja sprawiła mi wielką przyjemność i nie mogłem się powstrzymać od tego, by przechodząc obok apartamentów królowej nie wstąpić i nie podziękować jej.

— Zastanowiłam się nad tym i doszłam do wniosku — odparła królowa — że będzie znacznie lepiej, jeżeli król każe wojskom zachować spokój i nie da powodu do wybuchu wojny domowej.

— A więc, znakomicie! Cieszę się, że królowa podzieliła mój pogląd. Wiedziałem zresztą, że potrafię cię skłonić do tego.

— Wasza Królewska Mość widzi, że nie wymagało to zbyt wiele zachodu, gdyż moja decyzja zapadła niezależnie od jego wpływu.

— Świadczy to o tym, że królowa jest osobą prawie rozsądną, a będzie nią w zupełności, gdy zechce jeszcze przyjąć ode mnie parę spostrzeżeń.

— Ale skoro mamy ten sam pogląd na sprawy, sądzę, że te spostrzeżenia są już zbyteczne.

— O, bądź spokojna. Nie mam najmniejszego zamiaru rozpoczynać sporów. Wiesz przecież dobrze, że nie znoszę ich, podobnie jak ty. Będzie to raczej rozmowa. Czy nie masz ochoty od czasu do czasu porozmawiać ze mną o sprawach dotyczących Francji, tak jak to czyni para wzorowych małżonków naradzając się w sprawach, które dotyczą ich gospodarstwa?

Ostatnie słowa były wypowiedziane z ogromną dobroduszością, cechującą Ludwika XVI w jego życiu codziennym.

— Gotowa jestem do tego w każdej chwili, ale czy obecna nadaje się do tego?

— Sądzę, że tak. Pragniesz, by nie rozpoczynać żadnej akcji nieprzyjacielskiej. Zdaje się, że tak się wyraziłaś?

— Tak.

— Ale nie wyjaśniłaś mi przyczyny twojej decyzji.

— Nie pytano mnie o nią — A więc zapytuję teraz.

— Nie rozporządzamy dostatecznymi siłami.

— Czyli, gdybyś je miała, wypowiedziałabyś wojnę?

— Gdybym się czuła dość silna, spaliłabym Paryż.

— Wiedziałem z góry, że odrzucasz możliwość wojny dla zupełnie innych przyczyn niż ja.

— Jakież są przyczyny króla?

— Mam tylko jedną.

— Jaką?

— Wkrótce się dowiesz. Nie chcę wypowiadać wojny ludowi, dlatego że, moim zdaniem, słuszność jest po jego stronie.

Maria Antonina zrobiła mimowolny ruch, wyrażający ogromne zdziwienie.

— Więc lud ma słuszność, że się zbuntował? — zawołała królowa.

— Niestety, tak!

— I miał słuszność, gdy zdobywał Bastylię, gdy zabijał jej komendanta, gdy zmasakrował

burmistrza i powystrzelał naszych żołnierzy?

— Owszem, miał ją.

— Więc takie są spostrzeżenia Jego Królewskiej Mości i nimi chciał się ze mną podzielić?

— Wypowiadam je tak, jak mi się nasunęły...

— Czy przy spożywaniu kolacji?

— Ha! — zawołał król. — Teraz znów powracamy do tego tematu o jedzeniu! Nie możesz mi wybaczyć tego, że jem. Chciałabyś, abym był poetyczny i eteryczny. Ha! Nic na to nie poradzę... w naszej rodzinie jada się z apetytem. Henryk IV nie tylko objadał się, ale i wcale nie najgorzej popijał, wielki i poetyczny Ludwik XIV obzerał się, że wstyd się przyznać, a Ludwik XV, chcąc mieć pewność, że dobrze sobie podje i popije, sam smażył pączki, a pani Dubarry kazał, by mu przyrządzała kawę. Więc o ile chodzi o mnie, przyznaję, że kiedy jestem głodny, nie mogę się oprzeć i jem. Idę więc jedynie śladami moich przodków. Jeżeli jestem smakoszem, zechciej, Antonino, być wyrozumiała, a jeżeli jest to moja wada — proszę mi ją wybaczyć...

— Przyzna jednak Wasza Królewska Mość, że...

— Że nie powinienem jeść, kiedy jestem głodny... Co? O, nie! — odrzekł król, najspokojniej zaprzeczając ruchem głowy.

— Ależ nie mówię o tym... Chodzi mi o lud...

— Aha!

— Przyznasz chyba, że lud źle postąpił wzniesając bunt?

— Nie podzielam tego zdania. Przyjrzyjmy się po kolei naszym ministrom. Ilu spośród nich — od czasu kiedy panuję — poważnie zastanowiło się nad pomyślnością ludu? Tylko dwóch: Turgot i baron Necker. Ty, Antonino, i twoja klika wymogliście na mnie, że ich skazałem na wygnanie. Jeden z nich przyczynił się do wybuchu buntu, kto wie, czy usunięcie drugiego nie spowoduje rewolucji. Porozmawiajmy trochę o innych. Cóż to za czarujący ludzie! Czy nie uważasz? Taki na przykład pan de Maurepas, ulubieniec moich ciotek, układacz piosenek! Niestety, to nie ministrowie muszą je śpiewać, lecz lud. Albo taki pan Calonne? Wiem, że odpowiedział królowej pewnym pięknym powiedzeniem, które będzie uwiecznione. Otóż pewnego dnia zwróciłaś się do niego w jakiejś sprawie, na co ci odpowiedział: „Wasza Królewska Mość, jeśli to możliwe — załatwię, jeśli niemożliwe — również załatwię”. Kto wie, czy Francuzi nie zapłacili za te słowa setką milionów franków? Niechże więc królowa raczy się nie dziwić, jeżeli lud uważa tę odpowiedź za mniej dowcipną niż jej własna. Zechciej wreszcie zrozumieć, Antonino, że gdybym zatrzymał tych wszystkich, którzy łupią skórę z ludu, a oddalił tych, którzy go kochają, to te zarządzenia z pewnością nie — przyczyniłyby się do uspokojenia ludu i zjednania go sobie przez nasz rząd.

— A więc ludowi ma przysługiwać prawo buntu? Proszę, niech Wasza Królewska Mość ogłosi całemu światu podobną zasadę! Muszę przyznać, że niewymownie cieszę się z tego, iż Wasza Królewska Mość mówi podobne rzeczy! Co by to było, gdyby usłyszeli to inni!

— Tak, tak — odparł król — nie mówisz mi, królowo, nic nowego. Wiem dobrze, że jeśli ci wszyscy twoi ulubieńcy usłyszeli mnie, z pewnością wzruszyliby tylko ramionami. Szczerze się lituję nad tymi wszystkimi Polignacami, którzy cię wyzyskują wyśmiewając się z ciebie, chociaż pewnego pięknego dnia obdarowałaś ich hrabstwem de Fénestrange, co cię kosztowało z górą milion franków. A ten Sartines, któremu przyznałem osiemdziesiąt dziewięć tysięcy renty i który ponadto otrzymał od ciebie dwieście tysięcy jako pomoc dodatkową. A ów książę de Deux — Ponts, dla którego wymogłaś u mnie dziewięćset czterdzieści pięć tysięcy na zapłacenie jego długów, a ta twoja pani Maria de Laval lub pani de Magnenville, z których każda pobiera po osiemdziesiąt tysięcy emerytury? A pan Coigny, obdarowywany ponad miarę? Kiedy pewnego dnia chciałem zmniejszyć wysokość jego apanaży, przyłapał mnie w przejściu i z pewnością

byłby mnie zbił, gdybym nie zadośćuczynił jego żądaniom. Otóż tacy są wszyscy twoi przyjaciele, królowo! I cóż ty na to? Otóż powiem ci coś, choć nie sądzę, byś w to uwierzyła, a mianowicie, że gdyby wszyscy twoi przyjaciele zamiast na dworze królewskim znajdowali się w Bastylji, lud nie tylko nie zburzyłby jej, ale przeciwnie, umocniłby ją jeszcze bardziej.

— Och! — zawołała królowa, nie mogąc pohamować swej wściekłości.

— Możesz mówić, co chcesz, ale tak to właśnie wygląda! — najspokojniej odrzekł król.

— Tak, twój ukochany lud nie będzie już miał sposobności nienawidzić twoich przyjaciół, bo wszyscy udają się na wygnanie.

— Czyżby doprawdy mieli zamiar wyjechać? — zawołał król.

— Tak, wyjeżdżają.

— I Polignacowie? I kobiety też?

— Tak.

— O! Tym lepiej! Tym lepiej! Chwała Bogu!

— Co to znaczy „tym lepiej” i „chwała Bogu”. Więc nie żał ich Waszej Królewskiej Mości?

— Nie, ani trochę. Jeżeli zabraknie im pieniędzy na wyjazd, dam im chętnie. Zapewniam cię, że tym razem pieniądze będą najwłaściwiej użyte. Szczęśliwej podróży, moi panowie! Przyjemnej drogi, miłe panie! — zawołał król z czarującym uśmiechem.

— Tak, rozumiem! — odezwała się królowa. — Wasza Królewska Mość pochwała podobne tchórzostwo!

— Postarajmy się zrozumieć wzajemnie... Czyż królowa nie znajduje dla nich żadnego usprawiedliwienia?

— Ależ oni nie wyjeżdżają — wybuchnęła królowa — oni uciekają!

— Mniejsza o nazwę, byleby odeszli stąd!

— I pomyśleć, że to właśnie rodzina Waszej Królewskiej Mości namawia ich do takiej nikczemności!

— To moja rodzina poradziła faworytom królowej, by wyjechali? Nigdy nie przypuszczałem, aby miała aż tyle rozumu... Może zechcesz mi powiedzieć, którzy to członkowie mojej rodziny oddają mi tę przysługę... Chcę im podziękować za to...

— Ciotka króla, Adelajda, i brat króla, ksiązę d'Artois.

— Mój brat, d'Artois? Czy przypuszczasz, królowo że i on pójdzie za radą udzielaną innym? Czy sądzisz, że on też wyjedzie?

— Dlaczego nie miałyby tego zrobić? — odpowiedziała królowa, usiłując dotknąć króla tymi słowami.

— Ba, gdyby dobry Bóg zechciał wysłuchać ciebie, a ksiązę d'Artois również postanowił wyjechać! — zawołał król. — Powiedziałbym mu to samo, co innym: „Szczęśliwej podróży, drogi bracie d'Artois!”

— Przecież to brat Waszej Królewskiej Mości!

— Jest mi niezmiernie przykro... to dobry chłopiec, któremu nie brak ani przebiegłości, ani odwagi. Wiem o tym. Brak mu jedynie rozumu! Niech udaje wydelikaczone książętko francuskie z czasów Ludwika XIII. To lekkoduch i głupiec, który kompromituje ciebie, żonę Cezara!

— Cezara! — szepnęła królowa z ironią pełną zjadliwości.

— Albo, jeżeli wolisz, Klaudiusza — odparł król. — Wszak wiesz, że Klaudiusz był tak samo Cezarem jak Neron.

Królowa opuściła głowę. Te rozważania historyczne, snute z zimną krwią, wytrącały ją z równowagi.

— A więc, Klaudiusza — mówił dalej król — jeżeli wolisz to imię niż Cezara. Pewnej nocy, jak ci jest zapewne wiadomo, Klaudiusz kazał zamknąć bramę Wersalu, by ci dać nauczkę, gdy

zbyt późno wracałaś do domu. Tę nauzkę masz, Antonino, do zawdzięczenia hrabiemu d'Artois. Nie mam więc powodu żałować go. O ile zaś chodzi o moją ciotkę, to wiemy coś niecoś o niej. Ta z pewnością zasługuje na to, by należeć do rodziny Cezarów. Wstrzymuję się jednak od powiedzenia czegokolwiek, gdyż jest to moja ciotka. Nie będę również żałował, jeżeli i ona wyjedzie. Podobnie jest i z księciem Prowansji. Czy sądzisz, że zmartwiłby mnie jego wyjazd? A czy on też ma zamiar wyjechać? W takim razie: „Szczęśliwej podróży”.

— Nic nie mówił o tym, że zamierza wyjechać.

— Tym gorzej! Otóż, moja droga, właśnie księżę Prowansji ściągnął mi na kark tego Beaumarchais, wsadzając go do więzienia gdzieś w Bicetre czy w forcie Leveque, za co tenże pan Beaumarchais pięknie nam się odwdzięczył! Och, księżę Prowansji pozostanie! Ha! Tym gorzej, tym gorzej! Chcę natomiast powiedzieć, że w całym otoczeniu królowej znam tylko jednego uczciwego człowieka, a mianowicie hrabiego de Charny.

Królowa zarumieniła się i odwróciła głowę.

— Ale mówiliśmy o Bastylji — odezwał się król po krótkiej chwili milczenia. — Czy ubolewasz nad tym, że została zdobyta?

— Może Wasza Królewska Mość raczy przynajmniej usiąść — odpowiedziała królowa. — Widzą, że ma mi jeszcze bardzo wiele do powiedzenia.

— Nie, dziękuję. Wolę mówić spacerując. Wychodzi mi to na zdrowie, o które nikt się nie troszczy. Niestety, jem dobrze, ale gorzej trawię. Czy wiesz, o czym się mówi w tej chwili? że król zjadł kolację i śpi. Otóż ty chyba najlepiej widzisz, że nie śpię. Stoję tu, rozmawiając z moją żoną o polityce, usiłuję strawić to, co zjadłem... O, jakże ciężką ceną muszę to okupić!

— Co, jeśli wolno wiedzieć?

— Pokutuję za grzechy naszych czasów, których jestem kozłem ofiarnym. Pokutuję za panią de Pompadour, za panią Dubarry, pokutuję wreszcie za tego biednego Latude'a, który trzydzieści lat gnił w celi i został unieśmiertelniony dzięki swym cierpieniom. On również przyczynił się do tego, że Bastylja została znienawidzona. Biedny chłopiec! Ach, wieleż to głupstw sam popełniłem, puszczając płazem nonsensy popełniane przez innych! Filozofowie, ekonomiści, uczeni, pisarze — sam przyczyniałem się do tego, by ich wszystkich prześladowano. Mój Boże, przecież ci ludzie pragnęli jedynie tego, by mnie kochać. Gdyby im pozwolono na to, okryliby sławą i szczęściem moje panowanie. Jak to na przykład było z tym panem Rousseau, znienawidzonym przez Sartinesa i innych. Widziałem go pewnego razu, kiedy kazałaś mu przybyć do Trianon. Przypominasz sobie zapewne? To prawda, że miał na sobie źle oczyszczone odzienie i długą brodę, ale był to przecież bardzo dzielny człowiek. Gdybym i ja wtedy ubrał się w swe szare, zwykłe odzienie, włożył grube pończochy i powiedział do niego: „No, to chodźmy, panie Rousseau, do lasu w Ville-d'Avray szukać mchów...”

— Więc co by było? — przerwała mu królowa, nie ukrywając najwyższego lekceważenia.

— Co by było? Ależ pan Rousseau nie napisałby wtedy swego *Wikarego z Sabaudii* i *Umowy społecznej*.

— O, znam dobrze ten rodzaj rozumowania — rzekła królowa. — Wasza Królewska Mość jest człowiekiem rozsądnym i boi się swego ludu jak pies swego pana.

— Przeciwnie: jak pan swego psa! Nieźle jest wiedzieć, że nie będzie się pokąsanym przez swego psa. Kiedy spaceruję ze swoim Medorem, owczarkiem pirenejskim, którego dostałem od króla hiszpańskiego, dumny jestem z przyjaźni, jaką mi to stworzenie okazuje. Możesz się z tego śmiać, jeżeli chcesz, jednak nie da się zaprzeczyć, że gdyby Medor nie był moim przyjacielem, z pewnością rozszarpałby mnie swymi kłami. Mówię do niego: „Mój mały Medorku, mój dobry Medorku!”, a pies liże mi ręce. Wolę jego jęzor niż jego kły.

— A więc dobrze, schlebiaj, królu, rewolucjonistom, rozdawaj im łaski, rzucaj ciastka...

— Owszem, będę to robił. Cóż mi pozostaje innego? Tak, to już postanowione, zbiorę trochę pieniędzy i będę wszystkich tych panów traktował jak Cerberów... Proszę, na przykład taki pan Mirabeau...

— O, tak! Czyż warto wspominać o tej okrutnej bestii?

— Na razie wystarczyłoby dla niego pięćdziesiąt tysięcy franków miesięcznie, a będzie służył jak Medor, a tymczasem jeżeli będziemy zwlekać, trzeba będzie mu dać co najmniej z pół miliona miesięcznie.

Królowa roześmiała się z politowaniem. — I takim ludziom ma się schlebiać?

— Albo pan Bailly — ciągnął dalej król. — Po mianowaniu go ministrem rzemiosła, bo tylko dla zabawy stworzyłem takie ministerstwo, ten również będzie Medorem. Wybacz mi, że nie podzielam twego zdania, ale mam na tę sprawę ten sam pogląd, co mój przodek, Henryk IV. Był to polityk, który wart był tyleż co inni, ale przypominam sobie, co kiedyś powiedział.

— Co mianowicie?

— „Nie łapie się much za pomocą octu...”

— Sancho mówił to samo albo coś podobnego.

— Tak, ale Sancho uczyniłby ludność Baratarii szczęśliwą, gdyby Barataria w ogóle istniała.

— Przodek Waszej Królewskiej Mości, Henryk IV, o którym raczyłeś wspomnieć, łapał wilki podobnie jak muchy. Świadkiem tego jest marszałek Biron, któremu kazał uciąć głowę. Mógł więc mówić, co mu się podobało. Rozumując jak on i postępując jak to czyniła Wasza Królewska Mość, obdzieracie tron z całego uroku, jaki go otacza. A przecież to on właśnie stanowi podstawę jego istnienia. Obalacie samą zasadę, co więc się stanie z majestatem? Majestat to tylko zwykłe słowo, wiem o tym, ale w nim zawarte są wszystkie królewskie cnoty, bo kto szanuje — ten kocha, a kto kocha — ten jest posłuszny.

— Mamy mówić o majestacie? — przerwał król z uśmiechem. — A więc mówmy o nim. Oto, na przykład, ty: jesteś tak pełna majestatu, że trudno sobie wyobrazić coś bardziej majestatycznego. Nie znam w całej Europie nikogo, biorąc pod uwagę nawet twoją matkę, Marię Teresę, kto potrafiłby posunąć dalej od ciebie tę umiejętność posługiwania się majestatem.

— Rozumiem. Wasza Królewska Mość chce zapewne powiedzieć, że nie bacząc na cały mój majestat, jestem znienawidzona przez lud francuski.

— Droga Antonino, nie powiedziałem, że jesteś znienawidzona — odparł król łagodnie — możliwe jednak, że nie jesteś tak ubóstwiana, jak na to zasługujesz...

— Widzę, że Wasza Królewska Mość — odpowiedziała królowa głęboko urażona — nasłuchiłaś się wszystkich tych oszczerstw. Przecież nie wyrządziłam nikomu żadnej krzywdy, przeciwnie — niekiedy starałam się czynić dobrze. Dlaczego, jak to Wasza Królewska Mość twierdzi, lud miałby mnie nienawidzić? Nic dziwnego, że nie byłam ubóstwiana, skoro było sporo ludzi, którzy cały dzień powtarzali jedno i to samo: „Królowa nie jest lubiana”. Czy Wasza Królewska Mość zdaje sobie sprawę z tego, że wystarczy czasami, by jeden głos powiedział coś podobnego, a wnet sto innych powtórzy to samo?

Z tych stu robią się później dziesiątki tysięcy. A następnie za tymi dziesiątkami tysięcy już cały świat powtarza: „Królowa nie jest lubiana!” A przecież nikt nie będzie tylko dlatego ubóstwiał królowę, że jakaś jedna osoba powie, że jej nie kocha!

— Wielki Boże! — szepnął król.

— Tak, wielki Boże! — przerwała mu królowa. — Nie bardzo mi zależy na popularności, sądzę jednak, że jest dużo przesady w tym, co się mówi o mojej niepopularności. To prawda, nie obsypywano mnie pochwałami, jednak kochano mnie i właśnie dlatego, że kochano mnie zanadto, nienawidzi się mnie teraz tak bardzo.

— Zaczekaj, moja droga, nie znasz jeszcze całej prawdy. Wciąż jeszcze ulegasz złudzeniom.

Mówiliśmy o Bastylji, prawda?

— Tak.

— Otóż w Bastylji była ogromna sala, w której znajdowało się mnóstwo najróżniejszych książek, wymierzonych przeciwko królowej. Sądzę, że zostały one wszystkie spalone.

— A cóż mi zarzucano w tych książkach?

— Rozumiesz chyba, że nie występuję tu jako twój oskarżyciel, podobnie jak nie chciałbym być twoim sędzią. Kiedy; wszystkie te broszury ukazywały się, kazałem natychmiast konfiskować cały nakład i odsyłałem go do Bastylji. Jednak parę takich egzemplarzy trafiło do ludzkich rąk. Oto na przykład mam tutaj — rzekł król, uderzając się po kieszeni swego fraka — jedną z takich broszur. Jest obrzydliwa.

— Proszę ją pokazać! — zawołała królowa.

— Nie mogę... są tam również ryciny...

— Więc doszło do tego — odparła królowa — że Wasza Królewska Mość nie starał się nawet odnaleźć źródła wszystkich tych oszczerstw?

— Nie robiliśmy nic innego, jak właśnie usiłowaliśmy odnaleźć te źródła. Wszyscy moi urzędnicy policyjni posiwieli przy tej pracy.

— A więc Wasza Królewska Mość zna autora tych bezceństw?

— Znam przynajmniej jednego, autora tej właśnie broszury, niejakiego Furtha, bo oto jestem w posiadaniu kwitu podpisanego przezeń na dwadzieścia dwa i pół tysiąca franków. Jak widzisz, kiedy zależy mi na czymś, nie liczę się z kosztami.

— A inni, ci inni?

— Często są to wygłodniali biedacy, pędzący nędzny żywot gdzieś w Anglii lub Holandii. Zdarza się, że człowieka coś ugryzie, zaczyna więc szukać sprawcy i odnajduje tak maleńkiego robaczka, tak nędznego i brudnego, że nie ma nawet odwagi go zgnieść.

— A to doskonale! Jeżeli się nie ma odwagi dotknąć robaka, należy przynajmniej jawnie wytoczyć oskarżenie przeciwko temu, kto go popiera. Ależ doprawdy, Wasza Królewska Mość, można byłoby powiedzieć, że to Filip Orleański jest tym inspiratorem!

— Aha! O to ci chodzi! — zawołał król klasnąwszy w dłonie. — Teraz rozumiem! Książę Orleański! Chcesz mnie poróżnić z nim?

— Ja miałabym poróżnić króla z jego wrogiem? To brzmi zaiste niezwykle!

Król wzruszył ramionami.

— Oto — odparł — jak różnie można wszystko interpretować. Książę Orleanu! Atakujesz go, a przecież on oddał się na moje rozkazy, aby walczyć przeciwko zbuntowanym! To on opuścił Paryż i przybył do Wersalu. Książę Orleanu ma być moim wrogiem? Trzeba przyznać, że twoja nienawiść dla domu orleańskiego nie ma granic!

— Wasza Królewska Mość powiada, że on wrócił. Ale w jakim celu? Chyba dlatego jedynie, że obawia się, aby jego nieobecność nie została zauważona przy wyrażaniu powszechnej gotowości. Przybył, gdyż jest tchórzem.

— Ha! Znowu powracamy do tego! — rzekł król. — To wszystko mógł wymyśleć jedynie tchórz. To ty kazałaś wydrukować w swoich gazetach, że on stchórzył pod Ouessant, to ty chciałaś okryć go hańbą. Bo to jest oszczerstwo! Filip nie stchórzył i Filip nie uciekał. Gdyby zrobił coś podobnego, nie należałby do tej rodziny. Orleanowie są odważni. Jest to powszechnie wiadome. Głowa rodu, raczej potomek Henryka III, a nie Henryka IV, był człowiekiem odważnym. W bitwie pod Cassel narażał się na śmierć. Regentowi można było coś niecoś zarzucić, o ile chodzi o jego obyczaje, ale bił się pod Steinkerque, pod Nerwinde i Almanza jako najzwyczajniejszy żołnierz jego armii. Możemy, jeżeli już tak chcesz, nie ujawniać połowy znanej nam prawdy, ale po cóż przypisywać komuś złe uczynki, które nie miały miejsca.

— Wasza Królewska Mość zamierza widocznie znaleźć usprawiedliwienie dla wszystkich buntowników. Przekonasz się, królu, jaka jest jego wartość. Jeżeli żal mi Bastylii, to jedynie przez wzgląd na niego. Nie mogę odżałować, że trzymano tam tylu przestępców, a jego tam nie było.

— W pięknej znaleźlibyśmy się dziś sytuacji — odparł król — gdyby książe Orleański znajdował się w Bastylii!

— Cóżby się stało?

— Jest ci zapewne wiadome, jak obnoszono jego popiersie, uwieńczone kwiatami, razem z popiersiem barona Neckera.

— Owszem, wiem o tym.

— Znalazł się za murami Bastylii, książe Orleanu byłby obwołany królem Francji.

— A może Wasza Królewska Mość i to też uznałby za słuszne — odparła królowa ze zjadliwą ironią.

— A właśnie, że tak! Możesz wzruszać, ile chcesz, ramionami. Aby wydawać sąd o innych, usiłuję przedtem zrozumieć ich stanowisko. Nie sądzę, że z wysokości tronu najlepiej można oglądać swój lud. Staram się zejść do niego i zadaję sobie samemu pytanie, czy będąc mieszczaninem lub wieśniakiem zniósłbym magnata, który zaliczałby mnie do swego majątku niczym kury lub krowy! Czy będąc rolnikiem zgodziłbym się, aby dziesięć tysięcy gołębi, należących do jakiegoś wielkiego pana, zjadało codziennie dziesięć miarek pszenicy, owsa czy też tataraki, czyli prawie dwa korce z tego, co niewątpliwie stanowi mój własny dobytek. Czy wreszcie zgodziłbym się, by jego zajace i króliki wyjadały moją koniczynę, jego jelenie wykopywały moje ziemniaki a podczas gdy poborcy podatkowi zdzieraliby ze mnie skórę, on, ten wielki magnat, zabawiałby się z moją żoną lub z mymi córkami. Czy w końcu zgodziłbym się, by król zabierał moich synów na wojnę, a księża wyklinali mnie, gdy wściekłość zaczynała ogarniać mą duszę.

— W takim razie niech Wasza Królewska Mość — przerwała mu królowa, piorunując go spojrzeniem — weźmie do ręki kilof i pójdzie pomagać przy burzeniu Bastylii.

— Uważasz to za żart? A więc zapewniam cię, że poszedłbym, gdyby to nie wyglądało aż nadto śmiesznie, że król chwyta za kilof wtedy, gdy jednym pociągnięciem pióra może dokonać tego samego. O tak, wziąłbym kilof do ręki, a z pewnością powitano by mnie oklaskami, jak ja oklaskuję tych, którzy spieszą, by spełnić tę powinność. Ci, którzy burzą w tej chwili Bastylię, oddają mi nieocenioną przysługę, a jeszcze większą tobie, moja Antonino. Tak, tobie, gdyż nie będziesz już mogła, ulegając kaprysom swoich przyjaciółek, wtrącać do celi więziennej uczciwych ludzi.

— Uczciwych ludzi do Bastylii? A czy ja wtrącałam tam uczciwych ludzi? A może to pan de Rohan jest tym uczciwym człowiekiem.

— Nie mówmy o nim, Nie udało nam się wtrącić go tam, gdyż parlament przywrócił mu wolność. Zresztą nie było to odpowiednie miejsce dla księcia kościoła, bo wszak dziś zamyka się w Bastylii oszustów. A teraz zapytam ciebie, co mają tam do roboty oszuści i złodzieje? Czy nie mam w Paryżu dostatecznej ilości więzień, które mnie dość drogo kosztują, aby trzymać pod kluczem tych nieszczęśników? Gdybyż to jedynie o złodziei chodziło i oszustów, ale najgorsze jest to, że wtrącano tam ludzi uczciwych.

— Uczciwych?

— Nie ulega wątpliwości. Dziś widziałem pewnego uczciwego człowieka, który został wtrącony do Bastylii i dopiero co stamtąd wyszedł.

— Kiedy?

— Dziś z rana.

— Wasza Królewska Mość widział dziś wieczorem człowieka, który z rana wyszedł z Bastylii?

— Niedawno rozstałem się z nim.

— Któż to jest?

— Ha! Ktoś z twoich znajomych.

— Z moich znajomych?

— Tak.

— Jakże się nazywa ów ktoś?

— Doktor Gilbert.

— Gilbert! Gilbert! — zawołała królowa. — Czy to ten sam, którego nazwisko wymieniła Andrea odzyskując przytomność?

— Najprawdopodobniej jest to ten sam człowiek. Gotów byłbym przysiąc, że tak.

— Czy ten człowiek był uwięziony w Bastylii?

— Mógłby ktoś przypuścić, że nic o tym nie wiesz...

— Ależ nic o tym nie wiem...

Spostrzegłszy, że twarz króla wyraża niedowierzanie, królowa powiedziała:

— Zresztą... możliwe, że dla jakiejś przyczyny zapomniałam o tym...

— Otóż to! — zawołał król. — Kiedy się popełnia jakąś niesprawiedliwość, zawsze znajdzie się przyczyna, dla której zapomina się o niej. Ale jeżeli ty nie przypominasz sobie ani powodu, ani doktora Gilberta, to hrabina de Charny nie zapomniała ani o jednym, ani o drugim. Mogę cię zapewnić o tym!

— Ależ Wasza Królewska Mość! — zawołała królowa.

— Między nimi musiało coś zajść — mówił dalej król.

— Litości! — wołała królowa, spoglądając z lękiem w kierunku buduaru, gdzie zamknięta Andrea mogła usłyszeć wszystko, o czym mówili.

— Ach, tak! — powiedział król śmiejąc się. — Obawiasz się, by hrabia de Charny nie nadszedł i nie dowiedział się o wszystkim. Biedny Charny!

— Wasza Królewska Mość, błagam cię... Hrabina de Charny jest kobietą pełną cnót i przyznaję, że jestem raczej skłonna przypuszczać, że to ten Gilbert...

— Czy masz zamiar — przerwał król — oskarżać tego zacnego młodzieńca? Wiem, co wiem, a najgorsze jest to, że wiedząc o wielu rzeczach, jeszcze nie znam wszystkiego.

— Skąd ta bezwzględna pewność? — wtrąciła królowa, nie przestając patrzeć w stronę buduaru.

— O, jestem najzupełniej spokojny i nic nie stracę na tym, że zaczekam. Początek całej tej historii zapowiada przyjemne zakończenie, a jeżeli chodzi o nie, dowiem się od samego Gilberta, który w chwili obecnej jest moim przybocznym lekarzem.

— Lekarzem króla? Ten człowiek? Wasza Królewska Mość powierza swe życie pierwszemu lepszemu przybyszowi?

— Wierzę swemu pierwszemu wrażeniu, Zajrzałem w samą duszę tego człowieka.

Królowa mimo woli zadrżała z gniewu i politowania.

— Możesz wzruszać ramionami, ile zechcesz, ale nie wmówisz we mnie, że ten Gilbert nie jest wykształconym człowiekiem.

— Przesadzasz!

— Ciekaw jestem, co powiedziałaś będąc na moim miejscu, a ponadto chciałbym wiedzieć, czy pan Mesmer nie zrobił na tobie i na pani de Lambelle pewnego wrażenia...

— Pan Mesmer? — powtórzyła królowa rumieniąc się.

— Tak, kiedy to przed czterema laty udałaś się z nią w przebraniu na jeden z jego seansów.

Mam doskonale wyszkoloną policję, moja droga, i wszystko jest mi wiadome.

Mówiąc to król bardzo wymownie uśmiechnął się do Marii Antoniny.

— Skoro Wasza Królewska Mość raczy wiedzieć o wszystkim, to trzeba przyznać, że doskonale się maskował, nigdy nie mówiąc mi o tym.

— W jakim celu miałbym to robić? Głosy nowinkarzy i pióra pismaków w wystarczającym stopniu robiły ci wyrzuty z powodu tego nierozważnego kroku. Ale powracam do Gilberta i jednocześnie do Mesmera. Pan Mesmer kazał wam usiąść dokoła naczynia z wodą, dotknął cię stalowym prętem i, jak przystało na prawdziwego szarlatana, zademonstrował ci tysiące przeróżnych fantastycznych bzdur. Natomiast Gilbert nie bawi się w te wszystkie sztuczki, po prostu staje z wyciągniętą ręką nad kobietą, a ta po chwili usypia, a we śnie zaczyna mówić...

— Zaczyna mówić? — szepnęła przerażona królowa.

— Tak — odrzekł król, nie mając nic przeciwko temu, by nieco przedłużyć cierpienia, na jakie wystawiał swą żonę. — Tak, otóż ta uśpiona przez Gilberta kobieta mówiła o rzeczach, które, zechciej mi wierzyć, wydają się dość dziwne.

Królowa zbladła.

— Więc hrabina de Charny miała mówić tak dziwne rzeczy? — szeptała.

— I to nawet bardzo dziwne! — dodał król. — Na szczęście dla niej...

— Cicho! Cicho! — przerwała mu królowa.

— Dlaczego mam być cicho! Mówię, że to całe szczęście dla niej, że jedynie ja słyszałem, co mówiła w uśpieniu.

— Na miłość boską, ani słowa więcej!

— Bardzo chętnie, gdyż padam ze znużenia. Podobnie jak jem, kiedy jestem głodny, tak zwykłem kłaść się do łóżka, kiedy mam ochotę spać. A więc, dobrej nocy! Chciałbym, aby nasza rozmowa miała dla ciebie zbawienny skutek!

— Jaki?

— Lud ma słuszość chcąc naprawić to, co my i nasi przyjaciele uczyniliśmy. Najlepszym świadectwem tego jest mój biedny doktor Gilbert. Żegnam cię. Bądź pewna, że wykrywając zło, będę miał dość odwagi, by je zwalczać. Spij dobrze, Antonino!

Król skierował się w stronę drzwi.

— A propos — rzekł zatrzymując się na chwilę — bądź łaskawa uprzedzić hrabinę de Charny, że dobrze zrobi, jeżeli pogodzi się z doktorem Gilbertem, o ile to jest jeszcze w ogóle możliwe.

Król odszedł wolnym krokiem, zamykając za sobą drzwi i odczuwając przy tym zadowolenie, jakiego doznaje zapewne mechanik, gdy wyczuwa pod ręką sprawnie działający zamek.

Król nie zdążył zrobić dziesięciu kroków, kiedy hrabina de Charny wyszła z buduaru, podbiegła do drzwi, zamknęła je na zasuwę, następnie podeszła do okien i zaciągnęła kotary. Wszystko to zostało wykonane niezmiernie szybko i z energią, jaką jedynie szal i gniew mogą zrodzić.

Upewniwszy się, że nikt nie będzie mógł jej zobaczyć ani usłyszeć, hrabina podeszła do królowej i wybuchając płaczem, uklękła przed nią błagając:

— Królowo! Ratuj mnie! Na miłość boską, ratuj! Po chwili, westchnąwszy ciężko, dodała:

— Powiem ci wszystko!

Том II

XXXI

O CZYM KRÓLOWA MYŚLAŁA W NOCY Z 14 NA 15 LIPCA 1789 ROKU

Trudno powiedzieć, jak długo trwały te poufne zwierzenia. Przeciągnęły się jednak, gdyż dopiero o godzinie jedenastej wieczór otworzyły się drzwi buduaru królowej, a na ich progu Andrea, niemal na klęczkach, całowała ręce Marii Antoniny.

Powstawszy młoda kobieta otarła zaczerwienione od łez oczy, królowa zaś powróciła do swego pokoju.

Andrea natomiast oddaliła się szybko, jak gdyby chcąc uciec przed samą sobą.

Od tej chwili królowa pozostała sama. Kiedy weszła dama dworu, aby jej pomóc rozebrać się, zastała Marię Antoninę z roziskrzonym wzrokiem, chodzącą nerwowo po pokoju.

Niecierpliwym ruchem ręki królowa dała do zrozumienia, żeby pozostawiono ją w spokoju.

Nakazała, by nikt jej nie przeszkadzał, chyba tylko w wypadku nadejścia ważnych wieści z Paryża.

Król zaś po rozmowie z panem de La Rochefoucauld, który próbował wytłumaczyć mu różnicę między rewoltą i rewolucją, oświadczył, że jest zmęczony. Położywszy się zasnął tak spokojnie, jak gdyby wrócił z pomyślnego polowania.

Tymczasem królowa, po napisaniu kilku listów, przeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie spało jej dwoje dzieci pod opieką pani de Tourzel. Położyła się tam, nie po to jednak, aby — tak jak król — spać, lecz by swobodnie oddać się rozmyślaniom.

Niebawem jednak, gdy cisza ogarnęła Wersal i olbrzymi pałac pogrążył się w mroku, gdy z głębi ogrodów dobiegały tylko skrzypiące na piasku kroki wartowników, a z długich korytarzy stłumiony stuk kolby karabinu o marmurowe płyty, Maria Antonina, zmęczona leżeniem, wstała z łóżka chcąc nieco odetchnąć świeżym powietrzem. Włożywszy aksamitne pantofle, otulona długim białym peniurem stanęła w oknie, aby chłonać orzeźwiający tchnienie wilgoci, płynące od wodospadów, przysłuchując się radom, jakie powiew nocny podszeptuje rozpalonym czołom i udreńczonym sercom, W pamięci królowej przesunęły się wówczas wszystkie nieprzewidziane wydarzenia, jakie przyniósł: sobą ów niezwykle dzień.

Upadek Bastylii, tego symbolu władzy królewskiej, wahanie de Charny, oddanego przyjaciela, który od tylu lat trzymany przez nią w jarzmie wyznawał dotąd tylko miłość — teraz po raz pierwszy zobaczyła go w stanie rozżalenia i zwątpienia.

Skłonna do refleksji, jaką wyższym umysłem daje znajomość ludzi i rzeczy, Maria Antonina łatwo uprzytomniła sobie przyczynę swego niepokoju, w którym udreńka serca połączyła się z trwogą wobec sytuacji politycznej. Trwogę wzbudziła doniosła wiadomość, która o godzinie trzeciej zaczęła zataczać coraz szersze kręgi dokoła Paryża, obalając uświęconą w umysłach cześć, oddawaną dotychczas królom, pełnomocnikom Boga.

Udreńką serca był ujawniony opór hrabiego de Charny wobec wszechwładzy ukochanej monarchini. Tkwiło w tym jakby przeczucie, że nie wyrzekając się wierności, miłość jego przestaje być ślepa, a może nawet i wierność zostanie wkrótce zachwiana.

Myśl ta ścisnęła serce kobiety, napełniając je goryczą żółci, żrącym jadem zazdrości, jątrzącym naraz tysiące drobnych zdraśnień ambicji.

A jednak w obliczu grożącej klęski politycznej ta osobista udreńka usuwała się w cień.

Toteż raczej pod wpływem refleksji niż wzburzonych, uczuć, raczej z konieczności niż z instynktu, Maria Antonina skierowała swe myśli ku wydarzeniom w Paryżu.

Na co mogła liczyć? Dokoła wzbiera nienawiść i ambicja, obok niej kryją się słabość i

obojętność. Wrogowie to ci, którzy rozpoczynawszy od oszczerstw wstąpili na drogę otwartego buntu.

To ci, którzy nie cofną się przed niczym.

Obrońcy, a przynajmniej większość spośród nich, to są ludzie, którzy zobojętnieli na wszystko, którzy zawahaliby się przystąpić do walki w obawie przed konsekwencjami.

Pozostawało więc również udawać obojętność, udawać, że się przebacza, niczego nie zapominając.

Nie było to godne królowej Francji, zwłaszcza zaś — niegodne córki Marii Teresy, kobiety wielkiego serca.

Walczyć! Walczyć! Taka była rada buntującej się dumy; królewskiej. Ale czy walka jest rzeczą rozsądną? Czy można uśmierzyć nienawiść przelewając krew? Czyż miano „Austriaczki” nie było straszliwe? Czy należy je uświęcić krwawym chrztem powszechnej rzezi, tak jak to zrobiły królowa Izabela i Katarzyna Medycejska?

A zresztą, jeśli wierzyć słowom de Charny powodzenie było wątpliwe.

Walczyć i ulec!

Oto, jakie strapienia przeżywała Maria Antonina w związku z nieszczęściem politycznym. Chwilami, w toku swych rozmyślań, czuła, że z głębi jej cierpień jako królowej wyłania się rozpacz kobiety, której się wydaje, że jest już mniej kochana, podczas gdy dawniej kochane ją tak bardzo!

Słowa hrabiego de Charny wynikały nie tyle z jego przeżycia, co podyktowane były zmęczeniem Podobnie jak wielu innych, jak i ona sarna, zaznał on goryczy oszczerstw. Po raz pierwszy mówił w sposób tak tkliwy o swojej żonie Andrei, istocie dotychczas przez niego nie zauważanej. Czy spostrzegł, że ta kobieta, młoda jeszcze, była wciąż piękna?

Nękana tą myślą niby jadowitym ukąszeniem żmii, Maria Antonina stwierdziła ze zdziwieniem, że wobec jej udręki tamto nieszczęście było niczym.

I udręka serca sprawiła to, czego nie mogło dokonać nieszczęście: wówczas gdy królowa siedziała medytując o nieszczęściu, zimna i niezdecydowana, urażona kobieta zerwała się z fotela.

Jak uniknąć i nieszczęścia, i udręki — zapytywała samą siebie z wzrastającym niepokojem. Czy porzucając żywot królewski należy zdecydować się na życie szczęśliwej przeciętnej kobiety? Czy należało powrócić do wiejskiego domku w Trianon, do spokoju nad jeziorem i cichych radości gospodarskich? Czy ma pozostawić ludowi do podziału strzępy władzy królewskiej, prócz tego, co kobieta zdoła zachować jeszcze dla siebie dzięki uległości kilku wiernych wasali?

Niestety! Tu właśnie z nową siłą obudziła się zazdrość w jej sercu.

Czy byłaby naprawdę szczęśliwa, przeżywając upokorzenie wzgardzonej miłości?

Czy byłaby szczęśliwa obok króla, pospolitego małżonka, któremu zupełnie brakowało zalet, aby zostać bohaterem?

Blisko pana de Charny, który kochałby inną kobietę, może własną żonę?

Myśl ta zapalała w sercu nieszczęśliwej królowej pochodnie, podobne do tych, które paliły Dydone bardziej niż ogień stosu.

Ale oto pośród tej gorączkowej tortury — chwila ukojenia, pośród tej wstrząsającej udręki — przeblysł radości. Bóg w niezmierzonej swej dobroci stworzył zło po to chyba, aby ludzie ocenili dobro.

Andrea zwierzyła się przed królową, obnażyła wobec rywalki hańbę swego życia. Zalana łzami, głowę schyliwszy ku ziemi, wyznała Marii Antoninie, że nie jest już godna, miłości i szacunku uczciwego człowieka. A więc Charny nigdy nie pokocha Andrei!

Ale Charny nie wie, nie dowie się nigdy o tym, co zaszło niegdyś w Trianon. A więc to

wszystko jakby dla niego w ogóle nie istniało.

A pośród tych myśli najprzykrzejszą była świadomość zanikania własnej urody, przemijania młodych lat życia, utraty wesołości. Następnie powracała do Andrei, do jej dziwnych, niemal niewiarygodnych przygód, o których przed chwilą usłyszała z jej ust.

Podziwiała magiczne zrządzenie ślepego przeznaczenia, które gdzieś w głębi Trianon wyciągnęło z ciemnej chaty i wiejskiego brudu pospolitego ogrodniczka, aby związać go z losem młodej szlachcianki, związanej z kolei z losami królowej.

„Tak więc — mówiła do siebie — marny pyłek zagubiony w przyziemnych regionach miał, wskutek kaprysu wyższych sił, stopić się niby okruch diamentu z boskim blaskiem gwiazdy.

Nie byłże ów ogrodniczek, ów Gilbert, żywym symbolem tego, co się właśnie dzieje? On, człowiek z ludu, najniższego pochodzenia, zajmujący się polityką wielkiego królestwa. On, dziwny aktor, uosabiający mocą złego ducha i zniewagę rzuconą arystokracji, i atak gminu na władzę królewską?

Ów Gilbert, który został uczonym, Gilbert w czarnym stroju stanu trzeciego, doradca pana Neckera, zaufany króla Francji, teraz oto znajdzie się, dzięki kaprynowi rewolucji, na równi z kobietą, której nocą zrabował cześć, niczym złodziej”

Królowa, stając się znów kobietą, drżała mimo woli na wspomnienie ponurej historii, jaką opowiedziała jej Andrea. Królowa poczytywała sobie za obowiązek przyrzecć się temu człowiekowi, ażeby móc wyczytać w jego rysach objawy tak szczególnego charakteru, jakim Bóg go obdarzył. A mimo iż czuła radość z upokorzenia rywalki, to jednak gwałtownie pragnęła zranić człowieka, który tyle cierpienia zadał kobiecie.

Była w tym może i ciekawość, połączona ze zgrozą, jaką budzą rzeczy potworne, ciekawość zobaczenia tego, który w wyniku zbrodni zmieszał swoją plebejską krew z arystokratyczną krwią Francji. Człowieka, który jak gdyby wywołał rewolucję po to, aby go uwolniono z Bastylii, gdzie by, w przeciwnym razie, nauczył się raz na zawsze zapomnieć o tym, o czym ludzie z gminu nie powinni pamiętać.

Królowa wróciła znów myślą do spraw polityki, ale teraz już widziała, jak cała odpowiedzialność za wszystkie cierpienia skupia się na jednej osobie.

Tak więc sprawcą rewolty ludowej, która wstrząsnęła władzą królewską, obalając Bastylię, był Gilbert, którego idee dały do ręki broń takim, jak Billot, Maillard, Elie, Hullin.

Gilbert był więc istotą szkodliwą, gdyż zgubił, jako kochanek, Andreę, a zarazem niebezpieczną, gdyż dopomógł, jako wróg, do zburzenia Bastylii.

Należało go więc poznać, aby wiedzieć, jak go unikać, albo przekonać się, czy nie można by było nim się posłużyć.

Należało, za wszelką cenę, rozmówić się z nim, zobaczyć go z bliska, ocenić osobiście.

Minęła już większa część nocy, wybiła godzina trzecia, brzask bielił już wierzchołki drzew i głowy posągów w parku wersalskim.

Królowa spędziła bezsenne całą noc, a wzrok jej błądził wśród alej pogrążonych w jasnym blasku.

Nieszczęsną kobietę ogarniał stopniowo ciężki, gorączkowy sen. Ze zwieszoną głową opadła na oparcie fotela, który stał przy otwartym oknie.

Śniło się jej, że spaceruje w Trianon, a z głębi klombu wychodzi gnom, uśmiechający się ziemistymi ustami — jak w balladach niemieckich — a tym szyderyczym potworem jest Gilbert, wyciągający ku niej palce upióra.

Krzyknęła. Okrzykowi jej zawtórował inny, który ją obudził.

To pani de Tourzel, która właśnie weszła do pokoju królowej, widząc ją pogrążoną w niespokojnym śnie, nie mogła powstrzymać okrzyku bólu i zdumienia.

— Królowa chora! — zawołała. — Królowa cierpi. Czy wezwać lekarza?

Maria Antonina otworzyła oczy. Pytanie pani de Tourzel zbiegło się z życzeniem, podyktowanym przez ciekawość królowej. — Tak, lekarza — odparła. — Doktora Gilberta... Wezwijcie doktora Gilberta.

— Kto to jest ten doktor Gilbert? — zapytała pani de Tourzel.

— Nowy lekarz nadworny, mianowany od wczoraj, przybyły, zdaje się, z Ameryki.

— . Domyślam się, o kim mówi Jej Królewska Mość. — A więc? — zapytała Maria Antonina.

— Doktor jest teraz w przedpokojach króla. — Znasz go więc?

— Tak, Wasza Królewska Mość — wyjąkała dama — Ale skąd możesz go znać?... Przybył z Ameryki przed ośmiu czy dziesięciu dniami, a dopiero wczoraj wyszedł z Bastylii.

— Znam go...

— Odpowiedz! Skąd go pani znasz? — spytała królowa rozkazującym tonem.

Dama spuściła oczy.

— No, cóż... Czy powiesz wreszcie, skąd go znasz?

— Najjaśniejsza Pani, czytałam jego dzieła, a ponieważ zainteresowałam się ich autorem, prosiłam, żeby mi go dzisiaj wskazano.

— Ach! — rzekła z pogardą królowa. — Skoro go znasz, proszę mu powiedzieć, że jestem cierpiąca i pragnę go zobaczyć.

Po czym królowa kazała wejść swoim damom, włożyła szlafroczek i poprawiła nieco fryzurę.

XXXII

LEKARZ KRÓLEWSKI

W kilka minut po rozkazie królowej Gilbert, trochę zdziwiony, trochę niespokojny, głęboko wzruszony, nic jednak nie zdradzając po sobie, zjawił się przed Marią Antoniną.

Miał szlachetną i śmiałą postawę, twarz bladą, znamionującą męża nauki, dla którego praca badawcza stała się drugą naturą. Blandość tę podkreślał jeszcze bardziej czarny strój, jaki nosili bez wyjątku nie tylko wszyscy deputowani stanu trzeciego, lecz również i ludzie, którzy przyjęli zasady rewolucji. Miał delikatną i białą rękę chirurga, ujętą w plisowany mankiet z muślinu, nogę tak szczupłą, wykwinną i proporcjonalną, że zgrabniejszą nie mógłby się pochwalić nikt na dworze wobec znawców, a nawet znawczyń z antyszambry rycerskiej w Wersalu. Cechował go przy tym nieśmiały szacunek dla kobiety, odwaga i spokój wobec chorej — nic zgola wobec królowej. Takie były pierwsze bystre spostrzeżenia Marii Antoniny, poczynione na widok doktora Gilberta w chwili, gdy ukazał się w drzwiach jej sypialni.

Im mniej zachowanie Gilberta było wyzywające, tym bardziej królowa czuła rosnący w niej gniew. Wyobraziła go sobie jako człowieka odrażającego, upodabiając go mimowolnie do jednego z owych rozpustników, jakich widywała często wokół siebie. Tego sprawcę cierpień Andrei, nieprawego ucznia Rousseau, niedorostka przemienionego w mężczyznę, ogrodniczka będącego teraz lekarzem, tępiciele liszek na drzewach, który stał się filozofem i pogromcą dusz, Maria Antonina widziała, wbrew swoim chęciom, w postaci Mirabeau, to znaczy człowieka najbardziej przez nią, po kardynale de Rohan i Lafayecie, znienawidzonego.

A kiedy zobaczyła, że to człowiek młody, szczupły, o postawie smukłej i eleganckiej, o twarzy łagodnej i ujmującej, wydało się jej, że jest on sprawcą nowej zbrodni, gdyż powierzchownością swą okłamuje otoczenie. Gilbert, człowiek z ludu, niskiego, nieznanego pochodzenia, Gilbert wieśniak, prostak, grubianin był winny w oczach królowej uzurpowania sobie wyglądu szlachcica i uczciwego człowieka. Dumna Austriaczka, przysięgły wróg kłamstwa, zdjęta oburzeniem zapałała nagle wściekłą nienawiścią do tego plebejusza, który; z tylu różnych powodów obudził w niej niechęć.

Ludzie bliscy królowej, którzy umieli wyczytać w jej oczach pogodę lub burzę, spostrzegli z łatwością, że w głębi jej serca wzbiera gniew.

Maria Antonina odprawiła wzrokiem obecnych, nawet panią de Misery. Wszyscy wyszli. Gdy drzwi się zamknęły za ostatnią osobą, królowa skierowała swój wzrok na Gilberta, który wciąż ją obserwował.

Oburzyło ją takie zuchwalstwo.

Spojrzenie doktora było na pozór niewinne, ale tak uporczywe, że Maria Antonina poczuła się zmuszona poskromić to natręctwo.

... — I cóż, panie — odezwała się szorstko — czemuż stoisz tak mi się przyglądając, zamiast powiedzieć, co mi dolega? — Te słowa, poparte piorunującym spojrzeniem, które poraziłyby każdego z dworzan królowej, rzuciłyby do jej stóp z prośbą o łaskę nawet marszałka Francji, bohatera, półboga.

Ale Gilbert odparł spokojnie.

— Najjaśniejsza Pani, lekarz bada przede wszystkim wzrokiem. Patrząc na Waszą Królewską Mość, która mnie wezwała, nie zaspokajam bynajmniej próżnej ciekawości. Wykonuję swój zawód, posłuszny rozkazom.

— Więc badałeś mnie pan?

— Ile tylko było w mojej mocy, Najjaśniejsza Pani.

— Czy jestem chora?

— Bynajmniej, w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale Wasza Królewska Mość jest w stanie silnego rozdrażnienia.

— Ach, ach — rzekła Maria Antonina z ironią — czemu nie powie pan od razu, że jestem zła?

— Skoro Wasza Królewska Mość wezwwała lekarza, proszę mi pozwolić, że użyję określenia lekarskiego.

— Dobrze. A skąd to silne rozdrażnienie?

— Wasza Królewska Mość posiada zbyt wiele rozumu, aby nie wiedzieć, że lekarz, dzięki swemu doświadczeniu i tradycjom Wiedzy, odgaduje zło fizyczne. Nie jest jednak jasnowidzem, aby na pierwszy rzut oka odgadnąć stan duszy ludzkiej.

— To znaczy, że za drugim lub trzecim razem zdołałby pan powiedzieć nie tylko, na co cierpię, lecz i co myślę?

— Może, Najjaśniejsza Pani — odrzekł zimno Gilbert. Królowa drząc cała zamilkła. Chciała już rzucić słowa zjadliwe i pełne oburzenia, pohamowała się jednak.

— Trzeba panu wierzyć — rzekła — mężu uczony. Ostatnie słowa zaakcentowała z taką pogardą, że oczy Gilberta zapaliły się z kolei gniewem.

Ale temu człowiekowi dość było krótkiej walki, by odniósł zwycięstwo. Toteż już po chwili podjął opanowanym głosem:

— Wasza Królewska Mość zbyt jest łaskawa obdarzając mnie dyplomem człowieka uczonego, nie doświadczywszy mojej wiedzy.

Królowa zagryzła wargi.

— Rozumie pan — podjęła — że nie wiem, czy jest pan uczony. Ale tak mówią i ja powtarzam za wszystkimi.

— W takim razie, Wasza Królewska Mość — odrzekł Gilbert pochylając się ze czcią — nie należy, będąc tak inteligentną, powtarzać ślepo tego, co mówi motłoch.

— Ma pan na myśli lud? — rzuciła impertynencko królowa.

— Motłoch, Najjaśniejsza Pani — powtórzył Gilbert tonem tak stanowczym, że „w głębi kobiecego serca zadrgały jakieś struny boleśnie wrażliwe na nieznanne dotąd wzruszenia.

— Mniejsza o to — odparła — nie dyskutujmy wcale na ten temat. Mienią pana uczonym, to rzecz najważniejsza. Gdzie pan studiował?

— Wszędzie, Najjaśniejsza Pani.

— To nie jest odpowiedź.

— A więc, nigdzie.

— Wolę już to. Nigdzie pan nie studiował?

— Jak się Waszej Królewskiej Mości podoba — odpowiedział doktor z ukłonem. — Jest to jednak mniej dokładne niż określenie: wszędzie.

— Odpowiedz mi pan wreszcie z sensem! — zawołała królowa niecierpliwie. — Ale przede wszystkim, panie Gilbert, oszczędź mi, z łaski swojej, tego rodzaju ogólników.

Potem, jak gdyby do samej siebie, powtórzyła:

— Wszędzie! wszędzie! Co to znaczy? To dobre dla szarlatana, znachora! Zamierza pan imponować mi pustym frazesem?

Zrobiła krok naprzód, z rozognionym wzrokiem, z drgającymi ustami.

— Wszędzie! Gdzież to? Proszę, niechżeż pan powie!

— Powiedziałem: wszędzie — odparł zimno Gilbert — gdyż istotnie studiowałem wszędzie... W chacie i w pałacu, w mieście i na pustyni, ludzi i zwierzęta, siebie oraz innych, jak przystoi człowiekowi miłującemu naukę, który czerpie wiedzę, gdziekolwiek jest, a więc wszędzie.

Królowa była pokonana. Gilbert nie przestawał patrzeć na nią z drażniącym uporem.

Odwrociwszy się, nerwowym ruchem przewróciła gerydon, gdzie stała przyniesiona właśnie czekolada w filizance z sewskiej porcelany.

Gilbert widział, jak upadł stolik, jak stłukła się filizanka, lecz nie zrobił najmniejszego ruchu.

Twarz Marii Antoniny oblała się szkarłatem. Podniosła do rozpalonego czoła zimną i wilgotną rękę, zdecydowana ponownie spojrzeć na Gilberta. Nie odważyła się jednak.

Twarzy swej nadała wyraz pogardy, silniejszy od impertynencji.

— A u jakiego mistrza studiowałeś pan? — ciągnęła królowa, podejmując przerwana w tym miejscu rozmowę.

— Nie wiem, jak mam odpowiedzieć Waszej Królewskiej Mości, aby jej znowu czymś nie urazić.

Świadoma przewagi, jaką jej dawał Gilbert, królowa skorzystała z niej wołając:

— Urazić mnie! Pan miałbyś urazić mnie, królowę?! Mylisz się pan, przysięgam. Ach, panie doktorze Gilbert, swoją znajomość francuszczyzny czerpałeś ze źródeł mniej dobrych niż wiedzę medyczną! Ludzi mojego stanu nie można urazić, panie doktorze Gilbert, lecz tylko znudzić — i nic więcej.

Gilbert skłonił się i cofnął ku drzwiom, ale królowej nie udało się wykryć na jego twarzy najmniejszego śladu gniewu, najlżejszej oznaki zniecierpliwienia.

Królowa natomiast drżała z gniewu. Porwała się z miejsca, jakby chcąc powstrzymać Gilberta.

— Najjaśniejsza Pani wybaczy — rzekł Gilbert, zrozumiawszy jej odruch. — Istotnie, popełniłem niewybaczalny błąd zapominając, że byłem wezwany jako lekarz do chorej. Zachciej mi wybaczyć, na przyszłość będę o tym pamiętał.

Zamyślił się chwilę.

— Wydaje mi się — ciągnął dalej — że Wasza Królewska Mość podlega przesileniu nerwowemu. Jeszcze trochę, a Najjaśniejsza Pani przestanie panować nad sobą. Tętno jest w tej chwili niewyczuwalne, krew napływa do serca. Wasza Królewska Mość cierpi, Waszej Królewskiej Mości grozi uduszenie i może byłoby wskazane przywołać tu którąś z jej dam.

Królowa przeszła się po pokoju i usiadłszy zapytała:

— Pan nazywa się Gilbert? — Tak, Najjaśniejsza Pani.

— To dziwne! Mam z lat młodzieńczych wspomnienie, które zraniłoby pana dotkliwie, gdybym je opowiedziała. Mniejsza o to! Uleczysz się pan, bo jesteś zarazem filozofem i uczonym lekarzem.

Tu królowa uśmiechnęła się ironicznie.

— O, właśnie, Najjaśniejsza Pani — rzekł Gilbert. — Proszę śmiać się i stopniowo uspokajać swoje nerwy drwiną. Panowanie nad sobą to jeden z najpiękniejszych przywilejów rozumnej woli.

Temu zaleceniu towarzyszyło tyle łagodnej dobroduszości, że królowa nie mogła czuć się urażona słowami Gilberta, chociaż zrozumiała kryjącą się w nich ironię.

Ale ponowiła próbę podejmując atak.

— Oto wspomnienie, o którym mówiłam — ciągnęła. Gilbert skłonił się na znak, że słucha.

— Byłam wówczas małżonką delfina i mieszkałam w Trianon. Pracował tam w ogrodzie chłopczyk uwalany ziemią, zawsze nadąsany, coś w rodzaju małego Jana Jakuba. Kopał, pełł i tępił zakrzywionymi palcami liszki. Nazywał się Gilbert.

— To byłem ja, Wasza Królewska Mość — rzekł spokojnie Gilbert.

— Pan? — wykrzyknęła Maria Antonina z nienawiścią w głosie. — A więc miałam rację! A więc nie jesteś człowiekiem nauki! — Sądzę — odezwał się Gilbert — że mając tak dobrą pamięć, Wasza Królewska Mość pamięta też i daty. Jeśli się nie mylę, ów wspomniany

ogrodniczek przekopywał ziemię na rabatach w Trianon w roku 1772, zarabiając na swe utrzymanie. Mamy obecnie rok 1789. A więc rzeczy, o których mówisz, Najjaśniejsza Pani, zdarzyły się przed siedemnastu laty. To dużo, jak na czasy, w których żyjemy. To dużo więcej niż potrzeba, aby z dzikusa stać się uczonym. Dusza i umysł szybko dojrzewają w pewnych warunkach, podobnie jak w gorącej cieplarni szybko rozwijają się rośliny i kwiaty. Rewolucje są, Najjaśniejsza Pani, gorącą cieplarnią dla inteligencji. Wasza Królewska Mość patrzy na mnie, lecz mimo bystrości swego wzroku nie spostrzega, że szesnastoletni chłopak stał się trzydziestotrzyletnim mężczyzną. Niesłusznie więc dziwi się, że mały, naiwny Gilbert, ignorant, przemienił się w uczonego i lekarza.

— Ignorant, zgoda! Ale naiwny, naiwny, powiedziałeś pan! — krzyknęła z wściekłością królowa. — Zdaje mi się, że nazwałeś pan Gilberta naiwnym?

— Jeżeli myliłem się, Najjaśniejsza Pani, bądź też obdarzyłem tego chłopca cechą, której nie miał, nie wiem, w jaki sposób Wasza Królewska Mość może wiedzieć lepiej ode mnie, że był inny.

— Może pomówimy o tym kiedy indziej — rzekła królowa nachmurzywszy się. — Teraz zaś powrócmy, proszę, do człowieka doskonałego, którego mam przed oczami.

Na słowo „doskonały” Gilbert nie zareagował. Rozumiał aż nadto, że było nową, rzuconą mu obelgą.

— Powrócmy, Najjaśniejsza Pani — odparł po prostu. — I może Wasza Królewska Mość powie, w jakim celu rozkazała mi przyjść tutaj.

— Występuje pan jako lekarz króla — rzekła. — Rozumiesz więc, że zbyt się troszczę o zdrowie mego małżonka, bym mogła je powierzyć człowiekowi, którego nie poznałabym do głębi.

— Zgłosiłem się, Najjaśniejsza Pani, i zostałem przyjęty, a Wasza Królewska Mość nie może w najmniejszym stopniu podawać w wątpliwość mojej umiejętności lub gorliwości. Jestem przede wszystkim lekarzem politycznym, zaleconym przez pana Neckera. A poza tym, jeżeli królowi będzie potrzebna kiedykolwiek moja wiedza lekarska, będę się starał go wyleczyć. Nade wszystko jednak, Najjaśniejsza Pani, będę służył królowi nie tylko jako dobry doradca i lekarz, lecz przede wszystkim jako dobry przyjaciel.

— Dobry przyjaciel! — zawołała królowa z nowym wybuchem wzdargy. — Pan przyjacielem króla!

— Oczywiście — odrzekł spokojnie Gilbert. — Czemuż by nie, Najjaśniejsza Pani?

— Ach, tak! I to właśnie dzięki pańskim tajemniczym mocom, za sprawą pańskiej wiedzy tajemnej — powiedziała cicho. — Kto wie? Może powracamy do średniowiecza! Wskrzeszasz pan czary i napoje miłosne. Będziesz rządził Francją za pomocą magii. Zostaniesz Faustem lub Mikołajem Fiamelem!

— Nie mam bynajmniej takich ambicji, Najjaśniejsza Pani.

— A dlaczegóż by nie! Ileż to potworów straszniejszych niż w ogrodach Armidy, okrutniejszych niż Cerber uśpiłbyś pan na progu naszego piekła.

Wypowiadając słowa „uśpiłbyś pan”, królowa utkwiała w twarzy doktora badawczy wzrok.

Tym razem Gilbert zaczerwienił się mimo woli.

Maria Antonina doznała niewymownej wprost radości. Odczuła, że zadany przez nią cios był dobrze wymierzony.

— Bo pan usypiasz — mówiła dalej. — Pan, coś uczył się wszędzie i próbował swej siły na wszystkim, poznałeś niewątpliwie wiedzę magnetyczną u hipnotyzerów naszych czasów, u tych ludzi, którzy posługują się zdradliwie snem i w czasie snu bliźnich odczytują ich tajemnice!

— Istotnie, Najjaśniejsza Pani, studiowałem przez dłuższy czas u słynnego Cagliostro..

— Tak, tego, który sam stosował i nakazywał swym adeptom stosować rabunek moralny, o jakim mówiłam przed chwilą. Tego, który za pomocą snu magnetycznego kradł jednym duszę, a innym znów ciało.

I to również Gilbert zrozumiał, lecz tym razem nie zaczerwienił się już, lecz zbladł. Radość wstrząsnęła królową.

— Ach, nędzniku! — szepnęła. — Ja też cię zraniłam i widzę krew.

Ale nawet najsilniejsze wzruszenia nie malowały się długo na twarzy Gilberta. Zbliżywszy się do rozpromienionej swym zwycięstwem królowej, powiedział:

— Wasza Królewska Mość niesłusznie odmawia ludziom nauki prawa zastosowania najpiękniejszej ich zdobyczy — mocy usypiania snem magnetycznym nie ofiar, lecz pacjentów. Niesłuszne zwłaszcza byłoby zaprzeczać należnego im prawa dokonania odkryć, które gdy będą uznane i usystematyzowane, wstrząsną całym światem.

I zbliżywszy się do królowej, Gilbert z kolei patrzył »a nią z tą samą siłą woli, której uległa nerwowa Andrea.

Królowa czuła, jak zbliżenie tego człowieka wywołuje w niej dreszcz.

— Hańba ludziom — zawołała — którzy nadużywają tajemniczych praktyk, aby gubić dusze tub ciała!... Hańba Cagliostrovi!...

— O! — rzekł Gilbert przejmującym tonem. — Niech Najjaśniejsza Pani nie sądzi tak surowo błędów, popełnionych przez ludzi!

— Panie!

— Każdy człowiek może zbłądzić. Każda istota szkodzi innej istocie, przez co zło się równoważy. Bez tego świat stałby się jednym wielkim pobojuwiskiem. Najlepsi są ludzie dobrzy, inni znów powiedzą: najlepsi są ludzie mniej źli. Poblężanie winno być tym większe, im doskonalszy jest ten, kto sądzi. Na wysokości tronu Wasza Królewska Mość ma mniejsze niż ktokolwiek prawo być surową dla błędów bliźniego. Bądź na tronie ziemskim najwyższym poblężaniem, tak jak Bóg na tronie niebios jest najwyższym miłosierdziem.

— Ja zapatruję się inaczej — odparła królowa — na swoje prawa, a zwłaszcza na obowiązki. Jestem na tronie, by karać i nagradzać.

— Nie sądzę, Najjaśniejsza Pani. Przeciwnie, moim zdaniem, Wasza Królewska Mość jako kobieta i królowa jest na tronie, aby jednać i przebaczać.

— Przypuszczam, że nie prawisz mi pan morałów.

— Słusznie, ja tylko odpowiadam. Na przykład, ów Cagliostro, o którym Wasza Królewska Mość mówiła przed chwilą, podając w wątpliwość jego wiedzę... Przypominam sobie, a to wydarzenie wcześniejsze jest od wspomnień z Trianon, że w pałacowych ogrodach Taverney miał on sposobność dać małżonce delfina dowód swej wiedzy. Nie wiem jaki, Najjaśniejsza Pani, ale musiał wryć się głęboko w jej pamięć, była bowiem wstrząśnięta do tego stopnia, że zemdląca.

Teraz cios wymierzył Gilbert. Wymierzył go wprawdzie na oślep, ale przypadek sprawił, że cios był tak celny, iż królowa okropnie zbladła.

— Tak — rzekła stłumionym głosem — istotnie. Ukazał mi we śnie ohydną machinę. Ale nie wiem aż do dziś, czy ona istnieje naprawdę.

— Nie wiem, co ukazał on Waszej Królewskiej Mości — podjął Gilbert, zadowolony ze sprawionego wrażenia. — Wiem Jednak, że nie należy zaprzeczać tytułu uczonego człowiekowi, który na podobnych do siebie Judzi wywiera taki wpływ. — Podobnych?... — szepnęła pogardliwie królowa.

— Tak, myślę się — podjął Gilbert. — A ta władza jest tym większa, że nagina pod jarzmo strachu głowy królów i możnych tego świata.

— Hańba! Hańba tym, powtarzam raz jeszcze, co wykorzystują czyjąś słabość lub łatwowierność.

— Na hańbę zasługują ci, co posługują się wiedzą? — Chimera, kłamstwo, niktzemność!

— Co to ma znaczyć? — zapytał spokojnie Gilbert.

— To znaczy, że ów Cagliostro to niktzemny szarlatan, a jego rzekomy sen magnetyczny to zbrodnia!

— Zbrodnia?

— Tak, zbrodnia — ciągnęła dalej królowa — sen taki bowiem jest wywołany działaniem napoju, trucizny, a jego sprawców dosięgnie i ukarze sprawiedliwość, którą ja reprezentuję.

— Najjaśniejsza Pani — podjął z niezmierną cierpliwością Gilbert — pobłażania, jeśli łaska, dla tych, co zblądzi tu, na ziemi.

— A! Więc przyznajesz się pan do winy?

Królowa myliła się jednak, słysząc łagodne brzmienie jego głosu. Przypuszczała, że prosi o łaskę dla siebie.

Myliła się i Gilbert nie omieszkał wykorzystać tej przewagi.

— Do czego? — zawołał z roziskrzonym wzrokiem, tak że Maria Antonina zmuszona była spuścić oczy, jakby oślepią słonecznym blaskiem.

Królowa trwała przez chwilę w milczeniu, ale przemogła się i rzekła:

— Królowej nie zadaje się pytań, tak jak niepodobni jej urazić. Dowiedz się również i o tym, gdyż od niedawna znajdujesz się na dworze. Ale zdaje mi się, że mówiłeś o tych co zblądzi, i prosiłeś mnie o pobłażanie.

— Niestety, Najjaśniejsza Pani — odparł Gilbert. — Czyż jakakolwiek istota ludzka jest bez zarzutu? Ten, kto potrafi zamknąć się w sobie tak szczelnie, że żadne spojrzenie nie dosięgnie jego sumienia, częstokroć nazywany jest cnotliwym. Bądź pobłażliwa, Najjaśniejsza Pani!

— Znacząłoby to więc — podjęła nieostrożnie królowa — że istoty cnotliwe nie istnieją dla pana, ucznia owych ludzi, których spojrzenie szuka prawdy w głębi sumienia?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani.

Maria Antonina wybuchnęła śmiechem, nie troszcząc się o ukrycie brzmiejącej w nim pogardy.

— Ach, litości! — zawołała. — Zechciej pan pamiętać, że nie przemawiasz na rynku miejskim, do idiotów, do chłopów, czy też patriotów!

— Wiem, do kogo mówię, Najjaśniejsza Pani. Proszę mi wierzyć — odparł Gilbert.

— A zatem, więcej szacunku, panie, albo zřęczności. Proszę wspomnieć sobie całe swoje życie, dotrzeć do głębi sumienia, które tak jak zwykli śmiertelnicy posiadają ludzie uczeni, mimo swych zdolności i doświadczenia. Przypomnij sobie dobrze wszystko, co w twych myślach było niskie, szkodliwe i występne, wszystkie okrucieństwa, jakie mogłeś popełnić, występki, a nawet zbrodnie. Proszę mi nie przerywać... A kiedy dokonasz już, panie doktorze, całkowitego rachunku sumienia, pochyl głowę, ukorz się, nie zbliżaj się z tą zuchwałą pychą do siedziby królów, których Bóg powołał, aby przenikali do dusz przestępców, bezlitośnie wymierzając winnym karę. Oto — ciągnęła dalej królowa — co powinienes uczynić. Skrucza pańska będzie należycie oceniona. Proszę mi wierzyć, najlepszym środkiem na uzdrowienie duszy tak chorej jak pańska byłoby życie samotne, z dala od wielkiego świata, który wytwarza w ludziach fałszywe mniemanie o ich własnej wartości. Radzę więc panu nie zbliżać się do dworu i wyrzec się leczenia króla. Masz pan do uleczenia kogoś, za kogo Bóg ci hojnie zapłaci: samego siebie. Starożytni mieli takie przysłowie: „Siebie lecz, lekarzu”.

Słumiwszy w sobie odruch gniewu, jaki wzbudziła w nim propozycja królowej, Gilbert odparł łagodnie:

— Najjaśniejsza Pani, uczyniłem już wszystko, co mi Wasza Królewska Mość zaleca.

— Cóż takiego?
— Rozmyślałem.
— Nad sobą?
— Tak jest, nad sobą.
— Czy i o sprawach sumienia?
— Tak, o sprawach sumienia, Najjaśniejsza Pani.
— Sądzisz pan więc, że dostatecznie dobrze wiem, co tam ujrzałeś?
— Domyślam się, co Wasza Królewska Mość chce powiedzieć; ile razy człowiek w moim wieku mógł obrazić Boga?
— Doprawdy, pan mówisz o Bogu?
— Tak, — Pan?
— Czemuż by nie? — Czyż filozofowie wierzą w Boga?
— Mówią o Bogu i wierzą w Niego. — I nie zamierzasz pan się usunąć?
— Nie, Najjaśniejsza Pani, zostaję.
— A więc strzeż się, panie Gilbert! Twarz królowej przybrała wyraz groźby.
— O, dobrze się zastanowiłem, Najjaśniejsza Pani, i te rozmyślenia dały mi pewność, że nie jestem wart mniej niż inni: każdy ma swoje grzechy. Posiadłem tę wiedzę nie dzięki lekturze książek, lecz docierając do „głębi ludzkich sumień...
— Jesteś pan uniwersalny i nieomylny, nieprawdaż? — rzekła królowa z ironią.
— Niestety, Najjaśniejsza Pani. Jeśli nie uniwersalny nie nieomylny, to przynajmniej świadom nędzy ludzkiej i cierpienia. Wystarczy mi spojrzeć na te podkrążone ze zmęczenia oczy, na linię ciągnącą się od jednej brwi do drugiej, na bruzdę w kącikach ust, prozaicznie zwaną zmarszczką, bym mógł powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, ile przeszła ciężkich prób, ile razy jej serce biło w udręce, ilekroć oddawało się ufnie, ilekroć zostało zawiedzione. Powiem to wszystko, Najjaśniejsza Pani, jeśli tylko zechcesz, przekonany, że się nie omylę. Powiem przenikając wzrokiem twoją, pani, duszę. A kiedy Wasza Królewska Mość odczuje ciężar tego spojrzenia, wówczas zrozumie, że potrafię wiele. A jeśli się wstrzymuję, trzeba umieć to ocenić zamiast prowokować do walki.
Słowa te, wypowiedziane z naciskiem i zawierające pogardę dla jakiegokolwiek etykiety wobec królowej, wywarły na Marii Antoninie ogromne wrażenie.
Poczuła, że mgła zasnuwa jej oczy i że jej nienawiść przeradza się w grozę. Ramiona królowej ciężko opadły, cofnęła się w ucieczce przed bliskim a nieznanym niebezpieczeństwem.
— A teraz — rzekł Gilbert przenikając jej myśli i uczucia — Wasza Królewska Mość rozumie, że z łatwością odgaduję to, co ukrywa ona przed wszystkimi, co tai nawet przed samą sobą, że mogę z łatwością unieruchomić ją na tym fotelu, w którym instynktownie szuka oparcia.
— Och! — rzekła królowa przerażona, czując, jak wstrząsają nią nieznane dreszcze.
— Dość, bym wyrzekł w swej myśli słowo, którego nie chcę wypowiedzieć — ciągnął Gilbert — abym natężył wolę, od czego się wstrzymuję, i Wasza Królewska Mość ulegnie mojej mocy niczym rażona piorunem. Wątpisz, Najjaśniejsza Pani? O, proszę nie wątpić ani też mnie nie kusić.
Królowa pochylona, ciężko dysząc, czepiała się kurczowo oparcia fotela.
— O, proszę mi wierzyć, Najjaśniejsza Pani — mówił dalej Gilbert. — Gdybym nie był najpokorniejszym i najwierniejszym z twoich poddanych, przekonałbym Waszą Królewską Mość poddając ją próbie. O, proszę się nie lękać! Chylę się pokornie, bardziej jeszcze przed kobietą niż przed królową. Wolałbym raczej dać się zabić, aniżeli nawet w myślach ją obrazić.
— Panie, panie! — wykrzyknęła królowa wyciągając ręce, jakby chciała odepchnąć Gilberta, oddalonego od niej o trzy, kroki.

— A jednak — kontynuował Gilbert — Wasza Królewska Mość kazała mnie zamknąć w Bastylii. I tylko dlatego żałuje, iż lud ją zdobył, że dzięki temu otworzyły się przede mną jej bramy. Z oczu twoich bije nienawiść do człowieka, któremu Najjaśniejsza Pani nie ma osobiście nic do zarzucenia. I czuję, że w tej chwili, gdy nieco osłabiłem siłę mojej woli, znów wymykasz się spod mojego wpływu.

Istotnie, skoro tylko Gilbert przestał panować nad królową wzrokiem i gestem, Maria Antonina wyprostowała się niemal grożąc, jak ptak, który wydostawszy się z siideł odzyskuje znów swe siły.

— Ach, Wasza Królewska Mość wątpi, drwi, gardzi! A więc, czy mam powiedzieć, co zamierzałem zrobić?... Chciałem zmusić panią do wyjawienia mi swych najintymniejszych myśli, najtajniejszych trosk... Zmusiłbym cię do napisania ich tu, na tym stole, którego dotyka w tej chwili twoja ręka... A potem, po przebudzeniu i odzyskaniu przez Waszą Królewską Mość przytomności, dowiodłbym z pomocą własnego jej pisma, jak nie urojona jest moja władza, której zdajesz się przeczyć. Jak rzeczywista jest cierpliwość i wspaniałomyślność człowieka, którego pani znieważyla i znieważa, bez najmniejszego prawa i powodu.

— Uśpić mnie? Zmusić do mówienia przez sen?! Mnie! Mnie! — krzyknęła królowa blednąc. — I pan byś to śmiał uczynić?... A czy wiesz, czym to grozi? Ależ to zbrodnia obrazy majestatu! Pomyśl, to zbrodnia, za którą poniósłbyś śmierć z mego rozkazu.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł Gilbert, obserwując niezwykle podniecenie królowej. — Nie należy zbyt pochopnie oskarżać, a zwłaszcza grozić. Owszem, uśpiłbym Waszą Królewską Mość, wydarłbym jej wszystkie tajemnice. Ale proszę mi wierzyć, nie nastąpiłoby to z całą pewnością w takich okolicznościach jak obecnie — w każdym razie nie podczas sam na sam królowej z jej poddanym, kobiety z obcym mężczyzną. Nie! Uśpiłbym królowę, to prawda, i nie byłoby nic łatwiejszego. Ale nie pozwoliłbym sobie nigdy uśpić królowej i zmusić jej do mówienia, nie mając świadka.

— Świadka?

— Tak, Najjaśniejsza Pani, świadka, który by wiernie zanotował w pamięci jej słowa, ruchy, wreszcie wszystkie szczegóły tej sceny, aby potem nie pozostawić pani żadnej wątpliwości.

— Świadka, panie? — powtórzyła królowa przerażona. — I któż by był tym świadkiem? Zastanów się pan... Zbrodnia byłaby podwójna, gdyż w tym wypadku miałby pan współnika!

— A gdyby tym świadkiem był król? — zapytał Gilbert.

— Król! — wykrzyknęła Maria Antonina z przerażeniem. — O, panie Gilbert!

— Tak, król — odparł spokojnie Gilbert. — Małżonek Waszej Królewskiej Mości, podpora i naturalny obrońca. Król, który by po przebudzeniu królowej mógł opowiedzieć, jak byłem pewien poważania i zarazem dumy, składając dowód swej wiedzy jednej z najbardziej czczonych monarchii.

Powiedziawszy te słowa Gilbert pozostawił królowej czas do namysłu.

Królowa trwała przez kilka minut w milczeniu, tak że i było słyhać jej przyśpieszony oddech.

— Po tym wszystkim, co mi pan powiedziałeś — odezwała się wreszcie — widzę, że jesteś moim śmiertelnym wrogiem.

— Albo wypróbowanym przyjacielem.

— To niemożliwe! Przyjaźń nie może istnieć obok lęku lub nieufności.

— Przyjaźń, Najjaśniejsza Pani, jaką żywi poddany dla królowej, może istnieć tylko dzięki zaufaniu do osoby poddanego. Wasza Królewska Mość powiedziała już sobie zapewne, że nie może być wrogiem ten, kto nie chce zrobić użytku ze swej broni.

— Czy można wierzyć temu, co pan mówi? — zapytała królowa, z uwagą i niepokojem patrząc na Gilberta.

— Dlaczego Wasza Królewska Mość nie miałyby wierzyć, skoro posiada wszelkie dowody mojej szczerości?

— Człowiek jest zmienny.

— Najjaśniejsza Pani, ślubowałem, podobnie jak to czynili przed wyruszeniem na wyprawę rycerze: przewagi swej użyję tylko dla własnej obrony. „Nie dla napaści, lecz ku obronie” — oto moja dewiza.

— Niestety! — rzekła królowa upokorzona.

— Rozumiem. Wasza Królewska Mość cierpi, widząc swą duszę w rękach lekarza, wtedy gdy wzbraniałaś się powierzyć mu swe ciało. Trzeba być odważną, trzeba zaufać temu, kto chce być dobrym doradcą, dając dowód uległości. Chcę uwielbiać Waszą Królewską Mość, chcę, aby ją uwielbiano. Chcę zapoznać Waszą Królewską Mość z uwagami, które podałem królowi do rozpatrzenia.

— Bądź ostrożny, doktorze! — odezwała się królowa z powagą. — Zastawiłeś na mnie pułapkę. Wzbudziwszy lęk w kobiecie, sądzisz, iż uda ci się kierować królową?

— Nie, Najjaśniejsza Pani — odpowiedział Gilbert. — Nie jestem nędznym krętaczem. Mam własne przekonania, rozumiem, że posiadasz, pani, swoje. Od razu odpieram oskarżenie, jakie Wasza Królewska Mość wysuwałaby stale przeciwko mnie, iż zastraszyłem ją, aby podporządkować mojej woli. Powiem więcej — jesteś, pani, pierwszą kobietą, w której znajduję wszystkie namiętności kobiece, a zarazem męską zdolność panowania nad sobą. Potrafi pani być równocześnie kobietą i przyjacielem. Podziwiam panią i będę jej służył. Będę służył nie otrzymując nic w zamian, po to tylko, by móc ją poznać. Zrobię więcej jeszcze — gdyby moja obecność była zbyt krępująca dla pani, gdyby nie zatarło się w jej pamięci wrażenie dzisiejszej sceny, proszę, byś mnie pani oddaliła.

— Oddać pana! — zawołała królowa z radością, która nie uszła uwagi Gilberta.

— A więc postanowione, Najjaśniejsza Pani. — odparł z godną podziwu zimną krwią. — Nawet nie pawiem królowi tego, co miałem powiedzieć, i wyjadę. Jak daleko mam się usunąć, aby zapewnić pani spokój;?

Królowa spojrzała na niego zdumiona.

— Wiem — rzekł Gilbert — o czym myśli Wasza Królewska Mość. Bardziej obeznana, niż to się wydaje, z tajemnicami magnetycznego wpływu, które przerażały ją przed chwilą, mówi sobie, że na odległość będę równie niebezpieczny i niepokojący.

— Jakże tak? — zapytała królowa..

— Tak jest.. Najjaśniejsza Pani Ten, kto zechciałby szkodzić innym za pomocą środków, które pani, dopiero co potępiała u moich mistrzów i u mnie, mógłby uprawiać równie dobrze swą szkodliwą działalność oddalony o sto mil, o tysiąc, jak o trzy kroki.. Nie lękaj się, Najjaśniejsza Pani, nie zrobię tego.

Królowa trwała przez chwilę w zadumie, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć temu dziwnemu człowiekowi, który podważał jej najbardziej stanowcze decyzje.

Nagle odgłos kroków w głębi korytarza zwrócił uwagę królowej.

— Król — rzekła. — Król nadchodzi.

— A więc, Najjaśniejsza Pani, proszę mi odpowiedzieć, czy mam pozostać, czy mam się usunąć?

— Ależ...

— Najjaśniejsza Pani, racz się pośpieszyć, mogę uniknąć spotkania z królem, wychodząc zawczasu innymi drzwiami...

— Zastań pan — rzekła królowa, Gilbert skłonił się, a Maria Antonina próbowała odczytać w jego rysach, czy zwycięstwo bardziej niż gniew i niepokój skłoni go do szczerości i ustępstw.

Twarz Gilberta była nieprzenikniona.
„Powinien by przynajmniej okazać radość” — rzekła do siebie królowa.

XXXIII

RADA

Król wszedł, jak zwykle, krokiem szybkim i ciężkim.

Miał minę zakłopotaną, zaciekawioną, co tworzyło szczególny kontrast ze sztywną postacią królowej.

Król nie stracił świeżości rumieńców. Wstał wcześniej i był zadowolony ze swego zdrowia, które pokrzepił chłonąc poranne powietrze.

— Doktor? — zapytał. — Co się stało z doktorem?

— Dzień dobry, Najjaśniejszy Panie. Jak się król czuje dzisiaj? Czy bardzo zmęczony?

— Spałem swoim zwyczajem sześć godzin i czuję się bardzo dobrze. A pani? Wyglądasz blade. Powiedziano mi, że wzywałaś lekarza?

— Oto pan doktor Gilbert — rzekła królowa odsłaniając wnękę okienną, gdzie lekarz znajdował się aż do tej chwili.

Król rozchmurzył czoło i dodał:

— Ach, zapomniałem! Wzywałaś, pani, lekarza. Jesteś więc cierpiąca?

Maria Antonina zaczerwieniła się.

— Czerwienisz się, pani? — zapytał Ludwik XVI. Królowa stała się purpurowa.

— Znowu jakieś sekrety? — rzekł król.

— Jakie sekrety, Najjaśniejszy Panie? — przerwała wyniośle.

— Nie rozumiesz mnie, pani. Mówię, że masz swych ulubionych lekarzy. Nie mogłaś więc wezwać doktora Gilberta, nie mając tak dobrze znanej mi chęci...

— Jakiej?

— Zatajenia, ilekroć jesteś cierpiąca.

— Ach! — rzekła królowa nieco uspokojona.

— Tak — ciągnął Ludwik XVI — ale uważaj, pani. Doktor Gilbert jest moim zaufanym i cokolwiek mu powiesz, on mi to natychmiast powtórzy.

Gilbert uśmiechnął się.

— Myślę, że nie, Najjaśniejszy Panie — odparł. — Aha! Więc królowa demoralizuje mi ludzi?

Maria Antonina zaśmiała się krótko, niegłośno, co miało znaczyć, że pragnie przerwać rozmowę lub że jest nią bardzo zmęczona.

Gilbert to zrozumiał, król natomiast — nie.

— Zatem, doktorze, skoro królowę to bawi, opowiedz mi, co mówiła.

— Pytałam doktora — wtrąciła z kolei Maria Antonina — dlaczego wezwałeś go, panie, o tak wczesnej porze. Istotnie, przyznaję, że jego obecność w Wersalu od samego rana intryguje mnie i niepokoi.

— Oczekiwałem doktora — odparł król nachmurzywszy się — ażeby porozmawiać z nim o polityce.

— Ach, doskonale! — rzekła królowa.

Po czym usiadła, jak gdyby gotowa słuchać.

— Chodźmy, doktorze — odezwał się król, zmierzając ku drzwiom.

Gilbert skłonił się głęboko królowej, aby podążyć za Ludwikiem XVI.

— Jak to, już odchodzisz? — zawołała królowa.

— Przedmiot naszej rozmowy nie jest bynajmniej wesoły. Toteż lepiej oszczędzić królowej

jeszcze jednej troski.

— Troską nazywasz, panie, cierpienia! — wykrzyknęła patetycznie królowa.

— Tym bardziej więc, moja droga.

— Zostańcie, życzę sobie tego — rzekła. — Przypuszczam, panie Gilbert, że nie będziesz mi nieposłuszny.

— Panie Gilbert! Panie Gilbert! — odezwał się król, mocno niezadowolony.

— Więc jak?

— Pan Gilbert miał mi wyrazić swoją opinię, miał porozmawiać ze mną swobodnie, zgodnie ze swym sumieniem... Teraz będzie to niemożliwe...

— Dlaczego? — zapytała królowa. — Bo ty, pani, będziesz obecna.

Gilbert zareagował gestem, któremu Maria Antonina przypisała szczególne znaczenie.

— Czemuż to — rzekła chcąc go poprzeć — pan Gilbert miałby mi się narazić, mówiąc zgodnie ze swym sumieniem?

— To całkiem zrozumiałe — odparł król. — Ty masz, pani, swoją politykę, która nie zawsze zgodna jest z naszą... Tak że...

— A więc pan Gilbert, mówisz mi to wyraźnie, ma poglądy, które bardzo różnią się od moich.

— Tak być musi, Najjaśniejsza Pani — odrzekł Gilbert. — Moje poglądy znane są przecież Waszej Królewskiej Mości.; Mogę jednak zapewnić Waszą Królewską Mość, że w jej obecności powiem wszystko z taką samą swobodą, jak przed królem.

— Ach, to już coś znaczy — zauważyła Maria Antonina.

— Głoszenie prawdy nie zawsze jest słuszne — szepnął pośpiesznie Ludwik XVI.

— A jeśli to prawda pożyteczna? — rzekł Gilbert.

— Lub tylko nacechowana dobrymi chęciami — dodała królowa.

— Nie mamy co do tego wątpliwości — przerwał Ludwik XVI. — Ale gdybyś była, pani, rozsądna, pozostawiłabyś doktorowi całkowitą swobodę wypowiedzi... której tak bardzo potrzebuję.

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Gilbert. — Skoro królowa sama domaga się prawdy, skoro wiem, iż umysł Jej Królewskiej Mości na tyle jest szlachetny i wielki, by nie lękać się prawdy, wolę mówić wobec obojga monarchów.

— Proszę o to, Najjaśniejszy Panie — dodała królowa tonem niemalże rozkazu.

— Wierzę w twą mądrość, Najjaśniejsza Pani — powiedział Gilbert, skłaniając się przed królową. — Chodzi tu o szczęście i sławę Jego Królewskiej Mości.

— Wszystko to bardzo pięknie — przerwał król, trwając swoim zwyczajem w uporze. — Ale ostatecznie sprawa jest delikatna i jeśli chodzi o mnie, wiem, że będę się czuł bardzo skrepowany.

Królowa nie mogła pohamować zniecierpliwienia. Wstała, po chwili usiadła, mierząc doktora szybkim i zimnym spojrzeniem.

Ludwik XVI widząc, że nie sposób uniknąć badania, usiadł z ciężkim westchnieniem w fotelu na wprost Gilberta.

— O co więc chodzi? — zapytała królowa, kiedy ta zaimprovizowana narada wreszcie miała się rozpocząć.

Gilbert spojrział po raz ostatni na króla, jak gdyby prosząc, by mu wolno było mówić bez skrepowania.

— Dalej, na miły Bóg! Proszę — rzekł król — skoro królowa sobie tego życzy.

— A więc, Najjaśniejsza Pani — powiedział doktor — wyjaśnię Waszej Królewskiej Mości w kilku słowach cel mojej porannej wizyty w Wersalu. Chciałem doradzić Jego Królewskiej Mości, aby udał się do Paryża.

Iskra rzucona na czterdzieści tysięcy funtów prochu, które znajdowały się wówczas w ratuszu, nie wywołałaby takiego wybuchu jak te słowa.

— Król do Paryża! Król! — zawołała raptownie Maria Antonina.

— A co? — rzekł król spoglądając na Gilberta. — Nie mówiłem panu, doktorze?

— Król — ciągnęła dalej Maria Antonina — w mieście rzuconym na pastwę rewolty? Król pośród wideł i kos, między ludźmi, którzy zmasakrowali Szwajcarów, zamordowali de Launaya i pana de Flessellesa! Król ma przejść przez plac Ratuszowy, brocząc w krwi swoich obrońców!... Ależ trzeba być szaleńcem, żeby radzić coś podobnego. Och, powtarzam, pan jest szaleńcem!

Gilbert spuścił wzrok, jak człowiek, którego powstrzymuje szacunek, i nie odezwał się ani słowem. Król, poruszony do głębi, kręcił się niespokojnie w fotelu.

— Czyż to możliwe — mówiła królowa — żeby podobna myśl powstała w rozumnej głowie, w sercu Francuza? Jak to, czy pan nie wiesz, że się zwracasz do następcy świętego, Ludwika, do prawnuka Ludwika XIV?

Król uderzał niecierpliwie nogą o kobierzec.

— Nie przypuszczam jednak — ciągnęła dalej — abys pan pragnął pozbawić króla pomocy jego gwardii i wojska, abys usiłował wyciągnąć go z pałacu, będącego twierdzą, i rzucić samotnego i bezbronego w ręce zaciekłych wrogów! Chyba nie pragniesz, panie Gilbert, aby króla zamordowano?

— Gdybym sądził, że Wasza Królewska Mość myśli bodaj przez chwilę, iż jestem zdolny do takiej zdrady, to byłbym nie szaleńcem, lecz nędznikiem. Ale Bogu dzięki, Najjaśniejsza Pani, nikt z nas w ten sposób nie myśli. Nie! Zwróciłem się z tą radą do mego króla, gdyż uważam, że jest dobra, a nawet lepsza od wszystkich innych.

Królowa tak mocno zacisnęła ręce na piersi, że omal nie pękła delikatna materia stanika.

Król wzruszył ramionami z lekkim gestem zniecierpliwienia.

— Ależ na Boga! — rzekł. — Wysłuchaj go, pani. Zawsze będzie dość czasu, aby sprzeciwić się temu.

— Król ma rację, Najjaśniejsza Pani — odezwał się Gilbert. — Nie wiesz przecież dokładnie, co chcę powiedzieć. Sądzisz, pani, że otacza cię pewna i oddana armia, gotowa za ciebie umrzeć. Złudzenie! Spośród francuskich pułków połowa spiskuje razem z rewolucjonistami w imię nowej idei.

— Panie! — wykrzyknęła królowa. — Strzeż się! Ty łyzysz armię!

— Wręcz przeciwnie, Najjaśniejsza Pani — rzekł Gilbert. — To jest pochwała. Można czcić królowę i być oddanym królowi, kochając jednocześnie ojczyznę i poświęcając się dla jej wolności.

Królowa rzuciła na Gilberta roziskrzone spojrzenie. — Panie — rzekła — te słowa...

— Tak, Najjaśniejsza Pani, te słowa ranią cię, rozumem.. Gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, Wasza Królewska Mość słyszy je po raz pierwszy.

— Trzeba będzie przyzwyczaić się do nich — szepnął Ludwik XVI z właściwą sobie rezygnacją, wypływającą ze zdrowego rozsądku.

— Nigdy! — zawołała Maria Antonina. — Nigdy!

— Ale słuchajże, słuchaj, pani! — wykrzyknął król. — Uważam słowa doktora za bardzo rozumne.

Królowa usiadła, wzburzona do głębi.

Gilbert ciągnął dalej.

— Mówiłem więc, Najjaśniejsza Pani, że widziałem Paryż, ty zaś, pani, nie widziałaś nawet Wersalu. Czy Wasza Królewska Mość wie, co w tej chwili zamierza uczynić lud Paryża?

— Nie — odparł król zaniepokojony.

— Chyba nie chce zdobywać Bastylli po raz drugi — wtrąciła pogardliwie królowa.

— Z pewnością nie, Najjaśniejsza Pani — kontynuował Gilbert.

— Ale Paryż wie, że inna twierdza wznosi się między ludem i królem. Paryż ma zamiar zebrać deputowanych z czterdziestu ośmiu okręgów i wysłać ich do Wersalu.

— Niechże tu przyjdą, niech przyjdą! — wykrzyknęła królowa z szyderczą radością. — Czeka tu na nich dobre, przyjęcie!

— Chwileczkę, Najjaśniejsza Pani — odparł Gilbert. — Proszę zważyć, że ci deputowani nie zjawią się sami.

— A z kimże przyjdą?

— Przyjdą wsparci przez dwadzieścia tysięcy ludzi z Gwardii Narodowej.

— Z Gwardii Narodowej? — powtórzyła królowa. — Cóż to takiego?

— O, Najjaśniejsza Pani, nie mów o niej tak lekceważąco. Pewnego dnia stanie się potęgą, do której będzie należało pierwsze i ostatnie słowo.

— Dwadzieścia tysięcy ludzi! — wykrzyknął król

— Ach, panie — wtrąciła z kolei królowa. — Mamy tu dziesięć tysięcy ludzi. To znaczy tyleż, co sto tysięcy buntowników. Wezwij ich pan, mówię, wezwij! Tych dwadzieścia tysięcy zbrodniarzy spotka tu słuszna i przykładna kara, jaka należy się tej całej hołocie. Gdyby tylko mnie usłuchano, zmiotłabym ją w ciągu jednego tygodnia.

Gilbert potrząsnął smutno głową.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł — myślisz o wojnie domowej. O wojnie domowej, wywołanej przez królowę! Jedna już to raz uczyniła i zabrała z sobą do grobu straszliwy epitet: „Cudzoziemka!”

— Wywołanej przeze mnie? Jak pan to rozumiesz. Czyż to ja strzelałam do Bastylli, nie będąc sprowokowana?

— Ach! — rzekł król. — Zamiast doradzać przemoc, wysłuchaj, pani, przedtem głosu rozsądku.

— Albo głosu słabości!

— Ależ posłuchaj, Antonino — powiedział król surowo. — Nie jest to błaha rzecz zjawienie się dwudziestu tysięcy ludzi, których trzeba tu będzie zdzięsiątkować!

A zwracając się do Gilberta, dodał:

— Proszę, niech pan mówi dalej.

— Oszczędź, Najjaśniejsza Pani, królowi i sobie — rzekł doktor — całej tej nienawiści, którą odległość tylko pogłębiaj Oszczędź tego zgiełku i zamieszania bitwy, której wynik zawsze jest niepewny. Łagodnością możesz powstrzymać tę nawałnicę, którą twoja gwałtowność tylko podsyci. Tłum chce przyjść do króla, uprzedźmy go. Niechże król uda się do Paryża. I gdy dziś rozporządza jeszcze swoją armią, niechże złoży jutro dowód odwagi i politycznego rozumu. Może zdoła zjednać sobie tych dwadzieścia tysięcy ludzi, o których mówimy.; Pozwól, Najjaśniejsza Pani, aby król podbił ich bez broni, bo te dwadzieścia tysięcy — to lud!

Król nie mógł powstrzymać się od gestu aprobaty, który Maria Antonina natychmiast spostrzegła.

— Nieszczęsny! — wykrzyknęła do Gilberta. — Czyżbyś pan nie wiedział, jakie znaczenie miałyby obecność króla w Paryżu w podobnych okolicznościach?

— Powiedz, Najjaśniejsza Pani.

— Znaczyłyby ona: zgadzam się na wszystko... Znaczyłyby też: dobrze zrobiliście zabijając moich Szwajcarów, mordując moich oficerów, niszcząc ogniem i mieczem moją piękną stolicę. Znaczyłyby wreszcie: dobrze uczyniliście detronizując mnie! Dzięki, panowie, dzięki!

Na ustach Marii Antoniny zaigrał wzgardliwy uśmiech. — Nie, Najjaśniejsza Pani — rzekł

Gilbert. — Wasza Królewska Mość jest w błędzie.

— Panie!

— Obecność w Paryżu króla byłaby pewnym usprawiedliwieniem dla cierpień ludu. Znaczący ona: przychodzi przebaczyć. Jestem wodzem i królem. Stoję na czele rewolucji francuskiej, jak niegdyś Henryk III stanął na czele Ligi. Wasi generałowie są moimi oficerami, wasi urzędnicy moimi pełnomocnikami, wasza Gwardia Narodowa to moi żołnierze. Zamiast mnie zwalczać, idźcie za mną, jeżeli możecie. Wielkość mojego postępu raz jeszcze dowiedzie, że jestem królem Francji, następcą Karola Wielkiego.

— On ma słuszość — rzekł smutno król.

— Och! — wykrzyknęła królowa. — Najjaśniejszy Panie, zlituj się, nie słuchaj tego człowieka! To twój wróg!

— Najjaśniejsza Pani — odezwał się Gilbert. — Niechże Jego Królewska Mość powie sam, co sądzi o mojej propozycji. — Sądzę — powiedział król — że dotychczas pan jeden ośmielił się powiedzieć mi prawdę.

— Prawdę! — zawołała królowa. — Wielki Boże, co też mówisz!

— Tak, Najjaśniejsza Pani — podjął Gilbert. — I proszą mi wierzyć, prawda jest w tej chwili jedynym środkiem, zdolnym powstrzymać tron i władzę królewską od stoczenia się w przepaść.

XXXIV

DECYZJA

Po raz pierwszy królowa wydawała się głęboko poruszona.; Czy był to skutek perswazji, czy też pokory Gilberta?

Król natomiast wstał zupełnie zdecydowany. Myślał już o tym, jak ten plan wykona. Ale przyzwyczajony radzić się we wszystkim królowej, zapytał

— Aprobujesz to, pani?

— Jestem zmuszona, panie — odparła Maria Antonina.;

— Nie żądam rezygnacji — odezwał się król niecierpliwie.

— A zatem czego?

— Przekonania, które by mnie umocniło.

— Żądasz, panie, przekonania?

— Tak.

— Jeśli o to tylko chodzi, jestem przekonana.

— O czym?

— Że nadeszła chwila, kiedy rządzenie monarchią stają się czymś najbardziej poniżającym i godnym politowania.

— Och, to przesada — rzekł król. — Godnym politowania, zgoda! Ale czyżby poniżającym?

— Najjaśniejszy Panie, twoi królewscy przodkowie zostawili ci w spadku ponure dziedzictwo — zauważyła ze smutkiem królowa.

— Tak — rzekł Ludwik XVI. — I boleję, że musisz je, pani, dzielić ze mną.

— Pozwól mi, Najjaśniejszy Panie — wtrącił Gilbert, który w głębi serca litował się nad niedolą pary królewskiej. — Nie sądzę, aby dla Waszej Królewskiej Mości przyszłość miała być tak przerażająca. Monarchia despotyczna upadła, rodzi się królestwo konstytucyjne.

— Ech, panie — odezwał się król — a czyż ja jestem odpowiednim człowiekiem do utworzenia we Francji takiego królestwa?

— A dlaczegóż by nie Najjaśniejszy Panie? — zapytała; królowa, nieco pokrzepiona słowami Gilberta.

— Widzę rzeczy jasno — odparł król — i nie staram się ich komplikować. Ale umiem właśnie to wszystko, co mi nie jest potrzebne do rządzenia krajem. W chwili kiedy mnie strąca z wyżyn monarszej nietykalności, kiedy odkryją we mnie zwykłego człowieka, stracę całą rzekomą siłę władcy; Francji. Bo, prawdę mówiąc, Ludwik XIII, Ludwik XIV i Ludwik XV trzymali się na tronie tylko dzięki tej rzekomej sile. Czego potrzeba dziś Francuzom? Pana. Ja czuję się zdolny być tylko ojcem. Czego potrzeba rewolucjonistom? Miecza. Nie czuję w sobie dość siły, aby uderzyć.

— Nie czujesz w sobie, panie, siły, by uderzyć? — wykrzyknęła królowa. — By uderzyć w ludzi, którzy rabują majątki twoich dzieci i chcą pozbawić cię korony francuskiej?

— Cóż mam powiedzieć? — odparł z całym spokojem Ludwik XVI.

— Mówiąc „nie” wywołam w tobie, pani, wzburzenie, które tak utrudnia mi życie. Ty potrafisz nienawidzić. Tym lepiej dla ciebie. Potrafisz nawet być niesprawiedliwa. Nie czynię ci z tego zarzutu, to ogromna zaleta u władców.

— Może uważasz, że jestem niesprawiedliwa? Powiedz! — Dalibóg, tak!

— Powiedziałaś, Najjaśniejszy Panie, „tak”!

— Gdybyś była, droga moja Antonino, zwykłą obywatelką, nie mówiłabyś w ten sposób.

— Nie jestem nią!

— Toteż właśnie usprawiedliwiam cię. Nie znaczy to jednak, że jestem tego samego zdania. Wstąpiliśmy na tron Francji w krytycznej chwili. Potrzebna jest siła, zdolna pchnąć naprzód ten najeżony kosami wóz, zwany rewolucją, a tej siły nam brak.

— Tym gorzej! — wykrzyknęła Maria Antonina. — Bo pod jego kołami zginą nasze dzieci.

— Wiem, niestety! Ale cóż robić, my go nie popchniemy. — Cofniemy go, Najjaśniejszy Panie!

— Wasza Królewska Mość, zalecam ostrożność. Cofając się, wóz wciągnie was pod koła.

— Panie! — rzekła królowa zniecierpliwiona. — Widzę, że posuwasz za daleko swą szczerłość!

— Będę milczał, pani.

— Na Boga, dajże mu, pani, mówić! — wykrzyknął król. — Jeżeli nie wyczytał swoich rad w dwudziestu gazetach, które ód tygodnia powtarzają to samo, znaczy to, że nie chciał ich czytać. Przynajmniej bądź mu, pani, wdzięczna, że prawdy swoich słów nie nasycy goryczą.

Maria Antonina zamilkła. Potem rzekła z bolesnym westchnieniem:

— A więc powtarzam: pojechać z własnej woli do Paryża, znaczy to sankcjonować wszystko to, co się stało.

— Tak — odparł król — wiem o tym dobrze.

— To znaczy upokorzyć armię, wyprzeć się tych, co zamierzali bronić cię, pani.

— To znaczy oszczędzić przelewu krwi — dodał Gilbert.

— To znaczy oświadczyć, że odtąd bunt i gwałt mogą kierować królewską wolą, jak tego chcą buntownicy i zdrajcy.

— Najjaśniejsza Pani, zdaje mi się, że przed chwilą łaskawie wyznałaś, iż miałem szczęście ją przekonać.

— Tak, wyznaję, przed chwilą uchylił się przede mną rąbek zasłony. Lecz teraz... Och, pani, teraz stoję się, jak pan powiadasz, nierozsądną i wolę widzieć siebie nadal królową niż mieć pewność, że jestem złą matką dla tego ludu, który mnie łąy i nienawidzi!

— Antonino, Antonino! — zawołał Ludwik XVI, przerażony nagłą bledością królowej, zapowiadającą gwałtowny wybuch gniewu.

— Och, nie, nie, Najjaśniejszy Panie! Będę mówić! — oświadczyła królowa.

— Zechciej, pani, uważać!

Król spod oka wskazał Marii Antoninie doktora.

— Pan wie wszystko, co powiem! — wykrzyknęła królowa.

— Wie on nawet wszystko, co myślę — dodała wspomniawszy z goryczą scenę, jaka rozegrała się między nią a Gilbertem. — Czemuż więc miałabym się zmuszać? Zresztą wybraliśmy pana na swego powiernika i nie widzę bynajmniej powodu do jakichkolwiek obaw! Wiem, że zostajesz porwany, Najjaśniejszy Panie, jak ów nieszczęsny książę z moich ulubionych ballad niemieckich. Dokąd się udajesz? Nie mam pojęcia, ale idziesz tam, skąd już nigdy nie wrócisz!

— Ależ nie! Udaję się po prostu do Paryża — odparł Ludwik XVI.

Maria Antonina wzruszyła ramionami.

— Uważasz mnie, pani, za szaloną? — rzekła z irytacją. — Udajesz się do Paryża, tak. Ale kto ci zareczy, że Paryż nie jest przepaścią, którą przeczuwam, choć jej nie widzę? Dlaczego nie miałbyś zginąć w tłumie, który cię tam otoczy? Kto wie, skąd nadleci zabłąkana kula? Kto wie, która ze stu tysięcy wzniesionych groźnie rąk zada ci cios nożem?

— O, pani, nie lękaj się z tej strony niczego... Oni mnie kochają! — wykrzyknął król.

— Nie chcę tego słuchać! Litość mnie ogarnia, Najjaśniejszy Panie. Oni cię kochają, a zabijają

i mordują tych, którzy cię reprezentują! Ciebie, króla, ciebie, obraz Boga! O, bądź pewny, że nie przesadzam. Jeżeli zabito de Launaya, tego dzielnego i wiernego sługę, to zabito by i ciebie, Najjaśniejszy Panie, gdybyś się znajdował na jego miejscu. I to tym łatwiej, że znają ciebie i wiedzą, że zamiast się bronić, nadstawiłbyś piersi.

— Konkluzja? — zapytał król.

— Chyba ja powiedziałam, Najjaśniejszy Panie.

— Zabiją mnie?

— Tak, Najjaśniejszy Panie..

— No, cóż!

— A moje dzieci! — wykrzyknęła królowa. Gilbert uznał, że czas już wmieszać się do rozmowy.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł — król spotka się w Paryżu z takimi oznakami czci, i jego obecność wzbudzi takie uniesienie, że jeśli się obawiam, to nie o króla, a o fanatyków, co gotowi są zginąć pod kopytami królewskich koni, tak jak indyjscy fakirzy pod kołami rydwanu swego bóstwa.

— Ach, panie, panie! — zawołała królowa.

— Ten wjazd do Paryża stanie się tryumfem, Najjaśniejsza Pani.

— Nic nie odpowiadasz, Najjaśniejszy Panie?

— Bo podzielałam w części zdanie doktora.

— I niecierpliwie wyglądasz — zawołała królowa — tego tryumfu!

— Król w tym wypadku miałby słuszność. A niecierpliwosć świadczyłaby, jak głęboko i bezpośrednio Jego Królewska Mość ocenia ludzi i rzeczy. Im bardziej się pośpieszy, tym większy będzie tryumf.

— I pan w to wierzysz?

— Jestem tego pewien, gdyż zwlekając król może stracić korzyść inicjatywy. Proszę to zważyć, Najjaśniejsza Pani, ii mogłaby ona wyjść skądinąd, a to zmieniloby w oczach paryżan stanowisko Jego Królewskiej Mości i uczyniloby go zależnym od cudzych rozkazów.

— Otóż właśnie! — wykrzyknęła królowa. — Doktor przyznaje, że rozkazywano by tobie! O, Najjaśniejszy Panie, zastanów się nad tym.

— Doktor nie mówi, że już mi rozkazują.

— Cierpliwości, cierpliwości! Zwlekaj, Najjaśniejszy Panie, a żądanie lub rozkaz nadejdzie.

Gilbert przygryzł lekko wargi z wyrazem niezadowolenia, które królowa natychmiast spostrzegła.

— Cóżem powiedziała? — szepnęła. — Nieszczęsna i szalona, mówiłam przeciwko samej sobie!

— To znaczy? — zapytał król.

— To znaczy, że wskutek zwłoki zmarnuję korzyści twojej inicjatywy, a jednak muszę tej zwłoki zażądać.

— Ach, Najjaśniejsza Pani! Wszystkiego żądaj, tylko nie zwłoki.

— Antonino — odezwał się król potrząsając głową — zaprzysięgłaś mi zgubą!

— Och, Najjaśniejszy Panie! — rzekła królowa z wyrzutem, który ujawnił wszystkie udreki jej serca. — Czyż możesz mówić do mnie w ten sposób!

— Czemuż więc próbujesz, pani, opóźnić tę podróż? — zapytał król.

— Najjaśniejsza Pani — wtrącił doktor — w podobnych okolicznościach sprzyjająca chwila jest wszystkim. Pomyśl, jaką wagę mają godziny, gdy liczy je cały naród w oczekiwaniu.

— Nie dzisiaj, panie Gilbert. Jutro, Najjaśniejszy Panie. Och, jutro! Zgódź się, poczekaj do jutra, a przysięgam, że już nie będę sprzeciwiała się tej podróży.

— Jeden dzień stracony — szepnął król.

— Dwadzieścia cztery długie godziny — rzekł Gilbert. — Zechciej się zastanowić, Najjaśniejsza Pani.

— Tak musi być, Najjaśniejszy Panie — powiedziała królowa błagalnie.

— Ale jaki masz powód tej zwłoki? — zapytał król.

— Tylko moją rozpacz, tylko łzy i błagania, Najjaśniejszy Panie!

— A czy wiemy, co może stać się jutro? — rzekł król, wstrząśnięty do głębi na widok rozpaczliwej królowej.

— Cóż może stać się jutro? — spytała królowa, patrząc błagalnie na Gilberta.

— O, tam w Paryżu nic jeszcze — wtrącił Gilbert. — Nawet cień nadziei, nikłej jak chmurka, wystarczy, aby poczekać do jutra, ale...

— Ale właśnie tu... Czy tak? — zapytał król.

— Tak, właśnie tu, Najjaśniejszy Panie.

— Zgromadzenie? Gilbert skinął głową.

— Zgromadzenie — ciągnął dalej król — składające się z takich ludzi, jak pan Monnier, pan Mirabeau, pan Siéyès, gotowe jest przysłać mi propozycje, które pozbawią mnie prze wagi decyzji.

— A więc, tym lepiej! — zawołała królowa z ponurą wściekłością. — Bo wówczas odmówisz, zachowasz swoją godność królewską i nie pojedziesz do Paryża. Jeśli zaś zmuszą nas do wojny, to będziemy walczyli. I jeśli trzeba będzie umrzeć to umrzemy, ale tak, jak przystoi tym, kogo Bóg obdarzył koroną.

Widząc gorączkowe uniesienie królowej, Ludwik XVI zrozumiał, że w danej chwili pozostaje mu tylko jedno — ustąpić.

Skinął w stronę Gilberta i przystąpiwszy do Marii Antoniny ujął jej rękę.

— Uspokój się, pani — rzekł — stanie się tak, jak sobie życzysz. Wiesz dobrze, że za cenę swego życia nie chciałbym sprawić ci żadnej przykrości, gdyż czuję jak najgłębsze przywiązanie do kobiety takiej jak ty — pełnej godności i cnoty.

Ludwik XVI w sposób szlachetny zaakcentował te słowa, chcąc ratować honor królowej wobec świadka, który mógł w razie potrzeby potwierdzić to, co widział i słyszał.

Ta delikatność głęboko wzruszyła Marię Antoninę, która ściskając wyciągniętą dłoń króla, powiedziała:

— A więc do jutra, Najjaśniejszy Panie, nie później, to ostatni termin. Ale proszę o to jak o łaskę, na kolanach.; Jutro, przysięgam ci, panie, udasz się do Paryża, jeśli tylko zechcesz.

— Uważaj, pani, doktor jest świadkiem — odparł król z uśmiechem.

— Najjaśniejszy Panie, zawsze przecież dotrzymuję słowa — rzekła królowa.

— Tak, ale przyznaję...

— Co takiego?

— Widząc cię, pani, tak do głębi zrezygnowaną, chciałbym usłyszeć, dlaczego prosisz o dwudziestoczworgodziną zwłokę. Czy oczekujesz jakichś nowin z Paryża lub z Niemiec? Czy chodzi o...

— Nie pytaj mnie, Najjaśniejszy Panie.

Ciekawość miała dla króla tyleż powabu, co dla Figara lenistwo.

— Gzy chodzi o przybycie jakichś wojsk — wypytywał — o posiłki, o jakąś grę polityczną?

— Najjaśniejszy Panie! — szepnęła królowa z wymówką w głosie.

— Czy chodzi... — O nic nie chodzi! — przerwała Maria Antonina.

— Więc to sekret?

— A więc tak! Sekret niepokojącej się kobiety, to wszystko, — Kaprys, nieprawdaż? —

Kaprys, jeśli wola.

— Najwyższe prawo.

— Istotnie. Czemuż w polityce dzieje się inaczej niż w filozofii? Czemu królom nie wolno podnosić swych kaprysów politycznych do godności najwyższych praw?

— Dojdzie do tego, możesz być pewna. Co do mnie, już to uczyniłem — rzucił król żartobliwie. — Do jutra.

— Do jutra — powtórzyła królowa ze smutkiem.

— Zatrzymujesz, pani, doktora? — zapytał król.

— O, nie, nie! — zawołała królowa z taką skwapliwością, że Gilbert uśmiechnął się.

— Zabieram go więc.

Gilbert skłonił się po raz trzeci przed Marią Antoniną, która tym razem odpowiedziała na ukłon raczej gestem kobiety niż królowej — i podążył za zmierzającym ku wyjściu królem.

— Zdaje mi się, panie Gilbert — rzekł Ludwik XVI idąc przez galerię — że jest pan w dobrej komitywie z królową?

— Najjaśniejszy Panie — odparł doktor — tę łaskę zawdzięczam Waszej Królewskiej Mości.

— Niech żyje król! — zawołali dworzanie, których było już pełno w pałacowych przedpokojach.

— Niech żyje król! — powtórzył na dziedzińcu tłum cudzoziemskich oficerów i żołnierzy, cisnący się przy pałacowych bramach.

Okrzyki, ponawiając się i rosnący napełniły serce Ludwika XVI radością, jakiej nigdy może nie doznawał przy tak licznych ku temu okazjach. Królowa, która niedawno przeżyła tak straszne chwile, słyszała te okrzyki oddania i miłości. Witano nimi przechodzącego króla, a odgłosy ich ginęły w oddali, w cienistej gęstwinie parku.

— Niech żyje król! — powtórzyła. — O tak, niech żyje! Król będzie żył, i to wbrew tobie, nikczemny Paryżu! Nie pochłoniesz, tej ofiary! Ja ci ją wydrę, widzisz, tym oto słabym,, szczupłym ramieniem, które ci grozi w tej chwili i skazuje na powszechną wżgardę i na zemstę niebios!

Rzuciła te słowa w wybuchu nienawiści, która mogłaby przerazić najbardziej oddanych przyjaciół rewolucji.

Potem wezwała panią Campan, którą, ze wszystkich swoich dam darzyła największym zaufaniem, i zamknęła się; w swej komnacie, nie dopuszczając do siebie nikogo.

XXXV

PANCERZ—KAMIZELKA

Nazajutrz rozbłysło słońce, równie czyste i olśniewające jak w przeddzień, złocąc marmury i ścieżki Wersalu.

Ptactwo, gnieźdzące się tysiącami na pobliskich drzewach parku, witało ogłuszającym świergotem, nowy upalny i wesoły dzień.

Królowa wstała o piątej rano. Prosiła, aby król wstąpił do niej, skoro tylko się obudzi.

Ludwik XVI — nieco znużony przyjęciem przybyłej poprzedniego dnia delegacji. Zgromadzenia, której, musiał dać odpowiedź, bo był to dopiero początek rozmów — spał nieco dłużej. Chciał dobrze wypocząć, aby nie mówiono, że stracił cokolwiek ze swej świeżości..

Toteż prośbą królowej powtórzono mu w chwili, gdy już ubrany przypasywał szpadę. Król zmarszczył z lekka brwi.

— Jak to, królowa już wstała?

— Już dawno, Najjaśniejszy Panie.

— Czy znowu jest chora?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— I czegoż to królowa chce ode mnie o tak wczesnej porze?

— Jej Królewska Mość nie powiedziała tego.

Król zjadł pierwsze śniadanie, składające się z bulionu i łyku wina i udał się do królowej.

Zastał królowę ubraną jak na uroczystość — piękną, bladą, dostojną. Powitała męża swym wyćwiczonym na przyjęciach dworskich zimnym uśmiechem, który błyszczał niby słońce zimowe na jej policzkach.

W tym spojrzeniu i uśmiechu król nie odgadł smutku. Zaprzętała go już tylko jedna myśl: przypuszczalny opór Marii Antoniny wobec powziętego poprzednio postanowienia.

„Jeszcze jeden kaprys” — pomyślał marszcząc brew.

Królowa zaś utwierdziła go w tym przekonaniu, mówiąc:

— Najjaśniejszy Panie, od wczoraj dużo myślałam.

— Tak! Otóż to właśnie! — wykrzyknął król.

— Oddal, z łaski swojej, wszystkie osoby postronne. Król, zagniewany, nakazał swoim oficerom usunąć się.

W pokoju pozostała jedna tylko kobieta z otoczenia królowej — pani Campan.

Wówczas Maria Antonina, opierając swe piękne ręce na ramieniu króla, zapytała:

— Czemu, Najjaśniejszy Panie, jesteś już zupełnie ubrany? To źle!

— Jak to źle? Dlaczego?

— A czyż nie prosiłam właśnie, abyś przyszedł tu, zanim się ubierzesz? Jesteś, panie, we fraku i przy szpadzie, Myślałam, że będziesz jeszcze w szlafroku.

Król spojrzał na nią zdumiony. Ten kaprys królowej obudził w nim rój dziwacznych myśli. W pierwszej chwili ogarnęła króla nieufność i niepokój.

— Co ci jest, pani? — rzekł do królowej. — Czy zamýślasz opóźnić lub uniemożliwić nasze wczorajsze postanowienie?

— Bynajmniej, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem, proszę cię, pani: dość drwin w sprawie tak poważnej. Muszę i chcę udać się do Paryża, nie mogę się już wycofać. Moja świta otrzymała rozkazy, osoby, mające mi towarzyszyć, wyznaczone są od wczoraj.

— Nie zamýślam niczego, ale...

— Zważ tylko, pani — rzekł król, ożywiając się stopniowo, aby nabrać odwagi — że wieść o mojej podróży do Paryża musiała już dotrzeć do mieszkańców, że się już przygotowali, oczekują mnie... Że uczucia przyjaźni, jakie podróż ta obudziła w umysłach, mogą się zmienić w niebezpieczną wrogość. Zważ, pani, wreszcie...

— Ależ, Najjaśniejszy Panie! Ja nie zaprzeczam temu, co mówisz. Byłam zrezygnowana wczoraj, jestem zrezygnowana i dziś. — Po cóż więc, pani, te wstępy? Po cóż pytania na temat stroju, moich projektów?

— Na temat stroju, tak — podjęła królowa, usiłując się uśmiechnąć wówczas, gdy twarz jej stawała się coraz surowsza.

— Co masz przeciwko memu ubraniu?

— Chciałabym, Najjaśniejszy Panie, abyś je zdjął.

— Czy wydaje ci się, pani, niestosowne? Strój jest z fioletowego jedwabiu. Paryżanie przywykli mnie w nim widzieć. Lubią przecież ten kolor, na którym zresztą błękitna wstęga dobrze wygląda. Ty sama, pani, mówiłaś mi to dość często.

— Nie mam, Najjaśniejszy Panie, nic do zarzucenia barwie tego stroju.

— A zatem?

— Chodzi o spód.

— Doprawdy, intrygujesz mnie, pani, swym ciągłym uśmiechem... Spód... Co to za żart!... — Nie żartuję już, niestety!

— No tak! A teraz znów dotykasz, pani, mej kamizelki. Czy też ci się nie podoba? Biała, ze srebrnej tafty, przez ciebie samą wyhaftowana. Jedna z mych ulubionych kamizelek!

— Nie mam też nic przeciwko kamizelce.

— Jakże dziwna jesteś, pani! Razi cię więc żabot, haftowana koszula batystowa? Jak to, czy nie mam być pięknie wystrojony jadąc do mego pocziwego Paryża?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, nie mam żadnych zastrzeżeń co do twego pięknego stroju. Przez cały czas mam na myśli spód... Tylko i wyłącznie spód.

— Spód mojej haftowanej koszuli? Wyłumacz mi wreszcie, co to znaczy?

— A więc mówię: król, znenawidzony, który rzuci się między siedemset tysięcy paryżan, upojonych triumfem, podburzonych hasłami rewolucji, chociaż nie jest średniowiecznym księciem, powinien jednak, udając się dziś do Paryża, włożyć żelazny pancerz i hełm z dobrej mediolańskiej stali. Powinien tak się zabezpieczyć, ażeby żadna kula, żaden pocisk czy kamień nie znalazły dostępu do jego ciała.

— To, w gruncie rzeczy, słuszne — rzekł Ludwik XVI w zadumie. — Ale, moja dobra przyjaciółko, ponieważ nie jestem ani Karolem VIII, ani Franciszkiem I, ani nawet Henrykiem IV, ponieważ dzisiejsza monarchia okrywa się tylko aksamitem i jedwabiem, będę i ja w swym jedwabnym stroju bezbronny. A ściślej mówiąc, stanę się celem dla kul, gdyż noszę na sercu ordery.

Królowa wydała stłumiony okrzyk.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła — zaczynamy się rozumieć. Przekonasz się, że twoja żona teraz nie żartuje.

Skinęła na stojącą w głębi pokoju panią Campan, która wyjęła z szuflady szyfonierki królowej przedmiot szeroki, płaski i podłużny, ukryty w jedwabnym pokrowcu. — Najjaśniejszy Panie — rzekła królowa — serce króla należy przede wszystkim do Francji, to prawda. Ale jestem mocno przekonana, że należy ono też do jego żony i dzieci. Co do mnie, nie chcę, aby było wystawione na wrogie kule.

Podjęłam środki, by ocalić przed wszelkim niebezpieczeństwem mego małżonka, króla i ojca moich dzieci.

Jednocześnie odwijając z jedwabnej chustki kamizelkę z cienkich ogniw stalowych, splecionych tak misternie, iż wydawała się materią arabską, do tego stopnia ścieg wątku imitował morę, nadając jej giętkość i elastyczność.

— Co to takiego? — zapytał król.

— Popatrz tylko, Najjaśniejszy Panie.

— Zdaje mi się, że to kamizelka.

— Ależ tak, Najjaśniejszy Panie.

— Kamizelka zapinana aż pod samą szyję.

— Z kołnierzykiem, który jak widzisz, panie, można wsunąć pod kołnierz ubrania lub pod krawat.

Król wziął do rąk kamizelkę, oglądając ją z ciekawością.; Widząc to, królowa rozpromieniła się z radości. Król zaś jakby liczył wszystkie oczka tej cudownej siatki, która przelewała się w palcach jak miękka wełniana tkanina. — Cóż to za wspaniała stal! — rzekł. — Nieprawdaż, Najjaśniejszy Panie?

— I nadzwyczajna robota, — Nieprawdaż?

— Nie wiem wprost, gdzie mogłaś, pani, znaleźć coś podobnego.

— Kupiłam ją wczoraj wieczór od człowieka, który proponował mi to już dawno, w razie gdybyś wyruszał, panie, na wyprawę.

— To wspaniałe, wspaniałe! — zawołał król, przyglądając się kamizelce okiem artysty.

— I powinna pasować jak kamizelka uszyta przez nadwornego krawca.

— Tak sądzisz, pani?

— Zechciej przymierzyć. Król bez słowa rozpiął swój Królowa drżała z radości. Pomogła Ludwikowi XVI zdjąć order.

Król odpasał tymczasem szpadę. Gdyby ktoś mógł w tej chwili zobaczyć twarz królowej, ujrzałby ją rozjaśnioną najwyższym szczęściem.

Król pozwolił sobie rozluźnić żabot, pod który delikatne palce królowej wsunęły stalowy kołnierzyk.

Następnie Maria Antonina sama spięła klamry pancerza—kamizelki, który przylegał wspaniale do ciała opinając je dokładnie, a podbity od spodu skórą, osłabiał ucisk stali.

Kaftan i koszula, włożone na wierzch, kryły go zupełnie, przy czym pancerz nie powiększał tuszy ciała ani o włos i pozostawiał ruchom zupełną swobodę.

— Czy to bardzo ciężkie? — zapytała królowa.

— Nie.

— Widzisz więc, królu mój, jakie to cudo, prawda? — wykrzyknęła królowa, klaszcząc w dłonie, gdy pani Campan skończyła zapinać guziki przy rękawach króla.

Pani Campan wyrażała swą radość tak samo naturalnie jak królowa.

— Ocaliłam mego króla! — wykrzyknęła Maria Antonina. — Wypróbuj, panie, tę niewidzialną zbroję. Spróbuj przebić ją nożem, spróbuj przedziurawić kulą. Spróbuj, panie — O! — rzekł król tonem powątpiewania.

— Spróbuj! — powtórzyła królowa entuzjastycznie.

— Chętnie uczyniłbym to przez ciekawość — odparł król.

— Nie czyn tego, Najjaśniejszy Panie, to zbyt bezczelne.

— Jak to? Zbyt bezczelne, bym dowiódł ci, pani, doskonałości twojego pomysłu?

— Ach, ci mężczyźni! Czy sądzisz, panie, że dałabym wiarę świadectwom człowieka obcego, obojętnego, gdy chodzi o życie mojego małżonka, o ocalenie Francji?!

— A jednak zdaje mi się, że tak właśnie postąpiłaś, Antonino, i dałaś im wiarę.

Królowa potrząsnęła głową z pełnym wdzięki uporem.

— Zapytaj, panie, tej poczciwej Campan — odparła wskazując obecną w pokoju damę — co robiłyśmy obie dzisiaj rano.

— I cóż takiego, mój Boże? — zawołał król, mocno za intrygowany.

— Dziś rano, co mówię, tej nocy, niczym dwie szalone, oddaliwszy wszystką służbę, zamknęłyśmy się w jej pokoju, który mieści się w głębi ostatniego pawilonu paziów. A paziowie właśnie wyjechali wczoraj wieczór do Rambouillet. Upewniłyśmy się, że nikt nie zdoła nam przeszkodzić.

— Boże mój! Doprawdy, przerażasz mnie! I co też zamierzały te dwie Judyty?

— Judyta uczyniła mniej — odparła królowa — a zwłaszcza mniej hałasu. Poza tym porównanie byłoby cudowne. Campan trzymała worek z pancerzem, ja miałam w ręku długi nóż myśliwski mojego ojca, który uśmiercił tyle dzików.

— Judyta! Prawdziwa Judyta! — wykrzyknął śmiejąc się król.

— Och, Judyta nie miała tak ciężkiego pistoletu, który wzięłam z twojej, panie, zbrojowni i kazałam nabić Weberowi.

— Pistoletu?!

— O tak! Trzeba było widzieć nas nocą, jak wylękle, zaniepokojone najłżejszym szmerem, kryjąc się przed ciekawskimi, mknęłyśmy przez puste korytarze, niczym dwie wystraszone myszy.

Campan zamknęła troje drzwi, zastawiając ostatnie materacem. Pancierz powiesiłyśmy przy ścianie na manekinie, na którym rozpina się moje suknie. I ja pewną ręką, przysięgam ci, panie, wymierzyłam zbroi cios nożem. Klinga ugięła się i wysliznąwszy mi się z ręki utkwiała w posadzce, ku naszemu wielkiemu przerażeniu.

— Do kroćset! — zaklął król.

— Cierpliwości!

— I nie ma dziury? — zapytał Ludwik XVI.

— Cierpliwości, powtarzam. Campan podniosła nóż, mówiąc do mnie: „Najjaśniejsza Pani, nie jesteś dość silna i może drgnęła ci ręka. Ja uderzę mocniej, przekonasz się”. Chwyła więc nóż i wymierzyła tak straszny cios w manekin, że mój biedny niemiecki nóż pękł na dwoje. Oto, Najjaśniejszy Panie, obydwie jego części. Każę ci zrobić z tego sztylet;

— O, ależ to coś bajecznego! — zawołał król. — I wcale nie ma znaku?

— Zadraśnięcie na wierzchnim ogniwie, a jest ich, proszę, trzy: jedno na drugim.

— Chciałbym zobaczyć.

— Zobaczysz, panie.

Królowa zaczęła rozbierać króla ze zdumiewającą zręcznością, aby pochwalić się swoim pomysłem.

— Zdaje mi się, że w tym miejscu lekko uszkodzone — rzekł król, wskazując palcem nieznaczące wgłębienie na powierzchni pancerza.

— To od kuli pistoletowej, Najjaśniejszy Panie!

— Jak to! Strzelałaś, pani, z pistoletu?

— Oto masz spłaszczoną kulę, jeszcze osmaloną. Wierzysz mi teraz, Najjaśniejszy Panie, że twemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo?

— Jesteś, pani, aniołem opiekuńczym — rzekł król rozpinając powoli pancerz, aby lepiej obejrzeć ślady noża i kuli.

— Wyobraź sobie, drogi królu, mój przestach — powiedziała, Maria Antonina — kiedy musiałam wystrzelić z pistoletu. Niestety! Mniejsza już o ten okropny hałas, którego tak się lękam. Ale przecież zdawało mi się, że strzelając do mającego cię ochronić pancerza, strzelam właśnie do ciebie. Przecież bałam się ujrzeć dziurę w kolczudze, bo wówczas moja praca, moje

trudy i nadzieje byłyby stracone!

— Droga żono — odezwał się Ludwik XVI — jakże jestem ci wdzięczny! — I zdjawszy kolczugę położył ją na stole.

— Co czynisz, panie? — zapytała królowa. I wziawszy pancerz podała go ponownie królowi. Ale on, z uśmiechem pełnym wdzięku i godności, odparł:

— Nie, dziękuję.

— Odmawiasz, Najjaśniejszy Panie? — wykrzyknęła królowa.

— Odmawiam.

— Ależ... Zastanów się, panie!

— Najjaśniejszy Panie!... — błagała pani Campan.

— Wszakże to ocalenie! To życie! — Możliwe — odrzekł król.

— Odmawiasz, panie, pomocy, którą sam Bóg nam zsyła!

— Dość, dość! — zawołał król.

— Och, odmawiasz! Odmawiasz!

— Tak, odmawiam.

— Przecież oni cię zabiją!

— Droga moja... Wyruszając w pole, szlachcic nasz nosi przeciw kulom sukienny frak, kamizelkę i koszulę. A gdy, ma stanąć na ubitej ziemi, jest w samej tylko koszuli, przeciw szpadzie to wystarczy. Ja, pierwszy szlachcic w swoim królestwie, nie postąpię inaczej niż moi przyjaciele. Powiem więcej nawet: gdy oni przywdziewają sukno, ja jeden mam prawo nosić jedwabie. Dzięki ci, moja droga żono, dzięki, moja dobra królowo.

— Ach! — wykrzyknęła królowa, pełna rozpaczy, a zarazem zachwytu. — Czemu tego nie słyszy jego armia?

Król z całym spokojem skończył się ubierać, jak gdyby, nie domyślając się nawet bohaterstwa swego czynu.

— Czyż może zginąć monarchia, którą stać w takiej chwili na tyle dumy? — szepnęła królowa.

XXXVI

ODJAZD

Gdy Ludwik XVI wyszedł od królowej, otoczyli go natychmiast oficerowie oraz osoby mające mu towarzyszyć w podróży do Paryża.

Byli to panowie: de Beauvau, de Villeroy, de Nesle i d'Estaing.

Zmieszany z tłumem Gilbert czekał, aż król zauważy go i rzuci bodaj przelotne spojrzenie.

Widać było, że wszyscy ci ludzie wąpili o trwałości królewskiej decyzji.

— Panowie, po śniadaniu jedziemy! — rzekł król, a spostrzegłszy Gilberta dodał: — Jest pan doktorze. Doskonale. Wiesz chyba, że zabieram cię z sobą.

— Jestem na rozkazy Waszej: Królewskiej Mości.

Król udał się do swego gabinetu, gdzie pracował przez dwie godziny.

Potem wraz z całym swym dworem wysłuchał mszy, a koło godziny dziewiątej zasiadł do stołu.

Posiłek odbył się ze zwykłym ceremoniałem. Tylko królowa, którą podczas mszy widziano z zaczerwienionymi od płaczu powiekami, nie brała udziału w śniadaniu.

Zjawiła się dopiero później i przyprowadziła ze sobą dzieci. Wzruszone macierzyńskimi słowami, wodziły niespokojnym wzrokiem po twarzy ojca oraz po tłumnie zebranych oficerach i gwardzistach. Od czasu do czasu ocierały na rozkaz matki łzy, których widok budził w jednych litość, w innych gniew, a wśród wszystkich zgromadzonych — wzruszenie.

Król jadł ze stoickim spokojem. Przemówił kilkakrotnie do Gilberta nie patrząc na niego, a przez cały niemal czas zwracał się z jak największą serdecznością do królowej.

Wreszcie wydał rozkazy dowódcom.

Kończył właśnie posiłek, kiedy mu zameldowano, że przy końcu wielkiej alei, wiodącej na plac Broni, zauważono dużą kolumnę ludzi, zbliżającą się pieszo od strony Paryża.

W jednej chwili oficerowie i straż rzucili się ku wyjściu. Król podniósł głowę, spojrzął na Gilberta, a widząc, że się uśmiecha, znów zabrał się najspokojniej do jedzenia.

Królowa zbladła i nachyliwszy się ku panu de Beauvau poprosiła, aby zasięgnął wiadomości.

Pan de Beauvau wyszedł pośpiesznie z sali.

Maria Antonina zbliżyła się do okna.

Po pięciu minutach pan de Beauvau wrócił.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — to Gwardia Narodowa z Paryża. Kiedy wczoraj rozeszła się w stolicy wieść, że Wasza Królewska Mość zamierza odwiedzić jej mieszkańców, zebrali się w liczbie dziesięciu tysięcy, aby wyjść na powitanie. A posuwając się wciąż naprzód i nie spotkawszy króla, dotarli aż da Wersalu.

— I jakie mają zamiary? — zapytał król.

— Jak najlepsze — odparł pan de Beauvau.

— Mniejsza o to — wtrąciła królowa. — Każ pan zamknąć kraty..

— Nie ważcie się! — powiedział król, — Dość już, że bramy pałacowe są zamknięte.

Królowa zmarszczyła brwi i spojrzała szybko na Gilberta.

Doktor spodziewał się tego, gdyż połowa jego przepowiedni już się spełniła. Zapowiedział przybycie dwudziestu tysięcy Ludzi, zjawiła się ich już dziesięć: tysięcy.

Król zwrócił się do pana de Beauvau.

— Dopilnuje pan, ażeby tym pocziwcom dano poczęstunek — rzekł.

Pan de Beauvau wyszedł ponownie, aby rozkaz, królewski przekazać piwniczym, i niebawem

wrócił.

— A więc? — zapytał Ludwik XVI., — Otóż, Najjaśniejszy Panie, twoi paryżanie wiodą gorące dysputy z gwardią królewską.

— Jak to! — wykrzyknął król. — Są jakieś dysputy?

— O, tylko ze względów kurtuazji. Usłyszawszy, że król wyrusza za dwie godziny, chcą poczekać i kroczyć za kareta Waszej Królewskiej; Mości.

— Ale, jak się zdaje, oni przybyli pieszo? — zapytała z kolei królowa.

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Ale król jedzie przecież kareta, a królewskie konie pędzą jak wicher. Pan wie, panie de Beauvau, że król zwykł jechać bardzo szybko.

Te słowa, podkreślone, znaczyły; „Przypnijcie skrzydła do karety Jego Królewskiej Mości”.

Król skinął ręką na znak, że przerywa rozmowę.

— Pojadę stępa — oświadczył..

Królowa wydała westchnienie, podobne do gniewnego okrzyku.

— Byłoby niesłuszne — dodał spokojnie Ludwik XVI — abym kazał biec tym pocziwcom, którzy się i tak zmęczyli chcąc mnie uczcić. Pojadę stępa, a nawet całkiem wolno, ażeby wszyscy mogli dotrzymać mi kroku.

Wśród zebranych przebiegł szmer uznania i zachwytu. Ale jednocześnie na wielu twarzach odbił się ów wyraz dezaprobaty, jaki malował się wyraźnie na twarzy królowej. Taką dobroć serca uważała za słabość.

Otwarto okno.

Maria Antonina odwróciła się zdziwiona. Zrobił to Gilbert. Skorzystał z przysługującego mu, jako lekarzowi, prawa otwierania okien, aby odświeżyć powietrze w jadalni, ciężkie od woni potraw i oddechów z górą stu osób.

Doktor stanął za firankami okna, przez które dobiegały głosy zebranej na dziedzińcu cizby.

— Co to takiego? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie — odparł Gilbert — to Gwardia Narodowa, rozlokowana na bruku dziedzińca, w pełnym słońcu. Musi im być bardzo gorąco.

— Czemu by nie zaprosić ich na śniadanie w towarzystwie króla? — szepnął do królowej jeden z jej ulubieńców–oficerów.

— Należy tych ludzi umieścić w cieniu, na marmurowym podwórzu, w przedsionkach, zaprowadzić wszędzie, gdzie jest chłodniej — rzekł król.

— Dziesięć tysięcy ludzi w przedsionkach! — wykrzyknęła królowa.

— Rozlokować wszędzie, zmieszczą się jakoś — powiedział król.

— Rozlokować wszędzie! — zawołała Maria Antonina. — — Ależ ty im pokażesz, panie, drogę do swojej sypialni.

Temu proroctwu sądzone było ziścić się w Wersalu jeszcze przed upływem trzech miesięcy.

— Jest tam, Najjaśniejsza Pani, również dużo dzieci — rzekł łagodnie. Gilbert. — Dzieci? — zapytała królowa.

— Tak, Wasza Królewska Mość. Wielu z nich zabrało z sobą dzieci jak na przechadzkę. Przebrano je za małych gwardzistów, tak wielki entuzjazm wzbudzała nowo utworzona Gwardia Narodowa.

Królowa rozchyliła usta, ale natychmiast prawie spuściła głowę. Miała ochotę powiedzieć coś serdecznego, lecz powstrzymała ją pycha i nienawiść.

Gilbert spojrział na nią uważnie., — Biedactwa! — wykrzyknął król. — Kiedy ktoś zabiera z sobą dzieci, to znaczy, że nie ma zamiaru zrobić krzywdy ojcu rodziny. Tym bardziej należy umieścić w cieniu te biedne maleństwa! Niech wejdą, niech wejdą!

Gilbert skłonił lekko głowę, jakby mówił do królowej: „Oto, Najjaśniejsza Pani, co powinnaś była powiedzieć. Dawałem ci do tego sposobność. Ludzie powtarzaliby twoje słowa i cieszyłyby się przez parę lat popularnością”.

Królowa zrozumiała tę milczącą przemowę Gilberta i twarz jej oblała się rumieńcem. Pojęła swój błąd, lecz skierowała na Gilberta spojrzenie pełne pychy i oporu.

Tymczasem pan de Beauvau przekazywał Gwardii Narodowej królewskie zlecenie.

Wówczas zbrojny tłum, dopuszczony z rozkazu króla do wnętrza pałacu, zaczął wznosić okrzyki radości i błogosławieństwa. Huczne wiwaty wzbity się skłębioną wrzawą ku parze królewskiej i zupełnie ją uspokoiły co do nastrojów budzącego w nich taki lęk Paryża.

— Najjaśniejszy Panie — zapytał pan de Beauvau — co Wasza Królewska Mość rozkaże swojej świcie?

— A ten spór Gwardii Narodowej z moimi oficerami?

— Och, Najjaśniejszy Panie, ucichł zupełnie. Ci poczciwcy są tak szczęśliwi, że mówią teraz: „Pójdziemy tam, gdzie nam rozkażą. Król równie dobrze należy do nas, jak do innych. Gdziekolwiek będzie, zawsze pozostanie naszym”.

Król spojrział na Marię Antoninę. Królowa skrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

— Powiedz pan Gwardii Narodowej — rzekł Ludwik XVI — żeby rozlokowała się tam, gdzie jej się podoba.

— Wasza Królewska Mość pamięta — odezwała się królowa — że obowiązkiem przybocznej gwardii jest eskortowanie królewskiej karocy.

Widząc niezdecydowanie króla, oficerowie zbliżyli się, aby poprzeć królowę.

— W gruncie rzeczy to słuszne — powiedział król. — Cóż, zobaczymy!

Panowie de Beauvau i de Villeroy oddalili się, aby wydać rozkazy.

W Wersalu wybiła godzina dziesiąta.

— Chodźmy! — rzekł król. — Będę pracował jutro. Ci poczciwcy nie powinni czekać.

Król wstał.

Maria Antonina wyciągnęła ramiona, by uścisnąć króla. Dzieci z płaczem uwiesiły się ojcu na szyi. Ludwik XVI rozczulony usiłował łagodnie uwolnić się z ich objęć. Pragnął ukryć wzrastające wzruszenie.

Królowa zatrzymywała niektórych oficerów, chwytając jednego za ramię, innego za szpadę.

— Panowie! — mówiła. — Panowie!

Wymownym gestem polecała im króla, który już wychodził. Każdy z nich kładł rękę na sercu i na szpadzie. Maria Antonina dziękowała uśmiechem.

Gilbert znajdował się na samym końcu.

— Pan doradziłeś królowi ten wyjazd — rzekła królowa. — Pan nakłoniłeś króla, mimo mych błagań. Zważ, że ponosisz największą odpowiedzialność wobec żony i wobec matki.

— Wiem, Najjaśniejsza Pani — odparł zimno Gilbert.

— I zwrócisz mi pan króla całego i zdrowego! — dodała z uroczystym gestem.

— Tak, Najjaśniejsza Pani! — Pamiętaj pan, że odpowiadasz za niego głową! Gilbert skłonił się.

— Pamiętaj, swoją głową! — i powtórzyła Maria Antonina z nieubłaganą surowością despotycznej królowej.

— Tak, swoją głową, Najjaśniejsza Pani — odparł skłoniwszy się Gilbert. — Lecz byłby to niewspółmiernie niskiej wartości zastaw, gdybym mniemał, że królowi cokolwiek grozi. Ale powiedziałem, pani że dziś Jego Królewską Mość czeka triumf.

— Chcę mieć wiadomości co godzinę — dodała królowa.

— Będziesz je miała, Najjaśniejsza Pani, przysięgam.

— A teraz spiesz pan już, słyszę werble. Król za chwilę wyrusza.

Gilbert skłonił się i na frontowych schodach spotkał adiutanta królewskiego, który go właśnie szukał.

Doktora umieszczono w karecie należącej do pana de Beauvau, marszałka dworu. Gilbert uśmiechnął się, widząc siebie w herbowej karecie, gdyż pan de Beauvau harcował konno przy królewskim powozie. Po chwili przyszło mu na myśl, że przecież to śmieszne, aby jechał w karecie zdobnej w koronę i herb. Nie pozbył się jeszcze tych skrupułów, gdy w tłumie gwardzistów narodowych, otaczających powozy usłyszał szept. Rozmawiali ze sobą, nachylając się ciekawie, aby go zobaczyć.

— O, tamten to ksiązę de Beauvau!

— E, mylisz się — odparł inny.

— Ależ tak. Kareta ma herby ksiązące!

— Herby... Herby... Mówię ci, że to nic nie znaczy. — Herby, właśnie! A o czym to świadczy?

— To świadczy, że skoro kareta ma herby pana de Beauvau, to i on sam musi być w środku.

— Czy pan de Beauvau to patriota? — zapytała jakaś kobieta.

— Ech! — mruknął któryś z gwardzistów. Gilbert uśmiechnął się znowu.

— Ale mówię ci — odparł pierwszy oponent — że to nie ksiązę. Ksiązę ma wielki brzuch, a ten jest chudy. Ksiązę nosi mundur dowódcy gwardii, a ten ubrany jest na czarno — to intendent.

Ow mało pochlebny tytuł spotkał się z nieprzyjaznym pomrukiem, skierowanym w stronę Gilberta.

— Do licha! — usłyszał wtem czyjś tubalny głos, który należał do człowieka, torującego sobie łokciami i pięścią drogę ku karecie. — Nie, to nie jest pan de Beauvau ani jego intendent. To słynny patriota, najsłynniejszy z patriotów. Ech, panie Gilbert, cóż, u licha, robisz pan w ksiązącej karecie?

— O, to wy, ojciec Billot? — wykrzyknął doktor.

— Dalibóg! Jakżebym mógł przepuścić taką okazję! — odparł wieśniak.

— A Pitou? — zapytał Gilbert.

— Jest niedaleko. Hej, Pitou, pokaż się! No, chodźże! Wobec takiego zaproszenia Pitou, również rozpychając się łokciami, prześliznął się do Billota i uklonił się zachwycony Gilbertowi.

— Dzień dobry, panie Gilbert — rzekł.

— Dzień dobry, Pitou! Dzień dobry, przyjacielu.

— Gilbert! Gilbert! Kto to taki? — zapytywano w tłumie. „Oto czym jest sława! — myślał doktor. — Znają mnie dobrze w Villers-Cotterets, tak. Ale w Paryżu... niech żyje popularność!”

Wysiadł z karety, która po chwili ruszyła wolno, i opierając się na ramieniu Billota, szedł dalej pieszo wśród tłumu.

Pokrótkie opowiedział dzierżawcy o swojej wizycie w Wersalu; o dobrych intencjach króla i rodziny królewskiej. W ciągu kilku minut przeprowadził w tej grupie taką propagandę rojalizmu, że ci ludzie naiwni i łatwo podlegający wpływowi wzniesli przeciągły okrzyk: „Niech żyje król”. Okrzyk ten, wzmocniony przez idących na przodzie, oszołomił wprost jadącego karocą Ludwika XVI.

— Chcę zobaczyć króla — rzekł Billot przejęty — muszę zobaczyć go z bliska. Po to tu przywędrowałem. Przyjrzę się jego twarzy. Od razu można poznać spojrzenie uczciwego człowieka. Chodźmy, chodźmy, panie Gilbert, dobrze?

— Chwileczkę! Zrobimy to z łatwością — odparł Gilbert — gdyż widzę, że adiutant pana de Beauvau szuka tu właśnie kogoś.

Rzeczywiście, jakiś konny, manewrując z największą ostrożnością wśród masy zmęczonych,

ale radosnych piechurów, usiłował dotrzeć do drzwiczek karety, z której wysiadł Gilbert.

— Szuka pan może doktora Gilberta? — zagadnął go. — Właśnie jego — odparł adiutant.

— Ja nim jestem.

— Dobrze! Pan de Beauvau wzywa pana z polecenia króla.

Słyszac te szumnie brzmiące słowa Billot otworzył szeroko oczy, a tłum zrobił przejście.

Najpierw wśliznął się Gilbert, a za nim Billot i Pitou, śladem konnego, który powtarzał wciąż:

— Rozstąpcie się, panowie, rozstąpcie się! W imieniu króla przejście, panowie, przejście!

Gilbert dotarł niebawem do drzwiczek królewskiej karocy, która posuwała się krokiem wołów z epoki Merowingów.

XXXVII

PODRÓŻ

Tak to przepychając się, nie odstępując jednak ani na krok adiutanta pana de Beauvau, Gilbert, Billot i Pitou dotarli wreszcie do karocy, w której król, w asyście panów d'Estainga i de Villequiera, jechał wolno wśród rosnącego tłumu.

Był to widok szczególny, nieznan, zdarzył się bowiem po raz pierwszy w historii. Ludność z całej okolicy, ci żołnierze Gwardii Narodowej z przypadku, biegli z okrzykami radości tam, gdzie jechał król, pozdrawiając go i błogosławiąc. Ale zamiast powrócić do swoich domów, włączali się do pochodu i towarzyszyli królowi w podróży.

Dlaczego? Nikt nie zdołałby odpowiedzieć. Czy szli za pędem instynktu? Ujrzeni i pragnęli ponownie zobaczyć swego ukochanego króla, Bo w epoce tej Ludwik XVI był królem uwielbianym, któremu naród francuski wzniosłby ołtarze, gdyby Voltaire nie zaszczeplił mu głębokiej dla nich pogardy.

Król spostrzegł Gilberta, wspartego na ramieniu Billota, za którym kroczył Pitou, wlokąc swoją wielką, szablę. — Ach, doktorze! Co za piękna pogoda i lud jaki piękny!

— Widzisz, Najjaśniejszy Panie — odparł Gilbert i nachyliwszy się ku królowi, dodał: — Czy nie przyrzekłem tego Waszej Królewskiej Mości?

— Tak, panie, tak! I godnie dotrzymałeś słowa. Król podniósł głowę i chcąc, by go słyszano, rzekł:

— Posuwamy się dosyć wolno, lecz zdaje mi się, że jeszcze wciąż zbyt szybko, aby widzieć wszystko, co jest dziś do zobaczenia.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się pan de Beauvau — posuwając się dotychczasowym krokiem, Wasza Królewska Mość przebywa przecież milę w trzy godziny. Nie sposób już podróżować wolniej.

Istotnie, konie zatrzymywały się co chwila. Następowala wymiana zdań, pytań i odpowiedzi. Gwardia Narodowa bratała się — tak to właśnie określono — z gwardią przyboczną Jego Królewskiej Mości.

„Ach — mówił do siebie Gilbert, patrząc okiem filozofa na te ciekawe sceny. — Jeżeli bratają się z przyboczną gwardią, to znaczy, że byli wrogami, zanim zostali przyjaciółmi.”

— Panie Gilbert — rzekł półgłosem Billot — dobrze przyjrzałem się królowi i dobrze go słuchałem, A więc, według mnie, król to zacny człowiek!

W porywie entuzjazmu, jaki ogarnął Billota, zaakcentował on swe słowa w taki sposób, że usłyszał je król i jego świta.

Wszyscy roześmieli się. Król uśmiechnął się również i skinąwszy głową rzekł:

— Oto pochwała, która mi się podoba.

Powiedział to dosyć głośno, tak aby Billot usłyszał.

— Masz rację, Najjaśniejszy Panie, gdyż nie każdego nią obdarzani — odparł Billot, wszczynając niby równy z równym rozmowę z królem, podobnie jak Michaud z Henrykiem TV.

— Tym bardziej mi to pochlebia — oświadczył król mocno zakłopotany, nie wiedząc, w jaki sposób pogodzić godność królewską ze sposobem mówienia właściwym dobremu patriocie.

Niestety, biedny ten władca nie przywykł jeszcze zwać się królem Francuzów.. Uważał się w dalszym ciągu za króla Francji.

Billot, uniesiony radością, nie zastanawiał się nad tym, czy Ludwik XVI, z filozoficznego punktu widzenia, zrezygnował z tytułu króla, aby przybrać miano człowieka. Zdając sobie

sprawę, jak wiele dobroduszości zawierają jego słowa, Billot wieszował sobie, że rozumie króla i sam jest przez niego rozumiany.

Toteż począwszy od tej chwili, Billot nie przestawał zapalać się coraz bardziej. W rysach króla czytał trwałą miłość do monarchii konstytucyjnej. Pitou zaś, pod wpływem Billota i przepełniony własną miłością do króla, uzewnętrzniał wszystkie te uczucia w okrzykach:

— Niech żyje król! Niech żyje ojciec ludu!

W wyniku tych okrzyków był już zupełnie zachrypnięty, gdy pochód dotarł do Point-du-Jour, gdzie pan Lafayette, na słynnym białym rumaku, trzymał w napięciu niezdyscyplinowane i ruchliwe kohorty Gwardii Narodowej, rozstawione tam od godziny piątej rano w oczekiwaniu na orszak króla.

Spotkanie króla z nowym wodzem zbrojnej Francji odbyło się w sposób, który wszystkich obecnych całkowicie zadowolił.

Król zaczął jednak odczuwać zmęczenie, nic już nie mówił i poprzestawał tylko na uśmiechach, Również naczelny dowódca milicji paryskiej już nie rozkazywał, lecz tylko gestykulował.

Król był zadowolony słysząc, że krzyczano tyleż „niech żyje król”, co „niech żyje Lafayette”. Niestety, tę radość, płynącą z zaspokojenia miłości własnej, dane mu było odczuć po raz ostatni.

Gilbert znajdował się wciąż obok karocy królewskiej, a Billot i Pitou przy Gilbertcie.

Wierny swym przyrzeczeniom, Gilbert od chwili wyjazdu z Wersalu zdołał wysłać czterech gońców do królowej.

Zawieźli oni tylko dobre wieści, gdyż w czasie podróży witano króla wszędzie podrzucaniem czapek do góry. Lecz na wszystkich lśniła odznaka w barwach narodowych, co było jakby wyrzutem, skierowanym przeciwko odznakom białym, przypiętym do kapeluszy gwardii przybocznej i przeciwko samemu królowi.

Pomimo radości i zapału, różnica barw martwiła Billota. Miał on na swym kapeluszu olbrzymią trójbarwną odznakę.

Król nosił przy swoim białą, zatem upodobania króla i poddanego nie były całkiem zgodne. Myśl ta absorbowała Billota tak dalece, iż zwierzył się Gilbertowi w chwili, kiedy ten przestał rozmawiać z królem.

— Panie Gilbert — zapytał — czemu król nie przypiął odznaki narodowej?

— Dlatego, mój drogi Billot, że król albo nie wie o istnieniu nowej odznaki, albo też sądzi, iż jego odznaka winna być również odznaką narodową.

— Wcale nie, gdyż jego odznaka jest biała, a nasza trójkolorowa.

— Chwileczkę — rzekł Gilbert powstrzymując Billota w chwili, gdy ten się już zaperzał — odznaka króla jest biała, podobnie jak chorągiew Francji. Nie ma w tym jego winy. Odznaka i chorągiew były białe na długo przed jego przyjściem na świat. Zresztą, mój drogi Billot, chorągiew wykazała swe męstwo równie, jak i biała odznaka. Miał ją na swym kapeluszu komandor Suffren, zatykając naszą flagę na Półwyspie Indyjskim. Miał ją też Assas, i po niej to Niemcy rozpoznali go nocą, kiedy wolał raczej zginąć niż dopuścić do zaskoczenia swych żołnierzy. Białą odznakę przy kapeluszu nosił marszałek Maurycy Saski, gdy zwyciężył Anglików pod Fontenoy. A wreszcie biała odznaka zdobiła kapelusz Kondeusza, który pobił żołnierzy cesarskich pod Rocroy, Fryburgiem i Lens. Tego to dokonała biała odznaka, drogi mój Billot, jak zresztą wielu innych rzeczy. Tymczasem odznaka narodowa, która może obiegnie cały świat, jak to przepowiedział Lafayette, jeszcze nie zdążyła niczego dokonać, zważywszy, iż istnieje dopiero od trzech dni. Nie mówię, że pozostanie bezczynna, rozumiecie? Ale ostatecznie nic jeszcze nie zdziaławszy daje królowi prawo czekać, aż czegoś dokona.

— Jak to? Odznaka nic jeszcze nie zrobiła? — rzekł Billot. — Czyż nie zdobyła Bastylji?

— Owszem — odparł smutno Gilbert. — Macie rację, Billot.

— Oto dlaczego — podjął triumfalnie dzierzawca — król powinien ją nosić.

Gilbert trącił energicznie Billota łokciem, gdyż zauważył, że król słucha. Potem rzekł szeptem:

— Czyście oszaleli, Billot? A przeciw komu to zdobyto Bastylię? Chyba przeciwko władzy królewskiej! I wy byście chcieli, żeby król nosił trofea waszego triumfu i odznaki swej kłęski. Szalony! Król jest pełen serca, dobroci, szczerości, a wy chcecie zmienić go w obłudnika?

— Przecież — odparł Billot już skromniej, nie poddając się jednak całkowicie — zdobycie Bastylii było ciosem wymierzonym wcale nie przeciwko królowi, lecz przeciwko despotyzmowi.

Gilbert wzruszył ramionami, ale z delikatnością człowieka o wyższej inteligencji.

— Nie — ciągnął dalej Billot z ożywieniem — walczyliśmy nie przeciwko naszemu dobremu królowi, ale przeciwko jego satelitom.

W owych czasach w języku polityków nazywano żołnierzy „satelitami”, podobnie jak w teatrze nazywano konie „rumakami”. — Zresztą — dowodził dalej Billot nie bez pewnej słuszności — król ich potępia, skoro przybył tu, do nas, a jeśli ich potępia, to zgadza się z nami. Pracowaliśmy dla swego szczęścia i dla jego chwały, zdobywcy Bastylii!

— Niestety! — szepnął Gilbert, sam nie wiedząc dobrze, jak pogodzić to, co malowało się na twarzy króla, z tym, co działo się w jego sercu.

Tymczasem Ludwik XVI wśród zmieszanego gwaru po chodu zaczął rozróżniać pojedyncze słowa toczącej się obok dyskusji.

Gilbert, spostrzegłszy zainteresowanie króla, czynił co tylko mógł, aby sprowadzić rozmowę z Billotem na grunt mniej śliski.

Nagle zatrzymano się. Pochód dotarł do Cours-la-Reine, do dawnej bramy Konferencji, na Polach Elizejskich.

Stała tam w pięknym szyku delegacja radnych i ławników, pod przewodnictwem nowego mera, Bailly’ego, wraz z liczącą trzystu ludzi strażą, dowodzoną przez pułkownika. Obok ustawiło się kilkuset członków Zgromadzenia Narodowego, wybranych, jak łatwo się domyślić, spośród trzeciego stanu.

Dwóch radnych wyteżęło wszystkie swe siły, aby utrzymać w równowadze połączoną tacę, na której spoczywały dwa olbrzymie klucze — klucze miasta Paryża z czasów Henryka IV.

Ten imponujący widok położył kres wszystkim rozmowom i każdy w tłumie czy w szeregu przygotowywał się do wysłuchania przemówień, jakie miano z tej okazji wygłosić.

Bailly, dostojny uczony, tęgą astronom, wybrany deputowanym, merem i mówcą, wbrew swej woli, przygotował długą orację powitalną.

W myśli najściślejszych prawideł retoryki początek tej mowy zawierał pochwałę króla, od chwili objęcia władzy przez pana Turgota aż do zdobycia Bastylii. Niewiele nawet brakowało — taki jest przywilej krasomówstwa — aby przypisano królowi inicjatywę wydarzeń.

Bailly był ze swej mowy bardzo zadowolony, kiedy wypadek — Bailly sam o nim opowiada w swoich pamiętnikach — dostarczył mu innego wstępu, o ileż bardziej malowniczego, który zresztą pozostał w pamięci ludu, zawsze skłonny chwytac zdania oparte na rzeczywistym zdarzeniu.

Krocząc wraz z ławnikami i radnymi, Bailly był zakłopotany z powodu niemałej wagi kluczy, które miał ofiarować Ludwikowi XVI.

— Może myślicie — rzekł śmiejąc się — że po okazaniu królowi tego zabytku będę go jeszcze dźwigał z powrotem do Paryża?

— A co pan z nimi zrobi? — zapytał jeden z radnych.

— Co zrobię? — odparł Bailly. — Oddam je wam lub też rzucę do jakiegoś przydrożnego

rowu.

— Niech się pan nie waży! — wykrzyknął zgorszony radny. — Czy pan nie wie że są to właśnie klucze, które ofiarował Paryż Henrykowi IV po oblężeniu? To cenna rzecz, nieoszacowany zabytek!

— Ma pan rację — odparł Bailly. — Klucze ofiarowane Henrykowi IV, zdobywcy Paryża, ofiarowuje się Ludwikowi XVI, który... Och, przecież można to wykorzystać do wcale pięknej antytezy — powiedział do siebie dostojny mer.

Zaraz też, wzięwszy ołówek, napisał u góry, nad przygotowaną mową, taki oto wstęp:

„Najjaśniejszy Panie, przynoszę Waszej Królewskiej Mości klucze zacnego miasta Paryża, te same klucze, które ofiarowano Henrykowi IV. On odzyskał swój lud, dziś lud odzyskał swego króla.”

Zwrot był piękny, celny, wyrył się w pamięci paryżan, i z całej mowy pana Bailly’ego, a nawet z wszystkich jego dzieł, to jedno tylko pozostało.

Ludwik XVI skinął głową na znak aprobaty, zaczerwienił się jednak — odczuł bowiem złośliwą ironię, ukrytą w słowach pełnych szacunku i kwiecistości. A szeptem mruknął do siebie:

— Maria Antonina nie dałaby się zwieść fałszywej czci pana Bailly’ego i odpowiedziałyby zupełnie inaczej niefortunnemu astronomowi.

To właśnie było przyczyną, że Ludwik XVI, zrozumiałwszy zbyt dobrze ukryty sens pierwszych słów pana Bailly’ego, nie słuchał go więcej, podobnie jak nie zwracał uwagi ani na początek, ani na zakończenie mowy pana Delavigne, przewodniczącego radnych.

Kiedy skończyły się przemówienia, król z obawy, aby nie okazać się zanadto uradowanym z usłyszenia tylu przyjemnych rzeczy, odpowiedział z godnością, że hołdy miasta Paryża i radnych sprawiły mu wielką przyjemność.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę Ludwik XVI odprawił swą gwardię przyboczną, aby odwzajemnić się łaskawym za ufaniem za uprzejmość, okazaną mu przez władzę miejską za pośrednictwem radnych i pana Bailly’ego.

Teraz karoca potoczyła się szybciej.

Gilbert wraz z towarzyszącym mu Billotem w dalszym ciągu nie odstępowali drzwiczek z prawej strony.

W chwili gdy powóz przejeżdżał przez plac Ludwika XV, rozległ się strzał po drugiej stronie Sekwany i biały dymek, jak obłok kadzidła, uniósł się w górę.

Gilbert poczuł gwałtowny wstrząs. Przez chwilę zabrakło mu tchu. Podniósł rękę ku piersiom, w których odezwał się dojmujący ból.

Jednocześnie w pobliżu królewskiego pojazdu rozległ się krzyk — upadła jakaś kobieta, przeszyta kulą poniżej prawego ramienia.

Kula trafiła skośnie w jeden z guzików Gilbertowego ubrania. Guzik był z oksydowanej stali, duży i — zgodnie z ówczesną modą — szlifowany.

Odegrawszy rolę zbroi odbił on kulę, która wywołała jedynie wstrząs oraz ból. Czarna kamizelka Gilberta i żabot zostały częściowo zniszczone.

Owa kula, odbiwszy się o guzik doktora, ugodziła właśnie nieszczęsną kobietę, którą pośpiesznie zabrano, okrwawioną i umierającą.

Król słyszał wystrzał, nic jednak nie widział. Nachylił się z uśmiechem ku Gilbertowi mówiąc:

— Strzelają na moją cześć.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odparł Gilbert.

Wolał przemilczeć wobec Jego Królewskiej Mości, co sądzi o urządzonej mu owacji. Musiał jednak w głębi duszy; przyznać, że królowa miała powody do obaw. Gdyby bowiem nie osłaniał

sobą drzwiczek karety, kula, która odbiła się od jego guzika, trafiłaby wprost w króla.

Z czyjej ręki padł ów strzał, tak celnie wymierzony? Nikt wówczas nie starał się dowiedzieć! ... I nie dowiedziano się nigdy.

Billot, blady, nie odrywał oczu od rozdartego stroju Gilberta. Po chwili kazał Pitou wznosić jak najgłośniej okrzyki: „Niech żyje ojciec Francuzów!”

Wydarzenia były jednak tak znamienne, że ten drobny epizod zatarł się szybko w pamięci.

W końcu Ludwik XVI przybył przed Ratusz, powitany na Nowym Moście salwą armatnią.

Na ratuszowej fasadzie widniał napis, złożony z wielkich liter, które wieczorem miały być oświetlone. Napis ten, rezultat długich wysiłków władz miejskich, głosił co następuje:

„Ludwikowi XVI, ojcu Francuzów i królowi wolnego, narodu”.

Jeszcze jedna antyteza, podobna do tamtej z przemówienia pana Bailly’ego, która wprawiła w taki zachwyty zgromadzonych na placu paryżan.

Napis ten przyciągnął wzrok Billota, a że Billot nie umiał czytać, polecił to zrobić Pitou.

Potem prosił o powtórzenie, jakby dobrze nie dosłyszał.

A kiedy Pitou przeczytał znowu treść napisu, nie zmieniając ani słowa, Billot wykrzyknął:

— Więc to tak brzmi?

— Naturalnie — odparł Pitou.

— Władza miejska kazała napisać, że król jest królem wolnego narodu?

— Tak, ojcie Billot.

— A więc — wykrzyknął Billot — skoro naród jest wolny, to ma prawo ofiarować królowi swoją odznakę!

I znalazłszy się jednym skokiem przy Ludwiku XVI, który wysiadał właśnie ze swej karocy na wprost ratuszowych schodów, rzekł:

— Najjaśniejszy Panie, widziałeś, że na Nowym Moście posąg Henryka IV ma narodową odznakę?

— A więc? — zapytał król.

— Więc, Najjaśniejszy Panie, jeżeli Henryk IV nosi narodową odznakę, to i ty także możesz ją nosić.

— Zapewne — rzekł Ludwik XVI zakłopotany — i gdybym ją miał...

— W imieniu ludu — rzekł Billot już głośniej, wznosząc rękę — ofiarowuję ją Waszej Królewskiej Mości i proszę o przyjęcie.

Król był blady. Zaczynał podejrzewać podstęp. Spojrzał na mera Bailly’ego, jak gdyby go pytał.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Bailly — to odznaka każdego Francuza.

— W takim razie przyjmuję — odparł król, biorąc z rąk Billota odznakę. I odłożywszy na bok białą, przypiął do swego kapelusza trójbarwną. Potężne, triumfujące „hura!” wstrząsnęło placem.

Gilbert odwrócił się, do głębi dotknięty. Uważał, że lud zbyt szybko przekracza swe prawa, a król bynajmniej nie opiera się dostatecznie.

— Niech żyje król! — krzyknął Billot, dając w ten sposób sygnał do nowej salwy oklasków.

— Król umarł — szepnęła Gilbert. — Nie ma już króla we Francji.

Tysiąc wyciągniętych szpad utworzyło stalowe sklepienie, od miejsca, gdzie król wysiadał ze swej karocy, aż do sali, gdzie go oczekiwano. Przeszedłszy pod tym sklepieniem, Ludwik XVI zniknął w głębi Ratusza.

— To nie łuk triumfalny — rzekł Gilbert. — To wawóz Kaudyński. — I z westchnieniem dodał: — Ach, co powie królowa!

XXXVIII

CO SIĘ DZIAŁO W WERSALU KIEDY KRÓL SŁUCHAŁ PRZEMÓWIEŃ NA RATUSZU

Na Ratuszu spotkało króla zaszczytne przyjęcie, jako „odnowiciela” wolności. Zaproszony, by również przemówił, Ludwik XVI położył rękę na sercu, mówiąc tylko:

— Możecie, panowie, liczyć zawsze na moją miłość.

A podczas gdy wysłuchiwał na Ratuszu relacji rządowych, „gdyż od tego dnia istniał Już we Francji prawdziwy rząd, ustanowiony obok tronu i Zgromadzenia Narodowego — lud, na zewnątrz, zaznajamiał się z pięknymi końmi królewskimi, złoconą karocą, lokajami i stangretami Jego Królewskiej Mości.

Od chwili wkroczenia króla do Ratusza, Pitou — dzięki otrzymanemu od Billota ludwikowi — zajął się fabrykowaniem z niebieskich, białych i czerwonych wstążek mnóstwa odznak narodowych rozmaitej wielkości, którymi zdobił końskie uszy, uprząż oraz karocę.

Widząc to tłum, porwany instynktem naśladowania, w krótkim czasie zmienił królewską karocę, w istną wystawę odznak.

Stangreta i lokajów również w nie przystrojono.

Ponadto wsunięto do środka powozu kilka tuzinów na zapas.

Przyznać jednak trzeba, że pan de Lafayette, stojący konno na placu, próbował — wprawdzie bezskutecznie — usunąć owych gorliwych propagatorów barw narodowych.

Toteż król, przy wsiadaniu do karocy, widząc tę pstrokaciznę, zawołał:

— Och, och! Potem skinął ręką w stronę pana de Lafayette’a, co miało znaczyć, żeby się zbliżył.

Pan de Lafayette zbliżył się z szacunkiem do króla, opuszczając szpadę.

— Szukałem pana — rzekł Ludwik XVI — aby oświadczyć, że zatwierdzam cię jako dowódcę Gwardii Narodowej.

I wśród powszechnej owacji wsiadł do karocy.

Gilbert, spokojny odtąd o króla, pozostał w sali posiedzeń wraz z radnymi i Bailly m.

Debaty nie były jeszcze zakończone.

Słyszając jednak głośne okrzyki, towarzyszące odjazdowi króla, Gilbert zbliżył się do okna i rzucił ostatnie spojrzenie na plac, ażeby zobaczyć, jak się zachowują Billot i Pitou, ci dwaj wieśniacy. Byli oni nadal, a przynajmniej tak się wydawało, najlepszymi przyjaciółmi króla.

Nagle Gilbert spostrzegł, że przez bulwar Pelletier pędzi galopem pokryty pyłem jeździec, przed którym spokojny tłum z szacunkiem się rozstępuje.

Lud, w dniu tym usłużny i dobry, mówił z uśmiechem:

— Oficer królewski! Oficer królewski!

Witano jeźdźca okrzykami: „Niech żyje król!”, a kobiety głaskały rękami spienionego konia.

Oficer dotarł do karocy i stanął przy jej drzwiczkach w chwili, gdy zamykano je za królem. — A, to pan Charny — rzekł Ludwik XVI.

Ciszej zapytał:

— Jak tam się mają? I szeptem dodał:

— Królowa?

— Bardzo niespokojna, Najjaśniejszy Panie — odparł oficer, wsuwając głowę do środka karety.

— Wraca pan do Wersalu?

— Tak.

— A więc proszę uspokoić naszych przyjaciół, że wszystko odbyło się jak najlepiej.

Charny skłonił się i podniósłszy głowę spostrzegł pana de Lafayette'a, który skinął mu przyjaźnie.

Charny podjechał do niego, Lafayette podał mu rękę i niebawem oficer wraz z koniem został porwany przez tłum i uniesiony w stronę bulwaru, gdzie dzięki karności Gwardii Narodowej tworzył się szpaler wzdłuż drogi, którą przejeżdżał Jego Królewska Mość.

Król rozkazał, aby karoca posuwała się wolno aż do placu Ludwika XV. Zastano tam gwardię przyboczną, która oczekiwała z niecierpliwością powrotu króla. A ponieważ niecierpliwość ta udzieliła się wszystkim, konie biegły coraz szybciej w miarę zbliżania się do Wersalu. Gilbert zrozumiał, co oznacza przybycie tego jeźdźcy, chociaż nie znał go wcale. Domyślał się, ile udręczeń musiała przeżyć królowa — tym bardziej że od trzech godzin nie sposób już było wysłać kuriera do Wersalu, nie budząc w zebranych tłumie podejrzeń, nie zdradzając swej słabości.

Ale doktor nie domyślał się nawet, co działo się w Wersalu. Królowa otrzymała ostatnie wiadomości o królu o godzinie trzeciej.

Gilbert znalazł możliwość wysłania ich w chwili, gdy król przechodząc pod stalowym sklepieniem wkroczył cały i zdrów do Ratusza.

Królowej asystowała hrabina de Charny, która dopiero wstała z łóżka, gdzie poprzedniego dnia zatrzymała ją poważna niedyspozycja.

Hrabina była jeszcze bardzo blada, a oczy miała przymknięte, jak gdyby pod brzemieniem bólu czy wstydu.

Spostrzegłszy hrabinę, królowa uśmiechnęła się owym właściwym osobom panującym uśmiechem z nawyku, który otoczeniu wydaje się banalny na ustach władców.

Potem przejęta radością, że Ludwikowi XVI nie grozi żadne niebezpieczeństwo, rzekła do towarzyszących jej osób:

— Jeszcze jedna dobra wiadomość. O, gdyby cały dzień tak przeszedł.

— Och, Najjaśniejsza Pani — odezwał się któryś z dworzan — Wasza Królewska Mość niepotrzebnie się niepokoi Paryżanie wiedzą zbyt dobrze, jaka na nich ciąży odpowiedzialność.

— Ale czy Wasza Królewska Mość jest pewna tych wiadomości? — wtrącił inny, mniej ufny dworzanin.

— O, tak — odparła królowa. — Ten, co mi je przysłał ręczy swoją głową za króla. Zresztą — to przyjaciel.

— A, jeśli to przyjaciel, to co innego — odparł dworzanin z ukłonem.

Pani de Lamballe, stojąca nie opodal, zbliżyła się w tej chwili do rozmawiających.

— To ten nowy lekarz króla, prawda? — zwróciła się do Marii Antoniny.

— Tak, Gilbert — odparła nieopatrznie królowa, nie zastanawiając się, jak wielki ból mogą sprawić jej słowa.

— Gilbert! — wykrzyknęła Andrea, drżąc cała. — Gilbert przyjacielem Waszej Królewskiej Mości!

Andrea odwróciła się. Jej płonący wzrok zdawał się oskarżać królową.

— Ależ... przecież... — wyrzekła Maria Antonina z wahaniem.

— Och, Najjaśniejsza Pani! — szepnęła Andrea z wyrzutem, pełnym gorczy.

Śmiertelna cisza zaległa pokój.

Wśród tej ciszy rozległy się ściszone kroki w przyległym pokoju.

— Pan de Charny! — rzekła półgłosem królowa, jakby przywołując Andreę do opanowania się.

Charny słyszał i widział wszystko ale nic nie rozumiał. Spostrzegł bladłość Andrei i

zakłopotanie Marii Antoniny. Nie mógł badać królowej, ale Andrea była jego żoną, więc miał prawo zapytać. Zbliżywszy się do niej, powiedział najbardziej przyjacielskim tonem:

— Co się stało, pani?

Andrea z wielkim wysiłkiem opanowała się mówiąc:

— Nic, panie hrabio.

Charny zwrócił się wówczas do królowej, która przy całej pewności siebie i mimo przyzwyczajenia do dwuznacznych sytuacji, nie mogła zmusić się do uśmiechu.

— Wątpiłaś, pani, o przywiązaniu doktora Gilberta — rzekł do Andrei. — Czyżbyś miała jakieś zastrzeżenia co do jego wierności?

Andrea milczała.

— Powiedz, proszę — nalegał Charny. Ale Andrea milczała nadal.

— Och, powiedz, pani — rzekł. — Delikatność tu niewłaściwa. Pomyśl, że idzie o życie naszych władców.

— Nie wiem, panie, dlaczego to mówisz? — odparła Andrea.

— Powiedziałaś, pani... Sam to słyszałem. Odwołuję się zresztą do księżny... — I Charny skłonił się w stronę pani de Lamballe. — Wykrzyknęłaś więc, pani: „O, ten człowiek! Ten człowiek przyjacielem Waszej Królewskiej Mości”!...

— Istotnie, tak powiedziałaś, droga pani — oświadczyła księżna de Lamballe z naiwną dobroduszością, a zbliżywszy się do Andrei, dodała:

— Jeżeli, pani, wiesz cośkolwiek, to pan de Charny ma słuszność.

— Litości, pani, litości! — szepnęła Andrea tak, aby ją mogła usłyszeć tylko księżna.

Pani de Lamballe cofnęła się.

— Och, mój Boże, to drobiazg — rzekła królowa rozumiejąc, że dalsze jej milczenie byłoby wyrazem nielojalności. — Pani hrabina wyraziła obawę raczej nieokreśloną... Jej zdaniem, trudno, aby rewolucjonista z Ameryki, przyjaciel pana Lafayette’a, mógł być naszym przyjacielem.

— Tak, nieokreśloną... — powtórzyła machinalnie Andrea — bardzo nieokreśloną.

— Obawę podobną do tej, jaką wyrazili ci panowie — ciągnęła dalej Maria Antonina, wskazując wzrokiem dworzan, których wątpliwości wywołały właśnie jej uwagę.

Ale to nie wystarczyło, aby przekonać pana de Charny. Zakłopotanie, jakie zastał w chwili przybycia, obudziło w nim podejrzenie jakiejś tajemnicy.

— Mniejsza o to — odparł nie ustępując, — Zdaje mi się, że obowiązkiem pani byłoby dokładniej określić obawę.

— Jak to? — odezwała się królowa dość szorstko. — Wracasz pan jeszcze do tego?

— Najjaśniejsza Pani!

— Przepraszam, ale słyszę przecież, że pan dalej wypytuje panią hrabinę?

— Wybacz, Najjaśniejsza Pani — rzekł Charny — to przez wzgląd...

— Na pana miłość własną, nieprawdaż? Ach, panie de Charny — dodała królowa z ironią, której ciężar hrabia odczuwał w całej pełni. — Powiedz otwarcie: jesteś zazdrosny?

— Zazdrosny! — zawołał czerwieniąc się hrabia. — Ale o co, Wasza Królewska Mość?

— Prawdopodobnie o żonę — ciągnęła królowa zjadliwie.

— Najjaśniejsza Pani! — wyjąkał Charny, oszołomiony tym atakiem.

— To zupełnie naturalne — rzekła oschle Maria Antonina. — Hrabina z pewnością warta jest tego.

Charny spojrział na królowę, jakby ją ostrzegając, że posuwa się zbyt daleko.

Ale był to daremny trud, z chwilą gdy królowa czuła się dotknięta, nic nie mogło jej wstrzymać.

— Tak, rozumiem, panie de Charny, że możesz być zazdrosny, zazdrosny i niespokojny. To zwykły stan duchowy każdej istoty, która kocha.

— Najjaśniejsza Pani! — powtórzył Charny.

— Podobnie i ja — ciągnęła dalej królowa — odczuwam w tej chwili zupełnie to samo, co i pan. Dręczy mnie jednocześnie zazdrość i niepokój. Podkreśliła słowo „zazdrość”. Król jest w Paryżu, a ja tu odchodzę od zmysłów z niepokojem.

— Ale, Najjaśniejsza Pani — rzekł Charny zupełnie zdezorientowany. — Przecież otrzymałaś, pani, wiadomości od króla. Wiadomości są dobre, więc powinny cię uspokoić.

— A pan, hrabio, czy uspokoiłeś się, kiedyśmy informowały cię przed chwilą, hrabina i ja? Charny zagryzł wargi.

Andrea poczęła podnosić głowę, zdumiona tym, co słyszała, przerażona tym, czego się domyślała.

Cisza, która tak niedawno ją otaczała, po pierwszym pytaniu hrabiego de Charny, teraz zapadła wokół Marii Antoniny.

— Istotnie — mówiła dalej królowa, jak gdyby opanowana złością — przeznaczeniem tych, którzy kochają, jest wyłącznie myśl o przedmiocie ich miłości. Jakimż szczęściem byłoby dla ich biednych serc, gdyby potrafili stłumić w sobie dręczące je uczucia. Boże mój, jakżem niespokojna o króla!

— Najjaśniejsza Pani — ośmielił się wtrącić jeden z dworzan — przybędą jeszcze inni kurierzy!

— O, czemuż nie udałam się do Paryża, zamiast być tu taj! Dlaczego nie jestem obok króla? — wykrzyknęła Maria Antonina zauważywszy niepokój pana de Charny od chwili, gdy usiłowała wzbudzić w nim zazdrość, którą sama odczuwała tak gwałtownie.

Charny skłonił się.

— Jeśli o to tylko chodzi, Najjaśniejsza Pani — rzekł — pojedę tam, skoro Wasza Królewska Mość sądzi, że grozi królowi niebezpieczeństwo.

— Panie! O, panie! — wykrzyknęła Andrea, rzucając się w stronę hrabiego. — Bądź ostrożny!

W całej tej scenie brakło jeszcze tylko wybuchu obaw, Andrei.

Toteż skoro tylko hrabina, tak zwykle opanowana i chłodna, wymówiła te nierozważne słowa, świadczące o niezwyklej troskliwości, królowa straszliwie zbladła.

— Jak się to dzieje — rzekła do Andrei — że przywłaszczasz tu sobie, pani, rolę królowej?

— Ja, Najjaśniejsza Pani? — wyjąkała hrabina rozumiejąc, że po raz pierwszy dała wyraz ukrytej namiętności.

— Jak to? — ciągnęła dalej Maria Antonina. — Mąż pani pozostaje w służbie królewskiej i jeśli się naraża, to dla króla. A ty, kiedy idzie właśnie o służbę królewską, zalecasz panu de Charny, żeby się oszczędzał?

Słyszając te pełne jadu słowa, Andrea straciła przytomność, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Charny nie chwycił jej w ramiona.

Pełen oburzenia gest, którego hrabia nie zdołał opanować, pogłębił ostatecznie rozpacz Marii Antoniny, która uważała się tylko za urażoną rywalkę, a okazała się niesprawiedliwą monarchinią.

— Królowa ma słuszość — rzekł wreszcie Charny z wysiłkiem — i wybuch twój, pani hrabino, był nie na miejscu. Nie masz, pani, męża, gdy chodzi o sprawy króla. I ja pierwszy nakazałbym ci hamować swoje uczucia, gdybym spostrzegł, że raczysz żywić o mnie jakiegokolwiek obawy.

Potem zwracając się do Marii Antoniny, powiedział zimno:

— Jestem na rozkazy królowej i wyruszam. Ja sam przy wiozę ci, Najjaśniejsza Pani, wiadomości o królu. Wiadomości dobre lub nie będzie ich wcale.

Po tych słowach skłonił się głęboko i wyszedł, zanim królowa, przejęta grozą i gniewem, mogła pomyśleć o tym, aby go powstrzymać. Po chwili na kamieniach dziedzińca rozległ się tętent ruszającego galopem konia.

Królowa stała nieruchomo, miotana wewnętrznym wzbudzeniem, tym okrutniejszym, iż usiłowała je ukryć. Wszyscy obecni, którzy bądź rozumieli przyczynę tego wzburzenia, bądź jej nie pojmowali, oddalili się, uważając, że monarchini potrzebny jest wypoczynek.

Pozostawiono ją samą.

Hrabina Andrea de Charny opuściła apartamenty wraz z innymi, a Maria Antonina zaczęła tulić i pieścić dzieci, które kazała do siebie przyprowadzić.

XXXIX

POWRÓT

Zapadła noc, niosąca ponure wizje i obawy, gdy nagle na drugim krańcu pałacu rozległy się okrzyki.

Królowa zadrżała i otworzyła najbliższe okno. Prawie w tej samej chwili dworzanie Jej Królewskiej Mości, uniesieni radością, weszli do komnaty wołając:

— Kurier, Najjaśniejsza Pani, kurier!

W trzy minuty później jakiś huzar wpadł do przedpokoju, Był to porucznik, wyprawiony przez pana de Charny, Przybył on z Sèvres galopem, — A król? — zapytała Maria Antonina.

— Jego Królewska Mość będzie tu za kwadrans — odparł oficer, nie mogąc złapać tchu, — Cały i zdrow? — zapytała królowa, — Cały, zdrow i uśmiechnięty, Najjaśniejsza fani, — Widziałeś go pan, prawda?

— Nie, Najjaśniejszą Pani, Ale pan de Charny mówił mi to, gdy mnie wysyłał.

Królowa zadrżała na dźwięk tego nazwiska, które przy padek łączył z imieniem królewskim, — Dziękuję. Wypocznij pan — rzekła królowa do młodego szlachcica.

Oficer skłonił się i wyszedł, Maria Antonina, trzymając za ręce swoje dzieci, skierowała się na wielki taras, gdzie zebrali się już wszyscy dworzanie i służba. Królowa dostrzegła na pierwszym stopniu młodą kobietę w bieli. Wsparta na kamiennej balustradzie zagłębiała w mrokach nocy niecierpliwe spojrzenie.

Była to Andrea, Ona, która tak skwapliwie stawała u boku królowej, nie zauważyła jej widocznie lub też udawała, że jej nie widzi. Czując się zapewne dotknięta, porywczoscią Marii Antoniny, która sprawiła jej w ciągu dnia tyle cierpień. A może też, pochłonięta do głębi własnymi uczuciami, wypatrywała powrotu męża, któremu dała dowody serdecznej troskliwości.

Królowa odczuła to jak podwójne pchnięcie sztyletu, zatopionego w broczącej jeszcze ranie. Toteż słuchała z roztargnieniem powinszowań i objawów radości otaczających ją przyjaciół i dworzan.

Po chwili jednak Maria Antonina zapomniała o dręczącym ją zmartwieniu. Mijał niepokój, jaki obudziła w jej sercu podróż króla, któremu zagrażało tylu wrogów. I siłą woli królowa odrzuciła od siebie wszystkie nieszlachetne uczucia. Złożyła ofiarę z gniewu I tajemnej radości na ołtarzu świętej przysięgi małżeńskiej. Bóg niewątpliwie zsyłał jej kojącą, zbawienną możność kochania nade wszystko króla — jej małżonka.

W tej chwili przynajmniej — czuła to albo tak jej się wydawało — duma królewska wyniosła ją ponad wszelkie namiętności ziemskie, miłość do króla była jej egoizmem.

Odrzuciła więc od siebie i drobne urazy kobiece, i płochą kokieterię kochanki, gdy w głębi alei ukazały się pochodnie eskorty. Światła te stawały się z każdą chwilą wyraźniejsze. Słysząc było rżenie i parskanie koni. Wśród nocnej ciszy ziemia drżała pod miarowym tętentem galopujących szwadronów. Rozwarły się kraty, warty rzuciły się na powitanie króla, wznosząc tysięczne okrzyki radości.

Ołśniona, zachwycona, oczarowana, upojona wszystkim, co ponownie przeżyła i odczuła, królowa zbiegła po stopniach na spotkanie króla.

Wysiadłszy z karocy, Ludwik XVI wchodził szybko po schodach, w otoczeniu swych oficerów, do głębi przejętych wydarzeniami. Tymczasem na dole gwardziści, zmieszani ze stajennymi i koniuszymi, zrywali z karoc i uprząży wszystkie odznaki, w jakie je ustroił entuzjizm paryżan.

Król i królowa spotkali się na marmurowym podeście. Maria Antonina radośnie, z okrzykiem miłości, uścisnęła króla kilka razy. Szlochała, jakby odzyskując małżonka, gdyż nie miała prawie nadziei, że go jeszcze zobaczy. Oddana całkowicie temu uczuciu, nie zauważyła milczącego uścisku rąk, jaki zamienili w cieniu Charny i jego żona. Był to tylko uścisk ręki, ale Andrea znalazła się pierwsza na dole — ją to Charny ujrzał i powitał najwcześniej.

Królowa przyprowadziła dzieci i król je ucałował. Delfin zaś ujrawszy na „ojcowskim kapeluszu nową odznakę, na którą pochodnie rzucały krwawy odblask, zawołał z dziecięcym zdziwieniem:

— O, tatusiu! Czy ty masz krew na swoim kapeluszu?

Była to czerwień narodowa.

Królowa spojrzała i wydała okrzyk. Król pochylił głowę, aby ucałować córkę, w istocie zaś, by ukryć wstyd.

Maria Antonina gwałtownie zerwała odznakę, nie zastanawiając się, że rani w ten sposób serce narodu, który pewnego dnia potrafi się zemścić.

— Wyrzuć to, Najjaśniejszy Panie — rzekła — wyrzuć!

I cisnęła odznakę na stopnie schodów, gdzie została rozdeptana nogami świty, odprowadzającej króla do jego apartamentów.

To szczególne wydarzenie zgasiło cały entuzjazm królowej dla męża. Niechęć poszukała wzrokiem pana de Charny, który trwał na swoim miejscu jak żołnierz.

— Dziękuję panu — rzekła, kiedy po chwili wahania ze strony hrabiego spotkały się ich spojrzenia. — Dziękuję..; Dotrzymał pan swojego przyrzeczenia.

— Do kogo mówisz, pani? — zapytał król.

— Do pana de Charny — odparła odważnie.

— Tak, biedny Charny, dobrze się napracował, zanim dotarł do mnie. Ale gdzie Gilbert, nie widzę go — dodał.

Królowa, nauczona doświadczeniem ostatniego wieczoru, zmieniła temat rozmowy:

— Chodźmy na kolację, Najjaśniejszy Panie. A ty, hrabio de Charny, poszukaj hrabiny — ciągnęła dalej. — Niech przyjdzie z panem, zjemy wieczerzę w rodzinnym gronie.

Ostatnie słowa powiedziała tonem królowej. Westchnęła jednak spostrzegłszy, że Charny, smutny dotąd, znów się rozweselił.

XL FOULON

Billot pławił się w radości.

Zdobył Bastylię, przywrócił wolność Gilbertowi, został wyróżniony przez Lafayette'a, który nazywał go po imieniu. Wreszcie widział pogrzeb Foulona.

Niewielu ludzi otaczała w owych czasach taka nienawiść, jak Foulona. Może tylko jego zięć, pan Berthier de Sauvigny mógł z nim rywalizować. Ale nazajutrz po wzięciu Bastylli obydwóm poszczęściło się: Foulon umarł, Berthier zaś ukrył się.

Foulon osiągnął szczyt niepopularności, kiedy po dymisji pana Neckera zajął miejsce tego cnotliwego genewczyka, jak go wówczas nazywano, i był w ciągu trzech dni generalnym kontrolerem.

Toteż tłum święcił pogrzeb Foulona tańcami i śpiewem. Zamierzano nawet wyciągnąć nieboszczyka z trumny i powiesić go. Ale Billot wszedł na kamienny słupek, wygłosił mowę o czci dla zmarłych i karawan potoczył się dalej.

Pitou tymczasem stał się bohaterem.

Pitou był przyjacielem pana Elie i Hullina, którzy obarczali go swymi poleceniami. Był ponadto zaufanym Billota i często dzięki szerokim plecom i herkulesowym pięściom pełnił straż przy Lafayecie.

Od czasu podróży króla do Paryża, Gilbert, zapoznawszy się przez pana Neckera z najwybitniejszymi przedstawicielami Zgromadzenia Narodowego i rady miejskiej, pracował bez wytchnienia nad rozwojem wydarzeń rewolucyjnych.

Zaniedbywał więc Billota i Pitou, oni zaś, zostawieni sami sobie, brali gorliwy udział w mieszczańskich zebraniach, na których roztrząsano kwestie wyższej polityki.

Pewnego dnia Billot przemawiał przez trzy godziny do wyborców na temat zaopatrzenia Paryża w żywność i zmęczony gadaniem, ale dumny z tytułu mówcy, rozkoszował się wypoczynkiem pośród monotonnego gwaru przemówień swych następców. Raptem przybiegł Pitou wielce przejęty, wśliznął się niby węgorz do sali konferencyjnej i głosem wzruszonym, który pozostawał w rażącej sprzeczności ze zwykłym mu spokojem, rzekł:

— Och, panie Billot! Drogi panie Billot!

— Cóż tam?

— Wielka nowina! — Dobra nowina?

— Wspaniała nowina!

— Cóż takiego?

— Czy pan wie, że byłem w Klubie Cnót, koło roгатki Fontainebleau?

— Tak. No i cóż?

— Słyszałem tam rzecz niezwykłą.

— Jaka?

— Czy pan wie, że ten zbrodniarz Foulon udał, że umarł i kazał się niby pochować.

— Jak to! Podał się za nieboszczyka? Dalibóg, przecież on umarł, skoro widziałem jego pogrzeb!

— A więc, panie Billot, Foulon żyje!

— Żyje?

— Żyje! Jak pan i ja!

— Zwariowałeś!

— Drogi panie Billot, wcale nie zwariowałem. Zdrajca Foulon, wróg ludu, pijawka Francji, spekulant — nie umarł!

— No, przecież ci mówię, że go pochowano po ataku apopleksji, przecież powtarzani, że widziałem pogrzeb, a nawet przeszkodziłem wyciągnięciu nieboszczyka z trumny, bo go chciano powiesić! — A ja właśnie widziałem go żywego, ot!

— Ty?

— Jak tu pana widzę, panie Billot. Zdaje się, że umarł jeden z jego służących, któremu ten łotr kazał sprawić arystokratyczny pogrzeb. Ale wszystko się wydało! On to zrobił ze strachu przed zemstą ludu.

— Opowiedzże mi wszystko, Pitou.

— Wyjdźmy na chwilę do przedsionka, panie Billot. Tam nam będzie wygodniej.

Opuścili salę i przeszli do przedsionka.

— Najpierw trzeba się dowiedzieć — rzekł Pitou — czy; jest tu pan Bailly.

— Mówże! On tu jest.

— Dobrze. Byłem w Klubie Cnót, gdzie słuchałem przemówienia jednego patrioty. Tego, co tak kiepsko mówi po francusku! Widać było od razu, że nie pobierał nauk u księdza Fortiera.

— Dalejże! — wtrącił Billot. — Wiesz chyba, że można być dobrym patriotą, a nie umieć ani czytać, ani pisać.

— To prawda — odparł Pitou. — Nagle przybiegł jakiś zdyszany człowiek, wołając: „Zwycięstwo! Zwycięstwo! Foulon wcale nie umarł. Foulon żyje! Ja go odkryłem, ja go odnalazłem!”

Ale ludzie nie chcieli wierzyć, tak jak i wy, ojczy Billot. Jedni mówili: „Co, Foulon?” Inni wołali: „E, tam! Cóż znowu!” Jeszcze inni powiadali: „No więc, skoro już tam byłeś, trzeba ci było wysledzić i jego zięcia Berthiera!”

— Berthier! — wykrzyknął Billot.

— Tak, Berthier de Sauvigny, Wie pan, ten intendent z Compiègne, przyjaciel pana Izzydora de Charny.

— Owszem... Ten, co był taki twardy dla wszystkich, a taki miękki dla Katarzyny.

— Właśnie — przytwardził Pitou. — Ohydny poborca „podatków, druga pijawka ludu francuskiego, zakała rodzaju ludzkiego, jak mówi cnotliwy Loustalot...

— Dalej! Dalej — niecierpliwił się Billot.

— To prawda — powiedział, Pitou. — *Ad eventum festina*, co znaczy, drogi panie Billot: pośpiesz się z rozwiązaniem. A więc dalej to było tak. Ten człowiek wpada zdyszany do Klubu Cnót, krzycząc: „Znalazłem Foulona, znalazłem go!” No i zaraz wybuchł wielki krzyk.

— Mylił się — rzekł z uporem Billot.

— Ależ nie, bo go sam widziałem.

— Widziałeś go, Pitou?

— Na własne oczy. Poczekaj pan...

— Czekam, ale jak na rozżarzonych węglach.

— O, słuchaj pan przecież... Mnie też dosyć gorąco... Powiadam więc, że chciał uchodzić za nieboszczyka, a zamiast siebie kazał pochować jednego ze swych lokajów. Na szczęście, Opatrzność czuwała.

— No, no Opatrzność! — przerwał sceptycznie filozof Billot.

— Chciałem powiedzieć naród — podjął pokornie Pitou. — Ten poczciwy obywatel, zdyszany patriota, rozpoznał go w Viry, gdzie tamten się ukrywał.

— O!... O!

— A rozpoznawszy go, zaraz dał znać, a syndyk, niejaki pan Rappe, kazał go natychmiast

aresztować.

— A jak się nazywa ten dzielny patriota, który zdobył się na tak odważny czyn?

— Na zadenuncjowanie Foulona?

— Tak!

— Nazywają go panem Saint-Jean.

— Saint-Jean... Przecież to nazwisko lokaja.

— No... To właśnie lokaj tego łotra Foulona. Dobrze ci tak, arystokrato! Dlaczego trzymasz lokajów?

— Zaciekawiasz mnie, Pitou — rzekł Billot, zbliżając się do opowiadającego.

— Jest pan bardzo dobry, panie Billot. Otóż Foulon jest już aresztowany. Prowadzą go do Paryża. Denuncjator wyprzedził ich, ażeby oznajmić nowinę i otrzymać nagrodę za swój czyn, tak że Foulon przybył na roгатkę w chwilę potem.

— I tam go widziałeś?

— Tak... Głupią miał minę, dalibóg. Zamiast krawata włożono mu naszyjnik z pokrzyw.

— Dlaczego z pokrzyw?

— Dlatego, że ten łotr powiedział podobno, iż chleb jest dla panów, siano dla koni, a pokrzywy dla chamów.

— On to powiedział, ten nędznik?

— Dalibóg, powiedział to, panie Billot.

— No, masz! Nauczyłeś się już kląć.

— Ech — rzekł Pitou niedbale — między nami, wojskowymi! Słowem, szedł na piechotę, a przez całą drogę bito go po krzyżu i po głowie.

— O, o! — wtrącił Billot z nieco mniejszym entuzjazmem.

— To było bardzo zabawne — ciągnął dalej Pitou. — Ale cóż, nie każdy mógł go uderzyć, no bo było tam więcej niż dziesięć tysięcy ludzi.

— I co dalej? — spytał Billot, zamyślając się.

— Ano, zaprowadzono go do naczelnika okręgu Saint-Marcel... Swój chłop, wie pan.

— Tak, pan Acloque.

— Cloque? O, właśnie tak! A ten nakazał zaprowadzić go do Ratusza, bo nie wiedział, co z nim począć. No i w ten sposób pan go zobaczy.

— A czemuż to ty przynosisz tę nowinę, a nie ów słynny Saint-Jean?

— Bo ja mam nogi dłuższe o sześć cali niż on. On wyruszył przede mną, ale go dogoniłem i prześcignąłem. Chciałem pana zawiadomić, abyś dał znać panu Bailly'emu.

— Ale masz szczęście, Pitou.

— Jutro będę miał jeszcze większe.

— Skąd możesz o tym wiedzieć?

— Bo ten sam Saint-Jean, który zadenuncjował pana Foulona, miał zamiar pochwycić jeszcze pana Berthiera, który uciekł.

— On wie, gdzie się znajduje?

— Tak, był to podobno ich zaufany, ten Saint-Jean. I dostał dużo pieniędzy od teścia i zięcia, którzy chcieli go przekupić.

— I wziął te pieniądze?

— Naturalnie... Pieniądze od arystokratów zawsze trzeba brać. Ale powiedział: „Dobry patriota nie zdradza ojczyzny dla pieniędzy”.

— Tak — szepnął Billot. — Zdradza tylko swych panów. Wiesz, Pitou, zdaje mi się, że ten twój Saint-Jean to musi być wielki łotr.

— Możliwe, ale mniejsza o to. Pochwyci się pana Berthiera, tak jak się pochwyciło pana

Foulona. I powiesi się ich obu naprzeciwko siebie. Dopiero wykrzywią się paskudnie patrząc na siebie, co?

— A czemuż to ma się ich powiesić? — zapytał Billot.

— No, bo to przecież zbrodniarze!

— Pan Berthier, który przyszedł na nasz folwark... Pan Berthier, który w czasie swych wędrówek po Ile-de-France pił u nas mleko, a Katarzynie przysłał z Paryża złote kolczyki... O, nie, nie! Nie powiesi się go.

— Ech! — zawołał z wściekłością Pitou. — To arystokrata, bałamut!

Billot patrzył na Pitou w osłupieniu. Pod wpływem jego wzroku Pitou zaczerwienił się aż po białka oczu.

Nagle zacny wieśniak spostrzegł pana Bailly'ego, który po zakończeniu rozpraw przechodził z sali do swego gabinetu. Podbiegł ku niemu i oznajmił nowinę.

Teraz Billot spotkał się z kolei z niedowierzaniem.

— Foulon? Foulon? — wykrzyknął mer — Szaleństwo!

— Właśnie, panie Bailly — rzekł dzierżawca — Pitou go widział.

— Widziałem go, panie Bailly — oświadczył z ukłonem Pitou, kładąc rękę na sercu.

I opowiedział panu Bailly'emu całą historię. Wtedy biedny Bailly zbladł, zdając sobie sprawę z rozmiaru katastrofy.

— I pan Acloque przysyła go tutaj? — szepnął.

— Tak, panie merze.

— Ale jak, w jaki sposób?

— O, proszę być spokojnym — rzekł Pitou, który źle zrozumiał niepokój pana Bailly'ego.. — Ludzie pilnują więźnia, nikt go w drodze nie odbije.

— Dałby Bóg, żeby go odbili — szepnął Bailly. A odwróciwszy się do Pitou zapytał: — Ludzie... co rozumiesz przez to, mój przyjacielu? — No, rozumiem lud!

— Lud?

— Przeszło dwadzieścia tysięcy, nie licząc kobiet — odparł z triumfem Pitou.

— Nieszczęsny! — wykrzyknął Bailly. — Panowie! Panowie radni!

Piskliwym, przerażonym głosem wezwał do siebie wszystkich ławników. Podczas jego opowiadania rozległy się okrzyki przerażenia i trwogi. Potem zapanowała cisza pełna grozy i w tej samej chwili dał się słyszeć daleki, zmieszany hałas, podobny do szumu krwi w uszach chorego.

— Co to takiego? — zapytał jeden z radnych.

— Do pioruna, to wrzawa tłumu... — odparł drugi. Nagle jakiś powóz zajechał na plac. Wysiedli z niego dwaj zbrojni ludzie i wyprowadzili trzeciego, który był blady i drżący.

Za powozem, prowadzonym przez Saint-Jeana, biegło ze stu wyrostków. Biegając krzyczeli; „Foulon! Foulon!”

Dwaj uzbrojeni ludzie, wyprzedzając ich o kilka kroków, znaleźli jednak czas, aby wepchnąć Foulona do Ratusza, którego bramy zamknięto przed ulicznikami, zgromadzonymi na zewnątrz.

— No, nareszcie mamy go — rzekli do radnych, oczekujących na górze. — Do kata, nie przyszło to łatwo.

— Panowie! Panowie! — wykrzyknął Foulon, drżąc cały. — Ratujcie mnie!

— A, panie — odparł Bailly z westchnieniem — jesteś wielkim winowajcą!

— Mam jednak nadzieję, że znajdzie się sprawiedliwość, aby mnie obronić? — zapytał Foulon coraz bardziej przerażony.

W tej samej chwili wzmogła się wrzawa na zewnątrz.

— Ukryjcie go szybko! — zawołał Bailly do otaczających go ludzi — bo inaczej... — A

zwróciwszy się do Foulona rzekł: — Posłuchaj pan, sytuacja jest tak poważna, że musimy się naradzić. Czy chcesz spróbować ucieczki tylnym wyjściem Ratusza? Może jest jeszcze czas...

— O, nie! — wykrzyknął Foulon. — Poznają mnie i zamordują.

— Woli pan zostać z nami? Ja i ci panowie zrobimy wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy, aby pana obronić. Nieprawdaż, panowie?

— Przyrzekamy! — krzyknęli jednogłośnie radni;

— Och, wolę zostać tutaj. Nie opuszczajcie mnie, panowie!

— Powiedziałem już — odparł z godnością Bailly — że uczynimy wszystko, co będzie w ludzkiej mocy, aby pana ocalić.

W tej samej chwili wybuchła na placu wielka wrzawa, która wdarła się przez otwarte okna do Ratusza.

— Słyszycie, panowie — szepnął Foulon blednąc. Rzeczywiście — ze wszystkich ulic prowadzących do Ratusza, a zwłaszcza z bulwaru Pelletier i ulicy Vannerie, nacierał wyjący tłum, budząc grozę.

Bailly zbliżył się do okna.

Oczy, noże, piki, kosy i muszkiety błyszczały w słońcu. W niespełna dziesięć minut wielki plac zappełniły tłumy. Był to właśnie ów towarzyszący Foulonowi „orszak”, o którym mówił Pitou. Powiększali go jeszcze ciekawi, którzy słysząc jakiś hałas, biegli w stronę placu Greve. Wszystkie te głosy, a było ich ponad dwadzieścia tysięcy, wołały:

— Foulon! Foulon!

Wtedy to wyrostki, stanowiące awangardę wyjącego tłumy, wskazały im bramę, którą wprowadzono Foulona. W jednej chwili tłum rzucił się ku bramie i zaczął ją rozwalać uderzeniami drągów i kolbami fuzji.

Po chwili brama ustąpiła, ale atakujący cofnęli się zrazu przed najeżonymi bagnietami straży ratuszowej, która stała na schodach w wyczekującej postawie. Zresztą oficerowie, zamiast grozić, przemawiali życzliwie do tłumy, próbując go uspokoić. Bailly tracił głowę. Biedny astronom znalazł się po raz pierwszy wobec rozwścieczonych mas.

— Co robić? — zapytywał radnych. — Co robić?

— Sądzić go! — zawołało kilkanaście głosów.

— Nie można nikogo sądzić pod naciskiem tłumy — odparł Bailly, — Cóż! — rzekł Billot. — A czy macie dość wojska, aby się bronić?

— Mamy zaledwie dwustu ludzi. — W takim razie trzeba posiłków.

— Och, gdyby można było uprzedzić pana Lafayette’a! — wykrzyknął Bailly.

— To go uprzedźcie!

— Któż to zrobi? Kto się przedrze przez to mrowie ludzkie?

— Ja! — odparł Billot, zmierzając ku wyjściu. Bailly powstrzymał go.

— Szalony! — rzekł. — Spójrz na ten ocean. Przecież cię pochłonie pierwsza z brzegu fala. Jeśli chcesz dotrzeć do pana de Lafayette’a, za co ja nie odpowiadam, musisz wyjść tylnymi drzwiami. Ruszaj pan.

— Dobrze! — odparł krótko Billot. I popędził jak strzała.

XLI

TEŚĆ

Tymczasem na placu ogarniała ludzi coraz większą gorączka, o czym świadczyła wciąż rosnąca wrzawa. Nie była to już nienawiść, ale wściekłość.

Okrzyki: „Precz z Foulonem! Śmierć Foulonowi” krzyżowały się jak pociski podczas bombardowania. Wzbierający tłum coraz gwałtowniej nacierał na straż, stojącą na stanowiskach.

W tłumie tym zaczynały już krążyć i potężnieć okrzyki, otwarcie nawołujące do gwałtu. Głosy te groziły już nie tylko Foulonowi, lecz i broniącym go radnym.

— Dali uciec więźniowi! — wołali jedni.

— Wejdźmy! Wejdźmy — krzyczeli inni — Podpalmy Ratusz!

— Naprzód! Naprzód!

Bailly zrozumiał, że skoro pan Lafayette nie przybywa, pozostało tylko jedno aby radni wyszli na plac i zmieszawszy się z tłumem, próbowali go uspokoić.

— Foulon! Foulon!

Był to nieustający krzyk tej rozszalałej masy ludzkiej.

— Panie — rzekł Bailly do Foulona — jeśli nie pokażesz się tłumowi, ludzie pomyślą, żeśmy ci dali umknąć. Jeśli zaś tu wtargną, nie odpowiadam za nic.

— O, nie wiedziałem, że jestem tak znienawidzony — rzekł Foulon, opuszczając bezwładnie ramiona.

I podtrzymywany przez mera powlókł się do okna.

Na jego widok rozległ się na placu straszliwy krzyk. W jednej chwili straż została przyciśnięta do muru i potok ludzki wdarł się do wewnątrz budynku, zalewając schody, korytarze i sale. Wtedy Bailly otoczył więźnia całą strażą, jaką dysponował, i zaczął przemawiać do tłumu.

Chciał wytłumaczyć tym ludziom, że mord bywa czasem usprawiedliwiony, nigdy jednak jest wymiarem sprawiedliwości. Po niesłychanych wysiłkach osiągnął cel, narażając dwudziestokrotnie własne życie.

— Tak! Tak! — krzyknęli napastnicy. — Niech go sądzą, niech go sądzą! Ale muszą go powiesić.

Pertraktowali w ten sposób, kiedy do Ratusza przybył pan Lafayette, prowadzony przez Billota.

Widok jego trójkolorowego pióropusza stłumił od razu krzyki i gniew. Naczelnny dowódca Gwardii Narodowej kazał zrobić przejście i powtórzył jeszcze energiczniej niż Bailly to, co tamten przedtem powiedział.

Jego przemówienie wywarło wrażenie na wszystkich zebranych i sprawa Foulona w sali radnych zakończyła się na razie sukcesem.

Ale na zewnątrz dwadzieścia tysięcy ludzi, opanowanych wściekłością, nie słyszało pana Lafayette’a.

— A więc — zakończył Lafayette, sądząc, iż jego słowa dotrą także do tłumów przed Ratuszem — tego człowieka należy postawić przed sądem,:

— Tak! — krzyczał tłum.

— A zatem rozkazuję, aby go zaprowadzono do więzienia — ciągnął dalej Lafayette.

— Do więzienia! Do więzienia! — zawył tłum. Jednocześnie generał dał znak i straż ratuszowa z lekka popchnęła Foulona do przodu. Tłum zrozumiał to na swój sposób, że oddają mu zdobycz. Nie wyobrażał sobie nawet, że ktoś mógłby to kwestionować. Czuł już — można by

rzec zapach świeżej krwi.

Billot z merem i kilkoma radnymi stanął w oknie, aby widzieć plac, przez który miał przejść więzień pod eskortą straży.

Foulon daremnie rzucał w tłum tu i ówdzie tchórzliwe słowa, źle maskowane zapewnieniami o zaufaniu.

— Szlachetny ludu — mówił schodząc na dół — nie lękam się niczego... Jestem wśród swoich współobywateli.

Ale wokół niego już krzyżowały się szydercze obelgi. Gdy zaś Foulon wydostał się spod ciemnego sklepienia na świeże powietrze, ukazując się w blasku słońca, tłum powitał go okrzykami wściekłości i nienawiści, które wydarły się od razu z dwudziestu tysięcy piersi. Straż w jednej chwili została odsunięta i rozproszona. Tysiąc ramion chwyta Foulona, porywa i niesie pod latarnię, tę haniebną i ohydną szubienicę, którą lud w swojej furii nazwał narzędziem sprawiedliwości.

Stojący w oknie Billot widział wszystko i wraz z radnymi na próżno usiłował krzykiem podniecić straż do obrony.

Lafayette, zrozpaczony, wybiegł z Ratusza, ale nie mógł przedrzeć się przez zwartą masę ludzką, kotłującą się niby spienione jezioro między nim i latarnią.

Zwykli widzowie wchodzili na słupki, aby lepiej widzieć, czepiali się okien, wykuszów u budynków, wszelkich nierówności, jakie tylko im się trafiały, podsycając krzykiem wściekłe podniecenie głównych podżegaczy.

Tłum zaś igrał ze swoją ofiarą, jak stado tygrysów z bezbronną zdobyczą.

Wszyscy wydzierali sobie Foulona. W końcu zrozumiano, że chcąc rozkoszować się jego agonią, trzeba podzielić się rolami, gdyż w przeciwnym razie ofiara zostanie rozszarpana na kawałki.

Jedni wlekli Foulona, który nie miał już siły krzyczeć.

Inni — zdarłszy mu krawat i szarpiąc ubranie, zakładali mu sznur na szyję.

Inni jeszcze, wdrapawszy się na latarnię, przerzucali ten sznur, który ich koledzy założyli eksministrowi.

Na chwilę uniesiono Foulona w górę i pokazano tłumowi — z powrozem na szyi i związanymi z tyłu rękami.

A kiedy tłum napatrzył się już do syta skazańcowi, dano sygnał. Bładego i pokrwawionego dźwignięto na wysokość żelaznej poprzeczki latarni, wśród szyderczych i straszliwych wrzasków.

Ci, którzy dotychczas nic nie mogli zobaczyć, ujrzeli go wreszcie, zawisłego ponad tłumem.

Rozległy się nowe okrzyki, tym razem skierowane przeciw; katom. Nie chciano, by Foulon umierał tak szybko. Kaci wzruszyli ramionami, poprzestając tylko na pokazaniu sznura

Sznur był już mocno wystrzępiony. Rozpaczliwe zaś ruchy, Foulona w przedśmiertnej agonii jeszcze bardziej go nadwątliły. Sznur pękł, i Foulon, na pół uduszony, runął na bruk.

Był to dopiero początek jego męczarni, zaledwie przedśmionek śmierci.

Wszyscy rzucili się ku skazańcowi. Byli spokojni, że już im nie umknie: padając złamał sobie nogę poniżej kolana

Jednakże dały się słyszeć przekleństwa i obelgi. Oskarżano katów o brak zręczności — ich, tak przemyślnych ich, którzy specjalnie wybrali powróż stary i zniszczony, w nadziei, że się zerwie.

Nadzieja ta, jak się okazało, nie zawiodła.

Związano pętlę i założono ją ponownie nieszczęśliwemu na szyję. Półżywy, rzeżąc, rozglądał się błędnym wzrokiem dokoła, czy w mieście, zwanym środkiem cywilizowanego świata, choćby

jeden ze stu tysięcy bagnetów króla, którego był ministrem, zrobi wyłom w tej hordzie okrutników. Ale widział dokoła siebie tylko nienawiść i śmierć.

— Zabijcie mnie, na litość! — krzyknął zrozpaczony Foulon.

— Patrzaj no — odezwał się jakiś głos. — A dlaczego mielibyśmy skrócić twoje męki? Tyś się nad nami pastwił dostatecznie długo.

— A zresztą — rozległ się inny — nie miałeś jeszcze czasu strawić pokrzyw.

— Poczekajcie! Poczekajcie! — krzyknął trzeci. — Przyprawimy tu jego zięcia. Jest miejsce na latarni naprzeciwno!.

— Zobaczmy, jakie też miny będą mieli zięć i teść — dodał ktoś.

— Dobijcie mnie! Dobijcie! — wołał nieszczęśliwy. Tymczasem Bailly i Lafayette również prosili, błagali, krzyczeli, usiłując przebić się przez tłum. Nagle Foulona wciągnięto powtórnie do góry. Sznur znowu pęka, a błagalne prośby tamtych, jak i jęki skazańca giną wśród ogólnego śmiechu, którym powitano ten drugi upadek.

Nikt absolutnie nie słucha Bailly'ego i Lafayette'a, trzy dni przedtem wszechwładnie panujących nad sześciuset tysiącami paryżan. Słysząc pomruk: „Przeszkadzają, przerywają widowisko”.

Na próżno Billot usiłuje użyć swej siły. Jego ramiona obaliły dwudziestu ludzi, lecz aby dotrzeć do Foulona, należałoby zgnieść pięćdziesięciu, stu, dwustu. A jest już u kresu sił, i w chwili gdy przystanął, chcąc otrzeć pot, spływający mu wraz z krwią z czoła, Foulon po raz trzeci zawisł na latarni. Tym razem zlitowano się nad nim — znaleziono nowy sznur. Wreszcie skazaniec został uduszony. Ofiara przestała cierpieć.

Tłum stwierdził od razu, że iskra życia w niej zagasła. Teraz, gdy tygrys uśmiercił swój łup, może go jeszcze rozszarpać. Trup, spuszczonej z latarni, nie zdążył dotrzeć do ziemi, gdy rozdarto go na strzępy.

W jednej chwili odrąbano głowę od tułowia i zatknęto na pikę. W owych czasach w modzie było obnosić w ten sposób głowę wroga.

Widok głowy Foulona przeraził Bailly'ego — wydawała mu się głową starożytną Meduzy.

Lafayette, blady, ze szpadą w ręku, z odrazą odsuwał od siebie straż, która starała usprawiedliwić się z własnej bezsilności.

Billot, tupiąc ze złości nogami, miotał się na prawo i lewo jak nieposkromiony perszeron, a wreszcie wrócił do Ratusza, aby nie widzieć tego, co się działo na placu.

Pitou zaś — ten syn ludu, w którym uczucie zemsty ustąpiło miejsca przerażeniu, dotarłszy nad brzeg rzeki, zamknął oczy i zatkał sobie uszy, aby nic nie widzieć i nic nie słyszeć.

W Ratuszu zapanowało ogólne przygnębienie. Radni zaczęli rozumieć, że stracili panowanie nad ludem.

Nagle, kiedy rozszalały tłum wleczło ciało Foulona w stronę rzeki, nowy okrzyk grozy rozlega się za mostem.

Nadbiega kurier. Tłum wie już, z jaką przybywa on nowiną. Odgadł ją z ruchów swych prowodyrów, podobnie jak sfora psów wpada na trop, idąc za najlepszym z ogarów.

Tłum pędzi w stronę kuriera. Otacza go, czuje, że przynosi wiadomość o nowej zdobyczy, wietrzy, że idzie tu o pana Berthier. Tak było istotnie.

Zapytywany naraz przez dziesięć tysięcy ciekawych, kurier odpowiada:

— Pan Berthier de Sauvigny został aresztowany w Compiègne.

Potem wbiega do Ratusza, oświadczając to samo panom Lafayette owi i Bailly'emu.

— Dobrze, dobrze, wiedziałem już o tym — mówi Lafayette.

— Wiedzieliśmy — rzekł Bailly — i wydano rozkazy, ażeby go tam zatrzymano.

— Tam? — powtórzył kurier.

— Tak jest. Posłałem dwóch komisarzy, z odpowiednią eskortą.

— Eskorta złożona z dwustu pięćdziesięciu ludzi to więcej niż potrzeba, nieprawdaż? — wtrącił jeden z radnych.

— Panowie — rzekł kurier — oto, co chcę wam zakomunikować. Tłum rozproszył eskortę i uprowadził więźnia.

— Uprowadził? — wykrzyknął Lafayette. — Eskorta dała sobie odbić więźnia?

— Nie należy jej karać, panie generale — odparł kurier. — Czyniła wszystko co mogła.

— A pan Berthier? — zapytał z obawą Bailly.

— Prowadzą go do Paryża — rzekł kurier — w tej chwili są w Bourget.

— Jeśli się tu dostanie, zgubiony! — zawołał Billot.

— Prędko, prędko, pięciuset ludzi do Bourget! — zawołał Lafayette. — Niech tam pana Berthiera zatrzymają. Przez noc coś obmyślimy.

— Ale kto się odważy wykonać to zlecenie? — zapytał kurier, spoglądając z lękiem na wzburzone morze tłumu, którego fale niosły groźbę śmierci.

— Ja! — wykrzyknął Billot. — Ja go ocale!

— Ależ pan zginie — powiedział kurier — na drodze mrowie ludzkie.

— Biegnę — odparł dzierzawca.

— To bezcelowe — szepnął Bailly, nastawiając ucha. — Słuchajcie, słuchajcie!

Od strony bramy Saint-Martin dochodził hałas podobny do ryku morza, uderzającego o głązy. Wściekła wrzawa wzbijała się ponad domy, jak para wydobywająca się z kotła.

— Za późno! — rzekł Lafayette, — Idą! Idą! — szepnął kurier. — Słyszycie?

— Żołnierze, do mnie! — krzyknął Lafayette z tym szlachetnym zapałem, który stanowił piękny rys jego charakteru, — Ech, do kata! — wykrzyknął Bailly, klnąc chyba po raz pierwszy. — Zapomina pan, że nasza armia to właśnie ten tłum, z którym chcesz walczyć.

I ukrył twarz w dłoniach.

Krzyki, dochodzące z dala z szybkością ognia, rozszerzyły się wśród masy ludzkiej, zalegającej plac i przylegająca do niego ulice.

XLII ZIEĆ

Wówczas ci, którzy bezcześcili zwłoki Foulona, porzucili krwawą zabawę, aby dokonać nowego aktu zemsty.

Z przyległych do placu ulic wypłynęła natychmiast ogromna część tłumu, który potrzęsając nożami i wygrażając pięściami, runął w kierunku ulicy Saint–Martin, na spotkanie nowego pochodu śmierci.

Połączono się niebawem. I oto, co się wtedy stało Kilku spośród owych instygatorów, których już widziano na placu Grève, podążyło ku zięciowi z zatkniętą na pice głową jego teścia.

Pan Berthier zbliżał się wraz z komisarzem ulicą Saint–Martin i był już u wylotu ulicy Saint–Merry.

Siedział w swym kabriolecie, pojeździe w owych czasach na wskroś arystokratycznym, a przez to szczególnie przez lud znienawidzonym. Bo właśnie ludowi dawała się tyle razy weznaki jazda fircyków lub powożących własnoręcznie tancerek, którzy unoszeni przez ręce konie często gmin tratowali lub obryzgiwali błotem.

Berthier, wśród okrzyków, wrzasków i grózb, jechał krok za krokiem, rozmawiając spokojnie z radnym Eiviere em. Był to jeden z komisarzy; wysłanych do Compiègne, aby ratować Berthiera, ale opuszczony przez swego kolegą, sam zaledwie zdołał się ocalić. Ofiarą ludu padł najpierw kabriolet. Rozbito budę, tak że Berthier wraz z komisarzem znaleźli się bez osłony, wystawieni na groźne spojżenia i ciosy.

Jadąc Berthier słyszał, jak mu wypominano jego zbrodnie, odpowiednio je komentując i wyolbrzymiając.

— Chciał zagłodzić Paryż!

— Kazał zżąć niedojrzałe jeszcze zboże, ażeby przez podwyżkę cen zebrać ogromne sumy!

— I nie tylko to zrobił — mówiono — on nawet spiskował.

Skonfiskowano mu portfel, w którym znaleziono podżegające listy, rozkazy rzezi oraz dowody, że rozdano jego agentom dziesięć tysięcy nabojów.

Były to potworne absurdy, ale wiadomo, że tłum ogarnięty wściekłością najniedorzeczniejsze wiadomości przyjmuje za prawdziwe.

Ten, którego oskarżano o to wszystko, człowiek młody, mniej więcej trzydziestodwuletni, elegancko ubrany, uśmiechał się prawie wśród obelg i klątw. Z zupełną obojętnością spoglądał na bezczelne, oskarżające go o zbrodnie piśmidła, jakie mu podsuwano, i rozmawiał spokojnie z Rivière em. Dwóch ludzi, rozdrażnionych jego spokojem, chciało go sterroryzować i złamać jego postawę. Stanąwszy z obu stron na stopniach kabrioletu, oparli na piersiach Berthiera bagnety swoich karabinów.

Ale Berthier, odważny aż do zuchwalstwa, nie przejął się tym wcale i dalej rozmawiał z radnym, jak gdyby te dwa karabiny stanowiły nieszkodliwe akcesoria kabrioletu.

Tłum, rozdrażniony do głębi tym lekceważeniem, tak bardzo kontrastującym ze strachem Foulona, ryczał wokół pojazdu, oczekując niecierpliwie chwili; kiedy zamiast grozić będzie mógł bić.

Wtem Berthier utkwił wzrok w jakiejś rzeczy bezkształtnej i krwawej, którą potrzęsano obok niego, i nagle poznał głowę swego teścia, zniżającą się aż ku jego ustom.

Chciano go zmusić, aby ją pocałował.

Pan Riviere z oburzeniem odsunął pikę rękami.

Berthier podziękował mu gestem i nawet nie raczył się odwrócić, aby spojrzeć na ohydne trofeum, które kaci nieśli za kabrioletem ponad jego głową.

Tak przybyto na plac de Greve i po niesłychanych wysiłkach straży więzień znalazł się w rękach radnych na Ratuszu. Niebezpieczna była to misja, straszliwa odpowiedzialność — i twarz Lafayette'a znowu pokryła się bladością, a serce mera Bailly'ego wzdrgnęło się z odrazy.

Tłum, rozbiwszy kabriolet, pozostawiony obok schodów ratuszowych, usadowił się na dogodnych miejscach i zablokował wszystkie wyjścia. A po chwili zaciągano już na latarnie nowe sznury.

Na widok Berthiera, który szedł spokojnie na górę po wielkich schodach ratuszowych, Billot nie mógł powstrzymać się od gorzkiego płaczu.

Pitou, upewniwszy się, że skończyła się już męczarnia Foulona, opuścił brzeg rzeki i powrócił na bulwar. Pomimo nienawiści, jaką czuł do pana Berthiera za wszystkie jego zbrodnie, a przede wszystkim za ofiarowanie złotych kolczyków Katarzynie, Pitou, ukryty za jakąś ławeczką, począł szlochać.

Tymczasem Berthier wszedł do sali narad i jakby tu szło o kogoś innego, zaczął gawędzić z radnymi.

Większość z nich znał osobiście, a z niektórymi łączyła go nawet pewna zażyłość.

Ci odsuwali się od niego z przestachem, jaki w ludziach tchórzliwych budzą stosunki z człowiekiem niepopularnym.

Toteż Berthier spostrzegł niebawem, że pozostał niemal sam — z Bailly m i Lafayette'em. Poprosił, aby mu opowiedziano Wszystkie szczegóły egzekucji Foulona, po czym wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Tak, rozumiem to. Nienawidzą nas, bo jesteśmy narzędziem, którym monarchia torturowała lud.

— Oskarżają pana o wielkie zbrodnie — powiedział surowo Bailly.

— Gdybym popełnił wszystkie zarzucane mi zbrodnie — odparł Berthier — musiałbym być mniej niż człowiekiem albo czymś więcej — jakąś dziką bestią lub demonem. Ale przypuszczam, że będę sądzony, a wówczas wszystko wyjdzie na jaw.

— Niewątpliwie — rzekł Bailly.

— Tego jedynie pragnę — ciągnął dalej Berthier. — Mają moje listy, przekonają się, czym rozkazom byłem posłuszny, i wtedy odpowiedzialność spadnie na właściwą osobę.

Radni spojrzeli na plac, skąd dochodziła okropna wrzawa.

Berthier zrozumiał odpowiedź.

Billot, przedarłszy się przez otaczającą mera cizbę, zbliżył się do intendenta i wyciągając do niego swoją potężną prawicę rzekł:

— Dzień dobry, panie de Sauvigny.

— O, to ty, Billot! — wykrzyknął Berthier ze śmiechem, mocno ściskając wyciągniętą ku niemu rękę. — Przybyłeś do Paryża, aby tu wicherzyć, wywołać bunt, mój ty pocziwczę, coś tak dobrze sprzedawał zboże na targach w Villers-Cotterets, Crépy i Soissons?

Mimo swych demokratycznych przekonań, Billot uczył nieodparty podziw dla tego człowieka, który żartował swobodnie w chwili, gdy jego życie wisiało na włosku.

— Siadajcie, panowie — rzekł Bailly do radnych. — Rozpocznijmy badanie oskarżonego.

— Dobrze — odparł Berthier — ale muszę panom powiedzieć, że jestem zupełnie wyczerpany. Od dwóch dni nie śpię, dziś, w drodze z Compiègne do Paryża, szturchano mnie, szarpano, bito. Kiedy prosiłem o jedzenie, otrzymałem siano, co jest niezbyt posilne. Dajcie mi jakiś kąs, gdzie mógłbym przespać się choćby godzinę.

Lafayette, który wyszedł na chwilę po informacje, powrócił do sali jeszcze bardziej przybity

niż przedtem.

— Drogi mój Bailly — rzekł do mera — rozjątrzenie doszło do szczytu. Zatrzymać pana Berthiera tutaj znaczy narazić się na oblężenie. Bronić Ratusza to dać opętańcom pretekst, na który czekają. Nie bronić go znaczy ustępować przy każdym ataku.

Tymczasem Berthier usiadł, a następnie położył się na ławce. Pragnął już tylko spać.

Przez okno docierały doń opętańcze krzyki, ale wcale się tym nie przejmował. Twarz jego tchnęła pogodą człowieka, który zapomina o wszystkim, byle tylko mógł zasnąć.

Bailly naradzał się z radnymi i z panem Lafayette'em.

Billot patrzył na Berthiera.

Lafayette zebrał pośpiesznie głosy i zwracając się do więźnia, który zaczynał już drzemać, rzeki:

— Przygotuj się pan.

Berthier westchnął i uniósłszy się na łokciu zapytał:

— Do czego?

— Ci panowie postanowili, że trzeba pana przewieźć do Abbaye.

— Do Abbaye, dobrze — odparł intendent. — Ale — dodał spoglądając na zakłopotanych radnych, których sytuację dobrze rozumiał — skończmy z tym w taki czy inny sposób.

Plac zabrzmiał długo hamowanym wybuchem gniewu i zniecierpliwienia.

— Nie, panowie, nie! — wykrzyknął Lafayette. — Nie damy mu jechać w takiej chwili.

Bailly powziął decyzję i zdobywszy się na odwagę, wyszedł z dwoma radnymi na plac i nakazał ciszę.

Lud wiedział równie dobrze, jak i sam mer, jakie to będzie przemówienie. Ale zamierzając powtórzyć zbrodnię, nie chciał nawet słuchać wyjaśnień, a gdy Bailly otworzył usta, buchnęła ogromna wrzawa, głuszając jego głos.

Widząc, że nie sposób będzie wymówić bodaj jedno słowo, Bailly skierował się z powrotem do Ratusza, ścigany okrzykami: „Berthier! Berthier!”

A wśród tych wrzasków przebijały już inne, podobne do owych przenikliwych głosów, jakie odzywają się w chórach demonów u Webera czy Meyerbeera: — Na latarnię! Na latarnię!

Lafayette widząc, że Bailly wraca, rzucił się ku tłumowi. Jest młody, płomienny, lubiany. To, czego nie mógł osiągnąć popularny kiedyś starzec, z pewnością uzyska od razu on, przyjaciel Waszyngtona i Neckera.

Na próżno jednak przywódca ludu, przedarłszy się do najzawziętszych grup, przemawiał w imię sprawiedliwości i ludzkości i odgadując głównych wichrzycieli na próżno błagał ściskając ich za ręce, aby wstrzymali swe zapędy.

Nie usłyszano ani jednego słowa, nie zrozumiano ani jednego gestu, nie dostrzeżono ani jednej łzy.

Spychany z jednego stopnia na drugi, Lafayette ukląkł na schodach Ratusza, zaklinając te bestie, które nazywał swoimi współobywatelami, aby szanowali honor narodu i swój własny, i nie czynili męczennikami winowajców, którym prawo wymierzy sprawiedliwość.

Kiedy nie przestawał tak nalegać, zaczęto mu grozić, czemu się jednak przeciwstawił. Wówczas kilku szaleńców zwróciło ku niemu pięści i broń.

Lafayette stał niewzruszony i broń opuszczono. Ale tym bardziej zagrożony był Berthier.

Pokonany Lafayette wrócił, podobnie jak Bailly, do Ratusza. Wszyscy radni widzieli jego bezsilność wobec zawieruchy, a to znaczyło, że padł ich ostatni szaniec.

Postanowiono, że straż ratuszowa odprowadzi Berthiera do Abbaye. Był to nań wyrok śmierci.

— Nareszcie! — rzekł Berthier, gdy zapadła decyzja.

I spojrzawszy z głęboką pogardą na tych wszystkich ludzi, Berthier stanął pośrodku straży,

dziękując skinieniem Bailly'emu i Lafayette owi, po czym uściskał Billota.

Bailly odwrócił oczy pełne łez, a Lafayette wzrok pełen oburzenia.

Berthier wychodził z Ratusza tak spokojnie, jak doń wchodził. W chwili gdy ukazał się na schodach, na placu wybuchła straszliwa wrzawa, która wstrząsnęła całym Ratuszem.

Berthier, patrząc obojętnie a zarazem pogardliwie na utkwione w niego płonące oczy, wzruszył ramionami i powiedział:

— Jacy śmieszni ci ludzie! Czegoż oni tak wyją? Jeszcze nie skończył, a już był w ich mocy. Jeszcze stał na ganku wśród straży, a już wyciągnęły się po niego ramiona. Pociągnęły go żelazne haki, zachwiał się i padł wprost w objęcia wrogów, którzy w okamgnieniu rozproszyli eskortę.

Niepohamowany potok porwał więźnia na krwią zbrzyżaną drogę, którą dwie godziny przedtem przebył Foulon.

Na fatalnej latarni stał już jakiś człowiek, trzymając w ręku sznur.

Ale inny człowiek uczepił się Berthiera, bijąc i przeklinając katów z wściekłością.

— Nie będziecie go mieli! Nie zabijecie go! — wykrzykiwał.

Człowiekiem tym był Billot, któremu rozpacz odebrała rozum, potęgując dwudziestokrotnie siły. Wołał do tłumu:

— Jestem zdobywcą Bastylii!

Niektórzy, poznawszy go, wstrzymywali swe ataki. To znów zwracał się do innych:

— Pozwólcie, by go sądzono! Ja ręczę za niego. Jeżeli dadzą mu umknąć, mnie powiesicie.

Biedny Billot! Biedny pocziwiec! Wir unosił go wraz z Berthierem, jak trąba powietrzna porywa swym potężnym, tchnieniem piórko i słomkę. Parł nie zdając sobie z niczego sprawy i nic nie spostrzegając naokoło. Dotarł nareszcie.

Piorun nie był taki szybki.

Berthier, porwany, niesiony w górę, spostrzegł, że się zatrzymano. Odwrócił się i podniósłszy wzrok, ujrzał haniebny stryczek nad głową. Wysiłkiem gwałtownym i niespodziewanym uwolnił się z rąk tłumu i wyrwawszy jednemu z gwardzistów strzelbę, runął na swych katów, zadając ciosy bagnetem.

Ale w tej chwili dosięgło go z tyłu tysiące ciosów. Upadł, a tysiąc innych spadło na jego ciało.

Billot zniknął pod nogami morderców.

Berthier nie miał czasu cierpieć. Tysiącem ran wypłynęła zeń krew wraz z ostatnim tchnieniem.

Wtedy Billot ujrzał najohydniejszy ze wszystkich widoków. Oto jakiś człowiek zagłębił rękę w otwartej piersi trupa i wydarł z niej dymiące jeszcze serce.

Zatknąwszy je na ostrzu swej szabli, szedł wśród wyjącego tłumu, który rozstępował się na jego drodze, i rzucił to serce na stół, przy którym radni odbywali na Ratuszu swoje posiedzenie.

Billot, człowiek z żelaza, nie mogąc znieść tego widoku, padł na słupek o dziesięć kroków od fatalnej latarni.

Lafayette, w obliczu tej obelgi rzuconej jego władzy i rewolucji, którą, jak mu się zdawało, kierował, złamał swoją szpadę i cisnął jej szczątki w twarz mordercom.

Pitou tymczasem podniósł dzierżawcę i unosząc go w swych ramionach, szeptał do ucha:

— Billot! Ojczy Billot, uważaj! Gdyby tak ktoś zobaczył, że panu słabo, wzięliby cię za jego współnika i tak samo zabili. A byłoby szkoda... Taki dobry patriota!

I pociągnął go ku rzece, osłaniając jak tylko mógł przed wzrokiem kilku pomrukujących osobników.

XLIII

BILLOT ZACZYNA SPOSTRZEGAĆ, ŻE W REWOLUCJACH NIE WSZYSTKO JEST RÓŻOWE

Billot, który wraz z Pitou brał udział we wszystkich chwilach triumfu, czuł zbliżający się już przedsmak goryczy. Kiedy orzeźwił go chłód, idący od wody, Pitou rzekł:

— Żal mi Villers–Cotterets, panie Billot... A panu? Słowa te otrzeźwiły dzierzawcę. Odnalazł też tyle siły, aby przedrzeć się przez tłum i oddalić od tych jatek.

— Chodź — rzekł do Pitou — masz rację. Postanowił zobaczyć się z Gilbertem, który mieszkał w Wersalu. Od czasu podróży królewskiej do Paryża doktor nie pokazał się u Marii Antoniny. Został prawą ręką Neckera po jego powrocie do ministerstwa i rezygnując z życia osobistego dla spraw ogółu,, próbował przeprowadzić szereg reform gospodarczych.

Pitou towarzyszył — jak zwykle — Billotowi.

Obu wprowadzono do gabinetu,, gdzie pracował doktor.

— Doktorze — rzekł Billot — wracam, na wieś, — Czemu to? — zapytał Gilbert.

— Dlatego, że nienawidzę Paryża.

— Ach, tak, rozumiem — powiedział zimno Gilbert.. — Jesteś zmęczony.

— Jestem znużony.

— Nie lubisz już rewolucji?

— Chciałbym ujrzeć jej koniec. Gilbert uśmiechnął się smutno.

— To dopiero początek — rzekł.

— O! — wykrzyknął Billot.

— Dziwi cię to? — zapytał Gilbert..

— Dziwi mnie pańska zimna krew.

— Czy wiesz, przyjacielu — zwrócił się Gilbert do. Billota — skąd czerpię tę zimną krew?

— Chyba z jakiegoś przekonania.

— Właśnie.

— I jakież to przekonanie?

— Zgadnij.

— Że wszystko skończy się dobrze.

Gilbert uśmiechnął się jeszcze smutniej niż poprzednio.

— Nie,, przeciwnie. Z przekonania, że wszystko skończy się źle.

Billot zaprotestował głośno.

Pitou zaś wytrzeszczał zdumione oczy: nie dostrzegał w tym rozumowaniu logiki.

— Jakże to? — rzekł Billot, drapiąc się ciężką ręką za uchem. — Bo wydaje mi się, że nie bardzo rozumiem.

— Weź pan krzesło — powiedział Gilbert — i siadaj obok mnie, blisko.

Billot usiadł.

— Blżej, jeszcze bliżej, abyś tylko ty słyszał, co powiem, nikt więcej.

— A ja, panie Gilbert? — zapytał nieśmiało Pitou, gotów wyjść, gdyby Gilbert sobie tego życzył.

— O, nie, zostań — odparł doktor. — Młody jesteś, słuchaj. Pitou nastawił uszu i usiadł na podłodze obok krzesła ojca Billota.

Ciekawie wyglądało to tajne posiedzenie trzech mężczyzn w gabinecie doktora Gilberta, przy biurku zavalonym stosami listów, papierów, świeżych druków i gazet. Siedzieli o cztery kroki od

drzwi, obleganych bezskutecznie przez petentów, których nie dopuszczał stary, prawie ślepy urzędnik.

— Słucham — rzekł Billot. — Proszę wyjaśnić, mistrzu. W jaki sposób wszystko skończy się źle?

— Otóż, Billot... Czy wiesz, przyjacielu, czym jestem teraz zajęty?

— Pisz pan kreski.

— Ale co znaczą te kreski?

— Jakże mam odgadnąć, kiedy nawet czytać nie umiem? Pitou podniósł nieśmiało głowę i rzucił wzrokiem na papier leżący przed doktorem.

— To są liczby — rzekł.

— Właśnie, liczby... Otóż te liczby są ruiną Francji i zarazem jej ocaleniem.

— Patrzaj no! — zawołał Billot.

— O, patrzaj no! — powtórzył Pitou.

— Te liczby, wydrukowane jutro — ciągnął dalej doktor — znajdą się w pałacu królewskim, w zamkach szlachty i w chatach biedaków, żądając czwartej części ich dochodów.

— Co? — mruknął Billot.

— Och, jak się skrzywi moja biedna ciotka Angelika! — szepnął Pitou.

— Co ty o tym sądzisz, mój zuchu? — kontynuował Gilbert. — Rewolucja kosztuje, trzeba za nią płacić!

— Słusznie — odparł bohatersko Billot. — A więc dobrze, zapłacimy.

— Dalibóg — rzekł Gilbert. — Takie jest pańskie przekonanie i ta odpowiedź wcale mnie nie dziwi. Ale co uczynią ci, którzy są innego zdania?

— Będą się sprzeciwiać — odparł Billot tonem, który znaczył, iż on sam bardzo by się sprzeciwiał, gdyby żądano od niego czwartej części dochodów na cel niezgodny z jego poglądami.

— A więc walka — rzekł Gilbert.

— Ale większość... — powiedział Billot.

— Dokończ, mój przyjacielu...

— Większość potrafi narzucić swoją wolę.

— A zatem przymus!

Billot popatrzył na Gilberta najpierw z powątpiewaniem, wkrótce jednak błysk zrozumienia zalśnił w jego oku.

— Chwileczkę, Billot — odezwał się doktor. — Wiem, co mi powiesz. Szlachta i duchowieństwo mają wszystko, tak?

— To rzecz pewna — potwierdził Billot. — A i klasztory...

— Klasztory?...

— Klasztory mają wszystkiego w bród. — *Notum certumque* — mruknął Pitou.

— Szlachta nie płaci odpowiednich podatków. Na przykład ja, dzierżawca, sam płacę przeszło dwa razy tyle, co moi sąsiedzi, trzech bracia Charny, którzy mają razem przeszło dwieście tysięcy liwrów dochodu.

— No, dobrze, ale czy sądzisz — ciągnął Gilbert — że szlachta i księża są gorszymi Francuzami od ciebie?

Pitou nastawił uszu, słysząc słowa, które brzmiały jak herezja w czasach, kiedy patriotyzm mierzono siłą łokci na placu Greve. — Nie wierzysz temu, prawda, mój przyjacielu?

— Nie zgadzasz się ze zdaniem, że arystokraci i duchowni wszystko biorąc, a nic nie oddając, są takimi samymi patriotami jak ty?

— To prawda.

— Mylisz się, mój drogi, mylisz. Oni są większymi jeszcze, i ja ci tego dowiodę.

— O, ciekawym jak — odparł Billot. — Nie zgadzam się.

— Chodzi ci o przywileje, tak? — Dalibóg!

— Poczekaj!

— O, ja czekam.

— A więc zapewniam cię, Billot, że w ciągu trzech dni człowiekiem najbardziej we Francji uprzywilejowanym będzie ten, co nic nie posiada.

— To chyba ja — potwierdził z powagą Pitou.

— Tak, ty.

— Jakim sposobem? — zapytał dzierżawca.

— Posłuchaj, Billot. Ci arystokraci i księża, oskarżani przez pana o egoizm, zaczynają ulegać gorączce patriotyzmu, która rozszerzy się na całą Francję. W tej chwili jak barany nad rowem gromadzą się i naradzają. Najśmielszy z nich skoczy pojutrze, jutro, może dziś jeszcze. A za nim skoczą wszyscy.

— Co to znaczy, panie Gilbert?

— To znaczy, że zrzekając się przywilejów panowie feudalni uwolnią swych chłopów, obszarnicy zrzekną się swych dzierżaw i danin, a szlachta — gołębi w swych gołębnikach.

— Ho, ho! — wykrzyknął Pitou w osłupieniu. — Myśli pan, że oni naprawdę wszystkich uwolnią?

— Ależ to wspaniała wolność! — zawołał Billot promieniejąc.

— A więc, gdy już będziemy wszyscy wolni, to co uczynimy wtedy?

— Ba! — odparł Billot, nieco zakłopotany. — Co uczynimy? Zobaczymy.

— A, oto ostateczne słowo! — wykrzyknął Gilbert. — Zobaczymy.

Wstał i zamyślony przechadzał się przez chwilę w milczeniu. Wreszcie stanąwszy przed dzierżawcą ujął jego zgrubiałą rękę i rzekł doń surowo, tonem groźby:

— Tak, zobaczymy. Zobaczymy wszyscy i ty, i ja, i on.

O tym właśnie myślałem przed chwilą, kiedy dziwił cię tak bardzo mój kamienny spokój.

— Przeraza mnie pan!” A więc lud zjednoczony, łączący się dla dobra ogólnego, jest przedmiotem pańskiego smutku, panie Gilbert? Doktor wzruszył ramionami.

— A więc — ciągnął pytająco Billot — cóż powiesz pan o sobie samym, jeśli zaczynasz wątpić, przygotowując do wolności Świat Stary, gdyś dał już ją Światu Nowemu?

— Billot — podjął Gilbert — nie zdając sobie z tego sprawy, powiedziałeś słowo, będące rozwiązaniem zagadki. To słowo głosi Lafayette, ale nikt go nie rozumie. Tak, daliśmy wolność Nowemu Światu.

— My, Francuzi. To bardzo piękne.

— Bardzo piękne, ale i bardzo drogie — rzekł ze smutkiem Gilbert.

— Ech, pieniądze wydane, rachunek załatwiony — zawołał radośnie Billot. — Trochę złota, dużo krwi i dług spleacony.

— Ślepy! — wykrzyknął Gilbert. — Ślepy, kto w tej jutrzence Zachodu nie widzi zarodka naszej powszechnej ruiny! Czemu miałbym ich oskarżać, skoro sam jej również nie dostrzegłem. Lękam się bardzo, Billot, aby ta wolność, którą daliśmy Światu Nowemu, nie była zgubą Starego.

— *Rerum novus nascitur ordo* — wtrącił Pitou z tupetem rewolucjonisty.

— Cicho, dziecko! — rzekł Gilbert.

— Czyż więc trudniej było pobić Anglików — podjął Gilbert — niż uspokoić Francuzów?

— Nowy Świat — powtórzył Gilbert — to znaczy nietknięte miejsce, nie zapisana karta, bez praw, ale i bez nadużyć, bez idei, ale i bez przesądów. We Francji na trzydzieści milionów ludzi przypada trzydzieści tysięcy mil kwadratowych, dając każdemu miejsce ledwie na kołyskę i grób.

Tam, w Ameryce, dwieście tysięcy mil kwadratowych na trzy miliony ludzi, idealne granice z pustynią, z morzem — czyli nieskończoność, Na tych obszarach tysiąc mil rzek spławnych, lasy dziewicze, których głębię zna tylko jeden Bóg, a więc wszystkie elementy życia, cywilizacji i przyszłości. Och, jakże to łatwo, zwąc się Lafayette'em, nawykłym do szpady, lub też Waszyngtonem, nawykłym do myślenia, wznosić zapory z drzewa, z ziemi, z kamienia lub z ciała ludzkiego. Kiedy zamiast budować — niszczymy, kiedy napadając lub atakując stary porządek rzeczy, poza ruinami dawnych idei widzimy chroniących się tyłu ludzi i tyle interesów, kiedy znalazłszy nową ideę, chcąc ją zaszcześcić ludowi, musimy lud ten od dzieci aż do starców zdziesiątkować, o, Billot, wtedy drżą ci, którzy wzrokiem sięgają poza widnokrąg. I ja drzę, Billot, bo mam dobry wzrok.

— Przepraszam pana — rzekł Billot, obdarzony zdrowym rozsądkiem. — Oskarżałeś mnie przed chwilą, że nienawidzę rewolucji, a teraz sam mi ją obrzydzasz, — Czyż powiedziałem ci, że odstępuję od rewolucji?

— *Errare humanum est* — szepnął Pitou — *sed perseverare diabolicum*.

I oburącz zwarł kolana.

— Będę jednak obstawał przy swoim — mówił dalej Gilbert — bo jakkolwiek widzę trudności, widzę i cel, a cel jest wspaniały. Marzę nie tylko o wolności Francji, lecz całego świata, nie o fizycznej równości, lecz o równości wobec prawa, nie o braterstwie współobywateli, ale o braterstwie narodów. Może stracę tu ciało i duszę — ciągnął melancholijnie Gilbert — ale mniejsza o to. Żołnierz idący szturmować twierdzę widzi armaty, widzi, jak ładują do nich pociski, jak zapalają lont. Widzi nawet, w jakim kierunku działa są wycelowane, czuje, że ten czarny kawał żelaza przeszyje mu pierś. Mimo to idzie, bo twierdza musi być zdobyta. Wszyscy jesteśmy żołnierzami, ojczu Billot. Naprzód! I niechaj po stosach naszych ciał maszerują kiedyś pokolenia, których; awangardą jest to chłopię.

— Nie rozumiem, doprawdy, czemu wpada pan w rozpacz, panie Gilbert? Czy dlatego, że na placu Greve zamordowano jednego nieszczęśnika?

— Dlaczegoż więc i ty czujesz zgrozę, Billot, morduj i ty!

— Och, co też pan mówi, panie Gilbert!

— Ba, trzeba być konsekwentnym. Ty, taki odważny i silny, przyszedłeś tu blady i drżący, i powiedziałeś do mnie: „Jestem znużony”. Roześmiałem ci się, Billot, w twarz. A kiedy teraz tłumaczę ci, dlaczego byłeś blady i znużony, ty właśnie z kolei śmiejesz się ze mnie.

— Mów, mów pan dalej! Ale najpierw muszę mieć nadzieję, że wrócę do siwej wioski uleczony i pocieszony.

— Posłuchaj, Billot. We wioskach cała nasza nadzieja. Wieś to drzemiąca rewolucja, która zrywa się raz na tysiąc lat i przyprawia panów władców o zawrót głowy, ilekroć się to zdarza. Wieś zerwie się, gdy przyjdzie na nią kolej, aby odzyskać źle nabyte dobra, którymi tuczy się szlachta i duchowieństwo. Ale chcąc pozyskać wieś dla idei, należy przedtem pchnąć chłopca na zdobycie ziemi. Będąc posiadaczem, człowiek staje się wolny, a będąc wolnym, staje się lepszy. Na nas więc, pracownikach uprzywilejowanych; przed którymi Bóg uchyla zasłony przyszłości, ciąży straszliwe zadanie: obdarzywszy lud wolnością, dać mu własność. Tu, Billot, będzie dzieło, wielkie dzieło, potężne, pełne radości i cierpienia, pełne sławy i oszczerstw, ale nagroda mała. Tam — ten, zimny i bezsilny, w oczekiwaniu na przebudzenie, które nastąpi na nasz znak, w oczekiwaniu na jutrzeńkę, która wszędzie za naszą sprawą. Z chwilą gdy wieś się zbudzi, skończy się nasz krwawy trud, a rozpocznie się jej cicha i spokojna praca.

— Cóż mi więc radzisz, panie Gilbert?

— Jeśli chcesz być użyteczny dla swego kraju, narodu, dla swych braci na całym świecie, pozostań tu, Billot. Weź młot i pracuj w tej kuźni Wulkana, który wykuwa pioruny dla świata.

— Zasiać, aby patrzeć, jak mordują, i aby w końcu samemu mordować?

— Cóż te? — zapytał Gilbert uśmiechając się blado. — Ty masz mordować, Billot? Co też ty mówisz?

— Mówię, że jeśli za radą pańską tu zostanę — zawołał Billot drżąc cały — to tymi oto rękami powieszę pierwszego, który będzie zawiązywał sznur na latarni.

— A więc — rzekł — rozumiesz mnie i stajesz się także mordercą.

— Tak, mordercą zbrodniarzy.

— Powiedz mi, Billot. Widziałeś, jak mordowano de Losme'a, de Launaya, Flessellesa, Foulona i Berthiera?

— Tak.

— Jak nazywali ich ci, którzy ich mordowali? — Zbrodniarzami.

— O, to prawda — wtrącił Pitou — nazywali ich zbrodniarzami.

— Tak, ale to ja mam rację — rzekł Billot.

— Będziesz miał rację wieszając, ale nie będziesz jej miał, jeżeli ciebie powieszą.

Billot pochylił głowę, potem podnosząc ją zapytał pełen godności:

— Czy pan twierdzi, że ci, którzy mordują ludzi bezbronnych, powierzonych honorowi ogółu, są takimi samymi Francuzami jak ja?

— Ach, to całkiem inna sprawa — odparł Gilbert. — We Francji są różnego rodzaju Francuzi. Jest przede wszystkim lud, z którego pochodzimy ja, ty i Pitou. Jest duchowieństwo i szlachta francuska. Trzy rodzaje Francuzów we Francji, nie licząc naturalnie króla Francji, Francuza na swoją modłę. Widzisz, Billot, w tej różnorodności tkwi prawdziwa rewolucja. Ty jesteś innym Francuzem niż ksiądz Maury, on inny niż Mirabeau, ten wreszcie jeszcze inny niż król. A więc, Billot, zacny mój przyjacielu, człowieku prawego serca i zdrowego umysłu, wkraczamy właśnie do drugiej części zagadnienia, które omawiam. Bądź łaskaw, Billot, i rzuć okiem na to.

Powiedziawszy to, Gilbert pokazał dzierżawcy zadrukowany papier.

— Co to jest? — zapytał Billot biorąc papier.

— Czytaj!

— Ech, przecież pan wie, że nie umiem.

— Niech ci więc przeczyta Pitou.

Pitou wspiął się na palce i zajrzał przez ramię dzierżawcy.

— To nie po francusku — oświadczył. — Nie jest to też ani łacina, ani grecki.

— Po angielsku — odparł Gilbert.

— Nie znam angielskiego — oświadczył dumnie Pitou.

— Ale ja znam — powiedział Gilbert — i zaraz wam to przetłumaczę, tylko przeczytajcie podpis.

— Pitt — przeczytał Pitou. — Co to za Pitt?

— Zaraz wam objaśnię — rzekł Gilbert.

XLIV PITTOWIE

— Pitt — podjął Gilbert — to syn Pitta.

— O, to tak jak w Piśmie świętym — wtrącił Pitou. — Jest więc Pitt pierwszy i Pitt drugi?

— Tak... i ten Pitt pierwszy, moi przyjaciele... Posłuchajcie uważnie, co wam powiem.

— Słuchamy — odparli jednogłośnie Billot i Pitou.

— Pitt pierwszy był przez trzydzieści lat zaprzysiężonym wrogiem Francji. Z głębi swego gabinetu, w którym więziła go podagra, zwalczył Montcalma i Vaudreuila w Ameryce, komandora Suffrena i d'Estainga na morzu, Noaillesa i Brogliego na lądzie. Pitt pierwszy postawił sobie za cel zniszczyć potęgę Francuzów w Europie. Co rok przez lat trzydzieści odbierał nam jedną kolonię po drugiej, zagarnął całe wybrzeże Indii, tysiąc pięćset mil w Kanadzie. Wreszcie, kiedy Francja w trzech czwartych była zrujnowana, zwrócił przeciwko niej swego syna, aby zniszczył ją do reszty.

— O! — rzekł Billot wyraźnie zainteresowany. — Więc Pitt, którego my znamy...

— Jest synem Pitta, którego znasz i ty, i Pitou, i cały świat. Pitt ten w maju skończył właśnie trzydzieści lat.

— Trzydzieści?

— Widzicie więc, moi przyjaciele, że nie tracił czasu. Rządzi Anglią od siedmiu lat i od siedmiu lat wprowadza w życie teorie swego ojca.

— A więc to potrwa jeszcze jakiś czas — rzekł Billot.

— Tak, tym bardziej że Pittowie odznaczają się wielką żywotnością. Zaraz przytoczę wam dowód.

Pitou i Billot dali znak skinieniem głowy, że słuchają z uwagą.

Gilbert ciągnął dalej:

W roku 1778 dogorywał ojciec naszego wroga. Lekarze orzekli, że życie jego wisi na włosku, że najmniejszy wysiłek może je przeciąć. Rozważano wówczas w parlamencie sprawę uznania niepodległości kolonii amerykańskich, ażeby, położyć kres wojnie, która podsycana przez Francuzów, groziła zniszczeniem armii i skarbu Wielkiej Brytanii. Działo się to w chwili, kiedy Ludwik XVI, nasz dobry król, któremu cały naród nadał tytuł ojca wolności francuskiej, uroczyście uznał niezawisłość Ameryki. Tam też, na polu walki i w toku narad przeważała szpada i geniusz Francuzów. Anglia oświadczyła Waszyngtonowi, przywódcy powstańców, że uzna odrębność amerykańską pod warunkiem wspólnego działania przeciwko Francuzom.

— No, wydaje mi się — rzekł Billot — że to była nieuczciwa propozycja.

— Drogi mój Billot, to właśnie nazywa się dyplomacją i w świecie politycznym takie rzeczy bardzo są podziwiane. A chociaż pan uważa tę sprawę za niemoralną, może, wbrew Waszyngtonowi, znaleźliby się Amerykanie skłonni kupić pokój za cenę tak haniebnego ustępstwa wobec Anglii.

Ale lord Chatham, ojciec Pitta, śmiertelnie chory, widmo stojące nad grobem, Chatham, który błagał tylko o spokój przed wiecznym snem, ten starzec kazał zaprowadzić się do parlamentu, gdzie miano rozważyć tę sprawę.

We wspaniałym stroju szedł wsparty na ramieniu swego syna, Wiliama Pitta, wówczas dziesięcioletniego młodzieńca, i zięcia. Błady jak upiór, z okiem przygasłym, kazał się prowadzić do swojej ławki. A wszyscy lordowie, zdumieni niespodziewanym widokiem, chylili się przed nim z podziwem, jak by to uczynił senat rzymski w razie powrotu Tyberiusza, zmarłego

i zapomnianego.

Chatham wysłuchał w milczeniu i głębokim skupieniu mowy lorda Richmonda, autora wniosku, a kiedy ten skończył, wstał, aby mu odpowiedzieć.

I wówczas ten umierający człowiek znalazł w sobie dość siły na to, aby przemawiać przez trzy godziny. Znalazł w swym sercu dość ognia, aby rozpalić swój wzrok, a w duszy akcenty, które poruszyły wszystkie serca.

Prawda, że przemawiał przeciwko Francji, że budził w swych rodakach nienawiść, prawda, że wyczerpał wszystkie swe siły i cały swój zapal, aby zniszczyć i pochłonać nienawistny kraj, rywala jego ojczyzny. Sprzeciwił się uznaniu niepodległości Ameryki, sprzeciwił się wszelkim pertraktacjom, krzycząc: „Wojna, wojna!”. Wystąpił jak Hannibal przeciwko Rzymowi, jak Katon przeciw Kartaginie. Oświadczył, że obowiązkiem każdego prawego Anglika jest raczej zginąć, niż dopuścić, aby choć jedna kolonia oderwała się od matki-ojczyzny.

Skończył przemowę, rzucił ostatnią groźbę i padł jak rażony piorunem. Nie miał już nic do czynienia na świecie. Wyniesiono go umierającego. W kilka dni później umarł.

— O! o! — wykrzyknęli razem Billot i Pitou. — Co to za człowiek z tego lorda Chathama!

— Był to ojciec trzydziestoletniego młodzieńca, który nas interesuje — dodał Gilbert. — Chatham zmarł w siedemdziesiątym roku życia. Jeżeli syn dożyje wieku ojca, trzeba będzie znosić Wiliama Pitta jeszcze przez czterdzieści lat. Oto z kim mamy do czynienia, oto człowiek, ojciec Billot, który rządzi Wielką Brytanią i pamięta nazwiska de Lameth, de Rochambeau, de Lafayette, który zna w tej chwili wszystkie nazwiska w Zgromadzeniu Narodowym, a Ludwikowi XVI poprzysiął śmiertelną nienawiść; oto autor traktatu z roku 1778, oto ten, który nie zazna spokoju, dopóki, będzie we Francji choć jedna nabita strzelba i jedna pełna kieszeń. Czy rozumiecie mnie?

— Rozumiem, że nienawidzi on Francji, ale nie pojmują jeszcze dobrze wszystkiego. — Ani ja — dodał Pitou.

— A więc przeczytaj te cztery słowa. Gilbert podał mu papier, a Pitou zapytał:

— Po angielsku?

— Don t mind the money — rzekł Gilbert.

— Słyszę — odparł Pitou — ale nic a nic nie rozumiem. „Nie troszczcie się o pieniądze” — objaśnił doktor. A nieco dalej, pod tym samym zaleceniem: „Powiedzcie im, żeby nie oszczędzali pieniędzy i nie zdawali mi z nich rachunku”.

— A więc zbroją się — rzekł Billot.

— Nie, przekupują.

— Do kogo zaadresowany jest ten list?

— Do wszystkich i do nikogo. Szafuje się i szasta pieniędzmi, rozdając je chłopom, robotnikom, nędznikom, tym wszystkim, którzy zmarnują nam rewolucję.

Billot schylił głowę. Słowa te wyjaśniły mu wiele rzeczy.

— Czy zatłuklibyście de Launaya jednym uderzeniem kolby?

— Nie.

— Czy zabiłbyś Flessellesa wystrzałem z pistoletu?

— Nie.

— Czy powiesiłbyś Foulona?

— Nie.

— Czy rzuciłbyś na stół radnych broczące krwią serca Berthiera?

— Nigdy! — wykrzyknął Billot. — Choćby ten człowiek był najbardziej winny, dałbym się porąbać w kawałki, aby go ocalić. Byłem przecież raniony, stając w jego obronie, i gdyby nie Pitou, który mnie odciągnął na brzeg rzeki... — Tak, to prawda — wtrącił Pitou — kiepsko

byłoby beze mnie.

— Widzisz więc, Billot... Wielu ludzi postąpiłoby tak jak ty, czując poparcie naokoło siebie. Inni jednak na skutek złych przykładów stają się źli, potem dzicy, a wreszcie rozwydrzeni. A gdy krzywda się stała, to już przepadło.

— No, dobrze — zauważył Billot. — Przypuśćmy, że pan Pitt, a raczej jego pieniądze odegrały pewną rolę przy śmierci Flessellesa, Foulona, Berthiera... Ale cóż mu z tego przyjdzie?

Gilbert począł się śmiać bezgłośnie, w sposób, który zadziwia prostaczków, a myślicieli przejmując dreszczem, — Pytasz, co mu z tego przyjdzie — rzekł.

— Tak, pytam o to.

— Powiem ci zaraz. Szanujesz rewolucję, prawda? Brodziłeś przecież we krwi, ażeby zdobyć Bastylię.

— Tak, szanowałem ją.

— A teraz szanujesz ją mniej. Teraz zatęskniłeś do Villers-Cotterets i Pisseleux, do spokojnych równin i wielkich, cienistych gajów. — *Frigida Tempe* — szepnął Pitou.

— O tak! Ma pan rację — rzekł Billot.

— Otóż ty, ojczyźnie Billot, dzierżawca, właściciel, dziecię Ile-de-France, a więc stary Francuz, ty, który reprezentujesz stan trzeci i należysz do tak zwanej większości, jesteś zniechęcony.

— Przyznaję.

— I większość jest również zniechęcona.

— A więc?

— A więc pewnego dnia wyciągniecie ręce do żołnierzy księcia Brunszwiku lub pana Pitta, którzy przyjadą w imieniu tych dwóch wyzwolicieli Francji, aby wam zapewnić spokój.

— Nigdy!

— Poczekaj no tylko!

— Flesselles, Berthier i Foulon byli w gruncie rzeczy zbrodniarzami — próbował oponować Pitou.

— Tak jak zbrodniarzami byli pan de Sartines i pan da Maurepas, jak pan d'Argenson i pan Philippeaux. Tak jak byli nimi pan Law, pan Duverney, Leblanc i de Paris, jak Fouquet i Mazarin, jak przestępcami byli Semblancey i Enguerrand de Marigny. Takim samym zbrodniarzem był pan de Brienne dla pana de Calonne, pan de Calonne dla pana Neckera, a pan Necker będzie nim dla ministra, który nastąpi za dwa lata.

— Doktorze! — szepnął Billot. — Pan Necker zbrodniarzem? Nigdy!

— I ty, poczciwy Billot, staniesz się zbrodniarzem dla tego oto młodego Pitou, gdy agent pana Pitta zaszczepli mu pewne teorie przy kieliszku wódki i doda co dzień po dziesięć franków. Wyraz „zbrodniarz” oznacza w czasie rewolucji człowieka myślącego inaczej niż my. Wszystkim nam prawie sądzono nosić to miano. Jednym wypiszą je na grobie, innym dopiero potomność nada ten przydomek. Oto co widzę ja, drogi mój Billot, a czego wy nie widzicie. Pamiętaj więc, Billot, że uczciwi ludzie nie powinni odsuwać się od sprawy.

— E, choćby się nawet odsunęli — zawołał Billot — rewolucja potoczy się dalej.

Na ustach Gilberta zaigrał ponownie uśmiech. — Dużym dzieckiem jest ten — rzekł — kto wypuściwszy z rąk pług i wyprzągłszy konia powiada: „Ech, nie jestem potrzebny, pług sam zaorze brudę”. Ależ mój przyjacielu, rewolucja jest dziełem ludzi uczciwych, prawda?

— I Francja chlubi się nimi. Chyba Lafayette jest człowiekiem uczciwym, Bailly i pan Necker również, i pan Elie, Hullin, Maillard wreszcie, którzy walczyli razem ze mną, to chyba także ludzie uczciwi. No i przecież chyba pan sam...

— A więc, Billot, jeżeli ludzie uczciwi, jeżeli ty i ja, Maillard, Hullin, Elie, Necker, Bailly i Lafayette wycofają się, któż za nas będzie pracował? Nędznicy, mordercy, agenci agentów pana

Pitta...

— Odpowiedz coś na to, ojczcie Billot — wtrącił Pitou.

— Gdyby tak się stało — odparł Billot — uzbroimy się i wystrzelamy ich jak psy.

— Dobrze... Ale kto się uzbroi?.

— Wszyscy!

— Pamiętaj o jednym, poczciwy mój przyjacielu, że to, co tu robimy w tej chwili, zwie się...

— Polityką, panie Gilbert.

— Otóż w polityce nie ma przestępstw bezwzględnych. Jest się zbrodniarzem albo człowiekiem uczciwym zależnie od tego, czy szkodzi się, czy też służy interesom człowieka, który nas sędzi.. Ci, których nazywamy zbrodniarzami, potrafią usprawiedliwić swoje zbrodnie i w oczach wielu osób uczciwych, zainteresowanych bezpośrednio lub pośrednio w dokonaniu owych zbrodni, będą ludźmi bardzo uczciwymi. W takiej chwili strzeżmy się, Billot, strzeżmy się. Są ludzie przy rękojeści pługa i konie w: uprzęży. Posuwa się ten pług, Billot, posuwa się nawet bez nas. — To przerażające — rzekł dzierżawca. — A jeśli posuwać się będzie bez nas, dokąd zajdzie?

— Bóg jeden wie! — odparł Gilbert. — Ja nie wiem.

— Jeżeli pan tego nie wie, pan człowiek uczony, panie Gilbert, to tym bardziej ja, człek prosty. Myślę jednak...

— Cóż więc myślisz, drogi Billot?

— Wydaje mi się, że zrobimy najlepiej, Pitou i ja, jeżeli wrócimy do Pisseleux. Weźmiemy się za pług z żelaza i drewna, co to kraje ziemię, a nie tkniemy pługa z krwi i kości, zwanego ludem francuskim, który wierzga niczym narowisty koń. Zamiast przelewać krew, zaczniemy siać zboże i będziemy żyć wolni i zadowoleni, sami sobie panowie. Chodźże z nami, panie Gilbert, chodź. Ja, da diabła, lubię zawsze wiedzieć, dokąd idę.

— Chwilkę — rzekł Gilbert. — Ja naprawdę nie wiem, dokąd Idę. Idę jednak i będę szedł dalej. Znam mój obowiązek, życie moje należy do Boga, a praca moja to dług, który spłacę ojczyźnie. Jeśli tylko sumienie mówi mi: „Idź, Gilbert, jesteś na dobrej drodze”, to idę na nic nie zważając. Jeżeli błędę, ludzie mnie ukarzą, ale Bóg mi przebaczy!

— Ale ludzie karzą nieraz tych, którzy nie błędzą. Wszak powiedziałeś to pan przed chwilą.

— I powtarzam. Ale idę dalej. Dalsze wydarzenia mogą wykazać, że jestem bezsilny. Ale Pan powiedział: „Pokój ludziom dobrej woli”. Bądźmy więc tymi, którym Stwórca obiecał pokój. Spójrz na pana Lafayette’a — zajeżdżał już trzeciego siwka w Ameryce i we Francji, nie licząc tych, które jeszcze zajeżdża. Spójrz na pana Bailly’ego — niszczy sobie płuca, popatrz na króla, który nadweręża swą popularność. No, no, Billot, nie bądźmy egoistami. Poświęćmy się trochę, przyjacielu! Zostań ze mną!

— Ale po co, jeżeli nie zaradzimy złu?

— Nie mów tak nigdy, bo będę cię mniej szanował. Kopano cię nogami, bito pięścią i kolbą, kłuto bagnetami, gdy chciałeś ratować Foulona i Berthiera.

— Tak, i to mocno — odparł dzierżawca, dotykając ręką obolałego ciała.

— Mnie omal nie wybito oka — rzekł Pitou.

— I wszystko na darmo — dodał Billot.

— Gdyby, moje dzieci... Gdyby zamiast dziesięciu, piętnastu czy dwudziestu takich jak ty zuchów było stu, dwustu czy trzystu, wydarlibyście nieszczęśliwego okrutnej śmierci. Narodowi oszczędzilibyście haniebnej plamy. Oto dlaczego nie chcę, abyś wyjeżdżał na wieś, gdzie jest spokojnie, oto dlaczego żądam, o ile mi wolno żądać czegoś od ciebie, abyś pozostał w Paryżu. Człubym koło siebie twoje mocne ramię i szlachetne serce, mógłbym wypróbować swój umysł i dzieło na kamieniu probierczym twojego rozsądku i czystego patriotyzmu. Chciałbym wreszcie,

abyś, zagrzewany nie złotem, lecz miłością ojczyzny i ogólnego dobra, został moim agentem w tłumie nieszczęśliwych i zbłąkanych, abyś mi był laską, kiedy się potknę lub gdy będą musiał uderzyć — Psem niewidomego — rzekł Billot z prostotą. — Właśnie — potwierdził Gilbert tym samym tonem.

— A więc zgadzam się — oświadczył Billot. — Będę czym pan chce, doktorze.

— Wiem, że porzucasz wszystko: majątek, żonę, dziecko, szczęście, ale bądź spokojny, to nie na długo.

— A ja? — zapytał Pitou. — Co ja będę robił?

— Ty — odparł Gilbert, patrząc na naiwnego, barczystego chłopca — ty powrócisz do Pisseleux, aby pocieszyć rodzinę Billota i wyjaśnić świętą misję, której on się podjął, — Dobrze, jestem gotów — zawołał Pitou, drżąc cały z radości na myśl, że wróci do Katarzyny.

— Billot — rzekł Gilbert — przekaz mu polecenia. — Oto są! — powiedział Billot.

— Słucham.

— Katarzyna ma być panią domu. Słyszysz? — A pani Billot? — zapytał Pitou, nieco zdziwiony tym wyróżnieniem córki na niekorzyść matki.

— Pitou — odezwał się Gilbert, który przejrzał intencję Billota, widząc lekki rumieniec na jego twarzy. — Pamiętaj o przysłowiu arabskim: „Słuchać to być posłusznym”.

Pitou zaczerwienił się, jakby pojmując swoją niedyskrecję.

— Katarzyna jest dobrym duchem rodziny — rzekł Billot po prostu, wyjaśniając swoją myśl.

Gilbert skinął potakująco głową.

— Czy to wszystko? — zapytał Pitou.

— Z mojej strony tak — odparł Billot.

— Ode mnie jeszcze jedno polecenie — wtrącił Gilbert.

— Słucham — rzekł Pitou, gotów zastosować tylko co poznane arabskie przysłowie.

— Udasz się z moim listem do gimnazjum Ludwika Wielkiego — powiedział Gilbert. — Doręczysz ten list księdzu Bérardierowi, który ci powierzy Sebastiana. Przeprowadzisz go do mnie, abym go uściskał, i pójdziesz z nim do Villers-Cotterets. Tam oddasz pod opiekę księdzu Fortierowi, aby nie tracił czasu na próżno. W niedziele i czwartki będzie wychodził razem z tobą. Oprowadzaj go śmiało po polach i lasach. Tak będzie lepiej dla mego spokoju: i dla jego zdrowia.

— Zrozumiałem! — wykrzyknął Pitou zachwycony, że równocześnie odżyje i przyjaźń z lat dziecińczych, i nieokreślone uczucie, jakie w nim budziło imię Katarzyny.

Wstał, pożegnał się z uśmiechniętym Gilbertem i z Billotem, pogrążonym w zadumie.

Potem pobiegł pędem do księdza Bérardiera, aby zabrać swego mlecznego brata, Sebastiana.

— A my — zwrócił się Gilbert do Billota — pracujmy!

XLV MEDEA

Po straszliwych wstrząsach moralnych, i politycznych w Wersalu zapanował pewien spokój.

Król odetchnął swobodniej,, a rozmyślając nad tym, jak bardzo cierpiała jego duma burbońska w czasie podróży do Paryża, pocieszał się myślą o odzyskanej; popularności, podczas gdy pan Necker tracił ją stopniowo;

Szlachta tymczasem przygotowywała się do stawienia oporu.

Lud czuwał i czekał.

Królowa, zamknięta w sobie, pewna, że jest celem ogólnej nienawiści, usuwała się w cień. Od podróży króla do Paryża prawie nie widywała Gilberta. Raz spotkała go w przedsionku królewskiego gabinetu. Gdy złożył jej głęboki ukłon, pierwsza wszczęła z nim rozmowę.

— Dzień dobry panu — rzekła. — Udajesz się do króla? I dodała z uśmiechem pełnym ironii:

— Jako doradca czy jako lekarz?

— Jako lekarz, Najjaśniejsza Pani — odparł Gilbert — Mam dziś wyznaczoną służbę.

Dała znak, aby poszedł za nią,, Gilbert usłuchał Weszli do saloniku,, sąsiadującego z komnatą królewską.

— A więc — rzekła — oszukałeś mnie pan, zapewniając, że królowi nie grozi niebezpieczeństwo w czasie podróży do Paryża.

— Ja, Najjaśniejsza Pani? — zapytał Gilbert zdziwiony.

— Oczywiście. Czyż nie strzelano do Jego Królewskiej Mości?

— Któż to powiedział?

— Wszyscy, a przede wszystkim ci, którzy widzieli nieszczęśliwą kobietę, padającą pod koła królewskiego powozu. Powiedział mi o tym pan de Beauvau, pan d'Estaing, którzy widzieli pański podarty strój.

— Najjaśniejsza Pani!

— Kula, która pana drasnęła, mogła zabić króla, tak jak zabiła tę kobietę, bo przecież mordercom nie chodziło ani o pana, ani o tę nieszczęśliwą.

— Nie wierzę w zbrodnię, Najjaśniejsza Pani — rzekł Gilbert z wahaniem.

— Ale ja wierzę — odparła królowa, patrząc badawczo na Gilberta.

— W każdym bądź razie, jeśli to była zbrodnia, nie należy przypisywać jej ludowi.

— Komuż ją zatem przypisywać?

— Najjaśniejsza Pani — ciągnął Gilbert, spuszczać głowę — od pewnego czasu obserwuję lud i wyciągam wnioski. Gdy lud morduje w czasie rewolucji, zabija ofiary własnymi rękoma. Jest wtedy podobny do rozjuszonego tygrysa, rozjuszonego lwa. Tygrys i lew nie korzystają z pośredników między sobą i ofiarą. Zabijają, aby zabijać, przelewają krew, aby przelewać. Zatapiają w ofierze kły i pazury.

— Dowodem Foulon i Berthier, nieprawdaż? Ale czyż Flessellesa nie zabito wystrzałem z pistoletu? Tak przynajmniej słyszałam. Choć ostatecznie — ciągnęła królowa z ironią — może to nieprawda, my, głowy koronowane, otoczeni jesteśmy tyloma pochlebcami!

Tym razem Gilbert spojrział badawczo na królowę.

— O, jeśli chodzi o niego — rzekł — to nie wierzysz, tak jak i ja, Najjaśniejsza Pani, że zabił go lud. Byli inni, którym zależało na jego śmierci. Królowa zastanowiła się.

— Istotnie — potwierdziła — to możliwe.

— A więc? — zakończył Gilbert z ukłonem, jakby zapytując, czy może odejść.

— Rozumiem — rzekła Maria Antonina, zatrzymując doktora prawie przyjacielskim gestem.
— Bądź co bądź muszę pana uprzedzić, że nie ocalisz króla swą wiedzą, jak ocaliłeś przed trzema dniami swoją piersią.

Gilbert skłonił się ponownie, a widząc, że królowa nie odchodzi, nie ruszał się z miejsca.

— Powinieneś pan być zobaczyć się ze mną po powrocie — dodała po chwili przerwy.

— Wasza Królewska Mość już mnie nie potrzebowała — rzekł Gilbert.

— Jesteś pan zbyt skromny.

— Chciałbym nim być, Najjaśniejsza Pani.

— Dlaczego? —

— Bo będąc mniej skromny, byłbym mniej nieśmiały, a więc umiałbym lepiej służyć moim przyjaciółom, a szkodzić wrogom.

— Czemu pan mówisz: moim przyjaciółom, a nie mówisz: moim wrogom?

— Ponieważ nie mam wrogów, albo raczej nie chcę wiedzieć, że ich mam.

Królowa spojrzała nań zdumiona.

— Chcę powiedzieć — dodał Gilbert — że moi wrogowie to tylko ci, co mnie nienawidzą, ja jednak do nich nie czuję nienawiści..

— Ponieważ...

— Ponieważ nie kocham już nikogo, Najjaśniejsza Pani.;

— Jesteś ambitny, panie Gilbert.

— Przez chwilę miałem nadzieję nim zostać.

— I...?

— I ta namiętność wygasła we mnie, jak wszystkie inne.

— Jednakże jedna pozostała panu — rzekła królowa z ironią.

— Jaka, Najjaśniejsza Pani?

— Patriotyzm.

Gilbert skłonił się.

— O, to prawda — odparł. — Kocham ojczyznę i gotów; jestem poświęcić dla niej wszystko.

— Niestety! — zawołała królowa z jakąś szczególną melancholią. — Był czas, kiedy dobry Francuz nigdy by nie wyraził tej myśli w podobny sposób.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Najjaśniejsza Pani? — zapytał Gilbert z szacunkiem.

— W czasie, o którym mówię, nie sposób było kochać ojczyznę, nie kochając króla i królowej.

Gilbert zaczerwienił się i skłonił, czując w sercu jakiś tajemniczy prąd, który płynął od królowej w chwilach intymnej rozmowy.

— Nic mi pan nie odpowiadasz? — zapytała.

— Najjaśniejsza Pani — odparł Gilbert — kocham monarchię nade wszystko.

— Żyjemy w czasach, w których nie wystarczają słowa. Czynów nam trzeba.

— Ależ Wasza Królewska Mość — rzekł Gilbert zdziwiony — proszę mi wierzyć, że cokolwiek rozkaże król albo królowa, ja...

— Pan to wykonasz, nieprawda?

— Z całą pewnością, Najjaśniejsza Pani.

— Ale będzie to tylko spełnieniem obowiązku — rzekła królowa, przybierając ton zwykłej wyniosłości.

— Najjaśniejsza Pani...

— Bóg, dając królom wszechwładzę — ciągnęła Maria Antonina — uwolnił ich od długu wdzięczności wobec tych, którzy spełniają tylko swój obowiązek.

— Niestety, Najjaśniejsza Pani — odparł z kolei Gilbert. — Zbliżają się czasy, kiedy twoi

podwładni zasłużą na coś więcej niż wdzięczność, wykonując tylko swój obowiązek.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że w dniach zaburzeń daremnie szukać będziesz przyjaciół tam, gdzie przywykłaś znajdować sługi. Proś, Najjaśniejsza Pani, proś Boga, żeby ci zesłał inne sługi, innych przyjaciół niż dotychczas.

— Czy znasz pan takich?

— Znam, Wasza Królewska Mość. — Wskaż mi ich zatem.

— Ja, Najjaśniejsza Pani, wczoraj byłem twoim wrogiem.

— Moim wrogiem? Dlaczego?

— Dlatego że kazałaś mnie, pani, uwięzić.

— A dziś?

— Dziś, Najjaśniejsza Pani — odparł Gilbert z ukłonem — jestem twoim sługą.

— W jakim celu?

— Najjaśniejsza Pani...

— W jakim celu zostałeś pan moim sługą? Zmiana zdania, przekonań czy uczuć nie leży w pańskim charakterze. Masz wiele przykrych wspomnień, panie Gilbert, i długo pamiętasz urazy. Powiedz mi pan, skąd zaszła w tobie ta zmiana?

— Najjaśniejsza Pani, zarzucałaś mi przed chwilą zbytnią miłość ojczyzny., — Nigdy nie kocha się jej za wiele, chodzi o to, jak się ją kocha. Ja kocham swoją ojczyznę. (Gilbert uśmiechnął się.) O, bez fałszywych interpretacji, pani. Moja ojczyzna to Francja. Niemka z urodzenia, sercem jestem Francuzką. Kocham Francję, ale kocham ją przez króla, kocham przez cześć należną Bogu, który nas namaścił. A teraz na pana kolej!

— Na mnie, Najjaśniejsza Pani?

— Tak, na pana. O, ja to dobrze rozumiem. Pan kochasz Francję tylko dla Francji.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł Gilbert z ukłonem — nieszczerłość dowodziłaby braku czci dla Waszej Królewskiej Mości.

— O, jakaż to okropna epoka — wykrzyknęła królowa — kiedy ludzie uczciwi rozdzielają dwie nierozłączne rzeczy, dwie zespolone ze sobą zasady: Francję i króla. Czyż nie zna pan tragedii jednego z poetów,” w której królowa, opuszczona przez wszystkich, na pytanie: „Któż ci zostanie?” odpowiada: „Ja sama”. Otóż i ja, tak jak Medea, pozostaję sama — i zobaczymy.

Po czym odeszła gniewna, pozostawiając Gilberta pogrążonego w zadumie. Pod wpływem wzburzenia Maria Antonina uchyliła przed nim rąbka zasłony, za którą dojrzewała kontrrewolucja.

„Królowa obmyśla jakiś plan” — rzekł do siebie Gilbert, wchodząc do króla.

„Na tego człowieka nie można liczyć — pomyślała królowa, wracając do swych apartamentów. — Posiada on siłę, ale brak mu poświęcenia.”

Biedni królowie! Dla nich poświęcenie równoznaczne jest ze służalczością.

XLVI

CZEGO CHCIAŁA KRÓLOWA

Gilbert zastał króla zupełnie spokojnego. Ludwik XVI zajmował się rachunkami, obmyślał reformy praw. Ten człowiek dobrej Woli, o łagodnym spojrzeniu i prawej duszy, obarczony przesądami, związanymi z jego dostojnością, opierał się przy drobiazgach, gdyż pozbawiono go rzeczy, wielkich. Wzrokiem krótkowidza starał się przeniknąć widnokrąg, podczas gdy u jego stóp rozwierała się przepaść. Człowiek ten budził w Gilbertce głęboką litość.

Jeśli chodzi o królowę, sprawa wyglądała inaczej. Mimo swej obojętności Gilbert czuł, że była kobietą, którą należy, albo namiętnie kochać, albo śmiertelnie nienawidzić.

Wróciwszy do siebie, Maria Antonina poczuła ogromny ciężar na sercu.

Istotnie — ani jako królowa, ani jako kobieta nie miała koło siebie żadnego oparcia, ani jednego człowieka, na którego by mogła liczyć. Wszędzie widziała zwątpienia i wahanie.

Widziała dworzan zaniepokojonych o los swych majątków.

Widziała krewnych i przyjaciół, myślących o ucieczce.

Widziała najdumniejszą kobietę, Andree, która stawała się dla niej coraz bardziej obojętna i obca.

Widziała człowieka najdroższego jej sercu, najszlachetniejszego, hrabiego de Charny, którego zranił jej kaprys i dręczyło zwątpienie.

Ta sytuacja niepokoiła królowę, będącą uosobieniem intuicji i przenikliwości. Dlaczego Charny, ten człowiek czysty, o sercu szlachetnym, tak się nagle odmienił?

„Nie, on się jeszcze nie zmienił — mówiła do siebie z westchnieniem — ale się zmieni z pewnością.”

„Zmieni się!” Straszliwie brzmi to słowo dla kobiety „kochającej namiętnie i dumnie. A taką właśnie miłością darzyła królowa Oliwiera de Charny. Cierpiała więc podwójnie.

W chwili gdy spostrzegła wyrządzoną krzywdę i własną niesprawiedliwość, miała jeszcze czas ją naprawić. Ale charakter tej kobiety nie pozwolił jej się ugiąć. Nawet gdy, była niesprawiedliwa, nie była zdolna ustąpić. Może wobec kogoś obojętnego okazałaby wielkość duszy i wtedy prosiłaby o przebaczenie. Nie chciała jednak uczynić ustępstwa dla tego, którego zaszczycała miłością żywą i czystą, któremu powierzyła najskrytsze tajemnice.

Dla królowych, które zniżają się, aby pokochać poddanego, największym nieszczęściem jest to, że kochają jak królowe, nie zaś jak kobiety. Maria Antonina ceniła się tak wysoko, iż nie sądziła, aby coś mogło opłacić jej miłość: krew lub łzy.

Gdy osoba Andrei wzbudziła zazdrość w jej sercu, uczuła, że się poniża. To wywołało z początku kaprysy, później gniew. Gniew dyktował złe myśli, które prowadziły do złych czynów.

Charny zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy, ale jako mężczyzna rozumiał, że Maria Antonina była niesłusznie zazdrosna o jego żonę. O tę, na którą nigdy nie spojrzał.

Nic tak nie oburza serca niezdolnego do zdrady, jak posądzenie o nią. Nic bardziej nie ściąga na kogoś uwagi, jak właśnie zazdrość o, tę osobę. Zwłaszcza, gdy zazdrość ta jest niesłuszna. Wówczas posądzany człowiek zaczyna się zastanawiać. Bada odruchy zazdrosnego serca, przypatruje się zazdrosnej kobiecie. Im bardziej jest niepospolita, tym większe ściąga na siebie niebezpieczeństwo. Bo jakże można przypuszczać, aby szlachetne serce, niepospolity rozum, wrodzona duma niepokoiły się bez powodu?

Dlaczego kobieta piękna jest zazdrosna? Dlaczego zazdrosna jest kobieta potężna, rozumna? Czyż możliwe jest, aby taka właśnie kobieta niepokoiła się bez powodu lub by powód ten był

nieistotny?

Charny wiedział, że panna Andrea de Taverney była dawniej przyjaciółką królowej i że była przez nią wyjątkowo lubiana. Dlaczego więc Maria Antonina przestała ją kochać? Czemu była o nią zazdrosna? Czyżby dostrzegła jakiś nowy szczegół jej urody, którego Charny nie odkrył, bo go nie szukał?

Czyż więc sądziła, że Charny wreszcie spojrzy na tę kobietę, a wtedy królowa może na tym stracić?

A może się jej wydało, że Charny kocha ją mniej, niezależnie od jakichkolwiek przyczyn?

Dla zazdrosnych nie ma nie fatalniejszego niż uświadomienie osobie kochanej stopnia jej miłości.

Ileż to razy oziębłość, zarzucana osobie kochanej, uświadomiła dopiero jej istnienie.

O, niezręczności kochanków! Chociaż prawdą jest, że gdzie jest zręczność, tam nie ma miłości.

Wybuchem niesłusznego gniewu Maria Antonina odkryła hrabiemu de Charny, że mniej już jest w niej zakochany.;

Zrozumiawszy to, zaczął szukać wokół siebie przyczyny zazdrości królowej i wkrótce ją znalazł.

To. Andrea, biedna, opuszczona Andrea, małżonka nie będąca żoną.

I poczuł żal.

To, co się zdarzyło po powrocie z Paryża, odstąpiło mu głęboką, tajemną zazdrość, dla wszystkich oczu ukrytą.

Królowa również spostrzegła, że wszystko się wykryło, ale nie chcąc poniżyć się wobec hrabiego Charny, chwyciła się innego sposobu, który — jej zdaniem — miał okazać się skuteczny.

Zacząła okazywać Andrei serdeczność. Dopuściła ją do przechadzek, do zebrań wieczornych, obsypywała ją pieszczotami, budząc tym zazdrość innych kobiet.

Andrea przyjmowała to ze zdziwieniem, ale bez wdzięczności. Od dawna już powiedziała sobie, że należy do królowej i że królowa może z nią zrobić wszystko, co chce.

Ponieważ jednak rozdrażnienie kobiety musiało się na kimś wyładować, Maria Antonina zaczęła źle traktować hrabiego de Charny. Nie rozmawiała z nim, była szorstka. Przechodziły wieczory, dni, tygodnie, a nie raczyła zauważyć jego obecności.

Gdy hrabiego nie było, nieszczęśliwa kobieta cierpiała, szukając go niespokojnym wzrokiem, ale odwracała się zaraz, skoro tylko się zjawił.

Jej ramię, rozkaz, uśmiech zwracały się zawsze do pierwszego z brzegu wybrańca. Zresztą pierwszym z brzegu był zawsze mężczyzna piękny i dystygowany.

Królowa raniąc Oliwiera chciała uleczyć własne rany.

On zaś cierpiał w milczeniu. Umiał panować nad sobą? Przeżywając istne tortury nie zdradził się nigdy ani jednym odruchem gniewu czy zniecierpliwienia.

Andrea wiedziała, jakie przechodził cierpienia, a że kochała go miłością anielską, która nigdy nie żywi nadziei, litowała się nad hrabią i okazywała mu to. Współczucie zbliżyło ich do siebie. Andrea próbowała pocieszyć hrabiego nie dając mu poznać, że wie o tym, iż potrzebuje pociechy. Czyniła to z delikatnością, do jakiej zdolne są jedynie kobiety.

Maria Antonina, starając się ich poróżnić, aby panować, spostrzegła, że obrała złą drogę i że mimo woli zbliżyła dusze, które chciała rozłączyć. A potem nocą, wśród ciszy i samotności przeżywała wybuchy straszliwej rozpacz i byłaby z pewnością załamała się pod ciężarem cierpienia, gdyby nie absorbowwała jej polityka. Człowiek zmęczony nie uskarża się na twardość łoża.

W takich okolicznościach żyła królowa od chwili powrotu króla do Wersalu aż do dnia, w którym na serio pomyślała o odzyskaniu absolutnej władzy politycznej. Dla tego ruchliwego umysłu zamiar i czyn stanowiły jedno. Nie tracąc ani chwili, Maria Antonina przystąpiła do dzieła.

Niestety, stało się ono jej zgubą.

XLVII

PUŁK FLANDRYJSKI

Wszystkim powyższym wydarzeniom mogła zaradzić czyjaś stanowcza i przemyślna ręka. Chodziło tylko o to, ażeby skoncentrować siły.

Królowa, widząc, że paryżanie przeistoczyli się w wojskowych i jak gdyby pragnęli wojny, postanowiła pokazać im, czym jest prawdziwa wojna.

„Dotychczas mieli do czynienia z inwalidami z Bastylli, ze źle uzbrojonymi Szwajcarami. Teraz zobaczą, czym są dobrze wyćwiczone pułki królewskie. Jest gdzieś zapewne taki pułk, który uspokajał zaburzenia i przelewał krew podczas wojny domowej. Sprowadzi się najbardziej znany z tych pułków. Wówczas paryżanie zrozumieją, że uległość będzie jedynym środkiem ocalenia, jaki im pozostał.”

Było to po wszystkich sporach, toczących się między Zgromadzeniem Narodowym i królem o prawo weta: W ciągu dwóch miesięcy król walczył o utrzymanie bodaj strzępka swej suwerenności. Wspólnie z Mirabeau i z ministerstwem próbował zneutralizować republikańskie zapędy, chcące unicestwić władzę królewską we Francji.

Królowa wyczerpała się w tej walce, dlatego zwłaszcza, iż widziała, że król został pokonany.

Ludwik XVI stracił całą swoją władzę i popularność. Do królowej przylgnął przydomek, przezwisko. Było to jedno za słów dziwnie brzmiących dla ludu, a przez to samo miłe dlań, słowo, które nie było jeszcze zniewagą, ale stało się z czasem obelgą najkrwawszą. Nazwano królowę „Panią Weto”.

Przezwisko to, niesione na skrzydłach rewolucyjnych piosenek, dotarło do Niemiec, do poddanych i przyjaciół tych osób, które posyłając do Francji królowę Niemkę, miało prawo dziwić się, że lżono ją mianem „Austriaczki”.

To przezwisko miało towarzyszyć w Paryżu, w dniach mordy, ostatnim chwilom nieszczęśliwych ofiar.

Maria Antonina zwała się odtąd „Panią Weto” aż do dnia, w którym zaczęto ją nazywać „Wdową po Kapecie”.

Po raz trzeci zmieniła już imię. Po przezwisku „Austriaczka” nadano jej przydomek „Pani Deficyt”.

Gdy usiłowała zainteresować swych przyjaciół grożącym im również niebezpieczeństwem, dowiedziała się, że na Ratuszu złożono sześćdziesiąt tysięcy podań o paszporty.

Sześćdziesiąt tysięcy różnych osobistości z Paryża i Francji wyjechało za granicę, do przyjaciół i krewnych królowej, Zastanowiło to Marię Antoninę.

Odtąd myślała tylko o zręcznie przygotowanej ucieczce, w razie potrzeby popartej siłą, o ucieczce, mającej przynieść ocalenie. A potem wierni poddani, pozostali we Francji, mogliby toczyć wojnę domową, która byłaby karą dla rewolucjonistów.

Plan nie był zły i byłby z pewnością się udał. Ale nad królową zawisł jakiś fatalizm. Szczególne przeznaczenie: kobieta, dla której dokonano tylu poświęceń, nie mogła liczyć na dyskrecję.

W Paryżu wiedziano, że królowa chce uciec, zanim się jeszcze na to zdecydowała. Od chwili, gdy się o tym dowiedziano, plan stał się niewykonalny.

Tymczasem do Paryża ciągnął forsownym marszem pułk, flandryjski, znany z przywiązania do monarchii.

Wezwany został przez radę miejską, którą już znużyło nieustanne nadzorowanie zagrożonego

zamku, rozdział środków żywności i ponawiające się rozruchy. Okazała się potrzebna inna siła niż Gwardia Narodowa i milicja.

Pułk flandryjski nadciągał. Należało go powitać w sposób uroczysty, który by zwrócił uwagę ludu. Miało to zapewnić pułkowi autorytet, jakim chciano go otoczyć.

Admirał d'Estaing, zebrawszy wszystkich oficerów Gwardii Narodowej oraz innych stacjonujących w Wersalu korpusów, wyruszył naprzeciw pułku. Wkroczył on do Wersalu uroczyście — z armatami, parkami i całym taborem.

Koło wojska zgrupowała się młodzież szlachecka, nie należąca do żadnej z poszczególnych broni.

Umawiają się, jaki przywdzieją mundur, łączą się z oficerami spoza kadry, z kawalerami Orderu Świętego Ludwika, których ściągnęło do Wersalu niebezpieczeństwo lub przezorność. Pełno ich teraz w całym Paryżu, który patrzy na nich w osłupieniu, czując w nich nowych wrogów, świeżych, zuchwałych, kryjących jakąś tajemnicę.

Wtedy właśnie król mógł wyjechać. Znalazłby w czasie podróży oparcie i ochronę, a Paryż, nieświadomy jeszcze i źle przygotowany, nie stawiałby przeszkód.

Ale fatum ciążyło niezmiennie nad Austriaczką.

Leodium zbuntowało się przeciwko cesarzowi i Austria, zaprzątnięta tą rewoltą, ani mogła myśleć o królowej Francji. Wypadki zaczęły następować po sobie z błyskawiczną szybkością. Po owacyjnym powitaniu pułku flandryjskiego gwardia przyboczna postanowiła wydać obiad na cześć przybyłych oficerów. Datę uroczystego bankietu wyznaczono na dzień pierwszy października. Zaproszone zostały wszystkie znaczniejsze w mieście osoby.

O co chodziło? Czy o zbratanie się z żołnierzami Flandrii?. Czemu żołnierze nie mieliby się bratać ze sobą, skoro bratały się okręgi i prowincje? Czyż konstytucja wzbraniała bratać się szlachcicom?

Król był jeszcze panem swoich pułków i sam nimi dowodził. Był wyłącznym posiadaczem wersalskiego pałacu i miał prawo przyjmować w nim, kogo mu się podobało. Czemuż by; więc nie mógł przyjąć dzielnych żołnierzy i godnych szlachciców, przybywających z Douai, gdzie „zachowywali się nienagannie”?

Nic naturalniejszego na świecie. Nikt nie myślał się dziwić ani niepokoić. Ten wspólny obiad miał zacieśnić więzy, jakie winny łączyć wszystkie korpusy armii francuskiej, mającej bronić wolności i zarazem władzy królewskiej.

A zresztą, czy król wiedział, co postanowiono?

Po ostatnich wydarzeniach Ludwik XVI, wolny dzięki poczynionym ustępstwom, niczym się już nie zajmował — zdjęto z niego brzemień obowiązków. Nie chciał już panować, ponieważ panowano zamiast niego, nie uważał jednak, że musi się przez cały dzień nudzić.

Toteż gdy panowie ze Zgromadzenia podstępnie przykrawali i obcinali, król polował.

Kiedy panowie, szlachta i biskupi zrezygnowali czwartego sierpnia ze swych praw feudalnych i pergaminów, pragnąc tak jak wszyscy ponieść ofiary, król zniósł swe przywileje myśliwskie, nie przestał jednak polować.

Postanowiono więc, że kiedy król będzie na polowaniu, wydany zostanie obiad dla wojskowych z pułku flandryjskiego i gwardii przybocznej, a po powrocie króla będzie już po uczcie.

Król czuł się jak mało skrępowany i był dla innych tak mało krępujący, że w Wersalu postanowiono prosić królowę, aby zezwoliła na urządzenie bankietu w pałacu.

Królowa nie miała powodu odmawiać gościnności żołnierzom z Flandrii. Odstąpiła salę widowiskową, w której ułożono na ten dzień podłogę, aby było więcej miejsca dla żołnierzy oraz ich gości.

Gościnność królowej dla szlachty francuskiej nie zna ograniczeń. Jest już sala jadalna, ale brak salonu, królowa odstępuje więc salon Herkulesa.

W czwartek, pierwszego października, odbył się bankiet, który miał zapisać się tak okrutnie w historii zaślepienia władzy królewskiej.

Król był na polowaniu.

Królowa zamknęła się u siebie, smutna i zamyślona, zdecydowana nie słuchać ani brzęku kielichów, ani podniesionych głosów.

W ramionach trzymała syna, obok niej była Andrea, W rogu pokoju pracowały dwie kobiety. I to wszystko, całe otoczenie królowej.

Do pałacu zaczęli schodzić się oficerowie w pióropuszcach, z połyskującą u boku bronią. Konie rżały w stajniach, grzmiały fanfary, powietrze napełniały harmonijne dźwięki dwóch, orkiestr: flandryjskiej i gwardii.

Przy pałacowych kratach tłum blady, ciekawy, mrukliwy i niespokojny, śledził, analizował i wydawał sądy o uczcie i muzyce.

Z otwartych drzwi buchały wraz z wesołym gwarem zapachy smakowitego jadła. Jakąż nieroztropnością było dopuścić, aby ten wygłodzony i ponury tłum chłonał woń mięsiwa, wina, radość i nadzieję!

Nic jednak nie zakłóciło trwającej w dalszym ciągu uczty Oficerowie, z początku wstrzeźliwi i pełni szacunku, rozmawiali półgłosem i pili z umiarem. W ciągu pierwszego kwadransa wszystko odbywało się zgodnie z ułożonym programem. Gdy podawano drugie danie, wstał pan de Lusignan, dowódca pułku flandryjskiego, proponując cztery toasty: za króla, królowę, delfina i rodzinę królewską.

Cztery okrzyki wzbily się aż pod sklepienie, przenikając na zewnątrz i docierając do uszu posępnych widzów.

Wówczas podniósł się jeden z oficerów. Był to zapewne człowiek rozumny i odważny, człowiek rozsądny, przewidujący skutki tego bankietu, ktoś szczerze przywiązany do rodziny, królewskiej, na której cześć tak hałaśliwie wiwatowano. Rozumiał dobrze, że zapomniano o jednym toaście, który sam narzucił się brutalnie.

Zaproponował wzniesie zdrowie narodu.

Przeciągły szmer poprzedził głośnie okrzyki:

— Nie! Nie!

Toast za naród odrzucono.

Bankiet nabierał więc właściwego charakteru, potok rwał niepowstrzymanie naprzód. Mówiono wtedy, a i potem jeszcze, że ów toast został wzniesiony przez agenta, zamierzającego sprowokować wrogą demonstrację.

Tak czy inaczej, jego wystąpienie miało fatalny skutek. Można zapomnieć o narodzie, ale nie wolno go lżyć. Toteż naród zemścił się. Od tej chwili lody prysły, dyskretny spokój ustąpił miejsca okrzykom i pełnym podniecenia rozmowom, znikła karność, kazano wejść dragonom, grenadierom, Szwajcarom i wszystkim prostym żołnierzom, jacy tylko znajdowali się w pałacu..

Dziesięć razy napełniano winem kielichy, a gdy podano deser, znikł w okamgnieniu. Pijaństwo stawało się ogólne, żołnierze bezwiednie trącali się z oficerami. Była to rzeczywiście braterska uroczystość.

Zewsząd brzmiały okrzyki: „Niech żyje król! Niech żyje królowa”! Ileż kwiatów, ile światła, ile tęczy blasków skrzących się w złożonych sklepieniach! Ileż radosnych myśli rozjaśnia czoła. Jaka lojalność bije z twarzy tych zuchów. Jakże rozkoszny byłby to widok dla królowej, niezmiernie kojący dla króla!

Czemuż król, tak teraz nieszczęśliwy, i królowa pogrążona w smutku nie brali udziału w tej

uczcie?

Usłudni słudzy opuszczają salę, biegną do Marii Antoniny, opowiadają z przesadą to, co widzieli.

Zgaszony wzrok królowej ożywia się. A więc serca Francuzów zdolne są jeszcze do lojalności, do uczucia! A zatem istnieje jeszcze nadzieja.

Ale już po chwili królowa rzuca wokół siebie posepne, i strapione spojrzenie.

Obok jej drzwi snuje się gromada sług. Proszą, błagają królowę, aby choć na chwilę pojawiła się na uczcie, gdzie dwa tysiące poddanych w okrzykach pełnych entuzjazmu daje wyraz głębokiej czci dla monarchii.

— Króla nie ma — mówi ze smutkiem — nie mogę pójść sama.

— A więc z delfinem — nalega kilku nierozważnych.

— Najjaśniejsza Pani, zostań tu — szepcze jej do ucha czyjś głos. — Zaklinam Waszą Królewską Mość, pozostań!

Odwraca się i widzi pana de Charny.

— Jak to? — zapytuje. — Pan nie jest tam na dole, razem ze wszystkimi?

— Wróciłem stamtąd, Najjaśniejsza Pani. Panuje tam podniecenie, którego skutki mogą Waszej Królewskiej Mości, zaszkodzić więcej, niż to się wydaje.

Maria Antonina była tego dnia w kapryśnym usposobieniu i chciała uczynić wszystko na przekór panu de Charny.

Obrzuciła hrabiego pogardliwym spojrzeniem i już zamierzała mu niegrzecznie odpowiedzieć, kiedy on powstrzymał ją gestem pełnym czci i rzekł z naciskiem:

— Na miłość boską, Najjaśniejsza Pani! Poczekaj ma króla, Sądził, że zyska na czasie.

— Król! Król! — zawołało kilka głosów. — Jego Królewska Mość wraca z łowów.

Tak było istotnie.

Maria Antonina wybiegła na powitanie króla, który cały zakurzony, nie zdążył jeszcze zrzucić butów.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła. — Chodź, ujrzysz na dole widok godny króla Francji. Chodź tam! Chodź!

Ująwszy króla pod ramię, pociąga go za sobą, nie patrząc na hrabiego de Charny, który z wściekłością wpija sobie paznokcie w ciało.

Poprzedzana przez dworzan Maria Antonina schodzi, trzymając za” rękę syna. Staje na progu sali operowej w drwili gdy po raz dwudziesty opróżniano kielichy z okrzykiem: „Niech żyje król! Niech żyje królowa!”

XLVIII

BANKIET GWARDZISTÓW

Kiedy królowa wraz z królem i synem ukazała się na progu sali operowej, od stołu biesiadnego aż do samych łóż zabrzmiał potężny, podobny do eksplozji wybuch radości.

Żołnierze i oficerowie, upojeni i podnieceni, wzniesli w górę kapelusze i szpady, wołając: „Niech żyje król! Niech żyje królowa! Niech żyje delfin!”

Orkiestra zaczęła grać: *O, Ryszardzie! O, mój królu!*

Aluzja zawarta w tej melodii była tak przejrzysta i tak zgodna z myślami obecnych, tak wyraźnie odpowiadała ogólnemu nastrojowi, że wszyscy słysząc muzykę zaintonowali jednocześnie słowa.

Rozradowana królowa zapomniała, że znajduje się wśród ludzi pijanych. Król, zaskoczony, z właściwym mu zdrowym rozsądkiem, czuł dobrze, że nie jest tu na swoim miejscu, że postępuje wbrew swemu sumieniu. Ale był słaby i schlebiało mu, że odzyskuje straconą u ludu popularność, uległ więc stopniowo ogólnemu entuzjazmowi.

Charny, który w czasie całej uczty pił tylko wodę, wstał blady na widok królowej i króla. Miał nadzieję, że wszystko odbędzie się bez ich udziału, a wtedy można byłoby wyprzeć się wszystkiego, wszystkiemu zaprzeczyć, gdy tymczasem obecność króla i królowej stawała się już faktem historycznym.

Ale przeraził się jeszcze bardziej widząc, że jego brat, Jerzy, zbliża się do Marii Antoniny i zachęcony jej uśmiechem prosi ją o coś.

De Charny znajdował się za daleko, by mógł cokolwiek słyszeć. Zobaczył, jak królowa skinęła głową na znak zgody i nagle odczepiwszy od swojej sukni odznakę, ofiarowała ją młodzieńcowi. Charny zadrżał i wyciągnąwszy ramiona, omal nie krzyknął.

Odnaka, którą królowa podała nierozważnemu rycerzowi, nie była nawet biała, francuska, lecz czarna, austriacka — była to odznaka wroga. Tym razem postępek Marii Antoniny był czymś więcej niż nieroztropnością. Był zdradą.

A jednak ci biedni fanatycy, których Bóg chciał zgubić, byli do tego stopnia szaleni, że kiedy Jerzy Charny pokazał im tę czarną odznakę, jedni z nich zerwali z siebie białą, inni zaś rzucili i zdeptali trójkolorową.

Wówczas ogarnęło wszystkich takie podniecenie, że dostojni goście z flandryjskiego pułku musieli pośpiesznie opuścić salę, by ich nie zaduszono wśród pocałunków i uścisków.

Wszystko to zostałoby potraktowane jako szaleństwo, która Francuzi gotowi są zawsze wybaczyć. Ale orgia ta nie ograniczyła się tylko do entuzjazmu. Przekroczono szybko jego granice.

Czy schlebując królowi dobrzy rojaliści powinni byli zadrasnąć uczucia narodu? Tego narodu, w którego imieniu wyrządzono królowi tyle przykrości, że orkiestra miała prawo zagrać: *Czy można smucić tego, kogo się kocha?*

W tym momencie król, królowa i delfin opuścili salę.

Po ich odejściu, goście zagrzewając się nawzajem, przemienili salę bankietową w zdobyte szturmem miasto. Na znak pana Persevala, adiutanta pana d'Estaing, zatrąbiono do ataku.

Lecz przeciwko komu ten atak?

Przeciw nieobecnemu wrogowi. Przeciwko ludowi.

Ten sygnał, tak miły dla ucha Francuza, sprawiał złudzenie, iż sala operowa w Wersalu jest polem bitwy, a piękne damy patrzące z łóż — nieprzyjacielem.

Zabrzmiał okrzyk stu głosów: „Do szturmu!” i zaczęto wdzierać się do łóż. Zamiary szturmujących były jednak mało groźne, tak że obleżone kobiety wyciągnęły ku nim ręce;

Pierwszy wtargnął na balkon grenadier z flandryjskiego pułku, a pan de Perseval udekorował go krzyżem, zdjętym z własnej piersi. Co prawda, był to tylko krzyż limburski, który nie jest nawet orderem. Wszystko to odbywało się pod znakiem barw austriackich, przeciwko odznace narodowej.

Tu i ówdzie słyhać było złowrogie okrzyki. Ale ginąc wśród ogólnego wycia, wiwatów szturmujących, wśród dźwięków trąbek, docierały jednak do uszu ludu, który słuchał pod bramą, ogarnięty najpierw zdziwieniem, a potem oburzeniem.

Wówczas dowiedziano się na placu, a potem na ulicach, że czarna odznaka zajęła miejsce białej, a trójkolorową podeptano. Dowiedziano się, że pewien dzielny oficer Gwardii Narodowej, który mimo gróźb zachował trójkolorową odznakę, został dotkliwie poturbowany w pałacu królewskim.

Powtarzano też sobie, że jakiś oficer stał nieruchomo przy wejściu do tej olbrzymiej, w cyrk przemienionej sali, przypatrując się ze smutkiem całemu widowisku. Oficer ten okazał się prawym, nieustraszonym żołnierzem i uległ tylko wobec przemocy większości. Przyjął na siebie winę innych, biorąc odpowiedzialność za wszystkie wybryki armii, reprezentowanej w tym fatalnym dniu przez oficerów flandryjskiego pułku. Nie wymieniono nawet nazwiska tego człowieka, który okazał się jedynym rozumnym wśród szaleńców. A gdyby nawet je znano, nikt by nie uwierzył, że hrabia de Charny, ulubieniec królowej, gotów za nią umrzeć, był tym właśnie, który cierpiał najboleśniej wskutek jej postępuku. Królowa zaś wróciła do siebie oczarowana. Otoczył ją zaraz tłum dworzan i pochlebców.

— Wasza Królewska Mość sama widziała — mówiono — jaki jest rzeczywisty nastrój wojska, a jeśli się mówi o opanowaniu ludu przez idee anarchistyczne, to czyż może on przeciwstawić się wielkiemu zapałowi francuskich pułków dla idei monarchii?

Ponieważ słowa te wyrażały tajemne pragnienia królowej, uległa złudzeniom, nie spostrzegając nawet, że Charny został gdzieś daleko od niej.

Hałasy powoli ucichły. Król przyszedł do królowej w chwili, gdy udawała się na spoczynek, i rzucił słowa nacechowane głęboką mądrością:

— Zobaczmy, co przyniesie jutro.

Nieostrożny! Kogo innego słowa te mogłyby otrzeźwić, ale w królowej ożywiły tylko wyschnięte źródło oporu.

— Rzeczywiście — szepnęła po odejściu króla — ten płomień gorejący dziś wewnątrz pałacu, rozszerzy się w ciągu nocy po całym Wersalu, a jutro pożar ogarnie całą Francję. Wszyscy oficerowie, wszyscy ci żołnierze, którzy dali mi dzisiaj tak gorące dowody przywiązania, zyskają w narodzie miano zdrajców i buntowników. Przywódców arystokracji nazwie się mordercami ojczyzny, a podwładnych — najemnikami Pitta i Koburga, barbarzyńcami Północy. Każdego, kto nosił czarną odznakę, oczekuje latarnia na placu Grève. Każdą pierś, z której wydarł się okrzyk: „Niech żyje królował”, przeszyje w pierwszych już rozruchach zbrodniczy nóż lub haniebna pika.

I zawsze ja będę tego przyczyną, ja skażę na śmierć tyle dzielnych sług, ja, nietykalna władczyni, w swoim własnym otoczeniu oszczędzana wskutek hipokryzji, a poza nim nienawistnie lżona.

O, nie! Raczej wezmę całą winę na siebie, nie będę do tego stopnia niewdzięczna, nie będę tak dalece tchórzliwa i bez serca wobec mych jedynych, ostatnich przyjaciół; Przecież dla mnie zrobiono to wszystko i na mnie spaść musi gniew 4udu. Zobaczmy, jak daleko posunie się nienawiść, czy ośmieli się sięgnąć do stóp tronu...

A gdy bezsenność podsuwała królowej tak ponure myśli, dzień następny nie stanowił dla niej zagadki.

Nadszedł ten dzień pełny żalów i szemrania.

Zjawiała się Gwardia Narodowa, aby podziękować królowej za ofiarowane sztandary. Przyszli ze zwieszoną głową i dziękowali, spoglądając z ukosa.

Z postawy tych ludzi łatwo było odgadnąć, że nie pochwalali tego, co zaszło, lecz przeciwnie — gdyby tylko śmieli, potępiliby wszystko. Włączyli się do orszaku, powitali przybywający pułk flandryjski, otrzymali zaproszenie na bankiet i przyjęli je, ale że uważano ich bardziej za obywateli niż żołnierzy, ich to właśnie dotyczyły owe głuche pomruki, na które nikt nie zwracał uwagi.

Pomruki te stały się nazajutrz wymówką, naganą.

Gwardzistom, przybyłym do królowej z podziękowaniem, towarzyszył wielki tłum. Ze względu na powagę okoliczności, ceremonia miała być imponująca. Jedna i druga strona chciała wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Wszyscy żołnierze i oficerowie, skompromitowani poprzedniego dnia, chcąc wiedzieć, w jakim stopniu królowa poprze ich w tej nierozważnej demonstracji, stanęli naprzeciw znieważonego w przeddzień ludu, aby usłyszeć pierwsze oficjalne słowa, jakie wyjdą z pałacu.

Od tej chwili całe brzemie kontrrewolucji spadło wyłącznie na głowę królowej. Ale było jeszcze w jej mocy zrzucić z siebie tę odpowiedzialność, zażegnać to wielkie nieszczęście. Ona jednak, najdumniejsza ze swego rodu, spoglądając jasnym, pogodnym i śmiałym wzrokiem na otaczających ją przyjaciół i wrogów, przemówiła dźwięcznym głosem do oficerów Gwardii Narodowej.

— Panowie, bardzo jestem rada z ofiarowania wam sztandarów. Naród i armia winny kochać króla, tak jak my kochamy armię i naród. Byłam zachwycona wczorajszym dniem.

Po tych słowach, wypowiedzianych stanowczo, szmer powstał w tłumie, a wśród wojskowych zerwały się hałaśliwe oklaski.

— Znaleźliśmy poparcie — rzekli jedni.

— Zdradzono nas — odparli inni.

Tak więc, biedna królowo, fatalna ucztą pierwszego października nie była dla ciebie niespodzianką. Tak więc, nieszczęsna kobieto, ubiegły dzień nie budzi w tobie żalu ani skruchy. Jak najbardziej daleka od wyrzutów, jesteś tym wszystkim nawet zachwycona!

Charny słuchał z głębokim smutkiem i bólem tych wyrazów uznania, więcej jeszcze, tej pochwały ekscesów przybocznej gwardii.

Wzrok królowej, oderwawszy się od tłumy, napotkał oczy hrabiego. Maria Antonina zatrzymała spojrzenie na twarzy ukochanego, aby z niej wyczytać wrażenie, jakie sprawiły jej słowa.

„Prawda, że jestem odważna?” — zdawała się mówić.

„Niestety, Najjaśniejsza Pani, jesteś bardziej szalona niż odważna” — odpowiedziało jej zasepione cierpieniem oblicze de Charny.

XLIX

DO GŁOSU DOCHODZĄ KOBIETY

W Wersalu dwór przybrał bohaterską postawę wobec ludu.

Paryż manifestował przeciw dworowi, uzbrojeni ludzie przemierzali ulice miasta.. Wałęsali się oni w łachmanach, ściskając rękojeść szabli lub kolbę pistoletu, badając swą pustą kieszeń i próżny żołądek.

Podczas gdy w Wersalu wina lało się strumieniami, w Paryżu ludzie nie mieli co jeść.

Za dużo było wina na wersalskich stołach.

Za mało mąki w paryskich piekarniach.

Osobliwa historia! Ponure zaślepienie, budzące uśmiech politowania w czasach dzisiejszych, kiedy przywykliśmy do tyłu obalonych tronów. Organizować kontrrewolucję i wyzywać do walki zgłodniały lud.

Niestety! — powie historia, zgodnie z duchem realizmu filozoficznego — lud bije się najzacieklej wówczas, gdy jest głodny.

Było jednak rzeczą łatwą dać ludziom jeść, a wtedy chleb wersalski nie wydałby się im tak gorzki.

Ale mąka nie nadchodziła już z Corbeil, które jest tak daleko od Wersalu! Któż więc z otoczenia króla lub królowej chciałby pomyśleć o jakimś Corbeil?

Na nieszczęścia, skutek tego niedopatrzenia ze strony dworu, na ulice Paryża zawitał głód, blade i niespokojne widmo, budzące się tak łatwo, a zasypiające z tak wielkim trudem. Przystawał na rogach ulic, zbierał orszaki włóczęgów i złoczyńców, przysuwając swą ponurą twarz do okien bogaczy i dygnitarzy.

Ludzie pamiętają o rozruchach, które kosztują tyle krwi. Przypominają sobie Bastylię, wspominają Foulona, Berthiera, Flessellesa. Boją się, że znów nazwani zostaną mordercami, więc czekają.

Ale kobiety, które dotychczas tylko cierpiały, a które teraz cierpią potrójnie — za dziecko płaczące, nieświadome niczego, za dziecko wołające „chleba”, za męża, który wychodzi z domu chmurny, a wraca jeszcze bardziej ponury i milczący, a wreszcie i za siebie — kobiety płoną pragnieniem odwetu, chcą także służyć ojczyźnie.

Czyż zresztą pierwszy październik w Wersalu nie był dziełem kobiet?

Ich dziełem również był piąty październik w Paryżu.

Gilbert i Billot znajdowali się w Palais-Royal, w kawiarni Foy. Tam właśnie rodziły się hasła. Nagle otwierają się drzwi kawiarni i wchodzi kobieta. Do głębi wystraszona oznajmia, że białe i czarne odznaki przedostały się z Wersalu do Paryża, zagrażając bezpieczeństwu publicznemu.

Warto teraz przypomnieć słowa de Charny, zwrócone do, królowej:

— Najjaśniejsza Pani, kiedy głos zabiorą kobiety, będzie to rzeczywisty powód do obaw.

Gilbert był tego samego zdania.

Toteż widząc, że kobiety dochodzą do głosu, zwrócił się do Billota, mówiąc krótko;

— Do Ratusza!

Po rozmowie z Gilbertem, w wyniku której Pitou wrócił z młodym Sebastianem do Villers-Cotterets, Billot był posłuszny każdemu słowu i skinieniu Gilberta, gdyż rozumiał, że jeżeli on sam był siłą, to Gilbert — rozumem.

Obaj wybiegli z kawiarni, przecięli ogród Palais-Royal i przebywszy dziedziniec Fontaines, dotarli do ulicy Samt-Honoré. W pobliżu Hal natknęli się na młodą dziewczynę, która

wychodziła właśnie z ulicy Bourdonnais bijąc w bęben.

Gilbert przystanął zdziwiony.

— Co to takiego? — zapytał.

— No cóż, widzi pan, doktorze — odparł Billot — Jakież ładne dziewczę bębni i, dalibóg, wcale nie najgorzej.

— Pewno coś zgubiła — powiedział jeden z przechodniów. — Jaka ona blada — zauważył Billot.

— Zapytaj pan, o co jej chodzi — rzekł Gilbert.

— Hej, śliczna dziewczuszko — odezwał się Billot — czemuż tak walisz w bęben?

— Jestem głodna! — odparła ładna dziewczyna wątlym, piskliwym głosem.

I bębniąc bez przerwy poszła dalej. Gilbert słysząc te słowa powiedział:

— O, to zaczyna być straszne.

I przyjrzał się uważniej kobietom, podążającym za młodą dziewczyną. Były mizerne, zrozpaczone, chwiały się na nogach. Niektóre z nich nie jadły od trzydziestu godzin. Co jakiś czas wydobywał się z tej ciżby głos groźny w swej słabości, gdyż wydarł się na pewno ze zgłodniałych ust.

— Do Wersalu! — krzyczały kobiety. — Do Wersalu! Po drodze przyłączały się do nich inne kobiety, dawały znak wszystkim napotkanym kobietom, wzywając również Wszystkie, które pokazały się w oknach.

Przejechał powóz, w którym siedziały dwie damy. Wychyliwszy głowy przez okno, zaczęły się śmiać.

Kobięcy orszak przystanął. Ze dwadzieścia kobiet rzuciło się ku drzwiczkom, każąc damom wysiąść i przyłączyć się do grupy. Kilka silnych szturchańców przełamało ich opór i protesty. Za kobietami, które posuwały się wolno, zajęte przez cały czas rekrutowaniem nowych sił, kroczył mężczyzna z rękami w kieszeniach. Człowiek ten, wysoki i szczupły, o twarzy chudej i bladej, miał na sobie szarą marynarkę, czarną kamizelkę i spodnie. Na głowie zniszczony trójgromny kapelusz, włożony na bakier. Długa szpada objęła się o jego chude nogi. Szedł, patrząc i słuchając, chłonąc uważnie wszystko przenikliwym wzrokiem spod czarnych brwi.

— Ależ ja znam tę figurę! — rzekł Billot. — Widziałem go podczas wszystkich rozruchów.

— To woźny Maillard — wyjaśnił Gilbert.

— A tak, to ten... Ten, który przedostał się za mną po desce do Bastylli. Ale był zręczniejszy, bo nie wpadł do fosy.

Na zakręcie ulicy Maillard zniknął wraz z kobietami.

Billot miał wielką ochotę pójść za jego przykładem, ale Gilbert pociągnął go do Ratusza.

Było rzeczą całkiem pewną, że tam zawsze kierowały się demonstracje czy to mężczyzn, czy kobiet. Zamiast więc iść z biegiem rzeki, Gilbert szedł wprost w stronę ujścia.

Na Ratuszu wiedziano, co się dzieje w Paryżu. Ale nikt się tym nie przejmował. Cóż właściwie mogło obchodzić flegmatycznego Bailly'ego lub arystokratę Lafayette'a, że jakiejś kobiecie przyszło do głowy bić w bęben? Była to po prostu zapowiedź karnawału i nic więcej.

Kiedy jednak za tą kobietą, bijącą w bęben, ujrzano parę tysięcy innych kobiet, a po bokach tej rosnącej z każdą chwilą ciżby nie mniej pokaźną gromadę mężczyzn, którzy uśmiechali się złowrogo, trzymając broń w pogotowiu, kiedy zrozumiano, że ci mężczyźni uśmiechają się na myśl o zemście, jakiej dopuszczą się kobiety, zemście tym straszniejszej, iż wiedziano, że władze nie zapobiegną jej siłą, a sądy potem nie ukarzą, wówczas zaczęto rozumieć całą powagę sytuacji.

Ci mężczyźni nie kwapili się do burd, woleli z uśmiechem popatrzeć, jak się ich dopuszcza słabsza połowa rodzaju ludzkiego.

Po upływie pół godziny na placu Greve zebrało się już dziesięć tysięcy kobiet. A widząc, że liczba ich jest dostateczna, niewiasty te, ujawszy się pod boki, zaczęły się naradzać.

Narady nie były bynajmniej spokojne. Brały w nich udział przeważnie odźwierne, przekupki z Hal i prostytutki. Zagorzałe na ogół rojalistki, dałyby się raczej zabić za króla i królowę, niż pomyśleć o wyrządzeniu im krzywdy.

Odgłosy tej szczególnej narady docierały za rzekę, do milczących wież Notre-Dame, które widziały już wiele rzeczy, a teraz miały ujrzeć jeszcze ciekawsze.

Rezultat narady był następujący: „Trzeba spalić Ratusz, skąd wychodzą wszystkie obrzydliwe papierzyska, które są przyczyną naszego głodu”.

Na Ratuszu sądzono właśnie piekarza, który oszukiwał na wadze. Rzecz zrozumiała, iż im droższy chleb, tym korzystniejsze tego rodzaju operacje. Ale im korzystniejsze, tym bardziej ryzykowne.

W następstwie tego zwolennicy wieszania na latarniach czekali już na piekarza z nowym sznurem. Straż ratuszowa próbowała wszelkimi sposobami ratować nieszczęśnika. Ale od pewnego czasu rezultaty nie szły w parze z najlepszymi zamiarami.

Kobiety rzuciły się na straż, a odtrąciwszy ją, wtargnęły do Ratusza i dalejże płądrować. Chciały rzucać do Sekwany wszystko co popadło, a czego nie można było zabrać, chciały zaraz spalić.

A więc — ludzi do wody, gmach podpalić.

Była to nie lada robota.

Na Ratuszu znajdowało się wszystkiego po trosze.

Przede wszystkim — trzystu radnych.

Zastępcy merów.

Merowie.

— Wrzucić ich wszystkich do wody to za wiele trudu — powiedziała jakaś rozsądna kobieta, której się śpieszyło.

— Zasłużyli na to — dodała druga.

— Tak, ale nie ma czasu.

— Więc spalmy wszystko — odezwał się czyjś głos. — To daleko prościej.

Zaczęto szukać pochodni, zażądano ognia. Na razie zaś, żeby nie tracić czasu, zabawiano się wieszaniem księdza Lefèvre d Ormesson.

Na szczęście, był tam mężczyzna w szarym ubraniu. Przeciął sznur i ksiądz spadł z wysokości siedemnastu stóp, zwichnąwszy sobie nogę. Po chwili oddalił się, kulejąc, pośród śmiechu tych megier. Nie odszedłby tak spokojnie, gdyby nie to, że miały już w rękach płonące pochodnie, z którymi posuwały się w stronę archiwów.

W ciągu dziesięciu minut wszystko stanęłoby w ogniu.

Nagle człowiek w szarym ubraniu rzuca się naprzód i wrywa płonące żagwie z rąk kobiet, bijąc odporne pochodniami. Kiedy spódnice zajęły się płomieniem, on gasi ogień, chwytający już papiery.

Cóż to za człowiek, który przeciwstawia się woli dziesięciu tysięcy szalejących kobiet?

Dlaczego pozwolono mu rządzić? Księdza Lefevre a omal nie powieszono. Ale jego powieszą z pewnością, bo sam nie będzie już mógł temu przeszkodzić. Tak rozumując tłum rozjuszonych kobiet grozi śmiercią, a za groźbą idzie czyn.

Kobiety otaczają mężczyznę w szarym ubraniu i zarzucają mu sznur na szyję.

Ale nadbiega Billot. Wyświadczy on Maillardowi taką samą przysługę, jak Maillard księdzu..

Czepia się sznura, tnąc go w kawałki ostrym stalowym nożem, który w jego potężnej dłoni mógłby się przydać do czego innego.

Tnąc z całej mocy sznur Billot woła:

— Nieszczęsne! Czyż nie poznajecie jednego ze zdobywców Bastylli? Tego, co przeszedł po desce, aby przyjąć kapitulację, kiedy ja gramoliłem się w rowie? Czyż nie poznajecie Maillarda?

Na dźwięk tak dobrze znanego i budzącego lęk imienia, wszystkie kobiety zatrzymują się. Spoglądają po sobie, ocierają pot z czoła. Pracowały ciężko i choć to był październik, można było się spocić.

— Zdobywca Bastylli! I w dodatku — Maillard! Pan Maillard, woźny z Châtelet! Niech żyje pan Maillard! Groźby przechodzą w entuzjazm. Kobiety ściskają Maillarda wykrzykując: „Niech żyje Maillard!”

Maillard zamienia z Billotem uścisk ręki i spojrzenie.

Uścisk ręki znaczy: „Jesteśmy przyjaciółmi”.

Spojrzenie mówi: „Jeśli będziesz w potrzebie, licz na mnie”.

Maillard już sobie zdobył wpływ na te kobiety, tym większy, że ma im coś niecoś do wybaczenia. Ale Maillard to stary, wyga wyrosły z ludu, zna dobrze to morze uliczne, które się burzy od jednego podmuchu, a od jednego słowa ucisza. Wie, jak trzeba przemawiać do tych rozkołysanych mas ludzkich, jeśli tylko uda się dojść do głosu.

Chwila jest zresztą odpowiednia — wokół Maillarda zapada cisza.

Maillard nie chce, żeby kobiety zniszczyły radę miejską, jedyną władzę, jaka ich chroni. Nie chce, aby paliły Urząd Cywilny, którego akta świadczą, że ich dzieci nie są bękartami. Niezwykle ostre i drwiące słowa Maillarda trafiają do przekonania.

Nikt nie będzie zabity, nic nie będzie spalone.

Ale wszyscy pójdą do Wersalu.

Tam tkwi źródło zła, tam noce schodzą na orgiach, kiedy Paryż cierpi głód. Wersal pożera wszystko. Paryżowi brak zboża i mąki, bo jej zapasy zamiast znaleźć się w Paryżu, idą z Corbeil wprost do Wersalu.

Byłoby inaczej, gdyby piekarz wraz z piekarką i piekarczykiem byli tu, w stolicy.

Tak nazwano króla, królowę i delfina, naturalnych rozdawców chleba dla ludu.

Kobiety pójdą do Wersalu. Ponieważ zorganizowane są w oddziały, ponieważ mają strzelby, armaty i proch, piki i widły, będą więc miały i generała.

Czemuż by nie? Gwardia Narodowa ma przecież generała.

Lafayette jest generałem mężczyzn.

Maillard zostanie generałem kobiet.

Pan Lafayette dowodzi próżniakami grenadierami, którzy są jak gdyby armią rezerwową i nic prawie nie robią, gdy tyle jest do roboty. Maillard będzie dowodził armią czynną.

Bez uśmiechu, nie drgnąwszy nawet, Maillard zgodził się. Maillard jest dowódcą paryskich kobiet. Kampania nie będzie długa, ale decydująca.

L GENERAL MAILLARD

Maillard stanął na czele prawdziwej armii. Armaty miała co prawda bez lawet i kół, ale umieszczono je na wózkach.

Miała karabiny często bez kurków i zapalów, ale z bagnetami.

Miała mnóstwo innej broni, prawdę mówiąc bardzo lichej, ale ostatecznie była to broń.

Proch noszono w chustkach, w czepkach, w kieszeniach, a wśród tych żywych ładownie przechadzali się artylerzyści z zapalonymi lontami.

Chyba cudem cała ta armia nie wyleciała w powietrze podczas swej niezwyklej wędrówki.

Jednym rzutem oka Maillard ocenił nastrój swojej armii. Jedno tylko mógł zrobić: zamiast trzymać ją w Paryżu, poprowadzi do Wersalu, ale tam nie dopuści do ekscesów. Maillard wykona to trudne, bohaterskie zadanie.

Schodzi na dół, bierze bęben zawieszony na szyi młodej dziewczyny.

Wycieńczona z głodu, nie ma już sił go dźwigać. Oddaje bęben, siania się wzdłuż muru i pada głową na krawężnik. Ponure wezglowie... To wezglowie głodu...

Maillard zapytuje o nazwisko dziewczyny. Nazywa się Magdalena Chambry Robiła rzeźby dla kościołów. Ale któż chciałby teraz ozdabiać kościoły pięknymi posągami i płaskorzeźbami na wzór arcydzieł z piętnastego wieku?

Umierając z głodu, została kwiaciarką w Palais-Royal.

Ale kto chce kupować kwiaty, kiedy brakuje pieniędzy na chleb? Kwiaty, błyszczące gwiazdy pokoju i dostatku, więdną w podmuchu burz i rewolucji.

Nie mogąc już więcej rzeźbić, nie mogąc sprzedawać róż, jaśminów i lilii, Magdalena Chambry chwyciła bęben i zaczęła wybijać straszliwy apel głodu. Teraz, kiedy zebrała wokół siebie całą tę smutną gromadę, poprowadzi ją do Wersalu. Ale nie mogąc już iść, pojedzie na wózku. Przybywszy do pałacu, zażąda, aby wprowadzono ją do króla wraz z dwunastoma innymi kobietami. Tam powie wszystko — głodna, bronić będzie przed królem sprawy głodnych.

Pomysł Maillarda przyjęto oklaskami.

Tak oto Maillard jednym swoim słowem zmienił od razu wrogi nastrój swej armii.

Nikt nie wiedział, po co ma iść do Wersalu, nikt nie wiedział, co tam należy zrobić.

Teraz już wiedzą wszyscy. Idą do Wersalu, aby delegacja złożona z dwunastu kobiet, z Magdaleną Chambry na czele, ubłagała króla, w imię głodu, o zmiłowanie się nad ludem.

Zebrało się około siedmiu tysięcy kobiet.

Ruszają w drogę, kierując się przez bulwary, ale gdy docierają do Tuileries, dają się słyszeć głośnie okrzyki.

Maillard wchodzi na słupek, ażeby górować nad swoją armią.

— Czego chcecie? — zapytuje.

— Chcemy przejść przez Tuileries. — To niemożliwe! — odpowiada.

— A dlaczego niemożliwe? — krzyczy siedem tysięcy głosów.

— Bo. Tuileries to dom króla i ogród króla, bo przejść bez pozwolenia króla znaczyłoby ubliżyć mu, więcej nawet, znaczyłoby poprzez osobę króla zagrozić wolności wszystkim.

— Niech i tak będzie — odparły kobiety. — Pytaj pan szwajcara o pozwolenie. Z trójganiastym kapeluszem w ręku Maillard zbliża się do szwajcara.

— Mój przyjacielu — mówi — czy pozwolisz tym damom przejść przez Tuileries? Przejdą szpalerem i nie zniszczą ani roślin, ani drzew w ogrodzie.

Zamiast odpowiedzi szwajcar wyciąga swą długą szpadę i rzuca się na Maillarda.

Dobrywszy swojej o stopę krótszej szpady, Maillard paruje cios. Tymczasem jedna z kobiet zbliża się do szwajcara i jednym uderzeniem miotły rozciąga go u stóp Maillarda.

Ten chowa swoją szpadę do pochwy, wsuwa sobie szpadę przeciwnika pod jedno, a strzelbę kobiety pod drugie ramię i podniósłszy z ziemi trójgraniasty kapelusz, który zgubił podczas walki, wkłada go na głowę. Teraz już wędrują przez Tuileries — nie wyrządzając żadnych szkód — zgodnie z danym przyrzeczeniem.

Niechaj sobie idą przez Cours-la-Reine w stronę Sevres, gdzie się podzielią na dwie grupy, a my zobaczymy, co też działo się w Paryżu. Wystąpienie siedmiu tysięcy kobiet, pragnących utopić radnych, powiesić księdza Lefevre a i Maillarda, spalić Ratusz — wywołało potężną wrzawę. A wrzawa, docierając do najdalszych dzielnic stolicy, ściągnęła Lafayette'a. Dokonywał on właśnie na Polu Marsowym przeglądu wojska. Od ósmej rano był, na koniu, a kiedy przybył na plac Ratuszowy, była dwunasta.

Ówczesne karykatury przedstawiały Lafayette'a jako centaury. Miał on tułów znanego wszystkim siwka, a głowę dowódcy Gwardii Narodowej. Od początku rewolucji Lafayette nie zsiadał z konia. Przemawiał, jadł, dowodził, a często nawet spał na koniu. Ale kiedy już udało mu się spać w swoim łóżku, spał doskonale.

Gdy Lafayette przybył na bulwar Pelletier, zatrzymał go człowiek, który właśnie ruszał galopem na wspaniałym wierzchowcu. Był to Gilbert Pędził do Wersalu, aby przestrzec króla przed groźącym mu niebezpieczeństwem i oddać się na jego rozkazy. W kilku słowach opowiedział — o wszystkim Lafayette owi, po czym każdy z nich ruszył w swoją drogę: Lafayette do Ratusza, Gilbert do Wersalu. Ponieważ jednak kobiety szły prawym brzegiem Sekwany, Gilbert pojechał lewym.

Plac Ratuszowy po odejściu kobiet zaczął napełniać się mężczyznami. Byli to gwardziści narodowi bez żołdu, rekrutujący się głównie z dawnej gwardii francuskiej. Przeszedłszy do szeregów armii „ludowej, utracili swe przywileje gwardii królewskiej, nadane potem gwardii przybocznej i Szwajcarom.

Zaczęto bić na alarm w dzwony i bębny.

Lafayette przedarłszy się przez tłum, zsiadł z konia, wszedł do gmachu i obojętny na oklaski oraz groźby, jakie wybuchły na jego widok, zaczął dyktować list do króla o porannych zamieszkach.

Nagle drzwi do sekretariatu otworzyły się gwałtownie.

Lafayette podniósł wzrok. Była to delegacja grenadierów, żądająca posłuchania u generała. Lafayette skinął, aby weszli.

Jeden z grenadierów zbliżył się do stołu.

— Panie generale — rzekł śmiało — jesteśmy delegowani przez dziesięć kompanii grenadierów. Nie posądzamy pana o zdradę, ale wiemy, że rząd nas zdradza. Czas już skończyć z tym wszystkim. Nie możemy zwrócić swoich bagnatów przeciwko kobietom, które żądają od nas chleba. Komitet wyżywienia albo popełnia malwersacje, albo jest nieudolny. W jednym i drugim przypadku trzeba go zmienić. Lud jest nieszczęśliwy, a źródło zła mieści się w Wersalu. Trzeba udać się do króla i sprowadzić go do Paryża. Trzeba rozwiązać pułk flandryjski i gwardię przyboczną, które ośmieliły się podeptać odznakę narodową. Jeżeli król jest za słaby, aby dźwigać koronę, niech się jej zrzeknie. Ukoronujemy jego syna. Mianuje się radę regencyjną i wszystko ułoży się jak najlepiej.

Lafayette patrzy ze zdumieniem na mówcę. Widział rozruchy, bolał z powodu morderstw, ale nigdy podmuch rewolucji nie uderzył go tak prosto w twarz.

Możliwość obejścia się bez króla, podsunęta przez lud, wprawia go już nie w zdumienie, lecz

w zmieszanie.

— Jak to? — wykrzyknął. — Chcecie wydać wojnę królowi i zmusić go, aby nas opuścił?

— Panie generale — ciągnie dalej mówca — kochamy i szanujemy króla. Byłoby nam bardzo przykro, gdyby nas opuścił, ale gdyby odszedł, mamy przecież delfina.

— Panowie! panowie! — rzekł Lafayette. — Uważajcie, co robicie. Godzicie w koronę, a obowiązek mój nie pozwala mi do tego dopuścić.

— Panie generale — odparł skłoniwszy się gwardzista — oddamy za pana ostatnią kroplę krwi. Ale lud cierpi, a źródłem zła jest Wersal. Trzeba tam iść i sprowadzić króla do Paryża. Lud tak chce.

Lafayette widzi, że musi narazić na niebezpieczeństwo swoją osobę, ale przed taką koniecznością nigdy się nie cofał.

Wychodzi więc na środek placu Ratuszowego, chcąc przemówić do ludu, ale głos jego głuszą okrzyki: „Do Wersalu! Do Wersalu!”

Nagle od strony ulicy Vannerie dobiega wielka wrzawa. To Bailly kieruje się do Ratusza. Na jego widok padają zewsząd okrzyki: „Chleba, chleba! Do Wersalu! Do Wersalu!”

Lafayette idzie pieszo wśród tłumu i czuje, że fala ludzka za chwilę go pochłonie. Przedziera się przez tłum, aby dotrzeć do swego konia, jak rozbitek na morzu, dążący do deski ratunku.

Dopadł konia i wskoczywszy na siodło, kieruje się w stronę schodów, ale droga do Ratusza jest przecięta, wyrósł tu mur ludzki. — Do kata! Generale — krzyczą ludzie — zostaje pan z nami!

Jednocześnie rozlega się jeden wielki wrzask: „Do Wersalu! Do Wersalu!”

Lafayette waha się chwilę niezdecydowany. Udając się do Wersalu, może stać się królowi użyteczny. Ale czy zdoła opanować ten tłum, czy zdoła powstrzymać fale, które usunęły mu ziemię spod nóg, tak że musi już walczyć o własne ocalenie?

Nagle ze stopni Ratusza schodzi jakiś człowiek, przedziera się przez tłum z listem w rękę i dociera wreszcie do Lafayette’a.

Człowiekiem tym jest niezmordowany Billot.

— Proszę, generale — mówi — przynoszę to od Trzystu.: Tak nazywano radnych.

Złamawszy pieczęć, Lafayette chce przeczytać list po cichu, ale dwadzieścia tysięcy głosów krzyczy naraz:

— List! List! Lafayette musi więc odczytać list głośno. Daje znak, aby się uciszono. W jednej chwili wrzawa milknie jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej i Lafayette czyta pismo w tak wielkiej ciszy, że nie ginie ani jedno słowo:

„Zważywszy okoliczności i pragnienie ludu, jak również na skutek przedłożeń pana naczelnego dowódcy, których nie sposób było odrzucić, upowaznia się pana naczelnego dowódcę, a nawet nakazuje, aby udał się do Wersalu. Towarzyszyć mu będzie czterech komisarzy miasta”.

Biedny Lafayette niczego nie przedkładał panom radnym, którym było na rękę obarczyć go częścią odpowiedzialności za wydarzenia, jakie miały nastąpić. Ale lud sądził, że Lafayette rzeczywiście przedkładał, a że pragnienie ludu było w zgodzie z tym przedłożeniem dowódcy naczelnego, więc rozległ się okrzyk: „Niech żyje Lafayette!”

Lafayette zbladł i powtórzył z kolei: — Do Wersalu!

Za nim rusza piętnaście tysięcy ludzi pełnych hamowanego entuzjazmu, o wiele zresztą groźniejszego niż zapal kobiet, podążających jako straż przednia.

Wszyscy mieli się spotkać w Wersalu i zażądać od króla okruchów chleba, jakie spadły ze stołów przybocznej gwardii w ciągu nocy z pierwszego na drugi października.

LI WERSAL

W Wersalu jak zwykle nie wiedzano nic o tym, co działo się w Paryżu.

Królowa odpoczywała po opisanych niedawno wydarzeniach. Miała armię, miała posłuszne narzędzia zbrodni, policzyła swych wrogów i pragnęła wszcząć walkę. Czyż nie musiała pomścić klęski czternastego lipca? Czy wraz z dworem nie powinna zapomnieć o podróży króla do Paryża, z której wrócił z trójkolorową odznaką na kapeluszu?

Biedna kobieta! Nie spodziewała się wcale podróży, jaka ją samą czekała.

Z hrabią de Charny nie rozmawiała od czasu sprzeczki. Udawała, że po chwilowym nieporozumieniu darzy Andreę taką samą jak dawniej przyjaźnią. Ale w sercu rywalki ta przyjaźń wygasła na zawsze.

Do hrabiego de Charny królowa zwracała się tylko wtedy, gdy była zmuszona sprawami służbowymi lub dla wydania rozkazu. Niełaska ta nie dotyczyła rodziny, gdyż tego samego dnia, kiedy kobiety wyruszyły z Paryża do Wersalu, Maria Antonina rozmawiała z Jerzym de Charny, średnim z trzech braci, tym samym, który — w przeciwieństwie do Oliwiera — po wzięciu Bastylii utwierdzał królowę w jej wojowniczych zamiarach. Gdy o dziewiątej rano ten młody oficer przechodził przez galerię, aby oznajmić łowczemu, że król będzie polował, Maria Antonina wychodząc po mszy z kaplicy, spostrzegła go i przywołała do siebie.

— Dokąd pan tak biegnie? — zapytała.

— Już nie biegnę, ujrawszy Waszą Królewską Mość — odparł Jerzy. — Zatrzymałem się oczekując kornie, że będą zaszczycony jej słowami.

— To panu nie przeszkadza odpowiedzieć mi, dokąd idziesz?

— Najjaśniejsza Pani — rzekł Jerzy — należą do świty. Jego Królewska Mość poluje i mam otrzymać dyspozycje od łowczego o miejscu spotkania.

— Ach, król znowu dziś poluje — powiedziała królowa spoglądając na ciężkie, czarne chmury, nadciągające od strony Paryża, — To niedobrze. Pogoda niezbyt pewna, prawda, Andreo?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani — odparła z roztargnieniem młoda kobieta.

— Czy pan nie jesteś tego zdania?

— Tak, Najjaśniejsza Pani, ale król tak chce.

— Bądź wola króla w lasach i na drogach — rzekła „królowa z wrodzoną jej wesołością, której nie zdołały przygasić ani cierpienia serca, ani wydarzenia polityczne.

A zwracając się do Andrei, dodała ciszej:

— Niech ma przynajmniej — tyle. Po czym zwróciła się do Jerzego.

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie król poluje?

— W lasku Meudon, Najjaśniejsza Pani.

— A więc proszę mu towarzyszyć i czuwać nad nim.

W tej chwili nadszedł hrabia de Charny. Uśmiechnął się z lekka do Andrei i schylając głowę, odważył się powiedzieć do królowej:

— Najjaśniejsza Pani, brat mój będzie pamiętał o tym zaleceniu nie pośród zabaw królewskich, ale w niebezpieczeństwie.

Maria Antonina zadrżała na dźwięk tego głosu, zanim jeszcze wzrok ją uprzedził o obecności de Charny. Odwracając się, rzuciła ostro i pogardliwie:

— Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby te słowa nie wyszły z ust pana hrabiego Oliwiera de

Charny.

— Czemu to, Najjaśniejsza Pani? — zapytał z szacunkiem hrabia.

— Bo w nich jest przepowiednia nieszczęścia, łaskawy panie.

Andrea zbladła widząc bladłość hrabiego. Ten skłonił się w milczeniu. A widząc spojrzenie żony, zdziwionej jego cierpliwością, dodał:

— Jestem doprawdy bardzo nieszczęśliwy, iż nie umiem już mówić do królowej tak, aby nie czuła się dotknięta.

To już zaakcentował tak mocno, jak zręczny aktor, podkreślając intonacją głosu znaczenie niektórych wyrazów.

Maria Antonina nie mogła nie zrozumieć intencji, jaką Charny nadał temu słowu.

— Już? — powtórzyła żywo. — Cóż to znaczy już?

— Chyba znów źle się wyraziłem — odparł de Charny z prostotą.

Zamienił z Andream spojrzenie, które tym razem królowa pochwyciła. Zbladła i zacisnąwszy zęby rzuciła gniewnie:

— Słowo jest złe, jeżeli podyktowane jest złą intencją.

— Ucho jest wrogie, gdy wroga jest myśl — odparł Charny.

Po tej odpowiedzi, bardziej słusznej niż nacechowanej kurtuazją, zamilkł.

— Wstrzymam się z odpowiedzią — oświadczyła królowa — aż pan de Charny okaże się bardziej oględny w swych atakach.

— A ja — odparł de Charny — wstrzymam się z atakami, aż królowa będzie szczęśliwsza niż ostatnio w doborze swych sług.

Andrea chwyciła żywo rękę swego męża, aby wyjść razem z nim. Zatrzymał ją wzrok królowej. Ten ruch nie uszedł jej uwagi.

— Ale cóż wreszcie miał mi do powiedzenia pani mąż? — zapytała.

— Chciał powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że, wysłany wczoraj przez króla do Paryża, zastał miasto niezwykle wzburzone.

— Jeszcze? — wykrzyknęła królowa. — I z jakiegoż to powodu? Paryżanie zdobyli Bastylie, a teraz ją burzą. Czego chcą więcej? Proszę odpowiedzieć, panie de Charny.

— Wzięli Bastylie, to prawda. Najjaśniejsza Pani — odparł hrabia — nie mogą jednak jeść kamieni, a mówią, że są głodni.

— Głodni! Głodni! — wykrzyknęła królowa. — I cóż my, możemy na to poradzić?

— Był czas, Najjaśniejsza Pani — rzekł Charny — kiedy, królowa pierwsza współczuła ludzkiej niedoli i starała się jej ulżyć. Był czas, kiedy zaglądała nawet na poddasza biedaków, a z poddaszy wznosiły się modlitwy do Boga.

— Tak — odparła królowa z goryczą. — I pięknie zostałam wynagrodzona za tę litość dla niedoli bliźniego. Te odwiedziny przyniosły mi jedno z największych nieszczęść.

— Więc dlatego, że Wasza Królewska Mość raz się omyliła — rzekł Charny — obdarzając swą łaską i względami istotę nędzną, według niej należy oceniać całą ludzkość? Ach, Najjaśniejsza Pani, jakże ciebie w owym czasie kochano!

Królowa rzuciła hrabiemu płomiennie spojrzenie.

— Ale, w końcu — zapytała — co działo się wczoraj w Paryżu? Proszę opowiedzieć tylko to, co pan sam widział. Chcę z pańskich słów poznać prawdę.

— Co widziałem, Najjaśniejsza Pani? Widziałem, jak część ludności zebrała się na bulwarach, daremnie wyczekując nadejścia mąki. Widziałem, jak inni stali w kolejkach przed piekarniami, czekając daremnie na chleb. Widziałem zgłodniały lud, mężów patrzących z rozpaczą na żony, matki — na dzieci. Widziałem groźnie zacisnięte pięści, zwrócone w stronę Wersalu. Ach, Najjaśniejsza Pani, lękam się bardzo, że bliskie jest już niebezpieczeństwo, o którym ci mówiłem

i niedługo będziemy mogli, mój brat i ja, umrzeć za Waszą Królewską Mość, dostąpić jedni z pierwszych tego szczęścia.

Królowa odwróciła się od Hrabiego z gestem zniecierpliwienia i oparła rozpalone czoło o szybę okna, wychodzącego na marmurowy dziedziniec.

W tym momencie zadrżała.

— Andrea — rzekła — zobacz cóż ta za Jeździec do nas śpieszy? Chyba przywozi pilne nowiny.

Andrea zbliżyła się do okna, ale poblądłszy nagle, cofnęła się o krok.

— Najjaśniejsza Pani! — powiedziała tonem wymówki. Charny podszedł żywo do okna. Z tego, co tu przed chwilą nastąpiło, nic nie uszło jego uwagi.

— Ten jeździec — rzekł, patrząc kolejno na królowę i Andreę — to doktor Gilbert.

— Rzeczywiście! — królowa przytaknęła w taki sposób, że Andrea nie mogła stwierdzić, czy Maria Antonina działała w przystępie zemsty kobiecej, czy też wzrok osłabiony łzami i bezsennością nie rozpoznawał już tych, na których jej zależało.

Zapadło lodowate milczenie i tylko spojrzenia trojga uczestników tej sceny prowadziły ze sobą, niemą rozmowę.

Był to istotnie Gilbert, który przywoził ponure wieści, zgodne z przewidywaniami hrabiego de Charny.

Mimo że doktor zeskoczył szybko z konia i prędko wszedł po schodach, mimo że trzy głowy: królowej, Andrei i hrabiego zwróciły się niespokojnie ku drzwiom, którymi powinien był wejść — drzwi nie otworzyły się.

Trzy osoby trwały przez kilka minut w dręczącym oczekiwaniu. Nagle w przeciwległych drzwiach ukazał się oficer, mówiąc;

— Najjaśniejsza Pani, ponieważ doktor Gilbert nie zastał już króla, który przed godziną wyruszył do Meudon, ma zaszczyt prosić Waszą Królewską Mość o posłuchanie,, aby jej zakomunikować ważne nowiny.

— Niech wejdzie! — odrzekła królowa, utkwivszy w drzwiach stanowcze spojrzenie. Tymczasem Andrea cofała się, szukając oparcia na ramieniu męża.

W drzwiach stanął Gilbert.

LII

PIĄTY PAŹDZIERNIKA

Doktor rzucił okiem na obecne w komnacie osoby i zbliżając się ze czcią ku Marii Antoninie, rzekł:

— Czy królowa pozwoli mi, w nieobecności swego dostojnego małżonka, zakomunikować wieści, jakie przynoszę?, — Mów pan — powiedziała Maria Antonina. — Widząc twój nagły przyjazd, zebrałam wszystkie siły, gdyż czuję, że przywozisz mi przykre nowiny.

— Czy wolałabyś, królowo, by wypadki zaskoczyły panią?, Uprzedzona wcześniej, królowa z właściwym sobie rozumem i trzeźwością potrafi stawić czoło niebezpieczeństwu i może zdoła je zażegnać.

— A jakież to, panie, niebezpieczeństwo?

— Najjaśniejsza Pani, z Paryża wyruszyło siedem czy, osiem tysięcy uzbrojonych kobiet, które zdążają do Wersalu.

— Siedem czy osiem tysięcy kobiet! — powtórzyła pogardliwie królowa.

— Tak, ale po drodze przyłączają się do nich inne i może tu ich przyjść piętnaście lub dwadzieścia tysięcy.

— I czegoż one chcą?

— Głodne są, Najjaśniejsza Pani i przychodzą do króla żądać chleba.

Królowa zwróciła się ku hrabiemu.

— Niestety, Najjaśniejsza Pani — powiedział de Charny — stało się to, co przewidywałem.

— Co robić? — zapytała Maria Antonina.

— Przede wszystkim uprzedzić króla — odparł Gilbert. Królowa odwróciła się żywo.

— Króla? — zawołała. — O nie! Narażać go, po co? Okrzyk ten raczej wydarł się niż wyszedł z serca Marii Antoniny.. Wyraziło się w nim całe jej męstwo, całe poczucie jej osobistej siły. Ale zawarta w nim była świadomość słabości króla, której nie powinna była ani dostrzec, ani ujawnić wobec obcych.

Ale czyż obcym był Charny? Czy obcym był Gilbert?

Nie! Czy ci dwaj ludzie nie byli właśnie wybrani przez Opatrzność, jeden aby strzec królowej, a drugi — króla?

Charny, przełamawszy swą dumę i odzyskawszy panowanie nad sobą zwrócił się do królowej i Gilberta.

— Najjaśniejsza Pani, pan Gilbert ma słuszość, trzeba uprzedzić króla. Król jest jeszcze kochany, król pokaże się więc tym kobietom, przemówi do nich i rozbroi je z pewnością.

— Ale kto się podejmie uprzedzić króla? — zapytała królowa. — Droga jest już na pewno odcięta, a przedsięwzięcie niebezpieczne.

— Czy król poluje w lasach Meudon?

— Tak. A jeśli drogi, co jest prawdopodobne...

— Niech Wasza Królewska Mość widzi we mnie tylko żołnierza — przerwał z prostotą Charny. — Jego przeznaczeniem jest śmierć.

Powiedziawszy to, nie czekał na odpowiedź, nie usłyszał westchnienia. Zbiegł szybko na dół, dosiadł konia i w asyście dwóch jeźdźców popędził ku Meudon.

Ledwie znikł z oczu, odpowiadając skinieniem na pożegnanie, jakie przesłała mu z okna Andrea, gdy do uszu królowej dobiegł odgłos dalekiej wrzawy, podobnej do ryku fal w czasie burzy. Hałas jak gdyby wznosił się od najdalszych drzew, rosnących na drodze z Paryża do

Wersalu.

Niebawem niebo się zachmurzyło i spadł gęsty, rześisty deszcz.

Ale mimo grózb nieba, Wersal zapełniał się ludźmi.

Jeden po drugim napływali do pałacu posłańcy. Każdy z nich opowiadał o wielkiej kolumnie, nadsiadającej z Paryża, każdy, myśląc o uciechach i łatwych triumfach ubiegłych dni, czuł w sercu strach i wyrzuty.

Żołnierze, spoglądając niespokojnie po sobie, brali powoli broń do ręki. Oficerowie, straciwszy odwagę na skutek wyraźnego niepokoju żołnierzy i szemrania tłumu, czuli wiszące w powietrzu nieszczęścia, jakie im będą przypisane.;

Gwardia przyboczna, licząca trzystu ludzi, siadała na koń obojętnie i niezdecydowanie, jak to bywa z żołnierzem w oczekiwaniu ataku, gdy nie zna taktyki wroga.

Co przedsięwziąć przeciwko kobietom, które wyruszyły, groźne i uzbrojone, a przybywają bezbronne, zmęczone i tak głodne, że nie potrafią nawet podnieść ręki?

Na wszelki wypadek gwardią przyboczna staje, czeka z obnażonymi szablami.

Kobiety ukazały się nareszcie. Nadeszły z dwóch stron. W połowie drogi rozdzieliły się: jedne skierowały się przez Saint-Cloud, inne przez Sevres.

Przed rozłączeniem — rozdzieliły pomiędzy siebie osiem bochenków chleba, które znalazły w Sèvres.

Trzydzieści dwa funty chleba dla siedmiu tysięcy osób!

Dochodząc do Wersalu, ledwie mogły powłóczyć nogami.

Przeszło trzy czwarte rzuciło po drodze oręż. Maillard przekonał inne, aby ukryły swoją broń w domach, położonych w pobliżu Wersalu. A kiedy wkraczano do miasta, powiedział:

— Słuchajcie, zaśpiewamy: *Niech żyje Henryk IV*, żeby nikt nie wątpił o naszej przychylności wobec władzy królewskiej.

Głosem zamierającym, ledwie zdolnym prosić o chleb, zaintonowano hymn królewski.

Wielkie było zdziwienie w pałacu, gdy zamiast krzyków i grózb usłyszano śpiew, a jeszcze większe, gdy ujrzano śpiewaczki chwiejące się na nogach, o twarzach zmizerowanych, białych, sinych, brudnych, ociekających wodą i potem, gdy spostrzeżono tysiące okropnych twarzy przyklejonych do krat, stłoczonych jedna przy drugiej, tysiące zaciśniętych rąk, które kurczowo czepiały się złoceń.

Od czasu do czasu z tego koszmarnego zbiorowiska dobywa się ponure wycie, a słaniające się widma ogarnia coraz większy gniew. Co jakiś czas uczone krat ręce odrywają się i wyciągają w stronę pałacu.

Jedne, otwarte i drżące — z błaganiem.

Inne, zaciśnięte i wyprężone — z groźbą.

Jakże ponury to obraz!

Niebo — zasnuwane chmurami, ziemia — pokryta błotem.

Wśród oblegających — głód i groźba.

Wśród obrońców — litość i zwątpienie.

Oczekując Ludwika XVI, królowa gorączkowo wydaje rozkaz obrony. Wokół Marii Antoniny skupiają się dworzanie, oficerowie, wyżsi urzędnicy.

Spostrzega wśród nich pana de Saint-Priest, ministra Paryża.

— Dowiedz się pan dokładnie, czego chcą ci ludzie — rozkazuje.

Pan de Saint-Priest schodzi i przebywszy dziedziniec, zbliża się do krat.

— Czego chcecie? — pyta kobiet.

— Chleba! Chleba! — krzyczą naraz tysiące głosów.

— Chleba! — powtarza zniecierpliwiony pan de Saint-Priest. — Kiedy miałyście jednego

pana, nie brakowało wam chleba. Teraz, gdy ich macie tysiąc dwustu, widzicie, coście zyskały!

Pan de Saint–Priest oddała się, ścigany krzykami zgłodniałych kobiet, i nakazuje nie otwierać krat.

Ale zbliża się delegacja, przed którą brama musi stanąć otworem.

W imieniu kobiet Maillard odwołał się do Zgromadzenia. Tyle wskórał, że przewodniczący wraz z delegacją dwunastu kobiet miał przedstawić królowi sprawę.

W chwili gdy Mounier na czele delegacji wychodzi ze Zgromadzenia, Ludwik XVI wpada galopem przez tylną bramę.

Charny spotkał go w lesie Meudon.

— Ach to pan! — rzekł król. — Czy coś się stało? — Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Cóż więc się dzieje? Przybył pan z takim pośpiechem. — Najjaśniejszy Panie, dziesięć tysięcy kobiet przyszło w tej chwili z Paryża do Wersalu i żąda chleba.

Król wzruszył ramionami, wyrażając w ten sposób bardziej litość niż pogardę;

— Niestety — odparł — gdybym miał chleb, nie czekałbym, aż przyjdą do Wersalu żądać go ode mnie.

Ale bez dalszych już uwag, rzuciwszy żalosne spojrzenie tam, gdzie odbywały się łowy, dodał:

— Jedźmy więc do Wersalu.

I ruszył z powrotem.

Przybył właśnie w chwili, gdy na placu Broni rozległy się głośnie okrzyki.

— Ca to znaczy? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Gilbert, blady jak śmierć. — Gwardziści pod dowództwem pana Jerzego de Charny nacierają na przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego i delegację, którą on prowadzi do Waszej Królewskiej Mości, — Niemożliwe! — wykrzyknął król

— Słysząc przecież krzyki mordowanych. O, wszyscy uciekają!

— Otworzyć bramy! — rozkazał król, — Przyjmę delegację.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie! — zawołała królowa.

— Każcie otworzyć — powtórzył Ludwik XVI. — Królewskie pałace są miejscem azylu.

— Niestety — dodała królowa — tylko nie dla królów.

LIII

WIECZÓR Z PIĄTEGO NA SZÓSTY PAŹDZIERNIKA

Charny i Gilbert pędzą po schodach.

— W imieniu; króla! — krzyczy jeden.

— W imieniu królowej! — woła drugi.

I obaj dodają:

— Otworzyć bramy!

Ale zanim rozkaz ten został wykonany, przewodniczącego Zgromadzenia obalono i stratowano na dziedzińcu. Obok niego zraniono dwie kobiety spośród delegacji.

Gilbert i Charny pędzą. Ci dwaj ludzie — jeden pochodzący z arystokracji, drugi z ludu, spotkali się na tej samej drodze.

Jeden chce ocalić królowę z miłości do królowej, drugi chce ratować króla z miłości do królestwa.

Po otwarciu bram kobiety wtargnęły na dziedziniec. Rzuciły się między gwardzistów, między żołnierzy z flandryjskiego pułku. Grożą, proszą, przymilają się. Czy podobna oprzeć się kobietom, błagającym mężczyzn w imię ich matek i siostr?

— Panowie, miejsce dla delegacji! — woła Gilbert. Szeregi się rozstępują, aby przepuścić Mouniera i nieszczęśliwe kobiety, które mają stanąć przed królem.

Król, uprzedzony przez hrabiego de Charny, czeka na delegację w pokoju przyległym do kaplicy.

W imieniu Zgromadzenia przemówi Mounier.

W imieniu kobiet — Magdalena Chambry, kwiaciarka, która biła w bęben.

Mounier powiedziawszy kilka słów, przedstawia królowi młodą dziewczynę.

Ta posuwa się o krok, chce mówić, ale zdobywa się tylko na okrzyk.

— Najjaśniejszy Panie, chleba! I pada zemdlona.

— Ratunku! — woła król. — Ratunku!

Andrea podbiega i podaje królowi swój flakonik.

— Ach, Najjaśniejsza pani! — zwraca się Charny do królowej tonem wymówki.

Królowa blednie, a po chwili mówi:

— Proszę przygotować powozy, wyjeżdżamy z królem do Rambouillet.

Po czym oddała się do swych apartamentów. Tymczasem biedna dziewczyna odzyskała przytomność. Widząc, że znajduje się w ramionach króla, który podsuwa jej sole trzeźwiące, krzyknęła zawstydzona i chciała pocałować go w rękę.

Ale król ją powstrzymał.

— Moje drogie dziecko — rzekł — pozwól mi się uściskać, bo zasługujesz na to.

— Och, Najjaśniejszy Panie! Skoro jesteś taki dobry — rzekła dziewczyna — wydaj rozkaz!

— Jaki rozkaz? — zapytał król.

— Ażeby sprowadzono zboże i skończył się wreszcie głód.

— Moje dziecko — odparł król — chętnie podpiszę rozkaz, o jaki prosisz. Ale wątpię, czy wam się do czegokolwiek przyda.

Zasiadłszy przy stole, zaczął pisać, gdy nagle rozległ się pojedynczy wystrzał, a potem dość żywa strzelanina.

— Ach, mój Boże! — wykrzyknął król. — Cóż tam znowu? Zobacz, panie Gilbert.

Zaatakowano inną grupę kobiet. Strzał padł ze strony ludu i strzaskał ramię panu de

Savonnières, porucznikowi gwardii, w chwili gdy chciał wymierzyć cios młodemu żołnierzowi, który przyparty do baraku, osłaniał oburącz klęczącą za nim kobietę.

Na ten wystrzał gwardziści odpowiedzieli salwą.

Jedna z kobiet pada zabita, druga jest ciężko ranna.

Lud odpowiada strzałami — dwóch gwardzistów spada z koni.

W tej samej chwili rozlegają się krzyki: „Miejsca, miejsca!” Przybywają ludzie z przedmieścia Świętego Antoniego, ciągnąc trzy armaty, które ustawiają na wprost kraty.

Na szczęście, deszcz leje jak z cebra. Lont nie chce się zapalić, wilgotny proch nie wybucha.

W tym momencie jakiś głos szepcze Gilbertowi do ucha: — Pan Lafayette nadciąga i jest stąd nie dalej niż o pół mili.

Gilbert daremnie szuka człowieka, który przyniósł tę wiadomość, ale mniejsza o niego, wiadomość jest dobra.

Doktor rozgląda się wokół i widzi bezpieczeństwa konia — jest to prawdopodobnie koń jednego z zabitych gwardzistów.

Siada nań i rusza galopem w kierunku Paryża, Drugi koń bezpieczeństwa podąża za nim. Ale już dwadzieścia kroków dalej ludzie wstrzymują go za uzdę. Gilbert przypuszcza, iż przejrząwszy jego zamiar, chcą go ścigać. Oddalając się, rzuca spojrzenie poza siebie.

Ale nikt o tym nie myśli. Wszyscy są głodni. Chcą się pożywić i ciosami noża zabijają konia, Zwierzę pada i w jednej chwili zostaje rozszarpane na części.

Tymczasem zawiadomiono króla, podobnie jak Gilberta, że przybywa pan Lafayette.

Ludwik XVI podpisał właśnie wobec Mouniera dekret *Praw człowieka*, a młodej Chambry wręczył rozkaz dotyczący sprowadzenia zboża.

Zaopatrzeni w ten dekret i rozkaz, które miały — jak przypuszczano — uspokoić umysły, Maillard wraz z Chambry i tysiącem kobiet ruszył w drogę powrotną do Paryża.

Wychodząc z miasta, spotkano Lafayette'a, który ponaglany przez Gilberta pędził galopem., prowadząc Gwardię Narodową.

— Niech żyje król! — krzyknął Maillard, podniósłszy w górę dekret. Okrzyk ten podchwyciły kobiety.

— Cóż mi pan opowiadał o niebezpieczeństwie grożącym Jego Królewskiej Mości? „ — zapytał Lafayette zdziwiony, — Śpiesz się pan, śpiesz, generale! — zawołał Gilbert, nie przestając go ponaglać. Sam się pan przekona.

Lafayette śpieszy co żywo.

Gwardia Narodowa bijąc w bębny wkracza do Wersalu.

Przy pierwszym uderzeniu, którego odgłos dociera do Wersalu, król czuje, że ktoś lekko dotyka jego ramienia.

Odwraca się i widzi Andreę.

— A, pani de Charny! — rzekł. — Co robi królowa?

— Najjaśniejszy Panie, królowa błaga, żeby nie czekać na przyjście paryżan. Na czele swojej gwardii i żołnierzy flandryjskiego pułku Wasza Królewska Mość przedostanie się wszędzie.

— Czy i pan jest tego zdania, hrabio de Charny? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, o ile zarazem Wasza Królewska Mość przekroczy granicę, w przeciwnym razie...

— W przeciwnym razie?.

— Lepiej pozostać. Król skinął głową.

Zostaje nie dlatego, że ma odwagę pozostać, ale że brak mu siły, aby wyjechać. Szepcze po cichu:

— Król ma uciekać! Król zbiegiem! A zwróciwszy się do Andrei, mówi:

— Proszę powiedzieć królowej, żeby pojechała sama. Andrea wyszła, aby zanieść odpowiedź. Po upływie pięciu minut zjawiała się królowa i stanęła obok króla.

— Po co przyszłaś tu, pani? — zapytał Ludwik XVI.

— Aby umrzeć wraz z tobą, Najjaśniejszy Panie — odparła królowa.

— Ach! — szepnął Charny. — Jakie to piękne. Królowa usłyszawszy to, zadrżała.

— Naprawdę myślę, że lepiej mi już umrzeć, niż żyć — rzekła spoglądając na niego.

W tej samej chwili miarowy krok Gwardii Narodowej rozległ się tuż pod oknami pałacu. Wpadł zdyszany Gilbert..

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł do króla. — Wasza Królewska Mość nie ma już teraz powodu do obaw. Pan Lafayette jest na dole.

Król nie lubił pana Lafayette'a — to wszystko.

Z królową natomiast sprawa wyglądała inaczej. Nienawidziła ona szczerze Lafayette'a i nie tajiła swej nienawiści.

Toteż Gilbert, który uważał tę wiadomość za jedną z najpomyślniej szych, jakie w danej chwili mógł oznajmić, nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Nie dał się jednak onieśmielić królewskim milczeniem.

— Czy Wasza Królewska Mość słyszy? — rzekł stanowczym tonem.

— Pan de Lafayette jest na dole i czeka na rozkazy.

Królowa w dalszym ciągu milczała. Król przemógł się wreszcie.

— Proszę mu podziękować i zaprosić go w moim imieniu na górę.

Jeden z oficerów skłonił się i wyszedł.

Królowa cofnęła się o parę kroków, ale król zatrzymał ją gestem niemal rozkazującym.

Dworzanie rozdzielili się na dwie grupy.

Charny i Gilbert pozostali przy królu. Inni cofnęli się i stanęli za królową.

Usłyszano kroki i w drzwiach ukazał się pan de Lafayette.

Wśród milczenia, jakie zapadło na jego widok, w grupie królowej ktoś powiedział dwa słowa:

— Oto Cromwell.

Lafayette uśmiechnął się i rzekł:

— Cromwell nie przyszedłby sam do Karola I.

Ludwik XVI odwrócił się ku tym niby przyjaciółom, którzy mienili wrogiem człowieka śpieszącego mu z pomocą, i rzekł:

— Zostaje, hrabio de Charny. Z chwilą gdy pan de Lafayette jest tutaj, nie mam powodów do obaw. Każ pan, wojskom odejść do Rambouillet. Gwardia Narodowa obejmie posterunki na zewnątrz pałacu, a gwardia przyboczna zaciągnie wartę wewnątrz.

A zwracając się do Lafayette'a, powiedział:

— Proszę, generale, chcę z panem porozmawiać.

Widząc, że Gilbert zamierza odejść, dodał:

— Pan też jest potrzebny, doktorze. Chodź z nami. Wskazując obu drogę, król wszedł do gabinetu, a za nim Lafayette i Gilbert.

Królowa ujrawszy drzwi zamknięte, rzekła:

— Należało dzisiaj uciekać. Dzisiaj jeszcze czas. Jutro może być za późno!

Po czym wyszła, udając się do swych apartamentów.

Pałacowe okna rozświetliła naraz wielka jak od pożaru łuna.

Był to odbłask ogromnego ogniska, przy którym pieczono końskie mięso.

LIV

NOC Z PIĄTEGO NA SZÓSTY PAŹDZIERNIKA

Noc minęła dość spokojnie. Zgromadzenie obradowało do trzeciej nad ranem.

Po zakończeniu obrad wysłano dwóch woźnych, którzy zbadali drogi prowadzące do Wersalu i obeszlili park.

Wszędzie panował spokój, tak się przynajmniej wydawało;

Około północy królowa chciała wyjść przez bramę Trianon, ale Gwardia Narodowa nie chciała jej przepuścić. Powiedziano jej, że nigdzie nie jest tak bezpiecznie, jak w Wersalu.

Królowa wróciła więc do swych apartamentów. Uspokoila się istotnie, widząc, że na straży stoją najbardziej oddani jej oficerowie.

U swych drzwi spostrzegła Jerzego de Charny. Stał oparty na krótkiej strzelbie, jaką nosili gwardziści i dragoni. Było to niezgodne ze zwyczajem, gdyż w służbie wewnętrznej wartownicy nosili wyłącznie szable.

Królowa zbliżyła się do niego.

— A, to pan, baronie! — rzekła.

— Tak, Najjaśniejsza Pani!

— Zawsze wierny!

— Jestem na swoim posterunku!

— Kto pana tu postawił?

— Mój brat, Najjaśniejsza Pani.

— A gdzie jest pański brat?

— Przy boku Jego Królewskiej Mości.

— A dlaczego?

— Gdyż, jak powiedział, jest głową rodziny i wobec tego ma prawo umrzeć za króla, będącego głową państwa.

— Tak — rzekła Maria Antonina — nie bez cienia goryczy — podczas gdy panu wolno umrzeć tylko za królową.

— Spotka mnie wielki zaszczyt, Najjaśniejsza Pani — odparł skłoniwszy się młody człowiek — jeżeli Bóg pozwoli mi spełnić ten obowiązek.

Królowa miała się już oddalić, gdy sercem jej targnęło nagłe podejrzenie. Zatrzymała się i z daleka odwracając głowę zapytała:

— A... co się dzieje z hrabiną?

— Najjaśniejsza Pani, hrabina wróciła przed dziesięcioma minutami i kazała przygotować sobie łóżko w antyszambrze Waszej Królewskiej Mości.

Królowa przygryzła wargi.

W każdej sytuacji rodzina de Charny była wierna swym obowiązkom.

— Dziękuję panu — odparła królowa, skinąwszy wdzięcznie głową. — Dziękuję, że pan tak troskliwie czuwa nad królową. Podziękuj pan ode mnie swemu bratu, że równie troskliwie czuwa nad która.

I wyszła. W przedpokoju zastała Andreę, która nie spała, czekając w postawie pełnej szacunku na powrót królowej. Królowa nie mogła powstrzymać się od podania jej ręki.

— Przed chwilą dziękowałam, hrabino, twemu szwagrowi Jerzemu — rzekła. — Poleciłam mu podziękować twemu mężowi, a teraz dziękuję, pani, tobie.

Złożywszy ukłon, Andrea przepuściła królowę, która udała się do swej sypialni.

Maria Antonina nie wezwała jej do siebie. Czuła się nieswojo widząc to niezmiennie oddanie, jednak pozbawione już teraz wszelkiego uczucia.

O godzinie trzeciej nad ranem panował wszędzie spokój.

Gilbert wyszedł z pałacu wraz z panem de Lafayette, który po dwunastogodzinnej służbie na koniu upadał wprost ze znużenia. W bramie spotkał Billota, który przyszedł z Gwardią Narodową, sądząc, że może być doktorowi potrzebny. Zjawił się niczym pies, który pozostawiony w domu dopędza potem swojego pana.

O trzeciej więc wszędzie panował spokój. Członkowie Zgromadzenia rozeszli się, uspokojeni raportem woźnych.

Spodziewano się, że nic już nie zakłóci tego spokoju.

Mylne rachuby!

We wszystkich niemal ruchach ludowych, poprzedzających wielkie rewolucje, nadchodzi chwila ciszy, kiedy wydaje się wszystkim, że to już koniec, że można spokojnie zasnąć.

Mylne przypuszczenia!

Poza tymi, którzy wywołują pierwsze rozruchy, są inni jeszcze, którzy czekają, aż pierwsi, zmęczeni lub zadowoleni, udadzą się na spoczynek.

Wówczas ci następni, tajemnicze sprężyny zgubnych namiętności, prowadzą dalej rozpoczęte dzieło. Prowadzą je aż do końca, niosąc grozę i zakłócając sen tych, którzy utorowali drogę i spoczęli w połowie, sądząc, że ukończyli wędrówkę i osiągnęli cel.

Różne przyczyny kierowały dwiema gromadami ludzi, które przybyły wieczorem i w nocy do Wersalu.

Pierwszą był głód — domagano się więc chleba. Drugą nienawiść — żądano więc zemsty.

Wiemy, kto kierował jedną z nich: Maillard i Lafayette.

Ale kto stał na czele drugiej? Historia nie wymienia nikogo, ale tradycja mówi: Marat!

Znamy go, widzieliśmy podczas uroczystości weselnych Marii Antoniny, jak amputował nogi rannym na placu Ludwika XV. Widzieliśmy go na placu Ratuszowym, kiedy zachęcał obywateli do zdobycia Bastylji.

Widzimy go wreszcie, gdy sunie nocą, niczym wilk krążący wokół stada, aby rozpocząć krwawe dzieło, kiedy pasterz się zdrzemnie. Verrière! Wymieniamy go po raz pierwszy. Był to potworny karzeł, ohydny garbus, o krzywych nogach. Podczas każdej burzy dziejowej widziano, jak ten krwawy gnom wypływał na powierzchnię z najgorszymi szumowinami. W tych strasznych czasach widziano go wielokrotnie, jak pędził przez Paryż skulony na czarnym koniu, podobny do apokaliptycznej bestii lub któregoś z fantastycznych diabłów, ołówka Callota, kuszących św. Antoniego, Pewnego dnia w klubie, stanąwszy na Stole, zaatakował groźnie i oskarżył Dantona. W owym czasie zaczęła już słabnąć popularność człowieka, wslawionego w dniu drugiego września. Po tym zjadliwym ataku Danton czuł się zgubiony, jak lew, który spostrzeża już obok siebie ohydny głowę węża. Rozgląda się dookoła, szukając bronii lub oparcia. Na szczęście, Ujrzał innego garbusa. Chwycił go pod pachy i podniósłszy; w górę, postawił na stole naprzeciw Verrière a.

— Odpowiedz, przyjacielu, temu panu — rzekł. — Oddaję ci głos.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Danton był ocalony, przynajmniej tym razem.

A więc, jak głosi podanie, na czele drugiej gromady stali Marat, Verrière i... książe d Aiguillon.

Książę d Aiguillon, wróg królowej.

Książę d Aiguillon, przebrany za kobietę.

Kto o tym mówi? Wszyscy.

Książdz Delille i książdz Maury, dwaj księża, tak do siebie nie podobni.

Pierwszemu z nich przypisywano ów słynny wierszyk:
Jako mężczyzna jest tchórzem, Jako kobieta — mordercą.
Co się tyczy księdza Maury, sprawa była inna.

W dwa tygodnie po opisanych wydarzeniach książe d Aiguillon spotkał go na tarasie Feuillants i chciał do niego podejść.

— Ruszaj swoją drogą, nędzniku! — krzyknął ksiądz Maury.

I majestatycznie wyminął księcia.

Podobno więc owi trzej ludzie przybyli około czwartej nad ranem do Wersalu prowadząc z sobą wspomnianą drugą gromadę. Składała się ona z ludzi, którzy idą śladem walczących, aby rabować i mordować.

W Bastylji wprawdzie mordowano, ale nie rabowano.

W Wersalu można było pięknie sobie to powetować.

Około pół do szóstej z rana pałac pogrążony we śnie zadrżał.

Na marmurowym dziedzińcu rozległ się wystrzał.

Tłum sześciuset ludzi wyrósł nagle przed bramą, podjudzając się i popychając nawzajem, wyłamał kraty i wtargnął do wewnątrz.

Wtedy właśnie wartownik strzelił na alarm.

Jeden z napastników padł trupem, ciało jego leżało na kamieniach.

Wystrzał ten rozdziela tłum rabusiów — część zmierza po pałacowe srebra część zaś, kto wie — może po królewską koronę.

Potok ludzki, jakby przecięty ciosem siekiery, dzieli się na dwie części. Jedna biegnie do apartamentów królowej, druga rusza ku kaplicy, to znaczy do apartamentów króla.

Podążmy za tą drugą.

Widzieliście wezbraną falę przyływu morskiego? Otóż fala ludzka jest doń podobna, z tą tylko różnicą, że Wciąż prze naprzód i nigdy się nie cofa.

Gałą straż królewską stanowi w tej chwili Wartownik czuwający przy drzwiach i oficer. Ten ostatni wychodzi pośpiesznie z przedpokoju, zbrojny w halabardę wyrwaną przed chwilą z rąk wystraszonego Szwajcara.

— Kto idzie? — woła wartownik. — Kto idzie? Ponieważ nie ma odpowiedzi, a potok ludzki bezustannie płynie, woła po raz trzeci:

— Kto idzie?

I mierzy.

Oficer zdaje sobie sprawę, jaki może być skutek wystrzału w apartamentach. Podbija strzelbę, rzuca się ku napastnikom i zagradza halabardą schody na całej ich szerokości.

— Panowie, panowie! — krzyczy. — Czego chcecie? Czego żądacie?

— Niczego, niczego — odpowiada drwiąco kilkanaście głosów — Przepuście nas pan. Myśmy dobrzy przyjaciele Jego Królewskiej Mości.

— Jesteście dobrymi przyjaciółmi Jego Królewskiej Mości, a wypowiadacie mu wojnę?

Tym razem nie ma odpowiedzi. Ponury śmiech, nic więcej — to wszystko.

Jakiś człowiek chwyta za rękojeść halabardy, której oficer nie puszcza, gryzie go więc w rękę. Oficer wyrywa halabardę z rąk przeciwnika i dębową rękojeścią zadaje ze wszystkich sił cios w głowę, który miażdży napastnikowi czaszkę.

Gwałtowność uderzenia strzaskała halabardę. Teraz oficer ma podwójny oręż: drzewce i sztylet. Drzewcem wywija młynka, razi sztyletem. Tymczasem wartownik, dopadłszy drzwi przedpokojów, wzywa pomocy.

Nadbiegło kilku gwardzistów.

— Panowie, panowie! — woła wartownik. — Na pomoc panu de Charny! Na pomoc!

Wyrwane z pochew, szable, lśniące w blasku lampy, płonącej u góry na schodach, nacierają z furją na napastników, zadając razy na prawo i lewo.

Rozlegają się okrzyki bólu, krew tryska, tłum cofa się po stopniach schodów, czerwonych i śliskich od krwi.

Drzwi do przedpokojów otwierają się po raz trzeci i wartownik woła:

— Wracajcie, panowie! Rozkaz króla!

Gwardziści korzystają z chwilowego zamieszania, jakie nastąpiło wśród napastników, i cofają się ku drzwiom. Charny ostatni. Drzwi zamykają się za nim. Szczękają dwa wielkie rygle.

Na drzwi spada naraz tysiąc ciosów. Ale za nimi piętrzą się już ławki, stoły, taborety. Uda się wytrzymać napór przez dziesięć minut.

Dziesięć minut! W ciągu tych dziesięciu minut nadejdzie Jakaś odsiecz.

A co się dzieje u królowej?

Druga gromada rzuciła się ku prywatnym apartamentom. Ale schody są wąskie, w korytarzu ledwie dwie osoby mogą się przecisnąć.

Tam właśnie czuwa Jerzy de Charny.

Przy trzecim: „Kto idzie?”, pozostawionym bez odpowiedzi, dał ognia.

Na odgłos wystrzału otworzyły się drzwi od pokoju królowej.

Andrea wysunęła głowę blada, lecz spokojna.

— Co się stało? — zapytała.

— Pani! — wykrzyknął Jerzy. — Ratuj Jej Królewską Mość, godzą na jej życie. Jestem tu sam przeciwko tysiącom. Ale mniejsza o to! Stawię opór tak długo, jak tylko będą mógł. Spiesz się! Spiesz!

A ponieważ napastnicy są już blisko, zatrzaskuje drzwi krzycząc:

— Zasuń, pani, rygiel, zasun! Wytrwam tak długo, aby; królowa miała czas wstać i uciec.

Odwróciwszy się, przebija bagnetem dwóch pierwszych, którzy go dopadają.

Królowa słyszała wszystko. Andrea, wchodząc do pokoju, zastaje Marię Antoninę na nogach. Pani Hougé i pani Thibault pośpiesznie ją ubierają.

Na pół ubraną prowadzą ukrytym korytarzem do króla. Andrea zaś z kamiennym spokojem, obojętna na własne niebezpieczeństwo, rygluje wszystkie po kolei drzwi, podążając krok w krok za Marią Antoniną.

LV RANEK

U wejścia do apartamentów króla czekał na królowę jakiś człowiek.

Był to Oliwier de Charny, cały ubroczony krwią.

— Król! — krzyknęła Maria Antonina, widząc zbryzgane krwią ubranie hrabiego. —
Przyrzekłeś mi pan, że ocalisz króla!

— Król ocalony, Najjaśniejsza Pani — odparł Charny.

Hrabia spojrział w kierunku drzwi, które królowa pozostawiła otwarte, spiesząc do swej antyszambry. W tej chwili znajdowała się tu córka królewska, delfin oraz kilku gwardzistów. Charny miał już zapytać, gdzie jest Andrea, kiedy napotkał spojrzenie Marii Antoniny.

Słowa zamarły mu na ustach.

Wzrok królowej dotarł w głąb jego serca i choć hrabia milczał, Maria Antonina odgadła jego myśl.

— Ona idzie — rzekła — możesz pan być spokojny. Podbiegła do delfina i przytuliła go do piersi. Rzeczywiście — zamknąwszy ostatnie drzwi, Andrea weszła do antyszambry.

Andrea i Charny nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Porozumieli się tylko uśmiechem — to wszystko. Rzecz dziwna! Te dwa serca, tak długo rozłączone, zaczynały bić wspólnym rytmem.

Tymczasem królowa rozglądała się naokoło i jakby rada, że przychwyciła hrabiego na gorącym uczynku, rzuciła:

— A król? Król?...

— Król szuka cię, Najjaśniejsza Pani — odparł spokojnie Charny. — Udał się po ciebie jednym korytarzem, a Wasza Królewska Mość przysłała innym.

W tej chwili rozległy się w sąsiedniej sali głośne krzyki. Mordercy wrzeszczeli: „Precz z Austriaczką! Precz z Mesaliną! Precz z Weto! Uduśić ją! Powiesić!”

Jednocześnie huknęły dwa strzały pistoletowe i dwie kule przebiły drzwi. Jedna przeszła obok głowy delfina i utkwiała w boazerii.

— O, mój Boże! Mój Boże! — zawołała królowa padając na kolana. — Wszyscy zginiemy!

Na rozkaz hrabiego de Charny kilku gwardzistów utworzyło żywy mur osłaniający królowę i jej dzieci.

W tej chwili zjawił się król. Był blady, oczy miał pełne łez. Szukał królowej, tak jak ona jego szukała.

Spostrzegłszy Marię Antoninę rzucił się w jej ramiona.

— Ocalony! Ocalony! — zawołała.

— Przez niego, pani — odparł Ludwik XVI, wskazując na hrabiego. — I tyś także ocalona...

— Przez jego brata! — rzekła Maria Antonina.

— Panie hrabio — odezwał się król — zaciągnęliśmy wielki dług wobec pańskiej rodziny. Zbyt wielki, byśmy kiedykolwiek zdołali go spłacić.

Królowa napotkała wzrok Andrei i zaczerwieniwszy się, odwróciła głowę.

Teraz już napastnicy gwałtownie atakują drzwi.

— Dalej, panowie! — mówi Charny. — Przez godzinę musimy wytrwać. Jest nas siedmiu i przy zręcznej obronie nie uśmiercą nas prędzej. A tymczasem nadejdzie pomoc dla Ich Królewskich Mości.

Mówiąc to Charny ciągnie ogromną szafę, stojącą w rogu królewskiej komnaty. Za jego

przykładem idą inni i wkrótce piętrzy się już stos nagromadzonych mebli.

Królowa objęła dzieci i zaczęła się modlić. Dzieci tłumiły jęki i łzy.

Król wszedł do sąsiedniego pokoju, chcąc spalić kilka ważnych dokumentów, by nie dostały się w ręce napastników.

Atakowali oni zaciekle drzwi i pod ciosami siekiery i łomu leciały wciąż nowe drzazgi. Przez powstałe wyrwy wsuwano okrwawione piki i bagnety, aby zadać śmiertelny cios. Jednocześnie kule, przebijając futrynę nad barykadą, orały złożony sufit.

Na koniec jakaś ławka runęła z szafy na dół. Szafa przechyliła się, odsłaniając strzaskaną część drzwi, niby ziejącą przepaść. W powstałym wyłomie ukazały się — zamiast bagnetów i pik — skrwawione ręce, czepiające się otworów.

Gwardziści wystrzelili już ostatnie naboje, ale nie na próżno. Przez otwarte drzwi widać było podłogę gęsto zasłaną ciałami zabitych i rannych.

Słyszając krzyki kobiet, którym się zdawało, że już wybiła ich ostatnia godzina, wszedł król.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Charny. — Zamknij się wraz z królową w najbardziej oddalonym gabinecie i zarygluj za sobą wszystkie drzwi. Przy każdym drzwiach postawi się dwóch spośród nas. Ja strzec będę ostatniego wejścia. Ręczą, że zyskamy w ten sposób dwie godziny. Wyważenie tych drzwi zabrało przeszło czterdzieści minut.

Król wahał się. Zbyt upokarzająca wydawała mu się taka ucieczka z jednego pokoju do drugiego, chowanie się za każdą przegrodą.

Gdyby nie obecność królowej, nie cofnąłby się ani o krok.

Gdyby nie obecność dzieci, królowa zachowałaby się równie odważnie jak król.

Ale niestety! Biedni śmiertelnicy! Królowie czy poddani, zawsze mamy w sercu niewidoczną szczelinę, którą odpływa odwaga, a wdziera się przerażenie.

Król miał już rozkazać, aby schroniono się do najdalszego gabinetu, gdy nagle zniknęły wdzierające się ręce, bagnety i piki, umilkły wrzaski i pogródki.

Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy z zapiętym tchem trwali w niemym oczekiwaniu, wyęzając słuch.

A potem rozległ się miarowy krok regularnego wojska.

— To Gwardia Narodowa! — zawołał Charny.

— Panie de Charny! Panie de Charny! — zabrzmiał czyjś głos.

I równocześnie ukazała się w otworze znajoma twarz Billota.

— Billot! — wykrzyknął hrabia. — To pan, przyjacielu?

— Tak, ja! A gdzie król i królowa?

— Są tutaj.

— Zdrowi i cali?

— Zdrowi i cali.

— Bogu dzięki! Panie Gilbert! Panie Gilbert! Tędy!

Na dźwięk tego nazwiska zadrżały dwa serca kobiece — serce królowej i serce Andrei.

Odwróciwszy się instynktownie, Charny spostrzegł, że Andrea i królowa zbladły.

Potrząsnął głową i westchnął.

— Zróbcie, panowie, przejście! — rozkazał król. Przyboczni gwardziści rzucili się naprzód, odrzucając szczątki barykady.

Słychać było właśnie donośny głos Lafayette'a:

„Panowie z paryskiej Gwardii Narodowej! Wczoraj wieczór dałem królowi słowo, że wszystko, co należy do króla, pozostanie nienaruszone. Jeżeli pozwolicie wymordować gwardię przyboczną, ja uchybię danemu słowu i nie będę już godzien być waszym dowódcą”.

Gdy otworzyły się drzwi, ujrano dwie osoby: generała Lafayette'a i Gilberta. Nieco na lewo

stał Billot, wielce uradowany, że przyczynił się do ocalenia króla — on był właśnie tym, który obudził Lafayette’a.

Za Lafayette’em, Gilbertem i Billotem stał kapitan Gondran, dowódca kompanii dzielnicy Saint-Philippe-du-Roule.

Księżniczka Adelajda pierwsza podbiegła do pana Lafayette’a i przejęta uczuciem wdzięczności, zarzuciła mu ręce na szyję, wołając:

— Ach, to pan nas ocalił!

Lafayette, pełen uszanowania, miał już przekroczyć próg antyszambry rycerskiej, kiedy jeden z oficerów zatrzymał go.

— Przepraszam, czy posiada pan przywilej wstępu?

— Jeśli nie — wtrącił król, wyciągając rękę do Lafayette — daję mu go teraz.

— Niech żyje król! Niech żyje królowa! — wykrzyknął Billot.

Król odwrócił się.

— Ten głos jest mi znajomy — rzekł z uśmiechem.

— Bardzo jesteś łaskawy, Najjaśniejszy Panie — odparł pocziwy dzierzawca. — Tak, tak, słyszałeś go w czasie podróży do Paryża. Gdyby Wasza Królewska Mość został w Paryżu, zamiast wracać tutaj...

Królowa zmarszczyła brwi. — Właśnie — powiedziała — ci paryżanie są tacy mili.

— A więc, generale? — zwrócił się król do pana Lafayette’a, jakby pytając: „Co, pańskim zdaniem, robić?”

— Najjaśniejszy Panie — odparł z uszanowaniem pan de Lafayette — sędzę, iż byłoby dobrze, abyś ukazał się na balkonie.

Król spojrział pytająco na Gilberta.

Potem zbliżył się do okna, otworzył je bez wahania i stanął na balkonie.

Rozległ się jeden wielki krzyk:

— Niech żyje król! Potem zabrzmiał drugi:

— Król do Paryża!

Ale dały się słyszeć już inne potężne wołania, głuszące tamte:

Królowa!... Królowa!...

Wówczas wszyscy zadrżeli. Król zbladł, zbladł Charny, zbladł nawet Gilbert.

Królowa podniosła głowę.

Ściągnąwszy brwi, stała przy oknie z zaciśniętymi ustami, równie blada jak oni. Księżniczka znajdowała się tuż obok, przed nią delfin. Na jasnej główce dziecka spoczywała jej marmurowo biała ręka.

— Królowa! Królowa! — krzyczano coraz głośniej. — Lud pragnie cię widzieć, Najjaśniejsza Pani — rzekł”

Lafayette.

— Och, nie chodź tam, matko! — błagała zapłakana księżniczka, otaczając ramionami szyję królowej.

— Nie lękaj się niczego, Najjaśniejsza Pani.

— A więc idę! — odparła królowa.

Lafayette uśmiechnął się i ruchem pełnym szacunku a zarazem wdzięku, który zachował aż do późnego wieku, odsunął oboje dzieci od matki.

Potem podawszy rękę królowej, poprowadził ją na balkon mówiąc:

— Niech Wasza Królewska Mość raczy mi zaufać! Odpowiadam za wszystko.

Marmurowy dziedziniec, zmieniony w burzliwe i ryczące morze ludzkie, wyglądał tak przerażająco, że mógł przyprawić o zawrót głowy.

Na widok królowej rozległ się potężny krzyk, lecz nie wiadomo było, czy to okrzyk groźby, czy radości.

Wówczas wszyscy zadrżeli. Król zbladł, zbladł Charny, zbladł nawet Gilbert.

Królowa podniosła głowę.

Lafayette pocałował królowę w rękę. Zabrzmiały oklaski.

Jest bowiem rzeczą powszechnie wiadomą, iż w narodzie francuskim, znanym ze swej szlachetności, krew rycerska płynie nawet w żyłach pospólstwa.

Królowa odetchnęła.

— Dziwni ludzie — rzekł?. Nagle zadrżała.

— A moi gwardziści, którzy ocalili mi życie? Czy nie może pan nic dla nich uczynić?

— Zawołaj jednego z nich, Najjaśniejsza Pani — odparł Lafayette.

— Panie de Charny! Panie de Charny! — zawołała królowa.

Ale Charny cofnął się o krok: zrozumiał, o co chodzi.

Nie czuł się odpowiedzialny za ów wieczór pierwszego października.

Nie będąc winny, nie potrzebował amnestii.

Andrea odczuła to samo. Wyciągnęła rękę ku hrabiemu, aby go zatrzymać, i napotkała jego rękę. Ich dłonie połączyły się w uścisku.

Nie uszło to uwagi królowej, chociaż w tej chwili powinno ją absorbować tyle innych rzeczy.

Oczy Marii Antoniny rozbłysły gniewem, pierś ciężko dyszała.

— Panie — zwróciła się urywanym głosem do innego oficera — chodź, rozkazuję ci!

Gwardzista spełnił wezwanie. Nie miał zresztą, tak jak Charny, powodów do wahania.

Lafayette pociągnął go na balkon, przypiął mu do kapelusza własną trójkolorową odznakę i pocałował.

— Niech żyje Lafayette! Niech żyje gwardia przyboczna! — krzyknęło pięćdziesiąt tysięcy głosów.

Gdzieniedzie tylko dały się słyszeć głuche pomruki, jak ostatnia groźba oddalającej się burzy. Ale stłumiły je powszechne wiwaty.

— A więc — rzekł Lafayette — wszystko skończone i znów mamy piękną pogodę. A potem dodał: — Najjaśniejszy Panie, aby jednak nic jej nie zakłóciło, trzeba złożyć jeszcze jedną ofiarę.

— Tak — rzekł król w zadumie. — Opuścić Wersal, prawda?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Pojechać do Paryża.

— Może pan oznajmić ludowi — odparł król — że za godzinę królowa, ja i dzieci wyruszamy do Paryża.

Po czym zwrócił się do królowej:

— Pójdź, pani, do swych apartamentów i przygotuj się do drogi.

Rozkaz ten przypomniał hrabiemu de Charny jakąś ważną rzecz, o której nie mógł dotąd myśleć. Pobiegł wyprzedzając królowę.

— Czego pan chcesz? — zapytała szorstko Maria Antonina. — Nie jesteś mi pan potrzebny.

— Bardzo bym tego pragnął, Najjaśniejsza Pani — odparł. — Ale proszę być spokojną. Jeżeli istotnie nie będę potrzebny, postaram się swoją obecnością nie dokuczyć Waszej Królewskiej Mości.

Idąc za hrabią, królowa zobaczyła zbryzganą krwią posadzkę. Zamknawszy oczy ujęła ramię hrabiego, aby się na nim oprzeć, i tak przeszła kilka kroków. Nagle poczuła, że Charny zadrżał od stóp do głów.

— Co się stało? — zapytała otwierając oczy. — I naraz krzyknęła: — Trup! Trup!

— Wasza Królewska Mość wybaczy, że puszcze jej ramię — rzekł. — Znalazłem to, czego właśnie przyszedłem szukać: ciało mojego brata, Jerzego.

Były to rzeczywiście zwłoki nieszczęsnego młodzieńca, któremu brat nakazał oddać życie za królowę. Młody oficer wykonał ten rozkaz dokładnie.

LVI

JERZY DE CHARNY

Powyższą historię opowiadano już w stu rozmaitych wersjach, gdyż jest z pewnością jedną z najbardziej interesujących na przestrzeni tych brzemiennych w skutki lat 1789–1795, zwanych rewolucją francuską.

Epizod ten pojawi się jeszcze w stu innych wersjach, lecz — twierdzimy to z góry, nigdy nie będzie tak bezstronnie przedstawiony.

I mimo tylu relacji, łącznie z naszą, wiele zostanie jeszcze do uzupełnienia, historia bowiem nigdy nie bywa zamknięta. Spośród stu tysięcy świadków każdy interpretuje historię na swój sposób, każdy najmniejszy szczegół pełen jest swoistego znaczenia i poezji wskutek właśnie swej odrębności.

Ale na co przydadzą się te wszystkie najwierniejsze nawet opisy? Czyż polityk skorzystał kiedykolwiek z lekcji wydarzeń historycznych? Czy łzy, wyznania i krew królów miały kiedykolwiek moc kropli wody, drażnącej kamień?

Nie! Królowe przelewały łzy, królów mordowano, ale ich następcy nigdy nie skorzystali z okrutnego doświadczenia.

Ludzie wierni szafowali swym poświęceniem, ale nie przydało się ono tym, których przeznaczeniem było nieszczęście.

Niestety! Widzieliśmy, jak królowa potknęła się niemal o zwłoki jednego z tych ludzi, których martwe, skrwawione ciała odchodzący królowie zostawiają na drodze swego upadku, Kilka godzin minęło od owej sceny, pełnej grozy.

W chwili gdy Maria Antonina wraz z królem i dziećmi opuszczała Wersal, dokąd nie miała już powrócić, na dziedzińcu wewnętrznym, Wilgotnym od deszczu, który osuszały poddmuchy ostrego wiatru jesiennego, czarno ubrany mężczyzna stał pochylony nad zwłokami. Po przeciwnej stronie klęczał drugi mężczyzna w mundurze gwardii.

O parę kroków dalej, zacisnąwszy kurczowo ręce, patrząc nieruchomym wzrokiem — stał trzeci.

Zmarły był dwudziestodwuletnim młodzieńcem, z którego uszła krew przez głębokie rany na głowie i piersi. Ta sina, zorana pierś jak gdyby podnosiła się jeszcze gwałtownym oddechem w beznadziejnej obronie. Rozchylone usta i głowa odrzucona do tyłu z wyrazem bolesnego gniewu przypominały piękną metaforę poetycką ludu rzymskiego:

I z przeciągłym jękiem życie mknie w krainę cieni...

Czarno ubrany mężczyzna — to Gilbert. Klęczący oficer — to hrabia. Stojący mężczyzna — to Billot. Zmarłym był baron Jerzy de Charny.

Gilbert pochylony nad ciałem wpatrywał się w nie z jakąś nadludzką wolą, która zatrzymuje ulatujące życie.

— Zimny, sztywny... nie żyje — powiedział wreszcie.

Hrabia de Charny jęknął przeraźliwie i ściskając w ramionach to ciało bez czucia, wybuchnął tak rozdzierającym łkaniem, że doktor wzdrygnął się cały, a Billot zaszył się w jednym z zakamarków dziedzińca.

Nagle hrabia uniósł zwłoki, oparł je o mur i oddalił się zwolna, — spoglądając wciąż, czy brat nie ożyje i nie podąży za nim.

Gilbert klęczał na jednym kolanie, głowę wsparłszy na ręce zamyślony, nieruchomy, pełen przerażenia.

Po chwili Billot opuścił swój ciemny kąt i zbliżył się do Gilberta. Nie słyszał już

rozdzierających setce jęków hrabiego.

— Niestety, Niestety, panie Gilbert — rzekł. — A więc tak właśnie wygląda wojna domowa i dzieje się tak, jak pan przepowiedział. Ale to wszystko odbywa się szybciej, niż obaj sądziliśmy. Widziałem zbrodniarzy, którzy mordowali ludzi nieuczciwych, a teraz widzę, jak ci zbrodniarze mordują uczciwych. Widziałem, jak mordowano Flesselle'a i pana de Launay, i Foulona, i Berthiera. Drżałem na całym ciele i czułem do ludzi wstręt! A przecież ci których zabijano, byli to nędznicy. I wtedy mi pan powiedział, że któregoś dnia przyjdzie kolej i na ludzi uczciwych. Zabito pana barona de Charny. Nie drzę już, płaczę. Nie czuję już odrazy do ludzi, ale boję się siebie samego. — Billot! — zawołał Gilbert. Ale Billot, nie słuchając, mówił dalej:

— Zamordowano, panie Gilbert, tego biednego młodzieńca. Był żołnierzem, walczył. On nie mordował, ale jego zamordowano. — Billot westchnął głęboko. — Ach, znałem tego nieszczęśliwego, gdy był dzieckiem i przejeżdżał na swym małym siwku z Boursonne do Villers-Cotterets, i przywoził biedakom chleb od swojej matki. Ładne to było dziecko, krew i mleko, duże niebieskie oczy. Zawsze się śmiał. Jakie to dziwne! Od czasu, gdy go tu zobaczyłem, jak leży skrwawiony, nie podobny do siebie, mam wciąż przed oczyma właśnie to uśmiechnięte dziecko z koszykiem w lewej i sakiewką w prawej ręce. Ach, panie Gilbert, myślę, że to mi już wystarczy. Nie mam już ochoty widzieć nic więcej, bo, tak jak mi pan przepowiedział, może będę oglądał i pańską śmierć, a wtedy...

Gilbert potrząsnął z lekka głową.

— Bądź spokojny, Billot — rzekł — moja godzina jeszcze nie wybiła.

— Zgoda, ale moja wybiła, doktorze. Tam zbiory pogniły i grunty moje leżą odłogiem. Mam rodzinę, którą kocham, kocham tym więcej, im dłużej patrzę na tego trupa, oplakiwanego przez najbliższych.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Billot? Przypuszczasz może, że będę litował się nad tobą?

— O, nie! — odparł naiwnie Billot. — Ale ponieważ cierpię, skarżę się, a że skargi nie prowadzą do niczego, mam zamiar poradzić sobie sam i ulżyć na własną rękę.

— To znaczy, że...

— To znaczy, że mam ochotę wrócić na swój folwark, panie Gilbert.

— Znowu, Billot?

— Ach, panie Gilbert, wzywa mnie tam jakiś głos.

— Strzeż się, Billot! Ten głos doradza ci dezercję.

— Nie jestem żołnierzem, by dezercerować, panie Gilbert.

— To, co zrobisz, Billot, będzie gorsze niż dezercja żołnierza.

— Wytłumacz mi to pan, doktorze.

— Jak to? Przybyłeś pan do Paryża, ażeby burzyć, a uciekasz, kiedy gmach zaczyna się walić?

— Bo nie chcę widzieć, jak miażdży przyjaciół.

— Albo raczej, by samemu nie być zmiażdżonym.

— Ostatecznie — rzekł Billot — przecież nie zabroniono myśleć trochę o sobie!

— Piękne obliczenia! A czyż kamienie nie spadają z góry, a spadając nie trafiają bojaźliwych, którzy pragną uciec?

— O, pan wie, że nie jestem bojaźliwy.

— Więc zostaniesz, Billot, bo będziesz mi jeszcze potrzebny.

— Mojej rodzinie jestem też potrzebny.

— Billot, Billot! Przyznałeś mi przecież, że dla człowieka kochającego ojczyznę rodzina nie istnieje.

— Chciałbym wiedzieć, czyby pan to powtórzył, gdyby pański syn Sebastian wyglądał w ten sposób?

Ręką wskazał zmarłego.

— Billot — rzekł ze stoicyzmem Gilbert — nadejdzie chwila, kiedy mój syn Sebastian będzie patrzył na moje ciało, tak, jak ja patrzę teraz na te zwłoki.

— Tym gorzej dla niego, doktorze, jeżeli będzie wtedy tak niewzruszony jak pan.

— Mam nadzieję, że okaże się człowiekiem doskonalszym ode mnie i jeszcze bardziej zdecydowanym właśnie dlatego, że mu dałem przykład stanowczości.

— A więc pan chce, żeby dziecko przywykło do widoku krwi, ażeby oswoiło się już z pożarami, szubienicami, rozruchami, nocną grabieżą. Żeby widziało, jak się znieważa królowe, jak się grozi królom! A kiedy stanie się już twarde i zimne jak stal, chce pan, aby żywiło dla pana miłość i szacunek?

— Nie, nie chcę, żeby patrzył na to wszystko, Billot. Oto dlaczego wysłałem go do Villers-Cotterets, choć dzisiaj niemalże tego żałuję.

— Jak to, dzisiaj pan tego żałuje?

— Tak.

— Dlaczego dzisiaj?

— Bo dziś ujrzałyby, jak wygląda w praktyce opowiadka o lwie i myszy, która dla niego — jest tylko bajką.

— Co pan przez to rozumie?

— Rozumiem, że zobaczyłyby biednego dzierzawcę, którego przypadek sprowadził do Paryża, zobaczyłyby dzielnego i uczciwego człowieka, choć nie umie ani czytać, ani pisać. Człowieka, który by nie uwierzył nigdy, że jego życie może mieć dobry albo zły wpływ na losy wielkich tego świata, bo przecież nie śmiał na nich nawet spojrzeć. Zobaczyłyby człowieka, który raz już chciał opuścić Paryż i chce to teraz uczynić. Ujrzałyby, jak właśnie dzięki temu człowiekowi ocalono dzisiaj króla, królowę i dwoje dzieci.

Billot spoglądał na Gilberta zdziwionym wzrokiem. — Jak to, panie doktorze? — zapytał.

— Jak to, wniosły prostaczku? Zaraz ci to powiem. Tyś obudził się pierwszy usłyszawszy hałas i tyś odgadł, że zwiastuje on burzę, która runąć może na Wersal. Tyś pobiegł zaraz obudzić pana Lafayette'a, który spał.

— Ba, to całkiem naturalne. Po dwunastu godzinach na koniu, po dwudziestu czterech godzinach bez snu!

— I tyś go przywiódł do pałacu — ciągnął dalej Gilbert — a wśród tłumu krzyczałeś: „Precz, nędznicy, oto mściciel!”

— Tak, to prawda — rzekł Billot — zrobiłem to wszystko.

— A więc, Billot, mój przyjacielu, jeżeli nie przeszkodziłeś zamordowaniu tego młodzieńca, toś może zapobiegł śmierci króla, królowej i ich dwojga dzieci. Niewdzięczny! Chcesz porzucić służbę dla ojczyzny w chwili, gdy ona cię wynagradza!

— Ale kto w ogóle będzie wiedział, co zrobiłem, skoro sam o tym nie wiedziałem?

— Ty i ja, Billot. Czyż to nie wystarczy?

Billot zamyślił się i po chwili wyciągnął do doktora swą spracowaną rękę.

— Tak, ma pan rację — rzekł. — Ale człowiek to istota słaba, samolubna, niestała. Pan jeden jesteś silny, wspaniałomyślny, stały. Czemu pan to zawdzięcza?

— Nieszczęściu! — odparł Gilbert z przejmująco smutnym uśmiechem.

— To dziwne — rzekł Billot. — Myślałem, że na skutek nieszczęścia ludzie stają się źli.

— Tylko ludzie słabi.

— A gdybym ja był nieszczęśliwy i stał się zły?

— Może kiedyś będziesz nieszczęśliwy, ale nigdy zły.;

— Jest pan tego pewny?

— Ręczę za ciebie.

— A więc — rzekł Billot z westchnieniem. — A więc? — powtórzył Gilbert.

— A więc zostaję. Ale wiem, że nieraz jeszcze osłabnę.; — Znajdziesz zawsze we mnie podporę!

— Niechże tak będzie! — westchnął dzierżawca.

A rzuciwszy ostatnie spojrzenie na zwłoki barona de Charny, które służba brała na nosze, rzekł:

— Co tu mówić! Piękne to było dziecko ten mały Jerzy de Charny, kiedy z koszykiem w lewej ręce i sakiewką w prawej jechał na swoim siwku...

LVII

ODJAZD, PODRÓŻ I PRZYBYCIE PITOU ORAZ SEBASTIANA GILBERTA

Widzieliśmy, w jakich okolicznościach postanowiony został wyjazd Pitou i Gilberta.

Zamierzając chwilowo opuścić główne osoby naszej opowieści, aby podążyć za dwoma młodymi podróżnymi, mamy nadzieję, że czytelnicy pozwolą nam podać kilka szczegółów ich odjazdu, wędrówki i przybycia do Villers-Cotterets, gdzie — jak Pitou nie wątpił — dotkliwie odczuwano ich nieobecność.

Gilbert polecił Pitou, aby sprowadził Sebastiana. W tym celu wsadzono Pitou do fiakra i tak jak powierzono Sebastiana Pitou, podobnie powierzono Pitou woźnicy. W godzinę potem fiakier przywiózł Pitou wraz z Sebastianem.

Gilbert i Billot czekali w mieszkaniu wynajętym przy ulicy Saint-Honoré, w pobliżu, kościoła Wniebowzięcia.

Po przybyciu syna Gilbert oznajmił mu, że pojedzie tegoż wieczora wraz z Pitou i zapytał, czy cieszy go powrót do ulubionych przez niego lasów.

— Tak, mój ojciec — odparł chłopiec — bylebyś tylko odwiedzał mnie w Villers-Cotterets albo ja ciebie w Paryżu.

— Bądź spokojny, moje dziecko — rzekł Gilbert, całując syna w czoło. — Wiesz dobrze, że teraz nie mógłbym już obejść się bez ciebie.

Pitou zaczerwienił się z radości na myśl, że odjeżdża tegoż wieczora i zbladł ze szczęścia, kiedy Gilbert wsunął mu w jedną rękę obie dłonie Sebastiana, a w drugą dziesięć luidorów, po czterdzieści osiem franków każdy.

W religijnym skupieniu wysłuchali obaj długiego szeregu zaleceń doktora, dotyczących głównie higieny.

Sebastian spuścił swe wielkie, wilgotne oczy. Pitou ważył luidory i pobrzękiwał nimi w swej olbrzymiej kieszeni.

Pitou, piastujący funkcję gubernera, otrzymał od doktora Gilberta list, zaadresowany do księdza Portiera.

Po przemowie doktora głos zabrał Billot.

— Pan Gilbert — rzekł — powierzył ci opiekę moralną nad Sebastianem. Ja zlecam ci fizyczną. Masz pięści, umiej posłużyć się nimi w potrzebie.

— Dobrze — odparł Pitou. — Mam i szablę.

— Nie nadużywaj jej — przestrzegął Billot.

— Będę łaskawy — oświadczył Pitou. — *Clemens ero*.

— A teraz — rzekł Gilbert — powiem wam już tylko, jak macie podróżować.

— Och! — wykrzyknął Pitou. — Z Paryża do Villers-Cotterets tylko osiemnaście mil. Będziemy rozmawiać całą drogę.

Sebastian spojrzął na ojca, jakby zapytując, czy może być zabawna rozmowa z Pitou na przestrzeni osiemnastu mil. Pitou podchwycił to spojrzenie.

— Będziemy rozmawiać po łacinie — wtrącił — i wezmą nas za uczonych. — Było to marzeniem tego naiwnego chłopca.

Iluz to innych, mając w ręku dziesięć podwójnych luidorów, powiedziałyby:

— Kupimy pierników!

Gilbert zawahał się przez chwilę.

Spojrzał na Pitou, potem na Billota.

— Rozumiem — rzekł dzierżawca — zastanawiasz się pan, czy Pitou będzie dobrym przewodnikiem, i wahasz się powierzyć mu swego syna.

— O, nie jemu go powierzam — odparł Gilbert.

— Komuż więc?

Gilbert spojrział w górę. Był wolterianinem i nie śmiał powiedzieć: „Bogu”.

Na tym się skończyło. Postanowiono więc, że nie zmieniając planów wyruszą nazajutrz rano. Pitou obiecywał młodemu Gilbertowi podróż niezbyt nużącą i pełną rozrywek.

Gilbert mógł wysłać swego syna do Villers–Cotterets jednym z powozów publicznych, kursujących wówczas między Paryżem a granicą, lub nawet swoim własnym. Ale bardzo się lękał, że w samotności młody Sebastian puści wodze swej wyobraźni, a nic tak nie sprzyja marzeniom, jak monotony; turkot powozu.

Odprowadził więc tylko chłopców do Bourget. Tam wskazał ręką ciągnący się w blaskach słońca gościniec, obsadzony z obu stron drzewami, i rozwarłszy ramiona, rzekł:

— Idźcie!

Pitou ruszył z Sebastianem, który oglądał się niejednokrotnie, śląc ojcu pocałunki. Gilbert stał, skrzyżowawszy ramiona, w tym samym miejscu, gdzie rozstał się z synem, odprowadzając go wzrokiem.

Pitou prostował swą wysoką postać. Był wielce dumny z zaufania, jakim go obdarzył człowiek tak poważny, jak pan Gilbert, lekarz królewski.

Chłopiec postanowił skrupulatnie wykonać swą podwójną „funkcję guwernera i guwernantki.

Rola opiekuna młodego Sebastiana napełniała go poczuciem pewności siebie. Spokojnie wędrował, mijając tętniące ruchem wioski, przerażone wydarzeniami paryskimi świeżej daty. Bo choć doprowadziliśmy opis wydarzeń do piątego i szóstego października, pamiętamy, że Pitou i Sebastian opuścili Paryż w końcu lipca lub na początku sierpnia.

Głowę Pitou zdobił kask, a jego broń stanowiła olbrzymia szabla. Tyle tylko udało mu się zdobyć w czasie wypadków, trzynastego i czternastego lipca. Ale te trofea całkowicie zaspokajały jego ambicje, a nadając mu wojowniczy wygląd, gwarantowały bezpieczeństwo w drodze.

Zresztą, ten groźny wygląd, do którego przyczynił się bez wątpienia i kask, i dragońska szabla, Pitou uzyskał niezależnie od nich. Nie można było brać udziału w zdobyciu Bastylji, nie zachowawszy później jakichś znamion bohaterstwa.

Pitou stał się też po trosze adwokatem.

Nie można słuchać rozpraw na Ratuszu, mów pana Bailly’ego, przemówień pana de Lafayette’a, nie stając się zarazem mówcą, zwłaszcza gdy się już studiowało łacińskie *Conciones*, których słabym, choć dosyć dokładnym naśladownictwem było krasomówstwo francuskie z końca osiemnastego wieku.

Zbrojny w te dwie potęgi, które umiał *połączyć* z siłą pięści, niezwykle przyjemnym uśmiechem i fantastycznym apetytem, Pitou wędrował wesoło gościńcem do Villers–Cotterets.

Dla żądnych polityki miał nowiny, które zmyślał w razie potrzeby, bo mieszkał w Paryżu, wielkiej kuźni nowin w owym czasie. Opowiadał więc, jak to pan Berthier ukrył olbrzymie skarby, które gmina pewnego dnia odkopie. Jak pan de Lafayette opromieniony wielką sławą, duma francuskiej prowincji, jest w Paryżu na pół manekinem, a jego biały koń — przedmiotem różnych kalamburów. Jak pan Bailly, którego Lafayette zaszczyca głęboką przyjaźnią, jest arystokratą, a złe języki dodają coś jeszcze.

Opowiadając to wszystko Pitou wywoływał burze gniewu, ale umiał sobie z tym poradzić. Przytaczał nieznane anegdoty o „Austriacze”. Ta niewyczerpana werwa zapewniała mu nieprzerwaną serię doskonałych posiłków aż do Vauciennes, ostatniej wioski na drodze do

Villers–Cotterets.

Ponieważ zaś Sebastian jadł bardzo mało, ponieważ nic nie mówił i był dzieckiem chorowitym i bladym, wszyscy, którzy zwrócili na niego uwagę, podziwiali troskliwą opiekę, jaką Pitou otaczał chłopca. Pitou głaskał go i pieścił, dbał o niego, a kiedy nawet zjadał za niego posiłek, wydawało się, że robi to jedynie dla sprawienia mu przyjemności.

Gdy przybyli do Vauciennes, Pitou miał minę niezdecydowaną. Popatrzył na Sebastiana, Sebastian z kolei na niego.

Pitou podrapał się w głowę, co oznaczało u niego zakłopotanie. Sebastian wiedział dobrze, co ten gest oznacza.

— No więc, Pitou, o co chodzi? — zapytał.

— A właśnie — odparł Pitou — jeżeli ci to nie sprawia różnicy i nie jesteś bardzo zmęczony, to zamiast wędrować prosto dalej, moglibyśmy iść do Villers–Cotterets przez Haramont.

Wyrażając to życzenie poczciwy Pitou zacerwienił się tak, jak zarumieniłyby się Katarzyna, wypowiadając mniej niewinne życzenie. Sebastian zrozumiał.

— Ach, prawda! — rzekł. — Tam zmarła nasza biedna mateczka Pitou.

— Chodź, braciszku, chodź!

Pitou przycisnął Sebastiana do serca tak mocno, że omal go nie udusił, a potem wzięwszy chłopca za rękę, począł biec drogą na przełaj wzdłuż doliny Wuali. Pędził tak szybko, że biedny Sebastian, przebiegłszy sto kroków zdyszany zawołał: — Za prędko, Pitou! Za prędko!

Pitou zatrzymał się. Szedł przecież swym zwykłym krokiem, nie zwrócił więc na nic uwagi. Teraz spostrzegł, że Sebastian jest blady i bez tchu.

Wziął go na rękę, jak święty Krzysztof pana Jezusa, i ruszył dalej.

W ten sposób Pitou mógł iść tak szybko, jak chciał. A że niósł Sebastiana nie pierwszy raz, chłopiec nie protestował. Tak dotarli do Largny. Sebastian czując, że Pitou ciężko dyszy, oświadczył, że dość już wypoczął i gotów iść dalej tak szybko, jak Pitou sobie życzy.

Pełen wspaniałomyślności Pitou zwolnił kroku.

W pół godziny potem wkraczał już do wioski Haramont, pięknego zakątka, w którym się urodził.

Przybywszy tam, obaj chłopcy poczęli rozglądać się dokoła, aby się zorientować w sytuacji.

Spostrzegli przede wszystkim krucyfiks, jaki pobożny lud umieszcza zwykle na skrzyżowaniu dróg przy wejściu do wioski. Niestety, nawet w Haramont, podobnie jak w Paryżu, widać było przejawy ateizmu. Gwoździe, przytwierdzające do krzyża prawą rękę i nogi Chrystusa, wypadły, przeżarte rdzą. Chrystus wisiał tylko na lewej ręce i nikomu nie przyszło do głowy, aby ów symbol wolności, równości i braterstwa — które tak szeroko głoszone — przywrócić na właściwe miejsce.

Pitou nie był zbyt pobożny, ale głęboko tkwiły w nim tradycje. Na widok opuszczonego Chrystusa ścisnęło mu się serce. Wyrwał z żywopłotu jedno z pnączy, cienkie i mocna jak drut, położył na trawie swój kask i szablę, potem wdrapał się na krzyż, przywiązał do poprzeczki prawe ramię Boga–męczennika, ucałował jego nogi i zszedł.

Przez ten czas Sebastian modlił się, klęcząc u stóp krzyża. Za kogo? Któż to wie!

Może za ową wizję z lat dziecińczych, którą miał nadzieję odnaleźć pośród tego wiekowego lasu, może za tą matkę nieznaną, która nigdy nie jest obca. Bo jeśli nawet nie karmiła nas swoim mlekiem, to jednak żywiła przez dziewięć miesięcy własną krwią.

Skończywszy zbożne dzieło, Pitou włożył kask i przypasał szablę. Sebastian zaś po modlitwie przeżegnał się i ujął Pitou za rękę.

Teraz wkroczyli obaj do włoski i skierowali się ku chacie, w której urodził się Pitou, a Sebastian wychował.

Pitou znał dobrze Haramont, nie mógł jednak odnaleźć swej chaty i musiał się o nią rozpytywać. Ludzie wskazali mu murowany domek, kryty łupkowym dachem. Ogród otaczały sztachety.

Ciotka Angelika sprzedała dom swojej siostry, a nowy właściciel zburzył wszystko: stare, zapadłe w ziemię ściany, stare drzwi ze szparą, przez którą wślizgiwał się kot, stare okna, do połowy zaklejone papierem, na którym widniały niezdarne kulfony Pitou, strzechę mchem i bujnie kwitnącymi roślinami porosłą.

Nowy właściciel zburzył wszystko, wszystko! Drzwi były zamknięte, a przed nimi leżał duży czarny pies, który wyszczerzył na Pitou zęby.

— Chodź — rzekł Pitou ze łzami w oczach — chodź, Sebastianie, tam gdzie, jestem tego pewien, nic się nie zmieniło.

I pociągnął Sebastiana w stronę cmentarza.

Miał rację biedny chłopiec! Nic się tam nie zmieniło. Wyrosła tylko trawa, która rośnie na cmentarzach tak bujnie, że Pitou nie mógł odnaleźć grobu swej matki.

Na szczęście, z trawą wyrosła gałąź wierzby płaczącej. W ciągu trzech, czterech lat gałąź stała się już drzewem. Pitou skierował się wprost ku niemu i oświetloną przez wierzbę ziemię ucałował z taką samą czcią, jak Chrystusowe nogi.

Wstając poczuł, jak chwiały się wokół niego poruszone wiatrem gałęzie wierzby. Wyciągnął ramiona i objąwszy gałęzie przycisnął je do piersi. Miał wrażenie, że obejmuje po raz ostatni matczyne włosy.

Obaj chłopcy spędzili tu sporo czasu i słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Trzeba było opuścić mogiłę, jedyne chyba miejsce, które pamiętało o biednym Pitou.

Odchodząc chciał ułamać gałązkę wierzby i przypiąć do swego kasku, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Przyszło mu na myśl, że sprawi matce ból, zrywając gałąź drzewa, które może obejmowało korzeniami sosnową zbutwiałą już trumnę, kryjącą jej szczątki.

Raz jeszcze ucałował ziemię i poszedł, trzymając Sebastiana za ręką.

Wszyscy mieszkańcy byli w polu lub w lesie, niewiele więc osób mogło widzieć Pitou. Zresztą i tak nikt by go nie poznał w tym rynsztunku.

Ruszył więc drogą do Villers–Cotterets, drogą pełną uroku, która przecina las na przestrzeni trzech czwartych mili i nic nie zakłóciło jego melancholijnych rozmyślań.

Sebastian podążał za nim skupiony i jak zwykle milczący.

Do Villers–Cotterets przybyli około piątej.

LVIII

JAK PITOU, PRZEKŁĘTY I WYPĘDZONY PRZEZ CIOTKĘ ZA JEDEN BARBARYZM I TRZY SOLECYZMY, ZOSTAŁ PONOWNIE PRZEKŁĘTY I PRZEPĘDZONY ZA KURĘ W POTRAWCE Z RYŻEM

Pitou przybył, rzecz prosta, do Villers–Cotterets przez tę część parku, którą nazywają Bażantarnią. Przeszedł przez salę tańca, pustą w dni powszednie. Przed trzema tygodniami był tutaj z Katarzyną.

Ileż to rzeczy wydarzyło się w ciągu tych trzech tygodni!

Długą, wysadzaną kasztanami aleją dotarł do placu zamkowego i zapukał do bocznych drzwi szkoły księdza Fortiera.

Pitou nie był w Haramont już trzy lata, ale z Villers–Cotterets wyjechał dopiero przed trzema tygodniami. Rzecz zatem zrozumiała, że w Haramont nie poznano go, natomiast poznano w Villers–Cotterets.

W jednej chwili obiegła miasteczko wiadomość, że Pitou właśnie wrócił z Sebastianem Gilbertem, że obaj weszli do księdza Fortiera bocznymi drzwiami, że Sebastian wygląda mniej więcej tak samo jak przedtem, ale Pitou ma kask i dużą szablę u boku.

Rezultat był taki, że wokół głównego wejścia zebrał się tłum ludzi, którzy przypuszczali, że skoro Pitou udał się do księdza Fortiera bocznym wejściem pałacowym, to wyjdzie wielką bramą od ulicy Soissons.

Tamtędy właśnie wiodła jego droga do Pleux.

W gruncie rzeczy Pitou zatrzymał się u księdza po to tylko, aby doręczyć jego siostrze list od doktora, powierzyć jej opiece Sebastiana oraz zastawić pięć podwójnych luidorów na pokrycie kosztów utrzymania.

Siostra księdza Fortiera w pierwszej chwili przełękała się bardzo, widząc imponującego wzrostu żołnierza wchodzącego przez furtkę ogrodową. Zaraz jednak uspokoiła się, zobaczywszy pod kaskiem spokojną i pocziwą twarz. Widok pięciu luidorów przywrócił jej całkowitą równowagę.

Obawa pocziwej starej panny była tym bardziej uzasadniona, że ksiądz Fortier wyszedł ze swymi uczniami na przechadzkę, a ona znajdowała się w domu sama.

Pitou, doręczywszy list i luidory, uściskał Sebastiana i wyszedł włożywszy na głowę kask z zawadiacką fantazją.

Sebastian rozstając się z Pitou uronił kilka łez, choć Pitou jako towarzysz nie był zbyt zabawny a rozłąka nie miała trwać długo. Ale serce młodego Gilberta zawsze wzruszała weselość, dobroć i nieustanna uprzejmość Pitou. Miał on w sobie coś z natury wielkich psów–wodołazów, które nieraz człowieka zmęczą, ale gdy zaczynają się łaścić i lizać, rozbrajają w końcu.

Smutek Sebastiana złagodził Pitou obietnicą częstych odwiedzin, za co młody Gilbert nie omieszkiał mu podziękować.

Podążmy teraz za naszym bohaterem, udającym się z mieszkania księdza Fortiera do domu ciotki Angeliki, położonego, jak wiemy, na krańcach Pleux.

Wychodząc od księdza ujrzał Pitou gromadę czekających nań ludzi. Słyszeli oni już coś niecoś o jego dziwnym ubiorze, którego opis zdążył obieć całe miasto. Ponieważ Pitou wraca z Paryża, przypuszczano, że i on również brał udział w walkach, a ludzie żądni byli nowin.

Pitou nie skąpił ich, pełen, jak zawsze, powagi i godności, Opowiedział o zdobyciu Bastylji, o

czynach Billota oraz panów Maillarda, Elie ego, Hullina. O tym, jak Billot wpadł do fosy fortecznej i jak on, Pitou, wydobył go stamtąd.: A wreszcie, jak zwolniono pana Gilberta, który od kilkunastu dni był więźniem Bastylli.

Słuchacze wiedzieli już po części wszystko, co opowiadał im Pitou, bo czytali o tym w gazetach. Ale same opisy, choćby nawet bardzo interesujące, nie są tym, co relacje naocznego świadka, któremu można zadawać pytania i usłyszeć od razu odpowiedź.

Więc Pitou znowu relacjonował, odpowiadał, udzielał szczegółowych wyjaśnień, nie obrażając się na tych, co mu przerywali, i z wielką uprzejmością traktując wszystkich, którzy zadawali pytania.

Już całą godzinę trwały te rozmówki przed głównym wejściem pałacowym, na ulicy zatłoczonej wprost słuchaczami. Aż wreszcie jeden z obecnych, spostrzegłszy na twarzy Pitou oznaki niepokoju, wykrzyknął:

— Ależ Pitou jest zmęczony! Biedaczysko! A my mu każemy tu stać, zamiast go puścić do ciotki Angeliki. Dopieroż będzie pocziwina szczęśliwa, gdy go zobaczy!

— Właściwie to nie jestem zmęczony — rzekł Pitou — tylko głodny. Zmęczony nie bywam nigdy, ale głodny zawsze.

Słyszając to szczere wyznanie, tłum, pełen uszanowania dla potrzeb cielesnych Pitou, rozstał się, tak że mógł on w asyście kilku co najzawziętszych słuchaczy ruszyć w kierunku Pleux, to znaczy do domu ciotki Angeliki.

Ciotki nie zastał. Widocznie poszła do sąsiadów, a drzwi były zamknięte.

Kilka osób zaproponowało, więc Pitou, ażeby wstąpił do nich i pożywił się, on jednak nie przyjął zaproszenia.

— Ależ, drogi Pitou, przecież sam widzisz, że mieszkanie jest zamknięte.

— Drzwi domu ciotki nie mogą pozostać zamknięte przed oddanym i wygłodniałym siostrzeńcem — odpowiedział sentencjonalnie Pitou.

Wyciągnąwszy wielką szablę, na której widok cofnęły się kobiety i dzieci, wsunął koniec ostrza pomiędzy rygiel i skobel i nacisnął z całej siły. Drzwi otworzyły się ku wielkiemu zachwytowi obecnych, którzy nie wątpili już o bohaterskich czynach Pitou, widząc, jak zuchwale naraża się na gniew starej panny.

W mieszkaniu wszystko pozostało tak jak za czasów, Pitou: sławetny fotel skórzany królował pośrodku pokoju, a otaczało go parę innych kulawych krzesel czy taboretów, W głębi znajdowała się skrzynia, na prawo kredens, na lewo — kominek.

Pitou wszedł do mieszkania z uśmiechem rozrzewnienia.; Nie miał nic przeciwko tym wszystkim starym sprzętom, przeciwnie, widział w nich przyjaciół swego dzieciństwa. Były one co prawda tak twarde jak i ciotka Angelika, ale gdy się w głąb ich zajrzało, można było znaleźć coś dobrego. Natomiast wewnątrz ciotki Angeliki okazałoby się jeszcze bardziej oschłe i złe niż jej wygląd.

Pitou dał w tej chwili dowód prawdziwej odwagi wobec towarzyszących mu osób, które wszystkiemu przyglądały się z zewnątrz, zaciekawione, co stanie się po powrocie ciotki Angeliki. Z twarzy ich łatwo było wyczytać, że obdarzają Pitou ogromną sympatią.

Pitou, jak się rzekło, był głodny, głodny tak dalece, że to malowało się na jego twarzy. Toteż nie tracąc czasu skierował się wprost do skrzyni i kredensu.

Dawniej — mówimy „dawniej”, choć tylko trzy tygodnie upłynęły od wyjazdu Pitou, gdyż według nas czas mierzy się nie trwaniem, lecz jakością wydarzeń — dawniej Pitou usiadłby na progu zamkniętego domu i czekał pokornie na powrót ciotki. (Chyba że opętałby go zły duch lub potworny głód, jedna z dwóch podobnych do siebie piekielnych potęg.) Powitałby ją słodkim uśmiechem, usunąłby się z progu, aby ją przepuścić, a potem sam wszedłby za nią. Przyniósłby

następnie chleb i nóż, ażeby mu wydzieliła jego porcję. A po otrzymaniu jej rzuciłby pożądlive, niemal magnetyczne spojrzenie, zdolne — tak przynajmniej sądził — przyciągnąć ser lub przysmak, leżący w kredensie na półce.

Spojrzenie to rzadko wprawdzie, ale niekiedy skutkowało.

Dziś jednak Pitou, będąc już mężczyzną, tak nie postąpił. Otworzył najspokojniej skrzynię, wyciągnął z kieszeni swój szeroki nóż i wzięwszy bochenek chleba odkroił ukośnie kawał, który mógł ważyć kilogram, jak się zwykło mówić od czasu wprowadzenia nowych jednostek miary i wagi.

Włożył bochenek z powrotem do skrzyni, a potem ją zamknął.

Z takim samym spokojem Pitou otworzył kredens.

Zdawało mu się przez chwilę, że słyszy pomrukiwanie ciotki Angeliki, ale skrzypnęły zawiasy kredensu i ten rzeczywisty dźwięk stłumił tamten, zrodzony tylko w wyobraźni.

Kiedy Pitou mieszkał tu jeszcze, skąpa ciotka ograniczała się do zapasów podstawowych, jak ser Marolles lub cienki plaster słoniny zawinięty w ogromny, zielony liść kapusty. Ale odkąd ów fantastyczny żarłok opuścił te strony, ciotka, mimo skąpstwa, przyrządzała sobie różne dania, które mogły przetrwać cały tydzień nie tracąc na smakowitości.

Była to bądź sztufada z marchewką i duszoną na resztkach tłuszczu cebulką, bądź potrawka barania z przysmażanymi ziemniaczkami, okrągłymi lub podłużnymi, albo też nóżki cielece, przyprawione szalotkami w occie. Czasem znów — olbrzymi pieczony omlet, upstrzony szczypiorkiem i pietruszką lub przybrany plastrami słoniny tak wielkimi, że jeden wystarczyłby starej pannie na zaspokojenie głodu, nawet gdy jej dopisywał apetyt.

Przez cały tydzień ciotka Angelika pieściła wzrokiem ten cenny przysmak, z którego decydowała się uszczknąć coś niecoś jedynie w razie nieodpartej konieczności. Cieszyła się codziennie, że sama może spożywać te specjały i w ciągu takiego szczęsnego tygodnia myślała o swym siostrzeńcu Pitou, ilekroć sięgała ręką po jedzenie i podnosiła kasek do ust.

Aniołowi Pitou sprzyjało szczęście.

Trafił właśnie na dzień (był to poniedziałek), kiedy ciotka Angelika ugotowała w ryżu starego koguta, który warzył się tak długo, że mięso odeszło od kości i zdawało się niemal rozplwać.

Potrawa prezentowała się doskonale na głębokim półmisku połyskliwym i ponętnym dla oka. Mięso górowało nad ryżem, niczym wysepki nad rozległym jeziorem, a grzebień koguta sterczał pośród licznych cypli, niby szczyt Ceuty nad Cieśniną Gibraltarską.

Pitou, ujrawszy to cudo, nie wydał nawet kurtuazyjnego okrzyku podziwu. Zepsuty na dobrej kuchni zapomniał, niewdzięczny, że nic równie wspaniałego nie zagościło nigdy w kredensie ciotki Angeliki.

W prawej ręce trzymał kawał chleba. Lewą pochwycił naczynie, utrzymując je w równowadze naciskiem swego potężnego kciuka, który zagłębił się w gęstym i wonnym tłuszczu.

W tej samej chwili jednak Pitou odniósł wrażenie, że pomiędzy nim a otwartymi drzwiami stanął jakiś cień.

Odwrócił się z uśmiechem, był bowiem jedną z owych szczerych natur, u których zadowolenie maluje się na twarzy.

Tym cieniem była osoba ciotki Angeliki. Ciotki Angeliki, bardziej niż kiedykolwiek skąpej, przykrej, oschłej.

Dawniej — musimy nieustannie powracać do tej samej figury retorycznej, do porównania, zważywszy; iż ono tylko zdoła wyrazić naszą myśl — dawniej na widok ciotki Angeliki Pitou wypuściłby z rąk półmisek, a kiedy by zrozpaczona ciotka, schyliwszy się, zbierała szczątki koguta i resztki ryżu, chłopiec dałby susa ponad jej głową i zemknął trzymając chleb pod pachą.

Ale Pitou był już inny, a kask i szabla mniej go zmieniły, pod względem fizycznym niż

obcowanie z wielkimi ówczesny — mi filozofami pod względem umysłowym.

Zamiast uciekać przed ciotką, zbliżył się do niej z wdzięcznym uśmiechem i wyciągnął ręce, a chociaż próbowała uchylić się od jego uścisku, objął ją parą dragów, zwanych jego ramionami. Przyciskał starą pannę do swej piersi rękami, które trzymając chleb i nóż oraz naczynie z kogutem i ryżem, skrzyżowały się na ciotczyńnych plecach.

Gdy spełnił ten akt obowiązku rodzinnego, który uważał za konieczną powinność siostrzeńca, odetchnął pełną piersią i powiedział:

— Więc tak, ciotko Angeliko! To ten biedak Pitou!

Nienawykła do takich uścisków, stara panna wyobraziła sobie, że Pitou, przychwycony przez nią na gorącym uczynku, chciał ją udusić, jak niegdyś Herkules Anteę. Ale i ona też z kolei odetchnęła, uwolniona od niebezpiecznego uścisku, spostrzegła jednak, że Pitou nie okazał zupełnie zachwyty na widok koguta. Był więc nie tylko niewdzięczny, lecz i nieokrzesany.

Coś innego jeszcze wzburzyło ciotkę Angelikę. Dawniej, kiedy ona królowała w swym skórzanym fotelu, Pitou nie śmiał usiąść nawet na brzeżku któregoś z uszkodzonych krzeseł lub kulawych stołków. A teraz, przywitawszy ją, rozsiadł się wygodnie w fotelu, postawił półmisek na kolanach i zabrał się do jedzenia.

W potężnej prawicy trzymał wspomniany nóż z szerokim ostrzem, istną łopatę, jakiej zapewne używał Polifem przy jedzeniu. W drugiej ręce trzymał kawał chleba, szeroki na trzy cale i długi na sześć, którym jak miotłą zgarniał z pół — miska ryż, a nożem krajał mięso nakładając je na chleb.

Rezultat tego przemyślnego i morderczego manewru był taki, że po kilku minutach ukazało się białoniebieskie dno półmiska, podobnie jak po odpływie widać na molo kamienne słupki i kółka, które pokrywała woda.

Niepodobna opisać straszliwej rozterki i rozpaczyci ciotki Angeliki. Przez chwilę wydawało się, że krzyknie. Ale nie mogła wydobyć głosu.

Pitou uśmiechał się tak czarująco, że krzyk zamarł na ustach ciotki, więc próbowała uśmiechnąć się, w nadziei, że poskromi w ten sposób głód, tę dziką bestię, szalejącą we wnętrzościach jej siostrzeńca.

Niestety, nienasycony żołądek Pitou pozostał niemy i głuchy.

Uśmiech ciotki przeszedł w końcu w płacz.

Zakłopotało to nieco Pitou, ale bynajmniej nie przestał jest.

— Och, ciotko! — rzekł. — Jakaś ty dobra, płaczesz z radości, że wróciłem. Dzięki ci, kochana ciociu, dzięki!

I zjadał w dalszym ciągu. Widocznie rewolucja francuska zupełnie zmieniła naturę tego chłopaka. Pochłonawszy całego koguta, zostawił na półmisku trochę ryżu i rzekł:

— Kochana ciociu, ty wolisz ryż, prawda? To lepsze na twoje zęby. Zostawiłem ci go trochę.

Te słowa, które ciotka wzięła za drwinę,omalże jej nie uśmierciły. Zbliżyła się do młodzieńca i wyrwała mu z rąk półmisek, rzucając przekleństwo, które po dwudziestu latach wspaniale uzupełnił stary wiarus napoleoński.

Pitou westchnął.

— Och, ciotko — rzekł — żałujesz koguta, prawda?

— Zbrodniarzu! — krzyknęła ciotka Angelika. — On po prostu nabija się ze mnie!

(„Nabijać się” — to iście narodowy zwrot, powszechnie używany). Pitou wstał.

— Ciotko — oświadczył z godnością. — Nie zamierzam bynajmniej jeść za darmo. Mam pieniądze. Jeżeli chcesz, mogę się u ciebie stołować, ale zastrzegam sobie układanie jadłospisu.

— Łajdaku!

— Liczmy za porcję cztery su, otóż za ten posiłek jestem winien: za ryż cztery su, a dwa su za

chleb. Razem sześć su.

— Sześć su! — krzyknęła ciotka. — Sześć su! Przecież samego ryżu było za osiem su i chleba za sześć.

— Ale — rzekł Pitou — nie liczyłem jeszcze koguta, moja droga ciociu, zważywszy, że pochodzi z twojego kurnika. To mój stary znajomy, poznałem go od razu po grzebieniu.

— Ale swoje wart!

— Ma dziesięć lat. Ukradłem go dla ciebie spod starej kwoki. Był taki jak piąstka. Nawet wybiłaś mnie wtedy, że nie przyniosłem dla niego ziarna. Ale dostałem je od panny Katarzyny. Kogut był mój, zjadłem go, bo miałem zupełne prawo.

Ciotka nie posiadając się z gniewu, spiorunowała rewolucjonistę wzrokiem. Głos odmówił jej posłuszeństwa. — Wyjdź stąd! — syknęła.

— Jak to? Tak zaraz po obiedzie, bez chwili odpoczynku? To niegrzecznie, moja ciociu.

— Wyjdź!

Pitou, który już zdążył usiąść, znowu wstał. Stwierdził z zadowoleniem, że jego żołądek nie zmieściłby już ani jednego ziarnka ryżu więcej.

— Ciotko — rzekł z godnością — jesteś złą krewną. Chcę ci dowieść, że krzywdzisz mnie tak jak i przedtem. Zawsze jesteś tak samo twarda i skąpa. Otóż nie chcę, żebyś opowiadała wszędzie, że jestem niepohamowanym żarłokiem.

Staął na progu i głosem stentorowym, aby usłyszeli nie tylko towarzyszący mu ciekawscy, ale i inni przechodnie, zawołał:

— Biorę tych pocziwców na świadków, że przybywam pieszo z Paryża po zdobyciu Bastylji. Byłem zmęczony i głodny, więc usiadłem tu i jadłem u swojej krewnej. Ale ona wymówiła mi szorstko ten posiłek i wypędziła mnie tak bezlitośnie, że jestem zmuszony stąd odejść.

Pitou wypowiedział ten wstęp z takim patosem, że sąsiedzi zaczęli szemrać przeciwko starej.

— Pamiętajcie, że biedny wędrowiec — ciągnął Pitou — który przebył dziewiętnaście mil pieszo, uczciwy chłopiec, zaszczycony zaufaniem pana Billota i pana Gilberta, ten co odprowadził Sebastiana Gilberta do księdza Fortiera, zdobywca Bastylji, przyjaciel pana Bailly'ego i generała Lafayette'a został stąd wypędzony!

Szemranie wzmogło się.

— A ponieważ — mówił dalej Pitou — nie jestem żebrakiem, skoro wymawiają mi posiłek, płacę za niego, oto talar, zapłata za wszystko, co zjadłem u ciotki Angeliki.

Mówiąc to Pitou wyjął z kieszeni wspaniałomyślnym gestem talara i rzucił go na stół. Odbiwszy się, w oczach wszystkich, moneta wpadła do półmiska, zagłębiając się do połowy w ryżu.

To ostatecznie dobiło starą pannę. Spuściła głowę pod ciężarem powszechnego potępienia, wyrażonego przeciągłym szemraniem. Dwadzieścia ramion wyciągnęło się w stronę Pitou, który opuścił chatę otrząsając na jej progu pył ze swych trzewików i znikł w asyście ciżby ludzi, ofiarowujących mu wikt i schronienie, szczęśliwych, że mogą gościć u siebie zdobywcę Bastylji, przyjaciela pana Bailly'ego i Lafayette'a.

Ciotka zabrała talara i schowała go do drewnianej miseczki, gdzie miał oczekiwać, w towarzystwie wielu innych, na przeistoczenie się w starego luidora.

Ale chowając talara, który znalazł się u niej w tak szczególnych okolicznościach, westchnęła i pomyślała, że Pitou miał może prawo zjeść wszystko, skoro tak dobrze zapłacił.

LIX

PITOU REWOLUCJONISTĄ

Spełniwszy jak należało swój obowiązek, Pitou pragnął zadośćuczynić potrzebie serca.

Jakąż rozkosz sprawia posłuszeństwo, jeśli rozkaz wydany przez zwierzchnika urzeczywistnia nasze tajemne pragnienia.

Pitou puścił się pędem przez uliczkę, która prowadzi z Pleux do ulicy Lonnet, opasując tę stronę miasteczka zielenią swoich dwóch żywopłotów. Potem pobiegł polem na przełaj, aby dotrzeć jak najprędzej do folwarku w Pisseleux.

Wkrótce jednak przestał się śpieszyć: każdy krok budził w nim jakieś wspomnienia.

Kiedy człowiek wkracza do miasta lub wioski, w której się urodził, stąpa wówczas po swej młodości, po dniach minionych, które ściera mu się, jak mówi poeta angielski, niby dywan pod nogi, aby uczić powracającego wędrowca.

Na każdym kroku przyśpieszony rytm serca nasuwa jakieś wspomnienia. Tu człowiek cierpiał, tam był szczęśliwy, tu szlochał z bólu, tam płakał z radości.

Pitou nie był wprawdzie psychologiem, był jednak człowiekiem wrażliwym i uczuciowym. Co krok odżywały w nim wspomnienia przeszłości, tak że przybył na folwark matki Billot głęboko wzruszony.

Kiedy spostrzegł przed sobą długą linię dachów, kiedy zmierzył wzrokiem stuletnie pochylone wiązy, jakby zapatrzone w pocerniałe od dymu kominy, kiedy usłyszał daleki ryk bydła, które żyje i gada, szczekanie psów, turkot wozów, wówczas poprawił na głowie kask i ściągnął mocniej pas, przybierając marsową postawę, jaka przystoi zakochanemu i żołnierzowi.

Z początku nikt go nie poznał, co było dowodem, że mu się to nieźle udało.

Nad sadzawką parobek poił konie. Słyszac jakiś chrzęst, odwrócił się i poprzez rozstrzępione listowie wierzby spostrzegł Pitou, a raczej jego kask i szablę.

Patrzył osłupiały.

Przechodząc obok, Pitou zawołał:

— Hej, Barnaut! Dzień dobry, Barnaut!

Parobczak, zdumiony, że kask i szablę znają jego nazwisko, zdjął z głowy małą czapkę i wypuścił z rąk postronek, na którym trzymał konia. Pitou minął go z uśmiechem.

Ale to parobka nie uspokoiło. Życzliwy uśmiech Pitou pozostał ukryty pod jego kaskiem.

Jednocześnie przez okno jadalni spostrzegła wojskowego matka Billot. Wstała.

We wsiach ludzie żyli wówczas pod grozą. Krążyły wieści o bandytach, którzy niszczyli lasy i ścinali jeszcze zielone zboże.

Co oznaczało przybycie tego żołnierza? Rabunek czy pomoc?

Szybkim spojrzeniem matka Billot obrzuciła sylwetkę Pitou, zastanawiając się, co mają wspólnego wiejskie buty z błyszczącym kaskiem. Jej przypuszczenia skłaniały się tyleż ku podejrzeniom co i ku nadziei.

Żołnierz wszedł do kuchni.

Matka Billot posunęła się o dwa kroki ku nowo przybyłemu. Pitou, nie chcąc uchybić grzeczności, zdjął kask.

— Anioł Pitou! — krzyknęła. — Tutaj?

— Dzień dobry, pani Billot — odparł Pitou.

— Anioł! O, mój Boże! A któż by się spodziewał! Więc zaciągnąłeś się?

— Oczywiście! — odpowiedział Pitou.

I uśmiechnął się z wyrazem wyższości. Potem obejrzał się dokoła, jakby czegoś szukał. Matka Billot uśmiechnęła się. Odgadła cel jego spojrzeń i zapytała z prostotą:

— Szukasz Katarzyny?

— Chcę jej złożyć uszanowanie — odparł Pitou. — Tak jest, proszę pani.

— Katarzyna rozwiesza bieliznę. No, ale siadaj. Popatrzże na mnie, mów!

— Bardzo chętnie — odparł. — Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry, pani Billot.

I usiadł.

Na progu w drzwiach i na stopniach schodów zgromadzili się wokół niego wszyscy parobcy i dziewczęta zwabione relacją stajennego chłopca.

Każdy z nowo przybyłych szeptał to samo pytanie:

— To Pitou?

— Tak, to on!

— Aha!

Pitou rzucał życzliwe spojrzenia wszystkim dawnym towarzyszom i uśmiechał się po przyjacielsku.

— Więc przybywasz z Paryża? — pytała dalej gospodyni.

— Prościuteńko, pani Billot.

— Jak się, ma twój pan?

— Bardzo dobrze, proszę pani. — A Paryż?

— Bardzo źle!

— Ach!

Krag słuchaczy zacieśnił się.

— A król? — zapytała gospodyni.

Pitou potrząsnął głową i mlasnął językiem w sposób wielce dla monarchii upokarzający.

— A królowa?

Tym razem Pitou nic nie odpowiedział, — Och! — jęknęła pani Billot.

— Och! — powtórzyli wszyscy zgromadzeni.

— Opowiadajże, Pitou! — zachęcała gospodyni.

— No, dobrze! Wypytajcie mnie! — odparł Pitou, któremu niepilno było w nieobecności Katarzyny opowiadać najbardziej interesujące nowinki.

— Skąd masz ten kask? — zapytała pani Billot.

— To są trofea — odparł Pitou.

— A co to takiego „trofea”? — spytała poczciwa kobieta.

— Ach, prawda, pani Billot — rzekł Pitou z protekcyjnym uśmiechem. — Pani przecież nie może wiedzieć, co to są trofea. Trofea to łup zabrany zwyciężonemu wrogowi.

— Więc tyś zwyciężył wroga, Pitou?

— A bo to jednego! — odparł lekceważąco. — Ach, moja kochana pani Billot, przecież pani nie wie, żeśmy zdobyli we dwóch Bastylię, pan Billot i ja.

To magiczne słowo zelektryzowało słuchaczy. Pitou poczuł na swych włosach oddechy obecnych, a ich ręce na oparciu krzesła.

— Opowiadaj, opowiedz no, co też zrobił nasz gospodarz — rzekła pani Billot, drząc z przejęcia.

Pitou obejrzał się, czy Katarzyna nie nadchodzi. Ale jej jak nie było, tak nie było.

Uznał to za obrazę, że dla najświeższych nowin, przy wiezionych przez takiego jak on kuriera, panna Billot nie zaniechała rozwieszania bielizny.

Pitou potrząsnął głową, ogarnęło go niezadowolenie.

— Długo by o tym opowiadać — rzekł.

— Głodny jesteś? — zapytała pani Billot.

— Niby...

— Chcesz pić?

— Nie przeczę.

Parobcy i dziewczęta uwinęli się w mig, tak że Pitou znalazł pod ręką kubek, chleb, mięso i rozmaite owoce, zanim się jeszcze zastanowił nad wagą wyrażonego żądania.

Pitou miał, jak to się mówi, dobry spust, to znaczy trawił szybko. Mimo to jednak nie zdążył jeszcze uporać się z kogutem, ciotki Angeliki, którego ostatni kęs pochłonął nie dalej niż przed pół godziną.

Obsłużono go tak prędko, że nie zyskał na czasie tyle, ile się spodziewał.

Widząc, że trzeba się zdobyć na szczególny wysiłek, Pitou zaczął jeść. Ale pomimo najlepszych chęci zmuszony był zrezygnować.

— Co ci jest? — zapytała pani Billot.

— Ba, co mi jest... — Dajcie mu pić! — zawołała pani Billot na służbę.

— Mam jabłecznik, proszę pani.

— Ale może ty wolisz wódkę?

— Wódkę?

— Tak! Przywykłeś w Paryżu pić wódkę?

Dobra kobieta przypuszczała, że w ciągu swej kilkunastodniowej nieobecności Pitou zdemoralizował się zupełnie. Pitou odrzucił propozycję.

— Wódkę? — powtórzył. — Ja nigdy nie piję wódki.

— Więc mów!

— Jeżeli powiem teraz — odparł — trzeba będzie powtórzyć pannie Katarzynie, a to długa historia.

Kilka osób rzuciło się w kierunku pralni, po pannę Katarzynę.

A kiedy wszyscy biegli w tamtą stronę, Pitou spojrział machinalnie na schody wiodące na pierwsze piętro. Przez otwarte wskutek przeciągu drzwi spostrzegł Katarzynę wyglądającą przez okno.

Patrzyła w stronę lasu, to znaczy w kierunku Boursonne.

Była tak zatopiona w myślach, że cała krzątania na dole nie docierała do jej świadomości i nic z tego, co się działo w domu, nie mogło oderwać jej uwagi zwróconej w inną stronę.

— Ach! — westchnął Pitou. — Patrzy w stronę lasu, w stronę Boursonne, w stronę pana Izydora de Charny... No tak, właśnie!

Westchnął po raz drugi, jeszcze żałośniej.

W tej samej chwili wrócili wysłannicy. Szukano Katarzyny nie tylko w pralni, ale we wszystkich możliwych miejscach.

— No i cóż? — zapytała pani Billot.

— Nie znaleźliśmy panienki.

— Katarzyno! Katarzyno! — wołała pani Billot. Dziewczyna nic nie słyszała.

Wówczas Pitou odważył się wtrącić:

— Ja wiem, proszę pani — rzekł — dlaczego nie znaleziono panny Katarzyny.

— Dlaczego?

— Bo jej tam nie ma.

— Więc ty wiesz, gdzie ona jest?

— Wiem.

— Gdzież więc? — Na górze.

Ujawszy gospodynię za rękę poprowadził ją parę stopni po schodach i pokazał Katarzynę

siedzącą na parapecie okiennym, obrośniętym powojem i bluszczem.

— Czesze się — rzekła poczciwa kobieta.

— Niestety, nie! Jest uczesana — odparł melancholijnie Pitou.

Nie zwracając uwagi na jego przygnębienie pani Billot zawołała głośno:

— Katarzyno! Katarzyno!

Dziewczyna drgnęła, zaskoczona, szybko zamknęła okno.

— Co takiego?

— Chodźcie prędzej, Katarzyno! — zawołała matka, nie wątpiąc bynajmniej o wrażeniu, jakie wywrą jej słowa. — Anioł Pitou wrócił z Paryża.

Pitou czekał z niepokojem na odpowiedź Katarzyny.

— Tak? — rzekła obojętnie.

Tak obojętnie, że w biednym Pitou zamarło serce. Katarzyna zaczęła schodzić na dół z flegmą właściwą Flamandkom z obrazów Van Ostade a i Brauwera.

— Patrzcie państwo — rzekła stanawszy na dole — To oni Pitou skłonił się, zaczerwieniony i drżący.

— Ma kask — szepnęła jedna ze służących do ucha młodej gospodyni.

Usłyszał to Pitou i obserwował, jakie te słowa zrobiły wrażenie na Katarzynie.

Na twarzy jej, pełnej czaru, nieco może przybladłej, ale zawsze pulchnej, o aksamitnej cerze, nie odmalował się ani cień zachwyty dla kasku Pitou.

— Ach, ma kask — powtórzyła. — A po co?

Teraz już serce poczciwego chłopca zawrzało oburzeniem.

— Mam kask i szablę — rzekł z dumą — bo biłem się i zabijałem dragonów i Szwajcarów. A jeśli pani wątpi, panno Katarzyno, proszę zapytać swego ojca. To wszystko!

Katarzyna była tak czymś zaabsorbowana, że usłyszała tylko ostatnie słowa Pitou.

— Jak się ma ojciec? — zapytała. — Dlaczego nie wrócił z panem? Czy wiadomości z Paryża są złe?

— Bardzo złe — rzekł Pitou.

— Myślałam, że wszystko się uspokoiło — powiedziała.

— Tak, a tymczasem wszystko się rozpętało — odparł Pitou.

— A czy powrót pana Neckera nie wpłynął na pogodzenie ludu z królem?

— Akurat chodzi tu o pana Neckera! — rzucił pogardliwie Pitou.

— Ale chyba lud był z tego zadowolony, co?

— Tak bardzo zadowolony, że wymierza właśnie sprawiedliwość i zabija wszystkich swoich wrogów!

— Wszystkich wrogów?! — wykrzyknęła Katarzyna ze zdumieniem. — A więc któż to są ci wrogowie ludu?

— Arystokraci — odparł Pitou. Katarzyna zbladła.

— Ale kogo uważają za arystokratów? — zapytała.

— Ba, kogo! Tych, co mają dużo ziemi i piękne zamki, tych, co głodzą lud, co mają wszystko, gdy my nie mamy nic.

— Cóż jeszcze? — rzuciła niecierpliwie Katarzyna.

— Ludzi, którzy jeżdżą pięknymi końmi i powozami, kiedy my chodzimy pieszo.

— Boże mój! — wykrzyknęła Katarzyna blednąc. Pitou zauważył zmianę w jej twarzy.

— Uważam za arystokratów niektórych waszych znajomych.

— Moich znajomych?

— Naszych znajomych? — zapytała matka Billot.

— Ale kogo właściwie? — nalegała Katarzyna. — Na przykład, pana Berthiera de Sauvigny.

— Pana Berthiera de Sauvigny?

— Tak, dał pani złote kolczyki! Nosilaś je tego dnia, kiedy tańczyłaś z panem Izydorem de Charny.

— A więc?

— A więc, widziałem ludzi, którzy jedli jego serce. Widziałem, tak jak tu stoje!

Straszliwy krzyk wydarł się ze wszystkich piersi. Katarzyna padła na stojące obok krzesło.

— Tyś to widział? — rzekła matka Billot drżąc ze zgrozy. — Pan Billot też widział!

— O, mój Boże!

— Tak — ciągnął dalej Pitou. — Teraz to już pewno zabito i spalono wszystkich arystokratów w Paryżu i Wersalu.

— To okropne! — szepnęła Katarzyna.

— Okropne? Dlaczego? Nie jesteś przecież arystokratką, panno Billot.

— Panie Pitou — rzekła Katarzyna z wyrazem nagany. — Zdaje mi się, że nie byłeś pan taki okrutny przed swoim wyjazdem do Paryża.

— I nie jestem nim teraz — odparł Pitou, tracąc pewność siebie. — Ale...

— Więc nie chełp się zbrodniami, które popełniają paryżanie, bo nie jesteś paryżaninem i zbrodni nie dokonałeś.

— Nie dokonałem, a nawet — rzekł Pitou — o mało nie zmasakrowano nas obu, pana Billota i mnie, kiedyśmy bronili pana Berthiera.

— Mój kochany ojciec! Mój dzielny ojciec! Poznaję go! — zawołała z przejęciem Katarzyna.

— Mój zacny mąż! — rzekła rozrzewniona do łez matka Billot. — I cóż on takiego zrobił?

Pitou opowiedział okropną scenę, jaka rozegrała się na placu Greve, rozpacz Billata i pragnienie powiatu do Villers-Cotterets.

— Czemuż więc nie wrócił? — zapytała Katarzyna tonem, który głęboko poruszył serce Pitou i wydał mu się smutną przepowiednią na przyszłość. Matka Billot złożyła ręce.

— Pan Gilbert nie zgodził się — powiedział Pitou.

— Więc pan Gilbert chce, żeby zamordowano mojego męża? — zapytała szlochając pani Billot.

— Czy chce, aby zniszczono dom mojego ojca? — dodała Katarzyna tym samym ponurym tonem.

— Ależ nie! — rzekł Pitou. — Pan Billot i pan Gilbert porozumieli się ze sobą. Pan Billot zostanie jeszcze czas jakiś w Paryżu, żeby doprowadzić rewolucję do końca.

— Jak to, tak we dwóch? — zapytała matka Billot.

— Nie! Razem z panem Lafayette'em i panem Bailly.

— A! — wykrzyknęła z zachwytem gospodyni. — Skoro jest z panem Lafayette'em i panem Bailly...

— Kiedy zamierza wrócić? — zapytała Katarzyna. — O, tego to ja nie wiem!

— A ty, Pitou, dlaczego wróciłeś?

— Ja przyprowadziłem Sebastiana Gilberta do księdza Fortiera i przyszedłem tu z instrukcjami pana Billota.

Powiedziawszy to, Pitou wstał z dyplomatyczną godnością, która została zrozumiana przez gospodynię i jej córkę.

Toteż pani Billot podniosłszy się odprawiła wszystkich.

Katarzyną natomiast próbowała w głębi duszy przeniknąć myśli Pitou, zanim jeszcze je wypowie.

„Co on ma mi do zakomunikowania?” — zastanawiała się.

LX

PANI BILLOT USTĘPUJE

Obie kobiety skupiły całą swą uwagę, aby wysłuchać poleceń czciwego ojca rodziny. Pitou zdawał sobie sprawę, iż przypadło mu w udziale niełatwe zadanie. Widział nieraz przy pracy i matkę Billot, i Katarzynę. Znał przyzwyczajenie do rozkazywania u jednej i nieposkromioną chęć niezależności u drugiej.

Katarzyna, dziewczę łagodne, pracowite i dobre, zdobyła dzięki tym swoim zaletom ogromny wpływ na folwarku. A czymże jest duch panowania, jeśli nie zdecydowaną wolą niezależności?

Pitou, spełniając swoją misję, wiedział, ile sprawi tym przyjemności jednej, a ile przykrości drugiej.

Matka Billot sprowadzona do roli podrzędnej to było coś anormalnego, absurdalnego. Wprawdzie podnosiło to Katarzynę w pojęciu Pitou, ale w danej sytuacji nie było wcale potrzebne.

Teraz Pitou miał odegrać rolę homeryckiego herolda: powtórzyć wiernie, co mu polecono zapamiętać — bez własnych na ten temat refleksji. Rozpoczął w taki oto sposób:

— Pan Billot pragnie, aby pani miała jak najmniej mitręgi.

— Jakże to? — zapytała ze zdumieniem poczciwa kobieta

— Co to znaczy: jak najmniej mitręgi? — dodała Katarzyna.

— To znaczy — odparł Pitou — że zarządzanie takim folwarkiem jak wasz przysparza wiele kłopotów i pracy. Trzeba bywać na targach...

— No więc — przerwała pani Billot.

— Płacić...

— No to co?

— Orać...

— Co dalej?

— Sprzątać...

— Któż by temu przeczył?

— Nikt, naturalnie, proszę pani. Ale na targi trzeba pojechać...

— Mam konia!

— Żeby płacić, trzebi się targować.

— Gadać to ja umiem!

— Żeby orać...

— A bo to ja nie przywykłam do pilnowania?

— No, a sprzęt zboża to już całkiem coś innego. Trzeba gotować robotnikom, pomagać woźnikom.

— To wszystko mnie nie przeraża, byle tylko mój mąż był zadowolony! — wykrzyknęła zacna kobieta.

— Ale, proszę pani... Wreszcie...

— Co wreszcie?

— Tyle pracy... No i lata...

— Ach! — rzekła matka Billot patrząc z ukosa na Pitou.

— Niechże mi pani pomoże, panno Katarzyno! — wykrzyknął biedny chłopiec, czując, że opuszcza go odwaga.

— Nie wiem, w czym mam panu pomóc — odparła Katarzyna.

— A więc w tym! — oświadczył Pitou. — Pan Billot nie wyznaczył pani Billot do tej ciężkiej pracy... — Kogóż więc? — przerwała drżąc ze wzruszenia i obawy.

— Wyznaczył osobę silniejszą, która jest i nim samym, i panią razem. Wyznaczył pannę Katarzynę!

— Moja córka Katarzyna ma zarządzać domem? — zawołała stara kobieta z akcentem niedowierzania i niewymownej zazdrości.

— Pod twymi rozkazami, matko — wtrąciła pośpiesznie dziewczyna, rumieniąc się.

— Ależ nie, nie! — rzekł stanowczo Pitou, który nie mógł się już pohamować. — Nie, muszę powiedzieć wszystko! Pan Billot wyznacza i upoważnia pannę Katarzynę, aby w jego zastępstwie rządziła domem i pilnowała wszystkich interesów.

Każde z tych realnie brzmiących słów docierało w głąb serca gospodyni. Ale miała tak uległą naturę, że to oczywiste poniżenie, zamiast w niej wzbudzić większą jeszcze zazdrość i palący gniew, uczyniło ją tylko zrezygnowaną, posłuszną i ufną niezachwianie w nieomylną decyzję męża.

Czyż Billot mógł się mylić? Czy mogła nie być mu posłuszną?

Te dwa argumenty wystarczyły dobrej kobiecie, by przezwyciężyć samą siebie, własny, wewnętrzny opór.

Spojrzała na córkę, której wzrok wyrażał jedynie skromność, ufność, gotowość podjęcia wszystkiemu, bezmierną tkliwość i szacunek. Pogodziła się całkowicie z losem.

— Pan Billot ma słuszość — rzekła — Katarzyna jest młoda, ma dobrą głowę i silną wolę.

— Och, tak! — potwierdził Pitou, pragnąc pochlebić Katarzynie, a nie zdając sobie sprawy, że jest jednocześnie złośliwy.

— Katarzyna — ciągnęła dalej matka Billot — łatwiej da sobie radę w drodze, lepiej przypilnuje oraczy, korzystniej sprzeda i kupi jak należy. O, jej to już będą słuchać!

Katarzyna uśmiechnęła się.

— A więc — kontynuowała poczciwa kobieta nie westchnąwszy nawet — dopieroż to Katarzyna zacznie doglądać robót! Prowadzić kasę. Bezustannie podróżować! Moja córka przemieni się w chłopca!

Pitou dodał z wyrazem zrozumienia:

— Niech się pani nie lęka o pannę Katarzynę. Ja tu jestem i będę jej wszędzie towarzyszył.

Ta uprzejma propozycja, o której efekcie Pitou zapewne nie wątpił, ściągnęła nań tak szczególne spojrzenie dziewczyny, że umilkł osłupiały.

Dziewczyna zaczerwieniła się, ale nie był to, jak często u kobiet się zdarza, rumieniec zadowolenia. Na twarz jej wystąpiły plamy, złożony wyraz dwojakiej reakcji duchowej, świadczące o gniewie i zniecierpliwieniu, o chęci mówienia i potrzebie milczenia.

Pitou nie znał kobiet. Nie pojmował wymowy rumieńców. Zrozumiał jednak, że rumieniec Katarzyny niezupełnie oznaczał aprobatę, rzekł odsłaniając w przyjemnym uśmiechu potężne zęby:

— Jak to? Pani milczy, panno Katarzyno?

— Więc pan nie wiesz, że palnąłeś głupstwo?

— Głupstwo? — powtórzył zakochany.

— Dalibóg! — wykrzyknęła matka Billot. — Moja córka Katarzyna z gwardzistą!

— No ale przecież w lesie... — rzekł Pitou z tak szczerą naiwnością, że zbrodnią byłoby śmiać się z niego.

— Czy to też jest w instrukcjach mojego męża? — ciągnęła matka Billot, zdradzając również skłonność do złośliwości.

— Och — dodała Katarzyna — to byłoby próżniacze zajęcie, którego mój ojciec nie doradzałby panu Pitou, a pan Pitou nie przyjąłby go.

Pitou przerosił przerażony wzrok z Katarzyny na jej matkę — wszystkie jego plany runęły.

Katarzyna, prawdziwa kobieta, zrozumiała bolesny zawód Pitou.

— Panie Pitou — rzekła — czyżbyś w Paryżu widział, aby młode dziewczęta kompromitowały się wodząc za sobą bezustannie chłopców?

— Ależ pani nie jest młodą dziewczyną — odparł Pitou — tylko panią domu.

— Dość już tych rozmów — przerwała raptownie matka Billot. — Pani domu ma dużo do roboty. Chodź, Katarzyno! Zgodnie z rozkazem ojca, przekażę ci wszystkie sprawy.

I wobec zdumionego, znieruchomiałego z wrażenia Pitou odbyła się ceremonia, nie pozbawiona w swe wiejskiej prostocie ani wielkości, ani poezji.

Matka Billot, wyjąwszy pęk kluczy, wręczyła jeden po drugim Katarzynie. Zrobiła obrachunek bielizny, butelek, sprzętów i zapasów. Zaprowadziła córkę do starego sekretarzyka z 1740 roku, ozdobionego mozaiką, gdzie Billot przechowywał w skrytce swe papiery, luidory oraz wszystkie kosztowności i dokumenty rodzinne.

Katarzyna przyjmowała z powagą przekazywaną władzę oraz powierzane tajemnice. Uważnie wypytywała o wszystko matkę, zastanawiając się nad każdą odpowiedzią, a wyjaśnienia starała się zachować dobrze w pamięci niby broń potrzebną na wypadek walki.

Z kolei matka Billot przystąpiła do inwentarza żywego, dokonując dokładnego spisu baranów zdrowych lub chorych, jagniąt, kóz, kur, gołębi, koni, wołów i krów. Ale była to tylko zwykła formalność, bo tą dziedziną gospodarstwa młoda dziewczyna od dawna już zarządzała.

Nikt nie znał lepiej od Katarzyny hałaśliwie gdaczącego drobiu czy jagniąt, które oswajały się z nią w ciągu miesiąca. Gołębie, widząc ją pośrodku podwórza, nieraz zataczały wokół niej kręgi. Często też witały ją na ziemi osobliwym spacerem, a potem siadały jej na ramionach.

Konie rżały na widok Katarzyny, tylko ona umiała ujarzmić najognistsze rumaki. Jeden z nich, źrebak wychowany na folwarku, potem jako nieposkromiony ogier tratował wszystko w stajni, ażeby dopaść Katarzyny i porwać z jej rąk lub z kieszeni skórki czerstwego chleba, jaka się tam zawsze znajdowała.

Nie było nic bardziej powabnego i zniewalającego do uśmiechu jak ta piękna jasnowłosa dziewczyna, o dużych niebieskich oczach i białej szyi, krągłych ramionach i pulchnych rękach, gdy z fartuchem pełnym ziarna zbliżała się nad sadzawką i rzucała pokarm ptactwu.

Wówczas wszystkie kurczęta, gołębie i jagnięta pędziły w stronę sadzawki. Uderzenia dziobów pozostawiały ślady; w ziemi, różowe języki koziołków chwytają owies lub chrupiącą tatarkę. Powierzchnia gruntu, chropawa od warstw ziarna, stawała się po dwóch minutach gładka i czysta jak fajansowy talerz, na którym żniwiarz skończył swój posiłek.

Wzrok niektórych ludzi posiada urzekający czar, innych znów — budzi grozę. Jeden i drugi wywiera na zwierzę tak potężny wpływ, że nie potrafi mu się ono oprzeć.

Któż nie widział rozjuszonego byka, spoglądającego łagodnie na dziecko, które uśmiecha się nie rozumiejąc niebezpieczeństwa? Zwierzę odczuwa litość.

A któż nie widział, jak ten sam byk patrzy wzrokiem ponurym i przerażonym na barczystego wieśniaka, który milczącą groźbą wzroku przykuwa go do miejsca? Byk pochyla łeb, jakby gotując się do walki, ale czuje bezwład, przebiega go dreszcz, jest oszołomiony, słowem — boi się.

Katarzyna wywierała podobny wpływ na swoje otoczenie. Była spokojna i zarazem stanowcza, miała w sobie tyle łagodności i siły woli, tak mało nieufności i lęku, że wobec niej zwierzę nie zdradzało wrogich zamiarów.

Ten szczególny wpływ działał w wyższym jeszcze stopniu na istoty myślące. Urok tej dziewczyny był nieodparty. Nikt jeszcze w całej okolicy mówiąc o Katarzynie nie uśmiechał się dwuznacznie, żaden z chłopców nie miał wobec niej złych zamiarów. Ci, co ją kochali, pragnęli

pojąć za żonę, ci, co nie kochali, widzieli w niej siostrę.

Pitou ze spuszczoną głową i zwisającymi bezwładnie ramionami, apatycznie szedł za Katarzyną i jej ciotką, towarzysząc im w tej gospodarskiej wędrówce.

Żadna z kobiet nie przemówiła doń ani słowa. Był w roli teatralnego gwardzisty w tragedii, a kask dodawał mu jeszcze dziwniejszego wyglądu.

Zwołano następnie parobków i dziewczęta. Matka Billot kazała im utworzyć półkole, a sama stanęła pośrodku.

— Dzieci — rzekła — nasz pan nie wraca jeszcze z Paryża, ale wybrał nam kogoś na swoje miejsce. Oto moja córka, Katarzyna, młoda i silna. Ja jestem już stara i mam skołatana głowę. Dobrze się stało, że teraz Katarzyna jest tu panią. Do niej należą sprawy pieniężne. Ja pierwsza chcę otrzymywać i wykonywać jej rozkazy. Nieposłuszni będą mieli z nią do czynienia.

Katarzyna nie dodała ani jednego słowa. Czule uściśnęła matkę. Ten pocałunek wywarł większe wrażenie niż słowa; Matka. Billot zapłakała. Pitou czuł się wzruszony.

Cała służba powitała owacyjnie nową panią.

Katarzyna objęła natychmiast swe obowiązki i rozdzieliła funkcje. Każdemu wyznaczono pracę, a ludzie przystąpili do niej z gotowością, jaka zwykle towarzyszy nowym rządóm.

Gdy zostali sami, Pitou zbliżył się do Katarzyny i zapytał:

— A ja?

— No cóż... — rzekła. — Nie mam dla pana żadnych rozkazów.

— Jak to? Więc nic nie będę robił?

— A co pan chce robić?

— To, co robiłem przedtem.

— Przedtem przygarnęła pana moja matka.

— Ale teraz pani rozkazuje i może mi dać pracę.

— Nie mam jej dla pana.

— Dlaczego?

— Bo pan jest uczony, z Paryża, więc nie przystoją panu wiejskie zajęcia.

— Czyż to możliwe? — zapytał. Katarzyna odpowiedziała potakującym gestem. — Ja uczony? — powtórzył Pitou.

— Naturalnie!

— Ale proszę spojrzeć na moje ręce, panno Katarzyno!

— Mniejsza o to!

— Koniec końcem, panno Katarzyno — rzekł z rozpaczą biedny chłopiec — dlaczego pod pretekstem, że jestem uczony, chcesz mnie zmusić, bym umarł z głodu? Czyż pani nie wie, że filozof Epiktet poszedł na służbę, aby jeść, a bajkopisarz Ezop zarabiał na chleb w pocie czoła? A przecież ci dwaj panowie byli uczeńsi ode mnie.

— Co robić! Tak jest.

— Przecież pan Billot przyjął mnie do swego domu, a jeśli wyprawił mnie z Paryża, to po to, żebym był tu nadal.

— Dobrze. Ale mój ojciec mógł panu nakazać zajęcia, których ja, jego córka, nie śmiałybym narzucać.

— To proszę mi nic nie narzucać, panno Katarzyno.

— Tak, ale wówczas będzie pan próżnował, a na to nie mogą pozwolić. Mój ojciec jako gospodarz miał prawo to robić. Mnie, jako zastępczyni, nie wolno. Zarządzam jego majątkiem i muszę dbać o dochody.

— Przecież moja praca będzie przynosić dochód. Obraca nią pani, panno Katarzyno, w błędnym kole.

— Jak? — rzekła Katarzyna, która nie rozumiała tych górnolotnych słów. — Co to jest błędne koło?

— Błędnym kołem nazywa się złe rozumowanie. Nie, proszę zostawić mnie na folwarku i dać mi jakąkolwiek robotę, jeśli to możliwe. Okaże się wtedy, czy jestem uczonym lub próżniakiem. Zresztą trzeba prowadzić książki, uporządkować rejestry. Rachunki to moja specjalność.

— Według mnie, nie jest to wystarczające zajęcie dla mężczyzny — rzekła Katarzyna.

— A więc nie nadają się do niczego? — wykrzyknął Pitou. — Możesz pan tu pozostać — odparła Katarzyna nieco łagodniej. — Zastanowię się i zobaczymy.

— Chce się pani zastanowić, czy mam tu zostać! Ale cóżem ja pani zawinił, panno Katarzyno? Ach, dawniej nie była pani taka!

Katarzyna wzruszyła nieznacznie ramionami.

Nie miała, prawdę mówiąc, słusznych argumentów, a naleganie Pitou męczyło ją wyraźnie.

Przerywając więc rozmowę rzekła:

— No, dosyć tego, panie Pitou. Jadę do La Ferte–Milon.

— Więc biegnę osiodłać konia, panno Katarzyno!

— Nie ma mowy! Proszę tu zostać!

— Nie wolno mi pani towarzyszyć?

— Zostań pan! — odparła rozkazująco Katarzyna. Pitou stał jak wryty, ze spuszczoną głową, powstrzymując łzę, która paliła mu powieki niczym kropla wrzącego oleju.

Katarzyna kazała chłopcu stajennemu osiodłać konia.

— Zdaje ci się, że się zmieniłem, panno Katarzyno — szepnął do siebie Pitou — ale ty zmieniłaś się bardziej niż ja.

LXI

PITOU POSTANAWIA OPUŚCIĆ FOLWARK I WRÓCIĆ DO HARAMONT, SWOJEJ JEDYNEJ, PRAWDZIWEJ OJCZYZNY

Tymczasem matka Billot, zdecydowana pracować teraz jako pierwsza w domu służąca, wróciła do swych zajęć bez niechęci lub goryczy, z właściwą sobie dobrą wolą. Przerwany na chwilę ruch w gospodarstwie znów upodobił je do brzęczącego, pracowitego ulla.

Nim osiodłano konia, Katarzyna weszła do pokoju, zerkając z ukosa na Pitou, który w dalszym ciągu stał nieruchomo, tylko głowa jego poruszała się jak chorągiewka, śledził bowiem ruchy młodej dziewczyny, która wreszcie znikła w swoim pokoju.

„Co też Katarzyna robi u siebie?” — zastanawiał się Pitou.

Biedny Pitou! Co ona tam robi? Czesze się, wkłada czysty, czepeczek, wciąga cieńsze pończochy.

Wreszcie uzupełniwszy toaletę i słysząc rżenie konia, Katarzyna zeszła, ucałowała matkę i pojechała.

Pitou, którego bynajmniej nie uradowało krótkie spojrzenie, na poły obojętne, na poły litościwe, jakie rzuciła mu Katarzyna wychodząc, nie chciał tkwić nadal w tym przykrym położeniu. Odkąd zobaczył ponownie Katarzynę, zdawało mu się, że bez jej widoku nie potrafi się obejść. Co więcej, w głębi tego ociężałego i drzemiącego umysłu zbudziło się coś jakby podejrzenie i powracało z monotonną regularnością wahadła zegarowego.

Umysły naiwne potrafią dostrzegać wszystko w jednakowym stopniu. Leniwe natury nie są mniej wrażliwe od innych, lecz doznanych wrażeń nie analizują. Analiza to zdolność poznawania rozkoszy i cierpienia. Trzeba przywyknąć do wnikania w głąb psychiki, aby rozróżnić kłębowisko uczuć skrytych na dnie ludzkiego serca.

Nie ma naiwnych starców.

Słyszając tętent oddalającego się konia, Pitou pobiegł ku drzwiom. Zobaczył, że Katarzyna jechała wąską poprzeczną dróżką, wiodącą z folwarku na szeroki trakt La Ferte–Milon. Dróżka kończyła się u stóp niewielkiego wzgórza, którego szczyt ginął pośród lasu.

Od progu Pitou posłał pięknej dziewczynie pożegnanie, pełne żalu i pokory. Ale w tym momencie przyszła mu do głowy pewna myśl.

Katarzyna zabroniła mu jechać, ale przecież on może pójść za nią. Mogła powiedzieć: nie chcę pana widzieć, ale nie może oświadczyć: zabraniam ci patrzeć na mnie.

A ponieważ nie miał nic do roboty nic nie stało na przeszkodzie, by udać się wzdłuż lasu tą samą drogą co Katarzyna. W ten sposób, sam nie będąc widziany, mógłby ją śledzić z daleka.

Z folwarku do La Ferte–Milon było zaledwie półtorej mili. Półtorej mili tam i tyleż z powrotem. Cóż to znaczyło dla Pitou? Zresztą Katarzyna jechała do traktu na ukos, a Pitou idąc prosto, skracał drogę o ćwierć mili. Taka odległość to niewiele dla kogoś, kto chodzi tak szybko, jakby obrabował Tomcia Palucha z siedmiomilowych butów.

Powziąwszy taki plan Pitou niezwłocznie go wykonał, tak że kiedy Katarzyna dojeżdżała do traktu, Pitou, kryjąc się za wysokim żytem, dobiegał do lasu. Znalazłszy się na skraju, przesadził rów i popędził pod drzewami, nie tak zgrabnie jak spłoszona sarna, ale nie mniej szybko.

Biegł tak przez kwadrans i nagle spostrzegł jasną smugę drogi. Zatrzymał się i oparł o olbrzymi dąb, którego sękaty pień zasłaniał go całego. Był pewny, że wyprzedził Katarzynę. Minęło jednak dziesięć, piętnaście minut, a nikt nie nadjeżdżał. Czyżby zapomniała czegoś i wróciła na folwark? Bardzo możliwe.

Zachowując jak największą ostrożność, Pitou zbliżył się do drogi i wysunął głowę spoza wielkiego buka rosnącego w samym rowie na pograniczu lasu i drogi. Wyteżył wzrok w kierunku polany, której gładką płaszczyznę widział wyraźnie, ale nic nie dostrzegł.

Katarzyna musiała czegoś zapomnieć i wróciła na folwark.

Pitou znów zaczął biec. Albo jeszcze nie przybyła i zobaczy ją nadjeżdżającą, albo już przybyła, a wtedy musi wracać. Pitou puścił w ruch długie nogi przemierzając przestrzeń dzielącą go od traktu.

Biegł piaszczystym brzegiem lasu, gdy nagle zatrzymał się. Koń Katarzyny szedł powoli. Zjechawszy z szerokiego traktu, zapuszczał się w wąską dróżkę, gdzie widniał słup z napisem: „Droga z La Ferte–Milon do Boursonne”.

Pitou podniósł wzrok i dostrzegł w dużej odległości na końcu dróżki w błękitnawej mgielec leśnej siwka Katarzyny; i jej czerwoną kurtkę.

Powiadamy: w dużej odległości, ale dla Pitou odległość nie istniała.

— Ach! — wykrzyknął pędząc z powrotem do lasu. — Więc jedzie nie do La Ferte–Milon, ale do Boursonne! A przecież z dziesięć razy powtórzyła La Ferte–Milon. Miała tam załatwić sprawunki. I matka Billot także mówiła o La Ferte–Milon.

Mówiąc to Pitou biegł ciągle, biegł coraz szybciej, biegł niczym wariat. Gnała go nieufność, będąca początkiem zazdrości. Zdawało się, że ma u ramion skrzydła, o których marzył w czasach starożytnych Dedal.

Był przy tym podobny do pajaca, którym wiatr obraca na straganie z zabawkami dla dzieci: ramiona, nogi, głowa, wszystko się w nim porusza i kręci.

Olbrzymie nogi Pitou odmierzały kroki długości pięciu stóp, a jego ramiona podobne do dwóch bijaków na cepach poruszały się jak wiosła. Usta, nozdrza i oczy chłoneły powietrze.

Nigdy koń nie pędziłby z tak szaloną szybkością, żaden lew nie goniłby tak zaciekle zdobyczy.

Spostrzegłszy Katarzynę, Pitou miał przed sobą jeszcze pół mili drogi. Przebył ją, zanim ona zdążyła przejechać ćwierć mili. Pędził więc dwa razy szybciej niż kłusujący koń.

Znalazł się wreszcie na linii równoległej do jej drogi. Teraz podążał za nią już nie po to tylko, by ją widzieć, lecz żeby śledzić.

Skłamała... w jakim celu? Mniejsza o to. Należało ją schwytać na gorącym uczynku, aby zdobyć nad nią przewagę.

Ze schyloną głową Pitou rzucił się między paprocie i ciernie, Katarzyna jechała stępą. Gdy dochodził wyraźniej trzask łamanych gałęzi, koń jej strzygł uszami, a ona zaczynała nasłuchiwać. Wówczas Pitou, który nie trącił Katarzyny z oczu, zatrzymywał się; w ten sposób usypiał podejrzenia, że ktoś ją szpieguje.

Nie mogło to jednak trwać i nie trwało długo. Pitou usłyszał nagie rzenie jej konia, któremu odpowiedziało inne. Tamtego konia nie mógł jeszcze dostrzec. Katarzyna śmignęła swego Kadeta witką ostrokrzewu i siwek parskając ruszył kłusem.

Po pięciu minutach dziewczyna znalazła się obok jeźdźca, który zbliżał się ku niej równie szybko.

Tempo jazdy zmieniło się tak nieoczekiwanie, że biedny Pitou stanął jak wryty i wspiął się na palce, żeby coś zobaczyć. Odległość jednak była zbyt duża.

Chociaż Pitou nic nie mógł dostrzec, odczuł jak wstrząs elektryczny wzruszenie dziewczyny: drżenie jej ciała, roziskrzone spojrzenie, tak zazwyczaj łagodne i spokojne.

Nie mógł rozpoznać twarzy jeźdźca, ale jego postawa, zielona aksamitna kurtka myśliwska, kapelusz z szeroką wstążką, ruchy pełne swobody i wdzięku, wszystko świadczyło, że należy do najwyższych sfer. W tym momencie przypomniał się Pitou urodziwy tancerz z Villers–Cotterets.

Wówczas zadygotał cały i wyszeptał drżącymi wargami nazwisko Izydora de Charny.

Był to on.

Z piersi Pitou wydarł się ni to jęk, ni westchnienie. Zanurzwszy się w gąszcz, przyczołgał się na odległość dwudziestu kroków od dwojga młodych. Byli oni zbyt zajęci sobą, aby się zastanawiać nad przyczyną usłyszanego szelestu.

Wprawdzie młodzian uniósłszy się w strzemionach rozejrzał się niezdecydowanie wokół siebie, Pitou jednak, nie chcąc być dostrzeżonym, przywarł całym ciałem do ziemi. Po chwili przyczołgał się jeszcze o dziesięć kroków bliżej, aby słyszeć toczącą się rozmowę.

— Dzień dobry, panie Izydorze — rzekła Katarzyna.

„Panie Izydorze! — szepnął Pitou. — Tak przypuszczałem”.

Poczuł w całym ciele ogromne wyczerpanie po tym wysiłku, do którego od godziny zmuszało go zwątpienie, nieufność i zazdrość.

Oboje młodzi stali naprzeciw siebie, puściwszy cugle, i trzymali się za ręce uśmiechając się w milczeniu. Konie, nawykłe do siebie, dotykały się nozdrzami, skubiąc przydrożny mech.

— Spóźnił się pan dziś, panie Izydorze — rzekła Katarzyna przerywając milczenie.

„Dziś! — powtórzył Pitou. — Widocznie kiedy indziej się nie spóźnia.”

— Nie moja wina, droga Katarzyno — odparł młodzieniec. — Musiałem natychmiast odpisać bratu na list, który otrzymałem dziś rano. Ale jutro będę punktualniejszy, możesz być pewna.

Katarzyna uśmiechnęła się, a Izydor uściśnął jeszcze czulej jej dłoń.

Niestety, były to ciernie, które krwawiły serce biednego Pitou.

— Ma pan świeże nowiny z Paryża? — zapytała.

— Tak.

— I ja także — rzekła z uśmiechem. — Powiedział mi pan niedawno, że gdy się to zdarza dwóm kochającym się osobom, świadczy to o wzajemnej sympatii.

— Właśnie.. A w jaki sposób otrzymałaś wiadomości, Katarzyno?

— Przez Pitou.

— Co to takiego „Pitou”? — zapytał młody arystokrata tonem tak niedbałym i rozbawionym, że rumieniec na policzkach Pitou przybrał odcień szkarłatu.

— Przecież pan wie — odparła. — Pitou to ten biedny; chłopiec, którego mój ojciec przyjął na folwark. Którejś niedzieli szedł ze mną pod rękę.

— A, przypominam sobie — rzekł hrabia. — Ten, co ma takie węzłowate kolana.

Katarzyna zaczęła się śmiać. Pitou upokorzony spojrzał z rozpaczą na swe kolana, rzeczywiście do węzłów podobne. Uniósł się nieco na rękach i z westchnieniem położył się znów na brzuchu.

— Proszę się nie natrząsać z mojego biednego Pitou — odparła Katarzyna. — Czy wie pan, co mi proponował?

— Nie. Ale bardzo ciekawy, moja najśliczniejsza! — Chciał mi towarzyszyć do La Ferte-Milon.

— Gdzie wcale nie jechałaś.

— Nie, gdyż byłam pewna, że pan mnie tu oczekuje. A tymczasem ja musiałam czekać na pana.

— Ach! Czy wiesz, Katarzyno, że wypowiedziałaś słowa iście królewskie?

— Doprawdy? Nie przypuszczałam.

— Dlaczego nie przyjęłaś propozycji tego pięknego rycerza, ubawiłby nas oboje.

— Niekoniecznie — odparła ze śmiechem Katarzyna.

— Masz rację, Katarzyno — powiedział Izydor obejmując rozkochanym wzrokiem piękną dziewczynę.

Gdy oparła na jego ramieniu zapłonioną twarz, hrabia objął dziewczynę i przytulił do siebie.

Pitou zamknął oczy, aby nie widzieć, ale nie zatkał uszu, tak że dotarł do niego odgłos pocałunku. W rozpaczy targał sobie włosy, a kiedy oprzytomniał, usłyszał ostatnie słowa oddalających się kochanków.

— Tak, ma pan rację, panie Izydorze, możemy pospacerować z godzinkę. Odrobą ją potem nogi mojego konia. — I dodała z uśmiechem: — A to pocziwe stworzenie nic nie powie.

To było wszystko. Dokoła zapadał mrok podobny do tego, jaki ogarnął duszę Pitou. Tarzając się po ziemi biedny chłopiec dał upust wybuchowi rozpaczy. Nocny chłód orzeźwił go.

„Nie wrócę już na folwark — powiedział sobie. — Czułbym się tam upokorzony, wyśmiany. Miałbym jeść chleb kobiety, która kocha innego mężczyznę, i to mężczyznę, muszę przyznać, piękniejszego, bogatszego, elegantszego ode mnie? Nie, moje miejsce teraz nie w Pisseleux, lecz w Haramont! W Haramont, mojej wiosce rodzinnej. Może znajdę tam ludzi, dla których moje kolana nie będą wężłowate.”

Z tymi słowy Pitou potarł swe pocziwe długie nogi i skierował się ku Haramont. Nie domyślał się, że wyprzedziła go fama o jego kasku i szabli, i czekało nań jeśli nie szczęście, to przynajmniej chlubne przeznaczenie.

Ale wiadomo, że całkowite szczęście nie jest nigdy udziałem człowieka.

LXII

PITOU MÓWCA

Pitou przybył do Villers–Cotterets około dziesiątej wieczór; po sześciogodzinnej nieobecności, z wyprawy, którą próbowaliśmy opisać. Rozumiał, mimo swego zmartwienia, że lepiej zatrzymać się na noc w gospodzie „Pod Delfinem” i przespać się w łóżku niż pod gołym niebem w lesie, u stóp buka lub dębu.

Przybywając do Haramont o pół do jedenastej, nie mógł marzyć, że znajdzie u kogoś schronienie, gdyż od półtorej godziny pogaszone już były światła i zamknięte wszystkie drzwi.

Pitou zatrzymał się więc w gospodzie „Pod Delfinem” i tam za trzydzieści su otrzymał wspiane łóżko, czterofuntowy bochenek chleba, kawał sera i kwartę jabłeczniaka.

Był zmęczony, a zarazem zakochany, wyczerpany i zrozpaczony. W rezultacie jego duch i ciało wszczęły z sobą walkę, w której duch, zrazu zwycięski, musiał w końcu ulec. Znaczy to, że od jedenastej do drugiej w nocy Pitou jęczał, wzdychał, przewracał się na łóżku nie mogąc zasnąć. Aż wreszcie o drugiej zamknął oczy i otworzył je dopiero o siódmej.

Tak jak o wpół do jedenastej wieczór w Haramont wszyscy śpią, tak też o siódmej rano w Villers–Cotterets wszyscy są na nogach.

Wychodząc z gospody „Pod Delfinem” Pitou zauważył, że jego kask i szabla nie przestały przyciągać ogólnej uwagi. A kiedy uszedł sto kroków, otaczała go już spora gromadka ludzi. Pitou, jak widać, zdobył w tych stronach ogromną popularność.

Niewielu wędrowców ma takie szczęście. Słońce, świecące podobno dla wszystkich, nie zawsze przyświeca ludziom, którzy wracając do swej ojczyzny pragną być w niej prorokami.

Ale też nie wszystkim się zdarza mieć ciotkę kłótliwą i skąpą aż do okrucieństwa, jaką była ciotka Angelika. I nie każdy Gargantua, zdolny pochłonąć koguta w potrawce, może ofiarować zań talara osobie poszkodowanej.

Rzadziej jeszcze się zdarza, by powracający, których tradycje sięgają Odyseusza, zjawiali się w kasku na głowie i z szablą u boku, zwłaszcza jeśli reszta ekwipunku nie jest zgoła wojskowa. Szczególnie bowiem, szczerze mówiąc, kask i szabla sprawiały, że Pitou zwracał na siebie uwagę współobywateli.

Wprawdzie dosięgły go po powrocie cierpienia, lecz zarazem przypadły mu w udziale, jak gdyby prawem kompensaty, różnego rodzaju sukcesy. Kilku mieszkańców Villers–Cotterets, którzy w przeddzień towarzyszyli Pitou w drodze od księdza Fortiera mieszkającego przy ulicy Soissons aż ku domostwu ciotki Angeliki w Pleux, postanowiło dla uświetnienia owacji odprowadzić go z Villers–Cotterets do Haramont.

Jak postanowili, tak uczynili, a skutek był taki, że mieszkańcy Haramont nabrali należytego szacunku dla swego współziomka.

Prawdę mówiąc, grunt już był przygotowany. Pierwszy pobyt Pitou, mimo iż trwał tak krótko, nie minął bez śladu: kask i szabla pozostały niby świetlana wizja w pamięci tych, co je widzieli.

Mieszkańcy Haramont czuli się zaszczytzeni powrotem Pitou, którego już nie spodziewali się zobaczyć, otoczyli go więc należnym szacunkiem. Zaproponowali, aby złożył swój ekwipunek wojskowy i rozbił namiot pod czterema lipami ocieniającymi plac wioskowy, podobnie jak proszono w Tesalii Marsa w rocznicę jego wielkich triumfów.

Pitou tym łatwiej raczył się zgodzić, że miał zamiar na stałe osiąść w Haramont. Zajął więc umeblowany pokój, jaki mu wynajął jeden z najbardziej wojowniczo usposobionych mieszkańców wioski.

Umeblowanie składało się z drewnianego łóżka z siennikiem i materacem, dwóch krzeseł, stołu i dzbanka na wodę.

Całość sam gospodarz oszacował na sześć franków rocznie, to jest tyle, ile kosztowały dwa koguty w potrawce z ryżem.

Zgodziwszy się na tę cenę Pitou objął izdebkę w posiadanie, podejmując winem wszystkich dotrzymujących mu towarzystwa. A ponieważ te niezwykle wydarzenia uderzyły mu do głowy na równi z jabłecznikiem, zaczął wygłaszać przemówienie stojąc na progu mieszkania. Było to coś tak niezwykłego, że całe Haramont zebrało się wokół mówcy.

Pitou, jako niedoszły kleryk, umiał pięknie przemawiać. Znał kilka frazesów, którymi „naprawiacze narodów”, jak ich nazywał Homer, porywali masy ludowe.

Aniołowi Pitou daleko było do pana Lafayette’a, ale też znaczna odległość dzieliła Haramont od Paryża! Oczywiście w znaczeniu duchowym.

Pitou rozpoczął od wstępu, który zadowoliłby nawet wybrednego księdza Fortiera.

— Obywatele! — rzekł. — Współobywatele! Jakże słodko brzmi to słowo. Zwracałem się już w ten sposób do innych Francuzów, gdyż wszyscy jesteście braćmi. Ale teraz mówię do prawdziwych braci, bo wśród rodaków z Haramont odnajduję swoją własną rodzinę.

Kobiety, których było kilka pośród obecnych, nie należały do najlepiej usposobionych względem Pitou, gdyż miał kolana za grube, a łydki za cienkie na to, aby od razu zyskać przychylność żeńskiego audytorium. Ale na dźwięk słowa „rodzina” kobiety pomyślały o biednym Pitou, sierocie, o tym opuszczonym biedaku, który od śmierci swojej matki nigdy nie był naprawdę syty. Słowo „rodzina” w ustach chłopca, który był jej pozbawiony, poruszyło w duszy niejednej z nich czulszą strunę, wyciskając z oczu łzy.

Po tym wstępie Pitou przeszedł do narracji, drugiej części przemówienia. Opisał swoją podróż do Paryża, niszczenie popiersi, zdobycie Bastylii i zemstę ludu. Prześliznął się z lekka nad swoim udziałem w bitwie na placu Palais-Royal i na przedmieściu Świętego Antoniego. Ale im mniej się chełpił, tym bardziej rósł w oczach swoich rodaków. I pod koniec opowiadania kask Pitou urósł jak kopuła pałacu Inwalidów, a szabla dorównywała dzwonnicy w Haramont.

Narracja przywiodła Pitou do trzeciej części przemówienia — confirmacji, a to była sprawa trudna i delikatna, według której Cycero poznawał prawdziwego mówcę.

Pitou udowodnił, że bunt ludu był wynikiem spekulacji żywnościowych. Wtrącił słówko o panach Pittach, ojcu i synu, wyjaśnił, że przyczyną rewolucji były przywileje przyznane arystokracji i duchowieństwu, wreszcie wezwał ludność Haramont, ażeby zrobiła to, co lud francuski uczynił wszędzie, to znaczy, by zjednoczyła się przeciw wspólnemu wrogowi.

Wreszcie przeszedł od confirmacji do zakończenia, posługując się jednym ze wzniostych gestów, właściwych wszystkim wielkim mówcom. Upuścił szablę, a podnosząc ją wyciągnął przez nieuważę z pochwy. To natchnęło go do płomiennego apelu, w którym wzywał mieszkańców gminy do broni za przykładem zbuntowanych paryżan.

Uniesieni entuzjazmem słuchacze odpowiedzieli na wezwanie z zapalem: wśród radosnych okrzyków proklamowano w wiosce rewolucję.

Obecni na tym zebraniu mieszkańcy Villers-Cotterets rozeszli się mając serca wezbrane patriotycznym uniesieniem, śpiewając z dziką furją, tonem jak najbardziej dla arystokratów groźnym:

Niech żyje Henryk czwarty! Ten mężny król niech żyje!

Rouget de l’Isle nie skomponował był jeszcze podówczas *Marsylianki*, a konfederaci z roku 90 nie wskrzesili jeszcze starej ludowej pieśni *Ça ira*, ponieważ był to dopiero rok pański 1789.

Pitou sądził, że wygłosił tylko mowę, a tymczasem dokonał rewolucji.

Wróciwszy do siebie uraczył się kromką razowego chleba i resztkami sera z gospody „Pod

Delfinem”, zapobiegliwie przyniesionymi w kasku, a następnie kupił drutu mosiężnego i przygotował sidła. Z zapadnięciem zmroku zastawił je w lesie.

Tej samej nocy złapały się w nie dwa króliki. Pitou wolałby wprawdzie zająca, nie spotkał jednak żadnego tropu, co można było wytłumaczyć starym myśliwskim przysłowiem, że psy i koty, króliki i zające nigdy nie chodzą w parze.

Trzeba byłoby przejść ze trzy, cztery miłe, żeby dotrzeć do rewiru, w którym jest dużo zajęcy, a Pitou był nieco zmęczony. Poprzedniego dnia jego nogi zdobyły się na największy wysiłek. Miały za sobą nie tylko piętnaście przebytych mil, ale na ostatnich pięciu musiały nieść ciężar człowieka przytłoczonego cierpieniem, a nie ma nic bardziej męczącego dla długich nóg.

Około pierwszej w nocy Pitou wrócił ze swoim łupem. Spodziewał się, że nad ranem znajdzie drugi trop.

Położył się spać, ale dawały mu się we znaki resztki dokuczliwego bólu, który w przeddzień tak zmalretował jego nogi. Toteż spał tylko sześć godzin na okropnym materacu, zwanym przez samego gospodarza „sucharem”. Spał od pierwszej do siódmej rano. Słońce zaskoczyło go śpiącego przy otwartych okiennicach, przez które przyglądało mu się kilkudziesięciu mieszkańców Haramont.

Zbudził się, niczym Tureniusz na lawecie, i uśmiechnął do swoich ziomków, zapytując uprzejmie, co też sprowadza; ich do niego w tak licznym gronie i o tak wczesnej porze.

Jeden z obecnych zabrał głos. Był to drwal, Klaudiusz Tellier. Postaramy się odtworzyć dokładnie ów dialog.

— Aniele Pitou — rzekł — myśleliśmy całą noc nad tym, że obywatele, jak to mówiłeś wczoraj, muszą się uzbroić do „walki o wolność”.

— Tak powiedziałem — stwierdził stanowczo Pitou, co znaczyło, że za swoje słowa bierze całkowitą odpowiedzialność — Ale żeby się uzbroić, brak nam rzeczy najważniejszej — Jakiej? — zapytał Pitou z ciekawością.

— Broni.

— Aha, to prawda — odparł Pitou.

— Ale nie chcemy, żeby nasza decyzja poszła na marne; i musimy uzbroić się za wszelką cenę!

— Kiedy odjeżdżałem — rzekł Pitou — w Haramont było pięć strzelb: trzy wojskowe, jedna myśliwska pojedynka i dubeltówka.

— Jest ich już tylko cztery — odparł rozmówca. — Fuzja myśliwska rozleciała się ze starości już miesiąc temu.

— To była fuzja Dezyderego Maniqueta — wtrącił Pitou), — Tak, i pękając urwała mi dwa palce — odezwał się Dezydery Maniquet podnosząc do góry swą okaleczoną ręką. — A ponieważ to się zdarzyło w królikami tego arystokraty pana de Longpre, arystokraci zapłacą mi za to.

Pitou skinął głową na znak, że aprobuje słuszność tej zemsty.

— Mamy więc tylko cztery strzelby — podjął Klaudiusz Tellier.

— Otóż — rzekł Pitou — czterema można już uzbroić pięciu ludzi.

— W jaki sposób?

— Po prostu piąty będzie miał pikę. Tak robi się w Paryżu: na czterech ludzi uzbrojonych w strzelby jest zawsze jeden z piką. Piki są bardzo przydatne, nadziewa się na nie głowy.

— Oho! — odezwał się czyjś gruby, jowialny głos. — My chyba nie będziemy ucinąć głów!

— Nie — odparł poważnie Pitou — jeśli potrafimy unieszkodliwić złoto obu panów Pittów, ojca i syna. Ale mówiliśmy o strzelbach. Nie odbiegajmy od tematu, jak powiada pan Bailly. Ilu jest w Haramont ludzi zdolnych do noszenia broni? Policzyliście?

— Tak.

— I jest was?...

— Jest nas trzydziestu dwóch.

— Brak więc dwudziestu ośmiu strzelb.

— Nigdy nie będziemy ich mieli — odezwał się grubas z jowialną twarzą.

— Ech, trzeba wiedzieć, Bonifacy — rzekł Pitou.

— Jak to, wiedzieć?... — Tak, mówię, że trzeba wiedzieć, bo ja wiem.

— Co wiesz?

— Wiem, gdzie można je zdobyć.

— Zdobyć?

— Tak. Lud paryski też nie miał broni. Otóż, pan Marat, lekarz bardzo wykształcony, ale i bardzo brzydki, pokazał ludowi paryskiemu, gdzie znajduje się broń. Poszli tam i znaleźli.

— A dokąd pan Marat kazał iść? — zapytał Dezydery; Maniquet.

— Kazał iść do Inwalidów.

— Tak, ale my, w Haramont, nie mamy Inwalidów.

— Ja wiem, gdzie jest przeszło sto strzelb.

— Gdzie?

— W jednej z sal gimnazjum księdza Fortiera.

— Ksiądz Fortier ma sto strzelb? Czy ten łajdak klecha chce uzbroić swoich ministrantów? — rzucił Klaudiusz Tellier.

Pitou nie żywił zbyt sympatii do księdza Fortiera, ale dotknęło go głęboko to gwałtowne wystąpienie przeciwko jego dawnemu profesorowi.

— Klaudiuszu! — zawołał — Klaudiuszu!

— No, co?

— Przecież nie powiedziałem, że strzelby są własnością księdza Fortiera.

— Jeżeli są u niego, to należą do niego.

— Fałszywe rozumowanie, Klaudiuszu. Ja jestem w domu Bastien Godineta, a jednak jego dom nie należy do mnie.

— Racja — odezwał się Bastien, choć Pitou wcale się do niego nie zwracał.

— Strzelby nie należą więc do księdza Fortiera — powiedział Pitou.

— W takim razie do kogo?

— Do gminy.

— Jeżeli do gminy, to w jaki sposób znalazły się u księdza Fortiera?

— Dlatego właśnie, że dom księdza Fortiera należy do gminy. Daje mu ona mieszkanie, bo odprawia mszę i za darmo uczy dzieci biednych obywateli. Skoro więc dom księdza należy do gminy, ma ona prawo zastrzec sobie w tym domu izbę na skład strzelb. Czy tak?

— To prawda! — oświadczyli słuchacze. — Gminie przysługuje to prawo.

— Dobrze więc, ale co dalej? Powiedz, jak zdobędziemy te strzelby?

Pytanie było kłopotliwe, więc Pitou podrapał się w ucho.

— Mów prędzej! — odezwał się inny głos. — Bo musimy iść do pracy!

Pitou odetchnął. Ostatni rozmówca ukazał mu wyjście z sytuacji.

— Do pracy! — wykrzyknął Pitou. — Chcecie się zbroić, aby bronić ojczyzny, a myślicie o pracy!

Mówiąc to Pitou roześmiał się tak ironicznie i pogardliwie, że mieszkańcy Haramont spojrzeli po sobie upokorzeni.

— Jeżeli koniecznie trzeba — wtrącił inny — to poświęcimy jeszcze kilka dni dla zdobycia wolności.

— Dla zdobycia wolności — odparł Pitou — trzeba poświęcić nie jeden dzień, ale wszystkie!
— Kiedy człowiek pracuje dla wolności — rzekł Bonifacy — to odpoczywa.
— Bonifacy — powiedział Pitou tonem, jakim przemawiał Lafayette w chwili gniewu. — Nigdy nie będą wolni ci, co nie potrafią podeptać przesądów.
— Co do mnie. — odparł Bonifacy — bardzo chętnie przestanę pracować, ale co będziemy wtedy jeść?
— A czy się je? — odpowiedział Pitou.
— W Haramont tak, jeszcze się je. A w Paryżu już nie?
— Owszem, ale po zwyciężeniu tyranów — oświadczył Pitou. — A bo to się jadło czternastego lipca? Czy tego dnia myślał kto o jedzeniu? Nie, nie było czasu.
— Ach! — wykrzyknęli najżarliwsi. — Jakie piękne musiało być zdobycie Bastyl!i!
— Jeść! — ciągnął pogardliwie Pitou. — Pić to co innego. Był przecież taki upał, a proch armatni tak drapie w gardle!
— A co się piło?
— Co się piło? Wodę, wino, wódkę. O to troszczyły się kobiety.
— Kobiety?
— Tak, wspaniałe kobiety, które ze swych sukien robiły sztandary.
— Doprawdy?! — zawołali zachwyceni słuchacze.
— Ale nazajutrz musiano przecież jeść! — odezwał się jakiś sceptyk.
— Nie przeczę — oświadczył Pitou.
— A więc — podjął triumfująco Bonifacy — skoro jedli, musieli pracować.
— Panie Bonifacy — odparł Pitou — mówisz o rzeczach, których nie rozumiesz. Paryż to nie wioska, nie gromada zwykłych wieśniaków, myślących tylko o żołądku. *Oboedientia ventri*, jak mówimy po łacinie my, uczeni. Nie, Paryż, jak powiada pan Mirabeau, to głowa narodów, to mózg myślący za cały świat. A mózg, mój panie, nigdy nie je.
— To prawda — przyświadczyli słuchacze.
— A jednak — dodał Pitou — mózg, choć nie je, mimo to się żywi.
— Więc czym się żywi? — zapytał Bonifacy.
— Niewidocznie, pokarmem ciała.
Tego mieszkańcy Haramont nie mogli zrozumieć.
— Wytłumacz nam to! — powiedział Bonifacy.
— Sprawa jest bardzo prosta — rzekł Pitou. — Paryż, jak mówiłem, to mózg. Prowincje to są członki. Prowincje będą pracować, pić, jeść, a Paryż myśleć.
— No to ja się przenoszę z prowincji do Paryża — powiedział sceptyk Bonifacy. — Wybierzecie się ze mną?
Część słuchaczy wybuchnęła śmiechem, jakby aprobowując ironiczne słowa Bonifacego.
Pitou spostrzegł, że to szyderstwo może go zdyskredytować.
— A jedźże do Paryża! — wykrzyknął. — Jeśli znajdziesz tam choć jedną tak śmieszoną gębę jak twoja, zapłacę ci po luidorze za takiego oto króliczka!
Jedną ręką Pitou pokazał schwytane zwierzątko, a w drugiej zadzwięczały potrząśnięte monety, resztki Gilbertowej hojności.
Teraz Pitou pobudza słuchaczy do śmiechu. Bonifacy, zaczerwieniony z gniewu, wykrzyknął:
— E, panie Pitou! To po prostu grubiaństwo nazywać nas śmiesznymi!
— Śmieszny tylko ty jesteś! — odparł z godnością Pitou. — Ale popatrz no na siebie! — wykrzyknął Bonifacy.
— Choćbym nie wiem jak patrzył — rzekł Pitou — to mógłbym najwyżej zobaczyć coś szpetnego, ale nigdy tak głupiego jak ty.

W tej chwili Bonifacy wymierzył mu cios pięścią, który Pitou zręcznie odparował i odpowiedział isticie paryskim kopnięciem. A po pierwszym drugi zwałił sceptyka z nóg.

Pitou pochylił się nad przeciwnikiem, jakby chcąc przypieczętować ostatecznie swe zwycięstwo, tak że wszyscy rzucili się na ratunek Bonifacemu. Ale Pitou wyprostowawszy się rzekł:

— Wiedz, że zdobywcy Bastylli nie biją się na pięści. Mam szablę, bierz drugą i kończmy.

Mówiąc to wyciągnął broń z pochwy, nie pamiętając, a może i pamiętając o tym, że w całym Haramont były tylko dwie szable: jego i strażnika, o łokieć krótsza.

Dla odzyskania równowagi Pitou włożył kask.

Ta wielkoduszność wzruszyła zebranych. Zgodnie stwierdzono, że Bonifacy to gbur, łajdak, kretyn, niegodny dyskutować o sprawach politycznych.

Przepędzono go.

— Macie więc — rzekł wówczas Pitou — obraz rewolucji paryskiej. Jak powiedział pan Prudhomme czy Loustalot... Chyba jednak cnotliwy Loustalot... Tak, jestem pewny... „Wielcy dlatego wydają się nam wielkimi, że klęczymy. Wstańmy!”

Maksyma ta nie miała najmniejszego związku z sytuacją, ale może dlatego właśnie sprawiła nadzwyczajne wrażenie.

Sceptyk Bonifacy, stojący na uboczu w odległości może dwudziestu kroków tak był nią wstrząśnięty, że zbliżył się do Pitou, mówiąc pokornie:

— Nie bierz nam za złe, jeśli nie znamy się na wolności tak jak ty.

— Tu nie o wolność chodzi — odparł Pitou — ale o prawa człowieka.

Tym nowym ciosem Pitou zmiażdżył słuchaczy po raz drugi.

— Nie ma co, Pitou — oświadczył Bonifacy. — Jesteś uczonym człowiekiem i za to cię cenimy.

Pitou skłonił się.

— Tak — rzekł — nauka i doświadczenie wyniosły mnie ponad was. A jeśli przed chwilą byłem trochę szorstki, to tylko z przyjaźni dla was.

Zerwały się oklaski. Pitou zrozumiał, że może sobie pofolgować.

— Mówiliście przed chwilą o pracy — powiedział. — Ale czy wiecie, co to jest praca? Dla was to znaczy łupać drwa, żąć zboże, zbierać szyszki, wiązać snopki, kłaść kamienie i spajać je cementem... Oto, czym jest dla was praca! Według was, ja nie pracuję. Otóż mylicie się! Ja pracuję więcej niż wy wszyscy, gdyż myślę o waszym wyzwoleniu, bo marzę o wolności dla was, o równości. A więc jedna moja chwilka warta jest tyle, co setka waszych dni. Woły, którymi się orze, wszystkie robią to samo. Ale człowiek myślący przewyższa wszystkie siły materii. Ja jeden wart jestem was wszystkich.

Spójrzcie na pana Lafayette'a. To człowiek szczupły, jasnowłosy, niewiele wyższy od Klaudiusza Telliera. Ma spiczasty nos, krótkie nogi, a ramiona jak drążki w tym oto krześle. O dłoniach i stopach nie ma nawet co mówić, po prostu jakby nie miał ich wcale. Otóż ten człowiek dźwigał na swych barkach dwa światy, więcej niż Atlas, a te drobne ręce zerwały kajdany Ameryki i Francji. A więc, jeśli tego dokonały jego ramiona, ramiona takie jak te drążki, osądźcie sami, co potrafią zrobić moje!

Pitou obnażył swoje sękaty ramiona, przypominające pień ostrokrzewu.

Na tym porównaniu zakończył, pewny, że i bez konkluzji wywarł ogromne wrażenie. Wywarł je rzeczywiście.

LXIII

PITOU KONSPIRATOREM

Wszystko niemal, co spotyka człowieka i staje się dlań źródłem wielkiego szczęścia lub zaszczytów, jest prawie zawsze rezultatem albo ogromnych pragnień, albo ogromnej pogardy..

Jeżeli tę maksymę zastosuje się do wydarzeń i osobistości historycznych, okaże się, że jest nie tylko głęboka, ale i prawdziwa. Wystarczy, gdy zastosujemy ją, bez głębszych wywodów, do Anioła Pitou, naszego bohatera, i do naszej opowieści.

Jeśli przypomnimy sobie scenę, jaka rozegrała się w lesie, kiedy Pitou otrzymał cios w samo serce, łatwiej nam będzie zrozumieć, że po swym odkryciu na skraju polany poczuł on wielką pogardę dla spraw tego świata.

Żył nadzieję, że w jego sercu zakwitnie owa cenna i rzadka roślina, zwana miłością. Powrócił w rodzinne strony w kasku i z szablą, dumny, że łączy w sobie Marsa i Wenus, jak mawiał jego znakomity rodak Demoustier w swych *Listach do Emilii o mitologii*. A tymczasem uczył się zawstydzony i nieszczęśliwy widząc, że w Villers-Cotterets i okolicy, na zakochanych nie zbywa.

On, który brał czynny udział w wyprawie paryżan przeciwko szlachcie, czuł się niczym w obliczu arystokracji ziemiańskiej, reprezentowanej przez pana Izydora de Charny.

A ten, niestety, był pięknym chłopcem, mogącym się podobać od pierwszego wejrzenia, był jeźdźcem, który nosił skórzane spodnie i aksamitną kurtkę.

I jak tu się mierzyć z takim człowiekiem!

Z człowiekiem noszącym buty z ostrogami, z człowiekiem, którego wielu leszcze ludzi zwało jaśnie wielmożnym bratem!

Jakże się mierzyć z takim człowiekiem! Jak nie odczuwać upokorzenia i zachwytu zarazem, dwóch uczuć będących dla zazdrosnego serca podwójną torturą, tak okrutną, że nie sposób powiedzieć, czy zazdrosny wolałby rywala lepszego od siebie, czy też gorszego.

Pitou poznał więc zazdrość, ranę zawsze otwartą, źródło bolesnych cierpień, obcych dotychczas naiwnemu i uczciwemu sercu naszego bohatera. Zazdrość, przedziwną trującą roślinę, wyrosłą samoistnie na glebie, gdzie nie kielkowała dotąd żadna zła namiętność, nawet miłość własna, ten chwast, pieniący się bujnie na największych nieużytkach.

Serce tak udręczone mogłoby odzyskać spokój tylko dzięki głębokiej filozofii.

A czy Pitou był filozofem? On, który nazajutrz po strasznym zawodzie miłosnym myślał o wydaniu wojny królikom i zającom księcia Orleańskiego, a dzień później, wygłaszał wspaniałe przemówienia? Czy jego serce miało twardość, krzemienia, który przy każdym uderzeniu nieci iskry, czy też po prostu łagodną miękkość gąbki, zdolnej Wchłaniać łyzy i poddawać się przeciwnościom bez szkody dla siebie?

Wszystko to pokaże nam przyszłość. Nie przewidujemy, opowiadajmy.

Po wizycie i przemówieniach Pitou, poczuwszy głód, zajął się sprawami bardziej przyziemnymi: ugotował i zjadł swego królika, żalując w głębi duszy, że to nie zając. Ale gdyby króliczek był zającem, Pitou sprzedałby go, zamiast zjeść.

Rzecz nie była błaha. Zależnie od wielkości, zająca szacowano na osiemnaście do dwudziestu czterech su. Wprawdzie Pitou posiadał jeszcze kilka luidorów, ofiarowanych przez doktora Gilberta, ale choć nie był tak skąpy jak ciotka Angelika, miał po matce skłonność do oszczędzania. A dodając osiemnaście su do swego skarbu, zaokrągliłby go pokaźnie.

Pitou uważał, iż niekoniecznie trzeba jadać posiłki raz za trzy franki, to znów za osiemnaście

su. Nikt nie jest Lukullusem, a Pitou obliczył, że sprzedawszy zająca mógłby przeżyć za to cały tydzień.

Przypuścmy, że udałoby mu się złapać zająca pierwszego zaraz dnia, a w ciągu tygodnia złapałby jeszcze trzy. Zarobiłby więc na utrzymanie przez cały miesiąc. W tym stosunku czterdzieści osiem zajęcy wystarczyłoby mu na cały rok. Reszta stanowiłaby czysty zysk.

Pitou dokonywał tych gospodarskich obliczeń zajadając swego królika, który zamiast mu przynieść osiemnaście su, jeszcze go kosztował dwa su na masło i słoninę. Co się tyczy cebuli, to Pitou uszczknął jej na gruncie będącym własnością gminy.

Po jedzeniu — kominek lub przechadzka, jak powiada przysłowie. Posiliwszy się Pitou powędrował do lasu, aby znaleźć przytulny zakątek do spania.

Rzecz zrozumiała, że gdy tylko biedak po skończeniu z polityką pozostawał sam, wówczas w myślach jawił mu się bezustannie obraz zalotów pana Izydora do panny Katarzyny.

Od jego westchnień drżały dęby i buki. Przyroda, zawsze tak pełna uroku, gdy ma się syty żołądek, dla Pitou robiła wyjątek i wydawała mu się ponurą pustynią, zaludnioną przez króliki, zające i sarny.

Ukryty wśród rozłożystych drzew swego ojczystego lasu, chłonąc ich cień i rześki chłód, Pitou umacniał się w swym bohaterskim postanowieniu. Zniknie z oczu Katarzyny, pozostawi jej wolną rękę, nie będzie się przejmował jej sympatiami, nie chce się poniżyć do upokarzających porównań.

Nie widzieć Katarzyny to bardzo wielkie wyrzeczenie, ale mężczyzna musi być mężczyzną.

Zresztą wcale nie w tym tkwiło sedno sprawy. Ścisłej mówiąc, nie chodziło o to, by on nie widział Katarzyny, lecz by ona jego nie widziała.

Któż może przeszkodzić natrętnemu wielbicielowi, jeśli chce od czasu do czasu spojrzeć z ukrycia na piękną okrutnicę? Nikt.

Z Haramont do Pisseleux cóż to za odległość? Ledwie półtorej mili, to znaczy kilka skoków — i koniec!

Ze strony Pitou byłoby rzeczą niegodną szukać Katarzyny po tym, co widział, ale dowodziłoby znacznej zręczności orientowanie się w jej czynach i krokach, dzięki praktykom, z którymi zdrowie Pitou godziło się doskonale.

Rewiry leśne w okolicy Pisseleux, ciągnące się aż do Boursonne, obfitowały w zające. Nocą Pitou będzie zastawiał sidła, a nazajutrz rano penetrował ze szczytu wzgórza całą równinę, podpatrując wycieczki panny Katarzyny. Miał do tego prawo. Było to poniekąd jego obowiązkiem, gdyż występował jako pełnomocnik ojca Billota.

Utwierdziwszy się w tym mniemaniu Pitou uznał, że trzeba zaprzestać daremnych westchnień. Posilił się ogromnym kawałem chleba, przyniesionym z domu, z nastaniem wieczora zastawił tuzin sideł, a potem wyciągnął się na wrzosowisku nagrzanym od słońca.

Spał jak człowiek zrozpaczony, to znaczy kamiennym snem. Obudził go nocny chłód. Obejrzał sidła, nic w nich jeszcze nie było. Ale Pitou liczył zawsze na poranną zdobycz. Czując jednak ociężałość w głowie, postanowił iść do domu, aby znów powrócić nazajutrz.

Ten dzień, który dla Pitou minął zupełnie obojętnie, bez specjalnych wydarzeń, mieszkańcy wioski spędzili na rozmyślaniach i projektach.

Kiedy Pitou marzył sobie w lesie, we wsi można było zauważyć drwali wspartych beczynniami na swych siekierach, młocarzy z opuszczonymi cepami, a cieśli z nieruchomym heblem na gładkiej desce.

Pitou był przyczyną tych wszystkich straconych chwil, Pitou jednym tchnieniem poruszył owe źdźbła słomy, które teraz zaczynały wirować chaotycznie. A on, sprawca tego niepokoju, w ogóle o tym nie myślał.

Ale wracając do domu, gdy już dawno wybiła dziesiąta i zazwyczaj o tej porze nie paliło się nigdzie światło i nikt już w wiosce nie czuwał, Pitou spostrzegł wokół swego domu niezwykle widok. Grupki ludzi stały, siedziały, inne jeszcze przechadzały się.

Każdą z tych grup cechowało coś szczególnego. Pitou wyobraził sobie, sam nie wiedząc czemu, że ci ludzie rozmawiali o nim. A kiedy szedł ulicą, wszyscy, jakby zelektryzowani, pokazywali go sobie.

„Co im się stało? — pomyślał Pitou. — Przecież nie mam na głowie kasku.”

Zamieniwszy kilka ukłonów wszedł skromnie do domu. Nie zdążył jeszcze zamknąć drzwi, nieszczelnych zresztą, kiedy usłyszał pukanie.

Pitou przed pójściem spać nie palił świecy. Był to nadmierny zbytek dla człowieka, który mając jedno tylko łóżko, mógł bez trudu do niego trafić, a nie posiadając książek, nie czytał. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś pukał. Pitou odsunął rygiel. Do izby weszło bez ceremonii dwóch młodych ludzi, mieszkańców Haramont.

— O, nie masz świecy, Pitou — rzekł jeden z nich.

— Nie mam — odparł Pitou. — A to na co?

— Żeby widzieć.

— O, ja widzę po ciemku, jestem niktalopem. — Ażeby tego dowieść, dodał: — Dobry wieczór, Klaudiuszu! Dobry wieczór, Dezydery!

— A więc jesteście, Pitou — oświadczyli.

— Bardzo to ładnie. Czego chcecie ode mnie, przyjaciele?

— Chodź, na dworze widniej — rzekł Klaudiusz.

— Widniej? Przecież nie ma księżyca.

— Ale jest odblask na niebie.

— Masz mi coś do powiedzenia?

— Tak, musimy z tobą porozmawiać. — Klaudiusz położył na tych słowach znaczący nacisk.

— Chodźmy — rzekł Pitou.

Wyszli wszyscy trzej. Doszedłszy do pierwszego rozdroża w lesie, zatrzymali się. Pitou wciąż nie wiedział, czego od niego chcą.

— A więc? — zapytał widząc, że tamci dwaj przystanęli.

— Widzisz, mój drogi — rzekł Klaudiusz — my obaj, ja i Dezydery, trzymamy tu wszystkich w garści. Chcesz być z nami?

— Po co?

— Otóż więc, żeby...

— Żeby? — zapytał Pitou wyprostowując się. — Żeby co?

— Żeby konspirować — szepnął Klaudiusz do ucha Pitou.

— Ha! ha! Jak w Paryżu! — zaśmiał się drwiąco Pitou. Faktem jest, że lękał się tego słowa nawet pośród lasu.

— No więc, wypowiedz się — rzekł wreszcie.

— Otóż tak. Zbliź się... Ty, Dezydery, ponieważ jesteś kłusownikiem i umiesz rozpoznawać wszystkie szmery za dnia i w nocy, na równinie i w lesie, popatrz no, czy nikt nie szedł za nami. Posłuchaj, czy nikt nas nie szpieguje.

Dezydery, skinąwszy głową, zatoczył wokół Pitou i Klaudiusza krąg, jak wilk grasujący w pobliżu owczarni. Po kilku chwilach wrócił.

— Możesz mówić — powiedział. — Jesteśmy sami.

— Moje dzieci — odezwał się Klaudiusz. — Wszystkie gminy we Francji, jak nam mówiłeś, Pitou, chcą się zaciągnąć do Gwardii Narodowej.

— To prawda — odparł Pitou.

— A więc czemu Haramont nie ma też tego uczynić?
— Przecie sam wczoraj mówiłeś, Klaudiuszu — rzekł Pitou — kiedy poruszyłem sprawę uzbrojenia, że Haramont nie posiada strzelb.
— O, z tym nie ma kłopotu, skoro wiesz, gdzie one są!
— Wiem, wiem — potwierdził Pitou, który widząc, dokąd zmierza Klaudiusz, zrozumiał niebezpieczeństwo.
— A więc — ciągnął dalej Klaudiusz — dziś naradziliśmy się ze wszystkimi młodymi patriotami z naszej wioski.
— Aha!
— Jest nas trzydziestu trzech.
— Trzecia część setki bez jednego — dodał Pitou.
— Znasz musztrę? — zapytał Klaudiusz.
— No chyba! — rzekł Pitou, który nie umiał nawet nosić broni. — Małoż to razy widziałem, jak to robił generał Lafayette z czterdziestu tysiącami ludzi — dodał lekceważąco.
— Bardzo dobrze! — wtrącił Dezydery, który nie lubił milczeć, ale że był skromny, wystarczyło mu tylko od czasu do czasu odezwać się.
— Więc chcesz nami dowodzić? — zapytał Klaudiusz.
— Ja? — wykrzyknął Pitou aż skoczywszy ze zdumienia.
— Właśnie ty!
Obaj konspiratorzy spojrzeli badawczo na Pitou.
— Och, wahasz się — rzekł Klaudiusz.
— Ale...
— Nie jesteś więc dobrym patriotą? — zapytał Dezydery.
— No, coś podobnego! — Boisz się czegoś?
— Ja, zdobywca Bastylji, odznaczony!
— Jesteś odznaczony?
— Będę, kiedy wybiją medale. Pan Billot przyrzekł odebrać mój.
— Będzie odznaczony! Nasz dowódca będzie odznaczony! — wykrzyknął Klaudiusz w uniesieniu.
— No więc, zgadzasz się? — zapytał Dezydery.
— Zgadzasz się? — powtórzył Klaudiusz.
— A więc tak, zgadzam się — odparł Pitou, porwany entuzjazmem, a może też i budzącym się w nim uczuciem dumy.
— Załatwione! — wykrzyknął Klaudiusz. — Począwszy od jutra dowodzisz nami!
— W jaki sposób?
— Prowadząc musztrę.
— A strzelby?
— No, skoro wiesz, gdzie są!
— Tak, wiem. U księdza. Fortiera.
— Z pewnością?
— Ale Fortier może mi odmówić.
— No, to zrobisz tak, jak patrioci u Inwalidów, zabierzesz mu je.
— Sam?
— Będziesz miał nasze podpisy. A zresztą w razie potrzeby przyjdziemy ci z pomocą. Jeśli zajdzie potrzeba, poruszymy całe Villers-Cotterets.
Pitou potrząsnął głową.
— Ksiądz Fortier jest uparty.

— Ty byłeś jego ulubionym uczniem, nie odmówi ci niczego.
— Widać, że go zupełnie nie znacie — westchnął Pitou.
— Jak to? Myślisz, że ten stary mógłby ci odmówić?
— Odmówiłby szwadronowi Niemców... To uparciuch... *Iniustum et tenacem*... Ach, prawda — dodał przerywając — przecież nie znacie łaciny.
Ale obaj młodzieńcy nie dali się olśnić cytatami.
— No, dalibóg! — oświadczył Dezydery. — Pięknego wybraliśmy sobie wodza, Klaudiuszu. Boi się wszystkiego!

Pitou spostrzegł, że naraża się na utratę wysokiego stanowiska. Przypomniał sobie, że los sprzyja odważnym.

— A więc dobrze! Zobaczymy! — rzekł.

— Podejmujesz się dostarczyć strzelb?

— Podejmuję się... spróbować.

Lekki pomruk dezaprobaty ustąpił miejsca oznakom zadowolenia.

„Och! — pomyślał Pitou. — Oni już mnie wodzą na pasku, zanim jeszcze zostałem ich dowódcą. A co będzie, potem?”

— Spróbować? — rzekł Klaudiusz kręcąc głową. — To za mało.

— Jeżeli za mało, to ty się tym zajmij! — odparł Pitou. — Ustępuję ci dowództwa. Idźże paktować z księdzem Fortierem i jego dyscypliną.

— Rzeczywiście, warto było przybyć z Paryża z szablą i w kasku — rzekł pogardliwie Maniquet — żeby się bać dyscypliny!

— Szabla i kask to nie zbroja. A gdyby nawet tak było, ksiądz Fortier wyszukałby zaraz swoją dyscypliną defekt w pancerzu.

Klaudiusz i Dezydery zrozumieli widocznie tę uwagę.

— No, dalej, Pitou, mój synu! — rzekł Klaudiusz. (Przyjacielski zwrot „mój synu” był ogólnie przyjęty w tej okolicy.)

— A więc, zgoda! — odparł Pitou. — Ale wymagam karności, do króćset!

— Zobaczysz, jacy jesteśmy karni — oświadczył Klaudiusz mrugając na Dezyderego.

— Tylko załatw strzelby — dorzucił Dezydery.

— Załatwione — rzekł Pitou, w gruncie rzeczy bardzo niespokojny. Ale ambicja dodawała mu nie lada odwagi.

— Przyniekasz?

— Przysięgam!

Pitou wyciągnął rękę, jego dwaj towarzysze zrobili to samo. Tak oto przy blasku gwiazd, na polanie, trzech mieszkańcy Haramont, nieświadomie naśladowując Wilhelma Tella i jego towarzyszy, proklamowali powstanie w departamencie Aisne.

Faktem jest, że u kresu swoich trosk Pitou dostrzegał, szczęście pokazania się w całym splendorze odznak komendanta Gwardii Narodowej. A te odznaki powinny, jego zdaniem, obudzić w pannie Katarzynie jeśli nie wyrzuty, to przynajmniej refleksje.

W ten sposób, uświęcony wolą swych wyborców, Pitou wrócił do domu, rozmyślając o drogach i sposobach dostarczenia broni swym trzydziestu trzem gwardzistom narodowym.

LXIV

STAJĄ NAPRZECIWKO SIEBIE: ZASADA MONARCHICZNA, REPREZENTOWANA PRZEZ KSIĘDZA FORTIERA I ZASADA REWOLUCYJNA W OSOBIE PITOU

Rozmyślania o wielkim zaszczycie, jaki przypadł mu w udziale, tak zaabsorbowały Pitou, że owej nocy zapomniał obejrzeć zastawione sidła.

Nazajutrz, zbrojny w szablę i kask, wyruszył do Villers–Cotterets.

Szósta rano biła na zegarze miejskim, kiedy Pitou przybył na plac Zamkowy i zapukał dyskretnie do furtki wychodzącej na ogród księdza Fortiera.

Pitou zapukał dosyć głośno, aby być w zgodzie ze swym sumieniem, a zarazem tak delikatnie, aby wewnątrz nie usłyszano. Spodziewał się zyskać w ten sposób kwadransik zwłoki i przez ten czas ozdobić kilkoma krasomówczymi kwiatami przemówienie, jakie sobie przygotował na tę okazję.

Był wielce zdziwiony widząc, że drzwi otwierają się mimo tak delikatnego pukania. Ale zdziwienie jego znikło, gdy zobaczył, że furtkę otwiera mu Sebastian Gilbert.

Chłopiec przechadzał się w ogródku, ucząc się lekcji w pierwszych promieniach słońca. Właściwie udawał tylko, że się uczy, bo choć otwartą książkę trzymał w ręku, myśli jego wybiegały kapryśnie ku wszystkiemu, co na tym świecie kochał całym sercem.

Na widok Pitou Sebastian wydał okrzyk radości. Uściskali się, a pierwsze słowa chłopca brzmiały:

— Masz wiadomości z Paryża?

— Nie, a ty? — zapytał Pitou.

— O, ja mam! Ojciec napisał do mnie prześliczny list.

— Tak? — powiedział Pitou.

— I jest tam też słówko dla ciebie.

Wyjawszy z zanadza list, chłopiec podał go Pitou. „P. S. Billot poleca Pitou, aby ludzi na folwarku nie zanudzał i nie odrywał od pracy”.

— Och! — westchnął Pitou. — To już, słowo daję, całkiem zbyteczne polecenie. Nie mogę teraz na folwarku ani zamęczać nikogo, ani odrywać od pracy. — I dodał cicho, z jeszcze cięższym westchnieniem: — Trzeba by skierować te słowa do pana Izydora.

Opanował się jednak i zwracając Sebastianowi list zapytał:

— Gdzie jest ksiądz?

Chłopiec nastawił ucha. Mimo iż obszerne podwórze i część ogrodu dzieliły go od schodów, które skrzypnęły pod nogami zacnego księdza, rzekł:

— O, właśnie schodzi.

Pitou wyszedł z ogrodu na podwórze i usłyszał ociężały krok księdza.

Dostojny wychowawca schodził na dół czytając gazetę. Nieodłączna dyscyplina zwiślała mu u pasa, niczym szpada u boku dowódcy. Z nosem utkwionym w dzienniku, znał bowiem na pamięć ilość stopni oraz każdą wypukłość czy wklęsłość starego domostwa, ksiądz szedł prosto na Anioła Pitou, który starał się przybrać w obliczu swego przeciwnika politycznego najbardziej dostojną postawę, na jaką było go stać.

Przedtem jednak trzeba dodać kilka słów wyjaśnienia. Gdzie indziej może byłoby to zbyteczne, lecz tutaj okaże się bardzo pożądane. Wyjaśnienia, skąd wzięło się u księdza Fortiera kilkadziesiąt strzelb, będących przedmiotem zabiegów ze strony Pitou oraz jego dwóch wspólników: Klaudiusza i Dezyderego.

Ksiądz Fortier, dawny jałmużnik czy podjałmużnik zamkowy, o czym mieliśmy już

sposobność mówić, stał się z czasem, dzięki szczególnej wytrwałości właściwej osobom duchownym, jedynym intendentem tego, co w teatrze nosi nazwę rekwizytów.

Oprócz naczyń kościelnych, biblioteki i magazynu na meble, oddano księdzu na przechowanie stare pojazdy myśliwskie księcia Orleańskiego, Ludwika Filipa, ojca Filipa, zwanego potem „Egalite”. Kilka z tych wehikułów pamiętało czasy Ludwika XIII i Henryka III. Wszystkie te sprzęty ksiądz ustawił w sposób iście artystyczny w galerii pałacowej, odstąpionej mu na ten cel. A dla nadania im bardziej malowniczego wyglądu ozdobił je dokoła tarczami, oszczepami, pugiłami, sztyletami oraz inkrustowanymi muszkietami z okresu Ligi.

Wejścia do galerii strzegły groźne z wyglądu dwie armatki z posrebrzanego brązu, ofiarowane przez Ludwika XIV jego stryjowi.

Znajdowało się tam ponadto pięćdziesiąt karabinków, które Józef Filip przywiózł jako trofea z bitwy pod Ouessant i подарował gminie, a gmina dająca bezpłatnie mieszkanie księdzu Fortierowi, umieściła te karabinki, z którymi nie wiedziała co robić, w jednej z izb szkolnych. Tego to skarbu pilnował smok imieniem Fortier, zagrożony przez Jazona w osobie Anioła Pitou.

Arsenalik zamkowy był dość znany w miasteczku, toteż mógł budzić pokusę zawładnięcia nim, zwłaszcza gdyby obeszło się bez kosztów. Ale ksiądz, czujny smok, nie wydawał się skłonny oddać Jazonowi złotych jabłek Hesperyd.

Po tym wyjaśnieniu możemy powrócić do Pitou.

Powitał on księdza Fortiera nadzwyczaj uprzejmie, z lekka przy tym chrząknawszy, jak się to robi chcąc zwrócić na siebie uwagę osób roztargnionych lub czymś zaabsorbowanych.

Ksiądz Fortier podniósł nos znad dziennika.

— Patrzajcie no, to Pitou!

— Do usług księdza, jeśli tylko potrafię — rzekł kurtuazyjnie Pitou.

Ksiądz złożył gazetę, a raczej ją zamknął, niczym portfel, gdyż w owej szczęsnej epoce dzienniki były to jeszcze niewielkie książeczki. Następnie wsunął za pas po stronie przeciwnej niż dyscyplina.

— No, tak! Ale to właśnie całe nieszczęście — odparł drwiąco ksiądz — że nie potrafisz.

— Ależ, proszę księdza!

— Słyszysz, mości obłudniku?

— Ależ, proszę księdza!

— Słyszysz, mości rewolucjonisto?

— No, właśnie! Nim jeszcze zacząłem mówić, ksiądz już się na mnie gniewa. To zły początek, proszę księdza.

Sebastian, który wiedział, co od dwóch dni ksiądz Fortier rozpowiadał o Pitou na prawo i na lewo, wołał nie asystować przy sprzeczce, jaka musiała wybuchnąć między jego przyjacielem a profesorem, więc wymknął się.

Pitou patrzył z przykrością na odejście Sebastiana. Nie był to sprzymierzeniec zbyt dzielny, ale w każdym razie chłopiec o takich samych przekonaniach politycznych co i on.

Toteż kiedy zniknął za drzwiami, Pitou westchnął i zwrócił się do księdza:

— Dlaczego ksiądz nazywa mnie rewolucjonistą? Czy to ja jestem winien, że zrobiono rewolucję?

— Przetawiałeś z tymi, którzy ją robia.

— Proszę księdza — oświadczył Pitou z niezwykłą godnością — każdemu wolno myśleć, jak mu się podoba.

— Czyżby?

— *Est penes hominem arbitrium et ratio.*

— No, no! — rzekł ksiądz. — Ty umiesz po łacinie, niedouku?

— Umieję to, czego mnie ksiądz nauczył — odparł skromnie Pitou.
— Tak, ale przejrane, poprawione, powiększone i upiększone barbaryzmami!
— Zgoda, księżę dobrodzieju, barbaryzmami! Ale, mój Boże, któż ich nie popełnia?
— Hultaju! — rzekł ksiądz, wyraźnie urażony tendencją do uogólniania, jaką zdradzał umysł Pitou. — Myślisz, że i ja popełniam barbaryzmy?
— Popełniłby ksiądz w oczach tęższego jeszcze latynisty.
— No, coś podobnego! — wykrzyknął ksiądz błędąc z gniewu, zastanowiło go jednak to nie pozbawione sensu rozumowanie. Więc z melancholią ciągnął dalej: — Oto w dwóch słowach system tych zbrodniarzy — niszczą i poniżają wszystko na czyją korzyść? Sami nie wiedzą — na korzyść nieznanego. Dalej, panie leniuchu, mów otwarcie! Czy znasz lepszego ode mnie latynistę?
— Nie, ale chociaż nie znam, możliwe, że tacy istnieją. Ja nie mogę wiedzieć wszystkiego.
— No chyba, do kaduka! Pitou przeżegnał się.
— Co robisz, niedowiarku? — Ksiądz klnie, więc się żegnam.
— Patrzajcie no! Po toś tu przyszedł, aby bić we mnie jak w tympan?
— Jak w tympan? — powtórzył Pitou.
— No, właśnie! A, nie rozumiesz?!
— Owszem, proszę księdza, rozumiem. Dzięki księdzu poznał człowiek nieco etymologię: tympanum, greckie tympanon, znaczy bęben, kij lub dzwon.
Ksiądz osłupiał.
— Słowo typos oznacza ślad, znak i jak mówi Lancelot w swoim *Ogrodzie pierwiastków greckich*: typos — kształt, który się odciska, wyraz pochodzący niewątpliwie od typto — uderzam. Proszę!
— Ach, łajdaku! — rzekł ksiądz coraz bardziej oszołomiony. — Jak widać, umiesz jeszcze coś niecoś, nawet to, czego nie umiałeś.
— Ech! — mruknął Pitou z udaną skromnością.
— Czemu to przypisać, że kiedyś był u mnie, nigdy tak nie odpowiadałeś?
— Dlatego że wtedy, proszę księdza, byłem ogłupiały. Bo ksiądz swoim despotyzmem tłumił w mojej inteligencji i pamięci to wszystko, co wolność potem wydobyła. Tak, wolność, słyszy ksiądz, wolność! — powtarzał Pitou zapalając się.
— Ach, nicponiu!
— Księżę dobrodzieju — powiedział Pitou tonem ostrzegawczym, nie pozbawionym akcentu groźby — proszę mi nie ubliżać! *Contumelia non argumentum*, powiada mówca: obelga nie jest dowodem.
— Zdaje mi się — wykrzyknął z wściekłością ksiądz — że ten hultaj chce mi tłumaczyć swoje łacińskie cytaty!
— To nie są, proszę księdza, moje cytaty, ale Cyncerona, a więc człowieka, który by wykrył z pewnością tyle barbaryzmów u księdza, ile ksiądz chce znaleźć u mnie.
— Niech ci się nie zdaje — rzekł ksiądz Fortier, zachwiany w swoich przekonaniach — że będę się z tobą wdawał w dyskusje.
— A czemu nie? Jeżeli dyskusja rodzi światło: *Abstrusum versis silicum*.
— No, wiecie! — wykrzyknął ksiądz. — Ten nicpoń był w szkole rewolucjonistów!
— A przecie ksiądz twierdzi, że rewolucjoniści to kretyni i ignoranci!
— Tak, twierdzą to.
— A więc rozumowanie jest błędne, księżę dobrodzieju. I sylogizm jest źle zbudowany.
— Źle zbudowany! Ja źle zbudowałem sylogizm?
— Z pewnością, proszę księdza: Pitou rozumuje i mówi dobrze, Pitou był w szkole

rewolucjonistów, ergo rewolucjoniści rozumują i mówią dobrze. To nieuniknione.

— Zwierzę! Gbur! Dureń!

— Niech mi ksiądz nie dokucza, słowami. *Obiurgatio imbellem animum arguit*: gniew zdradza słabość.

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Proszę mi odpowiedzieć! — rzekł Pitou.

— Twierdzisz, że rewolucjoniści mówią i rozumują dobrze. Więc wymień mi bodaj jednego z tych nieszczęśników, który by umiał czytać i pisać?

— Ja! — odparł Pitou z pewnością siebie.

— Czytać, nie mówię. No, jeszcze! Ale pisać!

— Pisać? — powtórzył Pitou.

— Tak, pisać ortograficznie.

— Umiem.

— Chcesz się założyć, że pod moim dyktandem nie napiszesz jednej strony bez czterech błędów?

— A może ksiądz się założy, że nie napisze pół strony pod moim dyktandem bez dwóch błędów?

— No, coś podobnego!

— Otóż właśnie! Wyszukam dla księdza imiesłowy i czasowniki zwrotne, dodam trochę, spójników i wygram zakład!

— Gdybym miał czas... — rzekł ksiądz.

— Pewna przegrana!

— Zapamiętaj sobie, Pitou, przysłowie: *Pitoueus Angelus asinus est!*

— Och, przysłowia! Dość ich jest na całym świecie. A czy zna ksiądz jedno, które szepnęły mi w przelocie trzciny Wułi?

— Nie, ale ciekaw byłbym je poznać, mistrzu Midasie.

— *Fortierus abbas forte fortis*. — Panie! — wykrzyknął ksiądz.

— Co w wolnym przekładzie znaczy: ksiądz Fortier nie zawsze tęga głowa!

— Na szczęście — odparł ksiądz — oskarżać to jeszcze nie wszystko, trzeba udowodnić.

— Niestety, to takie łatwe, księżu dobrodzieju. A więc: czego ksiądz uczy swoich uczniów?

— Ależ...

— Proszę mnie posłuchać. Czego ksiądz uczy swoich uczniów?

— Tego, co umiem.

— Dobrze! Zapamiętajmy odpowiedź: „Tego, co umiem”, — No tak, tego, co umiem — powtórzył ksiądz niepewnie, gdyż czuł, że ten osobliwy przeciwnik nauczył się, w czasie swej nieobecności w Villers-Cotterets, nowych chwytów. — Tak powiedziałem. No więc co?

— A więc skoro ksiądz naucza tego, co umie, no to co ksiądz umie?

— Francuski, łacinę, grekę, historię, geografję, arytmetykę, algebrę, astronomię, botanikę, numizmatykę.

— Może coś więcej jeszcze? — zapytał Pitou.

— Ależ...

— Proszę się zastanowić!

— Rysunek!

— Co więcej?

— Architekturę.

— Dalej., dalej!

— Mechanikę.

— To jedna z gałęzi matematyki; ale mniejsza o to. Co jeszcze?

— Do czego ty zmierzasz?

— Ksiądz podał bardzo rozległy rejestr swoich wiadomości. Proszę teraz wymienić to, czego ksiądz nie umie.

Ojciec Fortier zadrżał.

— Ach, widzę, że będę musiał przyjść z pomocą. Nie zna ksiądz ani niemieckiego, ani hebrajskiego, ani arabskiego, ani sanskrytu, czterech podstawowych języków. Nie mówię już o innych, których nie da się zliczyć. Nie zna ksiądz historii naturalnej, chemii, fizyki...

— Panie Pitou!

— Proszę mi nie przerywać. Nie zna ksiądz fizyki, geometrii analitycznej, nieznana mu jest medycyna, akustyka, nawigacja. Obce mu jest wszystko, co ma związek z naukami gimnastycznymi!

— Co takiego?

— Mówię: gimnastycznymi, *gymnaza exercae*, co się wywodzi z greckiego *gymnos*, nagi, gdyż atleci ćwiczyli nago..

— Przecież to ja właśnie nauczyłem cię tego wszystkiego! — wykrzyknął ksiądz, znajdując niemal pociechę w tym zwycięstwie swego ucznia.

— Prawda!

— Na szczęście, przyznajesz to.

— Z wdzięcznością, księżu dobrodzieju. Mówiliśmy więc, że ksiądz nie zna...

— Dość! To pewne, że nie umiem więcej, niż umiem, — Zgadza się więc ksiądz, że wielu ludzi umie więcej od niego?

— Możliwe.

— To pewne. A im więcej człowiek wie, tym bardziej spostrzega, że nic nie wie. Jest to opinia Cyncerona.

— Jakaż z tego konkluzja?

— Właśnie konkluduję.

— Posłuchajmy więc! Piękna to będzie konkluzja!

— Konkluduję, iż z uwagi na swą względną ignorancję ksiądz winien być pobłażliwy wobec skromnej wiedzy innych ludzi. Stanowi to podwójną cnotę, *virtus duplex*, podobno właściwą Fenelonowi, który chyba posiadał to, co ksiądz: miłosierdzie chrześcijańskie i pokorę.

Ksiądz ryknął gniewnie: — Wężu! — krzyknął. — Jesteś wężem.

— Lżysz mnie, ale nie odpowiadasz! — tak rzekł jeden z mędrców greckich. Powiedziałbym to chętnie po grecku, ale wyraziłem już to samo albo mniej więcej to samo po łacinie.

— Dobrze! Oto jeszcze jeden skutek rewolucyjnych doktryn.

— Jaki?

— Wmówiły w ciebie, że byłeś mi równy.

— Przypuściwszy to nawet, księdzu nie wolno robić błędów gramatycznych.

— Co takiego?

— Mówię, żeś palnął wielki błąd, mój mistrzu.

— A to ciekawe!... Jakiż to błąd?

— Powiedział ksiądz: doktryny rewolucyjne wmówiły w ciebie, że byłeś mi równy.

— No, więc?

— No, więc „byłeś” to czas przeszły.

— Dalibóg, tak.

— A powinien być terażniejszy.

— Ach! — rzekł ksiądz zaczerwieniwszy się.

— Proszę przetłumaczyć to zdanie na łacinę, a przekonaj się ksiądz, jakim szkaradnym solecyzmem jest ten czasownik w czasie przeszłym.

— Pitou, Pitou! — wykrzyknął ksiądz, przekonany, że taka erudycja musi być dziełem nieczystych sił. — Jakież to demon natchnął cię do napaści na starca i Kościół?

— Ależ, księże dobrodzieju — odparł Pitou, nieco wzruszony tonem szczerzej rozpacz, jaka przebiegała w tych słowach. — Ani nie natchnął mnie demon, ani też nie chcę napadać. Ale ksiądz traktuje mnie zawsze jak głupca, zapominając, że wszyscy ludzie są równi.

Ksiądz znowu wpadł w złość.

— Tego nie ścierpię — wybuchnął — aby przy mnie mówiono takie bluźnierstwa! Ty, ty, równy człowiekowi, którego kształtował Bóg i sześćdziesiąt lat pracy! Nigdy! Nigdy!

— Ba! Niech ksiądz zapyta pana Lafayette'a, który proklamował prawa człowieka!

— Właśnie! Wymieniasz mi tu jako autorytet złego poddanego króla, zarzewie wszystkich waśni, zdrajcę!

— Co?! — wykrzyknął Pitou urażony. — Pan Lafayette złym poddanym króla? Pan Lafayette zarzewiem waśni? Pan Lafayette zdrajcą? To właśnie ksiądz mówi bluźnierstwa! Czy ksiądz żył przez te trzy miesiące w pustelni? To ksiądz nie wie, że ten zły poddany jeden jedyny służy królowi? Że to zarzewie waśni jest gwarancją spokoju publicznego? Że ten zdrajca to najlepszy z Francuzów?!

— Och! — zawołał ksiądz. — Czyż mogłem kiedy pomyśleć, że autorytet królewski, upadnie tak nisko, iż pierwszy lepszy nicpoń — tu wskazał Pitou — powoływać się będzie na Lafayette'a, jak ongi powoływano się na Arystydesa czy Focjona?

— Masz szczęście, księże, że lud cię nie słyszy — wyrwało się nieostroźnie Pitou.

— Ach, zdradziłeś się nareszcie! — wykrzyknął triumfująco ksiądz. — Grozisz! Lud! Tak, lud, który nikczemnie pomordował oficerów królewskich i szarpał jelita swoich ofiar! Tak, lud pana Lafayette'a, lud pana Bailly'ego, lud pana Pitou!

A więc, czemu mnie zaraz nie zadenuncjujesz przed rewolucjonistami z Viliers-Cotterets? Czemu mnie nie wleciesz do Pleux? Czemu nie zakaszesz sobie rękawów, aby mnie powiesić na latarni? Dalej, Pitou! *Macte animo*, Pitou! *Sursum! Sursum!* Pitou! Dalej, gdzie jest sznur? Gdzie szubienica? Oto kat: *macte animo, generose Pitoue!*

— *Sic itur ad astra!* — mruknął Pitou przez zęby, kończąc po prostu wiersz. nie spostrzegł się jednak, że wypadło to jak kalambur ludożercy. Uświadomił to sobie dopiero na widok furii, jaka ogarnęła księdza.

— Ach, więc tak! — wrzasnął Fortier. — Więc to ja mam w ten sposób dojść do gwiazd! Przeznaczasz mnie na szubienicę!

— Ależ ja tego nie mówię! — wykrzyknął Pitou, przerażony nieoczekiwanym obrotem dyskusji.

— Ach, więc obiecujesz mi niebo nieszczęsnego Foulona i Berthiera!

— Ależ nie, proszę księdza!

— Ach, trzymasz już w ręku stryzynek, krwiożerczy oprawco! To ty na placu Ratuszowym wlałeś na latarnię i jak pająk ohydnyimi mackami wciągałeś ofiary!

Pitou ryknął z wściekłości i oburzenia.

— Tak, to ty! Poznają cię! — krzyczał ksiądz ogarnięty wieszczym uniesieniem, podobny do Joady. — Poznają cię! To ty, Katylinie!

— No, coś podobnego! — wykrzyknął Pitou. — Wmawia mi ksiądz ohydne rzeczy! Ksiądz mi ubliżał — A tak, ubliżam!

— Jak tak dalej pójdzie, to złożę skargę do Zgromadzenia Narodowego. Coś podobnego!

Ksiądz zaczął się śmiać ironicznie i ponuro.

— Zadenuncjuj mnie — rzekł.

— Czy ksiądz wie, że jest kara na złych obywateli, którzy lżą dobrych?

— Latarnia!

— Ksiądz jest złym obywatelem!

— Sznura! sznura! — Ksiądz, jakby go nagle coś olśniło, w porywie szlachetnego oburzenia wykrzyknął: — Ach, kask! kask! To on!

— Co znowu? — rzekł Pitou. — Co ma do rzeczy mój kask?

— Człowiek, który wyrwał dymiące serce Berthiera, ludożerca, który je rzucił ociekające krwią na stół radnych, był w kasku. Człowiek w kasku to ty, Pitou! Człowiek w kasku to ty, potworze! Precz! Precz! Precz!

I przy każdym „precz”, wykrzykniętym tragicznym tonem, ksiądz posuwał się o krok naprzód, a Pitou o krok w tył.

Słyszając to niesłuszne oskarżenie biedny chłopiec odrzucił daleko swój kask, z którego tak był dumny. Kask wyłożony tekturą potoczył się po bruku dźwięcząc głucho.

— Widzisz, nieszczęsny! — wykrzyknął ksiądz. — Przyznajesz się!

Wyglądał jak Lekain w Orosmanie, w chwili gdy znalazłszy bilet oskarża Zairę.

— Powoli, powoli — rzekł Pitou nie posiadając się z oburzenia — ksiądz przesadza!

— Przesadzam! To znaczy, że wieszaleś tylko trochę, wrywałeś jelita tylko trochę, słaby dzieciuchu!

— Przecież ksiądz wie dobrze, że to nie ja. Ksiądz wie, że to Pitt.

— Jaki Pitt?

— Pitt drugi, syn Pitta pierwszego, lorda Chathama! Ten, co rozdawał pieniądze mówiąc: wydawajcie nie wyliczając się przede mną! Gdyby ksiądz znał angielski, powiedziałbym to po angielsku. Ale ksiądz nie zna?

— A ty znasz?

— Pan Gilbert nauczył mnie.

— W trzy tygodnie! Nędzny oszuście! Pitou spostrzegł, że zagalopował się.

— Proszę księdza — rzekł — nie chcę się już o nic sprzeczać. Ksiądz ma swoje poglądy.

— Doprawdy?

— Rzecz aż nazbyt słuszna.

— Przyznajesz. Pan Pitou pozwala mi mieć swoje poglądy. Dzięki, panie Pitou.

— Masz ci! Ksiądz znów się gniewa. Przecież jak tak dalej pójdzie nie będę mógł powiedzieć, co mnie tu sprowadza.

— Nieszczęsny! Cóż cię tu sprowadza? Może jesteś deputowanym?

— Księżę dobrodzieju — rzekł Pitou, uchwyciwszy dzięki księdzu temat, którego pragnął od początku rozmowy. — Ksiądz wie, jak bardzo zawsze ceniłem jego charakter.

— A właśnie, pomówmy o tym.

— I podziwiałem jego wiedzę — dodał Pitou.

— Wężu! — wykrzyknął ksiądz.

— Ja? — powiedział Pitou. — Och, coś podobnego!

— No więc, czegoż ty chcesz ode mnie? Żeby cię tu przyjął z powrotem? Och, nie, nie! Nie chcę psuć swoich uczniów! Nie, w tobie pozostanie zawsze szkodliwy jad. Zniszczyłbyś moje młode roślinki. *Infecit pabula* żabo.

— Ależ, proszę księdza!

— Nie! Nie prosz mnie o to, skoro chodzi ci koniecznie o wyżywienie. Bo przypuszczam, że ci okrutni oprawcy paryscy jedzą jak ludzie uczciwi. Jak to je, o bogowie! Ostatecznie, jeżeli chcesz, bym ci rzucił porcję świeżego mięsa, będziesz ją miał. Ale za drzwiami, w koszyku, tak

jak rzymscy patroni dawali swoim klientom!

— Proszę księdza — odparł prostując się Pitou. — Nie przychodzę was prosić o pożywienie. Mam, Bogu dzięki, własne! I nie chcę być nikomu ciężarem.

— Tak? — powiedział ze zdziwieniem ksiądz.

— Żyję, jak żyją wszyscy, nie żebrząc. Natura obdarzyła mnie pomysłowością, żyję z pracy. Co więcej, nie jestem dla mych współobywateli ciężarem, a nawet niektórzy z nich wybrali mnie na swego wodza.

— Co? — zawołał ksiądz, zdumiony i zarazem przerażony, tak jak gdyby nadepnął na zmię.

— Tak, tak, wybrali mnie na wodza — powtórzył uprzejmie Pitou.

— Wodza czego? — zapytał ksiądz.

— Oddziału ludzi wolnych — odparł Pitou. — Ach, mój Boże! — wykrzyknął ksiądz. — Ten nieszczęśnik oszalał!

— Jestem wodzem Gwardii Narodowej w Haramont — dokończył Pitou z udaną skromnością.

Ksiądz pochylił się w stronę Pitou, jakby chcąc znaleźć w jego twarzy potwierdzenie tych słów.

— W Haramont jest Gwardia Narodowa? — wykrzyknął.

— Tak, księżu dobrodzieju. — I ty jesteś jej wodzem?

— Tak, księżu dobrodzieju. — Ty, Pitou?

— Ja, Pitou.

Ksiądz załamał ręce i wznosił je ku niebu gestem wielkiego kapłana Fineusza.

— Okropność o pomstę do nieba wołająca — szepnął.

— Księdzu chyba wiadomo — rzekł łagodnie Pitou — że Gwardia Narodowa to instytucja mająca chronić życie, wolność i własność obywateli.

— Och, och — jęknął starzec, pogrążony w rozpacz.

— Nie można lekceważyć jej znaczenia, zwłaszcza po wsiach, z uwagi na bandy.

— Bandy, których ty jesteś wodzem! — wykrzyknął ksiądz. — Bandy grabieżców, bandy podpalaczy i morderców!

— Och, drogi księżu, nie należy tak sądzić! Spodziewam się, że ksiądz zobaczy moich żołnierzy. Nigdy jeszcze uczciwsi obywatele...

— Zamilcz! Zamilcz!

— Ależ przeciwnie! Proszę zrozumieć, że jesteśmy waszymi obrońcami. Najlepszy dowód, że przyszedłem wprost do księdza!

— Po co? — zapytał ksiądz.

— Ach, właśnie — odparł Pitou drapiąc się w ucho, a jednocześnie zerkając w stronę, gdzie leżał jego kask. Chciał stwierdzić, czy podnosząc tę tak ważną część swego ekwipunku wojskowego, nie oddali się zbyt od swej linii odwrotu. Kask leżał w odległości kilku kroków od głównego wejścia przy ulicy Soissons.

— Pytałem cię: po co? — powtórzył ksiądz.

— A więc — rzekł Pitou cofając się o dwa kroki w stronę kasku — oto przedmiot mojej misji. Ksiądz dobrodzieju pozwoli, że sprawę przedłożę mu do rozpatrzenia.

— Wstęp! — mruknął ksiądz.

Pitou posunął się jeszcze o dwa kroki w kierunku kasku. Ale podobnym manewrem, niepokojącym bez przerwy Pitou, ksiądz starał się utrzymać między nimi odległość. I robił dwa kroki w stronę Pitou, ilekroć ten zbliżał się do kasku.

— A więc — rzekł Pitou nabierając odwagi — żołnierze powinni mieć strzelby, a my ich nie mamy.

— Ach, nie macie strzelb! — wykrzyknął ksiądz drżąc z radości. — Oni nie mają strzelb!

Żołnierze bez karabinów! No to, dalibóg, piękni mi żołnierze!

— Ale proszę księdza — powiedział Pitou przysuwając się znów o dwa kroki do kasku — gdy nie ma karabinów, to się ich szuka.

— Tak — potwierdził ksiądz. — Więc ich szukacie? Pitou podniósł wreszcie swój kask..

— Tak, proszę księdza — odparł.

— I gdzie to?

— Tu — rzekł Pitou wkładając kask na głowę.

— Karabiny? U mnie!?! — wykrzyknął ksiądz.

— Tak, tutaj ich nie brak.

— Ach, moje muzeum! — zawołał ksiądz. — Przychodzisz rabować moje muzeum! Zbroje naszych dawnych bohaterów będą na grzbietach podobnych hultajów! Panie Pitou, powiedziałem ci przed chwilą, tyś oszalał! Szpady Hiszpanów spod Almanzy, piki Szwajcarów spod Marignan dla uzbrojenia pana Pitou i jego współników! Ha! ha! ha!

Ksiądz wybuchnął śmiechem, pełnym takiego szyderstwa i groźby, że dreszcz przebiegł po ciele Pitou.

— Nie, proszę księdza — odparł. — Nie piki Szwajcarów spod Marignan ani szpady Hiszpanów spod Almanzy. Nie z tej broni nie mielibyśmy pożytku, — Bardzo ładnie, że to przyznajesz.

— Nie, proszę księdza, nie o tę broń chodzi.

— O jakąż więc?

— O te poczciwe karabinki marynarskie, księżu dobrodzieju. O te poczciwe karabinki, które tak często czyściłem za karę, kiedy miałem zaszczyt studiować pod kierunkiem księdza. *Dum me Galatea tenebat* — dodał Pitou z wdzięcznym uśmiechem.

— Doprawdy? — rzekł ksiądz czując, jak na skutek uśmiechu Pitou stają mu dęba resztki rzadkich włosów.

— To jest jedyna tutaj broń nie posiadająca zupełnie wartości historycznej, a która nadaje się do uczciwej służby.

— Ach! — wykrzyknął ksiądz sięgając ręką ku dyscyplinie, tak jak dowódca ku rękojeści swej szpady. — Ach, oto zdrajca demaskuje się!

— Księżu dobrodzieju — rzekł Pitou przechodząc od groźby do prośby — proszę nam odstąpić te trzydzieści marynarskich strzelb.

— W tył! — zawołał ksiądz posuwając się o krok w stronę Pitou.

— Zdobędzie ksiądz sławę — dodał Pitou cofając się jednocześnie — że przysłużył się uwolnieniu naszych stron od ciemności.

— Że dostarczyłem broni przeciwko sobie i swoim? — wykrzyknął ksiądz. — Że daję strzelby, które skierują się przeciwko mnie? — Wyciągnął zza pasa dyscyplinę, potrząsając nią nad głową. — Nigdy! Nigdy!

— Księżu dobrodzieju, wasze nazwisko znajdzie się w dzienniku pana Prudhomme a.

— Moje nazwisko w dzienniku pana Prudhomme a! — zawołał ksiądz.

— Z zaszczytną wzmianką o cnotcie obywatelskiej.

— Raczej pręgierz i galery!

— Jak to? Ksiądz odmawia? — nalegał Pitou, łagodnie jednak.

— Odmawiam i wypędzam cię! Palcem wskazał Pitou furtkę.

— Ale to zrobi złe wrażenie — rzekł Pitou. — Oskarżają księdza o brak uczuć obywatelskich, o zdradę. Księżu dobrodzieju, błagam, nie narażajcie się na to!

— Wydaj mnie na tortury, Neronie! Niczego więcej nie pragnę! — wykrzyknął ksiądz z roziskrzonym wzrokiem, bardziej podobny do kata niż do ofiary.

Takie właśnie wrażenie sprawił na Pitou, który nie przestawał się cofać.

— Proszę księdza, jestem wysłannikiem pokojowym, rzecznikiem porozumienia, przyszedłem...

— Przyszedłeś, aby zrabować moją broń, tak jak twoi współnicy obrabowali Inwalidów!

— Co im przyniosło powszechne uznanie — wtrącił Pitou.

— A tobie przyniesie tutaj dobre cięgi!

— Och, księżę Fortier — odparł Pitou, który w dyscyplinie rozpoznał starą znajomą — nie pogwałćcie chyba prawa narodów.

— Sam się o tym przekonasz, nędzniku! Poczekaj!

— Chroni mnie, proszę księdza, godność pośła!

— Poczekaj!

— Księżę dobrodzieju! Księżę dobrodzieju! Księżę dobrodzieju!

Pitou, stawiając czoło swemu przeciwnikowi, dotarł do samej furtki. Ale przyparty do niej, musiał zdecydować się na walkę lub ucieczkę.

Jednakże aby uciec, należało otworzyć furtkę, aby zaś ją otworzyć, trzeba było się odwrócić. Otóż odwracając się, Pitou wystawiał na księżowskie razy tę najbardziej bezbronną część swego ciała, której, w jego mniemaniu, nie mogłaby osłonić dostatecznie żadna zbroja, — Zachciało ci się moich karabinów! — wykrzykiwał ksiądz. — Przychodzisz po moją broń! Mówisz do mnie: strzelby albo śmierć!

— Ależ, księżę dobrodzieju, przeciwnie! Nie powiedziałem nic podobnego!

— A tak! Wiesz przecie, gdzie są moje strzelby. Zamorduj mnie, to je zdobędziesz! Przejdź po moim trupie i zabierz je!

— Nie potrafię, proszę księdza! Nie potrafię!

Trzymając rękę na kłamce, a wzrok utkwiwszy we wzniesionym ramieniu księdza, Pitou obliczał już nie ilość strzelb w księżowskim arsenale, lecz ilość razów, które nań mogą spaść z groźnej dyscypliny.

— A więc, księżę dobrodzieju, nie chcecie mi oddać swoich strzelb?

— Nie! Nie chcę ci ich oddać!

— Nie chce ksiądz po raz pierwszy?

— Nie!

— Po raz drugi?

— Nie!

— Po raz trzeci? — Nie, nie, nie!

— A więc, zatrzymaj je, księżę! — odparł Pitou.

Odwróciwszy się, szybkim ruchem uchylił furtkę i śmignął. Nie dość szybko jednak, aby zmyślna dyscyplina nie dosięgła go ze świstem, chłoszcząc dotkliwie dolną część ciała Pitou. A zdobywca Bastylii, mimo swego męstwa, nie mógł powstrzymać okrzyku bólu.

Krzyk ten zwabił kilku sąsiadów, którzy z głębokim zdumieniem przyglądali się, jak Pitou, w kasku i z szablą u boku, umykał ze wszystkich sił, a na progu swego domostwa ksiądz Fortier stał ze wzniesioną dyscypliną niby Archanioł mściciel z mieczem ognistym.

LXV

PITOU JAKO DYPLOMATA

Widzieliśmy, jak Pitou runął w przepaść ze szczytu swych nadziei.

Nawet szatan, strącony z niebios do piekielnej otchłani, nie upadł tak nisko. Przy tym szatan został obrany królem piekieł, podczas gdy Pitou, zgromiony przez księdza Fortiera, był wciąż tym samym Pitou.

Jak się teraz pokazać swoim podkomendnym? Jak wyznać, że ich wódz, który okazał tyle nierozważnej pewności siebie, to samochwał i fanfaron? Że mając na głowie kask, a szablę u boku, dał się staremu księdzu sromotnie wychłostać dyscypliną?

Chełpić się z góry, że z księdzem wszystko mu się uda, i ponieść klęskę — jakież to niewybaczalny błąd!

Usiadłszy na skraju pierwszego napotkanego rowu, Pitou wsparł głowę na rękach i zamyślił, się. Miał nadzieję, że ułagodzi księdza Fortiera przemawiając doń po łacinie i po grecku. Pochlebiał sobie w swej naiwnej dobroduszości, że przekupi Cerbera miodowym ciastkiem piękno brzmiących słów. A tymczasem jego ciastko okazało się gorzkie, a Cerber ugryzł go w rękę. Wszystkie plany runęły.

Bo główną cechą charakteru księdza Fortiera była ogromna miłość własna. A to właśnie Pitou w swoich rachubach pominął. Błąd gramatyczny, jaki mu wytknął, rozjątrzył księdza znacznie bardziej niż domaganie się trzydziestu strzelb z jego arsenału.

Młodzi ludzie, którzy sami są dobrzy, zawsze popełniają ten błąd, iż wierzą w doskonałość innych.

Ksiądz Fortier był zaciekle rojalistą, ale nade wszystko zarozumiałym filologiem.

Pitou robił sobie gorzkie wyrzuty, że dotknąwszy podwójnie księdza uwagą na temat Ludwika XVI i formy czasownikowej, padł ofiarą jego gniewu. Tu tkwił rzeczywiście błąd, nad którym Pitou ubolewał, jak zwykle, ponieważ.

Trzeba było jednak znaleźć wyjście z sytuacji.

Powinien był w swoich krasomówczych wywodach podnieść rojalizm księdza Fortiera, a pominąć milczeniem ów błąd gramatyczny. Należało przekonać księdza, że Gwardia Narodowa w Haramont była kontrrewolucyjna i przyrzec, że będzie ona wspierać armię królewską. A przede wszystkim nie pisać ani słówka o tym nieszczęsnym „być”, niewłaściwie użytym!

Wtedy bez wątpienia ksiądz otworzyłby swe skarbcze i arsenały, ażeby zapewnić monarchii pomoc tak świętego wojska i jego bohaterskiego przywódcy.

Ten fałsz nosi właśnie miano dyplomacji. Dobrze się zastanowiwszy, Pitou przypomniał sobie wypadki znane z historii.

Przyszedł mu na myśl Filip Macedoński, który dopuszczał się tak często krzywoprzysięstwa, a mimo to uchodził za wielkiego człowieka.

I Brutus, który udawał głupca, aby uspić czujność swych wrogów, a był wielkim człowiekiem.

I Temistokles, który służąc swym współobywatelom całe życie oszukiwał ich, a również zyskał sobie miano człowieka wielkiego.

Ale jednocześnie przypomniał mu się Arystydes, również nazwany wielkim człowiekiem, który nie uznawał krętych dróg. Ten argument wprawił go w zakłopotanie.

Po namyśle stwierdził jednak, że Arystydes miał szczęście żyć w czasach, kiedy Persowie byli tak tępi, iż prostą drogą idąc można było ich zwyciężyć. Ostatecznie jednak Arystydesa zesłano, a to wygnanie, mimo że niesłuszne, przeważa szalę na korzyść Filipa Macedońskiego, Brutusa i

Temistoklesa..

Przechodząc do przykładów współczesnych Pitou zastanawiał się, jakby postąpił pan Gilbert, pan Bailly, pan Lameth, pan Barnave lub pan Mirabeau, gdyby byli na jego miejscu, a Ludwik XVI był księdzem Fortierem.

Co by zrobiono, ażeby król pozwolił uzbroić trzy do pięciu — tysięcy gwardzistów narodowych?

Na pewno coś zupełnie innego niż uczynił Pitou.

Przekonano by Ludwika XVI, że Francuzi są jak najbardziej lojalni wobec „ojca narodu”, a dla skutecznego działania w jego obronie muszą mieć pięć do sześciu tysięcy karabinów.

I panu Mirabeau udałoby się to z pewnością.

Pitou przypomniało się też takie ni to przysłowie ni to wierszyk:

Gdy chcesz uzyskać coś od diabła, „Jaśnie wielmożnym” go tytułuj.

Rozważywszy to wszystko doszedł do wniosku, że Anioł Pitou to skończony osioł. Gdyby się zachował inaczej, mógłby teraz zjawić się wobec swych wyborców opromieniony sławą.

W wyniku tych skomplikowanych rozważań Pitou postanowił uzyskać podstępem lub siłą to, czego nie udało mu się osiągnąć w drodze perswazji. Przede wszystkim pomyślał o fortelu.

Można było zakraść się do muzeum księdza Fortiera i zabrać broń z arsenału. Działając sam, popełniłby kradzież, dopuszczając do współudziału podwładnych, nadałby sprawie charakter rekwizycji.

Kradzież! Jakże fatalnie brzmiało to słowo dla uczciwych uszu Pitou. Co się tyczy rekwizycji, to bez wątpienia dużo jest jeszcze ludzi we Francji, przyzwyczajonych do starego porządku, którzy czyn taki nazwą bandytyzmem lub rabunkiem. Z powyższych względów Pitou zrezygnował z obu rozważanych sposobów. Zresztą gdy w grę wchodziła miłość własna, Pitou, myśląc o tym, by wyjść z honorem, nie chciał korzystać z niczyjej pomocy.

Głowił się więc dalej, szukając w myśli nowego wyjścia. Wreszcie wykrzyknął jak Archimedes: *Eureka!*, co znaczy po prostu: znalazłem!

Rzeczywiście znalazł. Pitou rozumował tak: pan de Lafayette jest komendantem głównym Gwardii Narodowych we Francji, Haramont znajduje się we Francji. Haramont ma Gwardię Narodową. A więc pan Lafayette jest komendantem głównym Gwardii Narodowej w Haramont. Pan de Lafayette nie może więc tolerować, aby milicja w Haramont nie miała broni, skoro gdzie indziej wszystkie oddziały były uzbrojone.

Do pana Lafayette’a Pitou dotrze przez Gilberta, do Gilberta — przez Billota. Pitou napisze list do Billota. Ponieważ Billot nie umiał czytać, list przeczyta pan Gilbert i w ten sposób Pitou dotrze od razu do drugiej instancji.

Uczyniwszy to postanowienie Pitou poczekał, aż zapadła noc, wrócił po kryjomu do Haramont i zaraz chwycił za pióro. Jednakże mimo tych ostrożności został podpatrzony przez Klaudiusza Telliera i Dezyderego Maniqueta, którzy zauważyli jego powrót. Ale widząc, że pisze list, odeszli w milczeniu, bezszelestnie, kładąc palec na ustach. Anioł Pitou płynął wartko na falach polityki.

A oto treść listu na ćwiartce białego papieru, która wywarła tak wielkie wrażenie na Klaudiuszu i Dezyderym.

„Drogi i Szanowny Panie Billot!

Idea rewolucji zdobywa sobie u nas coraz to więcej zwolenników. Arystokraci tracą grunt pod nogami, patrioci posuwają się naprzód.

Gmina Haramont zaciąga się do czynnej służby w Gwardii Narodowej. Ale nie posiada broni.

Jest sposób zdobycia. Niektóre osoby prywatne przechowują znaczne ilości sprzętu wojskowego. Gdyby tę broń oddali na użytek narodu, skarb publiczny zaoszczędziłby sobie dużych wydatków.

Może pan generał de Lafayette zechce zarządzić, aby te nielegalne składy sprzętu wojennego były oddane do dyspozycji gmin, proporcjonalnie do ilości ludzi, których należy uzbroić. Ja ze swej strony podejmuję się dostarczyć do arsenału w Haramont co najmniej trzydzieści karabinów.

Jest to jedyny sposób, aby położyć kres knowaniom kontrrewolucjonistów i wrogów narodu.

Pana współobywatel i pokorny sługa Anioł Pitou”

Skończywszy list Pitou zorientował się, że zapomniał poinformować dzierżawcę o jego domu i rodzinie. Traktował go jak Brutusa. A z drugiej strony przekazywać Billotowi szczegóły o Katarzynie znaczyłoby kłamać lub zranić ojcowskie serce, a zarazem rozjątrzyć we własnej duszy krwawiące rany. Westchnąwszy Pitou dopisał:

„P. S. Pani Billot i panna Katarzyna wraz ze wszystkimi domownikami mają się dobrze i polecają się pamięci Pana Billota.”

W ten sposób Pitou nie kompromitował nikogo.

Pokazując wtajemniczonym białą kopertę, którą wysyłał do Paryża, dowódca sił zbrojnych zadowolił się wypowiedzeniem dwóch, słów: „Oto jest.”

I wrzucił list do skrzynki. Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać. Na trzeci dzień do Haramont przybył konno umyślny posłaniec zapytując o pana Anioła Pitou. Wszczął się nieopisany zgiełk, a największe było oczekiwanie i niepokój gwardzistów.

Kurier, którego wierzchowiec ociekał pianą, miał na sobie mundur sztabu generalnego Gwardii Narodowej. Łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawił, oraz niepokój i bicie serca Pitou. Drżący i błądy zbliżył się do oficera, który z uśmiechem podał mu przywiezione pismo. Była to odpowiedź pana Billota, skreślona ręką Gilberta.

Billot zalecał Pitou umiarkowanie w patriotyzmie. Zarazem przysyłał rozkaz Lafayette’a, potwierdzony przez ministra wojny, w sprawie uzbrojenia Gwardii Narodowej w Haramont. Aby go doręczyć, skorzystano z wyjazdu oficera, mającego w imieniu generała Lafayette’a uzbroić Gwardię Narodową w Soissons i Laon.

Ów rozkaz brzmiał:

„Osoby posiadające więcej niż jedną strzelbę i jedną szablę obowiązane są broń tę oddać do dyspozycji dowódcy oddziału każdej gminy.

Wykonanie niniejszego zarządzenia rozciąga się na całą prowincję”.

Pitou, zarumieniony z radości, podziękował oficerowi, który znów się uśmiechnął i zaraz popędził w dalszą drogę. W ten sposób dostąpił Pitou najwyższego zaszczytu: otrzymywał bezpośrednie zlecenia od generała Lafayette’a i ministrów. A polecenia te służyły ambitnym planom Pitou.

Nie sposób opisać, jakie wrażenie wywarła ta wizyta na wyborcach Pitou. Wystarczyło popatrzeć na wzruszone twarze, błyszczące oczy i głęboki szacunek dla Anioła Pitou, aby nawet największy sceptyk nabrał pewności, że nasz bohater stanie się odtąd wielką osobistością.

Wyborcy, jeden po drugim, pragnęli zobaczyć rozkaz i dotknąć pieczęci ministerialnej, na co Pitou uprzejmie zezwolił. W końcu, gdy zostali już sami wtajemniczeni, Pitou rzekł:

— Obywatele, plany moje powiodły się zgodnie z przewidywaniem. Przekazałem generałowi Lafayette owi wasze życzenie zorganizowania oddziału Gwardii Narodowej i obrania mnie waszym komendantem. Przeczytajcie nagłówek listu otrzymanego z ministerstwa.

Pitou pokazał pismo, na którym widniało:

„Do pana Anioła Pitou Komendanta Gwardii Narodowej w Haramont”.

— Zostałem więc — ciągnął Pitou — uznany i zatwierdzony przez generała Lafayette’a na komendanta Gwardii Narodowej. Zostaliście uznani i zatwierdzeni jako gwardziści narodowi przez generała Lafayette’a oraz ministra wojny.

Przeciągly okrzyk radości i zachwytu wstrząsnął nędzną izdebką Pitou.

— Co się tyczy broni — kontynuował nasz bohater — znam sposoby, aby ją zdobyć. Wybierzcie niezwłocznie spośród siebie porucznika i sierżanta. Obaj pomogą mi w pewnym przedsięwzięciu.

Obecni spojrzeli po sobie niezdecydowanie.

— Kogo według ciebie, Pitou? — zapytał Maniquet.

— To nie moja rzecz — odparł Pitou z odcieniem wyższości — Wybory muszą być wolne od wszelkiego nacisku. Zbierzcie się beze mnie, wybierzcie obie szarże, jakie wam wymieniłem, ale ludzi do rzeczy. To wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia. Idźcie!

Po tych słowach, ogłoszonych iście królewskim tonem, Pitou odprawił swych podwładnych i pozostał sam, spowity, niczym Agamemnon, w swój majestat.

Wybory trwały godzinę. Mianowano porucznika i sierżanta. Porucznikiem został Dezydery Maniquet, a sierżantem Klaudiusz Tellier. Wrócili wszyscy do Anioła Pitou, który wybór ich uznał i zatwierdził. W końcu zaś oświadczył:

— A teraz, panowie, ani chwili do stracenia!

— Tak, tak! Uczmy się musztry! — zawołał ktoś, usposobiony najbardziej entuzjastycznie.

— Chwileczkę! — wtrącił Pitou. — Wpierw musimy mieć strzelby, a ćwiczenia potem.

— Całkiem słusznie — przytaknęły obie szarże.

— A nim zdobędziemy karabiny, czy nie można by zastąpić ich kijami?

— Traktujmy rzeczy po wojskowemu — odparł Pitou, który w obliczu powszechnego zapału nie czuł się zdolny uczyć sztuki jemu samemu zupełnie nieznaney. — Żołnierze ćwiczący strzelanie przy pomocy kijów to coś groteskowego. Nie narażajmy się na śmieszność.

— Słusznie — odpowiedziano. — Strzelby!

— Chodźcie więc ze mną, poruczniku i wy, sierżancie — rzekł do swych podkomendnych. — A reszta niech czeka, aż wrócimy.

Oddział, pełen uszanowania, przytaknął.

— Mamy przed sobą jeszcze sześć godzin czasu. Więcej niż potrzeba, ażeby załatwić w Villers-Cotterets naszą sprawę i wrócić. Naprzód, marsz! — wykrzyknął Pitou.

Sztab generalny armii Haramont ruszył natychmiast w drogę.

Ale gdy Pitou odczytał ponownie list Billota, ażeby się upewnić, że tyle szczęścia nie było tylko snem, znalazł zdanie Gilberta, poprzednio niezauważone:

„Dlaczego Pitou zapomniał przesłać panu doktorowi Gilbertowi wiadomości o Sebastianie? Dlaczego Sebastian nie pisze do swego ojca?”

LXVI

PITOU TRYUMFUJE

Pocziwy ksiądz Fortier nie domyślał się wcale, jaka burza zbiera się nad jego głową ani jakim uznaniem cieszy się Anioł Pitou u szefów rządu.

Ksiądz dowodził Sebastianowi, że złe społeczeństwo jest przyczyną upadku wszelkich cnót i prawości, że Paryż to otchłań, która może zdeprawować nawet anioła. Uważając Pitou za upadłego anioła, ksiądz zobowiązywał Sebastiana, aby pozostał wiernym i prawdziwym rojalistą.

Ale — powiedzmy to od razu — pojęcia księdza Fortiera o rojalizmie dalekie były od pojęć doktora Gilberta. Zapomniał, pocziwiec, iż, wskutek odmiennego rozumienia tych samych słów, jego propaganda była czynem złym, gdyż próbował, mimo woli zapewne, skierować umysł syna przeciwko ojcu.

Należy stwierdzić, że nie znajdował zbyt podatnego gruntu. Rzecz szczególna! W tym wieku, kiedy dzieci są miękką gliną, o której mówi poeta, że każde dotknięcie wyciska na niej ślad, Sebastian był już, jeśli chodzi o stałość poglądów, dorosłym człowiekiem.

Czy był nieodrodnym synem owej arystokratki, której pogarda dla plebsu dochodziła aż do odrazy? Czy też był to ów szczególny arystokratyzm duchowy plebejusza, posunięty u Gilberta aż do stoicyzmu?

Ksiądz Fortier był absolutnie niezdolny do zgłębienia podobnej tajemnicy. Znał doktora jako nieco egzaltowanego patriotę i z naiwnym moralizatorstwem, właściwym osobom duchownym, usiłował nakłonić jego syna do służenia królowi i Bogu.

Zresztą Sebastian, mimo iż wydawał się bardzo skupiony, nie słuchał księżowskich rad. Rozmyślał o niejasnych wizjach, jakie od pewnego czasu nawiedzały go pod rozłożystymi drzewami parku w Villers-Cotterets, kiedy ksiądz Fortier prowadził swoich uczniów w stronę kamienia Clouise, grotę świętego Huberta lub wieży Aumont. Rozmyślał o halucynacjach, stanowiących jakby drugie jego życie obok rzeczywistego, urojone życie szczęśliwości poetycznej obok gnuśnej prozaiczności szkolnych godzin.

Nagle brama od ulicy Soissons, popchnięta dość gwałtownie parę razy, otworzyła się sama i weszło kilku ludzi. Byli to: mer miasta Villers-Cotterets oraz jego zastępca i sekretarz merostwa. Za nimi widać było dwa kapelusze żandarmów, a dalej głowy pięciu czy sześciu ciekawskich.

Zaniepokojony ksiądz podszedł wprost do mera.

— Co się stało, panie Longpre? — zapytał.

— Proszę księdza — odparł poważnie mer — czy zna ksiądz nowy dekret ministra wojny?

— Nie, panie merze.

— Zechce więc ksiądz przeczytać.

Ksiądz wziął papier i przeczytawszy go zbladł.

— A więc? — zapytał do głębi poruszony.

— A więc, proszę księdza! Są tu ci panowie z Gwardii Narodowej w Haramont i czekają na wydanie broni.

Ksiądz skoczył, jakby chciał pożreć panów z Gwardii Narodowej. Wówczas Pitou, uważając, że nadeszła stosowna chwila, wystąpił naprzód, a za nim jego porucznik i sierżant.

— Oto oni — rzekł mer.

Z bladego ksiądz zrobił się purpurowy.

— To hultaje! — wykrzyknął. — To nicponie!

Mer był to nieborak o nieustalonych jeszcze poglądach politycznych. Chciał, żeby wilk był

syty i owca cała. Nie pragnął poróżnić się ani z Bogiem, ani z Gwardią Narodową. Zniewagi księdza Fortiera pobudziły go do głośnego śmiechu, którym rozładował sytuację.

— Słyszysz pan, jak ksiądz Fortier traktuje Gwardię Narodową w Haramont? — rzekł do Pitou i jego dwóch oficerów.

— To dlatego, że ksiądz Fortier zna nas od najmłodszych lat i uważa jeszcze za dzieci — odparł Pitou ze smętną łagodnością.

— Ale te dzieci są już mężczyznami — powiedział głucho Maniquet wyciągając ku księdzu okaleczoną rękę.

— A ci mężczyźni są wężami! — wykrzyknął rozdrażniony ksiądz.

— I to wężami, które zaatakowane kąsają — wtrącił z kolei sierżant Klaudiusz.

W tych groźbach mer odczuł już powiew zbliżającej się rewolucji, a ksiądz zapowiedź męczeństwa.

— Czegóż w końcu chcecie ode mnie? — zapytał.

— Chcą otrzymać część broni, która tu się znajduje — odparł mer próbując wszystko ułagodzić.

— Ta broń nie należy do mnie — powiedział ksiądz.

— Do kogóż więc?

— Do księcia Orleańskiego.

— Dobrze, proszę księdza — rzekł Pitou. — To nic nie przeszkadza.

— Jak to, nie przeszkadza?

— Tak. Żądamy mimo to wydania broni.

— Napiszę o tym do księcia — powiedział z godnością ksiądz.

— Ksiądz zapomina — rzekł mer półgłosem — że to niepotrzebna zwłoka. Księżę odpowiedziałby, że broń trzeba wydać patriotom, i to nie tylko strzelby jego wrogów Anglików, ale również armaty jego dziada Ludwika XIV.

Ta słuszna uwaga ugodziła boleśnie księdza.

— *Circumdedisti me hostibus meis* — szepnął.

— Tak, proszę księdza — wtrącił Pitou — rzeczywiście. Ale jesteśmy tylko wrogami politycznymi, gdyż nienawidzimy was jedynie jako złego patriotę.

— Głupcze! — wykrzyknął ksiądz Fortier w przystępie uniesienia, które go natchnęło wymową. — Niedorzeczny i niebezpieczny głupcze! Kto z nas dwóch jest dobrym patriotą: ja, który chcę zatrzymać broń dla spokoju ojczyzny, czy ty, żądając oręża dla waśni i wojny domowej? Kto jest dobrym synem: ja z różdżką oliwną, aby uczcić naszą wspólną macierz, czy ty szukający żelaza, aby przebić jej łono? Mer odwrócił się chcąc ukryć wzruszenie i jednocześnie skinął nieznacznie księdzu, jak gdyby mówiąc: „Doskonale!” Zastępca mera, nowy Tarkwiniusz, ścinał laską kwiaty. Pitou był zbity z tropu. Widząc to jego dwaj podwładni zmarszczyli brew.

Jeden tylko Sebastian, spartańskie dziecię, pozostał niewzruszony. Zbliżył się do Pitou pytając:

— O co właściwie chodzi?

Pitou wyjaśnił, mu w dwóch słowach.

— Rozkaz jest podpisany? — zapytał Sebastian.

— Przez ministra i generała Lafayette’a, a napisany przez twego ojca.

— Czemuż więc — odpowiedział dumnie chłopiec — wahają się wykonać ten rozkaz?

Jego rozszerzone źrenice, drgające nozdrza, niezłomny wyraz twarzy świadczyły o nieubłaganym instynkcie panowania tych obu ras, które go wydały.

Ksiądz, słysząc te słowa w ustach dziecka, zadrżał i spuścił głowę.

— Trzy pokolenia wrogów przeciwko nam! — szepnął.

— No, proszę księdza dobrodzieja — rzekł mer — trzeba się poddać!

Ksiądz posunął się o krok, targając zawieszony u pasa klucz, co mu pozostało jako nawyk z czasów klasztornych.

— Nie, po tysiackroć nie! — zawołał. — To nie moja własność. Będę czekał na rozkaz swego pana.

— Ach, księże dobrodzieju! — odezwał się mer, nie mogąc powstrzymać się od dezaprobaty.

— To jest bunt — oświadczył Sebastian księdzu. — Strzeż się, drogi księże.

— *Tu quoque!* — szepnął ksiądz, otulając się w sutannę gestem Cezara.

— No, no, proszę księdza — wtrącił Pitou. — Nie trzeba się tak przejmować. Ta broń będzie dobrze użyta dla szczęścia ojczyzny.

— Zamilcz, Judaszu! — wykrzyknął ksiądz. — Zdradziłeś swego starego nauczyciela, dlaczego nie miałbyś zdradzić i ojczyzny?

Pitou pochylił głowę pod brzemieniem tych zarzutów. Jego postępek nie godził się ze szlachetnością serca, choć był posunięciem zręcznego przywódcy. Ale spostrzegł zarazem, że stojący z boku jego dwaj podwładni byli oburzeni, iż mają tak słabego szefa.

Pitou zrozumiał, że straci cały swój prestiż, jeśli teraz nie zareaguje. Uczucie dumy dodało bodźca temu mężnemu bojownikowi rewolucji francuskiej. Podniósłszy więc głowę rzekł:

— Proszę księdza, bez względu na szacunek, jaki żywię dla mego dawnego nauczyciela, nie pozostawię bez komentarza tych obelżywych słów.

— Ach, teraz będziesz komentował? — odparł ksiądz przypuszczając, iż drwinami zbije Pitou z tropu.

— Tak, proszę księdza, komentuję. I przekonacie się, że moje komentarze są słuszne — ciągnął dalej. — Nazywa mnie ksiądz zdrajcą, boś mi odmówił dobrowolnie broni, o którą prosiłem z gałązką oliwną w ręce. Ale dziś wyrwę ci tę broń na podstawie rządowego rozkazu. A więc, proszę księdza, wolę rzekomo uchybić swemu obowiązkowi, niż miałbym przykładać razem z wami rękę do kontrewolucji. Niech żyje ojczyzna! Do broni! Do broni!

Mer skinął w stronę Pitou, tak jak poprzednio do księdza, ze słowami:

— Tak, bardzo dobrze! Bardzo dobrze!

Słowa Pitou sprawiły na księdzu piorunujące wrażenie, dla pozostałych były jakby iskrą elektryczną.

Mer ulotnił się, gestem nakazując swemu zastępcy, aby pozostał. Zastępca wolałby również zniknąć, tak jak mer. Ale nieobecność dwóch głównych urzędników miejskich zwróciła z pewnością uwagę.

Poszedł więc ze swoim pisarzem oraz żandarmami, którzy skierowali się za trzema gwardzistami narodowymi, ku muzeum. Pitou, wychowany pośród tych murów, znał Wszystkie zakamarki. Sebastian, skoczywszy jak młode lwiątko, pobiegł śladem patriotów. Inni uczniowie patrzyli jak ogłupiali.

A ksiądz, otworzywszy drzwi do muzeum, opadł, półżywy z gniewu i wstydu, na pierwsze napotkane krzesło.

Znalazszy się w muzeum, obaj adiutanci Pitou chcieli wszystko złupić, ale uczciwy dowódca Gwardii Narodowej zaoponował.

Kazał obliczyć podległych jego rozkazom gwardzistów narodowych, a ponieważ było ich trzydziestu trzech, rozkazał zabrać trzydzieści trzy karabiny.

Jednakże w wypadku jakiegś strzelaniny, Pitou nie chciałby się znaleźć w gorszej sytuacji niż reszta jego towarzyszy. Wziął więc trzydziesty czwarty karabinek, oficerską strzelbę, krótszą i lżejszą od innych; którą można było i nabić śrutem na królika czy zająca, i ładować kulami

przeciwko fałszywym patriotom lub rzeczywistym Prusakom.

Wybrał też szpadę, prostą jak pana Lafayette'a, zapewne oręż jakiegoś bohatera spod Fontenoy czy Philippsburga, i przypasał ją sobie do boku.

Dwaj podkomendni Pitou załadowali na ramiona po dwanaście strzelb, nie ugięli się jednak pod tym ogromnym ciężarem, tak bardzo byli upojeni radością. Pitou dźwigał resztę.

Udali się przez park, ażeby nie przechodzić przez Villers–Cotterets, dla uniknięcia skandalu. Była to zresztą najkrótsza droga. A miała jeszcze tę zaletę, że uniemożliwiała trzem oficerom spotkanie z przedstawicielami przeciwnych poglądów.

Pitou nie lękał się walki, a strzelba, jaką sobie wybrał na taką ewentualność, świadczyła o jego męstwie. Ale Pitou stał się człowiekiem rozważnym, a odkąd zaczął rozumować, spostrzegł, że o ile jeden karabin może służyć do obrony, to kilka karabinów już się do tego nie nadaje.

Trzej nasi bohaterowie, obarczeni tym bogatym łupem, przebyli więc park pędem i dotarli do okrągłaka, gdzie mieli się zatrzymać. Wyczerpani, ociekając potem pełnego chwały zmęczenia, zanieśli do Pitou cenny depozyt, jaki, może trochę na ślepo, powierzyła im ojczyzna.

Tegoż wieczora odbyła się zbiórka Gwardii Narodowej i komendant Pitou dał każdemu żołnierzowi karabin powtarzając to, co matki–Spartanki mówiły swoim synom, dając im tarczę: „Z nią albo na niej!”

W gromadce tej, przeistoczonej dzięki geniuszowi Pitou, zapanowało wówczas wielkie podniecenie, niczym w mrowisku. Radość z posiadania broni sprawiła, że ci ludzie, przeważnie kłusownicy spragnieni polowania, a prześladowani uparcie przez leśniczych, widzieli w Pitou niemal boga.

Zapomniano o jego długich nogach i ramionach, o grubych kolanach i wielkiej głowie, zapomniano wreszcie o jego dziwacznej przeszłości. Pitou był i pozostał duchem opiekuńczym wioski.

Dzień następny upłynął entuzjastom na wszechstronnej lustracji i czyszczeniu broni. Jedni cieszyli się, że kurek dobrze funkcjonuje, inni skrzywdzeni przez los, starali się usuwać braki, gdy gorsza broń przypadła im w udziale.

Podczas gdy towarzysze Pitou kaleczyli sobie ręce przy opatrywaniu broni, on siedział samotnie w swym pokoju niczym Agamemnon w namiocie i oddawał się głębokim rozmyślaniom.

O czym rozmyślał Pitou? — zapyta czytelnik przychylnie usposobiony dla rodzącego się geniuszu.

Zostawszy pasterzem ludu Pitou myślał, jak czcza i marna jest na tym padole wielkość.

Rzeczywiście, bliska była chwila, kiedy ze wzniesionego z takim trudem gmachu nic nie miało pozostać.

Karabiny rozdano wczoraj. Dziś zajęto się ich opatrzeniem. Jutro trzeba rozpocząć praktyczne ćwiczenia, a Pitou nie znał nawet pierwszej komendy nabijania broni na dwanaście temp. Sam robił to zawsze bez liczenia, jak się dało.

Z musztrą sprawa wyglądała jeszcze gorzej.

Jakież więc z niego komendant Gwardii Narodowej, skoro nie umie nabijać na dwanaście temp i nie potrafi przeprowadzić musztry!

Wsparłszy więc głowę na rękach, patrząc dookoła tępym wzrokiem, Pitou rozmyślał.

Nigdy Cezar w ostępach dzikiej Galii, ani Hannibal zagubiony pośród śnieżnych Alp, ani Kolumb zbłąkany na bezbrzeżnym oceanie nie rozmyślali z większą powagą w obliczu nieznanego. Nigdy nie poświęcili swych myśli — tak wyłącznie, jak w tym długim dniu Pitou — *dis ignotis*, tym straszliwym bóstwom, które posiadają tajemnicę życia i śmierci.

— Och — mówił Pitou — czas upływa, zbliża się jutro, które obnaży w całej pełni moja

nicość.

„Jutro w oczach całego zgromadzenia Haramontczyków wielki wojownik, zdobywca Bastylii okaże się kretynem, podobnie jak... nie pamiętam już kto, w oczach całego zgromadzenia Greków.

Dziś triumfator — jutro wyszydzony!

To się nie stanie, nie może się stać! Tak zniesławiony! I Katarzyna dowiedziałyby się zaraz.”

Pitou zaczerpnął na chwilę oddechu.

„Kto mógłby wydobyć mnie z tego? — pytał samego siebie. — Śmiałość? Nie, nie! Śmiałość — to dobre na jedną chwilkę, a strzelanie na modłę pruską ma dwanaście temp.

I cóż za szczególnie pomysł uczyć Francuzów takiego właśnie strzelania!

A gdybym tak powiedział, że zbyt dobry ze mnie patriota, abym uczył Francuzów strzelać na sposób pruski? Że wymyśliłem inny, bardziej narodowy? Nie, zapłaczę się!

Widziałem kiedyś na jarmarku w Villers-Cotterets strzelającą małpę. Ale małpa robiła to zapewne po małpiemu, nieprawidłowo.”

— Ach! — zawołał nagle. — Mam myśl!

I już chciał puścić w ruch swe długie nogi, gdy nagle myśl jakaś zatrzymała go na miejscu.

— Moje zniknięcie wywoła zdziwienie — rzekł. — Trzeba uprzedzić ludzi.

Otworzywszy drzwi wezwał Klaudiusza i Dezyderego, i rozkazał:

— Wyznaczcie na pojutrze pierwszą zbiórkę.

— Dlaczego nie na jutro? — zapytali obaj podwładni.

— Dlatego, że jesteście zmęczeni, wy i sierżant — odparł Pitou. — A nim zacznę ćwiczyć żołnierzy, chcę przeszkolić oficerów. No i zapamiętajcie to sobie — dodał surowo Pitou — że na służbie się słucha, a więc bez gadania.

Podkomendni skłonili się.

— No, dobrze — rzekł Pitou. — Zarządzcie zbiórkę na pojutrze, na czwartą rano.

Obaj oficerowie skłonili się ponownie i wyszli, a że była już dziewiąta wieczór, udali się na spoczynek.

Pitou został sam. Kiedy już zniknęli za węglem, on ruszył w przeciwnym kierunku, a po pięciu minutach był już w najmroczniejszym gąszczu wysokopiennego lasu.

Zobaczymy, co miało uratować Pitou.

LXVII
OJCIEC CLOUIS I KAMIEŃ CLOUIS, CZYLI JAK PITOU ZOSTAŁ TAKTYKIEM
I NABRAŁ SZLACHETNEJ POSTAWY

Pitou biegł około pół godziny, zagłębiając się w najdzikszą i najbardziej niedostępną część lasu.

Wśród tych wysokopiennych, trzechsetletnich drzew tonęła w gęstwie krzewów chata, wsparta o olbrzymią skałę. Zbudowana mniej więcej przed czterdziestu laty, kryła w sobie człowieka, który dla własnej korzyści otoczył się tajemnicą.

Ta chata, na wpół zapadła w ziemię, na pół spleciona z gałęzi i chropawych bierwion, miała ukośny otwór w dachu, przez który wpadało światło i powietrze.

Istnienie chaty, przypominającej szałas cygańskie w Albaycin, zdradzał czasem błękitny dym, snujący się z jej szczytu. Gdyby nie to, nikt by się nie domyślił, prócz leśniczych, myśliwych, kłusowników i okolicznych chłopów, że ta lepianka jest siedzibą ludzką.

A jednak mieszkał tam od lat czterdziestu stary leśniczy będący na dożywocie, któremu ksiązę Orleański, ojciec Ludwika Filipa, zezwolił pozostać w lesie, zachować mundur i strzelać co dzień do zająca lub królika.

Z odstrzału wyłączono ptactwo i grubego zwierza.

W czasach, o których mówimy, pocziwina ten miał sześćdziesiąt dziewięć lat. Z początku zwano go po prostu Clouis, potem, z biegiem lat, ojcem Clouis. Od jego imienia ochrzczono też olbrzymią skałę, o którą opierała się chata, i nazwano kamieniem Clouise.

Stary był ranny pod Fontenoy i na skutek tego musiano amputować mu nogę. Dlatego też dość wcześnie poszedł na emeryturę i otrzymał od księcia Orleańskiego powyższe przywileje.

Ojciec Clouis nie bywał nigdy w mieście i tylko raz na rok zjawiał się w Villers–Cotterets, aby kupić trzysta sześćdziesiąt pięć ładunków prochu i śrutu, a w roku przestępnym trzysta sześćdziesiąt sześć.

W tym samym dniu zanosił do kapelusznika, pana Cornu, trzysta sześćdziesiąt pięć lub sześć skórek króliczych i zajęczych, za które płacono mu siedemdziesiąt pięć liwrow.

A mówiąc trzysta sześćdziesiąt pięć skórek w latach zwykłych, a trzysta sześćdziesiąt sześć w przestępnych, nie mylimy się ani o jedną. Ojciec Clouis mając prawo do, jednego strzału dziennie, nigdy nie chybiał i każdy strzał przynosił mu królika lub zająca.

Ojciec Clouis, który nie strzelał ani mniej, ani więcej niż trzysta sześćdziesiąt pięć lub trzysta sześćdziesiąt sześć razy, zabijał dokładnie sto osiemdziesiąt trzy zające i sto osiemdziesiąt dwa króliki w roku zwykłym, i sto osiemdziesiąt trzy zające i tyleż królików w roku przestępnym.

Mięso tej zwierzyny dawało mu utrzymanie — żywił się nim bądź sprzedawał. Za skórki kupował proch i śrut, gromadząc kapitał. A ponadto, raz na rok, ojciec Clouis przeprowadzał pewien interes.

Skała, do której przyparta była chata, tworzyła pochyłą jak dach płaszczyznę, mającą osiemnaście stóp w najszerszym miejscu. Przedmiot położony na jej szczycie zsuwał się łagodnie ku dołowi.

Za pośrednictwem kobiet, kupujących od ojca Clouisa jego zające czy króliki, rozgłaszał on w okolicznych wioskach, że młode dziewczęta, które w dniu świętego Ludwika spróbują zsunąć się trzykrotnie z góry na dół z jego kamienia, wyjdą w ciągu roku za mąż.

W pierwszym roku zjawiało się wiele dziewcząt, ale żadna nie odważyła się zsunąć. W następnym zaryzykowały trzy, dwie z nich wyszły do końca roku za mąż. Co się tyczy tej

trzeciej, panny, ojciec Clouis oświadczył zuchwale, że skoro nie znalazła męża, to znaczy, że nie zsunęła się z tak dobrą wiarą jak tamte.

W roku następnym zbiegły się z okolicy wszystkie dziewczęta. Ojciec Clouis zawyrokował, że dla tylu dziewcząt absolutnie nie starczy chłopców. Jednakże trzecia część, i to ta najbardziej pełna wiary, wyjdzie za mąż.

Rzeczywiście, niemało dziewcząt znalazło mężów. — Od tej chwili ustaliła się matrymonialna reputacja kamienia ojca Clouis i co rok, na świętego Ludwika, obchodzono podwójne święto: jedno w mieście, drugie w lesie.

Wtedy ojciec Clouis poprosił o przywilej. Ponieważ trudno było obejść się przez cały dzień bez jedzenia i picia w dniu dwudziestym piątym sierpnia, ojciec Clouis pragnął sprzedawać kandydatom płci obojga jadło i napoje. Chłopcy bowiem zdołali przekonać dziewczęta, że należy zsuwać się razem, aby właściwości skały okazały się niezawodne.

W ten sposób żył ojciec Clouis od trzydziestu pięciu lat. W okolicy traktowano go tak, jak Arabowie traktują swoich marabutów. Stał się postacią legendarną.

Myśliwi interesowali się nim szczególnie, a leśniczych przyprawiał o zazdrość niewątpliwy fakt, że ojciec Clouis strzelał w ciągu roku tylko trzysta sześćdziesiąt pięć razy, zabijając sto osiemdziesiąt trzy zające i sto osiemdziesiąt dwa króliki.

Wielcy panowie z Paryża, zaproszeni przez księcia Orleańskiego na kilkudniowy pobyt w zamku, słysząc historię ojca Clouis odwiedzali go, aby wetknąć do zgrubiałej ręki, zależnie od swej hojności, luidora lub talara. Próbowali też przeniknąć lub „odkryć” osobliwą tajemnicę człowieka, który na trzysta sześćdziesiąt pięć strzałów ani razu nie chybia.

Ale ojciec Clouis miał dla nich tylko, jedną odpowiedź: w wojsku tą samą strzelbą przywykł zabijać za każdym strzałem jednego człowieka. Uważał więc, że jeszcze łatwiej zabić śrutem królika czy zajacą.

A tych, co uśmiechali się słysząc te słowa, ojciec Clouis zapytywał:

— Po co strzelać, jeśli nie ma pewności, że się trafi? Powiedzenie to byłoby godne pana de la Palisse, gdyby nie wyjątkowa nieomyślność myśliwego.

— Ale — pytano — czemuż to książę Orleański, nieskąpy przecież, zezwolił wam tylko na jeden strzał dziennie?

— Bo więcej byłoby za dużo — książę znał mnie zbyt dobrze.

Ciekawość, jaką budziło to całe otoczenie oraz osobliwa teoria, przynosiły staremu pustelnikowi przeciętnie dziesięć luidorów na rok. Skórki królicze i dochód w dniu świątecznym dawały mu drugie tyle. A że kupował tylko getry, i to jedną parę na pięć lat, a ubranie — raz na dziesięć, nie mógł uskarżać się na biedę.

Przeciwnie nawet, chodziły słuchy, że ma ukryty skarb i że ewentualny spadkobierca nienajgorzej na tym wyjdzie.

Taka była ta osobliwa figura; do której wybrał się nocą Pitou, natchniony szczęśliwym pomysłem, mającym go wybawić z fatalnej opresji.

Chcąc jednak dotrzeć do ojca Clouisa, należało być zręcznym. Podobnie jak stary pasterz stad Neptunowych, nie dawał on się zaskoczyć zniecka. Odróżniał doskonale natrętnego włóczęgę od bogatego łazika, a ponieważ traktował dość lekceważąco nawet tych ostatnich, łatwo sobie wyobrazić, jak bezwzględnie przepędzał pierwszą kategorię.

Clouis leżał na posłaniu z wrzosów, wspaniałym i aromatycznym, którego dostarczał mu las we wrześniu — i przez rok nie wymagającym zmiany. Dochodziła już jedenasta, noc była widna, powietrze rześkie.

Kto chciał dotrzeć do chaty ojca Clouisa, musiał przebrnąć przez tak grubą warstwę żołądźi i gąszcz krzewów jeżynowych, że wywołany tym trzask zawsze oznajmiał pustelnikowi wizytę.

Pitou sprawił cztery razy więcej hałasu niż zwykły śmiertelnik. Ojciec Clouis, który nie spał, podniósł głowę i patrzył.

Dnia tego był w fatalnym humorze. Zdarzył mu się okropny wypadek, tak że nawet najmilej widziani goście nie mogliby się doń zbliżyć.

Wypadek był rzeczywiście straszny. Strzelba, z której przez pięć lat strzelał ołowiem, a przez trzydzieści pięć śrutem, rozleciała się podczas strzału, pierwszego strzału chybionego od trzydziestu pięciu lat.

Ale nie to było najprzykrzejsze, że królik uszedł zdrów i cały. Wybuch uszkodził ojcu Clouisowi dwa palce u lewej ręki. Opatrzył ranę jakoś przeżutą trawą i liśćmi, strzelby jednak nie potrafił naprawić.

Chcąc zdobyć nową, ojciec Clouis musiałby sięgnąć do swego skarbczyka. Ale nawet ponosząc taką ofiarę i zapłaciwszy wygórowaną cenę dwóch ludwików, nie byłby pewien, czy fuzja okazałaby się tak niezawodna za każdym strzałem jak ta, która rozleciała się dnia dzisiejszego.

Pitou przybywał więc, jak widać, w złym momencie. Toteż kiedy dotknął ręką zasuwę, ojciec Clouis chrząknął w taki sposób, że wódz Gwardii Narodowej w Haramont aż cofnął się.

Byłże to zamiast ojca Clouisa wilk czy prośna maciora?

Anioł Pitou, który czytał o Czerwonym Kapturku, zawahał się.

— Hej, ojcie Clouts! — krzyknął.

— Co tam? — odezwał się odludek.

Pitou uspokoił się, poznawszy głos starego pustelnika.

— Dobrze, że jesteście! — rzekł.

Wszedłszy do chaty, uklonił się gospodarzowi mówiąc uprzejmie:

— Dzień dobry, ojcie Clouis.

— Kto tam? — zapytał ranny.

— Ja.

— Kto? Jaki ja?

— Ja, Pitou.

— Co za jeden?

— Ja, Anioł Pitou z Haramont, wiecie?

— Ech, cóż to mnie obchodzi, że jesteście Anioł Pitou z Haramont!

— Och! Ojciec Clouis w złym humorze — rzekł. — Obudziłem nie w porę — dodał przymilnie.

— Owszem, bardzo nie w porę.

— Cóż więc mam zrobić?

— Najlepsza rzecz — to pójść sobie.

— Jak to? Nie pogawędziwszy trochę?

— A o czym to chcesz pogawędzić?

— Chcę prosić o przysługę, ojcie Clouis.

— Nie świadczę przysług za darmo. — Ja chętnie zapłacę.

— Możliwe, ale ja już nie mogę oddawać zwykłych przysług.

— Dlaczego?

— Bo już nie strzelam.

— Jak to, nie strzelacie? Wy, nieomylny strzelec! Niemożliwe, ojcie Clouis.

— Idź sobie, powtarzam.

— Ojczulku Clouis!

— Nudzisz mnie!

— Posłuchajcie tylko, a nie będziecie żałować.

— No więc, gadaj prędzej! Czego chcesz?

— Jesteście starym żołnierzem, prawda?

— Dalej!

— A więc, ojciec Clouis, chcę...

— Dokończcie wreszcie!

— Chcę, żebyście nauczyli mnie musztry!

— Czyś ty zbzikował?

— Nie, przeciwnie, mam wszystkie klepki w porządku. Nauczcie mnie, ojciec Clouis, musztry, a o cenie pogadamy.

— Także coś! Ten zwierzak stanowczo zwariował — rzekł szorstko, unosząc się na posłaniu.

— Ojciec Clouis, nauczcie mnie musztry, tak jak w wojsku, na dwanaście temp! I żądajcie, co wam się żywnie podoba.

Stary wsparł się na jednym kolanie, utkwivszy w Pitou spojrzenie swych wyblakłych oczu i powtórzył:

— Co mi się żywnie podoba?

— Tak.

— A więc podoba mi się mieć strzelbę!

— Ach, jak to się dobrze składa, bo właśnie mam ich trzydzieści cztery!

— Ty masz trzydzieści cztery strzelby?

— A nawet trzydziesta czwarta, którą odłożyłem dla siebie, nadaje się doskonale dla was. Jest to ładna fuzyjka podoficerska ze złotym herbem królewskim na zamku.

— Ale skąd masz tę strzelbę? Spodziewam się, żeś jej nie ukradł?

Pitou opowiedział mu wszystko szczerze, prosto, żywo.

— Zgoda! — rzekł stary leśniczy. — Rozumiem. Chętnie nauczę cię musztry, ale bolą mnie palce.. — I wtajemniczył Pitou w wypadek, jaki mu się zdarzył.

— No, więc nie myślcie już o swojej strzelbie, będzie inna. Ba! Ale palce... Gorzej z nimi niż ze strzelbami, których mam trzydzieści cztery.

— Och, mniejsza o palce! Bylebyś mi tylko przyrzekł, że strzelba będzie jutro... No, chodź!

I zaraz wstał.

Księżyc w pełni lał strugi białego światła na łączkę przed domem. Pitou i ojciec Clouis skierowali się ku polance. Ktokolwiek ujrzałby dwa czarne cienie poruszające się na szarej płaszczyźnie pustkowie, byłby niechybnie przerażony.

Ojciec Clouis pokazał Pitou szczątki swojej strzelby, po czym wyjaśnił mu, co to jest postawa wojskowa i jak się nosi broń.

Ciekawa rzecz! Ten wysoki, zawsze przygarbiony starzec, nawykły do przedzierania się wśród zarośli, wyprostował się nagle. Podniecony wspomnieniem o pułku i perspektywą musztry, potrząsał teraz białą grzywą włosów spadających na jego żylaste, szerokie i muskularne ramiona.

— Przyglądaj się uważnie! — mówił do Pitou. — Wtedy tylko się nauczysz. Kiedy się już dobrze przyjrzyysz, jak ja to robię, spróbujesz sam, a wtedy ja się będę przyglądał.

Pitou spróbował.

— Schowaj kolana, wyprostuj ramiona, głowa swobodnie! Stań mocno! Stańże mocno, do licha! Masz dość szerokie stopy?

Pitou wykonywał rozkazy gorliwie.

— Dobrze! — oświadczył stary. — Postawa wcale szlachetna. — Pitou był dumny z tego, że miał szlachetną postawę. Nie marzył o tym wcale. Mieć szlachetną postawę raptem po jednej godzinie musztry! Cóż to będzie za miesiąc? Będzie miał postawę majestatyczną.

Dlatego chciał uczyć się jeszcze. Ale na pierwszą lekcję było dosyć. Zresztą ojciec Clouis nie chciał iść dalej przed otrzymaniem strzelby.

— Nie — oświadczył — jak na początek wystarczy. To wszystko pokażesz im na pierwszym ćwiczeniu, a nie nauczą się prędzej niż po czterech dniach. Przez ten czas ty przyjdiesz tu ze dwa razy.

— Cztery razy! — wykrzyknął Pitou.

— Ho, ho! — odparł zimno ojciec Clouis. — Nie brak ci, jak widać, zapału i masz zdrowe nogi. Cztery razy, dobrze! Przyjdź cztery razy. Ale cię uprzedzam, że kończy się ostatnia kwadra księżycy i jutro nie będzie już widno.

— Będziemy ćwiczyli w grocie! — zawołał Pitou. — Więc przynieś świecę.

— Funt, dwa, jeśli trzeba!

— Dobrze. A moja strzelba?

— Jutro będziecie ją mieli.

— Liczę na to. No, zobaczymy, czyś zapamiętał, co mówiłem.

Pitou powtórzył wszystko i zyskał uznanie. Uniesiony radością, przyrzekłby ojcu Clouis nawet armatę..

Po skończonym posiedzeniu, a dochodziła już pierwsza w nocy, Pitou pożegnał się ze swym mistrzem i wracał wolniej, ale krokiem dość jeszcze żwawym do wioski. W Haramont wszyscy — gwardziści narodowi i więcej pasterze — spali kamiennym snem.

Pitou śniło się, że był naczelnym wodzem wielomilionowej armii, która ustawiona w jednym szeregu wykonywała komendę „bacność!” i „na ramię broni” — aż po sam kraniec doliny Józafata.

Nazajutrz Pitou dał, a raczej powtórzył żołnierzom lekcję, a jego zuchwalstwo i pewność wystąpienia zdobyły mu jeszcze większe niż dotąd uznanie.

O kapryśny podmuchu popularności!

Pitou stał się popularny. Był podziwiany przez mężczyzn, dzieci i starców. Nawet kobiety patrzyły poważnie, kiedy w ich obecności krzyczał stentorowym głosem do swych żołnierzy, ustawionych w jednym szeregu:

„Przebóg! Miejmy szlachetną postawę! Patrzcie na mnie!” Istotnie, wyglądał szlachetnie!

LXVIII

KATARZYNA TAKŻE DYPLOMATYZUJE

Ojciec Clouis otrzymał strzelbę. Pitou był chłopcem honorowym: obietnica była dla niego rzeczą świętą. Po dziesięciu lekcjach, podobnych do pierwszej, Pitou stał się wzorowym grenadierem.

Na nieszczęście, ojciec Clouis nie był tak tęgim w musztrze oddziału jak w ćwiczeniach z karabinem; objaśniewszy obrót, półobrót i zachodzenie wyczerpał całą swą wiedzę. Pitou musiał się więc uciec do *Praktyka francuskiego* i *Podręcznika gwardzisty narodowego*, które się właśnie ukazały, co kosztowało go talara.

Dzięki ofiarności swego dowódcy, oddział haramoncki poznał musztrę dość dobrze.

Kiedy Pitou spostrzegł, że te rzeczy stają się coraz bardziej skomplikowane, pojechał do Soissons, które było miastem garnizonowym. Zobaczył tam musztrę prawdziwych batalionów wojska, dowodzonego przez prawdziwych oficerów, i w ciągu jednego dnia nauczył się więcej niż przez parę tygodni z teorii.

W ten sposób minęły dwa miesiące pracy i gorączkowego wysiłku.

Pitou, żądny sławy, zakochany, nieszczęśliwy w miłości, a przecież — ach, jakże słaba rekompensata! — syty chwały, do cna zgłębił w sobie to, co niektórzy fizjologowie przemyślnie nazywają bestią. Poświęcił ją bezlitośnie „duszy”. Tyle się nabiegał, tak umęczył ciało, tak wyostrzył myśl, że aż dziw brał, jak mógł jeszcze myśleć o pocieszeniu serca.

Tak jednak było.

Ileż to razy po ćwiczeniach, które często następowały po nocnej pracy, zapuszczał się Pitou na równiny Largny i Noue, przemierzając je wzdłuż i wszerz. A potem zagłębiał się w gąszcz leśny, aby dotrzeć na sam skraj gruntów Boursonne i wypatrywać Katarzyny, która tam właśnie przybywała na schadzki.

Katarzyna, urywając godzinę lub dwie dziennie z prac gospodarskich, spotykała się z ukochanym Izydorem w niewielkim pawilonie na terenie królikami, należącej do zamku w Boursonne. Izydor, szczęśliwy kochanek, wyglądał; coraz dumniej, coraz piękniej, podczas gdy wszystko, wokół niego żyło w cierpieniu i poniżeniu.

Ileż udręk nękało biednego Pitou, ileż smutku przynosiły myśli o nierównym podziale szczęścia ludzkiego.

A przecież ubiegały się o niego dziewczęta z Haramont, Taillefontaine i Vivieres; i on również mógł mieć schadzki w lesie. Ale zamiast pysznić się ze szczęścia w miłości wołał płakać jak skarcone dziecko przed zamkniętymi drzwiami pawilonu pana Izydora.

Bo Pitou kochał Katarzynę, kochał ją namiętnie, kochał tym bardziej, że czuł jej wyższość nad sobą.

Nie myślał już nawet o tym, że kochała innego. Nie! Dla niego Izydor przestał być przedmiotem zazdrości. Izydor był panem, był piękny, godny miłości. Ale Katarzyna, córka ludu, nie powinna była zniesławiać rodziny, a przynajmniej — doprowadzać Pitou do rozpacz.

W jego rozmyślaniach tkwił okrutny, dojmujący ból. „Jak to? — mówił do siebie. — Okazała brak serca, pozwalając mi odejść! A potem nie raczyła się nawet dowiedzieć, czy nie umarłem z głodu. Co by powiedział ojciec Billot dowiedziawszy się, jak bardzo opuszczeni są jego przyjaciele, jak zaniedbane jego interesy? Co by powiedział słysząc, że administratorka jego domu, zamiast pilnować pracujących robotników, bawi się w amory z arystokratą panem de Charny?! Ojciec Billot nic by nie powiedział. Zabiłby Katarzynę!

A jednak — rozmyślał Pitou — nieźle byłoby znaleźć jakąś możliwość zemsty. Tak, ale nie

skorzystać z niej — to dopiero byłoby piękne.”

Jednakże — Pitou doświadczył już tego — piękne a nieznane czyny nie przynoszą korzyści ich autorom.

Czyż nie można by jakoś uświadomić Katarzynie, że człowiek jest zdolny do tak pięknych postępów?

Ech, nic łatwiejszego, mój Boże! Wystarczy któreś niedzieli, na tańcach podejść do Katarzyny i powiedzieć jak gdyby od niechcienia jedno ze straszliwych słówek, które uświadamiają winnym, że ktoś trzeci przeniknął ich tajemnicę.

Czyż nie warto tak zrobić choćby dlatego, aby zobaczyć, jak cierpi ta dumna istota?

Ale idąc na tańce, trzeba by znowu pokazać się tuż obok tego pięknego magnata, a porównanie z człowiekiem tak świetnie ubranym wypadłoby na niekorzyść rywala.

Pitou, pełen inwencji jak wszyscy pogrążeni w swoich zmartwieniach, wynalazł coś lepszego niż rozmowa na tańcach.

Pawilon, w którym Katarzyna spotykała się z wicehrabią de Charny, otaczały gęste zarośla graniczące z lasem Villers–Cotterets. Prosty rów oddzielał posiadłość hrabiego od gruntów wiejskich.

Katarzyna, którą interesy folwarku wzywały bezustannie do okolicznych wiosek, musiała przebywać drogę, wiodącą przez las. I dopóki pozostawała w jego obrębie, nie można było nic jej zarzucić. Wystarczało jednak przekroczyć rów, aby się znaleźć w zagajniku kochanka.

Wybrano w lesie to miejsce, jako najlepsze schronienie przed ludzkimi oczyma.

Pawilon górował nad zagajnikiem, a przez wąskie okienka o kolorowych szybkach można było widzieć wszystko dokoła. Wyjście z pawilonu maskowała tak zreżymowana gęstwina, że wydostawszy się z niej na koniu, łatwo można było dopaść trzema skokami lasu, który był już terenem neutralnym.

Ale Pitou, który przychodził tu i w dzień, i w nocy, i dokładnie spenetrował cały teren, wiedział dobrze, którędy przekrada się Katarzyna, tak jak kłusownik zna ścieżki łani, którą chce ustrzelić z zasadzki.

Katarzyna nigdy nie wracała do lasu z Izydorem. Zostawał on w pawilonie jeszcze przez jakiś czas po jej wyjściu, czuwając, aby dziewczynie nic się nie wydarzyło, następnie oddalał się w przeciwnym kierunku.

Pragnąc zdemaskować Katarzynę, Pitou w decydującym dniu czatował tuż obok wiadomego miejsca, wdrapawszy się na olbrzymi buk, który od trzystu lat górował nad pawilonem i zagajnikiem.

Zanim jeszcze upłynęła godzina, Pitou spostrzegł Katarzynę. Przywiązawszy konia w leśnym parowie jednym skokiem przesadziła rów, niczym spłoszona łania, i zagłębiła się w zaroślach otaczających pawilon.

Przeszła tuż obok buka, na którym czał się Pitou. W jednej chwili zsunął się z drzewa i oparł o jego pień. Następnie wyjął z kieszeni książkę *Wzorowy gwardzista narodowy* i udawał, że czyta.

W godzinę później do uszu Pitou doszedł odgłos zamykanych drzwi. W gęstwinie zaszeleściła spódniczka. Spośród gałęzi wysunęła się głowa Katarzyny rozglądającej się wokół z łękiem, czy jej nikt nie widzi.

Była o dziesięć kroków od Pitou.

Pitou siedział bez ruchu, trzymając na kolanach książkę. Teraz nie udawał już, że czyta. Umyślnie patrzył na Katarzynę, tak aby to zauważyła.

Poznawszy Pitou, dziewczyna wydała stłumiony okrzyk, po czym zbladła, jakby śmierć owionęła ją swoim tchnieniem. Po krótkim wahaniu, które zdradziły jej drżące ręce i niepewny

ruch ramion, Katarzyna rzuciła się na oślep do lasu i dopadłszy konia, uciekła.

Plan Pitou udał się — dziewczyna znalazła się w potrzasku.

Pitou powrócił do Haramont szczęśliwy i równocześnie przestraszony. Uświadomiwszy sobie dokładnie swój czyn, dostrzegł w tym prostym zdarzeniu mnóstwo przerażających szczegółów, o których przedtem nie pomyślał.

W najbliższą niedzielę miała się odbyć w Haramont uroczystość wojskowa. Gwardziści narodowi, dostatecznie już wyćwiczeni lub głęboko o tym przekonani, poprosili komendanta, aby zarządził zbiórkę i dokonał przeglądu wojska.

Duch współzawodnictwa ożywił kilka sąsiednich wiosek, które również odbyły przeszkolenie wojskowe. Miały one przybyć do Haramont, aby zmierzyć się ze starszymi kolegami. Delegacje poszczególnych wiosek, prowadzone przez rolnika, byłego sierżanta, porozumiały się ze sztabem generalnym Pitou.

Zapowiedź pięknego widowiska ściągnęła mnóstwo odświętnie wystrojonych mieszkańców, tak że pole Marsowe w Haramont wypełnił tłum dziewcząt i dzieci. Nadciągali też powoli, ale z nie mniejszym zainteresowaniem, ojcowie i matki uczestników pokazu.

Uroczystość rozpoczął podwieczerek na trawie. Ludzie raczyli się wstrzemięźliwie owocami i ciastem, popijając wodą źródlaną.

Wkrótce zagrzmiały cztery bębny z czterech różnych stron: Largny, Vez, Taillefontaine i Vivieres. Zbliżały się ku punktowi centralnemu, którym było Haramont. Tam potężny piąty taraban wybijał teraz werbel, grząc na czele trzydziestu czterech gwardzistów narodowych.

Wśród widzów znalazła się część szlacheckiej i mieszczańskiej arystokracji z Villers-Cotterets. Przybyli tu po to ażeby się pośmiać. Inni, przeważnie okoliczni dzierżawcy, ściągnęli, ażeby popatrzeć na widowisko. Niebawem przyjechały konno Katarzyna i matka Billot.

W tej samej chwili gwardia narodowa Haramontu wyłoniła się z wioski z piszczałką, bębniem oraz swoim komendantem Pitou. Dosiadł on rosłego siwka, którego pożyczył mu porucznik Maniquet, aby reprezentowany był w Haramont *ad vivum*, jak w Paryżu pan markiz de Lafayette.

Pitou, promieniejący dumą i pewnością siebie, ze szpadą w ręku, jechał na wielkim koniu o złotej grzywie. Postawą swoją uosabiał jeśli nie arystokratyczną wytworność, to w każdym razie przyjemną dla oka siłę i odwagę.

Okrzyki radości powitały triumfalne wkroczenie Pitou i jego ludzi, tych, co pierwsi poruszyli prowincję.

Gwardia Narodowa w Haramont miała jednakowe kapelusze, zdobne w odznakę narodową, połyskujące karabiny i maszerowała w dwuszeregu, tworząc niezmiernie udatną całość.

Toteż, gdy przybyła na plac manewrów, miała już za sobą ogólny poklask zebranych.

Pitou dostrzegł Katarzynę. Zaczerwienił się, ona zbladła.

Od tej chwili przegląd nabrał dlań szczególnego znaczenia. Najpierw kazał swym ludziom wykonać zwykłe ćwiczenia z karabinami, a każdy z przepisowych ruchów odznaczał się taką precyzją, że powietrze zagrzmiało od oklasków.

Inne wioski nie spisały się, jak należy: ćwiczyły bez energii i nieporządnie. Jedne źle uzbrojone i niedoszkolone, inne wykonując musztrę z przesadą — źle wyszły na tym porównaniu.

Po ćwiczeniach miała nastąpić musztra w kolumnie. Tu właśnie sierżant spodziewał się zaćmić swego rywala Pitou.

Z uwagi na starszeństwo powierzono mu ogólne dowództwo. Miał on kierować marszem i manewrowaniem stu siedemdziesięciu ludzi, całej armii. Nie mógł sobie jednak z tym poradzić.

Pitou w kasku na głowie, trzymając szablę pod pachą, spoglądał na wszystko z uśmiechem wyższości.

W pewnej chwili sierżant spostrzegłszy, że czoło jego kolumny zniknęło gdzieś wśród lasu, a tyły zawracają ku Haramont, że plutony pomieszały się bezładnie, a podoficerowie pogubili się, stracił zupełnie głowę i spotkał się z nieprzyjaznym pomrukiem swoich dwudziestu żołnierzy.

Wówczas od strony Haramont zabrzmiał okrzyk:

— Pitou! Pitou! Do Pitou!

— Tak, tak! Do Pitou! — krzyknęli ludzie z innych wiosek, wściekli z gniewu na swych instruktorów.

Pitou dosiadł ponownie siwka i stanąwszy z powrotem na czele swych ludzi, kazał im wyjść na czoło armii. Jego komenda miała w sobie tyle energii bojowej, że aż zadrżały stare dęby.

W jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zachwiane szeregi odzyskały równowagę, wykonując wszystkie ruchy sprawnie, przepisowo i z zapalem.

Pitou tak szczęśliwie zastosował w praktyce lekcje ojca Cluisa i teorię *Wzorowego gwardzisty narodowego*, że zdobył olbrzymi sukces.

Cała armia obwołała go jednogłośnie imperatorem na polu walki.

Pitou, upojony zwycięstwem, zsiadł z konia, a stanąwszy na ziemi, odbierał gratulacje tłumów, szukając jednocześnie wzrokiem spojrzenia Katarzyny.

Nagle usłyszał obok siebie jej głos. A więc nie potrzebował chodzić do niej, ona przyszła do niego!

Był to wielki triumf.

— Jakże te! — rzekła z roześmianą miną, która kłóciła się z bladością jej twarzy. — Nie mówisz z nami, panie Pitou? Stałeś się dumny, odkąd, zostałeś wielkim generałem...

— Ależ nie! — zawołał. — O, dzień dobry, panno Katarzyno! Mam zaszczyt panią powitać! — zwrócił się do pani Billot. Po czym do Katarzyny: — Myli się pani. Nie jestem wielkim generałem, a tylko biednym chłopcem, który pragnie gorąco służyć ojczyźnie.

Tłum, podchwyciwszy te słowa, wybuchnął istną burzą wiwatów.

— Panie Pitou — rzekła szeptem Katarzyna — musimy ze sobą porozmawiać.

„Ach! — pomyślał Pitou. — Otóż to właśnie!” — A głośno powiedział: — Do pani usług, panno Katarzyno!

— Proszę udać się z nami na folwark. — Dobrze!

LXIX

MIÓD I PIOLUN

Mimo obecności matki Katarzyna postarała się, aby ona i Pitou mogli być sami. Pocziwa pani Billot spotkała kilka uprzejmych sąsiadek, które rozmawiając kroczyły obok jej konia. Katarzyna powierzwszy opiece jednej z nich swego wierzchowca, poszła pieszo przez gaj w towarzystwie Pitou, który wynikał się przed owacją.

Tego rodzaju rzeczy nikogo nie dziwią, zwłaszcza na wsi, gdzie wszystkie sekrety tracą na tajemniczości wskutek okazywanego sobie nawzajem pobłażania.

Uważano za naturalne, że Pitou ma o czym porozmawiać z panią Billot i jej córką, a może nawet nie zwrócono na to uwagi. Tego dnia każdemu pilno było do ciszy i spokoju. Wszyscy, którzy zażywają sławy lub szczęścia, chętnie kryją się w leśnej głuszy wiekowych dębów.

— Słucham, panno Katarzyno — rzekł Pitou, gdy zostali sami.

— Czemu zniknąłeś pan na tak długo z folwarku? — zapytała Katarzyna.. — To źle, panie Pitou.

— Ależ, panno Katarzyno — odparł ze zdziwieniem Pitou — pani dobrze wie...

— Nic nie wiem... To źle!

Pitou zagryzł wargi. Przewrotność Katarzyny budziła w nim wstręt.

Dziewczyna to spostrzegła. Spojrzenie Pitou, zazwyczaj otwarte i szczere, kierowało się w bok.

— Ale... — rzekła — chciałam panu jeszcze coś powiedzieć.

— Tak.

— Wtedy, co to pan widział mnie w lesie...

— Gdzie panią widziałem?

— Ach, pan przecież wie! : — Wiem.

Katarzyna zaczerwieniła się. — Co pan tam robił?

— Więc pani mnie poznała? — zapytał łagodnie z melancholijnym wyrzutem.

— Nie od razu, dopiero potem. — Jak to, potem?

— Człowiek niekiedy bywa roztargniony. Idzie bezwiednie przed siebie, a po pewnym czasie zastanawia się...

— Rzeczywiście. Zapadło między nimi milczenie. Oboje mieli zbyt wiele do myślenia, aby mogli mówić otwarcie.

— Więc, ostatecznie, to pan był? — podjęła Katarzyna.

— Tak, proszę pani.

— I cóż pan tam robił? Czy pan się krył?

— Krył? Dlaczego miałbym się kryć?

— Ot, ciekawość...

— Ja, panno Katarzyno, wcale nie jestem ciekawy. Dziewczyna tupnęła niecierpliwie nóżką.

— Faktem jest, że pan tam był! W miejscu, w którym pan nigdy nie bywasz.

— Widziała pani, że czytałem.

— Ach, nie wiem!

— Skoro mnie pani widziała, powinnaś wiedzieć.

— Widziałam pana, to prawda, ale przelotnie. I... czytał pan?

— *Wzorowego gwardzistę narodowego.*

— Co to takiego?

— Książka, z której uczę się taktyki, aby następnie wyjaśnić ją swoim ludziom. A pani wie, iż rzetelna nauka wymaga spokoju.

— To prawda. I tam, na skraju lasu, nic go nie zakłóca?.

— Nie.

Znów zamilkli. Matka Billot w dalszym ciągu wędrowała z kumoszkami.

— A czy taka nauka — podjęła Katarzyna — trwa długo? — Nieraz cały dzień.

— Więc był pan tam długo? — zawołała żywo, — Bardzo długo.

— To dziwne, że nie widziałam pana, kiedy tam przyszedłem.

Katarzyna kłamała tak zuchwale, że Pitou zapragnął wykazać jej to. Ale wstydził się za nią. Był zakochany, a więc nieśmiały, lecz to właśnie nauczyło go przezorności.

— Zapewne usnąłem — odparł. — Zdarza się to czasem, gdy człowiek zbyt wiele pracuje umysłowo.

— Właśnie. A ja w czasie pańskiego snu przedostałam się do zagajnika. Doszłam... doszłam aż pod mury starego pawilonu...

— A, pawilonu... — powtórzył Pitou. — Jakiego pawilonu?

Katarzyna znów się zaczerwieniła, nie mogła uwierzyć w tę udaną nieświadomość.

— Pawilonu Charny — odparła z pozorną swobodą. — Tam rośnie najlepszy, rojnik z całej okolicy.

— O, tak.

— Sparzyłam się piorąc bieliznę i były mi potrzebne liście rojnika.

Pitou rzucił okiem na ręce Katarzyny.

— Nie w ręce, w nogę — powiedziała żywo.

— I znalazła go pani?

— Doskonały! Widzi pan, już nie kuleję.

„Kulala jeszcze mniej — pomyślał Pitou — śmigając po wrzosach szybciej od sarny.”

Katarzyna była pewna, że Pitou o niczym nie wiedział, nic nie zauważył.

I nagle z przewrotnością, nie licującą z jej szlachetnym charakterem, powiedziała:

— A więc pan Pitou dąsał się na nas. Pan Pitou pyszni się ze swego nowego stanowiska. Pan Pitou gardzi biednymi wieśniakami, odkąd został oficerem.

Pitou uczuł się boleśnie dotknięty. Wielka ofiara, choćby nawet nie ujawniona, wymaga niemal zawsze nagrody. Katarzyna zaś, przeciwnie, zdawało się, że kpi sobie z Pitou, szydzi z niego, porównując zapewne z Izydorem de Charny. Wszystkie szlachetne intencje Pitou rozwiały się nagle — miłość własna jest jak drzemiąca żmija — nadepnąć na nią nie zabiwszy od razu, to rzecz niebezpieczna.

— Zdaje mi się — odparł Pitou — że to raczej pani dąsa się na runie.

— Jak to?

— Najpierw wypędziła mnie pani z folwarku, odmawiając pracy. O, nic nie powiedziałem panu Billot, Bogu dzięki! Mam ręce i serce, które służą mi w potrzebie.

— Zapewniam cię, panie Pitou...

— Dosyć, panno Katarzyno! Jesteś panią u siebie, więc wolno ci było mnie wypędzić. Ale idąc do pawilonu Charny spotkałaś mnie po drodze, powinnaś więc była porozmawiać ze mną, zamiast uciekać niczym złodziej!

Katarzyna poczuła, że traci grunt pod nogami. — Uciekać? — powtórzyła — Ja uciekałam?

— Jakby paliło się na folwarku. Nie zdążyłem jeszcze zamknąć książki, a pani już skoczyła na biednego Kadeta, ukrytego w gęstwinie, gdzie zdążył ogryźć całą korę z jesionu. Zmarnowane drzewo!

— Zmarnowane drzewo? O czym pan mówi? — wyjąkała Katarzyna tracąc zupełnie pewność

siebie.

— To zupełnie naturalne — ciągnął Pitou. — Kiedy pani zrywała rojnik, Kadet ogryzał drzewo, a w ciągu godziny koń potrafi bardzo dużo zjeść.

— W ciągu godziny? — krzyknęła Katarzyna.

— Nie sposób, proszę pani, żeby koń mógł tak zniszczyć drzewo w krótszym czasie. Pani musiała narwać rojnika tyle, że starczyłoby dla wszystkich rannych przy zdobywaniu Bastylli. To znakomity środek na kataplazmy.

Katarzyna, pobladła i zupełnie zbита z tropu, nie mogła dobyć głosu.

Pitou również zamilkł — powiedział już dość.

Tymczasem matka Billot zatrzymawszy konia na rozstajach, żegnała się ze swymi towarzyszami.

Pitou był jak na torturach, gdyż zadawszy jej ranę, sam odczuwał sprawiony ból. Przeszł z nogi na nogę, niczym ptak na odlocie.

— No i cóż powie pan oficer? — zawołała matka Billot.

— Właśnie życzy pani dobrej nocy.

— Jeszcze nie... Zostań pan — rzekła Katarzyna z rozpaczą w głosie.

— No, to dobranoc! Idziesz, Katarzyno?

— O, niechże mi pan powie prawdę — szepnęła dziewczyna.

— Jaka?

— Więc nie jest pan moim przyjacielem?

— Niestety! — odparł nieszczęśliwy chłopiec.

Niedoświadczony w sprawach miłości, miał debiutować w niewdzięcznej roli powiernika. A tylko zręczni potrafią z niej ciągnąć korzyści bez względu na miłość własną.

Pitou czuł, że ma już na ustach zdradliwe wyznanie, że wystarczy jedno słowo Katarzyny, a będzie zdany na jej łaskę i niełaskę... Ale czuł jednocześnie, że jeśli powie, będzie zgubiony, że umrze z rozpacz w chwili, gdy Katarzyna potwierdzi to, co dotąd tylko podejrzewał. Toteż, pełen obaw, milczał jak zakłęty.

Skłonił się pannie Katarzynie z szacunkiem, który zmroził jej serce, wdzięcznym uśmiechem pożegnał panią Billot — i zniknął w leśnej gęstwinie.

Katarzyna poderwała się, jakby chcąc pobiec za nim. A matka Billot powiedziała do córki:

— To dobry chłopiec, i rozumu mu nie brak ani serca.

Zostawszy sam, Pitou rozpoczął następujący monolog:

„Czy to właśnie jest miłość? To, co czasem daje tyle słodyczy, a czasem tylko gorycz?...”

Me rozumiał biedaczysko w swej naiwności i prostocie, że w miłości jest miód i piołun, i że miód stał się właśnie udziałem pana Izydora.

Po straszliwym wstrząsie, jaki przeżyła Katarzyna, Pitou budził w niej uczucie lęku zmieszanego z szacunkiem, którego nie doświadczała jeszcze przed kilku dniami, kiedy był w jej oczach tylko śmieszna, nieszkodliwa figura.

Jeśli mężczyzna nie wzbudza miłości, dobrze jest, gdy go darzą przynajmniej pełnym lęku respektem.. A Pitou, mający wygórowane poczucie godności osobistej, uważałby za niemały zaszczyt ten rodzaj uczuć ze strony Katarzyny.

Ale nie był dość tęgim psychologiem, aby na odległość półtorej mili odgadnąć, co myśli kobieta. Toteż, zalewał się łzami, nucąc żałośnie melancholijne ludowe śpiewki. Jego armia byłaby bardzo rozczarowana widząc, jak jej wódz oddaje się elegijnym jeremiadom.

Wreszcie mając: już dość i śpiewów i łez i przechadzki.

Pitou wrócił do chaty, przed którą, aby go uczcić, bałwochwalczy haramontczycy postawili wartownika pod bronią.

Ale wartownik nie stał już pod bronią. Upiwszy się spał na kamiennej ławce, a karabin sterczał mu między nogami;

Pitou, zdziwiony, obudził żołnierza. Dowiedział się wówczas, że jego trzydziestu pocziwców zamówiło ucztę u ojca Telliera, haramonckiego Vatela, że dwanaście co najśmielszych przedsiębiorczych dziewcząt uwieńczyło zwycięzców i że zachowano honorowe miejsce dla Turenusza, który pokonał Kondeusza sąsiedniego powiatu.

Strapienia sercowe Pitou odbiły się bolesnym echem w jego żołądku. „Dziwiono się — powiedział Chateaubriand — że oko królewskie może wylać tyle łez, ale nigdy nie zmierzono pustki, jaką sprawiają łzy w ludzkim żołądku.”

Pitou, którego wartownik ściągnął na biesiadę, został powitany tak gromkim okrzykiem, że zatrzęśły się mury. Skłoniwszy się w milczeniu, zasiadł do stołu i z właściwym sobie spokojem zabrał się do zrazów cielęcych z sałatą.

Trwało to tak długo, dopóki nie poczuł, że serce ma lekkie, a żołądek ciężki.

LXX

NIEPRZEWIDZIANE ROZWIĄZANIE

Biesiada albo wzmaga cierpienia zbolątych serc, albo łagodzi je zupełnie. Po dwóch godzinach Pitou stwierdził, że jego cierpienia nie wzmogły się. Wstał od stołu, kiedy współuczniowiec już podnieść się nie mogli. Do nieludzko pijanych wygłosił przemówienie o spartańskiej wstrzemięźliwości, a kiedy oni chrapali pod stołem, Pitou uznał, że nie zawadzi się przejść.

Co się tyczy dziewcząt haramonckich, to trzeba zapisać na ich dobro, że ulotniły się przed podaniem deseru, zanim jeszcze ich głowy, nogi i serca, każde na swój sposób, dały znać o sobie.

Pitou, najmężniejszy z mężnych, nie mógł oprzeć się pewnym refleksjom. Ze wszystkich uczuć, z całego ich piękna i bogactwa, pozostały mu w duszy i w pamięci tylko ostatnie słowa i spojrzenie Katarzyny.

W przyćmionej z lekka pamięci pojawiło się wspomnienie, jak ręka Katarzyny spotkała się kilkakrotnie z jego ręką, jak jej ramię ocierało się poufale o jego ramię, a nawet jak w chwilach rozmowy nieco swobodniejsze ruchy dziewczyny odsłaniały przed nim jej wdzięki i powaby.

Upajając się teraz tym, co zlekceważył w chwili trzeźwości, szukał czegoś wokół siebie jak człowiek nagle obudzony. Zapytywał cieni, czemuż ma być tak surowy wobec kobiety pełnej miłości, słodczy, uroku, wobec kobiety, której młody wiek usprawiedliwiał jej kaprysy. Niestety! Któż ich nie miał?

Pitou zapytywał siebie, czemuż to on, brzydal, biedak, miałby od razu wzbudzić miłość w najładniejszej w całej okolicy dziewczynie, skoro piękny magnat, słynący z urody na całą okolicę, musiał przecież także starać się o jej względy.

Pitou pochlebiał sobie, że i on nie jest bez zalet: porównywał siebie w myślach do fiołka, który w ukryciu, niewidzialny, wydziela zapach. Niewidzialny — było to aż nadto prawdziwe. Prawda była w winie, choćby w winie haramonckim.

Wyzbywszy się w ten sposób złych intencji wobec Katarzyny, Pitou przyznał przed sobą, że postąpił w stosunku do niej niewłaściwie, jeśli nie wręcz karygodnie.

Doszedł do wniosku, że w ten sposób obudzi w niej tylko wstręt, że była to najgorsza z metod. Katarzyna, olśniona przez pana de Charny, po prostu nie uzna świetnych i niewątpliwych zalet Pitou, skoro wykazuje tak zły charakter.

Winien więc udowodnić Katarzynie, że ma dobry charakter, Ale jak?

Uwodziciel powiedziałby: „Ta dziewczyna oszukuje mnie i drwi sobie ze mnie, ja też z niej zadrwię i ośmieszę ją. Będę nią gardził i okryję wstydem za jej bezecne miłostki. Napędzę jej strachu, zniesławię ją, aż droga wiodąca na schadzki stanie się drogą ciernistą!”

Alę Pitou — poczciwa, piękna dusza, rozpalona winem i szczęściem — obrał inną drogę: musi zawstydzić Katarzynę że nie kocha takiego jak on chłopca, wyjawiając jej pokusy które go dręczyły.

A w ogóle Pitou, nie oszukując siebie, nie mógł nawet przypuścić, aby piękna, cnotliwa, dumna. Katarzyna mogła być dla pana Izydora czym innym, niż tylko ładną kokietką, uśmiechającą się do koronkowych żabotów i butów z ostrogami. Czyż może martwić pijanego Pitou, że Katarzyna zadurzyła się w żabocie i ostrogach?

Któregoś dnia pan Izydor odjedzie do miasta, ożeni się z hrabianką, nie spojrzy więcej na Katarzynę — i romans skończony.

Takimi to godnymi starca refleksjami wino, odmładzające starych, natchnęło naszego

dzielnego komendanta Gwardii Narodowej w Haramont.

Otóż, aby dowieść Katarzynie, że ma dobry charakter, Pitou postanowił odwołać wszystkie krzywdzące słowa. Ale najpierw należało odnaleźć Katarzynę.

Dla człowieka pijanego, który nie ma zegarka, nie istnieją godziny. Pitou nie miał zegarka, a uszedłszy dziesięć kroków był tak pijany jak Bachus lub jego ukochany syn Tespis.

Nie pamiętał, że trzy godziny temu rozstał się z Katarzyną, którą tylko godzinka drogi dzieliła od Pisseleux. Pitou zapuścił się w las i śmiało przedzierał się między drzewami, aby dotrzeć do Pisseleux. Unikał przy tym utartych dróg.

Pozostawmy go wśród drzew, krzaków i cierni, gdzie potężnymi kopnięciami i ciosami kija niszczył las księcia Orleańskiego, nie zważając że las oddaje mu razy z lichwiarską nawiązką.

Wróćmy do Katarzyny, która zamyślona i strapiona podążała za matką do domu.

Kilka kroków od folwarku, koło bajorka, droga tak się zwięża, że dwa konie, nie mogą przejść obok siebie równocześnie.

Matka Billot pojechała pierwsza. Katarzyna posuwając się za nią, usłyszała lekki gwizd. Odwróciwszy się, dostrzegła w cieniu galon liberyjnej czapki lokaja. Matka jechała dalej, nie mając powodu do niepokoju, gdyż od folwarku dzieliło je tylko sto kroków.

Lokaj zbliżył się do Katarzyny mówiąc:

— Pan Izydor musi zobaczyć się z panią jeszcze dziś wieczór. Prosi, aby pani czekała na niego o jedenastej w miejscu, które sama wybierze.

— O, mój Boże! — zawołała Katarzyna. — Czy zdarzyło się jakieś nieszczęście?

— Nie wiem, proszę pani. Ale dziś nadszedł z Paryża list z czarną pieczęcią. Ja tu czekam już od godziny.

Dziesiąta biła na kościele w Villers–Cotterets. Uderzenia — jedno po drugim — ulatywały na spiżowych skrzydłach, drgając w powietrzu.

Katarzyna rozejrzała się wokół.

— To miejsce jest ciemne i ustronne — rzekła. — Tu będę czekała na pana.

Lokaj dosiadł konia i popędził galopem. Katarzyna drżąca wróciła z matką do domu.

Cóż mogło sprowadzić Izydora o tej porze? Chyba tylko nieszczęście. Schadzki miłosne zapowiadają się jakoś weselej. Ale nie o to chodziło. Skoro Izydor wyznaczał spotkanie, dla Katarzyny nie miała znaczenia ani godzina, ani miejsce. Czekalaby na niego o północy nawet na cmentarzu w Villers–Cotterets. Nie chciała się w ogóle zastanawiać i ucałowawszy matkę poszła do swego pokoju. Matka, nie podejrzewając niczego, rozebrała się i położyła. A gdyby nawet, biedaczka, cokolwiek podejrzewała? Czyż Katarzyna nie była tu teraz panią?

Katarzyna nie rozebrała się jednak i nie kładła. Czekala. Zegar wydzwonił pół do jedenastej, potem trzy kwadranse. Wtedy dziewczyna zgasiła lampę i zeszła do jadalni. Okna jej wychodziły na drogę. Otworzyła jedno z nich i zeskoczyła lekko na ziemię. Zostawiła je otwarte, a tylko przymknęła jedną z okiennic.

Pobiegła w mrok na umówione miejsce. Serce biło jej gwałtownie, Miana drżały. I tak czekała, jedną ręką chłodząc rozpalone czoło, drugą przyciskając do rozdygotanej piersi.

Nie czekała długo. Dobiegł ją tętent. Zrobiła krok naprzód. Izydor był przy niej. Lokaj stał w tyle.

Me zsiadając z konia, Izydor wyciągnął ku niej ramiona, podniósł na siodło i ucałowawszy powiedział:

— Katarzyno, wczoraj zabito w Wersalu mojego brata, Jerzego. Oliwier wzywa mnie do Paryża. Wyjeżdżam, Katarzyno.

Katarzyna krzyknęła boleśnie, przywierając mocno do piersi wicehrabiego.

— Och! — wykrzyknęła. — Jeśli zabili twego brata, Jerzego, to i ciebie zabiją!

— Cokolwiek się stanie, Katarzyno, mój starszy brat mnie oczekuje. Wiesz dobrze, że cię kocham, Katarzyno.

— Zostań, zostań! — krzyknęła. Ze wszystkiego, co mówił Izydor, zrozumiała jedno tylko — że wyjeżdża.

— Ale honor, Katarzyno! Muszę pomścić śmierć swego brata!

— Och, ja nieszczęsna! — zawołała.

Na pół martwa osunęła się znowu w ramiona Izydora. Z jego oczu stoczyła się łza i spadła na szyję dziewczyny.

— Ty płaczesz — rzekła. — Dzięki, kochasz mnie!

— Ach, tak, tak, Katarzyno. Mój starszy brat mnie wzywa. Muszę mu być posłuszny.

— Więc jedź — rzekła Katarzyna — już cię nie zatrzymuję.

— Ostatni pocałunek, Katarzyno!

— Bądź zdrow!

Zrezygnowana, rozumiejąc, że nic nie powstrzyma Izydora od posłuszeństwa wobec brata, zsunęła się z objęć kochanka, na ziemię.

Izydor odwrócił głowę, westchnął i przez chwilę wahał się. Ale bezwzględnie posłuszny rozkazowi, jaki otrzymał, ruszył galopem, posyłając Katarzynie ostatnie pożegnanie. Lokaj pędził za nim przez pola.

Katarzyna leżała na ziemi, tam gdzie upadła, przegradzając swym ciałem wąską drogę.

W tej samej chwili na pagórku ukazał się mężczyzna idący od strony Villers-Cotterets. Szedł dużymi krokami w kierunku folwarku i w szybkim marszu potknął się o nieruchomo leżące na ziemi ciało.

Stracił równowagę, zachwiał się i upadł. A zrozumiał dopiero wtedy, gdy dotknął rękami bezwładnego ciała.

— Katarzyna! — krzyknął. — Katarzyna nie żyje!

Krzyk zabrzmiał tak straszliwie, że odpowiedziały mu wyciem folwarczne psy.

— Och! — jęknął. — Kto zabił Katarzynę? Usiadł drżący, błądliwy, skamieniały, trzymając na kolanach nieruchome ciało.